PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUNASTY. — TOM XLVII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1895.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1895.

MANIFEST NAUKI ATEISTYCZNEJ.

Już nieraz zwracaliśmy uwagę w naszem piśmie na symptomy pewnego zwrotu umysłów ku religii, ku chrystyanizmowi nawet, objawiającego się w ostatnich latach w sferach naukowych i literackich, gdzie do niedawna zdawało się, że sam pozytywizm panuje. Zgasły tragicznie przed kilkoma tygodniami nieodżałowany szermierz prawdy, ks. Broglie, poświęcił temu zwrotowi ostatnią swą książkę: *La réaction contre le positivisme,* o której niebawem osobne na tem miejscu podamy studyum. Ale w tych ostatnich paru miesiącach zaszły na tem polu godne uwagi wypadki. Turniej umysłowy — a raczej walka rzeczywista o najważniejsze w świecie zasady — wytoczyła się na szeroką, widownię, i namiętne budzi zajęcie w myślącej części francuskiego społeczeństwa.

W styczniu pojawił się w *Revue des deux mondes* artykuł naczelnego redaktora, p. Brunetière, p. t.: „Po wizycie w Watykanie“. O samej audyencyi ani wzmianki w tym artykule, jest tylko pogląd na stan moralny dzisiejszego umysłowego świata. Widać, że ta wysoka widownia watykańska nawet niewierzącemu myślicielowi sposobność dała do objęcia szerszego widnokręgu.

Wolterowskie drwienie z religii, mówi Brunetière, już dawno pogrzebane, ale do niedawna panowało szeroko mniemanie, że religia jest tylko niższym stopniem w rozwoju ludzkości, prowizorycznem rozwiązaniem zagadnień, które nas najwięcej obchodzą; nauka zaś, jako stopień wyższy, przeznaczona jest do tego,

żeby całe pole, dawniej przez religię zajęte, stopniowo ogarnąć, zagadnienia owe definitywnie rozwiązać i doprowadzić ludzkość do najwyższego stopnia dobrobytu, moralności i szczęścia, o jakim dziś ani marzyć nie możemy. Obietnice takie czyniono wielokrotnie w imieniu nauki i szerokie warstwy przyzwyczaiły się je uważać za naukowy dogmat. Otóż teraz, od jakich lat kilkunastu, coraz wyraźniej się pokazuje, i coraz więcej ludzi to spostrzega, że nauka tych obietnic ani spełniła ani wogóle spełnić nie może. Nauka przyrody w szczególności obiecywała znieść „tajemnice"; a co uczyniła? w kwestyach, na których jedynie zależy ludzkości: skąd jesteśmy? jakie jest nasze zadanie? do czego dążymy? — nic zgoła nie wyjaśniła; przez ewolucyonizm niby je cofnęła w dal, ale ich nie rozwiązała wcale. Nauki filologiczne obiecywały odnaleść cały chrystyanizm w hellenizmie, względnie w indyanizmie; wiele w rzeczy samej podobnych myśli tu i tam wykazały, lecz tego wcale nie wykryły, o co tu najistotniej chodzi: czemu jedynie chrystyanizm, a nie hellenizm, nawrócił świat? Nie udało im się nawet rodowodu Biblii choćby w przybliżeniu ustalić, ni historyi Izraela do poziomu innych ludów spłaszczyć. Historyczne wreszcie nauki wiele wprawdzie dokazały w szczegółach, ale jedynej zasadniczej i jedynej głęboko nas obchodzącej kwestyi, którą rozwiązać solennie obiecały: czy jest i jakie jest prawo dziejowe ludzkości i czy mogą ludzie przeciw niemu oddziaływać — nie rozstrzygnęły wcale. Słowem, mimo wielkich obietnic, żadna z kwestyj prawdziwie żywotnych — z tych, które kierują życiem jednostek i społeczeństw — nie została „naukowo" rozwiązana; do żadnego nawet rozwiązania nie zbliżyły nas te nauki; owszem oddaliły nas raczej i porozstrzeliwały więcej niż kiedykolwiek zdania i hipotezy. Ten radykalny zawód jest przyczyną dzisiejszej reakcyi religijnej czyli zwrotu umysłów do szukania w religii tego, co nauka dać nie mogła; a każda taka reakcya religijna obraca się przedewszystkiem na korzyść katolicyzmu.

Tu trafnie omawia Brunetière dziwną elastyczność katolicyzmu, który o twardość pomawiają, i dziwną jego potęgę asymilacyjną; przypomina jak włonił i przerobił w siebie odrodzenie ducha

i sztuki poganizmu w XV. wieku; jak również wchłonął i spożytkował w XVII. wieku racyonalizm kartezyański; jak potem układał się z Wielką rewolucyą — a dziś pod przewodem Leona XIII. szuka z jednej strony zetknięcia z nauką świecką, z drugiej z ruchem socyalnym się porozumiewa i opanować go usiłuje. Nie jest zaś to wszystko, jak dobrze mówi autor, odmienianiem się katolicyzmu, jeno rozwojem, ewolucyą wiecznie identycznego pierwiastku.

Wobec tej żywotności religii a tego ukrócenia przesadnych aspiracyj nauki, Brunetière konkluduje, że ani jednej ani drugiej poświęcać nie potrzeba; można bez sprzeczności bądź jednej z nich, bądź obydwom dać wiarę, bo pola ich są rozgraniczone (podobnie jak to przedstawił Deville w „Drugim wieczorze nad Lemanem"). — Ale czy można też podobnie rozdzielić moralność i religię? Autor śmiało odpowiada, że nie — i dowodzi tego faktem, że wszystkie próby od stu lat czynione, aby wytworzyć moralność „naukową", od pojęcia Boga oderwaną, spełzły na niczem, nic pozytywnego nie postawiły — chyba przebrane w inną szatę, czysto chrześcijańskie myśli. Więc społeczeństwo, które chce żyć i rządzić się — a ni żyć, ni rządzić się nie może bez moralności — musi koniecznie liczyć się z religią. — Lecz z jaką religią? Tu autor, z wielkim respektem obchodząc się z protestantyzmem, pierwszeństwo jednak bezwarunkowo daje katolicyzmowi, i motywuje to bardzo oryginalnemi uwagami, o których niestety tylko nadmienić tu mogę: mianowicie, że katolicyzm jest rządem, że jest doktryną określoną, wreszcie że jest socyologią, co mu daje wobec dzisiejszego przesilenia społecznego ogromną korzyść i siłę.

Taki jest artykuł Brunetièra.

Artykuł ten, choć trochę zawile napisany, wywołał od razu szalony hałas, jakiego kwestye spekulatywne wzbudzać nie zwykły. Posypały się gradem odpowiedzi, krytyki, pamflety, w pismach peryodycznych, w gazetach. Zaraz w lutym sławny chemik i sekretarz wieczysty Akademii umiejętności, Marcelin Berthelot, umieścił w *Revue de Paris,* pod tytułem „Nauka i moralność", świetnie i jasno wystylizowaną apologię nauki ateistycz-

nej przeciw roszczeniom podnoszącego znowu głowę mistycyzmu; (wrócimy jeszcze do niej). W podobny sposób wystąpił sławny fizyolog, Karol Richet, w organie naukowych sfer, *Revue rose,* z artykułem zatytułowanym: „Bankructwo nauki". Gazety codzienne jeszcze ostrzejszego, ma się rozumieć, użyły tonu; artykuł Berthelota nazwały arcydziełem, zwycięskim programem, na który niema możliwej odpowiedzi; Brunetièra zaś ostatniemi obrzuciły obelgami. Clemenceau z *Justice,* w imieniu zasad socyalizmu, ciskał na niego błotem. Protestanci w swych pismach kościelnych gniewali się o to, że wyżej od ich wyznania postawił katolicyzm; katolicy w swoich zarzucili mu także niektóre błędy, głównie jednak, jak biskup Lagrange w *Correspondant,* na Berthelota uderzali. Wreszcie 4 kwietnia — rzecz dotąd niewidziana — urządzono wielką ucztę przeciwko p. Brunetièrowi a na cześć „nauki", w której wzięli udział przedewszystkiem krzykacze polityczni skrajniejszych odcieni, ale także ministrowie i niestety kilku uczonych — wielu znakomitszych odmówiło udziału. Tam już była orgia toastów na chwałę ateizmu i na pohybel Brunetièrowi. Ale tego samego dnia rano, ubiegł ich tenże artykułem w *Figarze,* w którym mówi krótko: Musiałem trafić w sedno, kiedy tyle hałasu [1].

Już ten sam fakt takiej gorącej walki o stosunek religii do nauki we Francyi, zasługuje na uwagę, jako znak czasu. Ale jeszcze bardziej to zastanawia, kiedy się zauważy, że podobna walka idei toczyła się w tymże samym czasie i o ten sam przedmiot w Anglii — choć bez żadnego związku z tem co się działo we Francyi. Znany nam z gazet jako wymowny leder niższej Izby, ale znany też w swoim kraju jako filozoficzny pisarz, Artur Balfour, puścił w świat przed czterema miesiącami książkę: „Podstawy wiary", która niemniejsze wywołała w opinii wstrząśnienie, i niemniej wzbudziła żywych, nawet gwałtownych polemik, jak artykuł Brunetièra. Podciągając wszystkie dzisiejsze

[1] Potem jeszcze Brunetière wydał swój pierwotny artykuł w osobnej broszurze *(La science et la religion),* dając w przypiskach cięte przeciwnikom odprawy, i dziesiątkami tysięcy ta broszura się rozchodzi. Wreszcie w *Revue des deux mondes* z 1 maja z innej strony tę samą rzecz podjął p. t. *La moralité de la doctrine évolutive.*

kierunki myśli niereligijne, nie teistyczne pod ogólne miano naturalizmu, sir Balfour atakuje najprzód ten naturalizm tym potężnym argumentem, że on, znosząc wolną wolę, jest absolutnie niezdolny do postawienia obowiązku moralnego i wogóle etyki jakiejkolwiek. Również wytyka mu niezdolność do uzasadnienia estetyki, i nawet logiki: bo jeśli rozum nasz jest wytworem zwierzęcej walki o byt, to jego pretensya do objęcia świata jest niedorzeczna. Ale nie poprzestając na tem, plądruje on z przenikliwą krytyką nasz sposób poznawania przez zmysły i dochodzenia do praw ogólnych, tudzież nasz sposób rozumowania; pierwszemu wytyka opieranie się bezwiedne na apriorycznie przyjętej przyczynowości, drugiemu gęste wykazuje przymieszki nieracyonalnej wiary. Zdawałoby się, że zakonkluduje logicznie na zupełnym sceptycyzmie. Otóż nie, on konkluduje tylko, że ani od nauki ani od filozofii spodziewać się nie możemy wytłumaczenia świata, lecz brać je mamy od religii. Daje nam je mianowicie religia w swej najwyższej formie, tj. chrystyanizm — nie m i m o t o, lecz właśnie d l a t e g o, że jego doktryna jest niewytłumaczalna, nie dająca się ani dowieść ani do dna wyświecić. To właśnie stanowi jej doskonałą odpowiedniość do potrzeb ducha naszego i znamię jej prawdziwości.

Taka książka, wypowiadająca głęboką prawdę, lecz w sposób przesadzony, więc niezwykły, i pociągająca nietylko siłą dyalektyki ale też wielką znajomością życia, natury, sztuki, historyi, ogromne sprawiła wrażenie. Repliki i zbijania sypią się gęsto ze wszech stron: pozytywiści, jak Huxley, zarzucają autorowi uchybienie przeciw naukom przyrodniczym; filozofowie, jak W. Wallace, gniewają się, że zaczepił o metafizykę; ateiści i radykali, jak Robertson w *Free Rewiew,* drwią z jego desperackich wysiłków, by „konserwować“ religię; ludzie kościelni, jak Rev. Martineau, ubolewają nad naruszeniami anglikańskiej ortodoksyi; każdy obóz ze swojej strony zaczepia. Ale może uwielbienia są jeszcze gorętsze: *Review of reviews* wita w autorze odsłaniającego się geniusza i wróży mu wpływ na Anglię równy wpływowi Gladstona.

To nadzwyczajne zainteresowanie się tą książką nietylko wspomnianym jej przymiotom przypisać należy, ale jeszcze więcej

temu, że jest bardzo na czasie. Zwrot umysłów, jakiśmy skonstatowali we Francyi, niemniej zarysował się w Anglii, tj. w tej warstwie naukowej i pseudonaukowej społeczeństwa angielskiego, w której szeroko rozkrzewił się naturalizm i agnostycyzm. Otóż od pewnego czasu poważni uczeni różnych odcieni, jak Pearson, Harrison, Benjamin Kidd, ostrzegali przeciw optymizmowi, jaki się wyrobił z teoryi darwinistowskiej ewolucyi, i wskazywali, że postęp dzisiejszej cywilizacyi niekoniecznie powiększa, a może i umniejsza szczęście ludzkości. Nawet Huxley, w swych konferencyach oksfordzkich z r. 1893, wyraźnie stanowisko swoje zmieniał, przedstawiając człowieka, już nie jako czysty wytwór ewolucyi kosmicznej, ale jako moralną potęgę, zdolną kierować tą ewolucyą. Inny skrajny naturalista, Jerzy Romanes, odwoływał w pośmiertnem piśmie, świeżo ogłoszonem, „Myśli o religii“, swe dawne poglądy, uznawał niedostateczność nauki i potrzebę dopełnienia jej przez wiarę [1]. — Książka Balfoura dlatego tak wielkie zrobiła w swoim kraju wrażenie, że jest najsilniejszem i najświetniejszem wyrażeniem się tego zwrotu umysłowego, który już głęboko Anglię, może więcej jeszcze niż Francyę, nurtuje.

* * *

Ze wszystkich płodów tej rozległej polemiki na największą z naszej strony zasługuje uwagę wspomniany na początku artykuł chemika Berthelota, bo jest, jak powiedzieliśmy, rodzajem programu nauki bezwyznaniowej — jej wojennym manifestem.

Na pierwszy rzut oka, jak powiedzieliśmy, uderza on świetnością formy i jasnością myślnego pochodu; o wiele nawet przewyższa w tym względzie utwór literata Brunetièra. Lecz z blizka mu się przypatrując, widzi się wewnątrz całe roisko błędów, zadziwiających u męża nauce oddanego. Gdyby był odparł zarzut, że nauka bankrutuje, twierdzeniem, że nauka należycie pojęta bankrutować nie może, bo ona konstatuje tylko

[1] Patrz *Revue des deux mondes* z 15 września 1893 i z 15 maja 1895. Także najświeższy artykuł *Foi et science* p. M. de Nadaillac, w *Correspondant* z 10 czerwca.

fakta i wnosi prawa; a jeżeli obietnice w jej imieniu przez kogokolwiek czynione zawiodły, to ona za to nie odpowiada, gdyż do żadnych doświadczenie przekraczających obietnic nie upoważniła — gdyby był, mówię, Berthelot taką dał odpowiedź, nie byłaby ona wprawdzie ugodziła w Brunetièra, który wyraźnie się zastrzegł, że nie naukę jako taką o bankructwo pomawia, ale to co zawołani uczeni, od Condorceta aż do Renana, w jej imieniu światu głosili; jednakże byłaby to jedyna właściwa odpowiedź, jaką mógł dać uczony ze stanowiska nauki.— Na nieszczęście Berthelot nie poprzestaje na tej odpowiedzi i wogóle nie wytrzymuje na stanowisku uczonego, na którem byłby panem, a puszcza się na zupełnie obce sobie pola. Zarzuciwszy Brunetièrowi brak naukowego ducha, branie dowolnych hipotez i eldoradycznych obietnic za rezultaty nauki, sam to najwyraźniej czyni: z samych hipotez konstruuje historyę, religię, naukę, etykę, cały świat; z najmniejszych podobieństw czyni wnioski najdalej idące, a eldoradycznych obietnic jeszcze mniej szczędzi niż inni.

Jakżeż to być może? przecie Berthelot jest wielkim uczonym. Tak jest, ale właśnie to pokazuje, że fachowa nauka nie wszechstronnie człowieka wyrabia. Berthelot jest wielkim uczonym w chemii, tam pewnie umie obserwować, kontrolować swe obserwacye, wnioskować ostrożnie, by nie przekroczyć we wnioskach podstawy obserwacyą zdobytej; a jeśli czyni jakie hipotezy, to umie je odróżniać od zdobyczy nauki, i baczy aby żadna ze sfery możliwych doświadczeń nie wybiegła. Ale na polu nieskończenie szerokiem, które objął swą rozprawą, ten sam Berthelot jest doktrynerem, metafizykiem i dogmatystą na odwrót, sekciarzem ateizmu; — i w tym zapędzie nic go nie wstrzymuje; z największą łatwością i dezinwolturą przecina węzły zagadnień, których nawet nie oglądnął i przeskakuje przepaście, których ani nie spostrzegł.

Cały ten artykuł jest śmiałem roztoczeniem ewolucyi ludzkości po darwinistowsku pojętej, z której ma wynikać, że walka tocząca się odwiecznie między nauką a mistycyzmem jest już na ukończeniu (przez „naukę“ rozumie on empiryzm negujący

wszelki inny rodzaj wiedzy, „mistycyzmem“ zaś nazywa łącznie wszelką religię i wszelką filozofię) a rezultaty, do jakich niechybny tryumf nauki doprowadzi, będą tak pod materyalnym jak pod moralnym względem doskonałe.

Już samo to założenie, przy pozornej szerokości, zdradza ciasny kąt widzenia; walka między nauką a religią jest zjawiskiem chwilowo głośnem w świecie, ale wogóle rzadkiem w historyi ludzkości. Sądzę, że kapłani egipscy i mnisi Benedyktyńscy byliby się wzmiance o takiej walce niemało dziwowali. Jeżeli kiedy zdarzała się walka, to między filozofią a religią, nie między religią i filozofią z jednej strony a nauką z drugiej. Dziś dopiero się to zdarza, że strona z religią walcząca nazywa się nauką; jednakże i ona, jak wnet zobaczymy, nauką nie jest, lecz swego rodzaju filozofią — nawet gdy walczy pod piórem Berthelota. Do czegóż też podobne, w ustach uczonego, takie identyfikowanie religii i filozofii z mistycyzmem, i nawet, jak wyraźnie dodaje, z tajemnicą i cudem? Gdyby ktoś, równie biegły w chemii jak p. Berthelot w rzeczach religii i metafizyki, pozwolił sobie brać za jedno ulubioną jego chemię z zabobonną alchemią, umiałby nasz uczony ciętem zdaniem zacofańca zawstydzić; a przecież nie wiem, czy byłoby to większe pomieszanie pojęć niż to, które sam czyni.

Ale to fraszki; patrzmy już, jak p. Berthelot uzasadnia swe założenie za pomocą teoryi ewolucyi. Ludzkość wyłania się, ma się rozumieć, ze zwierzęcości. Sam Darwin zastrzega się, że to hipoteza; po Darwinie uczeni antropolodzy i psychologowie jeszcze wiele innych znaków zapytania postawili; ale Berthelot — nie chemik, lecz *speecher* partyi ateistycznej — bierze to za dogmat fundamentalny, na którym wszystko buduje. Jeżeli ta hipoteza okaże się prawdziwą, to jeszcze, nawiasem mówiąc, nie rozstrzyga sprawy w sensie ateizmu; ale jeżeli się ta hipoteza zachwieje, to cały gmach na niej oparty się zwali.

Z instynktów towarzyskich zwierząt — twierdzi dalej Berthelot — wyłania się rodzina, państwo, moralność, cnota. Twierdzi to z taką samą, o niczem nie wątpiącą śmiałością, z jaką alchemicy twierdzili, że z miedzi *cum influxu astrorum* wyrabia

się złoto, a z rtęci wydobywać się powinno srebro; doświadczenie wprawdzie tego nie stwierdzało, ale przemawiał za tem kolor.

Z podobną łatwością wytwarza się religia: pierwotni ludzie, podług Berthelota, dziecinnie objektywują swe strachy i sny; stąd bogowie i dusze; dlatego początki nauki, w rękach kapłanów, stopione z praktykami magii. Możnaby zapytać naszego uczonego, czemu to jedynie ludzie, a nie zwierzęta, i to nietylko dzicy, ale jeszcze tacy Kartezyusze, Newtony i Leibnitze tak objektywują wytrwale swe sny i strachy, czyli szukają zawsze Czegoś poza tem co widoczne? Możnaby mu pokazać jak na dłoni, że nie owo objektywowanie tłumaczy zmysł religijny, ale przeciwnie zmysł czy instynkt religijny tłumaczy owo objektywowanie, które u ludów dziecięcych dziecinne przybiera formy. Ale co tu polemizować z przeciwnikiem, który tylko rzuca ogólnikowe twierdzenia? Wolimy go znowu zapytać, skąd on wie tak apodyktycznie o tej genezie religii? czy z chemii może, w której jest specyalistą? czy też z najnowszej nauki o historyi wszechreligij? Otóż specyaliści tej ostatniej powiedzą mu, że kwestya o genezie religii jest dalszą od rozwiązania, niż on sądzi, a korzenie religijności w człowieku są głębsze — niż on sobie wystawia. Rozwiązanie tej kwestyi daliby mu teologowie — ale do nich nie pójdzie.

Po tak lekkiem wyprowadzeniu religii ze snów, nic dziwnego że Berthelot wyprowadza jednem twierdzeniem chrystyanizm z Aleksandryjskiej filozofii. Gdyby znał trochę składniki czy jednego czy drugiego z tych duchowych ustrojów, zawahałby się przynajmniej; nie wnioskowałby jak alchemik z odrobiny zewnętrznego podobieństwa o identyczności treści. Niewiadomość jednak nie całkiem go wymawia; musiał przynajmniej znaleść w samym artykule Brunetièra, przeciwko któremu pisał, jasno postawione pytanie, o którem wspomnieliśmy: Jeżeli cała treść chrystyanizmu mieściła się już w hellenizmie, to czemuż hellenizm świata nie nawrócił, nie umoralnił? skądże chrystyanizm, który nic nowego nie wniósł, okazał się posiadaczem tej niesłychanej mocy? — To pytanie raczył pominąć Berthelot mil-

czeniem wzgardy. Grubobym się założył, że nie wiedział co odpowiedzieć.

A na cóż się przyda podług niego ta religia, o której genezie już jesteśmy pouczeni? Absolutnie na nic. Z naciskiem powtarza nasz chemik, że religia nigdy nic dobrego ludzkości nie przyniosła, nigdy jej żadną prawdą nie obdarzyła. Jeżeli kiedy religie lub filozofie (jedno z drugiem zawsze się łączy w myśli Berthelota) coś prawdziwego w sobie mieściły, to zawsze tylko to, co ze spółczesnej nauki doświadczalnej sobie przywłaszczały. A i to jeszcze obracały na złe, bo robiły z tego zaraz dogmaty niezmienne, hamując dalsze nauki postępy. Ludy, jednostki, któreby się chciały w życiu ich skazówkami kierować, wnetby zginąć musiały, jak świadczy historya i patologia umysłowa. Podczas gdy nauka wszelkiemi dobrami obsypywała ludzkość, dogmaty religijne były zawsze bezpłodne. „To nie one odkryły sztukę drukarską, mikroskop, teleskop, telegraf, czynniki terapeutyczne, parę, kolej żelazną, telefon, fotografię, materye barwiące i t. d., i t. d.“. — Że dogmaty tych wszystkich rzeczy nie odkryły, to pewna *(notabene* robić im z tego zarzut jest naiwnością, taką samą jak zarzucać chemii, że nie odkryła Ameryki); ale czy p. Berthelot uważa za pewnik naukowy, że te odkrycia istotnie pomnożyły pomyślność i szczęście ludzkości? Czy nie słyszał o możliwym związku między temi wynalazkami a innemi objawami dzisiejszej cywilizacyi — jak koncentracya bogactw i pauperyzm, sprzężenie robotnika z maszyną a zniszczenie domowych ognisk, militaryzm a przeciążenie podatkowe i t. p.? Czy nie przyszło mu na myśl, że obliczenie warunków szczęścia ludzkości jest czemś trudniejszem i głębszem niż proste wyliczenie parowych maszyn i telegrafów? W każdym razie poważni myśliciele i fachowi socyolodzy różnie a coraz częściej pesymistycznie oceniają społeczne rezultaty tych materyalnych zdobyczy. My swoją drogą, ze względu na kierującą światem Opatrzność, chętnie wierzymy, że i te materyalne ulepszenia przeznaczone są do przymnożenia dobra i szczęścia mieszkańców ziemi. Ale sądzimy oraz, że to szczęście zależy przedewszystkiem i daleko więcej od warunków moralnych, które nie nauka, jeno religia płodzi:

od sumienności, poszanowania prawa i władzy, czci rodziny i ojczyzny, sprawiedliwości, ofiarności, miłości bliźnich. O ile ludy w tych moralnych warunkach się podniosą, o tyle zdolnemi się staną obracać sobie na dobre materyalne cywilizacyi zdobycze; obniżenie zaś moralnych czynników aż do pewnego stopnia posunięte, może uczynić naród tak dalece do cywilizacyi niedostrojonym, że każdy materyalny postęp pomnażać tylko w nim będzie starcia, nadużycia, zbrodnie, zdziczenie, nieszczęście. Nietrudno to, jak każdy się domyśli, wytłumaczyć psychologicznie, a jeszcze łatwiej faktyczne zacytować przykłady.

Sądzi wprawdzie Berthelot, że nauka sama nietylko materyalne, lecz i moralne warunki cywilizacyi wytwarza i cnotą obdarza ludy; ale myli się ogromnie, jak wnet zobaczymy. A kiedy twierdzi, że religia żadnej wogóle korzyści ludzkości nie przysporzyła, ani nawet moralnego dobra — to już chyba nietylko się myli, lecz oczy kurczowo zamruża, by słońca nie widzieć. Kiedy jeszcze religie pełne były skaz przez ułomności ludzkie wprowadzonych i ledwo okruchy wyższych prawd zawierały, wtedy nawet najrozumniejsi z Greków i Rzymian uznawali w nich podporę moralności i społecznego porządku, mówili, że „łatwiej postawić dom w powietrzu, niż rzeczpospolitą bez religii". A od kiedy chrystyanizm rozlał na świat rzekę swych dobrodziejstw, przetworzył tak głęboko dusze, że wszystkie instytucye ludzkie odmieniły się wewnętrznie; od kiedy rzucił ludzkości ideały cnoty, ideały rodziny, społeczności, władzy, które acz nigdy się w całości nie uiściły, jednak nigdy serc i umysłów ku sobie pociągać nie przestawały, i najszlachetniejsze, o jakich wprzódy świat nie śnił, wydały postacie, najpiękniejsze instytucye, i po dziś dzień, w najbardziej ku pogaństwu staczających się krajach i warstwach nie całkiem zamarły, ale stanowią jeszcze co najlepszego jest w owych spoganiałych duszach i prawach — dziś, mówię, wobec tych dwudziestu wieków chrystyanizmu, twierdzić, że religia nic dobrego ludzkości nie przyniosła, jest to czelnością, czy ignorancyą niewidzianych rozmiarów [1].

[1] Wybieg p. Berthelota, że religie i filozofie brały empiryczne dane ze spółczesnej nauki, jest jednym dowodem więcej, że ani religii, ani filozofii

P. Berthelot śmie powołać się na świadectwo historyi i patologii umysłowej, że narody i jednostki, które przyjmują objawienie boskie za kierownika życia, pogrążone zostają nieuchronnie w moralnej, umysłowej i materyalnej ruinie. — Któreż to są narody? niech nam p. Berthelot powie, bo nic podobnego w historyi powszechnej nie znajdujemy. Widzimy w niej, że narody na zasadach chrystyanizmu ukonstytuowane żyły w pełnej czerstwości dziesiątkami wieków; i dziś spostrzegamy, że najbardziej religijne na obu półkulach nie zdają się być najsłabszemi i najbliższemi upadku. A gdzież są owe nieszczęsne jednostki, które patologia umysłowa stawia za dowód fatalnego wpływu chrześcijańskich przekonań? czy Kopernik, Kepler, Galileusz, Pascal, Liebig, Euler... wierzący chrześcijanie, są koniecznie okazami słabości umysłu? a może Wincenty a Paulo i podobni mu Święci okazami moralnego upadku? — Czy nie słusznie powiedziałem, że nie uczony, ale sekciarz przez autora przemawia?

Tak skreśliwszy ewolucyę religii, p. Berthelot przeciwstawia jej rozwój nauki. Nauka, wychodząc z obserwacyi, jest z natury rzeczy „ewolucyjna“, „postępowa“; zarzekła się „wszelkich twierdzeń absolutnych“; „reguły praktyczne, jakie nam daje, odnośnie do moralności, polityki, higieny, przemysłu, są to reguły zawsze prowizoryczne, mogące zawsze ulegać zmianom, pod wpływem ewolucyi wieków przyszłych, podobnie jak się ustawicznie odmieniały w przeszłości“.—To jasno wypowiedziane zdanie o nauce chętnie zapisujemy. Ale tem więcej dziwi nas drugie twierdzenie autora: że ta nauka jest bezwarunkowo jedynem źródłem prawdy, że wszystkie religie i filozofie tyle tylko zawierały prawdy, ile

założenia nie rozumie. One przecież ani chcą, ani mogą być odcięte od empirycznego materyału, inaczej byłyby od ziemi odcięte — tylko w inny sposób one go traktują a w inny właściwa nauka. Ta ostatnia ze zjawisk wyprowadza ich prawa i bezpośrednie przyczyny; filozofia z tejże samej podstawy, a nie z niczego, wznosi się do najogólniejszych przyczyn i stosunków wszechbytu; religia także — nawet ta, którą Bóg objawił — suponuje pewne dane, pewne pojęcia empirycznie zdobyte, i za pomocą ich uczy ludzi prawd i obowiązków, którychby człowiek na drodze doświadczenia nie doszedł ani w takiej pełni, ani z taką skutecznością.

z tejże nauki doświadczalnej czerpały. Nam się zdaje, że jest jawna sprzeczność między temi dwoma zdaniami. Drugie zdanie suponuje absolutną a nie względną znajomość istoty wiedzy ludzkiej i możliwych jej granic, absolutną a nie prowizoryczną pewność, że wszystko co nadempiryczne, czego uczą religie i filozofie, jest stanowczo fałszem. Pierwsze zaś zdanie wszelką taką znajomość i pewność z wiedzy ludzkiej wyklucza. Niema rady — jest to ta sama sprzeczność, którą wogóle sceptykom zarzucają. P. Berthelot nawet głębiej niż inni w tę sprzeczność się wrzyna, bo z jednej strony jako uczeń, a chwilowo chorąży pozytywizmu, powtarza zdania szkoły: że wszelka wiedza jest względną i t. p.; z drugiej zaś strony z natury nie jest wcale sceptykiem, lecz dogmatystą na zabój (co i wielu innym pozytywistom się zdarza), ma pasyę do konstrukcyj. Już w tem uchybia swej szkole, że „badania o początkach i końcach rzeczy“ uważa za dopuszczalne dla nauki. W czem idzie on za instynktem umysłu ludzkiego, który w obu tych kierunkach szuka absolutu; ale w nową wpada sprzeczność ze swoją teoryą o wiedzy ludzkiej, jakoby w samej sferze zjawisk zamkniętej, bo przecież jak na dłoni widocznem jest, że w tej sferze ani początku rzeczy, ani końca szukać nie można.

Tej samej skłonności autora do dogmatyzmu widzieliśmy już dużo okazów, w jego śmiałych konstrukcyach o genezie religii, o jej historyi, o istocie i rozwoju naukowej wiedzy. Ale najśmielszą a oraz najniefortunniejszą konstrukcyę jeszcze zobaczymy. P. Berthelot, na swoje nieszczęście, wjechał na końcu swego artykułu w kwestyę moralną! i to nie przypadkowo o nią zawadził, ale zaatakował ją wprost, i musiał rozumieć, że to jest punkt najważniejszy, skoro śmiał dać swemu artykułowi tytuł „Nauka i moralność“ — a to go zabiło!

Materyaliści! pozytywiści wszyscy! słuchajcie tej szczerej przestrogi: mówcie o wszystkiem innem, zwalczajcie Boga, ducha, w metafizyce, w psychologii, gdzie chcecie — tylko nie puszczajcie się na teren moralności — bo tu jesteście od razu zgubieni ludzie! ani dwóch kroków na tem polu zrobić nie możecie! — Jeżeli takim jak Mill i Spencer, którzy nad tem pół życia strawili, nie udało

się coś postawić w rodzaju moralności naukowej, to jakżeż miało się udać człowiekowi, który całe życie poświęcił chemii? Jednakowoż p. Berthelot ma przynajmniej to ułatwienie w pisaniu o tej materyi, że o niczem nie wątpi. Nakazy sumienia, twierdzi on, tłumaczą się doskonale przez ich zestawienie z instynktami towarzyskiemi zwierząt, których są dalszą ewolucyą. U dzikich ludzi moralność jest nieraz nawet niższa od tej, jaką u zwierząt spotykamy. W miarę zaś, jak cywilizacya się rozwijała, pokazywała się doświadczalnie pożyteczność pewnych sposobów postępowania, te zostały przez zwierzchników przerobione w prawa i przypisane Bóstwu, wraz z domieszką zabobonów, i z czasem odzwierciedliły się w sumieniu. — W tym poglądzie są aż dwa sposoby tłumaczenia moralności. Drugi daleko mniej się oddala od naszego chrześcijańskiego pojęcia moralności i prawa przyrodzonego, niż p. Berthelot chce i przypuszcza. I my uznajemy, że rozum ludzki, przy pomocy doświadczenia, z objektywnych stosunków wywnioskowuje swe obowiązki — które prawem natury nazywamy; w czem też możność postępu chętnie przyznajemy. Dla p. Berthelota jednak tłumaczenie to ma tę niedogodność, że jest w jaskrawej kontradykcyi z pierwszem, Darwino-Spencerowskiem. Nie spostrzegł, że pierwszy kawałek wziął z jednego autora, a drugi z drugiego, zupełnie innej szkoły. W drugiem tłumaczeniu pojęcia moralne rozwijają się w świetle pełnej i coraz większej świadomości, za pomocą doświadczenia i rozumu; w pierwszem rozwijają się one pod wpływem dziedziczności i walki o byt, podobnie jak organa w ciele, dlatego po prostu, że są gatunkowi potrzebne; i dopiero kiedy ślad ich utylitarnego pochodzenia zupełnie się w świadomości zatarł, odzywają się w nas jako popędy bezinteresowne, które dyktaminami sumienia nazywamy [1].

[1] Wobec tego Darwino-Spencerowskiego tłumaczenia sumienia na podstawie dziedziczności, zawezwałbym tych panów do zrobienia następującego doświadczenia, które powinno ten spór roztrzygnąć. Skoro są pozytywistami, to powinni być skorzy do doświadczeń. Niech wezmą małe dzieci murzyńskie, których ojcowie od niepamiętnych czasów żyli w stanie graniczącym z dzikością, i niech je wychowają razem w jednym zakładzie z europejskiemi dziećmi, których przodkowie od wielu wieków cieszyli się cywilizacyą. Jeżeli po skończonem wychowaniu pokaże się, że między po-

Ale mniejsza już o tę sprzeczność w założeniu; jest ich tu tyle! Co dużo gorsza, to, że ta mniemana „moralność naukowa“ — jak sto razy przeciw Spencerowi dowiedziono (o czem nasz autor zdaje się nie wiedzieć) — nie jest żadną moralnością. Jest ona próbą wytłumaczenia, jak powstają pojęcia moralne, więc niby psychologią tych pojęć; nie jest żadnem uzasadnieniem obowiązku działania, podług tych pojęć, nie jest więc etyką. Mówi mi: skąd się bierze we mnie głos szepczący mi: nie kradnij! ale nie mówi mi, dlaczego mam słuchać tego głosu, nie wykazuje mi, że nie mam kraść. Owszem, jeżeli dam się przekonać tej etyce naukowej, to głos sumienia, który uważałem dotychczas za coś wyższego, największej czci godnego, będę odtąd nierównie mniej cenił, skoro będę wiedział, że to nic innego nie jest, jak tylko głuche echo instynktów i doświadczeń nawpół-zwierzęcych przodków. A ile razy interes egoistyczny stanie w kolizyi z obowiązkiem moralnym, żadnej do zaparcia się egoizmu nie znajdę pobudki: ani miłości, ani bojaźni Bożej, ani szacunku dla cnoty i sumienia.

Chciałby p. Berthelot (mówi to wyraźnie), żeby ta moralność naukowa zastąpiła zupełnie starą moralność, z ideą Boga prawodawcy związaną; chciałby, żeby uczyła tych samych rzeczy co stara: „honoru, obowiązku, poświęcenia się dla cnoty, dla

---

jęciami moralnemi i kształtem sumienia jednych i drugich dzieci niema radykalnej a przynajmniej bardzo wielkiej różnicy, to będzie dowodem, że sumienie nie jest wytworem dziedziczności, ale czy natury, czy wychowania, czy czegokolwiek innego: bo jasna rzecz jest, że przynajmniej suma moralnych impulsów odziedziczona przez jedne — w przypuszczeniu takiego dziedziczenia — musi być bez porównania mniejsza od sumy tychże impulsów odziedziczonych przez drugie.

Ale nie potrzeba nawet tego kosztownego eksperymentu robić; on już jest zrobiony. W tylu zakładach misyjnych wychowują się po europejsku dzieci Murzynów, Australczyków, Patagonów. Dosyć, żeby ci panowie pofatygowali się do tych zakładów wychowawczych i dokładnie zbadali, wymierzyli i zgruntowali sumienia takich dzieci. Ja miałem przyjemność poznać bliżej księdza Sorrur, murzyna z Sudanu, kiedy przed kilkoma laty odwiedzał Kraków, i nie spostrzegłem żadnego braku ani różnicy w jego pojęciach moralnych; owszem delikatnością jego uczuć uderzony byłem. Nie wróżę więc pomyślnego dla pozytywistów wyniku z przedłożonego im doświadczenia.

ojczyzny, miłości ludzi, solidarności". — Ba! to piękne życzenie — które dowodzi *notabene*, że i u tych panów jest *anima naturaliter christiana* — ale dlaczegóż, pytam, etyka naukowa, z obserwacyi wysnuta, ma tych obowiązków uczyć raczej niż przeciwnych? P. Berthelot każe swej etyce uczyć miłości ojczyzny, bo przypuszcza (nigdzie tego nie dowodzi), że z rezultatów nauki pozytywnej wypływa obowiązek miłowania ojczyzny — ale socyaliści sądzą, że z tejże nauki pozytywnej wynika przeciwnie negacya patryotyzmu; kto z nich ma racyę? socyaliści są w każdym razie więcej specyalistami w tej gałęzi wiedzy niż chemik. P. Berthelot sądzi, że z rezultatów nauki wynikają obowiązki cnoty, miłości ludzi i t. p. — ale wolno nam sądzić, że wręcz przeciwne wypływają z niej praktyczne wnioski i że to wszystko co nazywamy dziś cnotą, prawością człowieka, jest według nauki zdrożnem i niedorzecznem. Czy niema ludzi oddających się naukom, którzy takie wnioski wyciągają, opierając się na racyach równie dobrych jak Berthelota?

Co Berthelot zarzucał religiom i filozofiom: jakoby brały zdobycze nauki i ostemplowawszy je znamieniem dogmatu, podawały je jako swoje, to właśnie on sam i inni stronnicy etyki ateistycznej robią; biorą po prostu pojęcia cnót i obowiązków, jakie etyka religijna a w szczególności chrystyanizm wpoił ludzkości — i twierdzą sobie, że ich etyka naukowa właśnie tych samych pięknych rzeczy uczy — a jeszcze ani jednego dowodu na to nie dali, ani spróbowali dowieść, że podobne obowiązki z nauki pozytywnej wynikają. Nawet zewnętrznej cechy Chrystyanizmu tym pojęciom nie odebrali, bo sami ciągle mówią o ś w i ę t o ś c i tych obowiązków, o w z n i o s ł o ś c i moralnego zadania — co w ich systemie żadnego sensu nie przedstawia. To wszystko jest tylko tryumfem etyki chrześcijańskiej, bo dowodem, jak ona głęboko i w duszach swych wrogów utkwiła.

Przyprzyjmy p. Berthelota jeszcze trochę więcej. Każe nam iść po naukę moralną do nauk doświadczalnych czyli pozytywnych; — pytam: do którejże w szczególności nauki lub gałęzi nauki mamy się z tem udawać? Przypuszczam, że nie do chemii ani do fizyki, jeszcze mniej do matematyki. Nie wysta-

wiam sobie, cobyśmy z nich mieli wydedukować o honorze i cnocie. Więc chyba do nauk biologicznych, do fizyologii, do zoologii. Berthelot nawet wyraźnie nam poleca „zestawiać nasze pojęcia moralne z instynktami zwierząt". Tu już widzę możliwość przyrównań i wniosków praktycznych; ale pytam szczerze: co za wnioski praktyczne, życiowe z rezultatów tych nauk — największą zachowując objektywność — wyciągnąć możemy? Może to, że jedzenie i mnożenie się są jedynemi zadaniami życia — może to, że w powszechnej walce o byt wszelkie środki są dobre, które dają zwycięstwo — albo też, że wyginięcie słabszych w tej walce jest w interesie gatunku — może jeszcze co innego w tym guście? Wielu takie morały stąd wyciągnęło — i nie dziwić im się, jeżeli moralność nie ma mieć innych podstaw. — Darmo! moralność, to nie naśladowanie zwierząt, ale przeciwnie oddalanie od zwierzęcości; to nie uleganie niższym instynktom i popędom naszym, ale wręcz przeciwnie, to poskramianie tych popędów i poddawanie ich pod jarzmo rozumu, którego zwierzęta nie mają. O tyle jesteśmy ludźmi, o ile zwierzętami nie jesteśmy. Normę więc naszego postępowania brać mamy, nie z nauk, które obserwują zwierzęta, nie z nauk, które funkcye naszego ciała badają, nie z nauk wogóle, które mówią tylko co jest, ale z jakiejś nauki, która mówi co być powinno i dlaczego być powinno. A takiej nauki, prócz starej etyki, nie znaleziono jeszcze [1].

Co jeszcze zostaje z naukowej etyki Berthelota? Wykazaliśmy dostatecznie, sądzę, że z rezultatów nauk pozytywnych żadnych wogóle prawideł moralności wyprowadzić nie można; wykazaliśmy poprzednio, że choćby jakie prawidła w ten spo-

[1] Szczególny ale nie bardzo szczęśliwy miał pomysł Brunetière w artykule, o którym wyżej wspomniałem: *Moralité de la doctrine évolutive.* Chcąc użyć przeciw nieprzyjacielowi własnej jego broni (wyraźnie ten zamiar wypowiada), jął wywodzić wnioski wysoce moralne z teoryi Darwina. Łatwo jednak spostrzedz, że te wnioski nie wypływają u niego właściwie z darwinizmu, ale poddawane mu są przez etykę chrześcijańską przeciwko wnioskom, jakieby z tej teoryi wyciągnąć można. Właściwie mówiąc, nauka przyrodnicza ani moralnych ani niemoralnych wniosków nie zawiera; zasady moralne, człowieka obowiązujące, skądinąd się biorą.

sób wyprowadzono, toby one żadnej mocy obowiązującej nie miały; na zakończenie dodamy, że choćbyśmy to wszystko Berthelotowi podarowali, jeszczeby zostawał jeden punkt zasadniczy, któryby całą jego etykę czynił niemożliwą. Berthelot dowodzi, dajmy na to, naukowo, że z rezultatów dzisiejszej nauki wypływają obowiązki cnoty, poświęcenia — zostaje kwestya: czy te rezultaty dzisiejszej nauki, będą jeszcze prawdziwe jutro? Wszak on nam powiedział, że w nauce niema żadnego rezultatu absolutnego, że wszystko jest względne i zmienne; powiedział nawet wyraźnie, że same p r a w i d ł a m o r a l n o ś c i, jakie nauka nam daje, są prowizoryczne i zmianom w ciągu wieków podległe. — Otóż, pytam, kto z nas mógłby uznawać w sumieniu swojem za moralnie dobre lub złe to, coby uważał tylko za prowizorycznie takie? kto mógłby poświęcić się dla ojczyzny, dla cnoty, gdyby sądził, że wkrótce może się wykazać niegodziwość miłości ojczyzny i podłość cnoty? Czyż nie jest, pytam, oczywistą rzeczą, że moralność musi być absolutnie prawdziwą, jeżeli ma być moralnością — że wartość moralnego dobra, cnoty, powinności, musi absolutnie przewyższać wszelkie inne dobro, musi być nadewszystko, jeżeli cenienie go ma być moralne? „Moralność prawdziwa, zdrowa — mówi przez Brunetièra przywiedziony Edmund Scherer — potrzebuje absolutu, aspiruje do czegoś transcendentnego, nie znajduje punktu oparcia, jak tylko w Bogu. Sumienie, podobnie jak serce, wymaga tego co poza światem. Obowiązek jest niczem, jeżeli nie jest wzniosłym *(sublime)* i życie jest igraszką, jeżeli nie ma odnośni wiecznych".

Największe zaślepienie nieszczęsnego Berthelota występuje w tem, że od książek podnosząc oczy na świat rzeczywisty, nie widzi, co się obecnie dzieje we Francyi, w Europie, i śmie twierdzić, jakby urągając oczywistości, że nauka ateistycznej etyki już zbawiennie wpływa, że ideą solidarności ludzkiej korzystnie zastępuje miłosierdzie chrześcijańskie, „które tę ideę dotąd paraliżowało" (!) i wogóle poziom moralności w społe-

czeństwie podnosi. — Zamyka on oczy na straszliwe cyfry, któremi statystyka zapisuje coraz prędsze wzrastanie zbrodni, mianowicie tam, gdzie rządy i nauki są najbardziej sekularyzowane. Zatyka on uszy na jęki i narzekania, wychodzące ze wszystkich szpitalów paryskich, gdzie miłosierdzie chrześcijańskie zastąpiono dobroczynnością bezbożną. Nie chce wiedzieć, co się dzieje po tych szkołach, z których krzyże wyrzucono, po tych liceach ateistycznych, na które co dopiero szkaradny proces Robina, dyrektora szkoły Cempuis, pożarowe rzucił światło. Nie obserwuje moralnego poziomu ludności robotniczej, który o ile się podwyższa w nielicznych fabrykach po chrześcijańsku prowadzonych, o tyle w bezwyznaniowych już niższy jest od *Germinala!* Nic z tego nie widzi i nie słyszy — a to wszystko jest strasznem, nie spekulatywnem lecz życiowem potępieniem jego doktryn — i twierdzi uporczywie, że moralność się podnosi... I jeszcze mu nie dosyć na tem. Zawadza mu jeszcze, iż moralne wychowanie szczątki chrystyanizmu dotąd zawiera; przyklaskuje on w imieniu nauki, zaciekłości francuskich radykałów, szkoły z religii puryfikujących; jeszcze więcej tego oczyszczenia wymaga. By uczyć moralności, każe „podawać fakta przez naukę pozytywną zdobyte, jako pewniki, i pozwalać, by na ich podstawie każdy konstruował sobie hipotezy dowolnie“ — więc zapewne i ojczyznę i honor i cnotę i obowiązek wszelki zostawić dowolnym szkolnej dziatwy hipotezom, bo to wszystko kwestye sporom naukowym podległe i nie dające się do faktów zdobytych w sposób konieczny nawiązać.

Epilogiem tych wywodów Berthelota nic innego być nie mogło, tylko apoteoza nauki ateistycznej. Zacząwszy swoją rzecz od zarzucenia Brunetièrowi fałszu, jakoby nauka jakiekolwiek obietnice złotych czasów czyniła, kończy on uroczystem tychże obietnic w imieniu nauki powtórzeniem. Już widzimy — mówi — że naukowo zdobyte prawidła przemysłu mnożą bogactwo i dobrobyt, prawidła higieny przydłużają życie, wątpić więc nie można, że tak samo zdobyte prawidła moralności umoralniają ludzkość (skoro to ostatnie się nie udaje, widać że moralność jest innej esencyi niż bogactwo i zdrowie). „Do tego właśnie dążymy i to

przeprowadzimy — są to końcowe słowa Berthelota — zarówno w sferze moralnej jak i w materyalnej, mimo wszelkich opozycyj; tym sposobem powszechny tryumf nauki doprowadzi do zapewnienia ludziom największego, jakie być może, szczęścia i umoralnienia".

Z żalem widzi się takie zaślepienie u starca, który poświęcił życie poważnym nad przyrodą badaniom; z żalem głębokim widzi się wielkie imię w nauce, posługujące sekciarskim robotom. Ale żalić się nie można, żeby świat dzisiejszy na kwestyę religijną był obojętny. Zobojętnienie było tylko przejściowe, a mija coraz więcej. Sam ton, gniewnie krzykliwy, tego wystąpienia Berthelota i innych wystąpień we Francyi przeciw Brunetièrowi, w Anglii przeciw Balfourowi, pokazuje, że duch ateizmu czuje się boleśnie zranionym, i poza Brunetièrami i Balfourami widzi szeroką falę chrystyanizmu wracającą.

Ks. Maryan Morawski.

PRZEZ CHINY I MONGOLIĘ.

Listy z podróży.

(Dokończenie).

Wśród mongolskich stepów, od 3 do 6 sierpnia 1889.

Piątek, 3 sierpnia. Wczoraj wśród stepu, w Toile i Chute, widziałem dwie znaczne „komirnie“ — tak mój Mongoł nazywa klasztory tutejszych bonzów, czyli lamów. Pierwsza stawiana jest przez któregoś z cesarzy chińskich lat temu 200; styl zwykły chińskich zabudowań publicznych, ale z cegły i kamienia, wśród puszczy. Zważywszy oddalenie, z jakiego materyały te musiano tu sprowadzać, bez dróg, można śmiało powiedzieć, że budowa ta, wcale okazała, może się mierzyć z piramidami, jako suma niesłychanej ilości mrówczej pracy ludzkiej. Koło niej kilkanaście namiotów; druga podobna. Między obiema, na przestrzeni kilkunastu kilometrów, obeliski niesymetrycznie po stepie rozrzucone. Podobne obeliski stoją wkoło świątyń w Syamie; chowają w swem łonie zwykle relikwie Buddy. Nic dziwnego, wszak i tu i tam buddyzm z Tybetu przybył.

Drzew owych — *limowina* — dziś około 20 sztuk wśród puszczy widziałem. Stadko antylop, innych jak pierwsze, ciemnożółtawe o czarnym pręgu przez plecy, pustynników dwa stadka; kraj równy jak stół. W dali, hen na zachodzie, z wieczora wielkie góry widoczne — jakie? pojęcia dziś nie mam. Przy zachodzie słońca znowu widok cudowny. W dali jedzie Mongoł na wielbłądzie w czerwonym, purpurowym, szerokim, pysznie się

fałdującym płaszczu (czerwono wielu się ubiera), wśród żółtawo-zielonej puszczy; za nim, w głębi, skały różowo-ceglaste — nad nim strop niebios lazurowy; co za obraz, co za gra kolorów! Lamowie, czyli mnisi buddyjscy, w namiocie obok brzęczą jak ul, odprawiając pacierze wieczorne, i ślicznie mi akompaniują do dumki, którą ów Mongoł kiwając się na wielbłądzie nucił w oddali. — Pięknie i poważnie się tu ubierają: głowy i twarze jak zawsze golone, śliczne opończe ciemno-bronzowe, a po wierzchu togi wiśniowo-czerwone, pięknie wkoło bioder i ramion zarzucone; a że cera, od słońca spalona, najpiękniejszą bronzową patyną pokryta, więc doprawdy nieraz jak posągi bronzowe z piedestału zeszłe wyglądają.

Ujechaliśmy wczoraj 120, 80, 90 i 60 li, razem 350 li, czyli 120 do 130 wiorst; konie nadzwyczajne. Widziałem po raz pierwszy t. zw. *Fliegenfuchsen,* tj. kasztana w ciemniejsze punkta. — Dziś otucha we mnie wstępować poczyna, bo za dni 2 lub 3 w najgorszym razie mam być w Urdze. W południe znowu antylopy widzieliśmy, całe ogromne stado, około 50—60 sztuk; ale co ciekawsze, po niedalekich wzgórzach, na szalone co prawda dystansy, jakieś wielkie, zdala zupełnie biało wyglądające zwierzę, niesłychanie czujne. Próbowałem zjechać — ani weź. Postanawiam się zatrzymać choćby z dzień lub dwa, by przecie spróbować zapolować porządnie na tę dziwną zwierzynę, a to tem bardziej, że według opisu, który za pomocą mego kozaka i Chińczyka dają mi Mongoły, przychodzę do przekonania, że to chyba musi być rodzaj koziorożca. Ale rachowałem bez gospodarza. Mój kozak-Mongoł nie miał ochoty się zatrzymywać, mimo że dostał fluksyi i chodził z gębą jak harbuz. Wytłumaczył mi, że pod samą Urgą, w górach które zapewne jutro wieczorem się nam pokażą, będzie tych samych koziorożców daleko więcej i łatwiejsze do podejścia. Zważywszy, że byłem spragniony zbliżyć się o ile możności do Urgi, a przytem obawiałem się, aby mi nie zabrakło rubli srebrnych i ceglastej herbaty, zgodziłem się dalej jechać. Ale teraz już nie pozwalam głęboko zapakowywać sztućca, i jadę od południa konno, by módz do woli się zatrzymywać. Zaraz prawie za popasem południowym, konie za-

cukały nam się chwilę, gdyż ni stąd ni zowąd tuż pod nogi końskie wpadł rodzaj kangura azyatyckiego — jak się *de facto* ten rodzaj nazywa, nie pamiętam, wiem tylko, że do tej samej co kangur rodziny należy i tak samo na zadnich łapkach skacze, tylko jest 10 razy mniejszy. Tuż za tem biednem stworzonkiem pędził jak błyskawica orzeł ogromny, widocznie chcąc je schwytać. Na szczęście biedactwa, myśmy się na jego drodze znaleźli; wpadło między konie, wskutek czego orzeł musiał okrążyć, a tymczasem kangurek jak mysz schował się w ziemię. Trzeba było widzieć, z jaką bezczelnością orzeł najspokojniej jeszcze raz nas okrążył i usiadł o parę kroków. Wielką miałem ochotę wpakować mu bodaj z rewolweru kulkę — ale nie śmiałem, boć to tu święty ptak.

Miałem tego popołudnia wybornego konika, choć doprawdy niewiele większego od dużego cielęcia. Puściwszy karawanę naprzód — zostałem sam z jednym Mongołem, jakimś młodym jeszcze i wielce ugrzecznionym kawalerem, także na pysznym koniczku. Słońce już dobrze nizko stało, gdym się spostrzegł, żeśmy się bardzo daleko zostali za telegą, której wcale już widać nie było. Pytam więc na migi towarzysza jak daleko do Hotyłji, gdzie mamy nocować. Pokazuje, że jeszcze dobry kawałeczek. Trzeba więc jechać. Ruszam skrocza szybkiego; ale mój kawaler zamiast się mnie trzymać, widząc że chcę szybciej jechać, puszcza swą szkapinę co ujść może; i tak zaczynamy lecieć jak szaleni z góry i pod górę, bez pamięci. Nareszcie widać stacyę, jeszcze 1000 kroków zaledwie. Nagle spostrzegam się, że mój koń coraz krótszy się robi — uszy jego coraz mnie bliżej — patrzę, a to siodło moje kompletnie szkapce już na karku leży, ale szkapina leci jak opętana. Chwytam za grzywę, żeby zeskoczyć, bo o wstrzymaniu konia mowy niema, aż tu buch — koń się wali na kolana, a ja na coś innego. Miałem niestety w tylnej kieszeni grubą, srebrną tytonierkę i na tej tytonierce z całym impetem usiadłem. Gwałt, lament nie do opisania; wszystko w strachu największym, że mnie się coś stało. Istotnie ból był okrutny, ruszyć się wcale nie mogłem; apetyt został na ziemi; oka przez całą noc ani zmrużyć. Niezbyt to było wesołe.

Sobotu, Sajrussu. Gorąco niesłychane — parasolka moja połamana, worek kupiony w Kobe drze się, zegarek mi stanął zupełnie. Oto przyjemności podróży! Step wciąż gładszy, równiejszy. Wczoraj tydzień jak opuściłem Kałgan. Sajrussu, to siedziba t. zw. Ambani, czyli owego wyższego chińskiego wojskowego, który w tym szczerym stepie przemieszkuje w kilku z drzewa skleconych, niezbyt ponętnych domostwach. Konie ma za to prześliczne. Ledwie się mogąc ruszać, nie poszedłem go odwiedzić, ograniczam się do odfotografowania tej niezbyt ponętnej rezydencyi.

Niedziela. Jeszcze dzień, może najwyżej dwa, i będę w Urdze — Bogu chwała! Chwilowo mam dosyć tej jazdy, zwłaszcza od chwili upadku z koniem. Dziś rano oprałem obydwóch, Chińczyka z Mongołem, kijem, i to poczciwą Burdziaczką, laską z Krasiczyna, którą mam ze sobą. Tom cały napisaćby można o sposobie jedzenia i żarłoctwie Mongołów! Kości baranie tłuką jeszcze na kamieniu, żeby wyssać szpik. Jeden ze wspanialszych specymenów eleganckiego sposobu jedzenia, to mój dzisiejszy karaulny, młody chłop, który według etykiety ciągle w kapeluszu siedzi przed wejściem do jurty, choć całe piersi ma odkryte, i potężną łapą trzyma wielką kość baranią już bez mięsa, z samemi żyłami, a jeszcze potężniejszemi zębami odrywa te żyły i pochłania prawie nie gryząc! Biedny to istotnie naród; nędza w miarę zbliżania się do Urgi coraz większa, konie nawet znowu gorsze.

Poniedziałek, 6 sierpnia. Ostatnia noc przed Urgą. Pejzaż nagle się zmienia. Opuściwszy Tałabułyk, wjeżdżam w ogromną, jak stół równą dolinę, zamkniętą jednak z trzech stron górami, które w południe na horyzoncie ledwie widziałem. Szczęśliwy temperament mają te Mongoły: wesołość dziecinna, pasya do mocowania się. Na kilku przestankach uważałem, że zwykle ci co mieli mnie wieść, dawali folgę bardzo niewinnie objawiającemu się dobremu humorowi, popisując się siłą potężnych swych muszkułów; przyczem nietylko otoczenie, ale i sami walczący ciągle się uśmiechali. Nigdy u walczących, czasem bardzo długo, nie spostrzegłem cienia zawziętości lub gniewu. Jednym

z charakterystycznych rysów tych ludzi jest wielka łagodność, w przeciwieństwie do Chińczyków, zawsze raczej w złym humorze będących, zawziętych, gniewliwych i mściwych. Typ ogólnie bardzo brzydki: twarze okrągłe, nosy szerokie, ale nie przesadnie, nieco spłaszczone, policzki nieco wystające, ale nie tak znacznie jak np. u Buryatów, cera przeważnie oliwkowo-brunatna a zwłaszcza brudna. Twarzy świeżej, młodej, prócz u dzieci, jak zresztą u wielu innych ras, dużo na powietrzu i słońcu przebywających, nie widać. I to czyni tych ludzi brzydkimi, te niezliczone zmarszczki grube, mięsiste a głębokie. Za to torsy przepyszne. Między innymi uderzył mnie jeden, który dziś prowadził ranną kawalkadę, o istotnie herkulesowym torsie, po pas obnażonym, przez lewe ramię miał przerzuconą ciemno-purpurową togę bramowaną złotem, łeb ogolony a kark bawołu!

Częściej tu widzę kobiety. Wczoraj czy przedwczoraj wiozły moją telegę dwie panie konno, siedząc po męsku, w męskich kapeluszach. Odfotografowałem je. — Dziwnie się czeszą: włosy namazane tłuszczem, powiedzmy od razu łojem, tak że stanowią jedną zbitą masę, zupełnie twardą, środkiem głowy rozdział, poczem te stwardniałe włosy jak dwa skrzydła po obu stronach głowy stoją; za uszami ich końce, mniej nałojone, połączone w rodzaj warkocza podpiętego ku górze. Na owych skrzydłach i warkoczu nawleczone, bardzo piękne często, srebrne klamry rzeźbione *a jour*, zdobne koralami i kawałkami bursztynu. Podobne do tych klamer ozdoby w uszach, na szyi, na piersiach, u pasa, zakrywają formalnie samą właścicielkę — co im się, mówiąc między nami, bardzo chwali, bo właścicielki niepiękne. Na głowie wielki, czarny, filcowy, wołochaty, owalny kapelusz, troszkę przypominający czapki naszych Lisowczyków.

Pod wieczór dobiegamy coraz bliżej do gór — ślicznych, zielonych, pachnących od miryadów najśliczniejszego kwiecia; powietrze chłodniejsze, świeższe — cała konfiguracya tych gór jak i flora przypominają mi zupełnie pierwszy dzień mojej jazdy za Kałganem. I tu ten sam cudny, zielony, coraz bardziej falisty, na końcu poważnie już górzysty step.

Czem bliżej gór, uderza mnie coraz to częściej pojawiające

się o 100, 50 i mniej kroków dziwne jakieś stworzenie, które jakby wyrastało z pod ziemi, a za zbliżeniem się, pod nią się zapadało. Wielkości małego lisa, z długim puszystym włosem i ogonem, szare, buro pręgowane. Podjeżdżam jednego, drugiego, dziesiątego — niesposób dokładnie się przypatrzyć lub przyjść do strzału, nareszcie jednak jechać już trudno, tyle dziur i jam pod nogami. Mój kozak nazywa te zwierzęta „tarbagan". Po opisie szczególnego sposobu bronienia się przez atakowanie zmysłu powonienia chcącego je schwytać, domyślam się, że to muszą być tchórze, które widocznie tu mają główną swą kwaterę. Na szczęście nikt z nas nie zmusił ich do obrony, bo bylibyśmy trupem popadali, gdyby się te setki tchórzów chciały zwykłym sobie systemem bronić. — Tu, po wielu dniach, pierwszych znowu zobaczyłem ludzi idących piechotą; dotąd w całej Mongolii widziałem tylko albo siedzących lub leżących na ziemi albo na koniu — nóg używają tylko do trzymania się na koniu. — Nocleg cudowny, kraj śliczny, ale na tej znacznej wysokości chłód w nocy przejmujący; dzięki Bogu, że mam ze sobą i na sobie sławucką burkę.

Urga, 7 sierpnia.

Nareszcie Urga! W deszcz rzęsisty, po okropnie trzęsącej drodze, przyjeżdżam, po trzech stacyach od noclegu, przed rzekę, która płynie doliną, gdzie Urga leży. Od chwili już widać Urgę, niby w dolinie, otoczonej dokoła górami, stąd niezbyt wysoko wyglądającemi, istotnie jednak bardzo wysokiemi, gdyż już sama Urga leży 6000 stóp nad poziomem morza. Na południe, więc tuż nad nami, góra t. zw. święta, po mongolsku zwana: „Bóg-góra". — Jest tu jedyny, ostatni na południe i wschód las. Rąbać tu nie wolno, polować nie wolno, stąd zachował się cudem ów las; w całej Mongolii, Chinach, Japonii niema sobie podobnych. Podobno w Japonii gdzieś na północno-zachodniem wybrzeżu są jeszcze lasy, nie widziałem ich jednak. W tym lesie, jak słyszałem, przesiadywać mają lamaici, pustelne życie pro-

wadzący. Opowiadają, że są tam i żubry, może jelenie, i wszelka zwierzyna.

Na północ drugie pasmo gór, kompletnie, jak wszystkie, nagich; od wschodu i zachodu otwarta dolina, na wschód leży Majmaczin, chińska osada. Zajeżdżając ku Urdze, zdala widać, dość znaczną ilość dachów, namiotów mniejszych i większych; zdawało mi się, że to już zajechaliśmy. Mylne to jednak wyobrażenie; najpierw trzeba jeszcze przebyć ów potok, co tędy się wali wezbrany, groźny. Ja, nauczony doświadczeniem niedawnem, ani słyszeć o tem nie chcę. Wkońcu jednak, mając do 15 ludzi konno wkoło siebie, jednego pieszo przed wozem, przywiązawszy telegę mocnym sznurem do kilku jeźdźców, którym każę powiedzieć, że życiem odpowiedzą za każdą kroplę wody, która mi się do telegi dostanie — z duszą na ramieniu puszczam się w mętne nurty rozhukanego żywiołu. Szczęśliwie przejeżdżam — kilka kwadransów później nie byłbym mógł przejechać. Teraz zdawało się, że już jestem w Urdze. Jednak godzinę jeszcze jechałem ciągle kamienistą jakąś niby łąką, rzucany w sposób iście nieludzki w mym fatalnym wozie.

Urga, stolica Mongolii; na północ, więc na lewo ode mnie, widne całe grupy domów z chińskiemi, dziwnemi, zielonemi dachami; dalej ogromne namioty brzuchate ku górze, jak potężne torty, to wszystko komirnie czyli klasztory Lamów. Dalej, oddzielony od tamtych niby ulicą zwarty kompleks podobnych namiotów czyli domków, wśród których kilka złoconą blachą krytych, z ornamentami dziwnego stylu, nieco Syam przypominającego, a z Tybetu pochodzącego; dokoła ogromnej wysokości częstokół, z rodzajem wchodowej bramy tryumfalnej na chińską modłę, osobno stojącej; to mieszkanie Chutukta czyli bożka żyjącego. Nic dziwniejszego, nic bardziej azyatyckiego, dzikiego, strasznego dzikością swoją, jak myśl, jak istnienie tego „Chutuktu“, żyjącego bożyszcza. Jak jeden umrze, a umiera podobno zazwyczaj dość wcześnie, bo około lat 18 (dzisiejszy ma lat 21) tak drugiego przywozi sam wielki Lama z Tybetu. — Wiara jest u Mongołów, że dusza jego i jestestwo zawsze to samo pozo-

staje, jeno ciała zmienia. Dzisiejszy Chutukta żyje tu z matką i bratem młodszym.

Tymczasem zajeżdżamy przed jeneralny rosyjski konsulat, gdzie ma być moja kwatera; już zaraz za rzeką spotkaliśmy wysłanych naprzeciw dwóch mołojców; jen. konsul, p. Sziszmarew, stoi w progu domostwa, odpowiednio uśmiechnięty, niewysoki, w okularach, z rzadkim, czarnym wąsem, rzadszym włosem na głowie, na twarzy ślady młodości zatarte; widać człowieka co dla karyery od całego lat szeregu w półdzikich przebywa okolicach; głos miękki, cichy, mówi troszeczkę po francusku, rozumie jednak wszystko; niesłychanie mi rad, grzeczny, uprzejmy, gościnny. Za nim stoi kilku kozaków i pisarz konsulatu; z urzędników niema nikogo, wszyscy na urlopie. Dom rosyjskim stylem budowany, piętrowy, naturalnie ogromny maszt z pawilonem cesarstwa; dachy zielone. Te dachy zielone, tak iście rosyjskie, muszą być pochodzenia mongolsko-chińskiego. Wszak i dach Chutukta jest zielony, a w Chinach ludzie z pewną pozycyą socyalną w innej jak ciemno-zielonej lektyce nie mogą się pokazać.

Pierwsza rzecz jeść — ach jeść! Ledwie wyłażę na piętro, gdzie mój pokój — mój Boże! znowu pokój i łóżko prawdziwe mieć będę — całe biodro mnie szalenie boli. Pyszny, ciepły obiad nas czeka: wyborne „stołowe wino“ przed i po zupie, chleb świeży i wołowe mięso. Najadłszy się, zaczynam oddychać, wyciągam się na fotelu z lubością bezgraniczną i zaczynam naturalnie rozpytywać przedewszystkiem o bożka Chutukta.

Konsul ofiarował mu właśnie aparat fotograficzny, w zamian za co otrzymał pozwolenie odfotografowania jego mieszkań, letniego i zimowego. Młody jakiś Rosyanin uczył otoczenie Chutukty fotografować; najjaśniejszy rosyjski car darował mu katarynkę. Niestety przyjechałem o 15 dni za późno; wielkie, doroczne festyny ku czci Chutukta już skończone. Wyścigi, do których staje około 2000 koni z całej Mongolii; mocowanie się (igrzyska gladyatorów), bal maskowy, w którym cały buddyjski olimp jest przedstawiony, wszystko to już skończone! W tym roku było nieprzejrzane morze ludu z całej Mongolii. Czterech

książąt mongolskich zjeżdża regularnie na te fety; każde z księstw ma przy wyścigach swoje kolory; na wyścigi biegają konie stare, czterolatki i trzylatki; role dżokejów spełniają chłopięta od 8 do 10 lat. Wówczas można widzieć Chutuktę, który wszystkim owym uciechom przypatruje się z namiotu swego. Zresztą jest on niewidzialny, prócz co 5 dni, kiedy udziela zgromadzonemu ludowi błogosławieństwa; może się tego jeszcze doczekam. Noga tak boli, że nie zaszkodziłoby posiedzieć parę dni spokojnie.

Wieczorkiem pojechałem odwiedzić fotografa tutejszego, tj. jednego z młodych Rosyan handlujących herbatą, który fotografuje. Przez trzy godziny męczyliśmy się nad wywoływaniem moich, po większej części nieudałych, częścią potłuczonych klisz. Wracam malutką telegą konsula, ruskim zaprzęgiem; koło mnie jemszczyk ruski; konno eskortuje Buryata, pełniący funkcye dragomana przy konsulacie. Wieczór cudowny, słońce ma się ku zachodowi; księżyc, blizki pełni, już wstał od dawna, czeka niecierpliwie, aż mu słońce pozwoli popisywać się srebrnem światłem. Jedziemy między jurtami mongolskiemi; wtem mój Buryata przyskakuje z koniem ku teledze: Czy *sjátelstwo* nie pragnie słyszeć mongolskiej muzyki? — Rozumie się, że tak. Zwracaj w lewo, tam do tej jurty. — Tam siedział Mongoł, młody jeszcze, koło niego pacholę i kilkoro dzieci i stary, napół ślepy dziad. Dawaj grać — a cóż? Niech zaśpiewa jaką dumę o Czyngishanie. Mongoł z guślą w ręku spojrzał na mnie zdziwiony, że taki biały cudak coś wie o Czyngishanie; spojrzał potem po swoich, posmutniał, oczy puścił hen ku miesiącowi, znów zwrócił na nas: dumnie i hardo tym razem patrzały te oczy, wreszcie zbiegły na guślę — i jął grać.

Guśla stara, staroświecka, kwadratowa, skórą oślą obciągnięta; dwie struny z końskiego włosienia; długa szyja, a u jej końca — cóż innego mogło być ozdobą u Mongoła, jak nie koński łeb? Ciągnął Mongoł smyczkiem krzywym jak cięciwa łuku, a guśla smętny, cichy, posepny śpiew zaczęła. Mongoł jął guśli wtórować i dzieje dawne opowiadać. Śpiew guśli zmieniał się co chwilę, śpiew Mongoła zawsze ten sam; guśla rzewnie, tkliwie, chwilami płaczliwie za przeszłością tęskniąc, śpiewała. Mon-

goł hardo, gromko zaciągał, urywał; to guśla sama śpiewała, to znów Mongoł opowiadał... I tak w skupieniu słuchaliśmy wszyscy — i dzieci i dziad i bab parę, które muzyka ściągnęła, i jemszczyk i Buryata — słuchaliśmy pieśni, która cicha i rzewna płynęła w stepie budzić dawne wspomnienia, a step przypominał sobie, jak to wtedy bywało!

Dziwna rzecz, jak muzyka ta przypomniała mi kiedyś słyszane śpiewy starych guślarzy hercogowińskich. Ta sama dykcya, to samo zaciąganie, ten sam smutek, żal, tęsknota w śpiewie, te same budzą oddźwięki w duszy.

Jeszcze o Chutukcie notuję parę szczegółów, opowiedzianych mi dzisiaj przez Sziszmarewa. Nie uważają go jednak Mongoli za Boga, ale za jakiegoś szczególnie do Boga zbliżonego ducha, półboga czy świętego. Takich Chutuktów żyło rzekomo 4747 w Tybecie. Dopiero w siedmnastem stuleciu naszej ery, kiedy lud i książęta w Mongolii bałwochwalstwo (szamanizm) porzuciwszy, przyjęli lamaizm, wówczas lamowie tybetańscy przepowiedzieli po śmierci ówczesnego Chutukty, że następny raz urodzi się on nie w Tybecie, ale w Mongolii. Poczęto szukać. Tutuchu-han, pierwszy z czterech wielkich książąt mongolskich, uznany potomek Czyngishana, oświadczył, iż u niego tym razem Chutuktu ujrzał światło dzienne w postaci dzieciątka właśnie co urodzonego. Tenże Chutuktu, uznany przez wszystkich, dożył lat 70, i wpływem swoim uskutecznił poddanie się Mongolii pod berło chińskie, mimo iż większość książąt pragnęła połączenia z Rosyą (tak przynajmniej twierdzą Rosyanie). Odtąd 6-ciu następujących Chutuktów urodziło się w Mongolii. Książęta jednak poczęli się między sobą swarzyć, u kogo właściwie prawdziwy Chutuktu się rodził. Niesnaski coraz większe rozmiary przybierać poczęły, aż sprawa oparła się o Pekin. Tu sam gosudar chiński swym najwyższym rozumem rozstrzygnął, orzekając, że to wszystko fałsz. Od tej chwili Chutuktu przestał się rodzić w Mongolii — a rodzi się, wedle ukazu, napowrót w Tybecie. Zaczem po każdorazowym zgonie Chutukty, udaje się poselstwo lamów mongolskich do Tybetu, by nowego sprowadzić. Przybywszy do Tybetu, wysłannicy składają bogate dary Dalaj-Lamie i znako-

mitym klasztorom tybetańskim, oraz proszą o wyszukanie nowego Chutukta, poszcząc i trwając nieprzestannie na modlitwie. Teraz dopiero Dalaj-Lama wydaje rozkaz, aby zebrano imiona wszystkich dzieci urodzonych około czasu śmierci poprzedniego Chutukty. Skoro imiona te zbiorą, rozpoczyna się coś niby konklawe; wśród nieustannych modłów i praktyk religijnych, zebrani lamowie spisują na kartkach imiona wszystkich owych dzieci, kładą do urny i wyciągają na los szczęścia — bóstwu w tem naturalnie ciągłą interwencyę przypisując — sześćdziesiąt imion. Potem dalsze modlitwy i posty; owe 60 imion napowrót do urny wkładają, wyciągają dwanaście. Jeszcze raz modlitwy — z owych 12-tu imion wyciągają dwa. Między temi dwoma wierzą, że jest przez niebo wskazany prawdziwy Chutukta. Dwa te imiona wiozą lamowie mongolscy do Pekinu; tu wśród nabożeństw sam cesarz wybiera jedno z tych imion — i ten jest Chutuktą. Wysoki mandaryn na czele zdwojonego tym razem poselstwa lamów i książąt mongolskich jedzie do Tybetu, by nowego Chutuktę przewieźć do Urgi.

Chutuktu ma bezsprzecznie w Mongolii wpływ i znaczenie ogromne; lud uważa go za nadziemską istotę i pielgrzymuje do niego; książęta i klasy oświeceńsze uważają go za pana, za rzeczywistego władcę Mongolii; jest on tedy spójnią, punktem łączącym wszystkie plemiona. Jak zawsze, sprytnie postanowiono ze strony rosyjskiej nie zaniedbywać Chutukty, ofiarowano mu, prócz innych podarunków, aparacik fotograficzny. A że nie umiał go używać, więc podsunięto młodziuchnego fotografa, Rosyanina, który choć sam o bożym świecie ledwo wie, jednak dzięki swym znajomościom, z fotografa stał się przyjacielem Chutukty, i do owego Chutukty, którego nikt w świecie nie widuje, ma wstęp o każdej godzinie dnia, a za nim i cała idea rosyjska, która zdaje mi się polega na zjednoczeniu Mongołów, aby w danym razie ich użyć przeciw Chinom, a przynajmniej mieć pewność, że nie dadzą się przeciw Rosyi użyć. — Fotograf słowa po mongolsku nie umie, więc mu dano tłumacza, i jest on *de facto* rezydentem rosyjskim przy rzeczywistym królu mongolskim. Mongolia, po zawojowaniu przez swych władców Chin, została

z cesarstwem połączona, pierwotnie jako panujący element; dziś, kiedy po mongolskich, dostali się znowu na tron rodowici chińscy cesarze (dynastya Ming), a po nich dynastya Mandżu, z dalekiej i zaniedbanej prowincyi — niechęć do Chińczyków jest tu ogólna, trochę z pogardą pomieszana, bo czasów Kublej-hana tu nie zapomniano, zwłaszcza że cztery wielkie rody książęce wywodzą się od rozmaitych tego wielkiego wodza potomków.

Urga, 10 sierpnia.

Nader mile spędzam tu już czwarty dzień pod doprawdy gościnnym i miłym dachem mego zacnego gospodarza. Dnie schodzą szybko, bo późno wstaję a wcześnie spać chodzę, chcąc odspać tyle nocy nieprzespanych; zresztą codzień coś nowego i ciekawego się widzi.

Raz był jarmark; kupcy chińscy wylegli z Majmaczynu (tak nazywają tu chińskie osady kupieckie), wielu Buryatów z kramikami; Mongoły czystej krwi, handlem nie plamią palców. Między stosami kapeluszy damskich i męskich, formy mongolskiej, wyrobu może europejskiego, małych zwierciadełek okrągłych, gdzieś w Niemczech lub Rosyi wyrabianych a bardzo pokupnych, skór kozich i baranich, herbaty w cegiełkach, najgorszego gatunku, spotykam i produkt austryacki: jeden z nielicznych, jakie się na dalekim Wschodzie spotyka, tj. zapałki, zdaje mi się z napisem: „Zanardelli Trieste“. Zajechawszy aż tu, są one raczej przedmiotem zbytku, bo *praworny* Mongoł krzesze jeszcze ogień po dawnemu.

Innym razem zwiedzam świątynie, nader prymitywne i ubogie. Przed świątyniami i wkoło nich, w części tego niby-miasta, gdzie same komirnie i świątynie stoją, uderzają mnie szeregi długich jakby szop: dachy na palach, bez ścian. W tych szopach coś kształtem przypominającego wiatraki. Patrzę, a tu stary jakiś obywatel idzie przez taką szopę i szturka w te wiatrakowate pudła, a pudła zaczynają się około osi umieszczonej w środku kręcić. Był to bogobojny Mongoł, który w ten nowy dla mnie sposób, słał w niebo od razu całe tysiące modlitw. Każde z tych

pudeł bowiem jest wypełnione zwojami papieru, zapisanemi od góry do dołu modlitwami. Jedno obrócenie równa się odmówieniu wszystkich wewnątrz zawartych modlitw, pod warunkiem, że się wprzód złożyło odpowiednią ofiarę w odnośnej świątyni, do której te kręcące się pudła należą!

Pokazują mi z daleka rezydencyę Chutukty; wśród mnóstwa namiotów, lepiej się przypatrzywszy, spostrzegam dom murowany, dość nibyto porządny: to zimowy dwór; latem ów bożek mieszka pod samym lasem, na owej górze świętej. Aby Chutuktę zobaczyć, trzebaby jeszcze tydzień siedzieć, a to nie warto, boć go z blizka i tak nie zobaczę.

Pewnego znowu dnia, gdyśmy na balkonie konsularnym pili kawę, zjawia się cały orszak jakiegoś książęcia — nazwiska zapomniałem. W pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt koni gdzieś podąża, z kilkoma kobietami, wszystko konno. Stroje bardzo malownicze, zwłaszcza kobiet; bogate bowiem panie, prócz tego że włosy takie od łoju stwardniałe, przykryte są zupełnie złotemi i srebrnemi klamrami, tak że ich prawie nie widać — piersi także mają zawieszone, uszy obwieszone, palce opierścienione, na głowie ów kapelusz do czapki Lisowczyków podobny; na plecach zaś długie, czasem piękne szuby, bramowane bogato futrem. Szuby takie są w ciemnym zwykle kolorze, z rękawami od łokcia otwartemi i zwieszającemi się aż do ziemi, zupełnie jak naszych prababek z XVI. stulecia. Przypominają mi zwłaszcza ową Daniłowiczównę, prababkę wszystkich prawie w Koronie i Litwie, w wielkim, okrągłym, czarnym czepcu, jak turbanie.

Z Urgi do Kiachty, 13 sierpnia.

Nareszcie trochę mi się noga poprawiła. Trzeba było ruszyć.

W niedzielę, tj. 11-go rano, przed samym odjazdem z Urgi, powiadają mi, że o świcie zjawił się tu p. Jandrincew, redaktor irkuckiej gazety, wracający z naukowej wyprawy do Karakorum. Karakorum, to nekropolis dawnych hanów mongolskich i szczątki przedwiekowej ich stolicy; ale co więcej, Karakorum to dla

wielu do niedawna legenda! Wszak nie wiedziano, czy i co z tej stolicy — o której podobno Marco Polo wspomina — wogóle pozostało, gdzie ona leżała? Gdy mi więc powiedziano, że on z Karakorum wraca, jak gdyby kto do mnie strzelił! Naturalnie zostaję do wieczora, by tego najciekawszego z ludzi zobaczyć, wypytać. Mówi po francusku. Jest redaktorem jedynego wychodzącego w Irkucku pisma *Wostocznyj Wiestnik*. Pismo od czasu śmierci jego żony podupadło, żona miała energię i rozum, on sam dobry człowiek, ale nie orzeł. Deportowany z uniwersytetu moskiewskiego za zbyt głośno objawiane zapatrywania polityczne, nie stary jeszcze ale siwiuteńki; typ uczonego rosyjskiego; rosyjska koszula czerwona, pod surdutem kroju francuskiego, a na głowie helmet angielski. Wylewa wśród rozmowy mnóstwo mdłych ogólników; z rządu swego niekontent, dla Polaków i dla Europy sympatya, za wolnością tęsknota, to też w Irkucku, na redagowaniu małego pisemka musiał marnieć. Napisał książkę ciekawą jako aglomerat ogromny źródeł i dat: „Sybir jako kolonia".

Tego wszystkiego, ale rozwałkowanego strasznie, musiałem wysłuchać nim przeszedł na temat Karakorum. Był tam istotnie we trzech, ze sługą Buryatą i przewodnikiem, na trzech lichych konikach, ledwie mając co w usta wziąć. Od rządu dostał zapomogi na tę ekspedycyę 50 czy 100 rs. i z tem się puścił. I dotarł! Widział ruiny starego Karakorum: pyszne marmury, statuy, posągi, kolumnady, pałace, ulice — wszystko to wśród najdzikszego, najpustszego stepu! Wierzyć mi się uszom nie chce, ale pokazuje rysunki z grobowców jakichś, z fasad czy posągów. Biedaczysko musiał rysować, bo nie miał za co aparatu fotograficznego kupić. Więc istotnie to Karakorum istniało i istnieje, pyszne, wspaniałe, o przepychu i wysokiej cywilizacyi twórców i mieszkańców świadczące. Z Urgi 4 do 5 dni drogi. Pytam, czy nie myśli tam jeszcze powrócić? Owszem, ale nie zaraz. W Kiachcie lub Irkucku się mamy zobaczyć, omówić szczegóły ponownej wyprawy, boć on głodem zmuszony, zawcześnie musiał wrócić. A więc jazda.

Z Urgi do Kiachty krajobraz podobny do poprzednich. Droga straszna! — pięć godzin do pierwszej stacyi; minąwszy ją, dopiero

wydostajemy się na właściwy karawanowy, wielki trakt Pekin-Kiachta, który dotąd leżał na północny wschód od nas; myśmy jechali krótszą drogą, ale i tu miejscami droga straszna. Pochyłości niesłychane, telega się tak chyli, iż nieraz przekonany jestem, że leżeć muszę. Stąd humorek się psuje, co odczuwa głowa nieszczęsnego mojego kozaka-Buryaty, który aż do Kiachty ma mię dostawić. Teren coraz bardziej górzysty, falisty, ale i żyzniejszy. Drugiego dnia spotykam pola uprawne, przynajmniej chcące za takie uchodzić; Chińczycy-koloniści, tu wśród stepu osiedli, próbują szczęścia w uprawie ziemi. Od czasu do czasu widne też zdala na szczytach gór, zwłaszcza na północnych stokach, lasy: brzozy, sosny, gdzieniegdzie owa limowina, com ją wśród najdzikszego spotkał stepu; raz nawet przejeżdżamy przez istotny, zwarty starodrzew. Wreszcie dnia trzeciego rano wyruszam z ostatniego w Mongolii noclegu. Szkoda, że i to już minęło! Było wiele przykrych chwil, wiele trudności, niewygód; ale cóż na świecie piękniejszego, jak pożyć dni kilkanaście w stepie! Ta wolność, ta swoboda, jakże miłym i zazdrości godnym zrobiły one Mongoła? Lud biedny, po największej części w łachmanach, ale wolny na swym koniu jak ptak, swobodny, to też wesół, śpiewa, śmieje się, wiecznie żarty, dowcipy. Czy o 4-tej rano wyjeżdżałem, czy w żar południowy, zawsze miałem przed oczyma uśmiechnięte twarze. A nader poczciwy to lud, zwłaszcza w głębi stepów; jedyna zbrodnia, której się dopuszcza, i to rzadko, to kradzież koni; pytałem o to w Urdze; inne zbrodnie nie zdarzają się nigdy; karą za kradzież konia jest *kango*, tj. deska z dziurą na głowę i ręce; kiedy większa kradzież, to nogi w podobną deskę zakuwają. Widziałem po Urdze spacerujących z taką deską na karku; ale co ciekawsze, to że widziałem takiego zakutego jak spał twardo z głową w tył zwieszoną jakby odciętą.

Jakaż to noc była wczoraj na pożegnanie! Co za księżyc, co za gwiazdy — cisza! Niestety na zawsze to wszystko minęło, istnie jak sen! Wczoraj wieczorem, dobrze po zachodzie, wyglądam z namiotu; pełnia cudowna zaprasza, by ją podziwiać; porządnie chłodno, wdziewam więc burkę, wysuwam się cichutko

z jurty, by nie zwrócić uwagi którego z nazbyt usłużnych Mongołów; siadam przed jurtą marzyć, dumać, podziwiać. Lecz cóż? Mongolia to kraj, gdzie mając białą na twarzy skórę i będąc „figurą“, nigdy się nie może być sam na sam. Nawet w chwilach kiedy najbardziej się tej samotności z natury rzeczy potrzebuje, jeżeli nie człowiek, to przynajmniej pies jakiś pilnuje cię, by go za to zasłużona nagroda nie ominęła. Psy bowiem tutaj jak w Stambule zastępują śmieciarzy. Więc i teraz nie mija pięć minut, już trzech Mongołów, nocnych mego namiotu wartowników, siedzi koło mnie, i myśląc zapewne, że ta ekscelencya barbarzyńska chyba zwaryowała, wytrzeszcza sześcioro oczu prosto mnie w nos, śledząc i komentując półgłosem każdy mój ruch, każde moje spojrzenie. Wściec się doprawdy!

Ostatniego dnia, tj. dziś rano, przyjeżdżamy przed rzeczkę nie szeroką, ale nader głęboką. Przewóz przez tę rzeczkę najprymitywniejszy, jaki dotąd widziałem: dwa ogromne pnie do połowy wydrążone, kilku deskami do kupy zbite; na to wtaczają moją telegę, tak że koła aż po osie w wodzie zanurzone, i za pomocą drągów przepływamy przez rzekę. Smutne jednak myśli ogarnęły mną na ten widok. Tędy idzie od lat dziesiątek czy setek handel herbaciany do całej Rosyi, tędy płyną całe strumienie wozów i wielbłądów ładownych herbatą, która daje miliony bogaczom sybirskim — i nie zdobyto się nawet na prom uczciwy! To zdaje mi się przykład wyjaśniający, czemu Słowianie Niemcom, Anglikom nie mogą wyrównać — słowiańska gnuśność.

Krajobraz robi się na chwilę górskim zupełnie; stajemy na znacznej wysokości. Przed nami widok niezmierzony; płaszczyzna miejscami piaszczysta, dalej lasy ciemno-zielone, potem sine, góry niebieskie, wreszcie szare, nareszcie lasy i góry nikną w firmamencie. To już zabajkalski kraj — Syberya.

Paweł Sapieha.

WALKA PRZECIW SOCYALIZMOWI W NIEMCZECH.

Położenie jest groźne! Sprawa socyalna stoi na porządku dziennym w całej Europie. W wielu krajach krew już płynęła. W tych pierwszych starciach jeszcze porządek społeczny zwyciężył. Czyli jednak długo tak będzie? Czyli długo jeszcze sztandar czerwony nie wzniesie się nad głowami naszemi, nad świątyniami i domami, aby z nich wypędzić Boga i rodzinę chrześcijańską? Czy owa cywilizacya XIX. wieku, z której tyle dumni jesteśmy, nie runie pod ciosami społecznych wandalów, dla których ideałem jest społeczeństwo bez Boga i bez rodziny? Oto straszne pytania! Oto, do czego doprowadziła pycha filozofów półuczonych i racyonalistów tej epoki!

Kto dziś położy tamę poczynającej się rewolucyi socyalnej? kto uwolni społeczeństwo od tego krwawego widma? Z pewnością— jak słusznie mówi ks. Kannengieser, z którego dzieła „Katolicy niemieccy“ czerpaliśmy przeważnie daty i streszczenia w niniejszem sprawozdaniu—z pewnością nie zrobią tego ani Renan ani Virchov, ani im podobni nauczyciele ateizmu; na żandarma— mówi także — nie ma co liczyć, bo kto będzie stróżem społeczeństwa od dezercyi żandarma? Z konieczności zatem trzeba wracać do szczerego wykonywania nauki chrześcijańskiej i zamiast tworzyć państwa i popierać rządy bezwyznaniowe, wracać pod skrzydła Kościoła katolickiego, który sam jeden umie wykształcić duszę dziecka, pocieszyć strapionego człowieka, i konającemu nawet osłodzić ostatnie chwile życia.

Gdy spojrzymy uważnie na kartę geograficzną Niemiec, to uderzy nas niewątpliwie spostrzeżenie, że teorye przewrotu społecznego mają główne siedlisko w prowincyach protestanckich; wszyscy prawie przywódcy partyi socyalnej, jak Bebel, Most, Józef Dietzgen, Liebknecht, Becker i t. p. wybrani są z wielkich miast i okręgów protestanckich, a zatem z pośród racyonalistów. Że zaś wszyscy są ateistami, to publicznie wyznają. Bebel w mowie wygłoszonej w parlamencie niemieckim w r. 1881 wyraźnie powiada: „W kwestyi formy rządu jesteśmy republikanami — w stosunkach ekonomicznych socyalistami, a co do religii jesteśmy ateistami". Most toż samo powtarza: „Demokraci — powiada — wiedzą dobrze, że chwile istnienia chrześcijaństwa są policzone, i że niezadługo będziemy mogli powiedzieć księżom: załatwiajcie wasze rachunki z niebem, bo tu na ziemi panowanie wasze skończone". Dietzgen zaś (b. pastor protestancki) oświadcza: „Jedyną istotą najwyższą, w którą wierzymy, jest społeczeństwo ludzkie oświecone". Liebknecht głosi w parlamencie w r. 1890: „Socyalizm jest nową religią" — a jeden z jego stronników woła zaciekle na tem samem posiedzeniu: „Nie chcemy nieba, przeciwnie żądamy piekła ze wszystkiemi rozkoszami, które go na ziemi poprzedzają — niebo zaś z przyjemnością odstępujemy Bogu i klerykałom".

Wobec więc tylu jasnych i kategorycznych oświadczeń głównych przywódców socyalizmu, niepodobna oddawać się złudzeniu, jakoby socyalizm był tylko jakąś teoryą ekonomiczną, zmierzającą do poprawienia doli klas pracujących. Nie! socyalizm jest nową religią bez Boga i nowożytnem pogaństwem — o tyle niższem od ciemnego pogaństwa ludów dzikich, że tamci pod wstrętną formą bożków swego utworu oddawali cześć potęgom nadzmysłowym, w które wierzyli, i ich duchowej istocie — że mieli również jakieś ciemne pojęcie o nieśmiertelności duszy ludzkiej, podczas gdy ci nowożytni poganie, całą istność człowieka ograniczają jedynie do tej ziemi — a jedyny ideał dobra i piękna widzą zbiorowo w sobie, to jest w tem społeczeństwie ludzkiem przez nich rządzonem i urządzonem, które nazywają Bogiem. Groźniejszego nieprzyjaciela cywilizacya chrześcijańska jeszcze

nie miała; a jeżeli weźmiemy na uwagę, że jednocześnie w Niemczech nowoutworzone cesarstwo pod dowództwem żelaznego kanclerza zjednoczyło całą potęgę środkowej Europy dla zgnębienia katolicyzmu, że geniusz człowieka piastującego władzę i niewidziana dotąd siła organizacyi państwowej podały rękę narodowo-liberałom niemieckim, racyonalistom, panteistom, naturalistom i wszelkiego rodzaju sekciarzom z drzewa protestantyzmu spadłym, aby Kościół katolicki obalić — to zaiste musimy przyznać, że atak ten był niesłychanie groźny, i że niemal potrzeba było cudu, aby społeczeństwo niemieckie, nurtowane takiemi prądami w parlamencie i w prasie, potem w szkole, w urzędzie i w życiu, nie padło pod ciosami agitacyi socyalistycznej, która z tej rozterki pomiędzy władzą państwową a Kościołem katolickim zbierała bujne owoce.

Kto stawił temu zgubnemu działaniu stanowczy opór? kto w sejmie pruskim stworzył potężne katolickie stronnictwo Centrum? kto zmusił żelaznego kanclerza do cofnięcia oburzających wolność sumienia praw majowych? kto można powiedzieć ocalił Europę środkową od zalewu nowożytnego barbarzyństwa sekciarzy, i wyrwał socyalnej rewolucyi palącą się już pochodnię, od której zapłonęłyby wsie, fabryki i miasta? Uczynili to katolicy zjednoczeni silną organizacyą pod wodzą wiekopomnej zasługi mężów takiej miary, jak: Windthorst, Malinckrodt, Frankenstein, Reichensperger, Schorlemer-Alst — uczynili to zwłaszcza i przeważnie księża katoliccy pod wodzą swoich biskupów.

W państwie niemieckiem, gdzie ludność katolicka stanowi zaledwo $^1/_3$ część ogólnego zaludnienia, i znajduje się w wielu krajach nierównomiernie osiedloną wpośród ludności protestanckiej, zdołała ta wielka mniejszość katolicka zaprowadzić i utrzymać swoją hierarchię, zdołała przy wyborach do ciał prawodawczych i do rad miejskich przeprowadzić swych kandydatów, przeciw wszechwładnej koalicyi organów państwa i partyi liberalnej, i wkońcu zdołała położyć zaporę szerzącemu się socyalizmowi w wielkich okręgach fabrycznych przez wzorowo urządzone stowarzyszenia, przez kongregacye kościelne i wpływ dziennikarstwa katolickiego.

Zdumiewającym jest widok, ile w tym kierunku zdziałało duchowieństwo niemieckie! W Niemczech ksiądz nie jest jednostką odosobnioną, lecz żyje w społeczeństwie otoczony miłością i uszanowaniem swoich parafian, bo też nigdzie może nie zdziałał więcej dla ich dobra. W sejmach i w parlamencie niemieckim zasiada 50 księży, powołanych zaufaniem wyborców — w prasie niemieckiej ksiądz jest redaktorem niezliczonej liczby dzienników, pism perydycznych i przeglądów — na kongregacyach i w zebraniach publicznych jest mówcą pociągającym tłumy — w stowarzyszeniach rzemieślniczych, rękodzielniczych, rolniczych jest dyrektorem albo wszystkorobiącym sekretarzem, co mu bynajmniej nie przeszkadza, aby godnie pełnił swe obowiązki w kościele jako pasterz, a w potrzebie ofiarnik za sprawę świętą.

W istocie, gdy się to wszystko widzi, trudno zaprzeczyć, że ręka Opatrzności bożej kieruje światem. Wszak aż do wypowiedzenia walki kulturnej *(kulturkampf)* katolicy niemieccy nie znali swojej siły, i nikt się nie spodziewał znaleść w nich takiego oporu, takich heroicznych cnót i poświęceń, jakich dali dowody. Dumny nowożytny cezar i jego pyszny kanclerz, oparci na legalnej większości parlamentarnej, na milionie bagnetów i ogromnej piramidzie złota zabranego Francuzom, rzucili wyzwanie Kościołowi katolickiemu z szyderczem zapewnieniem, że do Kanossy nie pójdą. Wszystko użytem zostało na poparcie tego twierdzenia, i urok siły, i ponęta korrupcyi, postrach więzienia i groza materyalnej nędzy dla nieuległych woli rządu kapłanów. Duchowieństwo niemieckie podniosło rzuconą mu przez kanclerza rękawicę w pokorze chrześcijańskiej, która umie cierpliwie znosić prześladowanie, ale od wiary nie odstępuje nigdy.

Z wyjątkiem kilku renegatów, obałamuconych bardziej rozkładową filozofią protestancką i uczuciami fałszywego patryotyzmu, niż przekonanych o pożytku narodowo-niemieckiego kościoła — duchowieństwo całe jak jeden mąż stanęło przy boku swoich biskupów, aby z nimi cierpieć i walczyć. Widok ten wspaniały jedności i ofiarności katolickiego kleru poruszył do głębi serca wiernych. Owieczki okazały się godnemi swoich pasterzy. Pojawili się genialni obrońcy uciśnionej religii kato-

lickiej wśród ludzi świeckich, i wszyscy razem stawili tak silny opór samowoli i pysze żelaznego kanclerza, że ten wprawdzie nie doszedł do Kanossy — bo się umiał zatrzymać w drodze — lecz musiał przyznać w pełnem zebraniu parlamentu, „że najjaśniejszy Papież rzymski jest potężnym panem i władcą jeszcze i na tym świecie“.

Nam katolikom w państwie austryackiem, pod berłem jedną wiarę z nami wyznającego miłościwego Cesarza, nie grozi wprawdzie obecnie zamach rządowy na naszą wiarę, ale grozi nam burza socyalnej rewolucyi, nadciągającej od Zachodu, burza, której prądy zaczynają się już uczuwać i w naszym kraju. Będzie zatem rzeczą bardzo dla nas pouczającą i ważną, przypatrzyć się organizacyi katolickich związków różnego rodzaju, powstałych w Niemczech, związków, które pod sztandarem Kościoła same jedne zdołały nietylko stawić skuteczny opór uroszczeniem władzy państwowej, lecz jednocześnie powstrzymały fale dobrze już rozkrzewionego socyalizmu o tyle przynajmniej, że szalonym wytrącają miecz z ręki, i katolików niemieckich chronią od ich zgubnego wpływu. Związki te ogarniają wedle potrzeby wszystkie stany ludności, a wspólną ich cechę i praktyczną stronę działania stanowi właśnie to, iż założyciele umieli w właściwej mierze połączyć dobro materyalne ludności z celami sięgającemi wyżej — bo jak z jednej strony prawdą jest, że nie samym tylko chlebem żyje człowiek, tak z drugiej ten chleb powszedni stanowi główną troskę ziemskiego bytu, zwłaszcza dla ludzi biednych — a pomoc udzielona im w tym kierunku stanowi najwidoczniejsze dobrodziejstwo. Filantropi niemieccy dobrze to zrozumieli i z właściwą sobie praktycznością tak ułożyli statuty każdego stowarzyszenia, że chłop czy rzemieślnik chwyta naprzód korzyści materyalne, jakie na niego spływają z uczestniczenia w związku, a przez to uczestniczenie właśnie uczy się porządku, wstrzemięźliwości, karności, towarzyskości i miłości bliźniego; wykonywa praktyki religijne, używa dozwolonych rozrywek, korzysta z wykładów i odczytów, a w miarę jak umysł jego ogarnia szersze widnokręgi wiedzy i myśli, to i cała istota jego moralna ulega dobroczyn-

nemu przekształceniu, obudza się w nim pragnienie wyższego dobra, uczucie sprawiedliwości i obywatelskich obowiązków. Wdzięczny jest swoim przewodnikom za ich mozolną pracę, ma do nich słuszne i nieograniczone zaufanie, za ich wskazówką i przykładem idzie zbitym szeregiem do urny wyborczej przy każdej sposobności, i odnosi zwycięstwo dla swych przewodnich zasad nawet w takich okręgach wyborczych, gdzie stanowcza większość stoi po przeciwnej stronie, lecz jest rozdzielona lub chwiejna. Taki członek związku jest zdobyczą stanowczo wydartą wszelkim pokusom bezwyznaniowego socyalizmu, bo zdrowy rozum prostego ludu doskonale te rzeczy sądzi, gdy po jednej stronie widzi czyny i dobre skutki, a po drugiej same tylko teorye, bańki mydlane i pianę złości. — Ale aby te czyny i dobre skutki były widoczne i trwałe, niedość jest założyć związek, choćby w najlepszych celach, niedość napisać statut praktycznie obmyślany, niedość na jednorocznem ogólnem zgromadzeniu wygłosić piękną mowę i pochwalić się z osiągniętych korzyści. O! tego niedość! Owa bryła ludowa, mieszcząca w sobie złoty kruszec, potrzebuje być ciągle i pracowicie obrabianą, aby jej zewnętrzną skorupę chropowatą i zabłoconą usunąć. Do tej roboty najzdolniejszymi artystami są kapłani katolickiego Kościoła. Oni daleko mniej obarczeni troską o byt materyalny niż ludzie świeccy, daleko bliżej z ludem się stykający, daleko lepiej obznajmieni z ułomnościami człowieka — oni mogą zdziałać najwięcej. Ich też czynny udział w związkach rolniczych i rzemieślniczych niemieckich wydał największe plony. Przypatrzymy się temu bliżej, gdy weźmiemy z kolei pod uwagę najważniejsze z tych stowarzyszeń. Zaczniemy od rolniczych.

Związek chłopów westfalskich. Lichwa dokuczliwa i bezwstydna, lichwa żydowska, obarcza rolnika w Niemczech. Długi obciążające własność ziemską, według niektórych ekonomistów przenoszą, według innych dorównywają prawie 80% wartości sprzedażnej ziemi. I tak np. Jaeger twierdzi, że własność hipoteczna obciążona jest 10-cioma miliardami pożyczek — Staepel zaś stawia tę cyfrę dwa razy wyższą; oblicza, że same procenta roczne od długów hipotecznych wynoszą miliard marek.

Długi literalnie zjadają chłopa. Do tego smutnego stanu rzeczy doprowadziły rolnika wielkie podatki państwowe, gminne i szkolne, obowiązek służby wojskowej, migracya ludności wiejskiej do miast i fabryk, napływ zboża z Ameryki i Australii, a głównie lichwa.

Aby jakkolwiek temu zaradzić, baron Schorlemer-Alst, jeden z najwybitniejszych członków katolickiego Centrum, założył w czerwcu 1862 r. w Steinfurt w Westfalii małe stowarzyszenie złożone z 37 członków, którzy zobowiązali się wzajemnie sobie pomagać w sprawach swych religijnych, tudzież w interesach materyalnych i społecznych. Rząd odmówił zatwierdzenia statutów, lecz pomimo to stowarzyszenie rozkrzewiało się i rosło w cieniu. Dopiero gdy w r. 1871 ministerstwo zagroziło stowarzyszonym oddaniem ich pod dozór policyjny, jako związku politycznego, baron Schorlemer-Alst rozwiązał naraz wszystkie kółka, a w miejsce ich stworzył nowe wielkie Stowarzyszenie chłopów westfalskich z siedzibą w Monasterze (Münster), ze statutami przez rząd zatwierdzonemi, do którego zaraz z początku przystąpiło 2000 chłopów, a które liczy obecnie przeszło 30.000 członków. — Oto zarys statutów tego stowarzyszenia, na modłę którego powstało następnie 10 stowarzyszeń podobnych w całych Niemczech:

Cel i środki. Celem Związku chłopów westfalskich jest połączenie wzajemnych usiłowań wszystkich właścicieli rolników, aby podnieść swój stan rolniczy moralnie, umysłowo i materyalnie, aby wytworzyć potężną korporacyę, która byłaby w możności dać skuteczną obronę i opiekę własności ziemskiej.

Dla osiągnięcia tych celów:

a) Członkowie stowarzyszenia radzą wspólnie na swoich zebraniach nad usunięciem szkodliwych wpływów i złych nałogów, nadużyć i zbytecznych wydatków (jakie to mądre! i jak sama dyskusya tego rodzaju wpływać musi na umoralnienie członków gminy);

b) Stowarzyszenie popiera rozprzestrzenianie wiadomości, potrzebnych rolnikowi;

c) stara się usilnie o godzenie pomiędzy członkami spo-

rów w sposób pojednawczy, aby nie dopuścić do procesów, a czyni to przez urząd swych sędziów polubownych, umyślnie w tym celu wybranych;

d) zakłada instytucye publiczne specyalne dla stanu rolniczego, jak kasy kredytowe, towarzystwa ubezpieczeń i towarzystwa współpracujące *(cooperatives)*;

e) stara się przeszkodzić zadłużeniu u lichwiarzy, zbytecznemu rozdrobnieniu i sprzedaży chłopskiej własności ziemskiej.

Aby zostać członkiem stowarzyszenia, potrzeba: 1) Należeć do jednego z dwóch wyznań chrześcijańskich i ściśle wypełniać obowiązki swojej religii; 2) posiadać własność ziemską i samemu trudnić się rolnictwem; 3) być pełnoletnim i używać praw cywilnych.

f) Dzierżawcy, rządcy dóbr, jak również bracia i synowie właścicieli, pomagający mu w gospodarstwie, po których można się spodziewać pożytku dla stowarzyszenia, mogą również zostać członkami.

g) Na wniosek komitetu, ogólne zgromadzenie może zamianować członkami honorowymi towarzystwa obywateli, którzy położyli zasługi dla sprawy rolnictwa i dla własności ziemskiej.

Zarząd. Zarządem stowarzyszenia jest komitet wybieralny i odnawiany z wyborów co 3 lata. Komitet składa się z prezesa, dwóch wiceprezesów i radnych, wszystkich wybieralnych przez zgromadzenie ogólne. Obok komitetu jest komisya kontrolująca także z wyborów. Każdy członek opłaca wkładkę roczną w kwocie 1 marki.

Związek chłopski wyświadczył już klasie rolniczej wielkie usługi; przyczynił się bardzo do zmiany prawa o sukcesyach, do zmodyfikowania ustaw podatkowych, zawarł dla członków swych kartel obniżający znacznie opłatę od ubezpieczeń, założył związek współpracujący dla nabywania i dostarczania swym członkom nawozów chemicznych, nasion i narzędzi rolniczych za cenę prawie o połowę niższą od tej jaką płacili dawniej.

Za przykładem Stowarzyszenia chłopów westfalskich i na tych samych zasadach powstało wkrótce wiele stowarzyszeń

tego rodzaju. Między innemi odznacza się działalnością swego założyciela i prezesa, ks. Dasbacha, Stowarzyszenie chłopów w Trewirze. Okolica Trewiru była w szczególniejszy sposób wyzyskiwana przez lichwiarzy. Ks. Dasbach tedy zamieścił w statutach artykuł następującej treści: „Jeżeli który z członków stowarzyszenia będzie miał proces wytoczony mu przez lichwiarza, albo handlarza bydła rogatego, to komitet zarządzający po zbadaniu sprawy i po skonstatowaniu krzywdy, będzie mocen podjąć się obrony sądowej pokrzywdzonego, na koszt stowarzyszenia". Artykuł ten znalazł wielokrotne zastosowanie zwycięskie wobec sądów, i lichwiarze daleko bardziej ulękli się opieki związku, niż samego prawa o lichwie.

Ale dla zaradzenia potrzebie kapitału obrotowego dla rolnictwa, potrzeba było stworzyć instytucyę bankową. Ks. Dasbach przeto założył bank rolniczy, z kapitałem pierwiastkowym tylko 30.000 marek, który dziś posiada już przeszło milion. Bank ten kupuje dla chłopów bydło rogate, i takowe pożycza im na stajnię, lub sprzedaje na wypłatę ratami przy umiarkowanym procencie. Żyd lichwiarz robił dawniej toż samo, tylko że pożyczając krowę na paszę, zabierał całe mleko a chłopu zostawiał tylko nawóz, co mu czyniło zysku 150 do 200 marek na sztuce. Dziś biedny zagrodnik płaci tylko za tę posługę zaledwo kilkanaście marek, jako procent od kapitału, i powoli spłacając raty amortyzacyjne, staje się właścicielem krowy. Musi ją jednak zabezpieczyć od pomoru i w tym celu ks. Dasbach założył także specyalne stowarzyszenie asekuracyjne, które cieszy się dziś wielkiem powodzeniem z powodu nizkości premij. Na 6000 sztuk bydła rogatego ubezpieczonego w r. 1890, pobrano premij 36.000 marek, a wypłacono strat 26.000, płacąc tylko $^3/_4$ ceny, czyli wartości padłego bydła, według statutu. Jest i w tym rozdziale straty pewien wzgląd moralizujący, bo w ten sposób rolnik dbałością własną strzeże życia bydlęcia, a premia asekuracyjna może być nizką. To też do związku tego przystępują wszyscy rolnicy, i niech im teraz apostoł socyalizmu prawi, że ksiądz jest nieprzyjacielem społeczeństwa, to

zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, że bez guza nie wyjdzie z posiedzenia.

Stowarzyszenia rolnicze liczą obecnie przeszło 100.000 chłopów właścicieli, a przybywa ich coraz więcej. Cóż to za olbrzymia siła konserwatywna zdrowego żywiołu w silnych i uczciwych rękach! Ks. Dasbach wydaje od r. 1875 *Paulinus-Blatt* w 38.000 egzemplarzy, *Trierische Landes-Zeitung* w 3000 egzemplarzy, dalej *Rhein- und Wild-Zeitung, St. Joannes Volks-Zeitung, Metzer-Presse* i jeszcze inne pisma dla ludu, przez niego subsydyowane, które razem liczą przeszło 60.000 abonentów. Cóż to za druga siła cywilizacyjna i katolicka, i jakże tu dziwić się potem, że nawet taki żelazny kanclerz uznał za lepsze zwrócić się z drogi, która go wiodła do Kanossy, kiedy spotkał takich przeciwników!

Ale musiało być też i to społeczeństwo żywotnem, skoro dostarczyło żywiołu do takiej walki!

Kasy ludowe systemu Raiffeisena. W r. 1849 pewien filantrop, nazwiskiem Raiffeisen, założył w małym zakątku prowincyi nadreńskiej w Flammersfeld pierwszą ludową kasę oszczędności. Kas podobnych jest obecnie około 1500 w Europie, i liczą 124.000 członków. Lecz to jest mało w stosunku do ich użyteczności. Głośniejszym stał się w świecie system kas Schulze-Delitzscha, bo ten ostatni, jako fanatyczny liberał i zwolennik walki kulturnej, miał za sobą całą prasę swego stronnictwa, opiekę rządu i lóż masońskich. Porównajmy oba systemy.

Kasy ludowe Schulze-Delitzscha, są właściwie tylko bankami akcyjnemi, eskontują przeważnie weksle i dostarczają kredytu opartego na hipotekach, na poręczeniach lub zastawach; urzędnicy są płatni; zyski są dzielone między akcyonaryuszów, mała część tylko z takowych powiększa kapitał rezerwowy, który w razie rozwiązania towarzystwa przypada również do podziału akcyonaryuszom.

Różny wielce od tego jest system Raiffeisena. Tu na pierwszym planie stoi cel umoralnienia i chrześcijańskiej pomocy.

Zakładane wśród małych osad włościańskich, dla pożytku jednej a wyjątkowo tylko dla kilku co najbliższych parafij, kasy

Raiffeisena są zarazem kasami pożyczkowemi i kasami oszczędności; przyjmują wkładki i z nich udzielają pożyczek. Grupa 16-tu stowarzyszonych wystarcza do założenia kasy. Aby zostać członkiem, trzeba posiadać jakąś małą własność, dom lub kawałek pola, ale trzeba koniecznie być zamieszkałym w parafii lub jej najbliższym okręgu, aby kontrola pod względem moralności i odpowiedzialności majątkowej była łatwą. Jedna osoba nie może należeć do dwóch kas pożyczkowych. Zarząd jest bezpłatny, z wyborów ogólnego zgromadzenia, i składa się z dwóch komitetów: zarządzającego i kontrolującego. Zgromadzenie ogólne, odbywające się regularnie dwa razy w ciągu roku, oznacza wysokość kapitału, jaki wolno przyjąć do kasy, i wysokość stopy procentowej płaconej i pobieranej od pożyczek. Cały zysk otrzymany z różnicy tej stopy procentowej przenosi się do funduszu zapasowego, który nigdy nie może być dzielony pomiędzy uczestników kasy, lecz jeśli dosięgnie *maximum* statutem określonego, to może być w tej nadwyżce użyty na cele użyteczności publicznej. Wszystkie zatem powyższe urządzenia mają, jak widzimy, cechę rodzinną, patryarchalną, a cele w wysokim stopniu opiekuńcze, bo niedość wieśniakowi otworzyć kredyt, który często może być przyczyną zguby, ale jeszcze potrzeba czuwać, aby ten kredyt użyty był właściwie i pożytecznie. Otóż ten właśnie cel jest dopięty w stowarzyszeniach Raiffeisena. Pożyczający musi się wykazać przed sąsiadami, na co potrzebuje pożyczki, a ci doskonale mogą ocenić słuszność jego powodów i jego odpowiedzialność majątkową. Z tego wynika, że wkładki mają zapewnione bezpieczeństwo i chętnie wpływają do kasy, a pożyczający jest kontrolowany z oszczędności, z zasobów swoich i moralnego prowadzenia. Kasy Raiffeisena mają jeszcze tę wyższość, że zjednoczone w górze przez rozumną i silną organizacyę centralną (co właśnie Raiffeisen uskutecznił), zapewniają członkom swoim korzyści wielkich związków rolniczych, można z niemi połączyć i sądy polubowne w sprawach spornych, i wyjednywać kartele przewozowe dla płodów i zniżanie premij od ubezpieczeń przez organ centralnego związku. Jeneralny związek kas centralnych (*General-Anwaltschafts-Verband*) ma siedzibę w Neuwied,

i w r. 1889 liczył kas stowarzyszonych pod swą opieką 855, dziś jest ich przeszło 1000. Wówczas kapitał ich obrotowy wynosił rocznie 50 milionów marek, dziś ten obrót musi być znacznie większy.

Dyrekcya jeneralna dostarcza też rolnikom nawozów sztucznych po bardzo nizkiej cenie, i przy każdej trudności staje w obronie ich interesów jako potężny związek. Jest to dzieło nawskróś chrześcijańskie, nacechowane miłością bliźniego i gorliwością obywatelską. Wszelkie rachuby osobiste, czy to założycielstwa, czy kierownictwa, co do korzyści materyalnych są absolutnie wykluczone; za to jakże przemożny jest wpływ moralny na ludność wiejską.

Związki czeladzi rękodzielniczej. Stan rękodzielników pogorszył się bardzo i podupadł w bieżącem stuleciu. Dawniej posiadali oni cechy, które będąc zazwyczaj również bractwami kościelnemi, przedstawiały organizacyę dającą opiekę i ochronę czeladzi rękodzielniczej. Obyczaj surowy panował w cechach średniowiecznych; przepisy religijne były ściśle wykonywane, pod dozorem starszyzny cechowej, a każdy majster był jakoby ojcem rodziny dla swej czeladzi, odpowiedzialnym za jej moralne sprawowanie, karcącym nadużycia, i wobec urzędów zastępującym władzę ojca. Te patryarchalne stosunki zmieniły się od czasu powstania wielkich warsztatów parowych i wielkiego przemysłu fabrycznego, który zachwiał byt rękodzielników, nie mogących wytrzymać konkurencyi. Prawodawstwo także uległo zmianie. Cechy w dawnem znaczeniu zostały rozwiązane, a biedny czeladnik rękodzielniczy pozostał bez opieki, bez pewności zarobkowania, a zwłaszcza bez żadnego moralnego kierunku. Odtąd warsztat stał się często domem zgorszenia, a karczma szkołą występku. Wśród tych opłakanych stosunków Opatrzność zesłała rzemieślnikom niemieckim człowieka niezwykłej miary w osobie Adolfa Kolpinga. Kolping, urodzony z biednych rodziców, na wsi w okolicach Kolonii, miał od dzieciństwa powołanie na księdza, ale ubóstwo nie pozwoliło mu odbywać nauk przygotowawczych do tego stanu — więc został szewcem. Jako szewski terminator i czeladnik przechodził wszystkie nędze i grozy swego położenia,

ale cierpliwy, cichy, wytrwały i pracowity, przez cały dzień pracował na utrzymanie życia, a w nocy uczył się dla własnego pożytku, i przygotował się tak dobrze, że mając lat 28, mógł wstąpić do seminaryum i rozpocząć studya teologiczne. W pięć lat później został wyświęcony na kapłana i przeznaczony na wikaryusza w mieście Elberfeld, bardzo przemysłowem i fabrycznem w okolicach nadreńskich. Tu rozpoczął swe prace apostolskie, tu również dojrzało w nim postanowienie, aby poświęcić wszystkie siły i zdolności dla czeladzi rękodzielniczej, której dolę nieszczęśliwą dobrze rozumiał, bo ją przechodził. Niebawem przeniesiony na wikaryusza przy katedrze w Kolonii, tam założył pierwszy Związek czeladzi *(Gesellen-Verein)* w r. 1852. Statuty tego związku, ułożone przez ks. Kolpinga, najlepiej nas poznajomią z jego celami. Oto dosłowny wyjątek z tych statutów:

„Członek związku ma być chrześcijaninem, a zatem gorliwie wypełniać swe obowiązki religijne; powinien jawnie wyznawać i praktykować swoją wiarę. Potrzebujesz pomocy religii w życiu i w godzinie śmierci, a co prawda, to więcej ci potrzeba odwagi aby gardzić religią, niż aby jej przepisy wykonywać. Powinieneś święcić niedziele i święta, bo tak chce prawo boże, a najlepszem wyznawaniem wiary jest pełnienie bożych przykazań. Powinieneś uczęszczać na nabożeństwa związkowe, abyś i siebie uświęcał i dobry przykład dawał. Karczma daje ci tylko sposobność do tracenia zdrowia i pieniędzy; związek zaś zapewnia ci same tylko pożytki. Wszyscy członkowie związku powinni stanowić jakby jedną rodzinę, a każdy z osobna powinien dbać o dobro wspólne i honor tej rodziny".

W takim duchu napisany jest cały statut, i dzięki kierunkowi ks. Kolpinga, statut ten wydał owoce ponad wszelkie oczekiwania, bo wytworzył znaczny zastęp wzorowych rzemieślników. W lokalu związku młody rzemieślnik (bo do związku przyjmowani są tylko bezżenni), po całodziennej pracy odpoczywa wieczorem i tu znajduje chwile rozrywki, ma towarzystwo kolegów, gry towarzyskie z wyjątkiem kart, ma czytelnię i bezpłatne wykłady, lekcye rachunkowości i rysunków. W czasie uroczystości związkowych, członkowie, którzy okazują do tego

zdolności, dają przedstawienia teatralne. W niedzielę wszyscy razem słuchają Mszy św. i kilka razy do roku przystępują do Sakramentów śś.

Dzieło ks. Kolpinga obudziło tak szerokie uznanie we wszystkich sferach, że dary i składki posypały się zewsząd. Przy ich pomocy wybudował naprzód w Kolonii wielki dom związkowy, a następnie takież dwa domy w Düsseldorfie, jeden dla członków miejscowych, a drugi dla czeladników wędrujących. Później zaś za jego staraniem powstały takież domy czeladzi w Akwizgranie, w Essen, w Ureffeld i w wielu innych miastach. W roku 1853 było już takich związków przeszło 300, a w r. 1864 niezmordowany ks. Kolping zwołał ogólne zgromadzenie wszystkich prezesów związków do Würtzburga, i tam ułożono zasady dla scentralizowania związków, a co najciekawsze i bardzo pouczające dla nas, dla scentralizowania pod hierarchią kościelną. Na czele każdego związku stoi ksiądz, prezes wybrany przez wydział związku, a zatwierdzony przez biskupa. Ten jest ojcem duchownym związku miejscowego, a podlega kierunkowi prezesa związków w dyecezyi, tj. jednego na całą dyecezyę, który z kolei podlega zwierzchnictwu prezesa krajowego. Nareszcie ponad wszystkiemi związkami stoi zarząd centralny związków i prezes tego zarządu w Kolonii.

Czeladnik, który chce przystąpić do związku, odbywa tymczasowy nowicyat próby przez 3 miesiące, zanim zostanie członkiem, poczem otrzymuje kartę członka, za którą, gdziekolwiekby podróżował, potrzebuje zgłosić się tylko do prezesa miejscowego związku, a zaraz zostaje otoczony opieką, otrzyma tanie wyżywienie, tanią kwaterę i pracę swego zawodu, za rekomendacyą związku. Wchodząc pod dach związkowy, wita swych nowych towarzyszy formułą: „Błogosław Boże uczciwemu rzemiosłu“, ci zaś mu odpowiadają: „Błogosław Boże“.

Przy tak dotykalnych korzyściach nie dziw, że należenie do związku stało się bardzo poszukiwanem, i dziś stanowi już rodzaj odznaczenia, na które trzeba zasłużyć.

Ks. Kolping doczekał się przed śmiercią owocu trudów swoich. Związki jego rozeszły się po wszystkich krajach. W r. 1850

założył dla nich pismo peryodyczne *Rheinische Volksblätter*, i od pierwszego roku zyskał zaraz 6000 prenumeratorów. Umarł 4 grudnia 1865 r., otoczony ogólną czcią i uznaniem. Po jego śmierci, dzieło ks. Kolpinga rozwinęło się tak znacznie, że obecnie liczy 80.000 stowarzyszonych czeladników, a przeszło 400.000 ich przeszło przez szkołę związków. — Na wzór związków czeladzi ks. Kolpinga, założono też kółka dla terminatorów *(Lehrlings-Vereine)* i stowarzyszenia majstrów. Te ostatnie liczą dziś około 40.000 członków. Jest to najpewniejszy wał ochronny przeciwko socyalizmowi. Na czele tych stowarzyszeń stoi dziś mgr. Schäffer, prezydent jeneralny Stowarzyszenia rzemieślników i dawny współpracownik ks. Kolpinga. Dzisiejszy kardynał Gruscha, książę arcybiskup wiedeński, był także jednym z pierwszych współpracowników ks. Kolpinga.

Związki robotników fabrycznych. Przystępujemy do najważniejszej sprawy, od której rozstrzygnięcia zależy pokój świata, zachowanie pomników przeszłości i nabytków cywilizacyi. Klasa robotników fabrycznych jest najliczniejszą. Szereguje ona miliony ludzi różnego wieku, pracujących w warsztatach parowych, w przemyśle wszelkiego rodzaju, w hutach, kuźnicach, kolejach żelaznych i w kopalniach. Te całe masy ludności opuściły rolę i rękodzieła, któremi się trudnili ich przodkowie, spokojni i wytrwali pracownicy chrześcijańscy, pod kierunkiem Kościoła, pod tarczą cechów i kongregacyj średniowiecznych. Duch nowy powiał w przemyśle od czasu wynalezienia pary, duch nowy powiał w ludności od czasu rewolucyi francuskiej.

Te dwa wielkie wypadki dziejowe, prawie sobie współczesne, wywarły wpływ stanowczy na wszelkie stosunki życiowe, a szczególnie w przemyśle. Wyrabiać dużo a tanio, stało się hasłem fabrykanta; używać robotników jak pracujące maszyny, bez troski o ich obyczaje, o ich potrzeby moralne, o ich dusze, ceniąc tylko zręczność i siłę. Wszyscy oni zerwali z tradycyą — tak chlebodawca szukający tylko dróg szybkiego zbogacenia się, jak i robotnik często wyzyskiwany, pozbawiony zasad moralności i światła wiary, patrzący z łakomstwem dzikiego zwierza na dostatki nagle zbogaconego mieszczanina i jego bezgraniczną pychę.

Jakżeby szatan nie miał z takiego stanu rzeczy skorzystać? Apostołowie jego podszeptują ludowi: „Zechciej, a to wszystko jest twoje, policz się i stań w szeregu, a żadna siła nie zdoła cię zwyciężyć!“ W istocie, ziemia zatrzęsła się w posadach pod stopami tego wpółdzikiego olbrzyma, który się nazywa stanem czwartym, a staje do walki uzbrojony we wszystkie wynalazki nowożytne, aby nieść pożogę i śmierć, aby gruzami zasypać miasta. Woła słowami swoich przywódców: „ja nie chcę nieba, lecz pragnę piekła, ze wszystkiemi rozkoszami, jakie je na ziemi poprzedzają“. Wylękły właściciel fabryk, wychowaniec filozofii pozytywnej, nie jest sam dobrze przekonany, czy naprawdę istnieje niebo, ale czuje dreszcze rewolucyi socyalnej i w trwodze ogląda się, skądby znaleść ratunek. Ratunek przychodzi z Watykanu. Wielki papież Leon XIII. wskazał, gdzie go szukać należy. W kilka miesięcy po ogłoszeniu encykliki papieskiej *Humanum genus*, ks. Hitze postawił na kongresie katolickim w Ambergu wniosek jednogłośnie przyjęty: „Trzydzieste pierwsze ogólne zgromadzenie katolików zaleca tworzenie związków dla rzemieślników i robotników fabrycznych, jako najpewniejszy środek do zwalczenia prądów bezbożnych, szerzących zepsucie w tej klasie ludu“. Niebawem też przystąpiono do organizacyi związków. Ks. Hitze wypracował statut, którego główne zasady oparte są na nauce i moralności chrześcijańskiej, i na tworzeniu kongregacyj kościelnych w łonie związku. Oddał też cały zarząd związków pod opiekę Kościoła. Na czele każdego związku stoi kapłan, delegowany przez właściwą władzę duchowną. U boku jego urzędują dwa komitety: jeden komitet zawiadowczy, a drugi komitet opiekuńczy, złożony z członków honorowych i dobrodziejów. Prasa antykatolicka i socyalistyczna zaczęła na wyścigi prześladować dzieło ks. Hitzego, miotając nań szyderstwa i potwarze. Szydzono mianowicie z zasady tworzenia kongregacyj kościelnych w łonie związku. Tymczasem środek ten okazał się zarówno praktycznym jak skutecznym. W istocie, aby młodzież przynęcić, tworzono związki. Tu rzemieślnik znajdował odpoczynek po pracy, towarzystwo sobie odpowiednie, gry i zabawy towarzyskie, wykłady pouczające i opiekę ojcowską przełożonych,

ale to wszystko, jakkolwiek bardzo już korzystnie wpływające, nie wystarczało jeszcze do wywarcia gruntowniejszego wpływu. Trzeba było koniecznie sięgnąć głębiej w istotę ludzką i opanować duszę. Owoż tego celu dopięły kongregacye pobożne, zawiązane w gronie uczestników związku. Kościół katolicki, który już tyle dzikich ludów oświecił, tyle wad wykorzenił i tyle cnoty nauczył, posiada w skarbnicy swego doświadczenia nieomylne sposoby owładnięcia duszy człowieka. Bez wpływu Kościoła, bez kierunku i czynngo udziału duchowieństwa, wszelkie stowarzyszenia świeckie tego rodzaju, mające wpływać na masy ludu, pozostaną nieledwie zawsze płodem martwym. To winniśmy dobrze zapamiętać. Jedynie apostolstwo Chrystusowe, jedynie poświęcenie całego życia takiej pracy, i czuwanie i troska i miłość bliźniego z źródła wiary naszej płynąca, mogą takiemu dziełu zapewnić powodzenie. Dlatego główną zasługą ks. Hitzego było to, że od razu całe to dzieło swoje oparł na hierarchii Kościoła, oddał pod opiekę parafii i episkopatu niemieckiego. Wszędzie księża, idąc za powagą biskupów, zajęli się gorąco tą sprawą, wyjednywali dla niej dobrodziejów, zachęcali do ofiar z ambony. W Mülhuzie np., dzięki tej ofiarności publicznej powstał dom bardzo wygodny, umyślnie zbudowany dla związku, kosztem 10.000 fr., w którego wielkiej sali może się odbyć zgromadzenie 1200 członków. Obecnie po 15 latach istnienia związek ten liczy 900 członków. Aby zaś przyjemnie i pożytecznie zatrudnić tak wielką liczbę ludzi, dyrektor podzielił ich na 6 oddziałów: oddział muzykantów złożony z 90 do 100 uczniów, teatralny złożony z 30 aktorów, śpiewu z 50, gimnastyki z 40, roboczy z 45 i t. p. Oddział roboczy trudni się utrzymaniem porządku, a w czasie uroczystości sprzedażą piwa i przekąsek. Oddział patronów związku składa się z 25 jednostek wyborowych, a zadaniem jego jest przestrzeganie moralności i szerzenie dobrego wpływu we wszystkich sekcyach. Prócz tego stanowi on rodzaj konferencyi św. Wincentego á Paulo, odwiedza członków chorych i udziela wsparcia potrzebującym z funduszów związku pod kierunkiem ks. prezesa. Z tych wszystkich sekcyj, pod wpływem moralnym księży, formuje się kongregacya kościelna, stanowiąca właściwą spójnię i istotę duchową związku.

Obchodzi ona trzy święta uroczyste w roku, i wówczas od 400 do 500 uczestników przystępuje do Komunii św. Napływ publiczności bywa ogromny i te dnie są jakoby świętem w całem mieście. Każdy bezstronny przyzna, że ile dusz należy do związku, tyle ich jest wyrwanych z sideł rewolucyi socyalnej.

Staraniem ks. Hitzego, powstały także osobne związki samoistne dla rzemieślników starszych, z podobną organizacyą. Związki te wyświadczyły partyi katolickiej w Niemczech wielkie usługi przy wyborach, za ich bowiem pomocą katolicy odnosili zwycięstwa nawet w tych miejscowościach, w których partya narodowo-liberałów i socyalistów była silniejszą. Tyle zdziałać może jedność duchowa i wyborna organizacya.

Związki i schroniska dla kobiet. Szkoły gospodyń. Wśród tak wielostronnej działalności, nie zapomniano także o kobietach, o pracownicach fabrycznych. Dola dziewcząt-robotnic była i jest jeszcze dotąd w wielu fabrykach stokroć godniejszą politowania od doli chłopców. Te biedne istoty bezbronne, przyjmowane bywają do fabryk za lichą płacę, wyczerpującą ich siły, a wystarczającą ledwo na wyżywienie. O zapłaceniu noclegu niema mowy, więc na wspólnym strychu z chłopcami nocują na wańtuchach wełny, a właściciel nie troszczy się wcale o to, co się w nocy z robotnicami dzieje, byle rano stanęły do warsztatu na głos dzwonka. I z takiej to szkoły zepsucia wyrasta późniejsza żona, najczęściej kochanka rzemieślnika i matka jego dzieci. Czyliż dziwić się można, że rasa karłowacieje fizycznie a moralnie staje się zupełnie dziką, i płodzi takie furye piekielne jak owe petrolesy, które zapalały Paryż w czasach komuny?

Katolicy niemieccy zwrócili też swoje usiłowania w tę stronę, a za radą, przykładem i przy pomocy duchowieństwa powstały w licznych miastach fabrycznych przytułki, szkoły i stowarzyszenia dla robotnic. Najpierwszy taki przytułek powstał w Gladbach, pod Monachium, i przy założeniu liczył tylko 7 pensyonarek w r. 1866, w kilka lat później miał ich już 75, a w r. 1889, 104. Jest pod zarządem wzorowego kapłana ks. Liessena i był pod opieką zakonnic do czasu ich rozpędzenia. Robotnice otrzymują tu pomieszkanie, wyżywienie i opranie za

45 cent. dziennie, przychodzące tylko na obiad płacą naszych 15 centów. Miło jest patrzyć na te wesołe twarze, na tę przyzwoitość obejścia, na tę uprzejmość wzajemną, jaką zachowują pomiędzy sobą, tak że w istocie zwiedzającemu zdaje się, że odwiedza jedną liczną chrześcijańską rodzinę. Jakież to wielkie dobrodziejstwo, i jak zbawiennych skutków z niego oczekiwać należy! Schronisko w Akwizgranie dla 600 robotnic, utrzymuje je jeszcze taniej.

Kończąc to krótkie sprawozdanie o walce społeczeństwa przeciw socyalizmowi w Niemczech, wspomnieć jeszcze należy o towarzystwie zwanem *Arbeiterwohl*, założonem w r. 1880 także przez ks. Hitzego, a składającem się z fachowych ekonomistów, techników i literatów, dla studyowania kwestyi socyalnej, dla udzielania praktycznych rad i wskazówek przy zakładaniu związków, przy urządzaniu fabryk pod względem zdrowotności dla robotników. Wszystkie te kwestye, jak również obrona praw robotnika, kwestye wytępiania pijaństwa i złych nałogów, traktowane są gruntownie i przystępnie w organie towarzystwa, zwanym *Arbeiterwohl*. Wielu jest ludzi pomiędzy właścicielami fabryk, którzyby z chęcią gotowi byli ponieść nawet znaczne ofiary pieniężne dla sprawy postępu w tym kierunku, ale nie wiedzą jak się do tego zabrać. Owoż towarzystwo *Arbeiterwohl*, udziela im w tym względzie nieocenionych wskazówek. Towarzystwo trudni się również wydawnictwem broszur i publikacyj popularnych dla ludu. Jeden np. z redaktorów *Arbeiterwohl*, ks. Liessen, napisał trzy małe książeczki, pod tytułami: „Szczęście domowe“ dla żon robotników, „Przewodnik do szczęścia domowego“ dla młodych dziewcząt i „Korona szczęścia domowego“ dla matek. Ks. Henne wydał cztery „Bussole“ dla rzemieślników, ks. Loisson wydał broszurę p. t. „Sznaps“, i t. p.

Jeżeli teraz streścimy te wszystkie dzieła rozumnego miłosierdzia, mądrego przewidywania, wytrwałości i obywatelskiej cnoty, jakich Niemcy, a zwłaszcza księża i katolicy niemieccy złożyli dowody, to musimy im przyznać wielką, nadzwyczajną żywotność. Żaden pojedyńczy filantrop, żaden choćby najbardziej poświęcony dla sprawy ludu kapłan, sam jeden nie mógłby

tego dokonać. Tu potrzeba było poparcia zbiorowego, sił i funduszów zbiorowych, całych zastępów obywateli kraju i wszystkich klas oświeconych.

U nas też dzięki Bogu nie brakuje filantropów pojedyńczych, nie brakuje nawet ofiarności zbiorowej w chwili zapału i podniecenia duchowego, ale jakże nam jeszcze daleko do owego solidarnego poczucia wspólnego interesu lub ogólnej potrzeby kraju!

Każda sprawa nasza kuleje na tem, że klasy majątkowo średnie nie biorą w niej udziału bardzo licznego. Czy chodzi o prenumeratę pisma, czy o zasiłek stowarzyszenia, czy o oświatę ludową, brakuje drobnych kwotek, z których powstają krocie. Jeszcze też niebezpieczeństwo rewolucyi socyalnej wydaje się nam zbyt dalekiem, a marota liberalizmu z posiewu rewolucyi francuskiej jeszcze nęci wiele umysłów. Lecz powinniśmy pamiętać i wziąć tę rzecz zupełnie na seryo, że dzisiejszy socyalizm pogański nie jest żadną teoryą ekonomiczną, choć się w ten płaszcz ubiera, ale jest nową religią, bez Boga i bez rodziny.

A. Lasocki.

Z LISTÓW SYBIRSKIEGO MISYONARZA.

(Ciąg dalszy).

„*22 maja.* W nocy z 18-go zostawiliśmy Irtysz po lewej ręce, a wjechaliśmy w tak zwany kanał, który skraca drogę do Obi. Dopiero 20 maja rano znaleźliśmy się na Obie, przed którą Niemen wydałby się strumieniem, bo często na trzy wiorsty szerokie zajmuje łożysko. Mimo to trzyma się polityki zaborczej: podmywa brzegi i porywa ogromne bryły ziemi z drzewami i rybackiemi domkami, które w starości opuszczone od swoich mieszkańców, z powolnością poddają się groźnemu nieprzyjacielowi. Mimo to, żeśmy się znacznie posunęli ku wschodnio-południowej stronie, zimno dokucza i dziś jeszcze śnieg widzieliśmy; za to piękne mamy noce, a raczej nie mamy, bo jeszcze światlej niż w czerwcowych petersburskich nocach. Osady rzadkie; czasem dzień cały żadnej nie widzisz, albo widzisz pustą chatkę — mieszkańcy puścili się na przemysł. Dziś przybyliśmy pod miasto powiatowe Surgut; widać cerkiew i do ośmdziesięciu chat drewnianych. W tych okolicach żyją Ostiaki po lasach, koczujące wiodą życie. Są i osiadli w Surgucie. Między tymi, co nam woły przyprowadzili, był jeden *grámotny*, bo jest szkółka w mieście; szkoda, że mu nie powiedziano, kto to był przybity do krzyża; powinienby wiedzieć, jako *kreszczony*. Nic tu nie zasiewają zboża, żywią się rybą i ptactwem, a chleb za pomienione artykuły kupują. Tu jest zesłanych czterech czy pięciu Litwinów. Okropne

wygnanie, gdzie dla zimna rolnictwa niema! Mijamy Surgut wieczorem, choć do przystani ranośmy przybyli, bo tu stacya dla nabrania zapasu żywności i drzewa.

„*23 maja.* Papier pożyczony i atrament kończy się, a jeszcześmy w połowie drogi. Siedm dni upłynęło mniej tęsknie, jak dwa, z Tiumenia do Tobolska. Wprawdzie toż samo życie leżące na narach, tenże widok upadłego człowieczeństwa, co tę ma niższość od zwierząt, że nadużywa rozumu i mowy; nawet kółko Żmudzinów zmalało — zostali w Tobolsku inni, między nimi szanowna rodzina B...; mimo to wszystko, nie nudzę się. Z Tobolska weszło nieco religijnego elementu na barżę, kilka rodzin z dziatkami, a wiadomo, że w rodzinie zawsze więcej religijności, niż w młodych i starych kawalerach; dwaj kapłani, z którymi już się niejako kolegium formuje, jeden ksiądz R..., drugi z Wołynia, gorliwy kapłan, który zaprowadził wspólne ranne i wieczorne modlitwy. Zdawało się niepodobieństwem w takim chaosie, a choćby dwaj prawi zgromadzili się w imię Chrystusa, to już nie stracone. Jakoż dni kilka szło jak z kamienia, nietylko modlitwy, lecz i Najświętsza Ofiara niewielu miała hołdowników. Ale Bóg wstrząsł nas do żywego i połączył u stóp licho ubranego ołtarzyka, używając za narzędzie — ktoby się mógł domyśleć — więźnia cywilnego, może jakiego łotra. W następnym liście opowiem, tymczasem dziękuję wszystkim, co się modlą za biednych wygnańców. Powrót do kraju niech będzie na ostatniem miejscu, ale ożywienie wiary i pobożności niech będzie przedmiotem najgorętszych próśb, bo co kraj wygra, jeżeli umarli na duszy powrócim, lub co straci w istocie, jeżeli dusze nasze zbawimy! Wolimy doczesną ojczyznę stracić niż wieczną.

„*25 maja.* Wszystko to, o czem wzmiankowałem, dostatecznie tłumaczy, dlaczego skądinąd monotonne życie na barży upływa dość przyjemnie. Tej monotonii zewnątrz nie przerywają jednostajnej wielkości krzaki, jeszcze nie zieleniejące się dla zimna, które nam dokucza, mianowicie z rana, a wiatr północny wciąż je powiększa, przypominając niewczesną stratę burnusa. Płaszczyzna bez najmniejszych pagórków. Od Surguta częściej się spotyka pałace Ostiaków-rybaków, podobne do gołębników bez

okien i dachu, a tylko chrustem przykryte. Są to letnie mieszkania, do których przybywają na czas rybołówstwa. Dziwnie mizernie wyglądają ci pierwotni obywatele Syberyi, którzy na mocy przyrodzonego prawa mogą uważać siebie za jedynych panów tych stron, a nas za najeźdźców. Łachmanami przykryci, z odkrytą głową, bez bielizny, patrzą na nas z brzegu, lub siadłszy do łódki z trochą ryby, gonią za nami prosząc o chleb za rybę. Czasem i bez żadnego towaru płyną do statku, spodziewając się jałmużnę otrzymać. Wczoraj o 11-tej godzinie wieczorem dwie Ostiaczki, dzieci od lat 13, kopały się w łódce, usiłując dobić do barży, podczas gdy chłopczyk biegł brzegiem. Trzy razy fala odrzucała łódkę na stronę, ale nie zniechęcone niepowodzeniem, nareszcie zbliżyły się i uchwyciły rzucony powróz, by się oprzeć falom. Widok ich nędzy był wymowniejszy nad prośbę ustną, zaczęto rzucać do łódki chleb, i odjechały uszczęśliwione. Czemuż nie wolno karmić tych biednych chlebem nauki Chrystusowej! Nic słodszego nad obowiązek łamania takiego chleba malutkim. Do najmilszych chwil życia mojego na barży zaliczam te godziny, kiedy dziatwa od 7 do 10 lat otacza dokoła i słucha Historyi św. Zaciekawiona zapowiedzianą piękną, cudowną powieścią, drapie się po drabince na nary i siadają wkoło. To się radują z pięknej sukienki Józefa, to smucą się z jego niedoli i rozczulają się gdy zostaje poznanym od braci. Oburza ich morderstwo Kainowe, oburza postępek Absalona, ale jakże szczęśliwe, że małemu Dawidowi udało się pokonać Goliata, Judycie uciąć głowę Holofernesa, a Esterze ocalić lud od rzezi. Dziwna własność Pisma św., zdaje się, że ono dla więźniów i wygnańców pisane wyłącznie. To wyjątkowe położenie zdaje się ułatwiać pojęcie dzieciom, wielu miejsc nie tyle na swobodzie zrozumiałych. Dziecko tu w 7-iu latach dobrze rozumie, jakie położenie było Józefa na wygnaniu, mianowicie w więzieniu, gdzie został, jak widać, starostą, przechodził kamery, sprawdzając czy są wszyscy (u nas powierka). Historya Tobiasza przedstawia wzór prawdziwego wygnańca, miłośnika współbraci. A Daniel i troje pacholąt, co to za szczytne wzory wytrwałości w wierze św. wśród obcej ziemi. Szkoda, że

podróż prędko się skończy. Chciałoby się dłużej z tą dziatwą mieszkać, a rozłączymy się w Tomsku.

„Ponieważ dostałem atramentu i papieru, opowiem, jak nas więzień cywilny, nie wiem za co na dwanaście lat do ciężkich robót skazany, nawrócił. Zbliżała się uroczystość Św. Trójcy, i jeden z nas miał stosowne mieć przemówienie. Kaznodzieja przede mszą wychodzi na pokład i spotyka się z więźniem katolikiem, zdaje się z lubelskiej gubernii, który zaczyna rozprawiać o nieprzyzwoitem zachowaniu się wobec Najśw. Ofiary. Mówił z taką żywą wiarą i niezmyślonem oburzeniem, że kapłan uczuł większą żarliwość ducha. Udzielił mu Bóg niezwykłego zapału, energii i odwagi do wypowiedzenia prawdy z całą otwartością, i wykazania, żeśmy się odrodzili od swoich przodków, których cześć ku Najśw. Sakramentowi tak była wielka. Wszyscy uczuli zbawienne wstrząśnienie, wiara łzami się zalała, przyznała się do winy i postanowiła uczynkiem dowieść swej wiary. Od tej chwili wszyscy zgromadzamy się codziennie na Mszę św., modlimy się przykładnie, odmawiamy wspólnie modlitwy poranne i wieczorne, śpiewamy Litanię do N. Panny i inne pobożne pienia. Lekko jakoś na sercu, gdy przynajmniej otwartej zniewagi rzeczy świętych nie widzimy. Co do mowy, o to się skarżyć nie można, nikt z zasadami niereligijnemi nie występuje. Oby to nie pochodziło z indyferentyzmu! Najtrudniej było podziałać na cywilnych więźniów, aby publiczną uczciwość i skromność zachowano. Wiele się nad tem bolało, a z morałami nie wypadało występować, chyba bardzo ostrożnie. Każde energiczniejsze wystąpienie w tym względzie wywoływało takie oburzenie, że miano mnie do rzeki wrzucić. Jakoż w takich razach zmykałem nieznacznie do swojej kajuty i po uspokojeniu się dopiero namiętności pokazywałem się jako groźny żandarm. Moim współbraciom w podobnych okolicznościach zalecam gorącą modlitwę i wielką roztropność, by wyjść zwycięsko; szczególniejszej Boskiej łaski potrzeba w walce z ludźmi innego wyznania. Chwała Bogu, nasi piękny przedstawiali kontrast w zewnętrznem postępowaniu i byli przykładem dla biednych cywilnych więźniów. Ale ponieważ więcej po nas

Bóg wymagać będzie, za mało być zewnętrznie przyzwoitym. O żywszą wiarę błagajmy Boga!

„*28 maja.* Uroczystość Bożego Ciała spędziliśmy pod wsią Aleksandrówką, z pięciu chałup i cerkwi złożoną. Dla odświeżenia ducha musieliśmy się przenosić myślą do stron rodzinnych i wyobrażać pogodę piękną, strojne przyrodzenie, zdobne kwiatami ołtarze i wspaniałą procesyę — bo u nas wszystko było w kontraście, pogoda brzydka, śnieg padał z deszczem, powietrze zimne, martwe przyrodzenie, żadnych ozdób, ani miluchnych brzezinek nie było; mimo to odbyliśmy nabożeństwo, a na pociechę bardzo bolesną prawdę przypomniał kaznodzieja. Mówmy każdy do siebie: pewnie nie umiałem obchodzić godnie świetnych uroczystości w kraju, ubliżałem im przez nieuszanowanie św. obrzędów Kościoła, nie korzystałem z nich należycie, dlatego Bóg wygnał mnie w strony, gdzie nie mogę mieć udziału w powszechnym tryumfie Kościoła z powodu uroczystości dzisiejszej. Wieczorem uczułem dreszcz, co mi zwiastował katar gorączkowy; wzięcie na poty i dobre okrycie się uprzedziło zło, i nazajutrz, choć jeszcze leżąc, mogłem kurs katechizmu dalej prowadzić. Starsze dzieci nie przyszłyby przez wzgląd na chorobę, ale zaszła nagląca okoliczność: z wieczora starsze otrzymały premia w medalikach i krzyżykach: młodsze od lat 3 do 5 nie miały. Powstała wrzawa i płacz, ale się uczyniło nadzieję, że może ich to szczęście spotkać, skoro przyjdą na lekcyę. Nagliły natychmiast, ale odłożono na dzień drugi, i widzieć trzeba było ich niecierpliwość, gdy natychmiast skoro wstały przyjść nie mogły, aż dopiero pod wieczór. Słuchały uważnie, choć zaraz na wstępie otrzymały medaliki, i dało tego dowód trzechletnie dziecko, bo po lekcyi zwraca się do mnie i wszczyna następną rozmowę: A gdzie jest Pan Jezus Chrystus? — Wysoko, wysoko w niebie. — A co On tam robi? — Z dziećmi się bawi; On i tu przyjdzie jutro, tam do tego kątka, jak ksiądz będzie tam się modlił. — A jak On przez wodę przyjdzie? — Przyleci jak ptak, bo P. Jezus nie tonie w wodzie. — Jakoż nazajutrz chodziło między modlącemi się, patrząc czy nie zobaczy P. Jezusa, prawiąc, że tu przyleci jak ptak.

„Wczoraj dla burzy nie mogliśmy płynąć — płynie się nudnie, bo krokiem spacerowym, ale nudniej stać na miejscu. Dziś mamy pogodę i już w kożuchu znośnie jakoś.

„Mamy dziś 30 maja. Powietrze łagodniejsze, krzaki zielenieją i liście już drzewa zdobią, i grom słyszeć się daje. Jeszcze sto mil przed nami. Odzienie na mnie zdarło się jak na Gabaonitach i na porządnego łachudrę wyglądam, a paka z garderobą i biblioteką w Niżnim do przesłania oddana, nie wiem kiedy mnie doścignie.

„*1 czerwca.* Przybyliśmy do Naryma, niegdyś powiatowego miasta. Oblane ze wszech stron wodą, a z jednej lasem opasane, wygląda jak forteca nieprzystępna, albo więzienie, zamiast murem, wodą obwarowane. Niewiele nad tysiąc musi mieć mieszkańców. Tu siedzi 30 naszych wygnańców i dwóch kapłanów z Kalwaryi, M. i nasz dziekan W... Postarzał, wyniszczał do niepoznania, ani żołdu od rządu, ani Mszy św. dotąd nie miał. Niedawno był gubernator i obiecał pierwsze załatwić, a dobrzy ludzie drugie. Pokrzepił się starzec, ze swych stron ludzi ujrzawszy. Okropne tu wygnanie, a trzeba się przygotować, bo Narym w tomskiej gubernii. Że mam nadzieję zostać w Tomsku, opieram się na protekcyi tobolskiej, ale zwodne bywają nadzieje...

„*2 czerwca.* Pierwszy dzień mamy ciepły w całem znaczeniu. Flora syberyjska wita nas z całym swym strojem, a składa się z krzaków zielonych, takiejże murawy i liścia na drzewie też zielonego. Łatwoby się nauczyć botaniki, gdyby się wszędzie taką prostotą natura odznaczała. Już się lasy z jodły, cedru i brzozy napotykają, śpiew ptactwa dolatuje ucha, komary z takiemże jak w rodzinnej stronie żądłem: wszystko to zwiastuje nam południowe życie i serce pokrzepia. Co do mnie, uczułem się prawie zupełnie szczęśliwym. Nic mi nie dolega, zdrów jestem. Kasza smaczna i kwas przyjemny. Dziękuję Bogu, że nie mam wykwintnego smaku.

„*3 czerwca.* Dziś kąpiel mamy urządzoną. Bardzo pożądany to środek higieniczny dla ochrony od jestestw, które przez delikatność nazwę jednosylabowemi. Wierna towarzyszka wię-

żniów niezbyt kryje się przed okiem ludzkiem, to też najczęściej pada ofiarą zawziętości ludzkiej.

„*6 czerwca.* Obiecywali nam 16 dni drogi, a już 21 dni dzisiaj i dopiero jutro koło południa staniemy na miejscu. Serce się raduje, że po 4 miesiącach ujrzy przecie kres podróży. Kończę list z dzisiejszą datą, bo chcę go odesłać przez wracającego sternika barży. Muszę coś powiedzieć o barży: jest to budynek 30 sążni długi ze stosowną szerokością; na powierzchni lokuje się osada i zapasy żywności, wewnątrz więźniowie w trzech wielkich salonach: jeden dla nas wspólny i dwa dla cywilnych, mężczyzn i kobiet osobno. Krzyżowania, podtrzymujące nary, są jedyną dekoracyą; niepospolita wrzawa z rozmowy kilkuset osób, płacz dzieci, kwilenie i pisk niemowląt, stuk, huk na pokładzie, wszystko to nadaje barży fizyognomię małego czyśca, który z cierpliwością wytrzymany, wybornie wyręczyć może od pośmiertnych płomieni. W czasie obiadu wrzawa się zwiększa, a gdy kłótnia wybuchnie, nieco na piekiełko zakrawa. Chwała Bogu, niewieleśmy się kłócili, a pięknie było każdego dnia podczas nabożeństwa, gdy się wszystko uciszało, nawet niemowlęta zdawały się mniej krzykliwemi. Śpiewy religijne łączyły nas w jedno i pokrzepiały ducha: ten, co najniechętniej przerwał zabawę, ręczę że był kontent z pół godziny poświęconej modlitwie.

„Do widzenia się! Żegnam was wszystkich. Obu biskupom całowałem kilka dni temu ręce we śnie, nim to na jawie uczynię".

I znów przerwa w listowaniu sybirskiem, łatwo wytłumaczona i niepewnością poczt kresowych, i bodaj więcej jeszcze faktem, iż ten, do którego przeważnie owe listy były pisane, sam niebawem narażony na prześladowanie, na długie lata więzienia i policyjnego nadzoru, oczywiście nie mógł strzedz jak należy swych skarbów archiwalnych, może zmuszony sam je niszczyć lub z takowych ograbiony przy nieuniknionych w podobnych razach rewizyach... Dość, że coraz luźniejsze urywki wtajemniczać nas będą w dalsze losy ks. Dawidowicza. Oto list pisany już z miejsca pierwotnego zesłania, kędy jakiś czas pozostać musiał:

„*Wniebowzięcie N. Panny, 1866 r.*

„Oto już upływa drugi miesiąc mego pobytu w Kuźniecku, a dotąd jeszcze nie otrzymałem z kraju ani jednego listu. Pochodzi to prawdopodobnie stąd, że polska korespondencya nadzwyczaj powoli przechodzi przez cenzurę, gdyż z powodu znacznej ilości listów leżą tam one nieraz po kilka miesięcy. Pragnąc uniknąć tej zwłoki, postanowiłem pisywać po rosyjsku, gdyż w takim razie list tu na miejscu zostaje przeczytany i odesłany natychmiast podług adresu. Dzięki temu będziemy mogli w przeciągu dwóch miesięcy porozumieć się nawzajem, gdy przeciwnie polska korespondencya wymagałaby pół roku czasu. Jeden tylko muszę postawić warunek: oto odpowiadając mi po rosyjsku, włóż do listu choćby jednego rubla, gdyż tylko listy z pieniędzmi bywają tu otwierane, jeżeli zaś nie zawierają pieniędzy, to zostają odesłane do cenzury i wówczas trzeba czekać na nie ruski miesiąc.

„W życiu mojem nowy rozpoczął się okres, który z pewną emfazą opisać zamierzam. Jeżeli ciekawy podróżny zapragnie dotrzeć do tej okolicy, lub też wygnaniec prześladowany przez los znajdzie się w Kuźniecku i przechadzając się po mieście, dojdzie do dzielnicy zwanej przedmieściem, to po prawej stronie za mostem uderzy wzrok jego drugi z rzędu dom drewniany. Wszedłszy tam, po prawej stronie sieni spostrzeże duży pokój, po lewej zaś izbę dla czeladzi z podłogą z desek podług sybirskiego zwyczaju. Naprzeciw mieści się śpiżarnia, za nią zaś obora i dość rozległy ogród. Wszystko to nabyłem na własność za sumę, zgadnij jaką? Nie, nie zgadniesz, chyba ja sam ci powiem: oto za $47^1/_2$ rubli. *Risum teneatis amici.*

„Bądź co bądź, myśl o podobnem kupnie nie przyszłaby mi do głowy, gdyby jej nie nasunęła następująca okoliczność. Jeszcze wyjeżdżając z Błażewiczami z parafii bejsagolskiej, uczułem duchową potrzebę życia z taką rodziną, pełną gorącej wiary i wrodzonej nam pobożności. Rodzina ta wynagradzała mi w pewnej części stratę najbliższych mi osób, gdyż uniosła ze sobą sporą dozę ojczystej atmosfery, stanowiąc jakby żywy obraz

naszego narodu z jego obyczajami, językiem i tą szlachetnością uczuć, oraz poglądów na wszystko co ziemskie, jaką tylko wiara prawdziwa dać może. Stary B. z długiemi włosami przypominał mi nieco nieboszczyka ojca, żona zaś jego z różańcem w dłoni i ciągłą modlitwą na ustach, przypominała nieboszczkę matkę, serdecznością zaś w rozmowie, a zwłaszcza pobożnemi pieśniami wlewała mi do serca otuchę i rezygnacyę. Wreszcie starannie wychowany ich synek reprezentował najlepszą warstwę naszej młodzieży. Niejednokrotnie w moich listach wspominałem o tej rodzinie, gdyż w drodze jeszcze snuliśmy projekta wspólnego z nią życia. W Tobolsku jednak nas rozdzielono, wysyłając B. do Omska. Na ich miejsce Pan Bóg zesłał mi wkrótce drugą rodzinę. Oto podczas wiosny, spędzonej przeze mnie w Tiumeniu, przybyła tam pewna kobieta z trzema córkami od lat 4 do 10. Była to D. z tejże samej bejsagolskiej parafii, która spieszyła do męża, wysłanego kilka miesięcy przedtem w głąb tomskiej gubernii. Dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, męża jej wysłali do Kuźniecka, dokąd teraz żona jechała ze mną na jednym i tym samym wozie. Już poprzednio zauważyłem jej pobożność, gdy wraz ze mną i B. odmawiała koronkę lub śpiewała religijne pieśni. Teraz zaś byłem zachwycony jej taktem w obejściu się z dziećmi, silną wiarą, czystością serca, tudzież dziecięcą prawdziwie prostotą, nieskażoną jeszcze wcale nowożytną cywilizacyą. Z największą przyjemnością słuchałem jej opowiadań o przebytych troskach i cierpieniach, sam zaś nawzajem opowiadałem niektóre ustępy z Pisma świętego. Dzieci zbyt mało jeszcze rozwinięte, nie mogły zrozumieć tych opowiadań, ale czysta i prosta dusza matki była zachwycona historyą o św. Józefie. Poczciwa kobieta przerywała mi nieraz okrzykami: ‚Patrzajcie, co się dzieje! Oto łaska Boża!‘ — z taką naiwną prostotą, że mimowoli śmiałem się i płakałem, widząc jak chciwe serce jej pochłania prawdy zawarte w Piśmie św. Chociaż nie umie czytać, mnóstwo jednak pieśni śpiewa na pamięć, średnia zaś jej córeczka, sześcioletnia Andzia, umie już na pamięć całą prawie koronkę. Ze zdumieniem można było słuchać, gdy to dziecko przewodniczyło nam codziennie w odmawianiu tego na-

bożeństwa, a myśmy mu wtórowali. Umie też ona mnóstwo modlitw tak, że gdy na noclegach odmawiała wieczorem wszystkie swe modlitwy, wówczas obecni otaczali ją dokoła, dziwiąc się, że takie dziecko zdołało tylu rzeczy na pamięć się nauczyć. Zdumienie to zupełnie jest dla mnie zrozumiałem. Ojciec jej, chociaż szlachcic, nie umiał również czytać i dopiero w więzieniu kowieńskiem się nauczył, przedtem zaś jako człowiek ubogi zajmował się służbą i podobnie jak jego żona, zachował prawdziwie wiejską naiwność i prostotę. Niktby na pierwszy rzut oka nie odgadł w nim szlachcica, gdyż jak każdy chłop żmudzki nawet po polsku nie umie. Wódki od dawna już nie pije, posty zachowuje z największą ścisłością nietylko w piątki i soboty, ale nawet we środę każdego tygodnia, a nadto odznacza się pracowitością, oraz niezwykłym spokojem i łagodnością charakteru.

„Łatwo zrozumieć, że na wygnaniu taka rodzina to skarb. Z początku chciałem wynająć dla niej mieszkanie, ale niepodobna było znaleść takiego lokalu, w którymby mogła urządzić gospodarstwo domowe na niewielką skalę i czerpać z niego dla siebie środki utrzymania. Nadto zastanowiwszy się, że własne moje mieszkanie, stół, opał i posługa kosztowałyby przynajmniej około 100 rubli rocznie, gdy przeciwnie żyjąc na własnem gospodarstwie, potrafimy wszyscy sześcioro utrzymać się za te pieniądze, obrachowałem, że w przeciągu jednego roku kupno domu mi się opłaci. A kto wie, czy nam nie wypadnie tu przebyć dwóch lat albo i więcej? Widząc materyalną korzyść, postanowiłem nie wahając się dłużej nabyć powyższą posiadłość. Jeżeli weźmiecie w rachubę moralną stąd korzyść dla stron obu, to żaden z was z pewnością nie zgani mego postępku. A zatem *super flumina Babilonis*, czyli nad brzegami Tomy, będziemy śpiewali razem nasze pieśni, koronkę, różaniec, godzinki, lub odmawiali wspólnie żmudzkie modlitwy, przypominające rodzinną ziemię, słowem, możemy tu żyć jak w raju. I teraz już z wielkiem zadowoleniem spoglądam na szczęście tej rodziny, mającej własny swój kątek. W ostatnich czasach D. kupili już dwie krowy, kilka kur, cielę, kota, a raczej nawpół zdychające kociątko: ja zaś ze swej strony

kupiłem konika za 10 rubli i parę wieprzy, więc przy błogosławieństwie bożem niczego nam nie zabraknie. Funt chleba kosztuje tutaj mniej niż jedną kopiejkę, tak, że dość tanio można się wyżywić.

„Ale to jeszcze nie wszystko.

„Mając już bydło, musieliśmy dostarczyć mu siana, a zatem pomyśleć o łąkach. Z początku kosił tylko mój gospodarz, ja zaś z gospodynią grabiłem siano, a wreszcie i sam wziąłem kosę do ręki. Robota poszła jak z płatka, ja zaś złożyłem w niej dowody niepospolitej energii. Pragnąc jak najwięcej zyskać na czasie, spędziłem trzy noce na łąkach, i leżąc wśród wonnego siana na rozległym stepie, ciągnącym się w odległości siedmiu wiorst od miasta, pod otwartem niebem, jaśniejącem gwiazdami i srebrnym blaskiem księżyca, rozmyślałem o ubiegłych latach, w których nieraz sypiałem tak samo pod otwartem, ale już nie tem samem, bo rodzinnem niebem. Nie przypuszczałem wówczas, że znajdę się kiedyś na syberyjskim stepie. Oto leżę sobie pod azyatyckiem niebem — myślałem niekiedy — pod którem przed wiekami spoczywał patryarcha Jakub, ścigany przez swego brata. Ale on jako patryarcha wybranego narodu zasłużył na to, by nadziemskie oglądać zjawiska, ja zaś nędzny pyłek, nie mogę się spodziewać tak wielkiej łaski, któraby moje smutne rozjaśniła losy. Zamiast więc marzyć, lepiej zasnąć spokojnie pod opieką Jezusa i Maryi. Szkoda tylko, że nie mam ani odrobinki poetyckiego talentu. Inny z pewnością na mojem miejscu czułby tu bardzo wiele, a jeszcze więcej pisał, w mojej zaś wyobraźni nieokrzesana panuje proza. Przepyszna syberyjska przyroda natchnęłaby takiego naprzykład A.... do skreślenia wspaniałych obrazów, w których i ziemia ojczysta należne dla siebie znalazłaby miejsce. U mnie polot wyobraźni nie orli, lecz kurzy, i dlatego też zaledwie do następujących doszedłem rezultatów: Góry Ałtajskie, po których się przechadzam, pozwalają mi objąć wzrokiem niezmierzone obszary stepu, wyobraźnia zaś moja powiększając jeszcze ten obraz, przedstawia mi całą Europę jako wązką przestrzeń tak gęsto zaludnioną, że ludzie bądź się tłoczą jedni na drugich, bądź też sieczną i palną bronią walczą o każdy kawał wolnego

miejsca, wypierając się zeń nawzajem. Ojczyzna moja, to jakby kawał skoszonej przeze mnie łąki, a Szawle, Wilno, Kowno, Wornie, to kopy siana rozrzucone tu i ówdzie na tej przestrzeni. Każdy przyzna, że to porównanie pachnie prozą F.... Ale cóż począć, niema na to rady. Za to tem łatwiej mogę chociaż myślą rozmawiać z wami, gdyż w pamięci mojej mieścicie się wszyscy, jak trawa w stogu siana.

„Wróćmy jednak do właściwego przedmiotu mego listu. Bezpośredniem następstwem kuźniecko-mieszczańskiego życia było uniknięcie tych nudów, jakie każdemu wygnańcowi zwykły się dawać we znaki. Tak gorliwie zająłem się zbiorem siana i tak serdecznie się troszczyłem o jego powodzenie, jakem się troszczył niegdyś o pomyślny stan seminaryum, powierzonego mej opiece. Czas upływał niepostrzeżenie, stogi siana wzrastały z dniem każdym, ja zaś czułem się zupełnie zadowolony ze swego losu. Nadto odniosłem nad sobą pomimo woli tak świetne zwycięstwo, jak Prusacy pod Königgrätz. Od dzieciństwa miałem nieprzezwyciężony wstręt do wszelkiej fizycznej pracy i powołanie do stanu kapłańskiego wypływało poniekąd z przypuszczenia, iż stan ten uwolni mnie na zawsze od pracy fizycznej, której znieść nie mogę. Tymczasem teraz wypadło mi się zabrać do tego właśnie rodzaju zatrudnień. Z początku kostyum mój składał się z czapki bobrowej na głowie, butów na nogach, rękawiczek na rękach i chustki za pasem; później zaś znaczna zaszła w nim zmiana. Tylko czapka bobrowa została na głowie, stare buty się podarły, żałując zaś nowych, zacząłem boso chodzić po łąkach, rękawiczki okazały się nieodpowiedniemi do pracy, a chustka zbyteczną. Chroniczny mój katar, uczuwszy pot, lejący się ze mnie strugami, ustąpił zapewne na długo, gdyż i teraz nawet, chociaż robota się skończyła, nie śmie wcale wrócić. Wstręt do pracy fizycznej znikł niepostrzeżenie, ja zaś jakbym się odrodził i mogłem współzawodniczyć pod względem gorliwości z najlepszym robotnikiem. Po skończonych trudach odetchnąłem swobodnie, widzę jednak, że jeżelibym musiał pracować fizycznie na swe utrzymanie, to i wówczas

nawet nie doznałbym biedy. Gdzież więc jest bieda? — bo jeżeli tu o 6000 wiorst od kraju jeszcze jej nie znalazłem, to chyba wcale nie istnieje ona na świecie.

„Widzicie więc, że, podług ludowego wyrażenia, wszystko mi idzie jak po maśle. Nie troszczcie się zatem o to, co będę jadł i pił lub w co się będę przyodziewał, bo Ojciec Niebieski wie o moich potrzebach i mam nadzieję, że mi niczego nie zabraknie. Dotychczas jeszcze nie zwróciłem się do władz rządowych z prośbą o wsparcie, ponieważ, nie chcąc kłamać, nie mógłbym powiedzieć, że mi braknie środków utrzymania. Jeżeli zaś otrzymam jakie intencye mszalne, których już nie miałem od kilku miesięcy, to materyalny mój byt będzie zabezpieczony całkowicie. Dość już jednak tej gawędy o drobnostkach.

„Mimowoli doznaję wyrzutów sumienia za to, żem się wyraził ironicznie o naszej szlachcie. Żałuję też tego serdecznie i przyrzekam poprawę. Nie należy jednak sądzić, abym żywił jakąkolwiek nienawiść do tej warstwy ludności. Mój D. także jest szlachcicem, a przecież kocham go wraz z całą rodziną jak rodzonego brata. Z boleścią jednak spoglądam na naszą szlachtę zupełnie niemal zepsutą i w dumnej zarozumiałości nie uznającą nawet swojego zepsucia. Widząc jej zobojętnienie dla Boga i wiary, nikt nie uzna w niej potomstwa tych sławnych przodków, którzy słynęli z pobożności i przywiązania do Kościoła świętego. W drodze, a zwłaszcza podczas wiosny spędzonej w Tomsku, usychałem, podług wyrażenia natchnionego pieśniarza, patrząc na ciągłe przekraczanie prawa bożego. Niezgoda, niesnaski, uchybianie przeciw chrześcijańskim obowiązkom i lekkomyślność we wszystkiem, oto treść życia naszego społeczeństwa. Wprawdzie w tej mierze zdarzają się wyjątki, ale niestety bardzo rzadko. Do takich wyjątków z przyjemnością zaliczyć mogę p. K. z Wilna. Bardzo mi było przyjemnie spędzić z nim kilka dni w Tomsku w jednym i tym samym pokoju. Z błogosławieństwa, skreślonego ręką jego matki na książce do nabożeństwa, odgadłem przyczynę jego wyjątkowego usposobienia. Matka z tak żywą wiarą i tak głębokiem religijnem uczu-

ciem wpoi z pewnością w serca swych dzieci najszlachetniejsze zasady, a nawet jeżeli zbłądzą, to modlitwa takiej matki potrafi na dobrą zwrócić je drogę. Łzy Monik przebijają obłoki i sprowadzają na ziemię łaskę niebios. A czyż nasze matki nie wylewają łez po stracie swych dzieci? Owszem, wylewają, z tą jednak różnicą, że św. Monika opłakiwała nie ciało, ale duszę swojego Augustyna. Nie dlatego płakała, że ukochany jej syn wyjechał z Afryki do Europy, z Tagasty i Kartaginy do Rzymu i Medyolanu, ale dlatego, że ostygł w wierze i niemoralne wiódł życie. Któraż matka dziś płacze, dowiedziawszy się, że syn nie odbył wielkanocnej spowiedzi, nie chodzi do kościoła i o własną nie troszczy się duszę? Płaczą one, jeżeli rozstały się z synami na długo lub na całe życie, a nie zwracają uwagi na to, czy nie grozi im wieczne rozłączenie, jeżeli żyjąc nie po chrześcijańsku, umrą jak niechrześcijanie. A przecież to właśnie powinno być przedmiotem największych naszych trosk i łez.

„Może mi kto zarzuci mimowolną przesadę, i daj Boże, żeby ten zarzut istotnie był zasłużony. Ale niestety, przytoczę fakt, z którego możecie wysnuć wniosek, czy matki nasze nie powinnyby płakać nad nami.

„W Kuźniecku jest już nas przeszło 110 osób. Ponieważ władze rządowe pozwoliły nam pod pewnemi warunkami odprawiać nabożeństwo w domu prywatnym, ilość zaś nas kapłanów nie pozbawionych praw swego stanu, już aż trzech wynosi, dlatego też służba boża odbywa się w sposób nic nie pozostawiający do życzenia. Niestety, w dni świąteczne, na nabożeństwo odprawiane o godzinie 11-tej rano, przychodzi zaledwie od 10-ciu do 20-stu osób. Reszta nie myśli wcale o tem, że o kilka kroków lub sążni Bóg zstępuje na ziemię, aby pocieszyć nas w niedoli i osłodzić boleść naszego wygnania. Powiedzcie więc, gdzie ta wiara i jak okropny dowód zupełnego braku wszelkiego religijnego uczucia stanowi takie lenistwo! Dotychczas tego zrozumieć nie mogę i w każdą uroczystość dusza moja zalewa się goryczą. Żyjąc wśród naszego ludu, nie wiedziałem, że można do takiego stopnia lekceważyć przykazania Kościoła. Wiedziałem

wprawdzie, żeśmy grzeszni, alem nie wiedział, żeśmy umarli pod względem duchowym. Bracia nasi z Litwy nie ustępują w tej mierze Koroniarzom, tylko pod względem odrzucania wszelkich zasad wiary ci ostatni mają wyższość nad pierwszymi. Łatwo się domyśleć, że przy takiem usposobieniu o spowiedzi i przystąpieniu do Sakramentów śś. podczas najważniejszej kościelnej uroczystości nawet mowy być nie może. W przeciągu dwóch miesięcy trzy tylko osoby przystąpiły do stołu Pańskiego, a mianowicie znajomy już nam D. ze swoją żoną i córką. Wobec takiego stanu rzeczy łatwo zrozumiecie, jak miłem dla mnie jest wspomnienie naszego ludu, który z taką ochotą po całotygodniowych trudach przebywa kilkunastowiorstowe przestrzenie, spiesząc w niedzielę do kościoła, z taką gorliwością oblega konfesyonały, z takiem rozrzewnieniem komunikuje i modli się długo a szczerze. Natomiast jakiż wstręt budzi w mej duszy widok zobojętnienia naszych braci do wszelkich religijnych obrzędów, nawet podczas ogólnej klęski i niedoli. Bądź co bądź jednak wstręt, to niechrześcijańskie uczucie, ironia zaś wypływająca z niego, jest grzechem. Dlatego też odrzucam ją całą duszą i błagam Boga o zaszczepienie w mem sercu tej miłości, jaką Chrystus przyszedł rozniecić na ziemi. Módlmy się więc, ażeby Bóg oświecił nas światłem Ducha Świętego i przyciągnął do siebie. Niech nas karze, choćby dziesięć razy więcej, lecz niech okaże nad nami swe miłosierdzie i uwolni od kary wiecznej za nasze grzechy. Zwróćmy się do Królowej niebios, uwieńczonej dziś ręką Bożą, Ona usłyszy jęki biednych wygnańców, bo wszak i sama w Egipcie była wygnanką. Ona więc wysłucha próśb i spostrzeże boleść serca naszego. Lecz i wy matki płaczcie nad swymi Augustynami, a zarazem nad sobą samemi i módlcie się gorąco za wasze dzieci. Pieściłyście je niegdyś i pielęgnowałyście troskliwie, nie ulega bowiem wątpliwości, żeście je kochały i kochacie z całego serca; ale niestety, zapominacie często, że przedewszystkiem należy wychowywać dzieci dla nieba i że najgorętszem waszem pragnieniem powinno być ich szczęście w przyszłem wiecznem życiu. Wierzajcie, że religijne

wychowanie nie przeszkodzi wcale szczęściu doczesnemu, owszem jeszcze bardziej je spotęguje, gdyż osłodzi wszelką troskę i uczyni ją znośną; w wierze bowiem tylko znajdą wasze dzieci tę siłę i pociechę, jakiej wy pomimo całej swej macierzyńskiej miłości dostarczyć im nie możecie.

„Oto jak się rozgadałem, a tymczasem trzeba już kończyć. Słusznie mówią niektórzy, że ludzie na starość stają się gadatliwymi".

(Dok. nast.).

M.

DOROBEK NAUKOWY ROSSI'EGO.

Sapiens in verbis, seipsum amabilem facit.
Eccli. XX, 13.

Dwudziesty września zeszłego roku okrył ciężką żałobą świat uczony, a zwłaszcza familię archeologów chrześcijańskich. Zgasło, wedle wyrażenia Mommsena, światło Italii — umarł wielki de Rossi. Dobry Pasterz — tak głosił pięknie pamiątkowy obrazek pogrzebowy — przyszedł po swą wierną owieczkę i uniósł ją na łąki niebieskie, gdzie w wiecznej krasie i młodości kwitną owe białe lilie dziewic i krwawe róże męczenników, których woń zapełniała niegdyś podziemne cmentarzyska wiecznego miasta — te pola walk i tryumfów zmarłego archeologa. *Omnes sancti martyres orate pro me* (wszyscy święci męczennicy, wstawcie się za mną),— powtarzał on ciągle już konający; a chyba niedaremno wzywał ich pomocy, i jeśli kiedy to z pewnością tym razem spełniły się w całej prawdzie wołania pieśni kościelnej: *In tuo adventu suscipiant te martyres et perducant te in civitatem sanctam Jerusalem* — „Jawcie się męczennicy pańscy i zanieście piewcę waszych zwycięstw i najgorętszego grobów waszych miłośnika do Jerozolimy niebieskiej!“

Kochany za życia przez blizkich i dalekich, otaczany czcią prawie religijną przez przyjaciół a głębokim szacunkiem przez obcych mu wiarą i przekonaniami religijnemi, doczekał się tak gorących hołdów pośmiertnych w ojczyźnie i za granicą, w kołach

uczonych i robotniczych, wśród katolików i innowierców, na jakie zasłużyć sobie mogą tylko dusze prawdziwie wielkie i wybrane. I u nas uczciło już jego pamięć pióro świetne i pełne dla zmarłego entuzyazmu [1]: stąd wahałem się nawet długo, azali to moje wspomnienie jeszcze potrzebne! Kiedy jednak czcigodny Redaktor *Przeglądu* zaklął mię w imię czci, jaką winienem okazać dla zmarłego mistrza, nie mogłem nie spełnić jego życzenia i przedkładam kilka szczegółów z tego pięknego życia, jakoteż nieco szersze omówienie jego metody badań i całego inwentarza naukowego. Należy się zaś Rossi'emu tem bardziej kilka kart pośmiertnych, iż nie był to tylko uczony włoski, ale międzynarodowy.

I.

Ilekroć pytano Rossi'ego, co go naprowadziło na studya archeologiczne, odpowiadał: *è la mia vocazione* — widocznie sam Bóg mię do nich powołał! Od młodości czuł dziwny jakiś i nieprzezwyciężony pociąg do historyi starego Kościoła i jego męczenników i już jako chłopczyna chodził całemi godzinami po muzeach i dziedzińcach klasztornych, kopiując nagromadzone tam napisy łacińskie i greckie. Później podczas studyów uniwersyteckich nawracał ciągle do swej kochanej archeologii, smakując, jak się sam wyrażał, daleko więcej w pracach katakumbowych Bozyusza, aniżeli w *Corpus juris* Justyniana albo w Dekretach Gracyana. Mimo to ukończył z chlubą studya prawnicze i otrzymał dyplom doktora obojga praw z kwalifikacyą *ad honorem*. Promocya *ad honorem* miała wówczas w uniwersytecie Sapiency szczególniejsze znaczenie. Przypuszczano do niej co roku tylko dwóch uczniów najlepszych, którzy prócz zwykłego egzaminu, przebyli szczęśliwie jeszcze osobną próbę ogniową, w czasie której profesorowie zarzucali kandydata przez 5 do 7 minut gradem krótkich pytań, na które on musiał odpowiedzieć prędko, jasno

[1] Zob. *Czas* r. 1894, nr. 286. — Za granicą uczcili jego geniusz w głębokich artykułach tacy uczeni, jak Guirand w *Revue historique*, Le Blant w *Revue archeologique*, Duchesne w *Bulletin critique*, Allard w *Correspondant* i t. d.

i zwięźle, dając tem świadectwo, że posiadł rzecz gruntownie i oryentuje się dobrze po całym obszarze nauk prawniczych. Nie koniec na tem. Po udałej próbie ustnej, zamykano aspirantów w sali bibliotecznej i kazano bez pomocy książek komentować ustęp, jaki im z *Corpus juris civilis* albo prawa kanonicznego los przeznaczył. Naszemu Rossi'emu przydała się wówczas głębsza znajomość starożytności chrześcijańskiej, bo przy jej pomocy rozwinął świetny pogląd na genezę, rozwój i zakres władzy biskupiej w pierwszych wiekach Kościoła.

Zaraz po ukończeniu studyów uniwersyteckich, otrzymał urząd skryptora przy bibliotece watykańskiej, co jeszcze więcej ułatwiło mu gruntowne zaznajomienie się tak z kamienną spuścizną po pierwszych chrześcijanach, nagromadzoną po galeryach watykańskich, jak i z literacką schedą katakumbową, mieszczącą się w różnych bibliotekach rzymskich. Jednak od dawna nie wystarczały już młodzieńcowi te studya cmentarne, robione tylko w muzeach i przy zielonym stoliku. Jego dusza wyrywała się do owych podziemi i grobów, o których dzieckiem czytał w „Żywotach Świętych", a oglądał ilustrowane w dziełach Bozyusza. Niestety, nie prędko ziściły się i urzeczywistniły jego marzenia, bo zejście do katakumb uchodziło w pierwszej połowie naszego stulecia w oczach Rzymian za coś chyba niemniej ryzykownego i niebezpiecznego, jak wyprawa Orfeusza po Eurydykę do czeluści Hadesu. Jak miasta zmarłych Greków strzegł straszny Cerber, tak również u wstępu do pieczar cmentarnych miały na śmiałka, któryby się poważył zakłócić pokój cieni grobowych, czyhać jakieś krwi ludzkiej chciwe bestye stugłowe. A choćbyś zresztą uszedł paszczy drapieżców, opowiadano sobie wieczorami przy lampie we familiach rzymskich, to i tak musisz zginąć, bo zabłądzisz w ciemnych i bezkresnych ulicach. Tak przytrafiło się raz całej kameracie alumnów z kolegium niemieckiego, która niebaczna spuściła się na jednej z wycieczek do katakumb św. Sebastyana i przepadła na zawsze; dopiero po długich latach odnaleziono ich kości, rozrzucone i rozwleczone po wszystkich galeryach podziemia. Wprawdzie nikt nie umiał podać imion nieszczęśliwych teologów, ani oznaczyć czasu, kiedy wy-

padek ten miał miejsce, jednak wystarczyło to, że stary de Rossi najsurowiej zakazał synowi nawet myśleć o wycieczce do katakumb. Dopiero znajomość, którą nasz młodzieniec zabrał ze słynnym numizmatykiem i miłośnikiem katakumb, O. Marchi T. J., sprawiła, że ojciec, widząc syna w tak dobrych rękach, cofnął swój zakaz. Od pierwszej wspólnej wycieczki Marchi i Rossi tak przylgnęli do siebie, że w Rzymie nazywano ich powszechnie *i due inseparabili* — „dwaj nierozłączni".

Aby rozszerzyć horyzont swej wiedzy i zebrać potrzebny do badań katakumbowych materyał literacki, de Rossi zwiedził najpierw ważniejsze biblioteki Włoch, a w r. 1856 udał się w wielką naukową podróż do Szwajcaryi, Francyi, Belgii, Londynu, Niemiec i Austryi. Na gorące życzenie matki, która ciągle trapiła się, że syn umrze z głodu nad staremi kodeksami, jeśli nad nim nie będzie czuwała dobra i kochająca żona, ożenił się wreszcie w r. 1861, a 39 życia, z Konstancyą hrabianką di San Giorgio Tornafort. Małżeństwo to było nad wyraz szczęśliwe, bo pani de Rossi, prócz kochającego serca, wniosła w dom męża także gorącą cześć i miłość ku wszystkiemu, co miało jakiś związek i styczność z ulubionemi pracami męża. To też kiedy go w zeszłym roku zabrakło, opuściła swój pałac przy Aracoeli, urządzony jakby muzeum chrześcijańskie, gdzie każda książka, fresk i napis cmentarny przypominały jej obraz kochanego zmarłego, i przeniosła się na mieszkanie do klasztoru św. Franciszki Rzymianki.

Tymczasem jeszcze przed r. 1860, rozsławiło się szeroko i daleko po świecie naukowym imię Rossi'ego. Wszędzie witano w nim wielkiego architekta, geografa i nowego Kolumba Rzymu podziemnego, który odkryciami swemi zbliżył nam wiek złoty męczenników, i ową najpiękniejszą dobę życia Kościoła, kiedy wedle wyrażenia św. Hieronima do Demetryady, jeszcze ciepła była co dopiero przelana krew Chrystusa — *quando calebat adhuc Domini nostri cruor.*

I jak w epoce tryumfu Konstantyna i w czasach następnych, katakumby naoścież roztwarte poczęły zewsząd ściągać tłumy pobożnych pątników, chciwych na własne oczy oglądać groby

męczeńskie, tak i w naszym wieku stały się one znowu nową przynętą dla uczonych i prostaczków, blizkich i dalekich, wiernych a nawet niewierzących.

Ze wszystkich stron świata ludzie jęli się gromadzić w wiecznem mieście na wieść, że Rzym podziemny stał się dostępnym dla wszystkich i że znalazł się bezpieczny po nim przewodnik i jasnowidz, rozumiejący tajemny język naszych przodków i tajemną cmentarnych kamieni mowę. Tamci wołali na widok krwią zroszonych grobów: *Gerusale (sic) coelestis civitas et ornamentum martyrum Domini* — Jerozolimo, ty przedsionku nieba! — i ci idą dziś z modlitwą i pieśnią na ustach, ze czcią całują odarte z ozdób ściany, i łzą zwilżają rozburzone stare męczenników łoża. Znikają też, a przynajmniej maleją, w tych podziemiach nienawiści sekciarskie, i z niejednego serca, ściętego wprzód lodem obojętności dla Chrystusa i Kościoła, wydobywa się za Montfanonem Bourgeta wyznanie, „że to co jest w duszy naszej najszlachetniejszego, nie istniałoby wcale, gdyby ci, co spoczęli w katakumbach, nie byli tam przychodzili modlić się przed ośmnastu wiekami".

Watykan także nie szczędził uznania Rossi'emu i darzył go stale swą łaską. Pius IX. droczył się wprawdzie nieraz z młodym archeologiem, nie chcąc niby spełnić jego próśb i życzeń. I tak np., kiedy Rossi zjawił się na audyencyi niedługo po wstąpieniu na tron Piusa, prosząc aby zakupił na własność Kościoła grunta i winnice, pod któremi jego zdaniem miały nieomylnie się znajdować grobowce papieży III. wieku, papież zdawał się przyjmować to przedstawienie całkiem obojętnie, żadnem słowem nie zdradzając chęci przychylenia się do spełnienia przedłożonej prośby. De Rossi wyszedł z audyencyi smutny i opowiedział zaraz cały jej przebieg monsignorowi de Merode, który cieszył się wielkiem zaufaniem Piusa i już nieraz orędował u niego za naszym uczonym. Jeszcze nie skończył relacyi, kiedy papież zadzwonił i śmiejąc się serdecznie, już z daleka wołał do wchodzącego Meroda: *Ho cacciato via de Rossi come un gatto frustato, ma nondimeno comprerò la vigna* — „napędziłem Rossi'ego jak kota dobrze obitego, ale jednak kupię winnicę". I nie omylił się Rossi

w swych przepowiedniach, bo już w r. 1852 odkopał słynną kryptę papieską i kaplicę św. Cecylii. Wieść o tem odkryciu doszła także do uszu papieża, który aczkolwiek nie okazywał większego interesu dla studyów archeologicznych, chciał jednak młodemu badaczowi dać dowód swej życzliwości i zaprosił go na obiad do *Santa Maria del Priorato*, w willi Kawalerów Maltańskich na Awentynie. Między zaproszonymi znajdowało się także kilku kardynałów, ambasadorów i ministrów. Podczas obiadu papież umyślnie skierował rozmowę na archeologię chrześcijańską i zauważył, że niewiele się po niej spodziewa dobrego; archeologowie są bowiem fantastami i poetami, którzy z napisów i resztek zbladłych malowideł snują rzeczy, jakich inni tam wcale nie mogą się dopatrzeć. Słowa te były tak powiedziane, że de Rossi, siedzący niedaleko Ojca św., musiał je słyszeć, ale mimo to milczał i słowa nie odpowiedział. Przy czarnej kawie posłał papież doń m-sgra Meroda, aby mu wytłumaczył, że bynajmniej nie miał zamiaru sprawić mu przykrości, ale chciał go jedynie pobudzić do zabrania głosu i obrony swojej archeologii. „Dobrze ja pojąłem intencyę Jego Świątobliwości — odpowiedział de Rossi — i bynajmniej nie czuję się dotkniętym, jednak nie mogłem się zdecydować na odpowiedź wobec tylu dostojników. Ale niechno Ojciec św. zstąpi kiedyś do katakumb, to tam języka pewnie nie zapomnę, każę przemówić kamieniom i moja archeologia sama się obroni".

Niedługo czekał on na spełnienie tych życzeń, bo już w kilka dni później papież zapowiedział swą wizytę w cmentarzu św. Kaliksta. Rossi przyjął go u wejścia do hipogeum, wytłumaczył w krótkich słowach historyę katakumby, jakoteż znaczenie ostatnich odkryć, a na potwierdzenie i udowodnienie prawdziwości swoich twierdzeń przedłożył kawałki starego napisu, w którym papież Damazy wyliczył znakomitsze groby mauzoleum papieskiego, od biskupów począwszy, a skończywszy na niewinnie pomordowanych dzieciach i starcach [1]. „Ależ czy to możliwe? —

[1] Był to znany epigram, poczynający się od słów: *Hic congesta iacet quaeris si turba piorum...* jeśli się zapytasz, kto tu leży, to wiedz, że groby te mieszczą w sobie zwłoki świętych i t. d.

zawołał papież. — Czy tu niema jakiego złudzenia?“ — „Złudzenie jest tu niemożebne, Ojcze św., odpowiedział Rossi, bo znaleźliśmy nawet kamienie grobowe owych czcigodnych następców Księcia Apostołów, i jeśli zechcesz złożyć fragmenta tych marmurów, to wyjdą na jaw imiona owych biskupów a twoich poprzedników, o których Damazy mówi na swoim kamieniu“. Wtedy Pius IX. wziął do ręki roztłuczone epitafy, a kiedy na nich wyczytał imiona Anterosa, Fabiana, Lukisa i Eutichyana, policzki jego pokryły się rumieńcem, oczy zaszły łzami i głęboko wzruszony zawołał: „Więc to naprawdę są napisy grobowe moich poprzedników, którzy tutaj spoczęli?“ De Rossi, widząc rozrzewnienie ukochanego papieża, pozwolił sobie wtedy przypomnieć jego słowa, wyrzeczone w willi maltańskiej i powiedział: „To tylko przywidzenia, Ojcze św., nic więcej, tylko przywidzenia!“ „Ach de Rossi, jakiś ty złośliwy“, odrzekł papież, winszując mu serdecznie tak cennych zdobyczy i dziękując za usługi, jakie przez swe odkrycia oddał Kościołowi i nauce.

Powtórzę tu jeszcze inny szczegół, świadczący również o wielkiej życzliwości papieża ku Rossi'emu. Rossi wygotował był właśnie pierwszy tom swego „Rzymu podziemnego“ i chodziło tylko o to, aby papież pozwolił na karcie tytułowej położyć napis: „Dzieło publikowane na rozkaz Jego Świątobliwości“. A miał autor słuszne powody lękać się nieprzychylnej odpowiedzi, bo właśnie w tym czasie kilku jego nieprzyjaciół, powodowanych zazdrością, starało się podkopać i zniszczyć jego zaufanie u papieża. Stało się jednak inaczej. Miasto posłuchania prywatnego, Ojciec św. dał mu w swej letniej rezydencyi w Castel-Gandolfo audyencyę publiczną i zawezwał, aby wobec całego dworu prałatów, przedłożył treść dzieła. Rossi czynił to zrazu całkiem ogólnikowo, ale zachęcony, by przedstawił rzecz szerzej, wspomniał między innemi o pracach swych poprzedników i o przeszkodach, jakie ludzie nieżyczliwi stawiali przed 200 laty słynnemu Bozyuszowi. Na tę wzmiankę Pius gniewnie uderzył ręką w stół i zawołał: „zawsze ta przeklęta zazdrość!“ Nasz uczony domyślił się, że w tych słowach mieści się cenzura i przygana dla jego własnych nieprzyjaciół i już ośmielony prosił

o pozwolenie, aby mógł puścić w świat dzieło pod firmą papieża. *No lo permetto solamente, ma lo esigo carissimo de Rosi* — „nietylko pozwalam, kochany mój de Rossi, odrzekł papież, ale nawet żądam tego".

„A czy pozwolisz, Ojcze św., umieścić także dedykacyę, której wzór mam tu ze sobą?"

„Pokaż coś napisał", odpowiedział papież.

Dedykacya opiewała: *Pio IX. Pontifici Maximo alteri Damaso...* „Piusowi IX., Najwyższemu kapłanowi, drugiemu Damazemu, który monumenta męczenników Chrystusowych, zasypane od lat tysiąca, z pod gruzów wydobył na światło, tomy te, z jego rozkazu napisane, składa najoddańszy autor".

„Jeśli drugim Damazym jestem, odpowiedział z uśmiechem papież, to tylko dlatego, że w tobie znalazłem swego św. Hieronima. Dedykacyę przyjmuję chętnie i będę się cieszył, jeśli niezadługo ujrzę całe dzieło".

Po tych słowach wstał papież i wygłosił dłuższą allokucyę, w której biorąc za punkt wyjścia ostatnie odkrycia Rossi'ego, wynosił korzyści, jakie z nowej nauki spłyną dla Kościoła rzymskiego, sławił geniusz i wytrwałość jej twórcy, a wreszcie potępił w ostrych słowach krecie roboty jego wrogów, zapewniając ojcowskiemi wyrazy o swej stałej przychylności i łasce.

Od tej chwili Pius jeszcze większem Rossi'ego darzył zaufaniem, i wzywał często na wspólne, poufne narady. Ponieważ przedmiotem tych narad były kwestye polityczne i czysto osobiste, więc nasz uczony nigdy się z niemi nie zdradził i może teraz dopiero, po jego śmierci, wyjdzie na jaw niejeden ciekawy szczegół do historyi papiestwa i odrodzonej Italii.

Niemniej piękna jest dedykacya III. tomu „Rzymu podziemnego", którą de Rossi złożył Piusowi w r. 1877, z okazyi jego złotego jubileuszu biskupiego, a która opiewa:

„Piusowi IX., drugiemu Damazemu, czcicielowi świętych podziemi, papieże, męczennicy i cały lud wierny starego Kościoła, z grobów ślą życzenia długich, szczęśliwych lat!"

Innym dowodem bezgranicznego prawie zaufania Piusa do Rossi'ego jest ta okoliczność, że kiedy koło r. 1870 padło

ciężkie podejrzenie na ówczesnego prefekta tajnego archiwum papieskiego o nadużywanie swego stanowiska na szkodę Kościoła, Ojciec św., chcąc koniec położyć tym smutnym stosunkom, oświadczył na audyencyi Rossi'emu, iż chce w jego ręce złożyć klucze, aby on odtąd gospodarował w archiwum. Ale archeolog odparł bez namysłu: „Ojcze św., jeszcze nigdy tak wielkiej nie miałem pokusy jak teraz; boć dać komuś do rąk klucze tak surowo strzeżonego tajnego archiwum, znaczy to ofiarować mu klucze do raju. Jednak ja już za stary jestem na ten urząd, i zajęty archeologią, nie miałbym ani sił, ani czasu na rozpoczęcie nowych studyów, dotyczących przedewszystkiem średnich wieków. Choć to tedy zaszczyt niezmierny, sądzę jednak, iż nie powinienem go przyjmować". „Masz słuszność, odpowiedział wtedy papież, i jest może lepiej, że w interesie studyów archeologicznych, tym razem moje życzenie się nie spełni".

Z tego samego powodu, aby nie być krępowanym w swych wycieczkach i pracach katakumbowych, odmówił on także przyjęcia ofiarowanej sobie przez papieża profesury archeologii w jednym z uniwersytetów rzymskich. Jego katedra była pod ziemią. Dwudziestego drugiego listopada wygłosił on swe *publicum* u św. Kaliksta; 14 lutego sławił św. Walentyna w jego hipogeum przy drodze flaminijskiej za *Porta del Popolo*, ostatniego grudnia wskrzeszał pamięć Pudensów i Glabryonów w ich cmentarzysku przy drodze salaryjskiej, a 12 maja kreślił dzieje chrześcijańskich Flawiuszów w katakumbie św. Domitylli.

Leon XIII. także kilkakrotnie dał Rossi'emu dowody swej łaski. Zaraz na wstępie swych rządów wystosował doń pod dniem 23 października 1878 osobne brewe, w którem powołując się na tradycyę papiestwa, które otaczało zawsze szczególniejszą opieką i łaską ludzi zasłużonych koło Kościoła, stwarza dlań osobny, dożywotni urząd kuratora chrześcijańskiego muzeum watykańskiego. Prócz tego udzielił mu komandoryę orderu Piusa, a z okazyi 70-letniego jubileuszu jego urodzin wystosował doń drugie pismo, w którem na nowo sławi jego zasługi i znaczenie archeologii dla historyi Kościoła i dogmatu. „Umiejętność ta, powiada papież, dostarcza nowej broni dla stróżów nauki katolickiej, rozszerza

zakres wiedzy kościelnej, wydobywa na jaw albo nowem oblewa światłem znakomite czyny i ludzi pierwotnego chrześcijaństwa. Stąd życzymy ci, aby cię Bóg jeszcze długo zachował przy siłach na chlubę Rzymu, na pożytek Kościoła i papiestwa, abyś był wzorem i przykładem syna mądrego, który, wedle słów Pisma św., rozwesela serce Ojca".

Papieże dali tedy Rossi'emu wszystko, co tylko dać mogli, tak, że był on pewnego rodzaju świeckim kardynałem w Kościele.

Niepodobna mi tu wyliczyć wszystkich odznaczeń i hołdów, jakie w ciągu lat kilkudziesięciu złożono u stóp tego człowieka. Dość powiedzieć, że większa część wydziałów filozoficznych Europy i Ameryki ofiarowała mu honorowy doktorat; Akademia francuska zamianowała go swym *Associé étranger,* dalej był członkiem berlińskiej Akademii umiejętności, prezesem rzymskiej *Accademia Pontificia di archeologia*, magistrem „Bractwa czcicieli męczenników" i przewodniczącym „Stowarzyszenia miłośników archeologii chrześcijańskiej". Przedewszystkiem jednak święcił nasz uczony dwa wielkie tryumfy: jeden w r. 1882, drugi w dziesięć lat później. W roku 1881 komitet, złożony z przedstawicieli francuskiej *École de Rome*, cesarskiego Instytutu archeologicznego niemieckiego i „Bractwa czcicieli męczenników", zwrócił się z odezwą do wszystkich przyjaciół i wielbicieli Rossi'ego o liczne składki na wybicie złotego medalu ku uczczeniu jego prac i urządzenie wielkiego święta archeologicznego w 60 rocznicę jego urodzin. Odezwę przyjęto wszędzie z zapałem i niezadługo wpłynęło na ręce komitetu jubileuszowego przeszło 15.000 franków. Na medalu, wręczonym jubilatowi w r. 1882 wśród uroczystej akademii w wielkiej auli muzeum lateraneńskiego, jest z jednej strony wyryte jego popiersie z napisem: *Joannes Baptista de Rossi Romanus*, a z drugiej mieści się dedykacya: „Twórcy archeologii chrześcijańskiej, za pieniądze zebrane w Europie i Ameryce składają medal 25 maja r. 1882, jako w 60-tą rocznicę imienin znakomitego męża, Towarzystwo czcicieli męczenników, cesarski Instytut archeologiczny niemiecki i Szkoła francuska w Rzymie".

Jeszcze świetniej wypadł jubileusz siedmdziesięciolecia. Tym

razem przyjaciele jubilata powzięli szczęśliwą myśl wystawienia mu marmurowego biustu w bazylice św. Sykstusa i Cecylii nad kryptą papieską u św. Kaliksta. Na dzień odsłonięcia pomnika wybrano 20 kwietnia, jako najdogodniejszy z powodu wiosennej pory i przypadających na ten czas feryj wielkanocnych. Deputacyj różnych akademij i korporacyj naukowych włoskich i zagranicznych stawiło się koło 50. I co najciekawsze, że wszyscy ci reprezentanci najrozmaitszych języków, przekonań religijnych i klas społecznych, śpiewali razem w starej bazylice *Te Deum*, jakby po jakimś tryumfie! Co więcej? Po ewangelii — *inter ipsa missarum solemnia* — zabrał głos kardynał wikary, reprezentant papieża, i wygłosił panegiryk na cześć jubilata! Czyżto nie apoteoza i jakby kanonizacya człowieka żyjącego? Równocześnie posypały się nań nowe dekoracye: Wydział teologiczny wiedeński dał mu dyplom doktora św. teologii, Francya krzyż komturowy Legii honorowej, Hiszpania zamianowała go kawalerem Wielkiego krzyża Izabelli katolickiej, a ambasador austryacki przy Stolicy świętej wręczył mu zaszczytny medal: *Literis et artibus*. Pod ślicznym biustem jubilata umieszczono następujący napis, rzeźbiony w literach, naśladujących paleografię II. wieku:

Johanni . Baptistae . De . Rossi
Quo . Duce . Christiana . Vetustas
In . Novum . Decus . Effloruit
Pontificum . Heroumque . Primaevae . Ecclesiae
Illuxere . Trophaea
Natali . Eius . Septuagesimo
Cultores . Martyrum . Et . Sacrae Antiquitatis
Magistro . Optimo . P . A . MDCCCXCII.

Wśród ogólnej radości, nikt wówczas nie przeczuwał, że to jasne słońce miało się już ku zachodowi, i że jubileuszowe uroczystości były równocześnie ostatniem pożegnaniem się uczniów i wielbicieli z ukochanym mistrzem. Już w październiku tego samego roku, pojawiły się pierwsze symptomata choroby, która miała Rossi'ego ostatecznie zaprowadzić do grobu; w marcu zaś r. 1893 nastąpiło całkowite porażenie prawej strony ciała. Zachowawszy jednak całą świeżość umysłu i pamięci, snuł on dalej swoje prace naukowe, dyktował artykuły do swego Bulle-

tyna i spieszył się, by dokończyć większe dzieła rozpoczęte. Na liczne wywiadywania się o stanie zdrowia, odpowiadał następującą drukowaną kartką: „Jan Chrzciciel de Rossi, pozbawiony władzy pisania, składa podziękowanie"; na telegram zaś z życzeniami prędkiego wyzdrowienia, przesłany mu przez uczestników zeszłorocznego kongresu archeologicznego w Spalato, odwzajemnił się znanem, starochrześcijańskiem pozdrowieniem: *Salvete fratres puro corde et simplici* — „witajcie mi bracia o sercu czystem i prostem".

Tymczasem zbliżyła się ostateczna katastrofa: de Rossi umarł jako gość u Leona XIII. w tym samym pałacu papieskim w Castel-Gandolfo, gdzie przed laty 27 wręczył Piusowi pierwszy tom „Rzymu podziemnego".

Kiedy przyjechałem do Castel-Gandolfo, zastałem tam już tylko resztki wieńców i kwiatów, któremi otoczono jego trumnę. Ostateczny cel wszystkich prac drogiego mistrza, charakteryzowała dobrze karta pogrzebowa z napisem:

„Proście o pokój dla błogosławionej duszy wielkiego archeologa, komandora Jana Chrzciciela de Rossi, który w nauce przez się uprawianej, szukał uwielbienia Boga — *Pregate pace all' anima benedetta dell' insigne archeologo, Commandore Giovanni Battista de Rossi, che nella scienza da lui coltivata cercò la glorificazione di Dio*".

W Rzymie nie było końca żałobnym nabożeństwom i pośmiertnym akademiom, urządzanym z kolei przez różne korporacye ku czci wielkiego zmarłego. Papież zarządził uroczyste *Requiem* w kościele Św. Ducha przy Watykanie; w Arkadyi sławił jego zasługi koło topografii wiecznego miasta msgr. Carini i profesor Marucchi; papieska Akademia archeologiczna urządziła posiedzenie w wielkiej auli pałacu kancelaryi i uprosiła na prelegenta, kardynała Capecelatrę. W kółku św. Sebastyana uczony Barnabita O. Semeria odtworzył śliczny obraz cnót jego rodzinnych i towarzyskich; wreszcie kawaler Grossi-Gondi w „Stowarzyszeniu robotników chrześcijańskich", którego de Rossi był członkiem, przedstawił go jako wzór chrześcijanina i jałmużnika ubogich.

De Rossi — jak widzimy — należał tedy do rzędu tych nielicznych wybrańców fortuny, co równą czcią i miłością byli otaczani za życia i po śmierci. Ocena i streszczenie jego dzieł pokażą, że tym razem odbierał hołdy i uznanie człowiek nietylko szczęśliwy, ale i prawdziwie zasłużony.

(Dok. nast.).

Ks. dr. Bilczewski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Narodowość. Studyum społeczne. Naszkicował *ks. L. Fleischer*, pleban komorowski. Biała 1893. Nakładem autora. (Str. 195).

Jako wstęp do naszej recenzyi przytaczamy dosłownie końcowy ustęp książki księdza Fleischera:

„Streszczając niniejszą pracę, twierdzę: Kwestya narodowości, która w dzisiejszym stanie politycznym europejskim jawnie lub ukrycie *(latenter)* połączona jest ze wszystkiemi kwestyami społecznemi, powinna i może być rozwiązana jedynie na podstawie etyki. Rozwiązanie jej ułatwi i przyspieszy rozwiązanie pokrewnych kwestyj, a mianowicie: socyalizmu i militaryzmu. Aby zatem nawę europejską dźwignąć z mielizny i z błota, w które zawiodły ją brutalna polityka rządów niektórych, sprzymierzona z namiętnościami społeczeństwa zdziczałego etycznie, trzeba dźwigni jedynej; a tem archimedesowem Δὸς ποῦ στῶ jest powrót do etyki, do religii, na wszystkich bez wyjątku polach objawów społecznych tak publicznych, jak prywatnych“ (str. 195).

Myliłby się, ktoby po przeczytaniu tego niby streszczenia, podanego przez samego autora, sądził, że w książce tylko o tem jest mowa. Główną treść i główny cel pracy stanowi obrona tej prawdy, że idea narodowości nie sprzeciwia się ani idei państwowej, ani tem mniej religii, że owszem jest ona wynikiem idei sprawiedliwości i „postulatem praktycznym praw publicznych“ (str. 6).

Dla udowodnienia zasadniczej swej tezy, autor był zniewolony wkroczyć w sferę filozofii prawa i socyologii. Tem się tłumaczy po-

wstanie długiej pierwszej części (obejmującej 92 strony), zatytułowanej „analityczną“, w której znajdujemy obszerne wywody o rzeczach, nie mających nieraz prawie żadnego związku z ideą narodowości. Druga część pracy, „Narodowość ze stanowiska teologii“, udowadnia nam, że religia katolicka nie jest przeciwną idei narodowości, że owszem Kościół z papieżem Leonem XIII. na czele wyraźnie broni idei i prawa narodowości. Trzecia i ostatnia część, *Synthesis*, zawiera apologię Kościoła katolickiego wobec pewnych nań napaści, odparcie pewnych zarzutów i rozwiązanie niektórych trudności, jakie się nasuwają lub nasunąć mogą w kwestyi o narodowości i jej prawach. Całą książkę kończą refleksye autora nad stosunkami politycznemi aktualnemi, zawarte w ostatnim rozdziale p. t.: „Horoskop polityczny“.

Bardzo wielką zaletę książki ks. Fleischera stanowi to przedewszystkiem, że jasno i gruntownie wykazuje zupełną zależność prawa narodowości od etyki i religii. Narodowość i miłość ojczyzny nie powinna być najwyższą pobudką działalności jednostek i społeczeństw, lecz musi być podporządkowana pod wyższe ideały — dobra doczesne mają być tylko środkiem do osiągnięcia dóbr wiecznych. Tego uczy rozum i wiara. Na zależności tej, zasada narodowości nic nie traci, owszem, bardzo wiele zyskuje: z porządku bowiem przyrodzonego wznosi się do porządku nadprzyrodzonego, nabiera przez to wielkiej godności, zyskuje na mocy, staje się potężnym czynnikiem moralnym. Tak pojęta zasada narodowości, tj. ugruntowana na etyce i religii, nie jest przeciwną dobru państwa, mającego w swem łonie różne narodowości. Dowód tej prawdy stanowi drugą wielką zaletę pracy szanownego autora.

Do dodatnich stron książki należy także gorliwa obrona Kościoła katolickiego i jego nauki wobec zarzutów, jakie z okazyi poruszanych zagadnień mogłyby się nasunąć mało rzeczy świadomym.

Co do sposobu opracowania i przedstawienia przedmiotu, to wiele, bardzo wiele dałoby się zarzucić książce ks. Fleischera. Przedewszystkiem daje się czuć brak jedności i jakiegoś jednolitego planu w pisaniu i łączeniu z sobą oddzielnych rozdziałów. Brak ten sprawia w czytającym wrażenie, jak gdyby miał przed sobą nie książkę o jednej rzeczy traktującą, lecz szereg luźnych artykułów, mało albo i wcale się z sobą nie wiążących. Nadto przy czytaniu tej książki odnosi się wrażenie, jak gdyby autor pisał ją w zbytnim pośpiechu, który spowodował niejednokrotnie pewną powierzchowność w rozumowaniu.

Temu pośpiechowi przypisać chyba należy opracowanie bardzo słabe np. drugiego rozdziału części drugiej („Krótki rys historyczny

literatury odnośnej"). Rozdział ten jest tak dalece z lekka naszkicowany, że gorszy nawet niedokładnościami. Między innemi czytamy tam, że Locke miał żyć w końcu wieku przeszłego [1], że: „Hume Anglik i Condillac Francuz (na schyłku wieku XIX. [2]) sensualizm Locke'go poniżają do materyalizmu, a w wynikach nauki społecznej podobnie jak Hobbes stanęli w krańcowej teoryi siły mocniejszego" (str. 149).

Co do zapatrywań filozoficznych autora, to nie możemy się zgodzić na to jego zdanie, że: „sumienie a rozum to władze dwie, choć pokrewne i podrzędne ducha w całości, przecież odrębne" (str. 11). O prawdziwości tego twierdzenia ks. Fleischer jest zupełnie przekonany, niejednokrotnie kładzie nacisk na tę odrębność i uzasadnia ją przy nadarzonej sposobności. Wystarczającym dlań dowodem jest następujące rozumowanie: działanie moralne, działanie według sumienia, może być i nieraz bywa w sprzeczności z rozumem, zatem sumienie jest władzą odrębną od rozumu.

Z rozumowania tego jednak wcale ta odrębność nie wynika: naprzód bowiem śmiało możemy zaprzeczyć temu, że działanie według głosu sumienia jest kiedykolwiek w sprzeczności z rozumem; powtóre, jeżeli przystaniemy na jakąś sprzeczność, to będzie to tylko sprzeczność między dążeniami do dwu różnych celów, pod różnym kątem widzenia, a taka sprzeczność może mieć miejsce w tej samej władzy. Weźmy pod uwagę, dajmy na to, jeden z przytoczonych przez autora przykładów, mających dowodzić owej odrębności: „Synom dorosłym sprzykrzył się ojciec podeszły wiekiem, radziby objąć po nim spuściznę jak najrychlej, naradzają się potajemnie, a skutkiem narady mordują ojca. Zrobili ‚porządek'" (str. 8). W tym przykładzie synowie oczywiście nie poszli za głosem sumienia; a czy poszli — jak przypuszcza autor — za głosem rozumu? Odpowiemy po prostu: nie. Opieramy się na tem, że rozum, uznając za prawdziwe ogólne zasady moralne, jakie tu wchodzą w grę (rodziców czcić należy, morderstwo ojca jest kardynalnym występkiem przeciw tej czci, cel nie uświęca środków), koniecznością rozumowania party, wyprowadza wniosek: zatem niegodziwą jest rzeczą zabić ojca, choćby z tego zabójstwa wynikło coś dobrego (jak tu: prędsze objęcie spuścizny). Ostatni ten wniosek jest oczywiście aktem rozumu, z drugiej strony na takich właśnie wnioskach polega t. zw. głos sumienia. A więc rozum i sumienie są tą samą władzą:

[1] Locke urodzony r. 1632, um. 1704.

[2] Co do cyfry oczywiście tylko błąd drukarski.

rozum, stosujący ogólne zasady moralne do oddzielnych czynów człowieka, nosi nazwę sumienia.

Autor okazuje pewne niezadowolenie z poglądów na zasadę narodowości, wypowiedzianych przez ks. Teodora Meyera T. J. w pracy p. t.: *Die Grundsätze der Sittlichkeit und des Rechts,* ale niezadowolenie to pochodzi podobno jedynie z nieporozumienia. Sam autor, przytaczając pewien ustęp z wspomnianej pracy, przyznaje nawiasem: „otóż narodowość konstruowana zupełnie w myśl rozprawy niniejszej“ (str. 130). Powód do niezadowolenia czy nieporozumienia dał inny ustęp, wyjęty z rozprawy ks. Meyera (a przytoczony przez ks. Fleischera na str. 129—130); z związku jednak widoczną jest rzeczą, że ks. Meyer bynajmniej tam nie potępia zasady narodowości jako takiej, lecz potępia jedynie jaskrawe i chwiejne pojęcie interesów narodowych, utworzone jednostronnie według zasad polityki materyalistycznej, bezbożnej. Wcale nie potępia patryotyzmu jako takiego, owszem patryotyzmowi chrześcijańskiemu przypisuje godność cnoty nadprzyrodzonej, ale potępia pewien tylko jednostronny patryotyzm antychrześcijański [1].

Na podobnem nieporozumieniu polega zarzut, wymierzony przeciw ks. Stöcklowi; w przytoczonych bowiem przez samego ks. Fleischera ustępach z *Lehrbuch der Philosophie* znowu niema ani śladu nieprzyjaznego usposobienia względem zasady narodowości jako takiej: jest tam tylko mowa o pewnej błędnej zasadzie narodowości, materyalistycznie pojętej, a więc nie o tej, której tak dzielnie broni szanowny autor w swej pracy.

Ks. S. Kobyłecki.

Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału. Napisał *J. Tretiak.* W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności 1895.

Dokładnego życiorysu I. Krasickiego dotychczas nie posiadamy. Prof. Tretiak, dzięki listom, na które zwrócił jego uwagę p. A. Chmiel,

[1] Tak ten patryotyzm charakteryzuje ks. Meyer: „Die bluttriefende und brudermörderliche Guillotine war die einzig wahre Definition des Patriotismus nach dem Modell der Rousseau'schen Gleichheitsdemokratie, wie die Meuchlerdolche und Orsini-Bomben der Mazzinisten und die Fahne der Garibaldi'schen Catilinarier, der einzig wahre Commentar zu dem Nationalitätspatriotismus, wie er dem Staat ohne Gott geziemt“. — Ten ostatni ustęp najwięcej zgorszył ks. Fleischera — jednak czy słusznie? Przecież tu najwyraźniej mowa tylko o tym patryotyzmie fałszywym, który sam autor stanowczo potępia (np. na str. 83—84).

daje nam w wzmiankowanej broszurze obraz nieznanej dotychczas działalności Krasickiego jako prezydenta trybunału. W rękopisie l. 802 Muzeum książąt Czartoryskich znajduje się 8 listów Krasickiego, autografów, obejmujących przeciąg czasu od 1-go maja do 13-go sierpnia 1765 r. Listy pisane są ze Lwowa, do Jacka Ogrodzkiego, starosty lubczańskiego, kawalera orderu św. Stanisława, pośrednika między królem a Krasickim. „Przez niego król przesyła prezydentowi małopolskiego trybunału rozmaite wskazówki, dotyczące tak spraw trybunalskich, jak sytuacyi politycznej wogóle, na jego ręce naodwrót Krasicki posyła królowi dyaryusze trybunalskie, rozmaite wiadomości urzędowe i potoczne lwowskie, a obok tego wyrazy wdzięczności i czci dla króla, jakoteż prośby o beneficya. Tylko ostatni, ósmy list pisany jest widocznie do kogo innego, w nim bowiem jest mowa o pisarzu w. kor. jako o osobie trzeciej".

W r. 1764 przeprowadziła familia podział trybunału koronnego na dwa: wielkopolski i małopolski. Pierwszy urzędował w Piotrkowie i w Poznaniu lub w Bydgoszczy, drugi w Lublinie i we Lwowie. W r. 1765 po pierwszy raz miały być otworzone, a ponieważ zamiarem familii było, aby jej dzieło okazało się lepszem, niż dawniejsze, postarała się więc o nowych i odpowiednich przewodników trybunału. Krasickiego przeznaczono na prezydenta trybunału małopolskiego, tj. przewodniczącego kolegium duchownego (świeckiego przewodniczącym, tj. marszałkiem, był J. Cetner, cioteczny brat Krasickiego), przedtem jednak zrobiono go kanonikiem kapituły lwowskiej, co było koniecznym warunkiem do otrzymania godności prezydenta. Stało się, czego sobie familia życzyła, Krasicki został prezydentem, aby w Małopolsce, gdzie go znano i gdzie posiadał liczne stosunki, działał na korzyść i w duchu planów dworu. Listy, pisane ze Lwowa (o kadencyi lubelskiej zaledwie raz wspominają), donoszą naprzód o ułożeniu ordynacyi, tj. porządku spraw i o ustanowieniu *Monita secreta* albo *Ordinatio legis curiatae*, tj. przepisów tajnych, obowiązujących wszystkich deputatów. Głównym ich motorem lub nawet redaktorem był Krasicki. *Monita* przepisują zachowanie się deputatów wobec „pacyentów", podczas wydawania wyroków, zakazują burd, pijaństwa, każą deputatom trzymać w rygorze swe sługi, obowiązują do zachowania sekretu, straszą karami dających się przekupywać i t. d., a kończą się następującemi słowy: „Co, że wszyscy zachowamy, wziąwszy Boga sądzącego sprawiedliwość na świadectwo *sub fide, honore et conscientia* obowiązujemy się; *transgressiones* sądzić *methodo supra expressa* przyrzekamy; i dla

większej niniejszego ułożenia dzielności i wagi, rękami go własnemi podpisujemy".

Po powitaniu trybunału przez OO. Dominikanów, u których trybunał rezydował, przez magistrat i palestrę, rozpoczęto dnia 19-go kwietnia sądy wbrew zwyczajowi, według którego pierwszy tydzień schodził zawsze na ucztach. Krasicki pracował w trybunale gorliwie, ze Lwowa wydalał się tylko podczas świąt, był bezstronnym i bezstronności u innych przestrzegał, okazywał się gorącym stronnikiem króla, jednając dla niego sympatyę u szlachty małopolskiej. Tyle zawiera sama rozprawa; do niej dodano odpis *Monitów* i owych ośmiu listów.

A. M. Kurpiel.

Podręcznik praktyczny ikonografii chrześcijańskiej. Napisał *ks. A. Brykczyński,* członek Komisyi arch. i Komisyi sztuki Akad. Umiej. Warszawa 1894.

Treść tej książeczki, zawarta w 22-ch rozdziałach, rozpada się na: 1. Znaczenie w malarstwie religijnem rozmaitych godeł (rozdz. od I. do X. wł.). 2. Malowania odnoszące się do Chrystusa Pana (rozdz. od XI. do XVI.); 3. do Matki Boskiej i św. Józefa (rozdz. XVII, XVIII); 4. do Apostołów i innych Świętych (rozdz. XIX. i XX.). 5. Symbolika zwierząt i roślin (rozdz. XXI. i XXII.). W końcu spis alfabetyczny 317 Świętych z ich oznakami.

Ze wstępu dowiadujemy się, że czytelnik ma szukać w tej książeczce jedynie praktyczności i nie wybiegać pragnieniami poza obręb podręcznika. Podręcznika zaletą jest krótkość, i tę książeczka ta o 130-tu stronnicach w zupełności posiada. Praktyczną też jest, bo podaje mnóstwo wiadomości pozytywnych i konkretnych.

Nie można jednak powiedzieć, żeby nie miała w tychże dwóch kierunkach i pewnych — których nawet w tak krótkiej recenzyi nie można pominąć — braków.

Przedewszystkiem szkodliwy jest dla podręcznika praktycznego pośpiech w jego układaniu, a ten bardzo czuć się tu daje. Jako dowód niech posłuży parę przykładów. I tak: teksty Pisma św. niekiedy nie wiernie podług Wujka podawane i mylnie co do miejsca, i to tam, gdzie cały dowód na jego słowach ma się opierać (str. 41, w. 13 od góry i str. 22). Godzina śmierci wzięta za jedno z sądem szczegółowym i ostatecznym (str. 81). Wąż miedziany Mojżesza na włóczni *(sic)* zawieszony i t. p.

Drugą ważną usterką jest brak dekretów rzymskich Kongregacyj, ty-

czących się ikonografii. Natomiast razi ton subjektywno-apodyktyczny, czasem polemiczny i zgryźliwy, czego przecież w podręczniku unikać należało.

Dalej dają się też zauważyć i niektóre sprzeczności. Tak np. piorunuje się na przepaskę Ukrzyżowanego w kształcie „jakichś skrawków płótna fruwających nienaturalnie w powietrzu“... i (ktoby wierzył) na trzy gwoździe krzyżowe, gdy tymczasem na tablicy tak II-ej jak III-ej właśnie takie krucyfiksy są jako wzory przedstawione. Również cudowny krucyfiks u Panny Maryi w Krakowie takież samo perizonium i trzy gwoździe przedstawia, i bardzo mu z tem do twarzy.

Patrząc na wspomnianą tablicę III-cią, nie można się obronić myśli, że pierwszy z trzech będących na niej krucyfiksów, romański, jest wyrazem tekstu Pisma św. *regnavit a ligno Deus*, drugi gotycki, to: *vir dolorum*, trzeci renesansowy, zdaje się nie mieć nic wspólnego z Pismem św. — jest to piękny mężczyzna, i w dodatku humanista.

Toż filipika na: „nadużycie, rozpoczęte pod pozorem przedstawienia Niepokalanego Poczęcia“, jakoby to było „błędem rozdzielającym Matkę od Dziecka, w który popadł wiek XVIII.“ — wcale niepotrzebna. Z tego bowiem wynikałoby, że wysoką dziś obdarzone powagą przedstawienia Niepokalanego Poczęcia, tudzież Matka Boska z Lourdes i nawet nasza Matka Boska Ostrobramska, byłyby błędami ikonograficznemi.

Także owe pobożniutkie skrzydlate główki aniołków szan. autor chciałby wyrugować z ikonografii chrześcijańskiej!

Jakieś znów tradycye, może znane we Francyi, ale nam obce, podawane są jako powszechne, np. że szopka betleemska to były rozwaliny zamku Dawidowego, lub że dobry Łotr obronił św. Rodzinę przed zbójcami w ucieczce do Egiptu, i mnóstwo tym podobnych niedokładności i *lapsus*'ów *calami* i *memoriae*.

De Ecclesiis, Collegiata, Seminario clericorum scholisque academicis quondam Olycensibus — rozprawa drukowana w czterech z kolei programach petersburskiej Akademii duchownej, za lata szkolne: 1890, 1891, 1892, 1893. (Dokończenie).

Zaświtała niejaka nadzieja dla kolegiaty i szkół ołyckich, gdy biskup Wydżga zjechał do Ołyki na pogrzeb księcia Radziwiłła (1658), na którym sam, jako sławny swego czasu mówca, mowę pogrzebową powiedział: ale i ta nadzieja zawiodła. Biskup spieszył się na dwór królewski, zwłaszcza, że czekała go nominacya na biskupstwo warmińskie i sambijskie (królewieckie). Więc z Ołyki wyjechał, tylko tyle zrobiwszy, że na dziekanię tamże instytuował ks. Krzysztofa Kłoń-

skiego, sekretarza królewskiego i proboszcza w Olesku. Pospieszyła za biskupem do Łucka deputacya profesorów, zaklinając, żeby powagą swoją uregulował przynajmniej dochody z dóbr, należących do kolegium akademickiego, ale biskup odesłał ich z tą sprawą do księżny wdowy.

Gorzej jeszcze było z kolegiatą samą, przez to, że proboszcza wcale nie było, bo nietylko materyalny stan był opłakany, ale i moralny stawał się coraz gorszy. Pomiędzy kanonikami toczyły się spory o precedencyę, a jeden z profesorów, świeżo przez Wydżgę mianowany, Szulimierski, wkręcił się do kapituły, przyjąwszy tylko niższe święcenia, ale żył jak świecki człowiek i haniebnemi występkami niesławił dostojne gremium. Oskarżony przed akademią w Zamościu, lekceważył jej upomnienia i naznaczone kary, aż doszło do tego, że sama księżna wdowa czyniła wyrzuty kapitule, że toleruje takie bezeceństwa (1658). Odjęto mu więc wspólny stół, a gdy i ta kara nie skutkowała, dano mu odczepnego 150 złp. i wyprawiono z Ołyki.

Jeśli pomiędzy profesorami taki się znalazł gorszyciel, to nie dziw, że i pomiędzy wikaryuszami byli tacy, których kapituła nawet więzieniem karać musiała. Ponieważ zaś główną przyczyną złego był brak proboszcza, przeto księżna widziała się zmuszona prezentować sama proboszcza kapituły. Wybór jej padł na ks. Piotra z Ruszczy Branickiego, kanonika krakowskiego i królewskiego sekretarza. Nowy ten proboszcz przybył do Ołyki roku 1659, jednakże stale nie mógł w niej rezydować, będąc kanonikiem krakowskim, a chociaż nie zaniedbywał jej zupełnie i czas pewien w niej przebywał, to jednak pod jego nieobecność zwykle się to psuło, co bawiąc w Ołyce naprawił.

Przedewszystkiem zamianował Branicki rektora szkół akademickich w osobie scholastyka ks. Czechowicza. Wybór był o tyle niefortunny, że Czechowicz nadużył zbytniego zaufania, jakie nowy proboszcz w nim położył, i podburzał go przeciwko drugim kanonikom, mianowicie tym, których nie lubił. Zaczem nastało w kapitule rozdwojenie, tem gorsze, że proboszcza często w Ołyce przez długi czas nie bywało. Bądź co bądź, Branicki zaprowadził ład jaki-taki, a mianowicie niższe duchowieństwo ujął w surowe karby. Wszelako nowa klęska publiczna wszystko znowu popsuła.

Kiedy bowiem Jurko Chmielnicki poddał się z częścią Kozaków Moskwie, wtedy wódz moskiewski, Chowański, ruszył pod Brześć Litewski, a Jurko z Kozakami zalał całe Polesie i zrabował Pińsk, należący do księżnej wdowy, pani na Ołyce. Księżna schroniła się ze

skarbami kolegiaty do zamku Lubomirskich, Rzemienia, a proboszcz Branicki wyjechał z częścią kosztowności do Krakowa. Reszta duchownych poszła w jego ślady i dopiero gdy Chowański poniósł klęskę nad Połonką pod Słonimem (1660), powracali zwolna do Ołyki. Swawola żołnierza polskiego dopełniała zwykle miary spustoszenia, a dochodziło do tego stopnia, że lud z głodu umierał. Ołyka np. musiała płacić kontrybucyi tygodniowej 280 złp., a mimo to dopuszczali się polscy żołnierze takich nadużyć, że na kapitana Kondrackiego rzucono klątwę kościelną. Drugi, Piotr Długopolski, odbył w Ołyce pokutę publiczną i to w ten sposób, że w drugą niedzielę po Wielkiejnocy (1660) stał we drzwiach kościoła, trzymając w ręku trzy strzały. Jeszcze ciekawsze nad ten szczegół historyczny jest to, że kapituła ołycka odbudowała własnym kosztem cerkiew ruską na przedmieściu Ołyki, Dernie, i udzieliła prezentę ks. Janowi Buszkowskiemu, pod warunkiem, że wytrwa w unii z rzymskim Kościołem: *Dummodo in sacra Unione cum ecclesia Romana maneret.*

Czasy wojenne niosą ze sobą rozprzężenie społecznego ładu, nie dziw więc, że i w Ołyce nieład znowu zapanował. Zdawało się, że przynajmniej dla szkół akademickich zawitają lepsze czasy, gdy nowy rektor, zamianowany przez proboszcza Branickiego, objął zarząd dóbr, należących do akademii. Odebrawszy bowiem obie wsie od księżny, sam je wziął w dzierżawę, ale niestety, ks. Czechowicz nie znał się na administracyi i dlatego zobowiązał się wprawdzie płacić rocznej dzierżawy 2000 złp., ale nic nie płacił. Bieda więc była tak wielka, że ks. Kazimierz Szyszkowski, który otrzymał profesorską kanonię (po ks. Sideckim), nie dostawszy przez pół roku ani grosza, opuścił kolegiatę i szkoły.

Wreszcie r. 1663 doczekały się szkoły ołyckie, po raz pierwszy od swego istnienia, wizytatorów od macierzystej akademii w Zamościu. Przybył sam *rector magnificus* Marcin Foltynowicz i profesor Jan Szeprawski. Wizytatorzy znaleźli szkoły w smutnym stanie, a mianowicie pokazało się, że sam rektor ks. Czechowicz nietylko nie dbał o nauki i lekcye zaniedbywał, ale że z majątku szkolnego żywił bardzo liczną rodzinę. Nie dziw, że i profesorowie wytoczyli skargi na nieregularne wypłacanie pensyi, a studenci i klerycy na liche żywienie. Wizytatorowie zadecydowali więc, żeby ks. Czechowicz złożył zarząd majątku szkolnego w ręce ks. Jana Gembicza, który otrzymał instytucyę na „Zajerską“ kanonię, w miejsce Szyszkowskiego, który już nie miał ochoty do Ołyki wracać.

Niewesołe też sprawy opisuje autor, które się pomiędzy klerem kolegiaty pod ten czas działy. Kto ciekawy, niech je przeczyta po łacinie, my o nich tutaj przemilczeć wolimy. Nie dziw, że kiedy dyecezya łucka doczekała się wreszcie nowego biskupa w osobie ks. Mikołaja Prażmowskiego i tenże polecił (1644) proboszczowi kolegiaty w Ołyce, odbyć kanoniczną wizytę w swojem imieniu, kapituła koniecznie uniknąć jej chciała. Kanonicy wysłali protest do biskupa, a kiedy proboszcz mimo to na 5 czerwca 1644 wizytę zapowiedział, kanonicy się pochowali, wydelegowali tylko 2 wikarych na przyjęcie wizytatora. Wikarzy czekali jednak daremnie, bo wizytator do kościoła nie poszedł. Ale nazajutrz zapowiedział kanonikom: wyście mnie do kościoła wprowadzić nie chcieli, a ja was za to z kościoła wyprowadzę!

Tymczasem przysłał też biskup swego delegata i kanonicy musieli spuścić z tonu. Dekreta reformacyjne, zatwierdzone przez biskupa Prażmowskiego, wykazały też wielkie niedostatki, których tutaj obszernie za autorem powtarzać nie będziemy. Przedewszystkiem nakazano scholastykowi, ks. Czechowiczowi, żeby się starał wypełnić fundacyę kanonii „Zajerskiej", dla profesora fundowanej, żeby przyjmował tylko zdolnych ludzi na profesorów, a jeśliby Akademia zamojska takich nie dostarczała, winien był prosić biskupa, aby akademii przesłał upomnienie.

Wizytatorzy wglądnęli teraz głębiej w stan szkół, niż to poprzednio był uczynił sam rektor Akademii zamojskiej, bo skonstatowali, że pomiędzy klerykami seminaryum w Ołyce, mało który był zdolny do nauk teologicznych. Polecono przeto scholastykowi, żeby im kazał wykładać retorykę zamiast teologii, i żeby przytem sam nie zaniedbywał wykładów, do których mocą swojej prebendy był zobowiązany. Dodano wreszcie i to polecenie, żeby się starał powiększyć liczbę kleryków, o ile fundusze na to pozwolą. Liczba ta, jakeśmy widzieli, dochodziła z początku do ośmiu, później, r. 1661 było ich tylko sześciu, tak, że proboszcz Branicki nawet z Krakowa jednego kleryka sprowadził. Ilu ich obecnie było, nie podają akta reformacyjne. Tyle wiemy, że ks. Czechowicz przyrzekł uroczyście, że corychlej postara się o obsadzenie kanonii profesora, czyli filozofa, która już od 7 lat była nieobsadzona, i że wychowywać będzie w seminaryum sześciu lub więcej kleryków. Tymczasem ustanowiono ojca spirytualnego dla kleryków w osobie kanonika kustosza ks. Feliksa Bachowskiego, i na tem się też skończyło, bo przez następne lat pięć jeszcze kanonia profesorska wakowała. Akademia zamojska przysłała wprawdzie w następnym roku

(1666) Jana Glinieckiego, ale go nie przyjęto, podając za przyczynę, że nie był legalnie prezentowany.

Niewiele więcej szczęścia miały też szkoły ołyckie z innym profesorem, który kanonię „Zajerską“ trzymał, ks. Janem Gembiczem. Ten bowiem, radząc o sobie, kupił dom w rynku, otworzył szynkownię i sprzedawał gorące napoje. Wizytatorzy nakazali mu też sprzedać dom w przeciągu 2 miesięcy i bywać pilniej na nabożeństwach w kościele — i to nie inaczej tylko w komży.

W rok po odbytej wizycie kanonicznej, umarł (1666) proboszcz kolegiaty Branicki, a jego miejsce zajął znany nam już scholastyk, Czechowicz. Należało więc po nim obsadzić miejsce scholastyka i rektora szkół akademickich. Akademia zamojska przedstawiła dwóch kandydatów, tj. ks. Sideckiego, kanonika kaznodzieję w Ołyce, i profesora w Zamościu ks. Walkiewicza. Kapituła dała pierwszeństwo ks. Sideckiemu, jako „mężowi uczonemu i zasłużonemu“. Nowy proboszcz zaczął też bardzo gorliwie chodzić około wydobycia zaległych czynszów i długów, tak że mnogo procesów wytoczył chrześcijanom i Żydom, a nawet na ks. Czartoryskiego wyrobił wyrok banicyi lub aresztu, za to, że zaległej sumy 30.000 złp. nie oddawał. Pozwał też kasztelana bracławskiego, Stef. Stempkowskiego, o sumę 13.700 złp., a k-cia Czetwertyńskiego o 3000 złp. W następnym zaś roku, kiedy umarła ks. Krystyna Radziwiłłowa, a Ołyka przeszła na linię Krzysztofa „Sierotki“, mianowicie na najstarszego wnuka jego Michała Kazimierza, rozpoczął ks. Czechowicz proces o sumę 60.000 złp., zahipotekowaną na dobrach Mniszów. Proces ten wlókł się jednak dziesiątki lat, a ks. Czechowicz już tego roku przeniósł się do wieczności.

Znowu teraz przez dwa lata była kapituła ołycka bez proboszcza, aż wreszcie otrzymał tę godność (1669) referendarz wielki litewski Jerzy Niewiarowski, który zajęty swoim urzędem, o rezydowaniu w Ołyce nie mógł oczywiście myśleć. Mimo to pozostały w aktach kapituły ślady jego działalności. Mianowicie odbył kanoniczną wizytę, ale odbył dosyć pobieżnie. Świadczą o tem pochwały, jakie napisał scholastykowi ks. Sideckiemu, że Akademia i seminaryum mogą sobie powinszować tak znakomitego męża, pilnego w wykładach i dbałego o porządek. Wszelako wizytator uznał za stosowne *fraterniter* upomnieć ks. scholastyka, żeby się postarał o uregulowanie funduszu akademickiego, oddał do niego „sumę Ludzińską“ i żeby na kapitule rozdzielał dochody stołowe profesorów i seminarzystów. Przytem zalecono mu, żeby się starał z Akademii zamojskiej tylko zdolnych przyjmować profesorów i żeby

do seminaryum przyjmował o ile możności tylko małoletnich młodzieńców, po którychby się rzeczywistego pożytku dla dyecezyi spodziewać można.

Trochę inaczej wypadła natomiast wizyta, którą krótko potem przedsięwziął w Ołyce sam biskup łucki, Tomasz Leżeński. Pomiędzy innemi bowiem dekretami reformacyjnemi, przepisał biskup: „dbając o seminaryum, jako bardzo pożyteczną i pobożną fundacyą“, żeby w niej było zawsze 8 kleryków, w myśl fundacyi, i to tylko z dyecezyi łuckiej przyjmowanych. Nadto przepisał, żeby byli pilnie uczeni *in casibus conscientiae* i *controversiis fidei*, nadto w ceremoniach i śpiewie gregoryańskim. Pieczę nad klerykami, chociaż z urzędu należała do Sideckiego, tak bardzo wychwalanego w poprzedniej wizycie, powierzył biskup Leżeński kanonikowi kantorowi Fryjewiczowi. To rozporządzenie było tem dziwniejsze, że ks. kantor nie rezydował w Ołyce, bo był kanonikiem i oficyałem w Łucku, jak to autor nasz na innem miejscu opowiada. Profesorom zaś przykazał biskup, żeby wykładali podług aprobowanych autorów, używanych po innych akademiach.

Poruszył także biskup sprawę wakującej od tylu lat kanonii profesorskiej. Kapituła tłumaczyła się złemi czasami i brakiem studentów, których była bardzo mała liczba. Był to oczywiście *circulus vitiosus*, bo i odwrotnie można było twierdzić, że brak profesorów powodował brak studentów. Biskup instytuował przeto na kanonię profesorską ks. Gembicza, który od 5 lat miał kanonię „Zajerską“. Na tę zaś wakującą kanonię prezentowała Akademia zamojska Jana Franciszka Hittmera. Był to krewny rektora tejże Akademii, Rudowicza, ale człek złych obyczajów, o czem w Ołyce wiedziano. Dlatego też przypuszczono go do stali dopiero po długiem wahaniu i to pod warunkiem, że się poprawi (1671). Poniewczasie jednak tego żałowano, bo Hittmer był na wstyd kapitule przez całe 10 lat swego pobytu w Ołyce, aż go wreszcie wygnać musiano.

Dotychczasowy proboszcz kolegiaty ołyckiej, ks. Niewiarowski, umarł r. 1671, a po 4 miesiącach otrzymał tę godność ks. Jan Stanisław z Wytwic Witwicki, sekretarz królewski, kanonik gnieźnieński, proboszcz lubomelski, kanonik warszawski, opat płocki, następnie biskup kijowski, a wreszcie łucki. Przy tych wszystkich urzędach i godnościach dzierżył Witwicki jeszcze probostwo ołyckie przez lat 16, póki nie postąpił na biskupstwo poznańskie. Nie dziw, że obejmując probostwo, opuścił w przysiędze niewygodną klauzulę, zmuszającą do rezydencyi, lub rezygnacyi z innych godności, bo ani mógł myśleć o stałem mieszkaniu w Ołyce. Był też tutaj tylko cztery razy i to w pierwszych

7 latach, tj. nim otrzymał kijowskie biskupstwo. Potem już tylko listownie z kapitułą się znosił. Dobrami prepozytury w Ołyce zarządzał ekonom biskupa, Sienkiewicz.

Nie dziw, że ład i porządek, który ostatnia wizyta biskupa Leżeńskiego usiłowała zaprowadzić, znowu podupadł. Co gorsza, nawet mury kolegiaty poczęły się rysować i potrzeba restauracyi stawała się z dnia na dzień gwałtowniejsza, a nie było komu ostatecznie tej biedzie zaradzić. Tak samo organ wielki, zniszczony jeszcze za pierwszego napadu kozackiego, daremnie szukał naprawy, a zegar nie wybijał godzin. Chciał zaradzić potrzebie nowy dziedzic Ołyki, k-żę Michał Radziwiłł, i zwoławszy nadzwyczajną kapitułę, sam w braku proboszcza prezydował, ale bez proboszcza nic decydować nie mógł. Doczekała się wreszcie Ołyka przybycia proboszcza (1672) i znowu odbyła się nadzwyczajna kapituła w obecności k-cia Michała, ale teraz powzięto fatalną myśl sprzedania części skarbu kościelnego i zahipotekowania zyskanej w ten sposób sumy na dobrach księcia. Na to było jednak potrzeba pozwolenia biskupa, ale biskup odesłał kapitułę po pozwolenie do Rzymu. Jednakże kapituła, nie czekając na pozwolenie Rzymu i nie pomnąc na ekskomunikę Innocentego X., sprzedawszy złotych naczyń za 6078 czerwonych złotych, oddała pieniądze księciu, a wzięła za to „na wyderkaf“ dobra Kownatki i wydzierżawiła je za 5000 złp. rocznie. Wszystko poszło gładko, tylko że cały ten interes był nieprawny i w razie śmierci księcia mogli spadkobiercy zabrać Kownatki, a za sprzedane złote naczynia nic nie dać. Przytem kapituła brała dzierżawę z Kownatek, ale o restauracyi kościoła nie myślała. Dopiero po 7 latach zdobyła się na odnowienie organów i zegaru, co ją kosztowało 1700 złp., a więc nawet nie połowę rocznej dzierżawy. Wkradał się więc niebezpieczny zwyczaj pustoszenia skarbca kościelnego, bo już poprzednio sprzedano różne naczynia złote, wartości 2680 czerw. złotych, i ulokowano tę sumę na dobrach księcia, a krótko potem sprzedano dwa srebrne dzbany, wartości 317 złp. „starej monety“. Obie poprzednie sprzedaże stały się jednak za pozwoleniem dyecezalnego biskupa Leżeńskiego (1671), teraz już i bez pozwolenia sięgano do skarbu, nagromadzonego głównie hojnością k-cia Alberta Radziwiłła.

Równocześnie stan moralny w kolegiacie upadał coraz bardziej, tak dalece, że wikaryuszów musiała kapituła zaklinać, aby chociaż w Wielkim Poście prowadzili skromniejsze życie (1674), a gdy wszelkie upomnienia na nic się nie przydały, zaczęto jednego po drugim z Ołyki wypędzać, tak że z 6 wikarych pozostał tylko Szejpakowicz i Ma-

ryński, który postąpił na kanonika. Ale i między kanonikami nie lepiej się działo. Kilku z nich wadziło się pomiędzy sobą tak dalece, że i publicznie i w kościele i przy wspólnym stole nie szczędzili sobie obelg, aż jeden z nich usunął się z Ołyki, a drugiego całkiem wygnano (1682). Gorzej działo się z kanonikiem profesorem Hittmerem, który dawał publiczne zgorszenie do tego stopnia, że po licznych upomnieniach i karach, kiedy razu pewnego został w nocy na mieście obdarty ze sukien, tak że musiał w stroju adamowym do domu wracać, wydalono go z Ołyki (1679). Jego miejsce objął nowy kanonik profesor Stefan Józef Szymański. Najsmutniejsza przytem, że scholastyk Sidecki, o którym w wizycie swojej ks. Niewiarowski (1669) tyle napisał pochwał, że „akademia i seminaryum winszować sobie mogą takiego męża“ — oddawał się pijaństwu i prowadził gorszące życie, tak że go pozbawiono (1676) kanonii i z Ołyki wydalono. Umarł też po 2 latach, nie wiadomo w jakiem miejscu.

Akademia zamojska przedstawiła teraz dwóch kandydatów na opróżnioną scholasteryę, tj. profesora logiki w Zamościu *excellentem Dominum* Jana Grabowicza, i ks. Jana Gembicza, który w Ołyce był kanonikiem „Zajerskim“, tj. dobrami szkół akademickich zawiadował. Kapituła wybrała drugiego, a Gembicz zajął się gorliwie sprawami kapituły i wygrał kilka procesów na jej korzyść, ale już trzeciego roku (1681) świat ten pożegnał. Jednakże swojego przywiązania do młodzieży i nauk dał najlepszy dowód w tem, że w testamencie zapisał studentom i klerykom 200 złp. „na papier i świece“, a na fundusz szkół akademickich zapisał wieś Zuzanowicz, która przylegała do Zajerska. W ten sposób powiększył się majątek szkolny, ale nic nie wiemy, czy przez to szkoły się podniosły. Osobny legat 1000 złp. zapisał też ks. Gembicz dla nauczyciela chłopców, i to w tym celu, żeby ich uczył śpiewać przy roratach, które codzień odprawiano w kaplicy Loretańskiej.

Mówiliśmy już poprzednio, że kaplicę tę fundował proboszcz Suchyński († 1657) i że osobny legat zapisał dla nauczyciela i 7 chłopców, przez co „małe seminaryum“ faktycznie założył. Jednakże przez następne lat 24 żadnej o tym zakładzie nie spotykamy wzmianki, a gdy teraz nowy legat ks. Gembicza widocznie dla tejże samej fundacyi przybywał, ciekawibyśmy wiedzieć, jak ten zakład prosperował? Widocznie jednak dostojny autor mało znalazł w rozrzuconych aktach ołyckich wiadomości, dotyczących szkół, bo nic o nich nie mówi.

Po śmierci Gembicza, otrzymał scholasteryę ks. Walenty Tu-

szowski, obojga praw i filozofii doktor, ale zdaje się że w szkołach sam nic nie uczył, bo był równocześnie kanonikiem i oficyałem w Łucku. Tyle tylko wiemy, że teraz przypuszczono (1682) kanoników akademickich do udziału we wszystkich nabożeństwach kapituły i że wreszcie obsadzono pod koniec r. 1687 kanonię profesorską, która od czasu wypędzenia Hittmera (1679) wakowała. Otrzymał ją profesor retoryki Kazimierz Slacki, który (1688) został uroczyście instalowany. Tak więc przez 9 lat nie była ta kanonia obsadzona, z czego wnosić można, że w szkołach akademickich nie było odpowiednich wykładów.

To macosze traktowanie szkół i seminaryum w Ołyce tem bardziej musi zadziwiać, że — jakeśmy już poprzednio wspominali — dyecezya łucka nie posiadała wcale seminaryum duchownego. Nosili się z tą myślą już dwaj biskupi tejże dyecezyi: Bernard Maciejowski i Andrzej Gembicki. Obaj też legowali na ten cel dobra Łosice i Hadymów na Podlasiu, ale dochody z tych wsi pobierała kapituła łucka. Dopiero biskup Leżeński położył rękę na tych dochodach i rozporządził, żeby rosły w fundusz, na założenie seminaryum przeznaczony. W ten sposób mógł proboszcz kolegiaty ołyckiej ks. Witwicki, zostawszy biskupem łuckim (1682), pomyśleć o założeniu seminaryum, i rzeczywiście założył je w Janowie (1683), a kierunek tego zakładu powierzył księżom Misyonarzom, którym już przed 40 laty biskup Stefan Wierzbowski oddał w zarząd seminaryum duchowne poznańskie. Sejm r. 1685 zatwierdził fundacyę biskupa Witwickiego, a dobra Łosice i Hadymów miały odtąd służyć na jej utrzymanie.

Mówiliśmy już, że biskup Witwicki, jako proboszcz kolegiaty w Ołyce, niewiele mógł dla niej uczynić, bo przez ostatnie 6 lat swej 16-letniej prepozytury wcale do niej nie zajrzał. Ale zasługa jego polega na tem, że zostawszy biskupem kijowskim (1679), uratował istnienie tej dyecezyi przy pomocy kolegiaty ołyckiej.

Nic smutniejszego nad dzieje tej nieszczęśliwej dyecezyi. Przed buntami kozackiemi posiadał Kijów katedrę łacińską, zbudowaną przez biskupa Kaźmirskiego (1606—1618), a nadto 3 kościoły zakonne: Dominikanów, Jezuitów i Franciszkanów. W 4-ech dekanatach tejże dyecezyi były 72 kościoły, nie licząc w to kościołów księstwa Czernichowskiego, które także do dyecezyi tej należało. Wszystkie te domy boże zniszczyli Kozacy. Biskup Stanisław Zaremba musiał uciekać; duchowieństwo, które uciec nie zdołało, zostało wymordowane. Ponieważ zaś Kijów przeszedł krótko po buntach kozackich w ręce Moskwy, więc już odtąd nie wolno tam było wrócić ani biskupowi, ani kapitule,

mimo to, że całe przedmieście Kijowa oraz wielkie dobra: Fastow, Czerniawka, Morawsko i Babicze należały do biskupa i że kapituła także znaczne dobra posiadała. Następcy biskupa Zaremby: Jan Leszczyński i Tomasz Ujejski byli więc już tylko biskupami kijowskimi z imienia. Ostatni z nich pragnął ratować ginącą wiarę przez Misyonarzy, których do swojej dyecezyi posyłał, ale Moskale jednych wygnali, drugich pozabijali. Wznowił przeto biskup sufraganię i posłał do Kijowa sufragana swego, Stanisława Dzianotta (1660), ale i temu zabroniono wstępu do Kijowa. Wtedy zrozpaczony biskup wstąpił do Towarzystwa Jezusowego (1676).

Po trzech latach wakansu, otrzymał godność biskupa kijowskiego Witwicki, a nie tracąc nadziei, że Bóg da lepsze czasy, postanowił przynajmniej senat kijowskiej katedry *de nomine* zachować. Ponieważ zaś Ołyka była w niedalekiem sąsiedztwie, dlatego kanoników ołyckich mianował kijowskimi, i naodwrót, kanonikom kijowskim dawał kanonie w Ołyce. Za przykładem tym poszedł następnie też biskup Andrzej Załuski, dopóki biskup Jan Samuel Ożga nie założył osobnej katedry i kapituły w Żytomierzu (1724).

Biskup Witwicki postąpił wreszcie (1688) na biskupstwo poznańskie i wtedy dopiero zrzekł się prepozytury w Ołyce. Jego miejsce zajął Andrzej Łącki, kanonik gnieźnieński i łowicki, sekretarz królewski.

W rok potem umarł (1689) kanonik Stanisław Mokrzecki, który starannie prowadził akta kapituły, z jego też śmiercią psuje się porządek w aktach kolegiaty i nasz autor musi składać całość opowiadania swego z rozrzuconych i potarganych papierów.

Andrzej Łącki, chwalony bardzo przez ks. Korytowskiego, jako ozdoba kapituły gnieźnieńskiej, smutną zostawił po sobie pamięć w Ołyce, po 15-letniem pasterzowaniu, w czasie którego zjawiał się tutaj tylko po to, aby brać dochody, choćby przez procesa, których mnóstwo bezustannie prowadził, ba, nawet zbrojną ręką grabić się nie wahał. Zażądał nawet od kapituły, aby mu wszystkie dobra puściła w dzierżawę, i nie oglądając się na jej protest, zagrabił wszystko w swoje ręce, tak że kanonicy na jego łasce pozostali. Co więcej, pozabierał z archiwum dokumenta, aby w razie procesu nie mogli się bronić przed sądem. Kapituła broniła się zacięcie przeciwko temu bezprawiu, i wezwała pomocy patrona kolegiaty k-cia Karola Stanisława Radziwiłła. Wyznaczeni delegaci mieli zagrabione dobra odebrać w posiadanie kapituły, gdy Łącki wpadł z hajdamakami i delegatów srodze poturbował; nawet im błotem usta zatykano. Nadomiar złego był wtenczas admini-

stratorem dyecezyi łuckiej, po śmierci Bogusława Leszczyńskiego, ks. Paweł Dubrawski, i ten przez przyjaźń dla Łąckiego, przyznał jemu racyę, nie wysłuchawszy nawet skarg i zażaleń kolegiaty. Trwał ten fatalny zatarg przez 4 lata, aż wreszcie (1692) przyszło do jakiej takiej zgody.

Szczęściem było dla kolegiaty, że przez ten czas sprawował godność dziekana kapituły ks. Markuszewski, bo gorliwy ten kapłan starał się ład utrzymać pomiędzy klerem. On też sam jeden uczył kleryków, bo seminaryum pozbawione zostało profesorów, skoro im Łącki prebendy zagrabił. Chwilowy pokój z infułatem zdawał się wprawdzie zapowiadać lepsze czasy, i dlatego przybrano zaraz na profesora kleryka Oseckiego, który też otrzymał święcenia, ale, niestety, burza na chwilę zażegnana, znowu po dwóch latach się zerwała, i Łącki zagrabił ponownie — i to zbrojną ręką — wszystkie dobra kapituły ołyckiej.

Skargi kanoników, „ze łzami w oczach“ zanoszone do prymasa, nuncyusza i patrona, na nic się nie przydawały, bo Łącki, jako bywalec w świecie, pełniący przytem wysokie urzędy, bo nawet był prezesem królewskiego trybunału, jako delegat gnieźnieńskiej kapituły, potrafił wszelkie skargi kapituły ołyckiej udaremnić. Nie polepszyła się też jej dola, gdy biskupem łuckim został mianowany przez króla Jana III. ks. Franciszek Michał Prażmowski, proboszcz kapituły gnieźnieńskiej, bo i tego łączyła przyjaźń z infułatem ołyckim. Owszem, wysłany przez tegoż biskupa nadzwyczajny wizytator, ks. Franciszek Wielhorski, rozstrzygnął w Ołyce spór na stronę Łąckiego, a kanoników, którzy infułatowi opór stawiali, pozbawił godności, innych w to miejsce osadził (1699).

Nie dziw, że przy takiej gospodarce musiała ucierpieć służba boża w kolegiacie, że nauki w akademii i seminaryum zupełnie ustały. Ten też stan opłakany, przez który kolegiata ołycka pośmiewiskiem się stała, musiał wreszcie wywołać oburzenie przeciwko bezprawnemu postępowaniu infułata. Pierwsza ujęła się za pokrzywdzonymi kapituła łucka, która dwukrotne protesty wysłała do biskupa Prażmowskiego, do prymasa Radziejowskiego i do nuncyusza apostolskiego Davia. Te protesty odniosły też pożądany skutek; Łącki, opuszczony teraz przez protektorów, przegrał sprawę. Rozporządzenia wizytatora Wielhorskiego zostały unieważnione, kanonicy pozbawieni przezeń prebend, odzyskali je na nowo, a Łącki nie śmiał się nawet w Ołyce pokazać.

Z tą chwilą wraca też znowu porządek do kolegiaty. Seminaryum zyskuje dwóch kleryków, którzy kurs *de Beata* śpiewają, dwie niższe

szkoły, *infima* i gramatyka zostają otwarte; dla uczniów i nauczyciela odnawiają się pomieszkania. Nowy biskup łucki i brzeski, Aleksander Wyhowski, objąwszy (1704) rządy dyecezyi, spieszy do Ołyki z wizytą kanoniczną, aby ostatecznie wszelkim nieporządkom koniec położyć. Wprawdzie już po 5 sesyach musiał biskup spieszyć do boku króla Augusta II., przeciw któremu Szwedzi stawili Stanisława Leszczyńskiego, ale w jego miejsce naznaczony ks. Tomasz Przekaziński, prowadził proces kanoniczny pomiędzy kapitułą ołycką a infułatem Łąckim, który sam osobiście się nie stawił wprawdzie, ale piśmienną przysłał obronę. Sam jednak książę Radziwiłł wystąpił przeciw niemu jako oskarżyciel, a bezprawia jego były zbyt widoczne, aby piśmienna obrona mogła wystarczyć. Sam wreszcie biskup Wyhowski wrócił do Ołyki i dokończył aktu wizyty. Niestety, akta jej zginęły bez śladu. Tyle pewna, że Łącki, nie czekając, aż zostanie z godności infułata złożony, sam przesłał rezygnacyę i biskup ogłosił prepozyturę ołycką za wakującą.

Godność tę otrzymał teraz ks. Tomasz Przekaziński, ale jeżeli kolegiata łudziła się nadzieją, że dla niej lepsze zakwitną czasy, to nadzieja ta niestety zawieść ją miała. Nowy infułat, tak jak wszyscy poprzedni, dzierżył kilka beneficyów, bo kumulacya była zwykłą w Polsce chorobą wszystkich kapituł, kolegiat a nawet probostw. Więc też obejmując propozyturę w Ołyce, wykonał Przekaziński przysięgę tutaj przepisaną, że poprzestanie na niej wyłącznie, ale dodał klauzulę: „jeśli mi wystarczy“. Kapituła ołycka dyspenzowała go też od rezydencyi, więc też nowy proboszcz mało tu przebywał. I nie dziw, skoro przez długi czas był administratorem dyecezyi łuckiej, gdy biskup Wyhowski schronić się musiał do Wrocławia.

Czasy to bowiem były strasznej zawieruchy wojennej, gdy Szwedzi pod Karolem XII. pustoszyli Polskę, a sprzymierzony z Augustem II. car Piotr, przedewszystkiem na „psach“ Unitach wywierał swą zemstę. Czego nie zjadły wojska szwedzkie, czego nie zagrabiły moskiewskie, to zabierało wojsko nasze. Nie dziw, że i kolegiata ołycka srogie przechodziła próby w tym czasie. Kozacy spustoszyli jej dobra, a Szwedzi gościli tutaj przez 3 miesiące. Duchowieństwo uciekło, umilkła chwała boża, a lud głodny szukał po lasach schronienia przed śmiercią.

Ks. Przekaziński chciał zaradzić najgwałtowniejszej potrzebie w ten sposób, że sprowadził do Ołyki na wikaryuszów księży misyonarzy, zaprowadzonych w Polsce przez ks. Holzhauzera, zwanych Bartłomitami. Ale taka już była w Ołyce *pestifera aura* — jak mówi autor —

że nawet i ci duchowni tutaj nie pilnowali należycie podjętych obowiązków i przy kościele nie rezydowali. Wszelako zasługą to jest niezaprzeczoną ks. Przekazińskiego, że nie spuszczał z oka kolegiaty, i choć sam w niej nie przebywał, coraz to nowych chwytał się sposobów, aby służba boża całkiem nie ustała i żeby seminaryum ołyckie nie opustoszało zupełnie. Było w niem wprawdzie tylko dwóch alumnów, ale liczba ta urosła z czasem (1710) do czterech. Wykładał im kanonik penitencyarz teologię moralną, a świecki *praeceptor* uczył przedmiotów świeckich, za zapłatą 250 złp. rocznie. Ciekawe też światło na ówczesne stosunki w kapitule rzuca rozporządzenie infułata Przekazińskiego, mocą którego wszyscy kanonicy przy wspólnym stole mieli siedzieć tylko po jednej stronie, przez co miała być usunięta sposobność do kłótni i sporów, które z sobą staczali naprzeciwko siebie siedząc. Każdy też musiał sam sobie przynosić do stołu swój kubek, nóż, serwetę i t. d.

Ks. Przekaziński umarł w Janowie i to w chwili, gdy t. zw. „sejm niemy“ (1717), pod naciskiem Moskali, przyjmował warunki, podyktowane przez Piotra W. W tym też roku odbył ingres do Łucka nowy biskup Joachim hr. Przebendowski, a książę Radziwiłł prezentował na nowego infułata w Ołyce ks. Józefa Olszańskiego.

Nowy ten proboszcz kapituły dzierżył tę godność, tak samo jak poprzedni, lat 12, bo dopiero r. 1726, zostawszy sufraganem chełmskim, z niej zrezygnował, ale czy w Ołyce wiele przebywał — o tem trudno mówić, skoro z całego tego czasu prawie wcale niema akt kapitulnych. Tylko też z luźnych zapisków i dwóch wizyt biskupich (1718 i 1727) czerpie autor wiadomości do tego okresu.

Pierwszą z tych wizyt r. 1718 odbył biskup łucki Przebendowski, a z jej dekretów wiemy, że nakazał odbudować kolegiatę bardzo już podupadłą i drewniany, stary kościół, oraz domy kanoników. Niedbalstwo dochodziło też do tego stopnia, że zgubiono klucze od kościoła i nikt nie pomyślał o sprawieniu nowych, lub pilnowaniu kościoła nocną porą. Nie dziw, że złodzieje kradli ze skarbca, nietylko własność kościelną, ale i depozyta, które kanonicy w czasie wojen do przechowania przyjmowali. Biskup zakazał więc tego przyjmowania depozytów i oczywiście klucze dorobić kazał. Co się zaś tyczy seminaryum duchownego, przykazał, żeby w niem było 8 kleryków, w myśl pierwotnej fundacyi. Ale czy dekret ten został wykonany? — należy powątpiewać.

Następny bowiem biskup łucki Rupniewski (1722), ten który

katedrę łucką z popiołów odbudował (1724), seminaryom dyecezalnym w Łucku i Janowie dodał nowego rozwoju, a przez synod dyecezalny łucki (1726) życie duchowne w dyecezyi dźwignął, zwrócił i tutaj w pierwszym rzędzie troskliwe oko na seminaryum i szkoły. Odbywszy kanoniczną wizytę (1727), nakazał wybudować dom dla bursy Suchyńskiego, do czego książę Radziwiłł obiecał się przyczynić drzewem ze swych lasów. Chłopcy tej bursy nosili, jak wiemy, białe suknie, teraz przepisał im biskup fioletowe, i odtąd też chłopców zwano fioletowymi. Liczbę alumnów tejże bursy oznaczył na 5, ale z góry zastrzegł, że ma urość do 7, skoro fundusze zapisu Suchyńskiego zostaną uregulowane.

Dekreta tej wizyty świadczą o wielkiej energii biskupa, bo na kanoników ponakładał znaczne kary pieniężne, za to że przy kolegiacie nie rezydowali, a grzywny te obrócił na sprawienie bielizny i aparatów kościelnych. Liczbę wikarych naznaczył 6, psałterzystów 7, z tem zastrzeżeniem, że liczba wikarych podniesiona być powinna do 8. Wikaryusz każdy miał pobierać 300 złp., a psałterzysta 85 złp. Jednego z wikarych, który po nocach się wałęsał, spotkała kara dwutygodniowego aresztu kościelnego.

Więcej może jeszcze, niż porządek zaprowadzony przez wizytę biskupią, przyczyniło się do podźwignięcia kolegiaty to, że nowy infułat, który po rezygnacyi Olszańskiego objął prepozyturę, ks. Kazim. Winc. Suchocki (1727), aż do swej śmierci, przez lat 13 († 1740) stale w Ołyce zamieszkiwał. Raz tylko z domu wyjechał, aby odbyć pielgrzymkę do Rzymu (1728). Szczęśliwem to można nazwać zrządzeniem Opatrzności, bo czasy były jak najgorsze. Najpierw na stolicy łuckiej zmieniali się bardzo często biskupi. Po śmierci Rupniewskiego (1731), był tu rok tylko biskupem Lipski, aby się przenieść na stolicę krakowską. Po czterech latach wakansu objął biskupstwo łuckie Załuski (1737), ale już po trzech latach przeniósł się do Chełmna, aż wreszcie został w Łucku biskupem Kobielski. Równocześnie elekcya po Auguście II., dała zamówkę Moskalom do wkroczenia w kraje polskie, a Ołyka ponownie płaciła kontrybucye swoim i obcym wojskom. Mianowicie *sacrosancta confoederatio* nałożyła na kolegiatę obowiązek dostawienia 4 zbrojnych żołnierzy. Wszelako infułat potrafił u marszałka konfederacyi Michała Potockiego wytargować tyle, że na 200 talarach poprzestał. Wogóle okres prepozytury ks. Suchockiego nazywa autor bardzo pomyślnym, tak że przez cały ten czas zaledwie trzy przypadki wykroczeń zanotowano w aktach kapituły.

Mianowicie księża wikarzy, których liczba, wbrew dekretom ostatniej wizyty biskupiej, zeszła na 4, a psałterzystów na jednego, zapisani są w aktach jako kłótliwi, tak dalece, że nawet przy stole się wadzili. Przeto kazano im czytać głośno przy stole. Daleko jednak gorszą była rzecz, że i pijaństwu się oddawali i po mieście wałęsali, tak że jeden z nich, ks. Kargulski, osadzony został na 8 dni aresztu, a drugi, ks. Kempiński, pozbawiony pensyi (1737). Co więcej, r. 1741 napadli księża wikarzy na dom kanonika Wolańskiego i srodze go poturbowali, tak że oknem wyskoczył, aż wojsko z zamku przywołano na poskromienie tego animuszu wojennego. Widocznie jednak takich ekscesów nie brano bardzo tragicznie, bo jeden z napastników, wikaryusz Rudziński, został krótko potem przyjęty do gremium kanoników.

W tym też czasie doczekał się wreszcie kościół kolegiaty tego, że stary, dziurawy dach gontowy zastąpiono nowym miedzianym, który z Gdańska sprowadzono. Nie starczyło jednak funduszów na cały dach i dlatego boczne nawy pokryte zostały blachą. Oba zegary zostały odnowione, a co więcej: wystawiono z drzewa nowe budynki dla seminaryum i dla akademii. Teraz też dowiadujemy się nieco więcej o seminaryum ołyckiem szczegółów, a mianowicie, że cała nauka trwała w niem rok jeden. Zdarzało się zaś, że zaraz po wyświęceniu zostawali niektórzy kanonikami, jak np. Marszantt, Matuszewski i inni. Wszystkich kleryków było jednakże tylko 5, a profesorów było 3, i ta liczba starczyła na akademię i seminaryum. Jaki zaś rygor panował w seminaryum, świadczy najlepiej ten fakt, że kapituła (r. 1734) uchwaliła, aby ją zawsze zawiadamiano, ile razy wypadnie klerykowi dać baty. Natomiast mądry był zwyczaj, zaprowadzony dekretem Rupniewskiego (1727), że klerycy w niedzielę katechizowali w kościele lud. Teraz zaś wprowadzono i ten przepis, że co miesiąc przystępowali do Stołu Pańskiego, i to parami. Przydano im też ojca duchownego, który miał obowiązek corocznie rekolekcye z klerykami odprawiać.

Mielibyśmy niewątpliwie więcej wiadomości o stanie szkół ołyckich, gdyby nie to, że akta kapitulne uległy spustoszeniu, tak dalece, że nawet wizyty, którą tutaj biskup łucki A. St. Załuski odprawił (1737), niema wcale śladu. Następca tegoż biskupa, Franc. Kobielski, zapowiedział nową wizytę r. 1740 i właśnie w tym celu odbywali kanonicy kapitułę, gdy nagle zaskoczyła śmierć infułata Suchockiego. W pięć dni po jego śmierci (12 września 1740) zjechał do Ołyki biskup, ale wizytę przerwał pożar, który wynikł z winy chciwej grosza

rodziny zmarłego infułata i nietylko domy kanoników, ale i część miasta zniweczył. Biskup przesłał jednak 13 dekretów reformacyjnych z Janowa.

Następuje teraz nowy okres dziejów kolegiaty, która otrzymała prepozyta w osobie Jerzego Maryi hr. Lascaris, ze Zgrom. księży Teatynów, i prefekta tejże kongregacyi we Lwowie, której głównem zadaniem były misye pomiędzy Rusinami. Niestety i ten infułat był tylko *de nomine* proboszczem, bo z góry przewidując, że w Ołyce nie będzie mógł rezydować, opuścił w przysiędze punkt drażliwy. Jakoż przez 55 lat piastował godność (1741—1795), ale obowiązków nie spełniał. Inne też jeszcze dzierżył beneficya, był bowiem kanonikiem metropolitalnym lwowskim i opatem w Żółkwi, wcale w Polsce nie przebywając, bo od r. 1751 stale rezydował w Rzymie. Tyle tylko widziała go Ołyka, że tutaj dał się konsekrować na biskupa *i. p. i.*, którym go papież Benedykt XIV. prekonizował.

Na szczęście rządził wtenczas dyecezyą łucką gorliwy biskup Kobielski, który (r. 1747) ponowną wizytę odbył w Ołyce, a ponieważ akta tej wizytacyi się dochowały, więc też z nich możemy mieć wyobrażenie, jaki był stan kolegiaty. Mianowicie pokazało się, że dekreta jego poprzedniej wizyty wcale nie zostały wykonane, o ile odnosiły się do szkół i seminaryum, bo ani przepisanej liczby kleryków nie było, ani też nauk i dozoru nie wykonywano. Biskup widział się też zmuszony do surowego postępowania, i trzech najstarszych kanoników skazał na dziesięciodniowe rekolekcye u OO. Jezuitów w Łucku. Profesor Szuplatowski, który się także w urzędzie swoim zaniedbywał, uszedł jeszcze z napomnieniem, ale surowsze kary spadły na wikaryuszów, za to że się po szynkach, nawet żydowskich, włóczyli.

Podczas nieobecności infułata Lascarisa, zastępowali go w Ołyce dziekan kolegiaty ks. Kozierowski przez lat 20, a gdy tenże (1771) umarł, objął zastępstwo ks. Józef Jan Piaskowski. Obydwóch chwali autor, jako bardzo gorliwych i o dobro kolegiaty dbałych. Drugi z nich przysłużył się mianowicie tem, że uratował dobra kolegiaty, gdy Ołyckie księstwo wraz z innemi włościami księcia Radziwiłła „Panie Kochanku“ uległy subhaście.

Tymczasem spadł na Polskę nieszczęsny los podziałów, a z nim pozrywały się stosunki odwieczne, łączące pojedyńcze części naszego kraju. Austryacy, zabrawszy Galicyę, zakazali Akademii zamojskiej wszelkich ze szkołami ołyckiemi stosunków, i gdy ostatni scholastyk w Ołyce, przez akademię prezentowany, ks. Wojciech Bełczewski, umarł (1783), akademia chcąc niechcąc zrzekła się prawa prezenty. Tymczasem infu-

łatowi ołyckiemu Lascarisowi zakwestyonował także rząd austryacki prawo do kanonii we Lwowie i tylko w drodze najwyższej łaski pozwolono mu wypłacać połowę dochodów z kanonii aż do jego śmierci (1795). Na pięć lat przed śmiercią uprosił sobie też w urzędzie prepozyta ołyckiego koadiutora, z prawem następstwa, w osobie ks. Jakuba Ignacego Dederko, i tego też w Ołyce biskup łucki Feliks Turski instytuował. Nowy ten infułat był z rzędu tych ludzi, którzy potrafią żagle wedle wiatru ustawiać, to też umiał sobie zyskać względy moskiewskich naczelników wojsk, które w Polsce konsystowały, a nawet w Petersburgu tak dobrze koło swoich interesów chodził, że car mianował go biskupem mińskim (1798). Mimo to zatrzymał prepozyturę ołycką, chociaż w Ołyce wcale nie bywał. Dopiero w czasie wojen napoleońskich zawiodła go zręczność, bo uwierzywszy zawcześnie w gwiazdę Napoleona, ogłosił w Mińsku konfederacyę, i łaskę carską postradał. Po długich prośbach w Petersburgu, pozwolono mu osiąść w Ołyce, ale do rządów dyecezyi mińskiej się nie wtrącać. W ten sposób przepędził tutaj Dederko ostatnie lata swego życia i umarł, mając blizko lat 80 (1829). Niestety, dla kolegiaty samej nic nie zrobił.

Tymczasem nad Kościołem w całej Polsce zawisła żelazna ręka, a chociaż staraniem Stolicy ap. stosunki kościelne zostały uregulowane i nowe dyecezye określone, to jednak system tępienia religii katolickiej szedł wolno, ale systematycznie, aż w r. 1842 nastąpiła ogólna grabież majątków kościelnych.

Klęska ta nie ominęła też Ołyki, a przez nią *insignis collegiata* zeszła do rzędu zwykłych parafialnych kościołów. Stało się to za ostatniego infułata ks. Józefa (Alojzego) Osińskiego, eks-pijara, który był pierwszym rektorem Akademii duchownej w Wilnie (1828), a umarł jako sufragan łucki (1842). Przez czas pewien utrzymały się jeszcze honorowe tytuły kanonickie, nadawane innym duchownym, ale dawna świetność kolegiaty zginęła. Zniknęły też szkoły ołyckie, które za staraniem Komisyi edukacyjnej jeszcze raz się były podźwignęły, tak, że r. 1787 liczyły 132 uczniów. Jeszcze na początku naszego wieku r. 1803 było w nich 106 uczniów. Profesorów uczyło tam wtedy pięciu, a nauki wykładali wedle planu, ułożonego przez Komisyę edukacyjną. Rok 1842 położył im koniec: pozostała tylko figura św. Jana Kantego, patrona szkół ołyckich. Stoi też dotąd wspaniała kolegiata, a wielkie dzwony na wieży, wzywają wiernych do modlitwy o sprawiedliwość Bożą.

Doszedłszy do końca tego opowiadania, któreśmy tylko w krótkiem streszczeniu podać mogli, ośmielimy się wypowiedzieć kilka uwag.

Trzymamy się jednak przedewszystkiem tej zasady, że żaden recenzent nie ma prawa wytykać autorowi tego czego on nie ma, tylko mówić o tem, co autor dał. Dał zaś niezmiernie ciekawy i pełen szczegółów obraz historyczny, zupełnie skądinąd nieznany. Jeśliśmy zaś na kilku miejscach wyrazili ubolewanie, że o szkołach akademickich w Ołyce zbyt szczupłe znajdujemy wiadomości, to winić chyba trzeba tych, którzy o potomność tak mało dbali, że kroniki tych szkół nie utrzymywali. Monografią tej pracy nazwać nie można, tak jak ona jest obecnie. Pod tym względem mamy dokładniejsze prace księży: Jabczyńskiego, Barącza, Koszutskiego, pp. Łukaszewicza, Parczewskiego, Karwowskiego i innych, ale oni też założyli sobie z góry napisanie monografii. Nasz autor chciał uratować od zupełnej zaguby to co uratować się dało i wzbogacił przez to naszą, szczupłą bardzo, literaturę kościelną pracą sumienną i bardzo mozolną.

Czy poprowadzi ją dalej, dokończy i obraz wypełni, tak żeby w monografię Ołyki urosła? Któżby śmiał stawiać kategoryczne żądanie! Ten, który w odległe strony północy, do Orenburga, Jekaterynburga, Ufy i Permu niesie słowa pociechy z biskupiem błogosławieństwem i sakramentem Bierzmowania; ten, który obok trudów takich pasterskich podróży jeszcze w Akademii duchownej petersburskiej wychowuje przyszłych duszpasterzy: ten, jeśli czas, przeznaczony na odpoczynek, obraca na studya takie, jak niniejsze, godzien jest, aby przed nim uchylić czoła i powiedzieć z Dantem: *onorate!*

Ks. Chotkowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

L'épiscopat de Talleyrand. Par *P. Montarlot.* Autun. Dejussieu.

Ogłoszenie pamiętników Talleyranda wznowiło zajęcie się ogólne tą sfinksową postacią, która nawet po zgonie potrafiła ludzi zwodzić i omylać sądy historyi. Zewsząd mnożą się studya usiłujące uzupełnić niedopowiedziane wyznania starego lisa, zerwać podstępnie nagromadzone zasłony, któremi sam zakrył własne działanie przed okiem potomności. W ostatnim rzędzie, były minister drugiego cesarstwa, Emil Ollivier, sporządził charakterystykę i moralny wizerunek mistrza dyplomacyi nowożytnej, kończąc swe wywody krwawem i piętnującem słowem: „Polityka była dla Talleyranda rzemiosłem i przedsiębiorstwem handlowem, na którem z czasem miał zarobić około sześćdziesięciu milionów!“

Ale jeśli nie zbrakło biografów politykowi i dyplomacie, początki jego zawodu, biskupie w Autun rządy, dotychczas względnie były nieznane, nie wzbudziły pilnych i poważnych dociekań. W ostatnim dopiero roku przybyło nieco światła ku rozpoznaniu tego zakrytego okresu, ale centralizacya Paryża tak jest ogólną i wyłączną, iż książka napisana i wydana w Autun, przez to samo już jest skazaną na zapomnienie i zapoznanie. Przypadkiem chyba dowiedzieć się można o najcenniejszej publikacyi, jeżeli na prowincyi, nie w stolicy się ukazała. Może czytelnicy tedy radzi będą streszczeniu wyczerpującej pracy, której się podjął z iście biurokratyczną sumiennością były urzędnik państwowy, p. Montarlot.

Talleyrand przez dwa zaledwie lata nosił tytuł biskupa z Autun i faktycznie zajmował stolicę, na której dziś zasiada wielki przyjaciel Polski i Polaków, msgr. Perrand. Wertując miejscowe archiwa oraz dokumenta narodowe, udało się p. Montarlot, dzięki niezmiernej a cierpliwej pilności, wskrzesić bodaj dzień za dniem owo dwulecie rzekomych biskupich rządów, przeniknąć dwuznaczną rolę Talleyranda, który chciał w Autun uchodzić za kościelnego dostojnika, a w Paryżu za biegłego polityka, tam być biskupem, tu wyłącznie deputowanym, hołdującym nowym prądom.

Młody *abbé* de Périgard odebrał biskupie święcenia na dniu 16 stycznia 1789 r. A choć od razu przesłał swym owieczkom list pasterski na słowa św. Pawła: *Desidero videre vos*, pragnieniu onemu nie myślał zadośćuczynić, dopóki dekret królewski, zwołujący Stany na dzień 28 kwietnia, nie otworzył nowych widoków jego ambicyi. W marcu pospieszył tedy objąć swą stolicę, a zdobył sobie od razu przychylność duchowieństwa dyecezalnego ujmującem obejściem, wdziękiem, rozumem, oraz świetnością przyjęć i zebrań w biskupim pałacu. Z początkiem kwietnia, wybrany reprezentantem kleru do Stanów jeneralnych, wyjeżdżał do Paryża, spędziwszy w obrębie swej dyecezyi, która go już więcej oglądać nie miała, zaledwie jeden okrągły miesiąc!

Nie trzeba atoli mniemać, by Talleyrand od razu w warze polityki zapomniał był o swoich owieczkach. Acz pochłonięty intrygami dworskiemi i stołecznemi, światowemi zabawami i zabiegami polityki, znajdował zrazu dość czasu, aby przesyłać regularnie swym oficyałom wskazówki, konieczne do rządzenia dyecezyą. W niektórych okolicznościach wprost się nawet do swych owieczek odzywał. I tak np. wydał w październiku 1789 r. list pasterski, przepisujący czterdziestogodzinne nabożeństwo na intencye Francyi i króla. Trzeba czytać

w pracy p. Montarlot ów ciekawy dokument, naszpikowany cytatami łacińskiemi z Ojców świętych, ubolewający nad rosnącą ku religii nienawiścią, „acz niemasz silniejszej podstawy dla tronu, pewniejszego fundamentu i rękojmi pomyślności państwa“, wskazujący nareszcie jedyną ucieczkę w Bogu, który jeden może ludy i narody ocalić i ratować.

Tymczasem na dwa dni przed wysłaniem tej miodopłynnej odezwy, Talleyrand przedstawił był zgromadzeniu narodowemu wniosek o konfiskatę dóbr kościelnych, zastąpionych szczupłą rentą wypłacaną przez państwo duchowieństwu krajowemu.

Głuche wieści o stanowisku zajętem przez przedstawiciela kleru wśród zebranych Stanów, dochodziły do Autun, bądź za pomocą sprawozdań *Moniteura*, bądź żywem świadectwem podróżników przywożących ze stolicy niebudujące zgoła szczegóły o zachowaniu się Talleyranda w Paryżu...

W obawie postanowień, skierowanych przeciw odwiecznym duchowieństwa przywilejom, kapituła i kler dyecezalny polecał usilnie swemu mandataryuszowi obronę zagrożonych praw własnych; nie od razu wszelako domyślono się autora najzjadliwszych przeciw swobodzie Kościoła wniosków. Dopiero gdy w kwietniu 1790 r. zgromadzenie narodowe odrzuciło propozycyę Kartuza, Dom Gerle, żądającego, by uchwalić, że „religia rzymsko-katolicka jest i pozostanie zawsze religią narodu“ — protest mniejszości posłów, którzy nie zgodzili się na odrzucenie tak zasadniczej uchwały, jął obiegać kraj cały. Duchowieństwo dyecezyi Autun skorzystało z tej sposobności, aby raz więcej zgłosić się do swego przedstawiciela i biskupa, tym razem zbiorowym aktem, w którym prześwieca ironia. Zdumiewać im się przyszło, gdy nie znaleźli podpisu swego zwierzchnika wśród stu czterdziestu nazwisk protestujących; przypuszczają, iż to tylko zwłoka, aby w porozumieniu z duchowieństwem wystąpić, a uprzedzając rzekomo niezawodne biskupa zamiary, przekładają mu protest równie stanowczy jak wyraźny, opatrzony podpisami kapituł, proboszczów i przełożonych zakonnych dyecezyi augustodunskiej, prosząc, aby dodawszy własne nazwisko, uzupełniony tem dokument wręczył zgromadzeniu narodowemu.

Wobec podobnie postawionej alternatywy, Talleyrand nie mógł dalej dwuznacznej odgrywać roli, nie mógł też dłużej milczeć. Przesłał tedy do Autun odpowiedź, wikłającą z umysłu pojęcia i zdania, próbującą usprawiedliwić własne postanowienia, i oświadczył wkońcu bez ogródki, że przesłanej sobie protestacyi nie chce ani myśli podpisać.

Jeśli niczego innego nie spodziewali się już dyecezanie po przeniewierczym wysłańcu, owa odpowiedź ten miała skutek bezpośredni, iż rozwiązała usta dotąd ostatkiem uszanowania zamknięte. Tymczasem biskup zatrzymywał jeszcze swoje zwierzchnictwo. I tak np. gdy wiosna i lato owego roku przeciągłą słotą zniszczyło rolników nadzieje, a w całej Francyi zanoszono publiczne modły dla odwrócenia klęski, pojawia się nowy list pasterski Talleyranda, niemniej namaszczonym od poprzednich pisany stylem, przepisujący ponownie czterdziestogodzinne nabożeństwo dla przebłagania miłosierdzia bożego.

Tym razem kapituła nic nie odpowiedziała, wiedząc już czego się trzymać co do wartości moralnej swego pasterza. Na dniu 14 lipca 1790 r. Talleyrand odprawił publicznie na Polu Marsowem nabożeństwo federacyjne, ostatnią mszę w życiu, świętokradzką szyderstwem i nietajonem zwątpieniem. W miesiąc później, d. 24 sierpnia, zgromadzenie narodowe przeprowadzało konstytucyę cywilną kleru, wymagającą osobnej na nią przysięgi od wszystkich członków duchowieństwa. Z końcem roku sam biskup augustoduński składał ową przysięgę, potępioną przez Rzym, wytwarzającą schyzmę w łonie kościoła francuskiego. Co więcej, osobnym okólnikiem wzywał księży dyecezalnych, aby za jego poszli przykładem.

Krok ten rozrywał węzeł duchowny, zachodzący między biskupem odstępcą a wierną trzodą. Wobec schyzmatyka nie było co przestrzegać dawnych zobowiązań hierarchicznej uległości. Duchowieństwo dyecezalne tym razem wystąpiło śmiało i bezwzględnie, potępiając niegodziwe dzieło zgromadzenia narodowego i powołując przeniewierstwo swego przedstawiciela na sąd boży, a jednocześnie wyznawało niezłomną swą wierność dla rzymskiego Kościoła. Gwałtowność owego wystąpienia nabiera osobnej tragiczności, gdy się wspomni, iż z pośród kapłanów, którzy ów akt podpisali, liczny zastęp przypieczętował niebawem krwią własną przywiązanie swe dla Kościoła i wierność ślubowanym zobowiązaniom.

Oczywiście Talleyrand nie dał odpowiedzi na to oświadczenie. Po dwa razy wystąpił jeszcze w charakterze biskupim: raz aby święcić nowego arcybiskupa paryskiego, wybranego z pośród księży, którzy się nie uchylili od nowej przysięgi, drugi raz by złożywszy zarząd dyecezyi, na następcę swego w Autun wyświęcić podobnież zaprzysiężonego na cywilną konstytucyę kleru duchownego. Nie poszczęścił konsekrator obu tym schyzmatyckim dostojnikom. Nie minęło lat trzy, aż oto obydwaj na rusztowaniu położyli głowę pod nóż gilotyny. Wówczas

już były biskup z Autun zaprawiał się w Londynie w biegłości dyplomatycznej, z której miał zabłysnąć w drugim okresie swego życia.

Książka, z której zdajemy sprawę, popiera dokumentami smutne dzieje odstępcy, gotowego własną zaprzedać trzodę, i w chwilach strasznego przełomu opuścić owieczki, ratujące się wiernością Kościołowi. Bardzo ciekawa ta publikacya rozjaśnia zawiłe strony zagadkowego charakteru Talleyranda i ostatecznie rozstrzyga o jego moralnej wartości.

M.

Poemata Jana Wazowa. Sofia 1893. (Поеми отъ Ивана Вазовъ. София 1893).

Zdarzają się niekiedy w życiu jednostek i całych narodów chwile wielce dramatyczne, a nawet nacechowane pewną tragicznością, w których się przesuwa daleko więcej wrażeń, wypadków, klęsk lub radości, niżeli w długim lat szeregu. Taką epoką obfitą w ważne i niezwykłe fakta, było dla Bułgaryi powstanie z r. 1876 przeciwko Ottomanom, w celu zrzucenia ze siebie dokuczliwego muzułmańskiego jarzma. Nie dziw też, że doniosła i groźna ta chwila zdołała natchnąć najwybitniejszego bułgarskiego poetę, a zarazem jednego z najgorętszych patryotów, do skreślenia całego szeregu epicznych utworów, których zbiorek wymieniliśmy w tytule. Wśród nich najbardziej na uwagę zasługuje cykl, noszący nazwę: „Epopeja o zapomnianych“ (Епопея на забравени-тѣ). Cykl ten — to jakby pomnik wzniesiony na cześć wielu nieznanych światu bohaterów, którzy wśród bułgarskiego narodu zajaśnieli na chwilę jak meteor blaskiem nieustraszonego męstwa i bezgranicznego poświęcenia, gorącem słowem porwali rodaków i powiedli ich za sobą na bój z *duszmaninom* (wrogiem), a wreszcie pierwsi legli na wyłomie w obronie ojczystej ziemi i chrześcijańskiej wiary. Cały też niemal zbiór, oznaczony tytułem „Poemata“ (Поеми), osnuty został na tle nierównej walki, prowadzonej przez stronę silniejszą z dziką zaciekłością i okrucieństwem, przez słabszą zaś z rozpaczliwą odwagą. Kreśląc te pełne grozy obrazy, p. Wazow nie potrzebował zasięgać od innych szczegółów i wskazówek, sam bowiem jako dwudziestokilkoletni młodzieniec brał czynny udział w ruchu narodowym, i dzięki osobistym wrażeniom, wyniesionym z tej burzliwej epoki, zdołał ją scharakteryzować z wielką prawdą i życiem, oraz właściwy nadać jej koloryt. W „Epopei o zapomnianych“ na szarem tle ucisku i prześladowań z jednej, a rozpaczy lub apatyi z drugiej strony, występują nie zmyślone, ale rzeczywiste,

historyczne sylwetki kilku niepospolitych mężów czynu, jak Lewski, Benkowski, dwaj Żekowie, Kableszkow, Rakowski i t. p. Jedni z nich, a mianowicie Lewski i Kableszkow, rozniecają zagrzebaną w popiele iskrę patryotycznego zapału, inni w chwili stanowczej wolą raczej zginąć śmiercią bohaterską, niż jako niewolnicy czołgać się u nóg zwycięskich nieprzyjaciół. Obok tych ludzi z niespożytą energią i średniowiecznym rycerskim animuszem, widzimy tam również nielicznych wprawdzie, ale wybitnych szermierzy na polu walki ducha, jakimi są przedewszystkiem zakonnik Paisyusz, oraz bracia Miladinowie. Pierwszy z nich skreślił pierwotną historyę Bułgaryi i obrazami sławnej, chociaż odległej przeszłości, obudził w bułgarskim narodzie poczucie samowiedzy. Co do braci Miladinowych, to słusznie nazwaćby ich można bułgarskimi *Knaben Wunderhorn*, gdyż pierwsi zaczęli zbierać na ojczystej niwie ludowe pieśni i podania (народни умотворения), z tą jedynie różnicą, że gdy niemieccy ich poprzednicy spokojne wiedli życie, to Miladinowie musieli krwią własną okupić zamiłowanie rodzinnej literatury. Wiersz im poświęcony należy do najpiękniejszych w całym tym zbiorze, bo też i bohaterowie jego, to dwie może najbardziej świetlane postacie w dziejach rozwoju oświaty i piśmiennictwa w Bułgaryi.

Starym, od klasyków greckich przyjętym zwyczajem, poeta rozpoczyna swój utwór odezwą do narodowej muzy:

O lećcie i dźwięczcie pieśni macedońskie,
Tak smętne i rzewne jak treny syońskie,
Zmieszane z westchnieniem, łzą, kajdan odbrzękiem;
Ze snu grobowego obudźcie swym dźwiękiem
Te stare tradycye, wspomnienia te dawne,
Któremi jaśnieją stulecia wciąż sławne,
Z pod mogił nieznanych dźwigajcie wy kości
Junaków, poległych w obronie wolności,
Tych orląt ze Wschodu z ostremi szponami,
Okrytych krwią, sławą, bliznami, ranami,
Śpiewajcie je dziewy pod Pindem i Szarem,
Pod Strugą, tem miastem tak pięknem a starem,
Gdzie światło ujrzeli dwaj Miladinowie,
Bułgaryi naszej najlepsi synowie [1].

[1] Летете, ектете, пѣсни македонски,
Печални и тѫжни, кат' пѣсни сионски,
Сдружени съ въздишки и съ оковенъ звънъ;
Дигайте, будете отъ гробнията сънь
Тезъ спомени стари, тезъ прѣданья вѣти,
Що, кат' сѣнки чудни, пълнатъ вѣкове-тѣ:

Obu tych sympatycznych miłośników wszystkiego, co ojczyste, przedstawia nam autor już jako skazańców osadzonych w więzieniu:

. . . . . Okutych w łańcuchy,
Jak dwa żywe trupy wtrącone w grób głuchy,
Czas płynął, lecz promień nadziei lub słońca
Rozjaśnić już nie miał tej nocy bez końca [1].

— A za cóż — pyta dalej poeta — za co tak srogie spotkały ich katusze w podziemnych konstantynopolitańskich lochach, które już niejednej ofierze wyssały siły żywotne i złamały życie?

Za to, że w epoce posępnej i głuchej
Budzili do życia rodaków swych duchy
I braci rodzonych swą mową serdeczną
Wzywali do walki o przyszłość słoneczną!
Za to, że wyrzekli: „W narodów wszech tłumie
Nasz naród jest wielki i Bóg go zrozumie!“
Za to, że wciąż pieśni zbierali po kraju,
Jak wiejskie dziewczęta z nad Tundży, co w maju
Lilie zbierają i kładą pod głową,
By zbudzić się rano z jutrzenką różową.
Za to, że równianki uwili pachnące
Z traw, kłosów na polu, lub kwiatów na łące,
Bo w cudne i pełne harmonii dźwięki
Zlewali narodu łzy, pieśni i jęki,
Że muzom rodzinnym służyli pochopnie,
Więc na to się Fener oburzył okropnie,
A sam patryarcha grecki rozgniewany
Zawołał: „Tych śmiałków trza zakuć w kajdany“ [2].

Юнаци измрѣли безъ гробъ, безъ вѣнци,
За горска свобода паднали борци;
Орляци Левенти, дружини отбрани,
Покрити съсъ слава, съсъ кърви и съ рани...
Пѣйте ги, дѣвици, при Пиндъ и при Шаръ,
Пѣйте ги при Струга, градъ хубавъ и старъ,
Дѣто се родихѫ двата Миладина,
На България наша двата вѣрни сина.

[1] . . . . . въ окови два роба,
Кат' два живи трупа, хвърлени въ два гроба.
Вѣкове минахѫ!... Отъ слънце заря,
Нито отъ надежда до тѣхъ не огря!

[2] Защото въ единъ вѣкъ, вѣкъ мраченъ и глухъ,
Разбуждахѫ смѣло народния духъ,
И на братя родни, чрѣзъ родно-то слово
Тѣ готвяхѫ битви и бѫдѫще ново...

Wreszcie po długich miesiącach niewoli braci Miladinowych, nadchodzi do patryarchatu ułaskawienie tych nieszczęśliwych, skreślone ręką samego sułtana. Ponieważ jednak obaj młodzieńcy paraliżowali greckich fanaryotów usiłowania, aby wykorzenić z serc Bułgarów wszelkie uczucia patryotyzmu i narzucić im przemocą grecki język, uwolnienie więc ich nie leżało bynajmniej w widokach patryarchatu. Dlatego też, jak głosi poeta:

. . . . Fener [1] — to siedlisko nieszlachetnej rasy,
To gniazdo obłudy, fałszu i chytrości,
Zhańbione od dawna już w oczach ludzkości;
Ten Fener, skąd niegdyś przez długie stulecie
Rozpusta po całym szerzyła się świecie,
I dzięki któremu mgła szara a głucha
Owiała Wschód cały, uśpiła w nim ducha,
A człowiek, niezdolny ku niebu wznieść oko,
Pogrążył się w drzemkę zwierzęcą, głęboką;
Fener, co nie wierzył w żadne ideały,
Na wieść tak niemiłą aż zatrząsł się cały
I gniewnie zawołał: „Bóg sądzi inaczej,
Ci dwaj zamiast ujść nam, muszą umrzeć raczej!“ [2]

Защото казахѫ: »Народъ сме великъ,
И Господъ познава нашиятъ язикъ!...
Защото сбирахѫ пѣсни по цѣлъ край,
Тѫй, както при Тунджа, момитѣ прѣзъ май,
Триндафили сбиратъ и въ кошници гуждатъ,
За това по-рано отъ сънь се събуждатъ;
Защото увихѫ китка мириздива
Отъ здравецъ и росенъ, и отъ класъ на нива; —
Защото струпахѫ въ единъ общи тонъ
Всичко, що бѣ отзивъ, припѣвъ, звукъ и стонъ,
И служихѫ въ храма на мирни-тѣ Музи,
Затова една нощь патрикътъ нахлузи
Свой-та черна капа и злобно каза:
»За тезъ два хайдука трѣбватъ желѣза«.

[1] Ponieważ rezydencya schyzmatycko-greckiego patryarchy w Konstantynopolu wznosi się w dzielnicy zwanej Fener, Bułgarzy więc zastosowują tę nazwę do samego patryarchy, podwładnych zaś mu Greków zowią feneryotami lub fanaryotami.

[2] . . . . . Фенеръ, котило на ехидна раса,
Гнѣздо на кощунство, на лѣность, на блудъ,
Феверъ, по срамътъ си позорно прочутъ,
Феверъ, отъ кѫдѣ-то, прѣзъ вѣкове цѣли,
Развратъ и мрътвило въ свѣта сѫ се лѣли,
И който забули всичкиятъ Въстокъ

To rzekłszy — dodaje poeta — obłudny patryarcha „przeżegnał się pobożnie i... obu więźniom posłał truciznę“ [1]. W kilka godzin później:

Po nocy posępnej i ciemnej,
Wśród murów więziennych rozbrzmiały o świcie
Radośne okrzyki: „Przebaczenie, życie!“
A biedni dwaj bracia w przedśmiertnej katuszy
Ostatnie już jęki dobyli z swej duszy,
I śmierci lodową objęci już ręką,
Żegnali świat boży ostatnią piosenką,
A wreszcie gasnącym szepnęli już głosem:
„O! zlituj się, Boże, nad Bułgaryi losem!“ [2]

Takim mniej więcej duchem tchną wszystkie niemal epiczno-liryczne utwory p. Wazowa, zawarte w cyklu „O zapomnianych“. Mówiąc o zdobyciu miasta Peruszycy w r. 1876 przez Turków, poeta porównywa je ze zdobyciem Saragossy w Hiszpanii i wtargnięciem Rosyan do Warszawy w r. 1831. Obok epopei на забравени-тѣ znajdujemy jeszcze poemacik pod tytułem: „Kopiec“ (Грамада), malujący życie ludu wiejskiego w Bułgaryi za czasów tureckiego panowania. Bohaterami tego utworu są młodzi narzeczeni, Kamen i Cena, którzy już sobie na przyszłość najpiękniejsze snują plany. Ale, niestety, Kamen jest ubogi, ojciec zaś Ceny, stary Ceko, najbogatszy kmieć we wsi, stara się pozyskać względy tureckich baszów i agów, obiecując jednemu z nich córkę. Dowiedziawszy się o tem, Cena próbuje z narzeczonym ratować się ucieczką, ale zostaje schwytaną przez ścigają-

---

Съ една гѫста мрѣжа, и никой тълчокъ
На духа не даде, нито мисъль нова
На човѣка, надналъ въвъ дрѣмка сурова,
Безъ вѣра въ прогресса и безъ идеалъ; —
Фенеръ, при таквазъ вѣсть потрепера цялъ
И, уплашенъ, рече: »Другъ е Божий сѫдъ!
Тие два убийца трѣбва да умрѫтъ!«

1 И, кат' се прѣкръсти, прати имъ отрова.

2 Нощь-та бѣ студена, мрачна и сурова.
На зарань-та рано тъмничния сводъ
Огласихѫ думи: милость и животъ!
А бѣдни-тѣ братя въ прѣдсмъртни страданья
Испущахѫ свой-тѣ послѣдни стенанья.
И вече обзети отъ гробния хладъ,
Тѣ пращахѫ сбогомъ на Божия святъ,
И шушняхѫ тихо съ гаснѣюща сила:
»Какъ много те любимъ, Българио мила!«

cego ją ojca, Kamen zaś wymknąwszy się szczęśliwie z rąk wrogów, zaciąga się do bandy tak zwanych hajduków, którzy niejednokrotnie w walkach południowych Słowian z Turkami ważną odgrywali rolę. Nieszczęśliwa Cena, oddana na łaskę lub niełaskę nienawistnego agi, pędzi okropne życie, ojciec zaś jej w porozumieniu z Turkami dopuszcza się najhaniebniejszych gwałtów i bezprawi. Wreszcie oburzeni jego sąsiedzi proszą miejscowego popa, by go jako renegata uroczyście wyklął. Oto w jaki sposób opisuje poeta tę ceremonię:

Wprzód, niżeli ranne zorze
Złoty blask rozniecą,
Pop wychodzi z księgą w dłoni
I woskową świecą.

Dokąd spieszy tak raniutko?
Może do chorego,
By pomodlić się o zdrowie,
Lub o śmierć dla niego?

Albo może święcić wodę
Będzie dziś pop stary,
Lub odegnać chce modlitwą
Jakieś widma, czary?

Nie, on dzisiaj do niczyjej
Nie podąża chaty,
Lecz na pola, tam gdzie rośnie
Jasion rosochaty;

Twarz zwróciwszy ku wschodowi,
Pop drąg wbija w ziemię,
I szeleści swojej księgi
Kartkami białemi.

A płonącą żółtą świecę
Wciąż trzymając w dłoni,
Śpiewa hymny i głos drżący
Rozbrzmiewa po błoni...

Wreszcie odszedł pop od drąga,
Spojrzał hen daleko,
I rzuciwszy kamień, krzyknął:
„Bądź przeklęty Ceko!“

На зарань-та, прѣди слънце,
Попътъ се затече,
Подъ мишница съ патрихиля
И съ мазно-то светче.

Дѣ отива толкосъ рано?
При болни ли Дима,
Да му чете зарадъ здраве?
Или смрътникъ има?

Или вода да светява
Съсъ ниски поклони?
Или бродници отъ нѣйдѣ
Съ молитва да гони?

Не, той нийдѣ не отби се,
Нищо не продума:
На полето той излѣзна
И спрѣ се при друма.

И застана срѣщу истокъ.
Въ земя колъ побива
Мѣтна на вратъ патрихиля,
Светче-то открива.

И зачете глухо попъ-тъ
Брала му трепери...
Молитва ли, какво бѣ —
Той се начумери...

И отстжпи отъ колеца,
Паведе се леко,
Камъкъ зе, хвърли и рѣче:
»Проклетъ да е Цеко!«

Od owej chwili każdy, kto tamtędy przechodził, musiał na to miejsce rzucić kamień ze słowami klątwy, i wkrótce potem kupa głazów wyrosła do wysokości sporego kurhanu. Odtąd też Ceko nie ma ani chwili spokoju, ciągle mu bowiem przed oczyma stoi zaklęty kopiec, każdy zaś kamyk zdaje się doń wołać: „Tyś przeklęty!“ Zamiast

jednak się poprawić, renegat za pomocą Turków zamierza zemścić się srodze na swoich sąsiadach, gdy nagle rozchodzi się pogłoska o pierwszej porażce, zadanej muzułmanom, podczas bułgarskiego powstania. Upojeni radością wieśniacy postanawiają ukarać śmiercią Ceka za wszystkie poniesione od niego krzywdy, w tej chwili jednak wkraczają do wsi zwycięscy Bułgarzy, pod dowództwem dzielnego Kamena, wiozącego oswobodzoną przez siebie Cenę. Ten widząc niebezpieczeństwo grożące ojcu swej narzeczonej, darowuje mu życie, sądzi bowiem, że widok szczęścia córki, któremu niegdyś stał na przeszkodzie, będzie najsurowszą dla niego karą.

A jednak — dodaje poeta — chociaż od tego czasu minęło wiele miesięcy, a nawet lat:

Kopiec ciągle jeszcze rośnie
Dziwnie, nieprzerwanie,
I kamienie wciąż się zdają
Szeptać na kurhanie:

Że łza wdowia lub sieroca
Wyschnąć już nie zdoła,
Złe wspomnienia nigdy w duszy
Nie zatrą się zgoła.

А грамада-та расте сé
Неусѣтно, тайно
И камъне върху нея
Хвърчѫтъ непрѣстайно:

Че сюрмашки сълзи клети
Лесно не изсъхватъ,
Зли-тѣ спомени въ душа-та
Скоро не заглъхватъ...

Pięknym tym morałem zamyka się poemacik *Gramada*, odznaczający się w całym swym ciągu lekkością, wdziękiem i potoczystością formy. Takież same zalety zewnętrzne posiada najlepszy utwór pod tytułem „W królestwie efemery“ (Въ царство-то на самодивн-тѣ), chociaż pod względem treści różni się całkowicie od innych poetyckich kreacyj p. Wazowa. Autor, podobnie jak wszyscy niemal południowo-słowiańscy poeci, wprowadza w nim czytelnika do fantastycznej krainy, służącej za siedlisko tajemniczym wilom, przyjaciółkom bohaterów i pieśniarzy. Ucieszone przybyciem takiego gościa, urocze rusałki wyprawiają na cześć jego napowietrzne tany, poczem jedna z nich ofiarowuje mu się za przewodniczkę w barwnych sferach wyobraźni, gdzie nie potrzeba map i busoli, bo wzrok zwykłych śmiertelników tam już nie sięga. Z niedościgłych wyżyn fantazyi wila pokazuje poecie całą bułgarską ziemię, wszystkie górskie szczyty piętrzące się u jej krawędzi, a wreszcie zamek Prespę, dawną rezydencyę najznakomitszego bułgarskiego władcy, cara Samuela. Piękna jest rozmowa z widmem tego monarchy, któremu poeta niezbyt wprawdzie jasnemi, ale realnemi barwami maluje obecne chwile i współczesne stosunki w swojej ojczyźnie. — Gdybyś zmartwychwstał — woła z boleścią — to, niestety,

Cóż twój geniusz mógłby zdziałać?
Niegdyś ty umarłeś z bolu,
Dziśbyś wstydem musiał palać![1]

Wreszcie nadchodzi chwila pożegnania z górskiemi wilami, poeta więc wraca z niechęcią do rzeczywistego świata, wołając:

Chciałbym zostać tu na wieki
Wśród czarownej gór przyrody,
Gdzie się mieści świat daleki
Ciszy, prawdy i swobody![2]

Obok tych utworów poważniejszej treści i szerszego polotu, w książce pod tytułem *Poemi* mieści się też parę wierszy humorystycznych, oraz kilka ulotnych poezyj, zaczerpniętych z ludowych baśni i podań, które pod ręką poety w artystyczną przybrały się szatę.

Oto jak pod względem treści przedstawia się powyższe wydawnictwo poetyckich kreacyj p. Wazowa. Zbytecznem byłoby zastanawiać się obszernie nad ich zewnętrznemi charakterystycznemi cechami, dodać więc tylko możemy, że jeżeli p. Wazow od dawna cieszy się opinią jednego z najbardziej utalentowanych bułgarskich poetów, to powyższe jego utwory stwierdzają, że opinia taka jest zupełnie zasłużona.

Tytus Sopodźko.

Der Brief des heil. Jacobus. Erklärt von *Franz Sales Trenkle,* Privatdocent an der Univers. zu Freiburg im B. Mit Approbation des Hochw. Herrn Erzbischofs von Freiburg. Herder'sche Verlagshandlung. Freiburg im B. 1894. (VI., 413).

Księgarnia nakładowa Herdera, do licznych swoich zasług na polu wydawnictwa najlepszych dzieł teologicznych, wydaniem obecnej książki nową i niepoślednią zasługę dodała. Książkę tę nietylko teologowie, oddający się studyom biblijnym, przyjmą z radością, lecz i praktycznie w duszpasterstwie pracującym kapłanom będzie ona bardzo pożyteczna, bo jak sam autor na str. VI. zauważył, św. Jakub pisał ten list z życia i dla życia.

---

[1] Твоятъ геній що ще стори?
Нявга ти умрѣ отъ жалость,
Днесъ умрѣлъ би отъ позори!

[2] О да бихъ осталъ тукъ вѣчно,
Въ благородна-та природа,
Въ туй убѣжище далечно
На миръ, истина, свобода!

Treść książki jest następująca. W przedmowie wspomina autor o encyklice Ojca św. Leona XIII., odnośnej do studyum Pisma św. [1], i mówi, że owi pierwsi egzegeci Pisma św., których poleca Ojciec św. w encyklice wspomnianej, są jako wielkie i jasne gwiazdy, przy których świetle bledną i najlepsze dzisiejsze gramatyczno-historyczne tłumaczenia. A następnie czyni tę uwagę, że jak Słowo Boże wcielone, wśród jednego tylko narodu głosiło swą naukę w pewnym ograniczonym czasie i na jednej cząstce ziemi, podało jednak, wśród tych ludzkich i zmiennych okoliczności, prawdę i zbawienie niepodległe zmianom, światu całemu; tak samo rzecz się ma i z pisanem słowem bożem. Powstało ono wśród przeróżnych szczególnych okoliczności, i jest też dlatego z jednej strony wiernym obrazem miejsca i czasu, w którym powstało, z drugiej jednak strony zawiera jednocześnie, nie czasową tylko i miejscową, lecz wieczną i bożą prawdę. Po tej przedmowie następuje spis całego w książce obrobionego przedmiotu, w którym autor na 24-ry paragrafy dzieli całą treść książki, zawartą na 407 stronicach. Jak zwykle w tego rodzaju książkach, i tu autor przed samem tłumaczeniem, czyli przed egzegezą, omawia pytania introdukcyjne, odnośnie do tego listu. Introdukcya ta zajmuje 60 stronic.

W § 1, od str. 1 do 14 rozbiera pytanie „o autorze listu“, okazując, że cztery były zdania w tym względzie. Zdanie pierwsze, że Jakub, autor tego listu, to rodzony brat P. Jezusa. Takie było zdanie Ebionitów, a za niem poszedł tylko znany nieprzyjaciel dziewictwa Matki Najświętszej, Helwidyusz *(Hier. C. Helvid.* XXIII) i Aryanin Eunomiusz *(Excerpt. Philostrat* VI., 2). Lecz żaden z pisarzy Kościoła tego zdania nie przyjął [2]. Wedle innych Jakub, autor listu, był synem św. Józefa z poprzedniego małżeństwa. Za tem zdaniem poszło kilku pisarzy kościelnych, lecz słusznie św. Hieronim zdanie to nazywa *deliramenta apocryphorum (In Math.* 12, 17). Zdanie trzecie, św. Hieronima, jest, że autor naszego listu jest synem Alfeusza i Maryi, siostry (to jest krewnej, według sposobu mówienia żydowskiego) Matki Najświętszej. Za tem zdaniem poszedł św. Augustyn *(Tract. 28 in Joann.)*, Izydor Sewilski *(De vita et obitu sanct.* c. 68) i cały Kościół zachodni [3]. Zdanie czwarte utrzymuje, że autor listu jest Jakubem, synem

[1] *Providentissimus Deus* z 18 listopada 1893.

[2] To pierwsze zdanie słusznie możemy nazwać zdaniem bezbożnem, od Kościoła świętego odrzuconem.

[3] Zdanie to jest dziś od katolickich pisarzy ogólnie przyjęte.

Zebedeusza, a bratem św. Jana Ewangelisty. Lecz bardzo mało pisarzy idzie za tem zdaniem, a niewłaściwość jego już św. Hieronim okazał. Jakub, brat św. Jana Ewang., został (patrz Dzieje apost. 12, 2) od Heroda Agryppy, starszego, mieczem ścięty około r. 44, a więc nie mógł być autorem naszego listu, który znacznie po roku 44 został napisany. Wszystkie te cztery zdania, na podstawie danych historycznych, jasno, przekonywająco rozbiera nasz autor. Materyału naukowego nagromadził tu wiele, z którego korzysta bardzo dobrze. Od str. 9 do 14 podaje piękną charakterystykę osoby św. Jakuba, idąc za podaniem Hegesippa, Epifaniusza, Józefa Flawiusza i za innemi najdawniejszemi podaniami o naszym Apostole [1]. Jako czas śmierci Apostoła podaje rok 63.

W § 2, od str. 14—21, odpowiada na pytanie: którzy byli pierwsi czytelnicy listu św. Jakuba; czyli, kogo trzeba rozumieć w tych słowach adresu, zawartych w pierwszym wierszu pierwszego rozdziału:

---

[1] Wogóle pytanie o autorze naszego listu należy do kwestyj zawilszych z biblicystyki N. Z. Czy Jakub nasz był Apostołem? ilu Jakubów w N. Z. trzeba odróżniać, dwóch czy trzech? — jest to pytanie niełatwe do rozwiązania, i już nieraz pisarze biblicystyczni (jak Holtzmann, *Zeitschrift für wissenschaftl. Theol.*, 1880) narzekali na „zagmatwanie bez końca kwestyi o Jakubach w N. Z." *(heillose Verwirrung der neutestamentlichen Jacobe)*. Najlepiej, zdaniem naszem, tłumaczy nam przyczynę tego zagmatwania Jakubów, Kaulen, *Einleitung*, 1893, str. 645: „Schon in alter Zeit (*Constit. Apost.* 2, 55; 6, 12, 1, 721, 940; *Recognit.* 1, 43, 1, 1232; *Euseb. in Is.* 17, 5, XXIV, 209; H. E. 1, 12, XX, 120; *Epiph. Haer.* 79, 3, XLII, 744) hat die grosse Ehrfurcht vor dem Buchstaben der heil. Schrift den Irrthum hervorgerufen, es habe drei Jacobe gegeben, weil der Apostel, der Bruder des Herrn, von dem Sohne des Alphaeus zu unterscheiden sei". Otóż, ponieważ nasz Jakub nazwany jest raz (a to: Mat. 10, 2, 3; Mark. 3, 17, 18; Dzieje ap. 1, 13) Jakubem synem Alfeusza, a drugi raz (to jest: Mat. 13, 55; Mark. 6, 3; ad Gal. 1, 19) bratem Jezusa, więc wielu, z wielkiej czci dla litery Pisma św., sądziło, że trzeba syna Alfeusza uważać za inną osobę od brata Jezusowego, i stąd powstało zamieszanie w kwestyi o Jakubach. Z nowszych pisarzy katolickich żaden nie odróżnia Jakuba brata Jezusa od syna Alfeusza (czyli Kleofasa). Jeden tylko Schegg (*Jacobus, Bruder des Herrn u. sein Brief*, München 1883) błąd ten dawny odświeżył. I zaiste, żałować trzeba, że pisarz tak uczony, pobożny i wielkiej zasługi, w błąd popadł tak oczywisty. Nasz autor, Trenkle, i inni — jak np. Reithmayr, *Einleit.* 695 sq.: Cornely, *Introd.* III, pag. 593 sq. — niezbicie okazują, że dwóch tylko Jakubów znamy w N. Z. i obaj są Apostołami, a autor naszego listu jest synem Alfeusza a oraz bratem, czyli krewnym Pana Jezusa.

„Dwiemanaście pokoleniom, które są w rozprószeniu“ [1]. Tu udowadnia, że te 12 pokoleń, to są Żydzi wierzący (czyli Żydzi, którzy przyjęli religię Chrystusową), że nie można rozumieć tu Żydów wszystkich razem, wierzących i niewierzących, po całym świecie rozprószonych; ani też nie można sądzić, że 12 pokoleń oznacza mistycznie wiernych z pogan nawróconych. Nie trzeba tu sądzić, udowadnia autor, że do kościołów, z samych Żydów nawróconych się składających, po świecie rozprószonych, list ten jest posłany, bo takich kościołów wówczas nie było; lecz wprost do samych nawróconych Żydów został ten list napisany. Główną swą argumentacyę opiera tu autor na treści listu, czyli na dowodach wewnętrznych. Dobrze tu jest okazane, jak po całym świecie wówczas Żydzi byli rozprószeni, jak mimo rozprószenia w ciągłej styczności byli z Jerozolimą, i jak przez to rozprószenie bardzo wcześnie wszędzie wieść doszła o Chrystusie Panu.

§ 3, str. 21—23. Powód i cel listu. I tu z treści listu okazuje autor, że prześladowania, na które wystawieni byli wierni Żydzi, były pierwszym listu powodem. Prześladowania te nietylko materyalnie ciężkiemi były dla nich, lecz często różnych pokus i powątpiewania były przyczyną. Bogaci gnębili biednych, ci zaś nieraz zazdrością i zawiścią ku nim pałali, a nieraz znów zanadto im wielką cześć i uległość okazywali. Z charakteru żydowskiego płynące przywary, jak np. zbytnie uganianie się za handlem i zarobkiem, chęć narzucania się innym za nauczycieli wiary, łatwość przysięgania i inne grzechy językiem popełniane, a prócz tego fałszywe pojęcia i nauki o usprawiedliwieniu z sa-

---

[1] Św. Jakub pisze: ταῖς δώδεκα φυλαῖς, ταῖς ἐν τῇ διασπορᾷ. Żydzi bardzo chętnie nazywali siebie „dwanaście pokoleń“ (patrz. Mat. 19, 28; Dzieje ap. 26, 7; Apok. 21, 12), a „rozprószenie“, διασπορα, czytamy już w księgach Starego Zakonu. W księdze *Judyth.* 5, 19, „rozprószenie“ znaczy miejsce, w którem mieszkają Żydzi z ojczyzny wydaleni; zaś w drugiej księdze *Makab.* 1, 27, „rozprószenie“ oznacza samych Żydów za ojczyzną mieszkających. Jak szeroko już wówczas byli Żydzi po świecie rozprószeni, o tem najlepiej świadczą sami pisarze żydowscy, jak Philo, którego cytat odnośny, *De virt. et legat. ad Cajum* II, nasz autor (Trenkle) podaje str. 18, a my dodajemy tu i świadectwo Józefa Flawiusza (*Antiq.* XIV, 7, 2), który powołując się na Strabona, mówiącego o Żydach w Cyrenie, czyni tę uwagę, iż niełatwo w świecie całym znaleśćby można miejsce, w któremby Żydów nie było. Tak Opatrzność Boża, na całe wieki przed Chrystusem Panem, po świecie całym Żydów rozprószyła, aby oni, w Starym Zakonie, wszędzie wieść roznieśli o Messyaszu oczekiwanym, w Nowym zaś Zakonie, by byli pierwszymi zwiastunami już przybyłego Messyasza.

mej teoretycznej wiary pochodzącem: oto były główne powody tego listu. By podać wobec tego wszystkiego wiernym potrzebną naukę i napomnienia stosowne, to był cel naszego listu „katolickiego".

§ 4, od str. 23—33. Właściwość treści i formy listu. Na dwóch pierwszych stronach podaje tu autor główne myśli listu w tym porządku, jak są w liście zawarte, tj. podaje treść listu, a na str. 25 czyni ten wniosek, że Apostoł przedstawia tu chrześcijaństwo z etyczno-praktycznej strony. Następnie, na str. 25—27, na wielu (około 20) przykładach i cytatach w sposób przekonywający okazuje autor, że list ten jest zupełnie podobny do mowy, czyli kazania Chrystusa Pana wypowiedzianego na górze (Mat. 5—7), a poczynającego się od ośmiu błogosławieństw. Od str. 28—30 na przykładach przeszło 30 okazuje dalej, jak bardzo pokrewny jest nasz list i z książkami mądrości Starego Zakonu, a to: z Księgą Przypowieści, Mądrości, Ekklezyastesa i Ekklezyastyka. Snać autor naszego listu cały był przejęty prawdą i mądrością w tych księgach Starego Zakonu zawartą, kiedy nieustannie płyną z pod jego pióra sentencye z tamtemi pokrewne a często prawie dosłownie zgodne. Nawet forma listu jest urobiona na podstawie owych ksiąg Starego Zakonu. To nie jest list właściwy, lecz raczej zbiór sentencyj. Sentencya idzie tu za sentencyą jak perła po perle nanizana na nitkę jedwabną. W pierwszej tylko chwili, zdaje się, że bez planu są tu nagromadzone liczne sentencye i nauki, lecz gdy dokładniej w liście się rozpatrzymy, piękny, godny Apostoła, widzimy plan i rozłożenie nauk. Wielkie tu bogactwo obrazów, sposób mówienia jędrny, pełen apostolskiej powagi, pełen łagodności dla tych, których pociesza i do dalszych cierpień i walk gotuje, a oraz pełen grozy dla tych, którzy na surowe napomnienie i skarcenie zasługują. Hebraizmów w całym liście niewiele (5), a tak zwanych ἅπαξ λεγόμενα, to jest słowa, które tylko w naszym liście się znajdują, nie są zbyt liczne (około 40).

§ 5, od str. 33—47. Stosunek św. Jakuba do św. Pawła. Już św. Augustyn mówi, że św. Jakub pisze przeciw błędnemu tłumaczeniu listu św. Pawła (do Rzymian) o wierze usprawiedliwiającej bez uczynków, i że właśnie dlatego używa na dowód przykładu o Abrahamie, ponieważ św. Paweł na ten sam przykład Abrahama się powołał. Za św. Augustynem powtarza to samo Beda. W średnich wiekach również sądzono, że św. Jakub miał wzgląd na źle zrozumianą naukę św. Pawła, a to jest i zdaniem wielu takich katolickich biblicystów naszego wieku, jak Hug, Maier, Reischl, Werner, Schanz, Kaulen,

Cornely i t. p. Nie brakło jednak i w naszym wieku pisarzy katolickich, jak Feilmoser, Schegg, Bisping, którzy sądzą, że nie można z pewnością utrzymywać, iż św. Jakub miał na myśli źle zrozumianą naukę św. Pawła; że więc, przynajmniej bardzo jest prawdopodobne, iż św. Jakub pisał bez wszelkiego względu na listy św. Pawła. Lecz mniej przekonywające są tych drugich pisarzy argumentacye. Czy zaś tylko list św. Pawła do Rzymian miał na względzie św. Jakub, czy też i inne listy, jak do Galat., do Żydów; w tym punkcie również niema jednomyślności między nowszymi pisarzami. Ojcowie Kościoła łacińscy i greccy, a za nimi i średniowieczni pisarze, dowodząc, że św. Jakub miał na myśli nauki zawarte w pismach św. Pawła, równocześnie jasno okazują, że żadnej niema niezgody w nauce obu tych Apostołów. I tak np. św. Paweł mówi, iż do usprawiedliwienia niepotrzebne są uczynki ceremonialne prawa Mojżeszowego, a św. Jakub powiada, że potrzeba, by człowiek wierzący wykonywał dobre uczynki prawem bożem moralnem nakazane. Św. Paweł pisze o (pierwszem) usprawiedliwieniu, które człowiek z łaski bożej (bez uczynków) otrzymuje przy swem powołaniu do wiary, a św. Jakub naucza, że człowiek, „który już uwierzył i usprawiedliwiony został“, potrzebuje wykonywać dobre uczynki, by wytrwać w sprawiedliwości i by był zbawionym. Obaj Apostołowie słusznie się powołują na przykład Abrahama, bo jedną i drugą prawdę w życiu tego Patryarchy okazać można. Innego zdania był Luter. On uporczywie utrzymywał, że św. Jakub wprost inną podaje naukę niż św. Paweł, *stracks wider S. Paulum*, i gniewał się, że Filip Melanchton niezupełnie szedł za jego zdaniem. Duchy najbliższe Lutra, jak Kalwin, Zwingli, nie dzielili zdania tego mistrza. Lecz mimo tego cały protestantyzm, aż do naszego wieku, powtarzał zdanie Lutra, że list św. Jakuba jest wręcz przeciwny nauce św. Pawła. Dopiero w naszym wieku powstała pod tym względem formalna anarchia w obozie protestanckim, a mimo to całe szeregi moglibyśmy pisarzy luterskich wyliczyć, którzy utrzymują jeszcze zdanie Lutra. Dość liczni są tam pisarze, którzy, snać z pewnem zawstydzeniem, powoli porzucają zdanie swego mistrza, lecz nierównie większa jest liczba uczonych luterskich, którzy okazują, że niema żadnej niezgody między nauką św. Pawła a św. Jakuba [1]. W różne jednak trudności, na dziwaczne po-

[1] W Schenkel's *Bibellexicon* III, str. 181, narzeka Holtzmann, luteranin dawnej szkoły: „Dagegen ist es in neuerer Zeit Mode geworden, eine totale Übereinstimmung zwischen Paulus und Jacobus

mysły wpadają uczeni protestanccy, gdy chcą naukę zawartą u św. Jakuba godzić z fundamentalnym dogmatem protestanckim o łasce i usprawiedliwieniu.

§ 6, str. 47—50. W którym czasie i miejscu list nasz był napisany? Tu udowadnia autor, że skoro list św. Jakuba uwzględnia naukę św. Pawła zawartą w liście do Rzymian, więc trzeba przypuścić, że w kilka lat po tym liście został napisany, gdy już Żydzi po świecie rozprószeni dowiedzieli się (choć niedokładnie) o nauce św. Pawła w owym liście zawartej. Skoro zaś w r. 63 umarł św. Jakub, najstosowniej więc rok 61 lub 62 można uważać jako czas, w którym list został napisany. Z treści listu dowiadujemy się, że minęły już czasy pierwszej wielkiej gorliwości i świętości pierwszych chrześcijan, co również wskazuje, że bardzo wcześnie list ten powstać nie mógł, i także czyni prawdopodobną datę r. 61 lub 62 napisania listu. Jako miejsce, w którem list napisany, oznacza Jerozolimę, a dowód ten dobrze jest przeprowadzony głównie na podstawie treści samego listu.

§ 7. Autentyczność listu, str. 50—55 [1]. Treść listu jest, według naszego autora, bardzo dobrym obrazem osoby św. Jakuba, pierwszego jerozolimskiego biskupa, a więc i bardzo dobrym dowodem autentyczności. Zupełnie takim się autor listu okazuje, jak nam go przedstawia Pismo św. N. Z. i najdawniejsza tradycya. Po dowodach autentyczności wewnętrznych przywodzi następnie Trenkle liczne dowody zewnętrzne, czyli licznych świadków autentyczności, począwszy od pierwszego wieku, niezbicie okazujących, że list nasz jest autentyczny. Dopiero Luter wprost wystąpił przeciw autentyczności i kanoniczności listu naszego, nazywając go „listem słomianym“, „w którym niemasz nic apostolskiego“

---

zu behaupten“. Luter zawzięcie twierdził, że wręcz przeciwny nauce św. Pawła jest list św. Jakuba i rzekł, że temu, który okaże, że św. Paweł nie jest w niezgodzie ze św. Jakubem, włoży na głowę swój biret doktorski, a siebie samego pozwoli nazywać błaznem. (Plachmann, *Tischreden*, Bd. LXII, 127). Otóż, jak widzimy, liczni dzisiejsi pisarze protestanccy z zasobem znacznej nauki, z całą siłą przekonania udowadniając, że św. Jakub nie sprzeciwia się nauce św. Pawła, nie zważają na tak silny frazes swego twórcy i mistrza, i bardzo go kompromitują swemi dowodami.

[1] O autentyczności listu naszego, o czasie i miejscu, w którem został napisany, w sposób zaiste genialny, pisał autor katolicki, Hug (*Einleitung*, II. Theil, § 348 sq., 1808), przeważnie z samej treści tworząc swe dowody. Większa część pisarzy po Hugu, tak katolickich jak i protestanckich, głównie jego powtarzają dowody. Nasz autor także korzystał z Huga, lecz całkiem samoistnie przerobił i rozszerzył dowody i myśli Huga.

i „który jest przeciwny czystej nauce Chrystusa Pana“. Za Lutrem aż do początku naszego wieku zgodnym chórem protestanccy pisarze twierdzili to samo. Ultra-krytycy nowsi nieraz dziwnego rodzaju trudności i szkopuły w tym liście spotykali. Tak np. de Wette *(Exeget. Handbuch)* sądzi, że św. Jakub nie mógł być autorem tego listu, bo większa w liście jest znajomość greckiego języka niż ją mógł św. Jakub posiadać, a zaś Schleiermacher *(Einleitung in N. T.)* wpost przeciwnie twierdzi, że mowa listu grecka niepoprawna, niezgrabna, wskazuje, iż jest to rzeczą niegodną Apostoła być autorem takiego listu. Nowsza szkoła Tybingska starała się okazać, że dopiero w czasach poapostolskich list nasz mógł być napisany. Doczekał się jednak list ten bardzo świetnej apologii właśnie z tej strony, z której najbardziej go poniżano, to jest ze strony luterskiej. Beyschlag *(Der Jacobus-Brief als urchristliches Geschichtsdenkmal. Theolog. Studien und Krit.* 1874, S. 101) z obszerną erudycyą, z silnem przekonaniem przeprowadził dowód, iż autor listu naszego, to jeden z największych Apostołów Chrystusa Pana, zupełnie równy św. Pawłowi, a którego tak słusznie w pierwszych czasach apostolskich razem z Piotrem i Janem nazwano „Kolumną Kościoła“ (Gal. 2, 9.).

Następnie w § 8, od str. 55—60, podaje Trenkle literaturę odnośną do naszego listu, począwszy od szkoły aleksandryjskiej (Klemens, Didymus), aż do czasów najnowszych.

Od str. 60 do końca, to jest do str. 406, następuje właściwa egzegeza czyli komentarz. Zwykle w komentarzach podane jest tłumaczenie wiersza jednego po drugim, i tylko według wierszów i rozdziałów postępuje objaśnienie; nasz autor zaś zaprowadził jeszcze inny podział materyi egzegetycznej: oto według paragrafów, na które podzielił cały list św. Jakuba. I tak rozdział pierwszy podzielił na ośm paragrafów w ten sposób: § I. Napis i pozdrowienie; w tym podane jest tłumaczenie wiersza pierwszego od str. 60—64. § II. Radość wśród prześladowania; tłumaczenie tu jest wiersza 2—4, od str. 64—72. § III. Modlitwa o mądrość; tu wytłumaczony jest wiersz 5—8, od str. 72—85. § IV. Marność bogactw; wyjaśniony tu wiersz 9—11, od str. 85—98. § V. Pożądliwość jest źródłem pokus; wytłumaczenie wiersza 12—15, od str. 98—114. § VI. Bóg Ojcem światłości; zawiera wiersz 16—18, od str. 114 do 126. § VII. Unikanie gniewu a przyjmowanie prawdy w cichości; wyjaśniony wiersz 19—21, od str. 126—136. § VIII. Wypełnianie słowa bożego i czyste nabożeństwo; zawiera wiersz 22—27, od

str. 136—153.— Podobnie według paragrafów, podających treść każdego ustępu, podzielona jest egzegeza i dalszych czterech rozdziałów listu. Podział taki na paragrafy jest myślą szczęśliwą, i wielce ułatwia przegląd całej materyi, a okazuje dobrze związek i następstwo myśli i nauk pojedyńczych w tym liście zawartych.

O samej egzegezie, czyli o samem wyjaśnieniu tekstu, to przedewszystkiem podnosimy, że jest tu zupełne wydobycie, rozwinięcie całego w liście zawartego materyału nauki bożej, jest tu okazanie całej głębi świętości i prawdy zawartej w wyjaśnionym tekscie. Jasno, nader wyczerpująco, tłumaczy autor myśli w pojedyńczych tekstach zawarte, i tak obfite podaje wyjaśnienia, iż czasem zdawaćby się mogło, że przechodzi granice ścisłej egzegezy, a wchodzi w zakres ascetyki, homiletyki albo filozofii. Lecz właśnie w takiem wszechstronnem spożytkowaniu, w takiem zgłębieniu tekstu, widzimy wielką zaletę niniejszej książki. Zestawienie choćby najobfitsze i najuczeńsze uwag gramatyczno-leksykalnych, rozbiór tekstu krytyczno-gramatyczny, to jeszcze nie jest egzegeza, to dopiero wstęp, przygotowanie do egzegezy.

Dziś już w gimnazyach, przy czytaniu autorów klasycznych, nie zadawalniają się samym dokładnym gramatycznym rozbiorem tych autorów, lecz żądają raczej rozumienia ducha i całej piękności klasycznego świata; o ileż bardziej przy egzegezie Pisma świętego sama krytyka tekstu, same gramatyczno-leksykalne uwagi i *scholia* wystarczać nie powinny. Tak trzeba Pismo święte tłumaczyć, aby te niezgłębione skarby boże, jakie Duch Święty dla wszystkich wieków i dla wszystkich generacyj tam złożył, stamtąd wydobyć i ludziom okazać „ku nauczaniu, ku strofowaniu, ku naprawieniu, ku ćwiczeniu w sprawiedliwości“ (2. Tym. 3, 17). Takie tłumaczenie zbliża się do tłumaczenia Ojców Kościoła, i właśnie rodzaj takiego tłumaczenia znajdujemy w obecnej książce. Wszelkie zdobycze naukowe, wszystkie znaczniejsze prace poprzedników są tu słusznie uwzględnione, autor z nich wszystkich dobrze korzystał, oryginalności jednak swej nie stracił. To nie kompilacya, lecz tylko owoc bardzo obszernych i gruntownych studyów, a w równej mierze i owoc własnej medytacyi. O niejedno miejsce, którebym inaczej niż autor wytłumaczył, trudno się z nim sprzeczać. I w egzegezie często przypominać sobie potrzeba zdanie św. Augustyna: *In dubiis libertas* i odpowiednie temu zdanie św. Bernarda: *Unusquisque in suo sensu abundet, ubi aut certae rationi aut auctoritati non obviat.* Podnoszę jeszcze jasność, z jaką autor myśli swe tłumaczy. Widocznie to czuć z całej pracy, przy pilnem wgłębianiu się w nią, że autorowi

nie wystarcza tylko jasno się tłumaczyć, aby go mogli rozumieć, lecz o to się stara jeszcze, aby go nie można nie rozumieć. W encyklice *Providentissimus Deus*, Ojciec św. Leon XIII. o egzegezie powiada, iż wśród licznych nauk biblijnych ona jest *pars fructuosior*. Otóż właśnie o egzegezie takiej, jaką nam podał Trenkle w obecnej książce, z całą słusznością powiedzieć można, że to *pars fructuosior biblici studii*.

Ks. dr. Stan. Spis.

Z pism czasowych.

Obzor. List pro poučení a zábavu. Redaktor *Vladimir Šťastný*. Ročnik XVI. a XVII. V Brně 1893, 1894.

W żadnym może ze słowiańskich narodów prasa peryodyczna nie stanęła na tak wysokim szczeblu rozwoju, jak wśród Czechów, gdyż w danej chwili istnieje u nich około 200 dzienników i czasopism rozmaitego rodzaju i tendencyi. Naturalnie różnorodne te wydawnictwa niejednakowej są wartości, w tak licznym bowiem ich kontyngensie obok dobrych, szczerze katolickich czasopism, znajdą się również i liche liberalne piśmidła, lub też takie organa prasy, których wydawcy są po prostu spekulantami, nie troszczącymi się bynajmniej o nadanie im jednolitego, stale określonego kierunku. Atoli już to samo pocieszającym jest objawem, że wydawnictwa, owiane duchem prawdziwie chrześciańskim, jak naprzykład morawski *Obzor*, który obecnie mamy przed sobą, pomimo wielu trudności napotykanych na swej drodze, nietylko mogą się utrzymać, ale nawet coraz bardziej się rozwijają.

Pragnąc scharakteryzować treść dwóch ostatnich roczników *Obzoru*, przedewszystkiem zaznaczyć musimy, że jako czasopismo, przeznaczone dla średnich warstw społeczeństwa w jak najszerszem tego słowa znaczeniu, nie przeciąża ono swych szpalt poważnym naukowym materyałem, ale kładzie główny nacisk na to, by dla czytelników połączyć pożyteczne z przyjemnem. Z tego też względu nietylko beletrystyka i poezya wcale nie podrzędne zajmują tam stanowisko, ale nawet artykuły poważniejszej treści zupełnie popularny noszą na sobie charakter.

Przedewszystkiem uwagę czytelnika zwraca na siebie piękna i nader obszerna praca Zygmunta Bouška o „Krzyżu świętym“ *(O sv. kříži)*. Autor wymienia najprzód wszystkie ludy, u których kara śmierci na krzyżu była i — jak naprzykład u Japończyków — dotychczas jest

w użyciu, cytuje zdania rozmaitych pisarzy o okropnej tej torturze, a następnie wylicza rozmaite rodzaje krzyżów, jakie od najdawniejszych istniały czasów, opisując treściwie charakterystyczne ich cechy. Potem dopiero następują różnorodne wersye o znalezieniu przez świętą Helenę krzyża naszego Zbawiciela. Pomimo, że artykuł ten jest tylko kompilacyą z obszerniejszych dzieł w tym przedmiocie Schuster'a, Holzammer'a i Rohault de Fleury, autorowi jego jednak słusznie należy się uznanie za staranne zebranie i ugrupowanie najważniejszych szczegółów o godle ludzkiego Odkupienia, jak również za to, że pracę swą skreślił z podniosłym religijnym nastrojem, który mimowoli i czytelnikowi się udziela.

W artykule „Religia, sztuka i wiedza“ *(Náboženství, umění a věda)* J. Blokša, autor usiłuje dowieść, że religijność od najdawniejszych czasów aż do najnowszej doby nietylko nie tamowała rozwoju rozmaitych umiejętności, ale nawet w znacznej do niego przyczyniła się mierze. W tym celu określiwszy najprzód cechy prawdziwego postępu, tj. doskonalenie się podług praw bożych, zaznacza, że dodatni wpływ religii daje się najbardziej skonstatować w dziejach sztuki, ona to bowiem dała natchnienie do stworzenia największych artystycznych arcydzieł, najwspanialszych świątyń, najpiękniejszych rzeźb, obrazów i t. p. Już w pogańskiej starożytności artyści i poeci przeważnie z religijnych wierzeń czerpali osnowę dla swych dzieł. Później wiara chrześcijańska stała się prawdziwą mistrzynią sztuk pięknych. Iluż jej zawdzięczamy znakomitych chrześcijańskich malarzy, rzeźbiarzy, poetów, kompozytorów i t. p., którym głęboka religijność nietylko nie przeszkodziła rozwinąć w całej pełni swego talentu, ale nawet stała się dla nich źródłem natchnienia! Do najbardziej religijnych pieśniarzy — czytamy tu — należał Mickiewicz. Nauki ścisłe pozwalają również autorowi wykazać znaczną ilość uczonych w kapłańskiej lub zakonnej szacie, pomiędzy którymi naturalnie i Kopernik należne sobie znalazł miejsce. Na poparcie swego twierdzenia, że Kościół katolicki popiera rozwój oświaty, autor nadmienia o papieżach, którzy nauki i piśmiennictwo najtroskliwszą otaczali opieką, kładąc zwłaszcza nacisk na rządy Mikołaja V. i Leona XIII. Do najpiękniejszych wreszcie ustępów całego powyższego artykułu należy ten, w którym autor zastanawiając się nad ciągłym postępem, dokonywanym w dziedzinie samej teologii, twierdzi, że stopniowe rozwijanie słów Archanioła: „Zdrowaś, łaski pełna“, doprowadziło po upływie ośmnastu przeszło stuleci do uznania przez Kościół dogmatu o Niepokalanem Poczęciu.

Tenże sam pisarz w artykule „Dwie Madonny“ *(Dvě Madonny)* przeprowadza trafną paralellę pomiędzy rafaelowską Bogarodzicą, a obrazem „Niepokalanej“ Murilla, przechowywanym w Luwrze. Studyum to, oparte na zdaniach wielu sławnych estetyków i krytyków, uzupełniają dość wyczerpujące życiorysy obu mistrzów. Wogóle dział biograficzny nader okazale i wielostronnie przedstawia się w *Obzorze.* Maksymilian Weinberger podaje obszerne życiorysy słynnych dwóch misyonarzy, Baltazara de Costa i Mateusza Ricci'ego; p. Popelka w sumiennej pracy pod tytułem „Dubrownik i Jan Gundulicz“ *(Dubrovnik a Ivan Gundulić)* kreśli biografię najznakomitszego chorwackiego poety, osnutą na tle dziejów rodzinnego jego miasta, a wreszcie znany już nam Blokša maluje kilka główniejszych epizodów z życia Petrarki, czerpiąc pełną dłonią z łacińskich listów tego poety, którego wpływowi—jak dodaje—zawdzięczają Czesi jedno z najcelniejszych arcydzieł swej literatury, t. j. „Córkę sławy“ *(Slavy dcera)* Kollara.

Do rzędu biografij zaliczyć też możemy śliczną charakterystykę Ojca św. Leona XIII., skreśloną przez redaktora *Obzoru*, p. Šfastnego. „Leon XIII. — pisze autor między innemi — daje się poznać coraz bardziej jako mąż zesłany przez Opatrzność bożą. Doba nasza zowie się dumnie okresem olbrzymiego naukowego postępu, który tak łatwo, niestety, przeciw samemu Bogu się zwraca. Lecz oto Stwórca dał Kościołowi i światu wykształceńszego od wszystkich innych Papieża, prawdziwe *lumen de coelo,* który filozofii chrześcijańskiej nowego dodaje bodźca, a rozwojowi umiejętności nieomylną wskazuje drogę. Doba nasza — ciągnie dalej — zajmuje się najbardziej palącemi kwestyami, narodowemi, politycznemi i społecznemi, a oto na stolicy św. Piotra zasiada genialny polityk i socyolog, który wiedzie świat drogą prawdy do szczęścia i wolności. Uzbrojona Europa wygląda jak wojenny obóz, i tylko bojaźń powstrzymuje wybuch okropnej walki na całym jej kontynencie, a oto Leon XIII. jest księciem pokoju i nie mając ani posiadłości, ani władzy świeckiej, oraz będąc skazanym na jałmużnę wiernych, coraz bardziej rozpościera swe panowanie nad duszami wszystkich ludzi dobrej woli, choćby nawet nie należących do jego owczarni“. Piękne też są słowa autora, że dziś my katolicy z taką samą dumą możemy się pochlubić tem, żeśmy dziećmi prawdziwego Kościoła, z jaką starożytni Rzymianie mawiali niegdyś: *Civis romanus sum.*

Nader doniosłe znaczenie posiada artykuł o pesymistycznym panteizmie w naszej epoce *(Pessimistický pantheismus a naše doba).* Dr. Pospišil wystawia tam w należytem świetle wszystkie błędy i niedorzecz-

ności teoryj Hartmann'a i wytknąwszy dobitnie całe niebezpieczeństwo takich poglądów, zarzuca słusznie współczesnym szkołom i piśmiennictwu zatruwanie tym jadem społeczeństwa, a zwłaszcza młodego pokolenia. Wielce ciekawą jest przedewszystkiem charakterystyka niektórych dzisiejszych poetów czeskich, przesiąkłych pesymizmem. Jasność, jędrność i prostota stylu odznacza zajmującą tę pracę, jak również inny artykuł tegoż samego autora, w którym stara się on dowieść, że mowa ludzka wystarcza sama przez się na obalenie teoryi Darwina *(Řeč lidská vyvracuje darvinismus)*.

Takiemiż samemi zaletami stylu i wybornego, ściśle logicznego układu, odznacza się praca p. Vrby, z dziedziny ekonomii politycznej, a zwłaszcza jego studyum o społeczeństwie komunistycznem i robotniczych stowarzyszeniach. Przenicowawszy gruntownie „Kapitał" Marx'a i mrzonki jego adeptów, obiecujących uszczęśliwić ludzkość, autor daje poznać czytelnikom rzeczywistą wartość tych utopij i przeciwstawia im trafną zasadę, wyrażoną w słynnej encyklice Leona XIII., że naprawa społeczeństwa spoczywa w stowarzyszeniach rzemieślniczych, zorganizowanych na wzór dawnych cechów z uwzględnieniem wymagań i potrzeb chwili obecnej.

Historya niewiele stosunkowo dostarczyła wątku do artykułów *Obzoru*; pomiędzy niemi znajdujemy bowiem tylko krótką monografię o rządach Egipcyan nad chananejską krainą, przed zdobyciem jej przez Izraelitów. W artykule tym, noszącym tytuł „Namiestnik jerozolimski w 15-tym wieku przed Chrystusem" *(Místodržtel Jerusalemský v 15 století př. Kr.)*, profesor Zapletal opisuje smutne losy ostatniego egipskiego wielkorządcy, Abdi-Chiba (kapłana boga Chiba), który przez czas długi stawiał opór nacierającym nań Chabirom, i nie mogąc się doczekać posiłków od rozgniewanego monarchy Amenofisa IV., wpadł sam w ręce nieprzyjaciela, Chanaan zaś wkrótce potem bez żadnego oporu ze strony mieszkańców zdobyli Izraelici. Za źródło do tego artykułu posłużyły listy, pisane niegdyś do faraonów przez rozmaitych urzędników w języku assyryjskim, a ogłoszone niedawno temu w *Zeitschrift für Assyriologie und verwandte Gebiete*.

Nadto do prac historycznych zaliczyć należy nader cenny i ciekawy zabytek dziejowy, przedstawiony przez p. Plotenego, a zawiejący statut literackiego bractwa w Morawskiej Ostrawie w XVI. wieku, które dzięki wybornej głęboko chrześcijańskiej organizacyi, hamowało nader skutecznie rozwój sekciarstwa i wielkie przez to względem swego społeczeństwa położyło zasługi.

Natomiast nader pokaźny jest szereg artykułów z dziedziny etnografii, między któremi najbardziej zasługuje na uwagę artykulik p. Kačera „O powietrzu i jego władcach (wiatrach) w poglądach i podaniach styryjskich Słoweńców“ *(Vzduch a jeho vládcové v názorech a pověstech štýrských Slovinců)*. Tutaj też nadmienić możemy o przekładach z podróży ks. Badeniego T. J., dokonanych na język czeski przez p. Silhana pod tytułem: *Na Slovensku* i *V Zahřebě*.

Wiele ciekawych, chociaż po większej części znanych szczegółów, zawiera monografia p Strażnego „O szanowaniu zmarłych u pogańskich Słowian“ *(O počtě zemřelých u pohanských Slovanů)*. Myli się tylko autor, wymieniając nader często Litwinów obok słowiańskich ludów tak, jak gdyby zaliczał ich do Słowian.

Wreszcie z prawdziwą przyjemnością dają się odczytać niezbyt wprawdzie liczne, lecz wyborne artykuły wstępne samego redaktora, a zwłaszcza „Znamiona reakcyi“ *(Znameni obratu)* i „Życie i piśmiennictwo“ *(Život a literatura)*. W pierwszym z nich p. Sfastny głosi, że podobnie jak wahadło porusza się to w tę, to w przeciwną stronę, tak też i w życiu duchowem ludzkości nader często odbywa się reakcya. Ponieważ zaś obecnie ludzkość stanęła jakby na krawędzi zepsucia i niewiary, wkrótce więc nastąpić musi odruch, czyli reakcya w religijnym i moralnym kierunku. Znamiona jej upatruje autor w pismach rozmaitych współczesnych autorów, jak naprzykład de Vogüé, Desjardin, Rubinstein'a *(Die religiöse Welle)*, a przedewszystkiem w dziełach Tołstoja.

W artykule „Życie i piśmiennictwo“ *(Život a literatura)* autor zastanawia się nad najnowszemi objawami anarchizmu i bezwyznaniowości w rozmaitych zakątkach Europy i dochodzi do wniosku, że źródła zła należy szukać w niedobrych książkach, stanowiących najszkodliwszą truciznę dla niedowarzonych i nieoświeconych umysłów. Pokrewnym temu artykułowi pod względem treści i zapatrywań jest referat wygłoszony na ostatnim zjeździe katolickim w Bernie przez p. Korca, który poświęciwszy obszerną wzmiankę Vrchlickiemu, Światopłukowi, Czechowi i innym gwiazdom na widnokręgu czeskiej poezyi, zaznacza, że w ostatnich utworach Vrchlickiego przebija się pewien zwrot dodatni. Zajmujące swoje uwagi o współczesnych prądach w literaturze czeskiej, kończy p. Korzec radą dla wszystkich autorów i poetów, aby zamiast hołdować naturalizmowi, pesymizmowi, liberalizmowi i innym tym podobnym *izmom*, zwrócili się raczej do czechizmu, karmiąc jak najzdrowszą strawą narodowego ducha.

W beletrystyce, której *Obzor* dużo poświęca miejsca, w pośród licznych, mniej lub więcej ładnych powieści i nowelek Brodskiego, Měděanskego, Dostala, Ziki, Prochaski, Dvořaka, Valouška i t. d., największą stosunkowo wartość posiadają dwie powiastki tego ostatniego: „Z klasztoru i więzienia“ *(Z klaštera a vezení)* i „Dwie drogi“ *(Dvě cestý)*, jak również „Spotkało ją szczęście“ *(Potkalo ji štesti)* Kosmaka. Tenże sam autor w zajmujących szkicach pod nazwą: „Fotografia z obozu czarnych“ *(Fotografije z tabora černych)* skreślił cały szereg sylwetek zacnych i gorliwych kapłanów. Szkice te, zabarwione szczerym i niewymuszonym dowcipem, malują rozmaite epizody z kapłańskiego i zakonnego życia, i nader miłe po sobie pozostawiają wrażenie.

Wreszcie obok krótkich wieści ze świata, umieszczanych w każdym numerze pod rubryką pogadanek *(Besede)*, i licznych ocen literackich, wymienić musimy nader obfitą rubrykę poetyckich utworów Jeřabka, Lutinova, Knotka, Konrada Lipy, Vanka, Horaka, Misteckiego, Kuldy, Skalika, Šťastnego, Staleckiego, Grossmannowej, Brodskiej, Tichego i t. p. Piękną jest zwłaszcza „Modlitwa“ *(Modlitba)* Pavelka i „Skowronku leć!“ *(Skřivanku leť!)* Chramosty, jak również poważny wiersz Vejchodskiego *Religio devastata*, skreślony na temat znanego proroctwa św. Malachiasza. Obok utworów oryginalnych znajdujemy też trochę przekładów, pomiędzy któremi najbardziej zasługują na uwagę fragmenta z tłumaczenia „Snu św. Jana“ Verdaguer'a, dokonany przez Bouška, tudzież kilka Psalmów Dawida, przełożonych na język czeski przez Skalika.

Ze względu na jednolity, katolicki kierunek artykułów *Obzoru*, śmiało i bezstronnie rzec można, że czasopismo to na jak największe zasługuje uznanie. Zresztą już samo istnienie w przeciągu lat 17 w kraju, w którym na polu prasy peryodycznej olbrzymia istnieje konkurencya, świadczy nader korzystnie o wartości tego wydawnictwa, jak również o popularności, jaką w łonie swego społeczeństwa wyrobić sobie zdołało.

Tytus Sopodźko.

Rozmaitości.

Sądy ludowe na Litwie.

(Uzupełnienie).

W maju 1893 r. pan gubernator kowieński wraz z urzędnikami urzędów gubernialnych do spraw włościańskich i poborowych szczegółowo zrewidował rządowe instytucye powiatu rosieńskiego, a zwłaszcza samorządu gminnego; rezultaty tej rewizyi, acz bardzo ujemne, zostały ogłoszone. Ciekawy ten dokument wydrukowano w formie dodatku do n-ru 80 *Kowieńskich Wiadomości gubernialnych;* korzystam zeń, aby uzupełnić „Sądy ludowe na Litwie“ [1], oraz faktami niezaprzeczonemi poprzeć wnioski zawarte w tej mojej pracy.

Pomijam niedołężność i chaos administracyi gminnej oraz jej liczne nadużycia; pomijam kosztowny bezład w zarządzie zapasowych magazynów zbożowych; pomijam nawet działalność pisarzy włościańskich, którzy — wedle p. gubernatora — „mniemają, że ich nie obowiązują postanowienia wyższej władzy gubernialnej“... pomijam, bo chcę tylko pisać o sądach ludowych. Przedewszystkiem należy jednak skreślić słów parę o ich instancyi kasacyjnej, czyli zjeździe komisarzy do spraw włościańskich (mirowych pośredników). W stylu urzędowym p. gubernator tak pisze o nim: „postanowienia, zjazdu w sprawie kasacyj wyroków sądów włościańskich są zwykle bardzo słabo umotywowane; czasami spotykają się postanowienia, oparte na dość dziwnych wnioskach, np.: chociaż skarga na podkup świadków nie potwierdziła się, mimo to jednak wyrok należy uważać za wydany stronnie, a zatem trzeba go skasować“. Krytyka wszelka tu zbyteczna. Dalej p. gubernator zaznacza, że zjazd — wskutek niedbalstwa — nie wykonał paru postanowień władzy wyższej w zakresie sądów włościańskich. O dozorze nad egzekucyą ich wyroków powiedziano: „dozór nad wykonaniem wyroków sądów włościańskich sprowadza się tylko do okólników srogich; grzywny nakładają się na oficyalistów gminnych tylko ogólnie ‚za powolność‘, ale postanowienia odnośne nie są wykonywane, a grzywny nie egzekwują się“.

Bardzo niepochlebnym jest też sąd o działalności członków zjazdu,

[1] Patrz artykuł pod powyższym tytułem, w zeszytach z kwietnia i maja r. 1894 (str. 1 i 235).

zwłaszcza komisarza Palicyna, rotmistrza gwardyi. Pan gubernator tak o niej pisze: „rewizye urzędów gminnych albo wcale nie odbywają się, albo sprowadzają się do przejrzenia ksiąg kancelaryjnych... niedbalstwo jest widoczne. Nad ścisłem wykonaniem postanowień władzy gubernialnej niema dozoru żadnego, tudzież — co mię najbardziej dziwi — p. komisarz dopuszcza w nich takie zmiany, które nadają im charakter całkiem inny... Nie stosuje się on też do wskazówek władzy wyższej... a nawet nie spełnia jej wymagań i rozkazów... Sprawdzanie słuszności skarg na władze włościańskie jest rzeczą nieznaną... natomiast petentom ogłasza się, że ich skargi są albo niesłuszne, albo niedostatecznie udowodnione; czasami odbywają się dochodzenia administracyjne, które kończą się bez postanowienia prawnego. Rozkazy urzędom gminnym wydają się okólnikowo, które włości, nie spiesząc, przesyłają sobie wzajemnie... Na zapasowe magazyny zbożowe nie zwraca się nawet najmniejszej uwagi. Bezprawne postępki p. komisarza przedstawię do decyzyi p. głównego naczelnika kraju“ — pisze p. gubernator. — Dalej podkreśla, że komisarz, przeprowadzając dochodzenie administracyjne, rozkazał urzędowi gminnemu mańkuńskiemu „wysłać“ *(wysłát')* do Rosień szlachcica N. N.; jest to znaczne nadużycie. Ale stokroć więcej oburza p. Klingenberga fakt następny: dwie gminy prosiły o pozwolenie zbierania składek dobrowolnych na budowę kościoła; p. komisarz rozkazał urzędowi gminnemu (14 paźdz. st. st. 1892 r. nr. 2525) pospieszyć z opłatą podatków i ogłosić chłopom, że po ich opłaceniu, zawiadomi o tem p. gubernatora, by „natychmiast uzyskać pozwolenie na zbieranie składek“. Ten nowy sposób ściągania podatków uległ ostrej krytyce gubernatorskiej [1]. Taką jest działalność członka instancyi kasacyjnej. O sędziach — niestety — niema wzmianki, natomiast o pisarzach gminnych wspomina się. Oto co mówi o nich p. gubernator: „niedbalstwo pisarza w spełnianiu obowiązków służbowych jest aż nadto oczywistem“ (gmina szymkajcka); „pisarz nic nie robi, spraw swego urzędu nie zna, tłumaczy się niejasno a kłamliwie“ (gm. skawdwilska); „pisarz odznacza się absolutną nieznajomością spraw i krańcowem niedbalstwem, nawet nie czyta rozkazów władzy gubernialnej i komisarza do spraw włościańskich“ (gm. krożska); „pisarz nic nie umie i nic nie robi“ (gm. szydłowska) i t. d. i t. d. Słowem, wszyscy pisarze gminni — oprócz pisarza gm. kielmeńskiej — zasłużyli na ostrą naganę p. gubernatora. Widzimy więc, czem są oni, a ponieważ wiemy,

[1] Mimo to komisarz Palicyn — o nim tu mowa — nie stracił posady!

że kancelarye sądów zależą zupełnie od nich, przeto już możemy wnioskować, co się w nich dzieje. I rzeczywiście! Księgi sądowe, do których zapisują się umowy cywilne, są prowadzone bardzo niedbale i niedołężnie, a nawet — być może — występnie: pozostawiają się w nich stronice czyste „na zapas"; za obie strony niepiśmienne podpisuje umowę jedna osoba bez świadków; w umowie o pożyczkę na 100 rs. terminu zwrotu nie oznaczono, ale tylko dodano: „w ciągu dwóch" (lat? miesięcy? dni?); poprawki nie omawiają się (sąd wł. szymkajcki); zapisują się nie same umowy, ale kopie poświadczone przez urząd gminny (sąd wł. krożski) i t. d. Protokóły posiedzeń sądowych są „niemożliwe"; motywy wyroków podają się często w formach wprost niezrozumiałych, np. zasądzono „w sprawie o odszkodowanie, przegranej w sądzie okręgowym wskutek niedoświadczenia syna powoda, dlatego, że szczęściem rana zagoiła się i zaliczoną została do ran lekkich" (sąd wł. skawdwilski). Zdarza się, że treść nakazów egzekucyjnych różni się od treści wyroków sądowych; daty pierwszych zwykle nie notują się... Książeczki do zapisywania nakazów egzekucyjnych albo nie rozdano starostom (sołtysom), albo rozdano niedawno, zapisując w nie jednocześnie nakazy za 10 lat (sąd wł. mańkuński), „których— dodaje p. gubernator — niema możności sprawdzić".

Tu należy dodać okropny język urzędowy, w którym załatwiają się wszelkie czynności kancelaryjne; zdarza się, że zrozumieć go nawet nie można [1].

Ale chyba nie lepiej, lecz gorzej jeszcze funkcyonują sądy włościańskie. Przedewszystkiem podkreślić należy brak porządku zewnętrznego: sędziowie nie pilnują się kolei wyznaczonej; w posiedzeniach uczestniczą ci, którzy się zjawią; kompletu nie przestrzega się (sąd wł. skawdwilski). Sędziowie ulegają z łatwością wpływom osób postronnych; p. gubernator podaje taki przykład: „12 sierpnia 1892 r. Paweł Norejko za przekos łąki wójtowskiej został skazany na 7 rub. grzywny i 7 rózg; 19 tegoż miesiąca za obelgę słowną wójtowej skazano go na 15 rózg; 4 listopada za obelgę słowną wójta skazano Norejkę na 20 rózg. Dwa pierwsze wyroki zjazd skasował, skarga zaś na trzeci nie została jeszcze rozstrzygniętą. Wójta usunąłem od obowiązków" — dodaje p. gubernator.

Ale największą wadą sądów ludowych jest ustawiczne przekra-

[1] Pisarze gminni są prawie wszyscy Rosyanami; w styczniu r. 1892 było: prawosławnych 120, katolików 20, kalwinów 3 i lutrów 2.

czanie kompetencyi właściwej zarówno w sprawach cywilnych jak i karnych; sprawozdanie rzeczone dostarcza dowodów aż nadto licznych. Sąd wł. skawdwilski rozstrzyga sprawę o prawie własności ziemskiej prywatnej (1892 r. nr. 53); szydłowski skazuje świadków w sprawie cywilnej na areszt i grzywny, które — w sprawie innej — nie ominęły też pozwanego; tenże sąd w asystencyi sołtysa (starosty) posłał do ks. proboszcza pozwanego, by przyznał się do pożyczki; pozwany przyznał się i sprawę przegrał (1892 r., nr. 23, 4 i 38) i t. d. Litania to zbyt długa, by ją można było tu przytoczyć w całości: dość przykładów podanych!

To samo dzieje się w sprawach karnych: Sąd wł. skawdwilski rozstrzyga sprawę o czynną obelgę rodziców, kołtyniański o kradzież dokumentów stanu cywilnego, erżwiłkowski zaś wspaniałomyślnie przebacza złodziejom przekonanym, za zgodą strony przeciwnej i t. d. Dowolność w wyrokowaniu rzuca się w oczy: „wogóle — mówi p. gubernator — sprawy karne zwykle rozstrzygają się wedle własnego widzimisię sędziów, a zatem samowolnie". Zdarza się, że ta samowola po prostu podkopuje podstawy wszelkiego porządku społecznego: ojciec uderzył rzemieniem syna-wyrostka; sąd wł. szydłowski skazał go za to na 5 dni aresztu! „Rozkazałem — dodaje p. gubernator — nie wykonywać tego wyroku!" Wszakże ustawiczne przekraczania kompetencyi i prawa, oraz samowola zupełna cechują wyroki sądów ludowych nietylko w sprawach cywilnych i karnych, ale nawet w zatwierdzaniu umów cywilnych. Zdarza się dość często, że do ksiąg sądowych wpisują się wyroki sądów polubownych, zapadłe wbrew prawu, a ta sankcya uprawnia je; w ten sposób 16 dziesiatyn gruntu, stanowiącego wykupioną własność rodową, stało się własnością indywidualną (sąd wł. krożski 1892 r. nr. 6); zapisy podobne spotykamy w sądach szymkajckim, erżwiłkowskim, szydłowskim, pojurskim, mańkuńskim i t. d. Ale oprócz tego księgi sądowe zawierają spory poczet umów, często słusznych i sprawiedliwych, ale sprzecznych z przepisami prawnemi; tak sąd wł. szymkajcki dzieli grunta ukazowe pomiędzy ojca a synów, erżwiłkowski zatwierdza kontrakt na sumę 420 rs., kołtyniański zaś umowę zastawną na 6 dziesiatyn gruntu za 300 rs.; krożski zatwierdził w dwóch wypadkach prawo własności prywatnej na grunta ukazowe, umowę zastawną na 300 rub., testament przekazujący nieruchomość z obowiązkiem wypłacenia 300 rs. i t. d. Sąd wł. pojurski śmiało zatwierdził umowę dzierżawną włościanki z szlachcicem, na zasadzie której objął on we władanie grunt ukazowy na lat

dwanaście z prawem wyrąbania 5 dzies. lasu, ale natomiast z obowiązkiem opłacania podatków i poborów gminnych, oraz odbywania powinności naturalnych; tenże sąd nie wahał się usankcyonować umowę podobną z poddanym pruskim! Pełno też zresztą w księgach sądowych aktów sprzedaży gruntów ukazowych w formie umów dzierżawnych z zobowiązaniem się ich przedłużenia jeszcze na lat dwanaście, oraz pobraniem z góry całej opłaty dzierżawnej; rozumie się, zawierają one zastrzeżenie, na mocy którego dzierżawca obowiązany jest opłacać podatki państwowe i gminne, tudzież spełniać powinności naturalne. Pan gubernator znalazł umowy podobne w księgach sądów skawdwilskiego, kołtyniańskiego, krożskiego, kielmeńskiego i t. d. Umowy podobne, lubo bezprawne, nie obrażają jednak poczucia słuszności i sprawiedliwości, ale spotykamy natomiast inne, które p. gubernator — mojem zdaniem zupełnie słusznie — nazywa „lichwiarskiemi"; są one nawet dość liczne, chociaż prawo surowo zakazuje lichwy. Przytaczam parę przykładów: A. pożyczył od B. 200 rs. na $6^0/_0$, a w zastaw oddał 12 dzies. gruntu; tę umowę zaświadczył sąd wł. pojurski; tenże sąd zatwierdził umowę zastawną, na mocy której za pożyczone 300 rs. na $6^0/_0$, zastawnik otrzymał $12^1/_2$ dzies. łąki i lasu z prawem wyrębu! W obu wypadkach wysokość procentu wynosi przeszło $36^0/_0$. Czy to nie lichwa!

Wszakże najgorszą stroną sądów ludowych jest egzekucya wyroków zapadłych, zależna jak najzupełniej od dobrej woli administracyi gminnej. Wogóle sąd poleca wykonanie wyroków ostatecznych wójtowi (starszynie), a ten sołtysom (starostom), zwykle nie spiesząc się wcale. Bywa dość często, że wyrok ostateczny zapadnie, ale wójt nie wydaje rozkazu egzekucyjnego; p. gubernator stwierdził to w sądach: szymkajckim, erżwiłkowskim, rosieńskim i t. d. Przypuśćmy, że nakazy egzekucyjne nareszcie wydano. Zdarza się, że sołtysi ich nie wykonywają wcale. „Sołtys gromady girtagolskiej (gmina mańkuńska) zupełnie nie wykonywa nakazów egzekucyjnych" — pisze p. gubernator. Zdarza się to, ale rzadko. Zwykle atoli sołtysi wcale nie spieszą z wykonaniem rozkazów egzekucyjnych... z różnych powodów. W gminie erżwiłkowskiej tłumaczono p. gubernatorowi tę iście żółwią powolność ukrywaniem się skazanych i pozwanych, w kołtyniańskiej — emigracyą włościan do Ameryki, w mańkuńskiej — chorobą skazanych, których atoli lekarz uznał zdrowymi i t. d.

„Wogóle — pisze p. gubernator — wykonanie wyroków sądów ludowych wyróżnia się niesłychaną opieszałością, niedbalstwem i niedołęstwem"; to ostatnie zwłaszcza stosuje się do egze-

kucyi wyroków w sprawach cywilnych. Aktów o niewypłacalności wcale nie sporządza się; tę kwestyę rozstrzyga sam wójt wedle własnego uznania. Tylko sąd wł. pojurski postępuje inaczej: każe on zawsze sporządzać akta o niewypłacalności, roztrząsa je, a dopiero wówczas unieważnia swój wyrok uprzedni. O ile wadliwą jest egzekucya, poucza nas ilość niewykonanych wyroków sądów włościańskich; w ośmiu sądach wynosi ona 2635, a mianowicie: w skawdwilskim 494, erżwiłkowskim 456, rosieńskim 433, szymkajckim 405 i t. d.

Przytoczone dane tłumaczą dostatecznie trudność obrony praw własnych w sądach ludowych z powodów ich wadliwej organizacyi, tudzież braków prawa zwyczajowego. W tej okoliczności, nie zaś w rozwoju drobnej adwokatury pokątnej, trzeba szukać źródła niesłychanego pieniactwa, tej prawdziwej manii ludu naszego. „W ciągu ostatnich lat dziesięciu—pisze pan gubernator—w sądach ludowych powiatu rosieńskiego zapadło 32.756 wyroków w sprawach cywilnych, oraz 4700 w sprawach karnych; wszakże te liczby są bardzo niedokładną miarą, bo znaczna część skarg zaniesionych umarza się wzajemną ugodą obu stron przed ich roztrząśnieniem w sądzie; np. w r. 1892 do sądów ludowych zaniesiono 15.740 skarg, czyli przecięciowo jedna skarga wypadała na 10 osób stanu włościańskiego, ale wyroków zapadło tylko 4450, czyli 28% wszystkich skarg zaniesionych".

Ale też i sądy pokoju są zawalone sprawami włościańskiemi; stanowią one około 75% wszystkich spraw. W powiecie rosieńskim, w r. 1892, rozstrzygnęły one 7263 sprawy (2637 karnych i 3626 cywilnych); w tymże roku w pow. kowieńskim rozstrzygnięto 12.158 spraw i powołano prawie $^1/_{10}$ część ogółu mieszkańców do świadczenia w sądzie. Wogóle w ciągu lat 20 ilość spraw roztrząsanych w sądach pokoju wzrosła w pojedyńczych powiatach jak następuje: w nowoaleksandrowskim — 230, 1%, rosieńskim — 87, 1%, kowieńskim — 54, 1%, telszewskim i poniewiezkim — 48%, szawelskim — 46% i wiłkomierskim — 17%.

Wogóle pieniactwo jest istną plagą, trapiącą nasz lud: czasami małe nieporozumienie bywa źródłem ciężkich zbrodni kryminalnych. Przytaczam fakt: we włości pompiańskiej mieszkał zamożny gospodarz; jego żona powaśniła się ze swą sąsiadką o kury; w tej kłótni przyjęli udział mężowie; nasz gospodarz uciął ogon koniowi swego sąsiada... przez zemstę; sąsiad zapozwał go do sądów pokoju, bo obcięcie ogona jest straszną zniewagą, wyrządzoną właścicielowi konia. Pozwany, nie chcąc płacić grzywien, przedstawił świadków fałszywych, ale oskar-

życiel udowodnił to. Rozpoczęła się więc sprawa karna; sąd przysięgłych w Poniewieżu uznał ich winnymi, i gospodarza wraz z jego świadkami skazano do rot aresztanckich na lat 4. Po przybyciu na miejsce kary, nie chciał wkupić się do tak zwanej „artieli aresztanckiej"; przez zemstę oblano go śpiącego naftą i podpalono. Ogień ugaszono, ale chłop wrócił do kraju ze zdrowiem zrujnowanem. Mimo to, zaraz rozpoczął wojnę ze swoim sąsiadem; prawdopodobnie podpalał go dwa razy; sąsiad, być może, postąpił w ten sam sposób; dość, że powstał pożar z podpalenia, a nasz gospodarz, ratując swe mienie, stracił życie. O wypadkach podobnych można słyszeć dość często.

Jan Witort.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicy a włoskie wybory. — Justhowski dyalog. — Odroczenie austryackiego wiecu katolickiego. — Proces Aleksyanów. — Program chrześcijańsko-socyalny. — Pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański kardynała Ledóchowskiego.

KATOLICY A WŁOSKIE WYBORY. Przed każdemi nowemi wyborami do włoskiego parlamentu występuje z matematyczną regularnością pogłoska: „Papież zwolnić pragnie katolików od dotychczasowej zasady: nie wybierać i nie dawać się wybierać"; za każdym razem pogłoska ta okazuje się z gruntu fałszywą, w tym celu rozpuszczaną, aby zbałamucić mniej przezornych katolików. I w czasie ostatnich wyborów, w których zdecydować się miał los oskarżonego o bardzo grube szacherki Crispiego, nie zaniechano uciec się do starego fortelu. Katolicy — rozumowali nie bez słuszności płatni i niepłatni poplecznicy dzisiejszego rządu— nie oddadzą przecież swych głosów czerwonym radykałom, związać się nie zechcą z międzynarodowymi socyalistami; z dwojga złego staną raczej przy liberałach starego autoramentu, strojących się w pozorną przynajmniej cześć dla religii i powagi królewskiej, niż przy anarchistach, wierzących jawnie i jedynie w ogień i żelazo; w najgorszym razie zrobią pożądaną dywersyę na korzyść rządzących i władających na przemiany libera-

łów z odcieniem konserwatywnym i konserwatystów z liberalnem zabarwieniem. Crispiemu chodziło niezmiernie o ten udział katolików; dla zjednania ich sobie nie zawahał się wtrącić w ostatnie swe mowy paru, rzecby można, pobożnych frazesów; zajął się nerwowo polepszeniem losu, a mówiąc ściślej, rzucaniem obietnic o blizkiem polepszeniu losu ubogich księży, zwłaszcza w północnych prowincyach. Crispi długo pracował, mozolnie nawiązywał misterną sieć frazesów, półsłówek, obietnic; sieć przeciął, całą robotę za jednym zamachem udaremnił, ogłoszony 14 maja list papieski do rzymskiego wikaryusza jeneralnego, kardynała Parocchi:

„Władza papieska — pisze Ojciec św. — niejednokrotnie już oświadczyła i wyjaśniła, jak włoscy katolicy zachować się mają odnośnie do swego udziału w wyborach politycznych... My sami z naciskiem powtórzyliśmy, że o ile życzymy sobie, aby katolicy brali jak najżywszy udział w wyborach municypalnych, o tyle wstrzymywać się winni od wszelkiego udziału w wyborach politycznych i to ze względów najwyższej wagi, między któremi nie ostatniem jest samoż położenie, w jakiem dziś Papież się znajduje, a które bez najmniejszego wątpienia sprzeciwia się wolności i niezależności niezbędnej w poruczonym mu apostolskim urzędzie. Pomimo tego, wiemy aż za dokładnie, jak niektórzy bezustannie nasze zamiary rozbierają, nie przestają odmawiać należnej wagi naszym słowom, unicestwić się starają i obchodzą papieskie rozporządzenia. Teraz właśnie próbują dowieść i wmówić przeróżnemi pozornemi argumentami i sztuczkami, żeśmy wskutek pewnych przedsięwziętych przez nas kroków, dozwolili katolikom przystępować do urny w politycznych wyborach. Dlatego uważamy na czasie oświadczyć publicznie, że w niczem nie zmieniliśmy w tej mierze dawnych naszych rozporządzeń i wszystkim prawdziwym katolikom polecamy, aby do nich i nadal w zupełności się stosowali".

Katolicy zastosowali się do wydanej instrukcyi; z katolikami „prawdziwymi" połączyła się pewna liczba katolików pozornych, których od urny bardziej niż papieski zakaz odciągnęło lenistwo, lub zupełna niewiara w bankrutujący niemal

na wszystkich punktach parlamentaryzm. Sojusz ten doprowadził do bardzo smutnych rezultatów dla zjednoczonego włoskiego królestwa, a w szczególności dla kierującego niem rządu. W Rzymie np. na 20.874 uprawnionych do głosowania, rzuciło swe gałki tylko 9475; w Wenecyi na 21.747 wyborców korzystało z przysługującego sobie prawa 6891, a więc mniej niż trzecia część. Podobny stosunek miał miejsce w Turynie i Medyolanie; w Genui i w Bergamo poczuła się do spełnienia włosko-obywatelskiego obowiązku zaledwie czwarta część wyborców. A i tych niewielu jakże różne powody pędziły do oddania swego głosu powszechnie znienawidzonemu rządowi! Gazety wszystkich odcieni przepełnione opisami szalbierstw, przekupstw, pochlebstw i gróźb, dzięki którym Crispi ostatecznie przy władzy się utrzymał. Prawdziwie węgierskie to stosunki wyborcze; chciałoby się powiedzieć, że gorzej, niż węgierskie, gdyby po wyborach w Nitrze, po skandalach w Csakathurn, można jeszcze wymyśleć coś gorszego, coś mniej zgodnego z samemiż fundamentami parlamentaryzmu.

JUSTHOWSKI DYALOG. Lud węgierski wyraził raz jeszcze dobitnie, co myśli i sądzi o dzisiejszych stosunkach, sprowadzonych przez garść energicznych, w środkach nie przebierających masońsko-kalwińskich agitatorów. Głośny członek skrajnej lewicy Juliusz Justh zdawał w Rakoczu sprawozdanie poselskie; oryginalny, chwilami humorystyczny przebieg zgromadzenia, zwołanego przez koszutowskiego przewódcę, podaje katolicki *Fejermegyei Naplo:*

„Jakiś nauczyciel pozdrowił posła i zwrócił się do wyborców z żądaniem, aby na przyszłość wiernie przy nim stali; odpowiedziano mu na to jednomyślnym okrzykiem: „Niech żyje partya ludowa!“ Justh rozpoczął mowę od skreślenia obrazu popieranego przez siebie stronnictwa liberalnego, od którego — jak się wyraził — nie można się niczego dobrego spodziewać.

Głosy z tłumu. „To i od twojego stronnictwa nie możemy się niczego dobrego spodziewać, bo i ono jest liberalne“.

Justh. „Moje stronnictwo zasługuje na wszelkie pochwały. Wszystko, co w kraju dobrego, mamy jemu do zawdzięczenia“.

Głosy. „Jeśli twe stronnictwo takie dobre, czemuś je rozbił? Twoi panowie nie dotrzymali nam słowa. Teraz już im nie wierzymy i nigdy nie będziemy wierzyć".

Justh. „„Partya ludowa" ma na celu usunąć na bok wszystkich innowierców, a pomagać, podtrzymywać wyłącznie katolików. I ja jestem katolikiem..."

Głosy. „Piękny katolik!..."

Justh. „Wszakże na to nie mógłbym się zgodzić".

Głosy. „Mamy w Węgrzech dziewięć milionów katolików. Nie można przechodzić nad nimi do porządku dziennego".

Justh. „Co jest dobrego w programie partyi ludowej, to jest i w naszym programie".

Głosy. „A czemuście tego dotąd nie przeprowadzili?"

Justh. „Co nowego, to złe".

Głosy. „Niech żyje partya ludowa!"

Justh. „Na czele partyi ludowej stoją bogacze".

Głosy. „Właśnie takich nam dawajcie! To właśnie doskonale! Ci nas nie będą obdzierać!"

Justh. „Niechaj będzie doskonale! Ale czy nie wiecie, że nie dobrze z wielkimi panami do jednego stołu siadać!"

Głosy. „Niech żyje partya ludowa! Niech żyją jej wodzowie!"

„Kiedy Justh wymówił słowo „śluby cywilne", powstał hałas nie do opisania. Zewsząd wołano: „Precz ze ślubami cywilnemi! Nie chcemy cywilnych ślubów!" Mówca próbował tłumaczyć: „Nasz król sankcyonował uchwałę o ślubach cywilnych, i w październiku nowa ta ustawa zostanie w życie wprowadzoną". Zakrzyczano go: „Nie chcemy ślubów cywilnych! A co stanie się z dziećmi, jeśli rodzice się rozwiodą... Śluby cywilne dla bydła, nie dla ludzi!" Justh chciał dalej jeszcze mówić, ale ile razy usta otworzył, grzmiące okrzyki zmuszały go do milczenia...

„Tak zakończyło się Justhowe sprawozdanie poselskie. Posła Aleksego Papa ściągnięto po prostu ze stołu, kiedy odważył się podać w wątpliwość katolicki dogmat o sakramencie mał-

żeństwa; jakiemuś Żydowi, który również chciał przemawiać, nie pozwolono nawet na stół wyleźć. Kobiety obrzuciły jajami Justha i jego towarzyszów. Radzi nieradzi, przyznać oni sami musieli, że lud przestał wierzyć swym posłom i zaufanie do nich zupełnie stracił!"

Pięknie to brzmi! Nieszczęściem, choć nie może być wątpliwości, że lud od dawna stracił zaufanie do posłów, którzy go nieuczciwie zaprzedali w niewolę budapeszteńskiej kliki, za mało takich miejscowości, jak Rakocz; za mało takich mężów, takich kobiet, coby równie śmiało, bezwzględnie, solidarnie, jak w Rakoczu, powiedzieli co czują, co myślą!...

ODROCZENIE AUSTRYACKIEGO WIECU KATOLICKIEGO.

Austryacki kongres katolicki nie przyjdzie w tym roku do skutku, z powodu „nie dość wyjaśnionych stosunków politycznych i pochłaniających całą uwagę w wielu krajach koronnych, wyborów do sejmów". Tak czytamy w komunikacie, ogłoszonym przez 13 wybitnych austryackich katolików, przeważnie Niemców, którzy po długich rozprawach doszli do tego ujemnego rezultatu. Natomiast komunikat zaleca „tem usilniej katolikom wszystkich koronnych krajów zwoływać katolickie wiece prowincyonalne i dyecezalne, tudzież katolickie zgromadzenia". Nie trzeba być zbyt głęboko w austryackie stosunki wtajemniczonym, aby dorozumieć się, że powziętą uchwałę, odraczającą może na lata zwołanie ogólnego wiecu, spowodowała głównie bojaźń przed młodem a do zbytku energicznem chrześcijańsko-socyalnem stronnictwem, które mogło łatwo wiecem zawładnąć i dla swych celów go wyzyskać. „Ale — pyta, zdaje się, nie bez słuszności *Conservative Correspondenz* — czy chrześcijańsko-socyalne stronnictwo nie zawładnie i prowincyonalnemi i dyecezalnemi wiecami? O wiele podobno łatwiej i prędzej niż powszechnym, austryackim kongresem. Jeżeli książę Liechtenstein weźmie w niezbyt długiej przyszłości ogólny kierunek katolickiej sprawy w Austryi w swe ręce, to zwycięstwo to zawdzięczać będzie w pierwszej linii uchwale katolickich mężów zaufania z dnia 6 czerwca b. r."

PROCES ALEKSYANÓW.

Prasa niemiecka, a za nią prasa całego świata, zajmowała się przez parę tygodni i prawdopodobnie nieprędko zajmować się przestanie nadużyciami, jakie wykryto w leżącym koło Akwizgranu mariaberskim zakładzie dla obłąkanych. Zakład ten zostawał dotąd pod kierunkiem Aleksyanów, katolickiego zgromadzenia, zawiązanego w początkach XIV w. w celu pielęgnowania chorych. Klasztorów Aleksyanów jest dziś niewiele; niektóre z nich urządzone są wzorowo, jak stwierdzili wysłani specyalnie reporterzy dziennikarscy, bynajmniej z góry przychylnie dla katolickich instytucyj nie usposobieni; mariaberski zakład nie należał, niestety! do tej liczby. Braciszkowie klasztorni — bo Aleksyanie kapłanów między sobą nie mają — nie dość naukowo i duchownie wykształceni, nie umieli sprostać nad wyraz trudnemu zadaniu leczenia i pielęgnowania waryatów, idyotów, epileptyków. Nie wiedząc, jak sobie radzić, uciekali się do kar, do lekarstw, które dawniej znajdowały w tego rodzaju zakładach powszechne zastosowanie; dziś — przynajmniej w teoryi — ustąpiły bardziej humanitarnemu postępowaniu. Naturalnie, nikt mariaberskich braciszków tłumaczyć, nikt bronić ich nie myśli. Skoro się wykazało, że istotnie dopuścili się nadużyć, powinni być za nie pociągnięci do odpowiedzialności; prasa katolicka nietylko temu nie przeczy, lecz przeciwnie w interesie sprawy domaga się jak najwięcej światła, jak najbezwzględniejszej sprawiedliwości. Główny katolicki organ berliński *Germania*, podawał dzień po dniu o całym procesie stenograficzne sprawozdania; powtarzał z naciskiem: „Żądamy nietylko usunięcia złego, ale i ukarania winnych“. Tego każdy uczciwy człowiek się domaga; natomiast — jak zaznacza już nie katolicka *Germania*, ale postępowo-protestancki *Berliner Tagblatt* — robić odpowiedzialnymi wszystkich katolików za błąd popełniony przez kilku; rzucać kamieniem na wszystkie klasztory, na wszystkie katolickie szpitale, dlatego, że do jednego nieporządki się zakradły — jest po prostu nieuczciwością.

„Jeżeli nadużycia — czytamy w innym znowu z berlińskich dzienników — popełnione przez jakiegoś brata Ireneusza,

lub Henryka, mogą i mają wystarczyć za dowód, że katolicyzm jest niegodziwy, a polityka katolickiego Centrum niemożliwa — to przekraczamy już zwykłą granicę śmieszności... Nienawiść Rzymu oślepia, rozum odejmuje. Wrocławska gazeta podaje, że w Bethel koło Bielefeld, w zakładzie ewangelickiego pastora von Bodelschwingh, brak chorym opieki lekarskiej przynajmniej w tym samym stopniu, co brakowało jej w Mariabergu. Heca wywołana przeciw Aleksyanom zmienia się w płynącą szeroką falą agitacyę przeciw wszystkim wogóle zakładom duchownym i wyznaniowym... Ani na myśl nam nie przychodzi, aby katolicy mieli mieć dla siebie osobną jakąś „katolicką psychiatryę“ — jak to pewne dzienniki usiłują wmówić w swych czytelników. Ani religia, ani Kościół odpowiadać nie mogą za higieniczne, za lekarskie zapatrywania, które panują między katolikami, lub zyskały sobie prawo obywatelstwa w katolickiem jakiemś stowarzyszeniu. Nauka Kościoła, jego pasterze, jego kapłani, nie mają nic wspólnego z terapeutycznemi teoryami i praktykami mariaberskich braciszków. Tego rodzaju stowarzyszenia powstały i istnieją dla wprowadzania w życie najszczytniejszej miłości, chociaż niektórzy członkowie zapominają o miłości, wykraczają przeciw zakonnym swym obowiązkom i dopuszczają się cięższej winy przed Bogiem i ludźmi, niż świeccy dozorcy. Ale „kulturnicy“ nasi nie mają prawa wydawać surowszego sądu o katolickich zakonnikach, niż o kimbądź innym; wszak nie uznają ich religijno-kościelnego charakteru... Ostatecznie ostrze wymierzone przeciw katolickim zakładom musi się zwrócić przeciw podobnym zakładom protestanckim, a naturalnem następstwem przeciw wszystkim prywatnym zakładom dla obłąkanych. Zakłady państwowe, prowincyonalne, pozbyłyby się wtedy konkurencyi; ale czy ten brak konkurencyi byłby pożądanym, jakie skutkiby sprowadził?...“

Wartoby nad temi pytaniami wszechstronnie się zastanowić i gruntownie sobie na nie odpowiedzieć, przed dalszem wyzyskiwaniem mariaberskiej sprawy przeciw katolickim zakonom i zakładom.

PROGRAM CHRZEŚCIJAŃSKO-SOCYALNY.

Dwaj główni wodzowie chrześcijańsko-socyalnego ruchu we Francyi: Leon Harmel i Féron Vran, złożyć mieli w Watykanie — jak donoszą paryskie i rzymskie gazety — podpisany przez siebie program chrześcijańskiej działalności na polu społecznem. Program ten, który uzyskał zatwierdzenie i błogosławieństwo papieskie, brzmi:

Wiemy dobrze, że nasi przyjaciele poddają i rozum i serce pod kierunek Stolicy św. i niczego tak nie pragną, jak pokoju i tej niezmiernej siły, którą daje zgoda; uprzedzamy przeto ich pragnienia i jesteśmy tłumaczami ich myśli, zachęcając ich do wspólnej i usilnej pracy pod błogosławieństwem i w kierunku wskazanym przez naszego sławnego i ukochanego papieża Leona XIII.

1) Pracodawcy powinni, przejmując się coraz bardziej poczuciem swych obowiązków, popierać zakładanie kas brackich, mieszanych syndykatów i stowarzyszeń zawodowych, jakoteż wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, które mogą się przyczynić do polepszenia losu robotników i połączenia wspólnemi węzłami robotników z pracodawcami, jako członków jednej rodziny.

2) Robotnicy powinni na zgromadzeniach swych i w stowarzyszeniach pilnie roztrząsać nauki Ojca św. Tak dojdą do przekonania, że wszelka wolność, godność i pomyślność robotników płynie od Chrystusa Pana i Chrystusowych namiestników, którzy w ciągu wieków szerzyli i przekazywali naukę Jezusa Pana i wskazaną przezeń drogę sprawiedliwości i miłosierdzia. Robotnicy wstępują na tę drogę, przystępując do syndykatów mieszanych lub robotniczych i zakładając zawodowe stowarzyszenia w duchu chrześcijańskim.

3) Jak pracodawcy, tak robotnicy powinni korzystać z współpracownictwa kapłanów i popierać ich działalność, ponieważ kapłani wnoszą do stowarzyszeń ducha Ewangelii, pokój i zgodę. Zadaniem kapłanów jest tworzyć i popierać obyczajowe i ekonomiczne instytucye, korzystne dla warstwy robotniczej, w duchu i wedle wskazówek Stolicy św., z poświęceniem i uległością dla swego biskupa.

4) Jak pracodawcy, tak robotnicy powinni, zgodnie z mądremi zasadami Kościoła i w myśl zamiarów i rad Ojca św., zwracać pilną uwagę na miejscowe stosunki i potrzeby i niemi się kierować. Unikać winni ducha wyłączności, który przez ograniczanie i ściskanie wyłuszczonych zasad, tamowałby drogę chwalebnej inicyatywie prywatnej, a nawet podkopywałby powagę Apostolskiej Stolicy, która zapewnia

w tym względzie wszystkim cenny zakres wolności i zaleca wzajemną tolerancyę.

Sprawiedliwość i ludzkość leżeć muszą równie na sercu pracodawcom jak robotnikom. Obustronne usiłowania, dążące do rozwiązania kwestyi społecznej w duchu sprawiedliwości i ludzkości, powinny, o ile to możliwa, unikać wszelkiej polemiki, wszystkiego, co zarażone jest nienawiścią, bo walka i nienawiść przeszkodzić tylko mogą pokojowi społecznemu, którego zjawienie się i utrwalenie jest głównym celem naszych usiłowań.

Gazety domyślają się, — a co prawda domyślność ich nie była tym razem wystawioną na zbyt ciężką próbę — że instrukcye, które otrzymał kardynał Schoenborn w czasie głośnej swej rzymskiej podróży, nie różnią się ani na jotę od programu zatwierdzonego obecnie przez Ojca św. Tem ważniejszy to program i tem większą uwagę musi na siebie ściągnąć wszędzie, dokąd doszło echo socyalnej kwestyi. A dokądże dziś — w Europie przynajmniej — nie doszło?

JUBILEUSZ KARDYNAŁA LEDÓCHOWSKIEGO.

Trzynastego lipca upływa 50 lat od chwili, w której dzisiejszy prefekt propagandy, przed kulturkampfem prymas polski, w czasie kulturkampfu więzień i wygnaniec, kardynał Ledóchowski, przyjął w lateraneńskiej bazylice święcenia kapłańskie. „Jubileusz ten — pisze berlińska *Germania* — jest nietylko dla polskich katolików bardzo ważnem zdarzeniem, ale i dla całego katolickiego świata. Na pierwszem miejscu katolicy niemieccy nie pominą tej sposobności, aby dzielnemu wyznawcy-biskupowi w dniu tym złożyć swe hołdy“. Tem bardziej pominąć nie mogą sposobności tej Polacy, aby wyrazić kardynałowi Ledóchowskiemu głęboką wdzięczność i za dawniejsze prace i za późniejsze cierpienia i za dzisiejsze, inne, w innym kierunku, na innem, świat cały obejmującem stanowisku, ale dla kraju naszego niemniej, owszem o wiele bardziej jeszcze ważne i zbawienne prace. Wiemy też, że jej nie pominą.

Ks. Jan Badeni.

Jedenaste Walne Zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

Zanim przystąpię do przedstawienia spraw poruszonych na zjeździe nauczycieli szkół wyższych, odbytym w dniach 2-go i 3-go czerwca b. r., uważam za stosowne poprzedzić je krótkiem streszczeniem działalności Towarzystwa tych nauczycieli i jego wydziału za czas od 15-go lipca 1894 r. do 1-go czerwca 1895 r.[1]. Towarzystwo liczyło w tym czasie 12 Kół, członków zwyczajnych 708, honorowych dwóch: prof. uniwersytetu d-ra Bronisława Radziszewskiego i krajowego inspektora szkół średnich d-ra Zygmunta Samolewicza. Na czele wydziału Towarzystwa stoi radca dworu dr. Leonard Piętak, zastępcą przewodniczącego jest prof. Tomasz Sołtysik. Wydział odbył, w czasie wyżej zaznaczonym, 12 posiedzeń, zajmując się na pierwszych swych posiedzeniach sprawami zostającemi w bezpośrednim związku z zeszłoroczną wystawą krajową, w której Towarzystwo czynny wzięło udział. Przyjąwszy na siebie moralny obowiązek zajęcia się wykonaniem szeregu uchwał pierwszego kongresu pedagogów polskich, postanowił wydział jedne z nich przedstawić władzom w memoryałach, drugie uczynić przedmiotem dalszych obrad w łonie Towarzystwa. Na prośbę więc wydziału, dr. Leon Kulczyński wypracował memoryał w sprawie praktycznego przygotowania kandydatów stanu nauczycielskiego w szkołach średnich; w najbliższym czasie przedłoży się go władzom szkolnym. Pewne sprawy, objęte uchwałami kongresu, zostały w części załatwione, nad innemi zastanawiał się dopiero co odbyty zjazd. Wydział przyrzekł poparcie Kołu krakowskiemu w wydawnictwie pisma przeznaczonego dla dorastającej młodzieży szkolnej, wniósł memoryał do Wysokiej Rady szkolnej, proszący w myśl żądań Koła tarnopolskiego: 1) o wyjednanie środków „dla tych nauczycieli nauk przyrodniczych, którzyby pragnęli na jednym z zagranicznych uniwersytetów uzupełnić swe wiadomości w kierunku naukowym“; 2) aby Rada szkolna raczyła „spowodować od czasu do czasu na obu uniwersytetach krajowych podczas feryj, wykłady o najnowszych zdobyczach naukowych i metodach umiejętnego badania na polu nauk przyrodniczych“; 3) „umożliwić nauczycielom szkół średnich branie jak największego udziału w zjazdach przyrodniczych szczególnie poza granicami kraju“.

[1] Dane czerpiemy ze sprawozdania wydziału.

Wniosek Koła brzeżańskiego, dążący do zniesienia dwóch konferencyj (listopadowej i kwietniowej) o postępie uczniów, poddał wydział dyskusyi pojedyńczych kół, tak samo postąpił ze sprawą lektury prywatnej, poruszonej przez Koło lwowskie. Obie sprawy dotychczas niezałatwione. O ile nam wiadomo, za zniesieniem wspomnianych konferencyj oświadczyły się wszystkie koła, które nad tem obradowały; co do lektury prywatnej, to z dotychczasowych sprawozdań kół, pomieszczonych w *Muzeum*, wnosić można, że ogólną opinią będzie, że lekturę z literatur nowożytnych należy zmniejszyć, z języków zaś klasycznych, co do której instrukcye nie dają ścisłych przepisów i pozostawiają wybór i zakres jej nauczycielstwu, nietylko ograniczyć ją o ile możności, ale trzymając się ściśle instrukcyi, nie wymagać jej, tylko zachęcać do niej, odróżniając w poddawaniu tematów uczniów zdolnych od słabszych. Zresztą zdania niektórych kół różnią się znacznie: niektóre sądzą, że lektura prywatna polska w VI. klasie jest za obszerna, inne, że składając się w znacznej części z powieści, uczniów wcale nie obarcza, że zmniejszać jej nie należy, bo i tak wobec niewielu godzin języka polskiego, rezultaty osiągane z jego nauki zadowolnić nie mogą. Zdaniem naszem te drugie mają słuszność. Powinno zwyciężyć zdanie: do lektury z języków klasycznych, obejmującej większe utwory, według instrukcyi z r. 1884 dobrowolnej, należy zachęcać uczniów najzdolniejszych, mniej zdolnym poddawać drobne tylko ustępy do opracowania, żadną zaś miarą nie używać przymusu, jak tego zresztą wymaga okólnik Rady szkolnej krajowej z 6 listopada 1893 r., wzywający nauczycieli języka łacińskiego i greckiego, „aby w interesie podniesienia poziomu tych języków zechcieli poświęcić baczną uwagę lekturze prywatnej i zachęcali do niej, wykluczając wszelki przymus, uczniów już od klas niższych“. Uchwałą wyżej proponowaną przypomniałoby się tylko istniejący okólnik, który skutkiem gorliwości nauczycieli i przedstawicieli władzy szkolnej wywołał zbyt wielkie wymagania w lekturze klasycznej. Lektura prywatna z języka niemieckiego, o ile zasięgnąłem informacyi u fachowych nauczycieli, mogłaby być nieco ograniczona, języka zaś polskiego powinna się utrzymać w dotychczasowej mierze.

Powracając do sprawozdania wydziału, dowiadujemy się z niego dalej, że zajmowano się żywo sprawą polepszenia bytu nauczycieli szkół średnich [1]; z ustnego zaś oświadczenia, złożonego na zjeździe przez

[1] Na jednem z posiedzeń zjazdu podał dr. Piętak do wiadomości obecnych, że plan uregulowania pensyi nauczycieli znajduje się zupełnie opracowany w ministeryum oświaty.

prezesa Towarzystwa, że wydział postanowił wziąć udział w założeniu gimnazyum żeńskiego we Lwowie, przyjąć opiekę nad tym zakładem, przeprowadzić jego organizacyę, objąć nad nim nadzór i kierunek naukowy, a wreszcie, nie angażując Towarzystwa finansowo, przedsięwziąć kroki potrzebne do uzyskania zezwolenia na wprowadzenie w życie tego gimnazyum. „Jest nadzieja, że to już nastąpi z początkiem przyszłego roku szkolnego".

Sprawozdanie daje następnie obraz ruchu w pojedyńczych kołach. Pomijając liczne odczyty z dziedziny wiedzy fachowej, świadczące o tem, że nauczyciele zajmują się poza pracą szkolną badaniami ścisłemi w zakresie obranej nauki, podajemy przedmioty obrad, o ile one tyczą się samej szkoły i nauczycielstwa. A więc mamy cały szereg odczytów pedagogicznych, np.: „Kwestya wpływu pedagogicznego niektórych utworów A. Mickiewicza na naszą młodzież" [1]; „O metodzie w rozbiorach arcydzieł lit. pol. w szkołach średnich" [2]; „O sprawach dydaktycznych i pedagogicznych na ostatnim zjeździe przyrodników i lekarzy w Wiedniu" [3]; „W sprawie fizycznego wychowania młodzieży szkół średnich" [4] i t. d. Zajmowano się następnie roztrząsaniem podręczników, metodą nauki tych lub owych przedmiotów, zmianą egzaminów nauczycielskich i t. d. Sprawozdanie zamyka się rachunkiem kasowym.

Referat, postawiony przez wydział na pierwszem miejscu, a przekazany mu przez pierwszy kongres pedagogów polskich, nie wzbudziwszy bardziej ożywionej dyskusyi, bo sprawa była znana i uznana za słuszną i dobrą, skończył się uchwaleniem wniosków, proponowanych przez referenta, d-ra A. Karbowiaka, z tą poprawką, żeby do współudziału w pracy zaprosić Towarzystwo pedagogiczne. Nad referatem nie zastanawiamy się z tych samych powodów, dla których i Zgromadzenie nim się nie zajmowało, wypisujemy tylko wnioski, jakie z uznania potrzeby środków, służących do wychowania nietylko uczciwych ludzi, ale i obywateli-Polaków, wypłynąć musiały. Otóż Walne Zgromadzenie uznało potrzebę:

1) *a)* głębszych badań dziejów wychowania i szkół w Polsce;

b) wydania pedagogii, uwzględniającej potrzeby narodowej edukacyi młodzieży polskiej.

---

[1] Prof. Kwiatkowski: Koło jasielsko-sanockie.

[2] Antoni Mazanowski: Koło krakowskie.

[3] Dr. Ignacy Petelenz: Koło lwowskie.

[4] Dr. Warmski: Koło lwowskie.

2) W tym celu Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych przy współudziale wszystkich kół swoich i Towarzystwa pedagogicznego przystąpi:

a) do wydawnictwa źródeł i materyałów, potrzebnych tak do skreślenia historyi szkół polskich, jakoteż do napisania pedagogii, któraby czyniła zadość podanym wyżej warunkom;

b) do założenia z Towarzystwem pedagogicznem polskiego Muzeum pedagogicznego, obejmującego wszystko, co się do szkół polskich odnosi.

Z kolei odczytał dr. Krotoski referat o wykonalności planu naukowego w gimnazyum galicyjskiem. Nad tym referatem zastanawiało się już przedtem długo Koło krakowskie, poddając go kilkakrotnej dyskusyi, rozdając wreszcie jako manuskrypt drukowany członkom Koła i Zjazdu. Treść odczytu referenta następująca: „Zarys organizacyjny“, ogłoszony w r. 1849, jest dzieckiem roku 1848, ma więc błędy wszystkich dzieł rewolucyjnych, tj. brak miary, zbyteczną wybujałość. Z przejęcia ze szkół pruskich w całej rozciągłości nauki klasycznej, a przez dodanie do niej przedmiotów realistycznych bez rozszerzenia czasu studyów, powstał szkopuł, z powodu którego nie przeprowadzono dotychczas znakomitych w zasadzie planów. Zarys ten powstał w przeciągu trzech miesięcy, był głównie dziełem Exnera; Bonitz, praktyczny pedagog, który mógł najprędzej dojrzeć w nim braki, nie obeznany ze stosunkami austryackiemi, uległ wpływowi Exnera, a stosunki polityczne owych czasów spowodowały, że planu tego nie poddano fachowej krytyce. W Austryi zresztą dotychczas nikt z „pedagogów praktycznych“ nie zajął wybitniejszego stanowiska w ministeryum oświaty. „Kto raz obrał zawód nauczycielski, choćby był najznakomitszym pedagogiem i dydaktykiem, dla tego stanowisko w zarządzie oświaty raz na zawsze zamknięte“. Z tych to powodów system szkolny z r. 1849 pozostał niezmieniony do r. 1884. W tym roku uznało ministeryum oświaty, że zadanie i cel nauki zbyt wysoko wymierzono, aby mogły być wedle zebranego doświadczenia w danych warunkach osiągnięte [1].

Jednak nowe instrukcye ilości materyału zbytnio nie ograniczyły, a skutkiem tego było, że w następnych rozporządzeniach z lat 1887, 1891, 1892, zredukowano materyał naukowy jeszcze bardziej, starając się przytem pewnemi zmianami w sposobie nauczania ułatwić uczniom nabywanie wiedzy. Referent jest zdania, że pomimo tych ułatwień nie ograniczono wymogów szkoły do „wypróbowanego doświadczeniem po-

[1] „Dass allerdings in einzelnen Punkten die Aufgabe zeichlicher zugemessen und das Ziel höher gesteckt sei, als es nach der Erfahrung unter den gegebenen Verhältnissen sich als erreichbar herausgestellt hat“.

ziomu dającego się osiągnąć". Uzasadnia to dr. Krotoski porównaniem „materyału naukowego przepisanego w gimnazyach krajów w ściślejszem znaczeniu austryackich, z materyałem obowiązującym w gimnazyach pruskich lub heskich, w niektórych przedmiotach, jak matematyce i fizyce, także porównaniem z materyałem przepisanym dla szkół realnych w Austryi; następnie zaś porównaniem zadania gimnazyów austryacko-niemieckich z zadaniem gimnazyów w Galicyi, i to w zachodniej i we wschodniej części tego kraju". Nie wchodząc w szczegóły tego porównania, przeprowadzonego na pojedyńczych przedmiotach nauki szkolnej, zaznaczając tylko jego wierność i ścisłość, podajemy rezultat tego badania. Otóż wymagania w gimnazyach austryackich we wszystkich przedmiotach, prócz greki i do pewnego stopnia łaciny, są daleko większe niż w gimnazyach pruskich, i że do osiągnięcia ich przeznaczono w Austryi czas daleko krótszy (192 godzin tygodniowo) niż w Prusiech (221 godz.). Wobec tego młodzież pruska, mając naukę rozłożoną na lat 9 przy 252 godzinach tygodniowo (z przedmiotami pobocznemi), jest mniej obarczona niż młodzież austryacka, pracująca lat 8 po 196 godzin tygodniowo. Na to obarczenie młodzieży szkolnej żaliło się i żali wielu, czują to także władze szkolne, czego świadectwem rozporządzenie ministeryalne z d. 24 maja 1892, zaprowadzające pewne skrócenia materyału, jednakowoż tylko w gimnazyum niższem. Złe, zdaniem referenta, dałoby się tylko usunąć albo znacznem ukróceniem materyału, albo dodaniem jednego roku szkolnego, na co się jednak nie zgodzi w pierwszym razie minister oświaty, w drugim — minister skarbu.

„Jeżeli jednak taki stan istnieje w Jeruzalem i w Judei, cóż dopiero mówić o dalekiej Galilei za górami". Źle już jest w gimnazyach austryacko-niemieckich, daleko gorzej w Galicyi, gdzie przybywają do nauki dwa, względnie trzy (we wschodniej) przedmioty z $54^1/_2$ godzinami tygodniowej nauki, a wymagania dla nich postawione są bardzo znaczne. Młodzież pruska przerabia mniejszy materyał w przeciągu 9 lat przy 252 godzinach tygodniowej nauki, galicyjska zaś ma sobie przyswoić znacznie większy materyał w ciągu lat 8 przy $232^1/_2$, a względnie $248^1/_2$ we wschodniej Galicyi. Wobec tego obciążenie młodzieży istnieć musi, a nie usunie go sposób nauczania, nowa metoda, która i w Prusiech nie przynosi tych owoców, jakich się po niej spodziewano, nie usuwa mianowicie znacznej bardzo pracy domowej ucznia, a w Austryi nawet nowe w niektórych przedmiotach nakłada ciężary, wymaga idealnie doskonałych nauczycieli, a takimi przecież wszyscy być nie mogą. Podręczniki nasze są „lepsze po części" od dawniejszych,

ale „czy odpowiadają wszelkim wymogom dydaktyczno-pedagogicznym?“ Mniemam, że i największy optymista zawahałby się z potwierdzeniem tego pytania. Zastanawiając się dalej nad tem, czy może przeciążenie uczniów nie jest winą planów, tylko nauczycieli lub „żywiołów wśród uczniów nieodpowiednich do gimnazyów“, dochodzi się do konkluzyi, że wina ta spada chyba tylko w drobnej części na nauczycieli, na uczniów zaś zupełnie nie, bo chociaż większość ich rekrutuje się z klas niższych, a więc tworzy materyał surowy i trudny do obrobienia, to jednak słabi w naukach z braku środków do opłacenia czesnego, odpadają już w najniższych klasach, a z reszty wyrabia się najlepsza część społeczeństwa. „A więc nie nauczycielstwo, nie uczniowie są przyczyną owych utyskiwań na obciążenie, lecz przedewszystkiem system, plan, który tylko w idealnych i to pod każdym względem warunkach dałby się wykonać“. Tu powołuje się dr. Krotoski na uchwały zjazdu dyrektorów z 27, 28 i 29 marca 1893 r. Skutkiem tego systemu jest obok płytkości wiedzy, zaniedbania fizycznego wykształcenia, zanik sumienności i rzetelności w spełnianiu obowiązków. Środków na to złe referent właściwie nie podaje, zaznaczając tylko niektóre, jak np. zmniejszenie podręczników, przedłużenie o jeden rok nauki gimnazyalnej. Odczyt zakończył się wnioskami, przyjętemi po długiej dyskusyi:

1) Plan naukowy, obowiązujący w typowem gimnazyum austryackiem jest zbyt obszerny.

2) W wyższym stopniu odnosi się to do planu naukowego w gimnazyum galicyjskiem, rozszerzonego dwoma, ewentualnie trzema nowemi przedmiotami.

3) Plan naukowy w gimnazyum galicyjskiem nie jest wykonalny bez nadmiernego obciążenia młodzieży.

4) Aby ten anormalny stan usunąć, należałoby, bez ujmy dla właściwego zadania gimnazyum, w pewnych przedmiotach ograniczyć materyał naukowy, a to ze względu na większą ilość przedmiotów, których młodzież nasza musi się uczyć.

5) Do osiągnięcia powyższego celu doprowadzić mogą jedynie konferencye inspektorów, dyrektorów i innych doświadczonych pedagogów.

W rozprawie nad temi wnioskami zabierało głos wielu ze zgromadzenia. Większość wydała opinię, że referent w najlepszej zresztą myśli i celu rzecz zbyt pesymistycznie przedstawił, że plany nie są złe, że obarczenia ogólnego i wszędzie niema, że młodzież nie jest tak zdemoralizowana, jakby to z odczytu wynikało, że jeżeli jest złe, to dałoby się usunąć przy dobrej woli nauczycieli, Rada szkolna bo-

wiem wskazała *maximum* nauki, w mocy więc nauczycieli opuścić to, co opuścić się da bez szkody. W każdym przedmiocie należy baczyć na zasady, na rzeczy główne, podstawne; te przerobić należy gruntownie, a w szczególiki się nie bawić. Inny z mówców porównywa szkoły obecne z dawniejszemi i nie widzi, aby młodzież była teraz bardziej obarczona naukami niż młodzież z połowy tego wieku, a przecież narzekań na przeciążenie nie słyszało się ani od rodziców, ani od uczniów: nie widzi możności zmiany planu, bo ani liczby przedmiotów, ani ich zakresu naruszyć niesposób, pragnąłby tylko ulepszenia instrukcyi. Referat popiera dr. Ignacy Petelenz, wspominając swoje czasy szkolne; mniej wówczas uczono, mniej wymagano, mniej było godzin, byli nauczyciele klasowi, którzy uczyli głównie jednego języka, inne były tylko jego dodatkami; zaznacza trafnie, że w planie mamy *maximum* wymagania, którego osiągnąć nie można, a osiągnąć każdy chce, niema, a powinno być oznaczone *minimum*, którego każdy nauczyciel dopiąć powinien. Następni mówcy skarżą się na niektóre podręczniki, na przepełnienie klas, na częstą zmianę nauczyciela, przyczem traci się drogi czas na poznawanie uczniów; utyskują dalej nad tem, że przedmioty spoczywają często w rękach niepowołanych, tj. niefachowych nauczycieli. Radca dr. German sądzi, że plan należycie wykonany nie obarcza uczniów, że podręczniki należałoby zrewidować, ale pracy tej powinni się podjąć nauczyciele niefachowi, bo fachowi stawiają największe trudności w ograniczeniu materyału. Należałoby wybrać komisyę, któraby książki zbadała. Ostatecznie w głosowaniu przeszły wnioski referenta i dodatkowe prof. Niemca: „Wydział poczyni odpowiednie kroki, aby przedmioty spoczywały jak najdłużej w rękach tego samego nauczyciela“; radcy d-ra Germana: „Wydział w porozumieniu z kołami Towarzystwa zechce przeprowadzić szczegółową rewizyę podręczników szkolnych w kierunku uszczuplenia zawartego w nich materyału naukowego“. Rozważywszy dokładnie głosy, jakie się w rozprawach nad tym referatem odezwały, dochodzi się do przekonania, że obarczenia ogólnego, wielkiego w istocie niema, że skargi wypłynęły z anormalnych tu i ówdzie stosunków, z modnego obecnie narzekania i tendencyi powiedzielibyśmy „niańczenia“ dzieci; następnie, że plan naukowy, obowiązujący nauczycieli, nie jest doskonały i należałoby go w pewnych punktach, ale nie istotnych, zmienić, że główny nacisk należałoby położyć na zmianę instrukcyi, na sposób jej wykonania, na uszczuplenie podręczników, na te wogóle dodatkowe wnioski, którychby daleko więcej postawić można, a te drobniejsze zmiany doprowadziłyby

nas daleko prędzej do celu, niż gruntowna zmiana planu, która przy austryackiej powolności przyszłaby do skutku za lat 25.

Dalsze referaty zjazdu przebiegniemy krócej, bo albo są mniejszej wagi, albo żądania w nich postawione są tak daleko idące, że się z niemi spotkamy nie na jednym jeszcze zjeździe. Do ostatnich zaliczyć nam wypada referat d-ra Ign. Petelenza w sprawie egzaminów kandydatów zawodu nauczycielskiego w szkołach średnich. Treść jego następująca: umiejętności zawodowe są główną podstawą stanowiska nauczyciela, nauczyciel musi panować nad swym przedmiotem. To teoretyczne wykształcenie powinien mu dać uniwersytet, praktyczne zaś, tj. pedagogiczne, szkoła, np. wzorowe gimnazyum, jakie już istnieje w Wiedniu. Nauczyciel winien, wychodząc z uniwersytetu, posiadać patent nauczycielski, co dałoby się osiągnąć peryodycznemi, np. corocznemi egzaminami. Dr. Petelenz domaga się włączenia do egzaminu filozofii; doktorat przy pewnych zmianach ma być uważany za równoznaczny z egzaminem kwalifikacyjnym. Wnioski referenta, z wyjątkiem punktu czwartego (zawodowy doktorat filozofii ma znaczenie egzaminu kwalifikacyjnego odpowiedniej grupy), przyjęto z pewnemi poprawkami, a brzmią one jak następuje:

1) Umiejętne wykształcenie kandydatów należy do uniwersytetu, praktyczne — do szkoły.

2) Egzamina mają być tak urządzone, aby je można składać w ciągu studyów tak, aby kandydat wstępujący do praktyki miał egzamin.

3) W skład każdej grupy wchodzi filozofia i pedagogia.

Dodano do tego wniosek prof. Czechowskiego: Walne Zgromadzenie wyraża życzenie, aby utworzono wzorowe gimnazyum. — Czy z tych życzeń cośkolwiek rychło się spełni, wątpię bardzo. — Odczyt prof. Barewicza, żądający usunięcia z Ćwiczeń niemieckich dla klasy I. i II. nieodpowiednich ustępów, gruntownego przerobienia Gramatyki niemieckiej i Wypisów tego języka dla klasy III. i IV., pewnych zmian w Wypisach niemieckich kl. VI., VII. i VIII., pozostawienia nauki poetyki językowi ojczystemu, ograniczenia lektury domowej w języku niemieckim — spadł z porządku dziennego. Życzyćby sobie należało, aby dr. Barewicz referat swój przedłożył Radzie szkolnej do najrychlejszego załatwienia.

Kończymy podaniem uchwalonych przez Zgromadzenie wniosków ks. d-ra A. Pechnika: „Walne Zgromadzenie wyraża przekonanie, iż lata, spędzone na suplenturze od zdania egzaminu, powinny być uwzględ-

dnione przy przyznawaniu dodatków pięcioletnich, pobieranych w służbie rzeczywistej, że więc dodatek otrzymany na suplenturze powinien być pozostawiony także przy nominacyi na nauczyciela rzeczywistego, i że nauczycielom, którzy na mocy obowiązującej obecnie ustawy stracili przyznane w czasie suplentury dodatki pięcioletnie, należy je przyznać napowrót".

Wniosek ten, każdy, kto zna ustawodawstwo austryackie, zaliczyć musi do *pia desideria.*

Przerzuciwszy to sprawozdanie, spostrzeże każdy, że dwa były głównie referaty, które obudziły żywe zajęcie i że te dwa tylko wydadzą już w najbliższej przyszłości owoce; innym referentom winniśmy wdzięczność za poruszone przez nich sprawy.

Dotychczasowa działalność Rady szkolnej napełnia nas otuchą, że głos nauczycielstwa nie pozostanie głosem wołającego na puszczy.

Dr. A. M. Kurpiel.

List z Wiednia.

Wyjmujemy z prywatnego listu zajmujące szczegóły o tradycyjnej procesyi Bożego Ciała w Wiedniu:

„... O 6-tej wstaliśmy i powędrowali na Graben do mieszkania S. S., z którego okien wszystko doskonale widać. O 7-mej godzinie ruszyły poszóstne galowe karety arcyksiążąt z Burgu do św. Szczepana; przed niemi heroldowie w białych strojach z srebrnemi trąbami. Za arcyksiążętami, ciągniona przez 8 siwych, andaluzkich koni, z homontami lśniącemi od złota, złota kareta, w której jechał cesarz i arcyks. Karol Ludwik, a z tyłu orszak paziów konno, w czerwonych kostyumach *à la Louis XV.* Trzeba wiedzieć, że te pyszne konie andaluzkie do niczego innego przez cały rok nie bywają używane, tylko do wożenia cesarza na to święto. Po godzinie, tj. po Mszy św. u św. Szczepana, ruszyła procesya przez Kärtnerstrasse, Augustinerstrasse, Kohlmarkt i następnie rozwiązała się na Grabenie. Widok był wspaniały. Pochód rozpoczynają szkółki sierót, śpiewających anielskiemi głosy chorały; następują cztery zakony: Franciszkanie, Kapucyni, Dominikanie i Redemptoryści; potem proboszczowie wszystkich parafij wiedeńskich z przełożeństwem kościelnem i chorągwiami, których ze dwieście powiewa długiem pasmem po Grabenie. Następnie rada miejska, uszczuplona

w tej chwili, z komisarzem rządowym na czele; potem służba dworska w czerwonych frakach, a za nią długim szeregiem wszyscy dygnitarze dworscy: a więc strukczaszowie, szambelani, tajni radcy, i wszycy rycerze orderów. Na ten orszak, niezmiernie barwny, składają się mundury wojskowe, kontusze, magnackie, węgierskie, maltańskie, szambelańskie złotem wyszywane stroje; a że to sezon kwiatów, więc duże woskowe świece ubrane pękami róż. Mnóstwo się nam znajomych przesunęło; między innymi w parze — bo parami idą — minister Gołuchowski w mundurze tajnego radcy, i Zaleski, jako prezes Koła polskiego w kontuszu. Wszyscy właściciele wielkich krzyżów orderowych, ten jedyny raz w roku ze złotemi łańcuchami na piersiach. Przed samym baldachimem idą rycerze złotego runa; pod baldachimem celebrujący kardynał z Przenajświętszym Sakramentem; za nim, z gołą głową, cesarz, w białym, feldmarszałkowskim mundurze i insygniami wszystkich austryackich orderów, których to jest święto. Za cesarzem kanclerze orderów Franciszka Józefa, Żelaznej korony, Leopolda i Szczepana, i wszyscy arcyksiążęta, którzy się na ten dzień niemal w komplecie stawić muszą ze swemi świtami.

Orszak zamyka prześliczna gwardya austryacka w czerwonych mundurach i hełmach z białemi pióropuszami, na skarogniadych koniach, i piękniejsza może jeszcze gwardya węgierska na siwkach, w strojach wszystkich kolorów tęczy, z kołpakami futrzanemi i kitkami z czaplich piór i skórami panter przerzuconemi przez plecy. To wszystko razem jest tak piękne, że wypowiedzieć trudno; a w dodatku niezmiernie podniosłe, bo cały ten przepych na to rozwinięty, żeby pokazać, jak się majestat ziemski przed Majestatem niebieskim korzy; i przy końcu, za powrotem karet dworskich, bardzo się szczerze *Hoch!* cesarzowi krzyczy...“

Druk ukończony 28 czerwca 1895 r.

NA JUBILEUSZ KAPŁAŃSKI

JEGO EM. KARD. LEDÓCHOWSKIEGO.

Wiek już przeminął, odkąd w niebiosy
Stu dział i dzwonów spiżowe głosy
Hymnem płynęły wesoło,
I niosły wieści w najdalszą stronę,
Że Prymas Polski Chrobrych koronę
Włożył królowi na czoło...

Sto lat, jak naród łamiąc swe dłonie,
Przez Maciejowic przechodził błonie,
Liczył swych synów mogiły:
A gdzieś w niebiosach — jękom wdów, matek,
Łzom narzeczonych i sióstr i dziatek
Duchy poległych wtórzyły...

A nad tą wielką ziemią cmentarną,
W którą się wszystkie boleści garną
W stuletniej czasów zawiei,
Od brzegów Odry aż po Chin brzegi,
Ponad łez rzeki, Sybiru śniegi,
Rozbłysła — tęcza nadziei.

Popod ten wielki łuk tryumfalny
Sto lat już idzie pochód błagalny
Osieroconych Polaków:
W tę jasną tęczę myśmy patrzyli,
Gdyśmy po świecie zbrojno chodzili
Pod wodzą nie swoich znaków.

I ta nam z nieba tęcza świeciła,
Gdy garść walecznych nieraz się biła
O kraj i naród kochany,
I gdy owiana dymem pożarów
Szła w lodowate wygnanie carów,
Dzwoniąc w żelazne kajdany.

I dzisiaj jeszcze, kiedy nam smutnie
I serca mówią i dzwonią lutnie
O dawnych wiekach minionych:
Gdy próżno patrzym tych tronów Laszych,
Tych wielkich królów, biskupów naszych
I tych rycerzy wsławionych:

To wzrok nam łzawy w niebo ucieka
I owej tęczy z dnia na dzień czeka
Z sercem ściśnionem bez miary:
A Bóg, co ludziom tęcze zapala,
Jak w dniach Noego, tak teraz z dala
Szuka nasamprzód — ofiary...

* * *

Niesiemć ją, Panie!...
Już świt poranny
Dawno ozłocił Rzymu fontanny,
Barw w nich tysiące rozrzucił:
Dawno z Apenin uśmiech wesoły
Rzucił w posągi, termy, kościoły
I Rzym z uśpienia ocucił.

Rojno dziś w mieście, jakby w dzień Pański:
Góral z Abruzzów, pasterz kampański,
Rybak z nad brzegów Ankony,
W tłumie ciekawej przechodniów rzeszy
Do świątyń Pańskich za Tyber spieszy,
Gdzie srebrne wzywają dzwony.

Nad Rzymu gmachy, nad świątyń głowy
Pnie się w obłoki kościół Piotrowy,
Jak morska ziemi latarnia,
I z majestatem praw swych odwiecznych
Kąpiąc swe szczyty w blaskach słonecznych,
Świat cały wzrokiem ogarnia.

Tłum zaś pobożny z blizka i z dala
W spiżowe bramy płynie jak fala
I wzrok podnosząc do góry,
Zda się oglądać tron bożej chwały
I na twarz padłszy jak oniemiały,
Całuje zimne marmury.

I spieszy kornie z szeptem modlitwy,
Gdzie święte szczątki tego Rybitwy,
Co dzierży klucze niebiosów,
I co — gdy burze huczą dokoła,
Chciał, jako wierny Sternik Kościoła,
Jego na ziemi strzedz losów.

Z pod niebotycznej patrzy kopuły
W wieki, co u nóg mu się przesnuły
Z mieczem lub różczką oliwy;
Gdy nurt spieniony w Opokę wali,
On wiedzie Kościół po groźnej fali,
Poprzez męczeństwa i dziwy.

Patrz, jak k o n f e s y a ogniem się mieni
Od wpadających snopów promieni,
Złociste rozkłada skrzydła:
A gdy się tłumy w ich cieniu kryją,
Lamp płoną krocie i w niebo biją
Wonie i modlitw kadzidła.

Lecz większą chwałą, wońmi słodszemi
Wieje grobowiec z ciemnych podziemi
I światłem żywszem bez miary.
Chwila to złotem w niebie wyryta:
Bo u zwłok Piotra młody Lewita
Do pierwszej staje ofiary.

* * *

W mroku katakumb odzianych nocą
Na świętym grobie światła migocą,
Kwieciem ozdobne pochodnie,
A wkoło klęczą obok ołtarzy,
Albo łzy leją leżąc na twarzy
Najdroższi sercu przychodnie.

Czemuż w tym lochu, gdzie duch truchleje
I przypomina męczeńskie dzieje,
Śród ciszy, ciemni i chłodu?
Kto ten Lewita pełen radości
Przy sarkofagu męczeńskich kości? —
Syn męczeńskiego narodu.

Przodkowie jego niegdyś dźwigali
Kraj radą, mieniem i ostrzem stali,
Świecili pochodnią wiary:
On — kiedy polskie pękły oręże,
Kiedy się ofiar lękają męże,
Chwyta za oręż — ofiary.

I dziś, gdy Boga w rękach podnosi,
Z jakimż zachwytem o to Go prosi,
By — jak On — stać się zbawieniem,
Całopaleniem za grzechy świata,
Jak ta najczystsza, boża objata —
Pochodnią nad swem plemieniem...

Kapłanie boży! podnieś wysoko
Rzewnemi łzami zalane oko
Hen, pod kopuły sklepienia.
Czyliż nie widzisz anielskich chórów,
Co do cię zbiegły z nieba lazurów,
By z tobą łączyć swe pienia?

Czyli nie słyszysz w twym świętym lęku,
Jak Boski Zbawca na twoim ręku
Z sercem wezbranem bez miary
I pocałunek boży ci składa
I sercu twemu jak rozpowiada
O cenie twojej ofiary?

Synu mój — rzecze — sługo wybrany!
Ty mię poniesiesz za oceany
Z słodkiem poselstwem pokoju;
W dalekich ziemiach wstąpisz w arenę,
O moją chwałę, za jedną cenę:
Miłości Boga i znoju.

I poślę ciebie do mej kochanej
Polski, od stu lat łzami zalanej,
Tron ci prymasów powierzę,
Byś karmił, goił, rozdzielał łaski
I wszędzie wiary roztaczał blaski
I święte stwarzał pasterze.

O, bądź bezpieczny! W tej ciężkiej drodze
Jam zawsze z tobą: Ja cię ochłodzę
I wesprę, synu kochany,
I dam nagrodę najdroższych synów:
Nie wieniec złoty, nie garść wawrzynów,
Lecz krzyż i moje kajdany.

W purpurę ciebie moją odzieję
Za to, żeś zawsze żywił nadzieję
Męczeńskich za Boga stosów:
I dam ci wielką sieć Apostołów
Na świat ten cały i wielki połów
I siebie śród mych niebiosów.

Wszak pójdziesz, synu?...
W tej świętej ciszy
W krypcie Piotrowej człek tylko słyszy
Mocne serc bicia i łkanie;
Ale Bóg słyszał, jak sercu Pana
Mówiła czysta dusza kapłana:
„Twój jestem — poślij mię, Panie!“

Garstka klęczących wzrok swój utkwiła
W twarzy kapłana, co się paliła
Bożych zachwytów płomieniem,
I wszystkie oczy rzewnie patrzyły
W łzy, co się z jasnych lic mu toczyły
Najczystszych pereł strumieniem.

Lecz całe niebo w pieśń upowite
Patrzyło z szczęściem w swego Lewitę
I w jego z Bogiem umowy,
A w ziemie Polski i na świat cały
Chóry Aniołów z wieścią leciały:
„Apostoł przybywa nowy!...“

On pełen Boga stał u ołtarzy,
Jak kwiat, co barw się purpurą żarzy,
Wonią balsamów oddycha:
A tłum pobożnych spieszył wesoły,
Jak w dniu słonecznym zlatują pszczoły
Pić miody z kwiatów kielicha.

I wszyscy czuli, że przez te dłonie,
Co się na wiernych spuszczały skronie,
Co swego Stwórcę dźwigały:
Z duszy Bożego pełnej wesela
Jakichś niezwykłych łask Zbawiciela
Całe potoki spływały...

* * *

Od owej chwili zbiegło pół wieka,
A po pół wieku myśl nam ucieka
W onę konfesyę Piotrową,
I serce szuka tego kapłana,
Co po raz pierwszy sprowadzał Pana
Swoją ofiarą Ablową.

I duch go ściga przez świat nieznany,
Przez dwie półkule, przez oceany,
Przez różne koleje czasów:
Aż go znajdujem na polskiej ziemi...
Tyżeś to między dziećmi twojemi,
Na tronie polskich Prymasów?

Dziś cię znajdujem w jasnej purpurze,
Jako swych polskich sierót przedmurze
W pół wieku kapłańskich godów:
I dziś spieszymy rozradowani
Niosąc ci palmy i serca w dani
W pochodzie wszystkich narodów.

Jak przed pół wieku, tak dziś twe dłonie
Z błogosławieństwem włóż nam na skronie
W dniach tych męczeństwa i boju:
Niech nam się stanie pancerzem ducha,
Niech w serce spłynie nowa otucha
I zleci Anioł pokoju.

Niech nad tą wielką ziemią cmentarną,
W którą się wszystkie boleści garną
W stuletniej czasów zawiei:
Od brzegów Odry aż po Chin brzegi,
Ponad łez rzeki, Sybiru śniegi,
Zabłyśnie tęcza nadziei!

13 lipca 1895.

Ks. Władysław Czencz.

REAKCYA DZISIEJSZA PRZECIW POZYTYWIZMOWI.

(La réaction contre le positivisme, par M. l'abbé de Broglie. Paris 1894).

Druga połowa dziewiętnastego stulecia stanowić będzie w historyi nauki, w historyi całej wiedzy ludzkiej okres niezmiernie ciekawy. Współczesne pokolenie nie może dobrze zmierzyć doniosłości sprawy, tak, jak człowiek stojący u podnóża olbrzymiej góry nie może mieć zupełnie trafnego wyobrażenia o jej wyniosłości. Dopiero w miarę oddalania się, gdy niknie z widnokręgu wszystko, co przedtem grupowało się około owej góry i oko sobą zaprzątało, kontury jej zakreślają się wspaniale a wierzchołek staje przed okiem w takim majestacie, że przygniata wszystkie przedmioty dokoła, niejako w głąb je spycha, aby zająć panujące na dalekiej przestrzeni stanowisko.

Porównanie to tyczy się tylko zmierzenia ogromu rzeczy w perspektywie, ale nie wrażeń samego widoku. Jeżeli przyszłe pokolenia wpatrzą się w takiej perspektywie czasu na współczesny nam okres historyi i rozwoju wiedzy, to pewnie uderzy je rozmiar więcej, aniżeli nas samych, ale wrażenie nie będzie przyjemne. Widok bowiem przedstawiać będzie nie skończone i w harmonijną całość ujęte dzieło, z tłem wesołem i z jasną perspektywą, lecz raczej olbrzymią budowlę, niewykończoną w pierwotnym planie i wykończyć się niedającą, gdyż budowniczy dążył do wzniesienia niebotycznej wieży w dosłownem tego słowa znaczeniu, a nie dotarłszy nawet do obłoków, nie w połowie drogi dopiero, lecz niejako u samego wstępu, musiał zaniechać planu

czując, że grunt mu się chwieje pod nogami. Sterczeć będzie zatem przed okiem przyszłych pokoleń ogromna, ale niekształtna w całości budowla, gdyż braknie jej owej wieży niebotycznej, która według śmiałego planu na pewne miała stanąć, a stanąć nie może.

Że dopiero przyszłe pokolenia będą mogły dokładnie zmierzyć ten ogromny budynek wiedzy, jaki wzniósł niezaprzeczenie pozytywizm tegoczesny, że także dokładniej będą mogły ocenić błędność planu, według którego szczyt budynku miał postawić człowieka na takiej wyniosłości, aby odrzucając wrzekomo już zbyteczny balast religijny, przez sam teleskop wiedzy mógł wglądnąć we wszystkie tajniki świata i bytu — z tego wcale nie wypływa, żeby już dzisiejsze pokolenie nie mogło rozbierać krytycznie fałszywej rachuby budowniczego i okazać błędności zaniechanego planu dla przestrogi tych, którzyby w przyszłości myśleć zechcieli o ponowieniu chybionej próby.

Czy jednak próba ta uchodzi już stanowczo za chybioną w oczach tych pracowników, którzy przystępowali do niej z niezachwianą wiarą w powodzenie? Można już na to pytanie dać odpowiedź twierdzącą, chociaz, co prawda, nie wszyscy ci pracownicy przyznają się otwarcie do rozczarowania, a niektórzy z nich usiłują nawet naprawdę animuszem swoim pokrzepić zachwianych i wzbudzić otuchę nieokreślonemi zapowiedziami dalszej ewolucyi naukowej. Podobnym animuszem naukowym przejęty jest koryfeusz darwinizmu Haeckel, który w monizmie szuka takiego połączenia religii z umiejętnością, aby oczywiście pierwsza tylko służyła drugiej za dekoracyę, a druga mogła posuwać się dalej i swobodnie w negacyi wszystkiego, co wiara dyktuje. Przyjmując hipotezę o materyi pierwotnej (protylu) i eterze jako drogoskaz do ostatecznego rozwiązania najtajniejszych zagadnień bytu, mówi ten nieustraszony apostoł darwinizmu (w rozprawie: *Der Monismus als Band zwischen der Religion und Wissenschaft*): „Doświadczalne stwierdzanie tej materyi pierwotnej, stanowiącej podstawę wszelkiej uchwytnej materyi, jest może tylko kwestyą czasu. Odkrycie tej pierwotnej materyi ziściłoby zapewne nadzieje alchemistów co do sztucznego wydobywania złota i srebra

z innych pierwiastków. Wtedy powstałoby nowe wielkie pytanie: W jakim stosunku zostaje ta pierwotna materya do eteru światowego? Czy te obie substancye pierwotne zostają w istotnem i wieczystem przeciwieństwie? Albo może ruchomy eter dopiero wytworzył ciężką materyę? Celem dania odpowiedzi na to wielkie pytanie zasadnicze, postawiono już rozmaite fizykalne hipotezy, które jednak tak samo jak różnorodne atomistyczne hipotezy chemii na razie nie dają się jasno uzasadnić. We wszystkich tych przyrodniczo-filozoficznych hipotezach chodzi w tej chwili dopiero o ‚przyrodnicze artykuły wiary', o których uzasadnieniu można mieć rozmaite zdania, stosownie do subjektywnego sądu i stopnia wykształcenia. Mniemam, że rozwiązanie tych kwestyj zasadniczych na razie leży jeszcze poza granicami poznania i że w tej mierze jeszcze długo poprzestawać będziemy musieli na przyznaniu się do *ignoramus,* chociaż nie do *ignorabimus*".

Więc *ignoramus* to, co wiadomem było, jest i będzie każdemu, kto nie wyzuł się z wiary i wcale nie uznaje tego za pewnik, jakoby wszelki, chociażby najdalszy, postęp wiedzy miał być niepołączalny z wiarą. Oczywiście mamy tutaj na myśli postęp rzeczywisty, stwierdzony tak samo, jak ten cały realny rezultat badań, którym pozytywizm już dotąd wzbogacił wiedzę. Niepołączalność zaczyna się dopiero wtedy, gdy butna myśl rzuca się bezsilnie na nieprzedartą i przedrzeć się nie dającą zasłonę *ignorabimus.* W takim dopiero razie trzeba już chyba pomyśleć o osobnej religii *ad hoc,* a monizm Haecklowski dobrze się nadaje do tego. „Monistyczne badanie przyrody — mówi dalej Haeckel — jako poznanie prawdy, a monistyczna etyka jako przysposobienie do dobra, monistyczna estetyka jako pielęgnowanie piękna — oto trzy główne sfery naszego monizmu. W ich harmonijnem i łącznem rozwinięciu znajdziemy ów prawdziwie uszczęśliwiający węzeł między religią a umiejętnością, którego brak dziś wielu boleśnie uczuwa. Prawda, dobro i piękno — oto trzy wzniosłe bóstwa, przed któremi w zachwycie na kolana padamy. W ich naturalnem połączeniu i wzajemnem uzupełnieniu znajdujemy czyste pojęcie Boga. Nadchodzący wiek dwudziesty stawiać bę-

dzie ołtarze swoje temu w trójcy jedynemu ideałowi boskiemu, tej naturalnej trójcy monizmu".

Z tego wyznania wiary jednej frakcyi pozytywistów wypływałoby, że nie można jeszcze mówić o „bankructwie" pozytywizmu w takiem znaczeniu, w jakiem ten wyraz w codziennem życiu jest brany. Zmniejsza się wprawdzie liczba tych, którzy na pewne liczą, że z czasem uchyli się przed wzbogaconą wiedzą także i zasłona z napisem *ignorabimus,* zmniejsza się może i rezon tych śmiałków mimo pozorów wielkiej pewności swoich sił, ale ostatecznie doba pozytywizmu jeszcze się nie zamknęła, a jeżeli uważać go będziemy nie za system oddzielny, lecz tylko za najnowszą fazę działalności i najświeższy objaw ducha sceptycyzmu i niedowiarstwa, to doba ta wogóle nawet zamknąć się nie może. Jak długo bowiem istnieć będzie ludzkość, tak długo ponawiać się będą zamachy samobójcze człowieka, skierowane tak na życie fizyczne, jak i na duchowe, tak na ognisko pierwszego życia, serce i mózg, jak i na ognisko drugiego, na wiarę, wynoszącą człowieka ponad poziom ziemskiego życia ku Bogu.

Zresztą pozytywizm posiada i takich reprezentantów, którzy, chociaż nie wierzą, jak Haeckel, w możliwość uchylenia owego fatalnego *ignorabimus,* mimo to nie myślą o zwrocie zasadniczym, lecz wolą raczej zsunąć się w przepaść fatalizmu i pesymizmu. Tacy fataliści muszą jednak pogodzić się z tem, że w sferze pozytywizmu sytuacya ich będzie taką, jak gdyby osiedlili się — mówiąc słowami jednego z ich pierwszorzędnych powag, Littré'go — na wyspie wśród oceanu, którego w braku steru i żagli przepłynąć nie można. Co gorsza jeszcze, w takiej sytuacyi trzeba — co uznał znowu drugi koryfeusz pozytywizmu Taine — zrzec się tej wielkiej siły duchowej, która ludzkości wskazywała sferę ideału, tych skrzydeł, na których ona wznosiła się dotąd ponad poziom światowy, tj. trzeba zrzec się chrystyanizmu.

Fatalizm może pogodzić się z taką perspektywą ponurą, z widokiem przepaści, w którą wpaśćby miały wszystkie wyższe aspiracye ludzkości, ale zdobyć się na to może tylko w takim razie, jeżeli zasklepi się zupełnie w teoryi, nie oglądając się niejako na świat i życie a przedewszystkiem na nieuniknione kon-

sekwencye wszczepienia takiego poglądu, poza kołem filozofów, w całe społeczeństwo. Czem ono byłoby, jeżeliby człowiek, chociażby wzbogacony niezmiernie rzeczywistemi zdobyczami wiedzy, miał stracić niepowrotnie tę wielką podporę i dyrektywę moralną, jaką w całym dotychczasowym rozwoju ludzkości była religia, jakiej duch jego niezbędnie potrzebuje? Owe zdobycze wiedzy stawałyby się w takim razie tylko nowemi, groźnemi środkami w usługach żądz i namiętności, unoszących człowieka w życiu jakby po oceanie na statku ze złamanym sterem.

Z tego stanowiska ozwała się także reakcya przeciw pozytywizmowi, o ile on przykuwa ducha do poziomu doświadczalnej wiedzy i poza tym poziomem nie każe niczego szukać ani oczekiwać. Francuski neo-chrystyanizm jest wyrazem tego prądu reakcyjnego. Jeden z pierwszych jego koryfeuszów, E. M. Vogüé, nazwał (w rozprawie *Les Cigognes*) poczucie tej „niezmiernej próżni“ *(vide immense)*, wytworzonej przez pozytywizm, „chorobą niewymowną“ *(malaise indicible)*, a jej symptomy scharakteryzował wybornie temi słowy: „Człowiek poniżył się w swoich własnych oczach... Naszem nieszczęściem jest to, że się mniej czujemy ludźmi, aniżeli przed sześćdziesięciu laty... W tej wszechmocy i niemocy wiedzy cały świat dokoła niej popada w rozkład“.

Zdawałoby się, że od takiego ocknienia się do stanowczego zwrotu na drogę trafną jest tylko krok jeden, że po takiej dyagnozie chory tylko ręką sięgnąć potrzebuje po gotowy a niezawodny środek leczniczy. Że niestety tak nie jest, to pokazuje się ze stanu dzisiejszego całej tej reakcyi i społeczeństwa francuskiego. Już w tej nazwie „neo-chrystyanizm“ leży charakterystyka jego chwiejności. Z nieodpartem przeświadczeniem o konieczności zwrotu łączy się takie wahanie, jak gdyby zwrot ten wymagał nieodwołalnie zrzeczenia się wszystkich wielkich zdobyczy, któremi wiedza ludzka wzbogaciła się w ostatnich czasach, jak gdyby zdobycze te miały wprost wykluczać już nietylko wiarę religijną, lecz wogóle nawet możność wzniesienia się na skrzydłach filozofii ponad poziom doświadczalnej sfery badań i ich dotykalnych rezultatów.

Z drugiej strony samo to wahanie, ta walka wewnętrzna

nie jestże w pewnej mierze dowodem szczerości i symptomem głębokości rozbudzonej refleksyi? Gdyby chodziło tylko o upozorowanie rzeczy a nie o prawdziwe zaspokojenie głęboko uczuwanej potrzeby wypełnienia „niezmiernej próżni“, czy inicyatorowie refleksyi nie znaleźliby łatwo gotowych formułek do powierzchownego pokrycia tej próżni? Jest więc w tym ruchu zawiązek prawdziwie zbawiennej reakcyi, początek szczerego zwrotu ku straconemu chwilowo z oczu światłu wiary.

Poparcie tego ruchu wiele rokującego i utorowanie tego zwrotu stanowi cel książki księdza Broglie'go, która z tytułu swojego pod jednym względem więcej zapowiada, aniżeli treść zawiera. Czytelnik mógłby z tytułu oczekiwać całego obrazu reakcyi „przeciw pozytywizmowi, a otrzymuje tylko fragment, bo chociaż świetna przedmowa zawiera szerszy filozoficzny szkic w tej mierze, to jednak treść dzieła zwraca się w całości ku neo-chrystyanizmowi. Zawód ten powetowany został przez autora sowicie bogactwem i świeżością myśli, a cel praktyczny książki zyskał stanowczo na takiem ścieśnieniu ram, gdyż od początku do końca myśl czytelnika jest do celu tego niejako przykuta, a siła przekonywająca wszystkich wywodów autora potęguje się wskutek tego widocznie. Jest ona tak znaczna, że oddziałać powinna zbawiennie nietylko na tych, którzy już czują w sobie „próżnię niezmierną“ i inne symptomy „choroby niewymownej“, lecz także i na tych, którzy jeszcze nie stanęli na tym stopniu emancypacyi duchowej z więzów pozytywizmu. Nawet sam sposób przedstawienia rzeczy podnosi znakomicie siłę konwikcyjną książki ks. Broglie'go. Jest to sposób popularny, ale w najcelniejszem tego słowa znaczeniu, gdyż polega nie na rozmyślnem obniżeniu skali filozoficznej argumentacyi, lecz na odrzuceniu ciężkiego balastu naukowo-polemicznego, który właściwemu celowi książki mógłby zawadzać i na nadaniu jej takiego tonu, jaki odpowiada stanowisku pisarza, który posiadając świadomość, iż przemawia do czytelnika filozoficznie dla takiej lektury i przygotowanego i usposobionego, tak dobrze grupuje przetrawiony materyał i tak dobrze szereguje przedtem skontrolowane

myśli, aby na prostym i jasnym szlaku doprowadził wszystkich czytających jak najprędzej do wytkniętego sobie celu.

Rzecz swą rozpoczyna ks. Broglie od głębszego rozbioru przyczyn tego ruchu reakcyjnego przeciw pozytywizmowi, który znany jest pod utartą już nazwą neo-chrystyanizmu. „Dlaczego powstała ta reakcya?“ — pyta ks. Broglie — stawiając pytanie to jako pierwszy punkt rozbioru sprawy i dodaje zaraz przytem: „Jakie przeszkody musi ta reakcya przezwyciężyć i w jaki sposób może tryumfować nad niemi? Przyczyną reakcyi są widocznie słabe strony pozytywistycznej doktryny, nie wystarczającej do zaspokojenia aspiracyi duszy ludzkiej. Przeszkody stanowią argumenta praktyczne, doniosłe i popularne, za których pomocą pozytywizm zyskał i podtrzymuje swoją rolę“.

W dalszym szczegółowym rozbiorze przyczyn i przeszkód reakcyi, ks. Broglie zaczyna od wykazania błędności tezy fundatora pozytywizmu Comte'a, jakoby ludzkość w swoim rozwoju cywilizacyjnym przebywała trzy ściśle rozgraniczone fazy: teologiczną, w której panuje wiara i tradycya religijna, metafizyczną, w której miejsce wiary zajmują doktryny filozoficzne, i pozytywną, w której ludzkość poznawszy czczość tradycyi i rozumowań filozoficznych nie szuka poza sferą faktów z doświadczalną cechą niczego więcej, jak tylko prawideł ogólnych, według których dokonywają się te fakta. Historya przeczy stanowczo takiemu pojmowaniu pochodu cywilizacyjnego ludzkości. Jest to prawda niewątpliwa, że religijne pojęcia wyprzedzały wszystkie inne, a systemy filozoficzne i metafizyczne, wymagające już poprzedniego rozwoju siły myśli i języka z mniejszą lub większą doskonałością techniczną, występowały dopiero w późniejszym okresie, ale z tego nie wypływa wcale, żeby metafizyka miała kiedy zupełnie wyrugować religię i zająć jej miejsce. Nie można tego powiedzieć ani o filozofii starożytnej, ani o nowoczesnej. Jak pierwsza w Indyach, w Grecyi i w starym Rzymie istniała i rozwijała się obok religii i o nią się nawet opierała, tak filozofia nowożytna rozwijała się obok chrystyanizmu, w przymierzu z nim lub w antagonizmie, ale nigdy z takim rezultatem, żeby kiedykolwiek miała wyrugować wiarę i w jej miejsce zapanować

w świecie. W dzisiejszej reakcyi przeciw pozytywizmowi spirytualizm obok religii stanął do walki, a o obecnej fazie tej reakcyi można już powiedzieć, że zrozpaczony moralną próżnią i zawiedziony w swoich oczekiwaniach duch ludzki stanowczo więcej zwraca się ku chrystyanizmowi, aniżeli ku spirytualizmowi, oddzielonemu od wiary.

Jeżeli zatem pozytywizm rości sobie prawo do panowania uniwersalnego bez żadnej konkurencyi ze strony religii i metafizyki, to pretensyi tej nie może opierać na sprzecznej z historyą tezie Comte'a, na wrzekomo naturalnie po sobie następującem rugowaniu religii przez metafizykę a metafizyki przez pozytywny kierunek wiedzy, lecz na swojej własnej sile; to dalej roli swojej nie może nazywać ostatnią, naturalną stacyą wielkiej ewolucyi historycznej, lecz zerwaniem łączności z prawdziwym, historycznym, postępem rozwoju i zainicyowaniem całkiem nowego stanu. Byłby to, mówi ks. Broglie, „kres panowania filozofii i religii, sprzymierzonych ze sobą lub rozdzielonych, nad duchem ludzkim; byłoby to zerwanie wieczystego związku myśli i serca ludzkiego ze światem wyższym, w którym człowiek znajdował pocieszenie w dolegliwościach, nadzieję przyszłości zagrobowej i zasady działania w życiu doczesnem. W miejsce tej zdetronizowanej potęgi miałaby rządy objąć inna siła: wiedza doświadczalna. Ostateczny tryumf pozytywizmu, sprowadzając zupełny upadek wiary religijnej i wiary w objawienie boskie, a zarazem upadek spirytualizmu z jego pojęciami o Bogu i duszy ludzkiej, stanowiłby prawdziwą rewolucyę w sferze myśli i uczuć ludzkich. Ludzkość z pozytywistycznym nastrojem stanowiłaby świat nowy, zupełnie odmienny od dawnej ludzkości, szukający gdzieindziej swoich rozkoszy i swojego szczęścia, posiadający inne zasady postępowania i opierający społeczeństwo na innych podstawach".

O takim stanie nie myślał pewnie Comte stawiając powyższą tezę, ale jego skrajni epigonowie nie wahają się uznać tej smutnej konsekwencyi jako naturalne następstwo rozwoju swojej teoryi. Są oni przekonani, że znaleźli całą prawdę, więc mogą zupełnie błędy wyplenić i nadać ludzkości nowy ustrój. W ich

oczach wahanie się niektórych adeptów pozytywizmu, zwłaszcza prąd neo-chrystyanizmu, stanowi tylko odblask dawnej świetności wiary, jest chwilowym zwrotem, który jak fala wstecz się cofająca musi ostatecznie uledz panującemu kierunkowi.

Jeżeli tak ma być, to pozytywizm ma przed sobą trudną alternatywę. Musi bowiem albo w ramach swojej teoryi, obejmującej tylko sferę doświadczalno-obserwacyjną, znaleść ekwiwalent moralny, niezbędny dla zaspokojenia tych potrzeb i pragnień ducha i serca ludzkiego, którym dotąd religia odpowiadała, albo uznać swoją niemoc w tej mierze i przyznać z rezygnacyą, że próżni duchowej wypełnić nie zdoła. Konsekwentni pozytywiści przyznają się do takiej niemocy, ale dodają przytem, że jest to ofiara, którą dla prawdy koniecznie ponieść należy, jeżeli się nie chce szukać złudzeń i mrzonek. Ale czy taka ofiara jest wogóle możliwa? Jest to kwestya kardynalna, na którą ks. Broglie w książce swojej słusznie nacisk kładzie, której też poświęca rozbiór szczegółowy.

Do sfery wyobraźni najpierw zwraca się autor w tym rozbiorze i zapytuje, co stałoby się pod panowaniem pozytywizmu z tym czystym i żywym zdrojem ideałów, które w literaturze i sztuce na skrzydłach swoich wynoszą ducha ludzkiego wysoko ponad ciasny i duszny widnokrąg życia ziemskiego z jego codziennemi niedostatkami i dolegliwościami? Pozytywizm, zasłaniając perspektywę na jakiekolwiek życie poza zakresem ziemskiej widowni doświadczalno-obserwacyjnej, zrywa wszelki związek pomiędzy krainą ideałów a tym podniosłym obrazem świata nadziemskiego, który wiara otwiera duchowi ludzkiemu zwróconemu ku Bogu. Ze skrzydłami w ten sposób podciętemi wyobraźnia ludzka nie zdoła utrzymać się w dzisiejszej sferze ideałów, a jeżeli mimo to wzbijać się będzie do lotu, to w najlepszym razie doprowadziłaby tylko do kreacyj umiejętnych, powieści *à la* Jules Verne lub realistycznych obrazów życia *à la* Zola.

Możnaby na ten zarzut odpowiedzieć, że pozytywizm nie wzbrania swobodnego wznoszenia się w sferę fantastyczną, byle tylko kreacye ducha w tym rodzaju miały zawsze charakter hipotez, fikcyj lub legend. Więc wolno pocieszać się tem, że nie

potrzebujemy rezygnować z bajeczek i opowieści z tysiąca i jednej nocy? Komu jednak wystarczy taka pociecha? Kto zechce szukać w takich marach fantastycznych tej rozkoszy, jaką dają dzisiejsze ideały, kto wogóle zdołałby uczuć taką rozkosz, jeżeliby w duchu przygniecionym zmorą pozytywizmu ustaliło się mniemanie, że wszystko kończy się na tej ziemi i z życiem ziemskiem, a co wychodzi poza ramy doświadczalno-obserwacyjne jest prostem złudzeniem? Tylko w człowieku wierzącym w swoją duchową potęgę i w przyszłość, tak jak ją religia przedstawia, ideały zostają w związku ze sferą nadziemską, a więc wywierać mogą urok tej wyższej prawdy, jaką sztuka w swoich dziełach wyraża.

Nie samo tylko źródło ideałów, jakiemi literatura i sztuka krzepi duszę ludzką w tem życiu, lecz wogóle źródło wszelkiej otuchy i siły w znoszeniu dolegliwości życia ziemskiego zostałoby przez pozytywizm stanowczo zatkane. Dokąd miałby się zwrócić człowiek strapiony twardemi losami życia, jeżeliby tylko w sferze tego samego życia, w obrębie świata doświadczalno-pozytywistycznego, wyczerpywać się miała cała miara jego szczęścia? Odkąd świat istnieje, człowiek wśród nieszczęść największych znajdował w religii potężną podporę, gdyż ona otwierała mu perspektywę na świat wyższy, wolny od dolegliwości doczesnych, zapewniający sprawiedliwy wymiar szczęścia według zasługi rzeczywistej. Odjąć człowiekowi nieszczęśliwemu tę otuchę, pozbawić go tej podpory, wpoić w niego myśl, że wszystko kończy się nieodwołalnie na tem, czego na ziemi użył i doznał, znaczy tyle, co skazać go na głuchą rezygnacyę lub bezsilną desperacyę. Ks. Broglie w zarysie tylko daje obraz położenia pod tym względem. Gdyby chciał był szerzej rzecz tę omówić, mógłby był wskazać, jak dzielnym sprzymierzeńcem socyalizmu staje się pozytywizm, niweczący wiarę w wszelką karę i nagrodę w przyszłem życiu, w wszelkie życie nadziemskie wogóle. Niema takiego życia, wszystko kończy się na ziemi, nie potrzebujemy certyfikatów na zagrobowe wyrównanie krzywd i wynagrodzenie przykrości na ziemi doznanych — oto popularne hasło tych

agitatorów, którzy między ludźmi nieszczęśliwymi jednają ciągle świeże szeregi dla wywrotowej propagandy społecznej.

Taką samą pustynią jak dla wyobraźni jest pozytywizm i dla „fundamentalnej aspiracyi natury ludzkiej", stanowiącej „najszlachetniejszy i najpiękniejszy rys ludzkości", tj. dla potrzeby tej wzniosłej miłości, która szuka dla siebie przedmiotu realnego, żywego a doskonałego. W świecie pozytywizmu aspiracya taka jest czczą mrzonką. Jeżeli bowiem nic zgoła nie istnieje lub nie może być poznane nad to, co podpada pod obserwacyę i umiejętno-doświadczalne badanie, to jasną jest rzeczą, że daremnie szukałby człowiek dla powyższej aspiracyi swojej przedmiotu odpowiedniego. Rzeczywistość i doskonałość wykluczają się nawzajem na tym świecie, a jeżeli na nim wszystko ma się kończyć, to trzeba ugiąć się przed tem niezmiennem prawidłem niepołączalności. „Wiedzcie zatem — mówi ks. Broglie — dusze wzniosłe i gorące, spragnione miłości i ideału, że niema dla was miejsca w świecie pozytywizmu. Jesteście tutaj obce i skazane na to, abyście patrzały na zniszczenie wszystkich waszych marzeń. Możecie karmić się tylko uczuciami przelotnemi, których znikomość wnet poznacie, jesteście skazane na nieodwołalne rozczarowanie". A ta znikomość, śmierć jako kres ostateczny, stanowi dla miłości „pojmowanej w całej pełni i doskonałości swojej" cios jeszcze dotkliwszy, aniżeli samo rozczarowanie.

Jaki promienny świat miłości doskonałej i wiecznej otwiera natomiast wiara w istnienie świata wyższego, do którego życie ziemskie jest tylko przygotowaniem, jakim wieczystym urokiem przemawia do duszy blask tego świata w psalmach Dawida, więc już w jutrzence właściwej religii miłości, chrystyanizmu. Pięknym wierszem Musseta, opiewającym podniosłość miłości chrześcijańskiej, zasłania ostatecznie ks. Broglie przykry widok pustyni pozytywizmu.

Czy rozum lepiej wychodzi na pozytywizmie, aniżeli wyobraźnia i serce? Zdawałoby się, że na to pytanie odpowiedź musi być twierdząca. Przecież w imieniu wiedzy, pewnej i niezachwianej, pozytywizm zwrócił się do rozumu i olśnił go w pierw-

szej chwili bogactwem swoich rezultatów doświadczalno-badawczych.

Ale rozum ludzki nie może poprzestać na tem tylko, co mu pozytywizm daje, na poznaniu dat zbadanych i ich prawideł, lecz pyta o przyczyny i pod tym względem jest nawet tak natarczywy, że nie poprzestając na hipotezach, po każdej próbie chybionej stara się znowu dotrzeć do jądra rzeczy. Daremnie pozytywizm próbuje stłumić tę ciekawość badawczą rozumu i skierować całą jego uwagę na utylitarne znaczenie swoich zdobyczy naukowych, na ogromne korzyści ich praktycznego wyzyskania dla dobra ludzkości. Mimo tej wielkiej ponęty, która chwilowo cel osiągnąć mogła w pewnych umysłach, człowiek zawsze ponawiać będzie pytania, na czem polega prawdziwe jego dobro, jakie jest jego przeznaczenie? Na te pytania pozytywizm odpowiedzi dać nie mógł i nie da, gdyż otwarcie przyznaje, że niepodobna rozjaśnić wątpliwości, związanych jak najściślej z takiemi najwyższemi zagadnieniami, jak te: czy wszystko kończy się ze śmiercią, czy jest jakie życie przyszłe i czy postępowanie człowieka w tem życiu nie ma następstw sięgających poza widownię ziemską? Jeżeli się wierzy w przyszłe życie, to trzeba o tem pamiętać na ziemi, a jeżeli się nie posiada tej wiary, to można sobie życie doczesne urządzić jak najwygodniej i jak najprzyjemniej, zamiast kościołów budować teatry i t. d. Do tego ostatniego wniosku doszli skrajni adepci pozytywizmu, ale czy za nimi może kiedykolwiek pójść ludzkość cała? W każdym razie jednak pozytywizm pozostawia rozum na manowcach, z których sam wyprowadzić go nie zdoła, ani już nawet nie próbuje.

W chwili, kiedy pozytywizm miałby wszechwładnie zapanować — sumienie, ów potężny, powszechnie, nawet przez etyków liberalnego pokroju, nawet przez utylitarystów (Oettingen) uznawany i wysoko ceniony trybunał moralny, zostałby niepowrotnie strącony ze swojego piedestału. Wobec doktryny bowiem, która wszelką pewność uznaje zależną od doświadczalnego sprawdzenia, nie może się ostać żaden dyktat moralny sumienia, niezasłonięty powagą dostrzegalną, ale mimo to wyższy nad powagę

dyktatów władzy widomej, bo oparty na przepisach obowiązku. Otwarci pozytywiści nie zapoznają wcale niepołączalności moralnej powagi tych dyktatów ze swoją doktryną. H. Spencer np. uważa obowiązek za rezultat assocyacyi idei i dziedziczności. Stare reguły postępowania, przestrzegane z powodu ich użyteczności społecznej, stają się z początku niejako przesądami, a potem, gdy ich początek wyszedł z pamięci, zasadami absolutnemi. Tak miała powstać idea obowiązku. Zniknie ona zresztą z czasem, gdy postęp społeczny doprowadzi do tego, że ludzie pozostawać będą w harmonii wskutek wzajemnej sympatyi, nie potrzebując do tego rygoru zobowiązań.

Sumienie przepisuje działaniu ludzkiemu prawidła absolutne i idealne. Skąd prawidła takie mógłby pozytywizm zaczerpnąć? Przecież nie z doświadczenia, które wykazuje raczej faktyczną przewagę przeciwieństwa takich prawideł, tj. częstość naruszania przykazań moralnych. Prawidła działania wysnute z obserwacyi wyglądałyby całkiem odmiennie od tych, które sumienie przepisuje. Obserwacya wskazuje, jak ludzie postępują i jak ich postępowanie naprzód przewidzieć się daje w pewnych wypadkach, ale nie może wskazać tego, jak postępować powinni i czy sami świadomi są tej powinności. Tylko w świecie zwierzęcym nie istnieje taki dualizm, gdyż zwierzęta czynią bez namysłu to jedno, do czego ich natura skłania. Sam tylko człowiek ma przed sobą dwa kierunki działania, z których jeden, podlegający normie idealnej, wywyższa go ponad wszystkie stworzenia. Skąd pochodzi ta norma idealna, której sumienie jest zwierciadłem i stróżem? Żeby ona od Boga pochodziła, tego pozytywizm przyznać nie może pod grozą negacyi własnej istoty. Więc miałaby ona chyba być produktem subjektywnym myśli ludzkiej, pojęciem abstrakcyjnem, jak piękno estetyczne? W takim razie każdy człowiek mógłby dowolnie albo stosować się do tej normy, albo ją zmodyfikować według upodobania, albo nawet wcale na nią nie zważać.

Z ideą obowiązku łączy się idea sankcyi moralnej, także sumieniu przekazanej. Sumienie grozi winnemu karą, a prawemu przyrzeka nagrodę. W świecie aktualnym, takim, jakim go na-

sze doświadczenie przedstawia, odpłaty podobnej niema. Na każdym kroku widać nieuczciwość tryumfującą lub cnotę w poniżeniu. Jeżeli zatem wszystko kończyć się ma na tym świecie, to głos sumienia byłby kłamliwy. A jednak ten głos tak jest potężny, że stłumić się nie daje. Każde jego ozwanie się jest zarazem przypomnieniem, że nie wszystko kończy się na ziemi, że jest wyższy porządek świata, wyższy trybunał, przed którym człowiek z działania swojego za życia kiedyś rachunek zdawać musi. Z tym wyższym światem, w którym człowiek znajdował dotąd błogą odpowiedź na dręczący go niepokój o swoje przeznaczenie, pociechę w dolegliwościach życia, nieprzebrane skarby dla twórczej wyobraźni, światło niemylne dla dociekań rozumu i najpewniejszą dyrektywę moralną w działaniu, — zrywa pozytywizm wszelkie węzły za jednym zamachem, a tem samem zamyka ducha ludzkiego w ciasnej i dusznej sferze swojego świata doświadczalnego. Czy w tej sferze możliwe jest takie życie, aby uchodzić mogło za kontynuacyę całego dotychczasowego rozwoju cywilizacyjnego ludzkości?

Zrezygnowani i wytrwali adepci pozytywizmu utrzymują, że za skarby, które nowa doktryna ludzkości odbiera, a raczej za wrzekome złudzenia, jakiemi ludzkość dotąd się karmiła, otrzyma ona pozytywistyczny ekwiwalent moralny. Jak on wygląda? Z odpowiedzi na to pytanie pokaże się także, czy ów ekwiwalent może iść w porównanie ze stratą poniesioną?

W miejsce szczęścia indywidualnego, zupełnego i trwałego, w tej formie, w jakiej je dotąd sobie wyobrażano, stawia pozytywizm w perspektywie przyszłe uszczęśliwienie ludzkości na tej ziemi, a w miejsce obowiązku — poświęcenie, sympatyę, altruizm jako przeciwieństwo egoizmu.

Jak wyglądać będzie to uszczęśliwienie ludzkości z łaski pozytywizmu? Czy śmierć zostanie uchylona a przynajmniej tak uregulowana, aby nie porywała przedwcześnie i niespodziewanie ludzi bardzo potrzebnych i bardzo kochanych? Czy choroby i różne dolegliwości ludzkie ustaną lub zmniejszą się tak znacznie, że stan przyszły nie będzie podobny do dzisiejszego? Czy można przypuścić, żeby kiedy między ludźmi ustała zawiść, za-

zdrość, wogóle złość wszelka? Ubóstwo może się zmniejszyć za usilnem staraniem ogółu, ale czy podobna przypuścić, żeby wszystkim ludziom miał być kiedy dostatek zabezpieczony? A zresztą gdyby nawet cel ostatni był możliwy do osiągnięcia, to zawsze pozostaje kwestya, czy i w tym nowym stanie rzeczy sam dostatek czyniłby już człowieka szczęśliwym? Wobec tych wszystkich pytań, na które odpowiedź musi wypaść przecząco, jasną jest rzeczą, że te same przyczyny, które nie pozwalają człowiekowi marzyć o osiągnięciu wymarzonego szczęścia indywidualnego na tej ziemi, krzyżować będą zawsze, jako w naturze rzeczy ugruntowane, także i plany takiego przyszłego, niejako ryczałtowego szczęścia społecznego, jakie pozytywizm zapowiada.

Czegóż więc właściwie oczekiwać można po tem zapowiadanem uszczęśliwieniu społecznem? Co najwięcej zmniejszenia cierpień, pewnego polepszenia doli. Czy w takim stanie już powetowana zostanie ludzkości utracona wiara w przyszłe życie, w przyszłą nagrodę za dobre uczynki? Pozbawiona tej wiary, zamknięta szczelnie w ramach życia doczesnego, ludzkość całą siłą swoich pragnień i usiłowań zwróciłaby się w jednym tylko kierunku, dążyłaby wyłącznie do zapewnienia sobie wszelkich przyjemności ziemskich i to stopniowo w mierze, coraz więcej przewyższającej dane warunki i wogóle możność dopięcia celu. A w miarę, jak wzrastałyby pragnienia, musiałaby się potęgować przykrość doznawana z zawodów i rozczarowań, przykrość, której pozytywizm nie może już przeciwstawić tej pociechy i rezygnacyi, jaką wlewa chrystyanizm w ludzi wierzących.

Oczywiście bierzemy tutaj owe przepowiednie o materyalnem uszczęśliwieniu ludzi przez pozytywizm już razem z tem przesadnem mniemaniem, jakie on żywi o swoich czarodziejskich środkach. Ze stanowiska chrześcijańskiego jednak przepowiednie te uważane być muszą za prostą ułudę. Chrystyanizm w ciągu 19-tu stuleci uczynił dla uśmierzenia niedoli ludzkiej wszystko, co w danych warunkach mógł uczynić, a granica, do jakiej on w dalszym ciągu tej pracy dojdzie, uważana być musi także już i za granicę, jakiej wogóle środki ludzkie dosięgnąć mogą.

Tak samo rzecz się ma z przepowiednią pozytywizmu, że zasada obowiązku da się zastąpić z korzyścią dla ludzkości przez altruizm jako antytezę egoizmu. Spencer zapowiada, że społeczeństwo po przebyciu obecnego okresu przejściowego znajdzie się w stanie zupełnej harmonii z warunkami swojego bytu, a wtedy nacisk obowiązku stanie się niepotrzebny i wzajemna sympatya ludzi wystarczy do zapewnienia szczęścia w ogólnym pokoju. A cóż stanie się w takim razie z namiętnościami ludzkiemi, z zawiścią i zazdrością na tle niedających się uchylić nierówności w warunkach bytu, na tle walki o byt? Jakim cudem wśród takich stosunków, człowiek podległy zawsze tym namiętnościom, zamknięty w sferze ziemskich interesów i żądz, zajęty tylko eksploatacyą świata, miałby się wznieść na taką idealną wyżynę moralną?

Potrzebaby do tego prawdziwego cudu, bo stan dzisiejszy, wrzekomo jutrzenka wszechwładztwa pozytywizmu, uzasadnia całkiem przeciwną przepowiednię. Jeżeli bowiem dziś za wpływem pozytywizmu egoizm i chęć używania notorycznie się wzmogły, to cóż dopiero byłoby później po zupełnem wyrugowaniu idei obowiązku, w świetle chrystyanizmu pojmowanej, po złamaniu tych karbów, w jakie on egoizm ujmuje? Doczekałaby się ludzkość — jak słusznie zapowiada ks. Broglie — „panowania siły i barbarzyństwa". Cały ów altruizm pozytywistyczny nie byłby nawet słabym cieniem tej miłości chrześcijańskiej, która ludzkość już wyprowadziła z ciemnicy barbarzyństwa i wynosi ją na coraz wyższy stopień udoskonalenia cywilizacyjnego.

Ks. Broglie nie łudzi się jednak wcale pozorami stanowczego przełomu w dotychczasowej ewolucyi pozytywizmu, a przedewszystkiem nie zapomina o tem, że neo-chrystyanizm w tej formie, w jakiej dzisiaj we Francyi się objawił, nie daje jeszcze zupełnej pewności zwrotu umysłów w kierunku prawdziwie zbawiennym. Jest to dopiero pierwsze stadyum reakcyi, zachwianie w tych przesadnych oczekiwaniach, jakie wzbudzał dotąd pozytywizm. Z tego stadyum reakcya musi się posunąć naprzód; i żeby ten dalszy krok uczyniony był bez wahania się, owszem z zupełnem przeświadczeniem, że ani stan dzisiejszy ani nowa

próba wędrówki po szlaku ułudy nie zapewnia wyjścia ze stanu choroby moralnej, do tego potrzebne jest przedewszystkiem usunięcie przeszkód filozoficznej natury, jakiemi pozytywizm starał się zatarasować drogę do odwrotu. Ks. Broglie usuwa te przeszkody, jednę po drugiej, aż wkońcu drogą ściśle filozoficznej argumentacyi dochodzi z czytelnikiem na wyżynę spirytualizmu, z której umysł, dotąd w ciemnicy zwątpienia pogrążony, widzi już przed sobą jasną drogę do katolickiego ogniska prawdy. Czyni to autor ze spokojem, właściwym każdemu przeciwnikowi, pewnemu swojej przewagi, i dlatego właśnie wyrozumiałemu dla drugiej strony, czyni to bez żadnego wywyższania się, bez szyderstwa, bez lekceważenia przeciwnika, lecz owszem w tak pokojowy, nawet łagodny sposób, że naprawdę wygląda tak, jak lekarz wysilający trudy swoje dla uratowania nieszczęśliwego człowieka, którego ratować, ale nie karcić należy, jeżeli z własnej winy popadł w chorobę.

Cała ta dalsza część książki ks. Broglie'go stanowi skończony traktat filozoficzny, którego treści bez uszczerbku dla rzeczy niepodobna wtłoczyć w ramy zwyczajnego sprawozdania. Jeżeliśmy co do dyagnozy i prognozy przez ks. Broglie'go postawionej postąpili odmiennie, to stało się to ze względu na aktualny charakter tej książki. Przestrogi i uwagi tam podane nie stosują się do samych tylko inicyatorów i zwolenników francuskiego neo-chrystyanizmu, jako symptomu reakcyi filozoficznej przeciw pozytywizmowi, lecz wogóle do wszystkich adeptów owego bezwiednego neo-chrystyanizmu, który objawia się wszędzie, a wyłonił się nie jak we Francyi ze zwątpienia *par excellence* filozoficznego, lecz z ogólnego rozczarowania, jakie przyniosły społeczeństwu po krótkiej praktyce popularne i na pozór ponętne hasła, zaczerpnięte ze skarbnicy pozytywistycznej dla życia indywidualnego i społecznego. Gdzież niema dziś takich desperatów, zwracających błagalny wzrok ku zasadom wypróbowanym w swej moralno-kierowniczej roli, a lekkomyślnie porzuconym dla błędnych ogników nowej teoryi? Dla takich bezwiednych adeptów neo-chrystyanizmu pierwsza część książki ks. Broglie'go stanowi nieocenioną lekturę, nieocenioną tak w objaśnieniu całej

decepcyi moralnej, jak i w wykazaniu konieczności stanowczego a nie połowicznego tylko zwrotu z manowców moralnych ku jedynie trafnej drodze.

Takie książki jak ta, z której zdaliśmy sprawę, w dzisiejszych czasach mają wartość podwójną; najpierw tę, jaką wskazuje już ścisła skala krytyki naukowej, a powtóre wartość aktualną, z danej konstelacyi stosunków wypływającą. Nie uchybiając wcale pierwszej, mimochodem mówiąc niepospolitej w całem tego słowa znaczeniu wartości, nacisk główny położylibyśmy na drugą. Pod tym względem bowiem książka ks. Broglie'go stanowi w chwili dzisiejszej arcyzbawienną dla szerokich kół czytelników propagandę, która jednych powstrzyma od dania posłuchu niebezpiecznym podszeptom, drugich zawróci z drogi fałszywej, jeżeli już jak owi francuscy neo-chrześcijanie ocknęli się w zwątpieniu, albo pobudzi do refleksyi, jeżeli jeszcze olśnieni błędnemi ognikami kroczą naprzód tą drogą; wszystkich wreszcie, nie wyjmując najsłabszych w tradycyach wiary, pokrzepi i podniesie na duchu jako świeży a znamienity okaz niespożytej siły katolicyzmu w najtrudniejszych nawet przesileniach duchowych. Jak tyle poprzednich tak i to najświeższe przesilenie skończyć się musi, już się kończy, spotęgowaniem tylko tej siły. Katolicyzm bowiem jak ogień przetrawi i przetopi ten ogromny, zdumiewający zaprawdę zapas materyału wiedzy pozytywnej, w bieżącym okresie naukowym nagromadzony, a ludzkość otrzyma stąd sam tylko szlachetny kruszec z autentyczną marką cywilizacyjną.

Dr. Bronisław Łoziński.

Z LISTÓW SYBIRSKIEGO MISYONARZA.

(Dokończenie).

Już tylko kilka listów, w długich odstępach wygnania niosą nam szczegóły niedostateczne. Świadczą one o częstych stosunkach z krajem, o przesyłkach pieniężnych, któremi pozostali usiłowali podtrzymywać byt tułacza i o przesyłkach książek, karmiących duszę stęsknioną. Losy przerzucają wciąż wygnańca, z Kuźniecka do Tomska, z Tomska do Kaińska, wreszcie z Kaińska do Jekaterynosławia, bo tak rząd zezwala na stopniowe zbliżanie się do granic ojczystych, choćby zamianą sybirskiego zesłania na bodaj samotniejszy jeszcze pobyt w głębi Rosyi. A to wszystko przeplatane stałą żrącą tęsknotą, złudzeniami omylnych nádziei, powtarzającemi się zawodami, któreby mniej mężną nadwątliły duszę. Pisze np. z Tomska w styczniu 1869 r.:

„Czyżby moje przeczucie miało się spełnić? jednak nie spodziewam się prędkiego widzenia się. Wiemy z doświadczenia, ile to kolei przejść musi. Tu zapytują pierwej o sprawowanie się, co niemało czasu zabiera. W najlepszym razie na rok zwłoki przygotować się należy, jeśli teraz rozpocząć się ma staranie. Boża wola niech się dzieje. Trzeba się na wszystko przygotować, wszystka nadzieja może na niczem spełznąć. Dotąd nie było przykładu powrotu kapłana, choć dwom uczyniono nadzieję... Smutne wrażenie z powodu śmierci tylu znajomych i opisanych klęsk tak prędko zniszczyło radosne uczucie wywołane nadzieją

powrotu, że go uchwycić nie mogłem. Wkrótce wątpliwość o skutku wszelkie inne uczucie stłumiła, przeto postanowiłem cierpliwie czekać szczegółów starania, by na czemś oprzeć nadzieję. Sceptycyzm stąd się wyrodził, że niejeden mimo stanowczych wiadomości najpomyślniejszych, dwa lata przesiedział, naturalnie z wielką szkodą pod każdym względem.

„Rodzinie Maryi dla pobudki do modlitwy za wygnańcami, komunikuję wiadomość o stanie religijnym w jednej miejscowości, o trzydzieści wiorst od Tomska, na fabryce Jesajewa znajdujących się. Dla zdobycia kawałka chleba zebrało się tam do stu katolików. Fabryka w niezmierzonym lesie za rzekami, skąd lasem przeprawa jedynie na łódkach możliwa, a zimą dla braku koni nie dla wielu przystępna. Nigdy więc kościoła nie widzą, pracując zapomnieli o dniach świętych. Niektórzy wyżsi oficyaliści przybywają niekiedy do Tomska za interesami, a inni od lat pięciu bez spowiedzi i kapłana zupełnie zdziczeli. Gdy rodziny więcej czujące potrzebę kapłana zaprosili na święta Bożego Narodzenia, ledwie garstka się zebrała, inni otwarcie wyznali, że już lękają się go widzieć. Po kilku dniach ledwo udało się cząstkę przyciągnąć, rozgrzać, zachęcić do wspólnej modlitwy i do odbycia spowiedzi, której większa część od wyjazdu z kraju nie odbywa. Tylko czwarta część usłuchała wezwania na teraz. Tę jednak ksiądz odniósł pociechę, że za drugiem przybyciem przyrzekli wszyscy spowiadać się, zeznając otwarcie, że zdziczeli, upadli na duchu, odrętwieli. Wszyscy Mazurzy, wyjąwszy dwóch Żmudzinów, którzy pierwsi do spowiedzi pospieszyli. Kilkoro dziatek rozrzewniająco się modliło i pobożnie komunikowało, a mały B. po nabożeństwie zapytany czy dobry Pan Bóg — dobry! dobry! dobry! odezwał się takim głosem, że w nim się przebiła wdzięczność poruszająca obecnych za nawiedziny boskie".

W Tomsku ks. Dawidowicz zastał był liczną kolonię wygnańców, a między nimi niemało znajomych i kapłanów ze Żmudzi. Porozumiawszy się z nimi, rychło najął dom, gdzie gromadził biedne dzieci, nietylko ucząc je katechizmu i czytania, lecz nadto odziewając i karmiąc, z jałmużn obficie na jego ręce ze Żmudzi nadsyłanych. Przybrał do pomocy dla dozorowania dziewcząt

dwie wygnanki, nauczycielki z zawodu. Dla przysporzenia zaś funduszów na utrzymanie szkoły, skupował drwa w lecie, a zimą za większą cenę potrzebującym sprzedawał i takim sposobem szkółka coraz to lepiej się rozwijała.

Okrom nauczania dzieci, służył biednym wygnańcom za sekretarza do wszelkich korespondencyj. Uproszony o pisanie listów przez biedaków nie umiejących pisać, prześliczne kreślił po żmudzku listy do rodzin w kraju zostawionych. Listy te w kopii obiegały całą dyecezyę, jakoby jeszcze męczenników z pierwszych wieków Kościoła, z wielkiem a powszechnem zbudowaniem. Szkoda niepowetowana, iż owe listy zaginęły. Co więcej: ponieważ wygnańcy stanu szlacheckiego mieli prawo do pobierania trzech rubli miesięcznie, wyszukiwał takich nieszczęśliwych i układał dla nich podania do władz. Tym sposobem zapewnił niejednej rodzinie wcale przyzwoitą od rządu zapomogę.

Acz jako wygnaniec nie miał prawa więźniów nawiedzać, podchwycił niejako upoważnienie miejscowego pułkownika żandarmeryi, aby co niedziela i święto chodzić ze mszą do turmy i katechizować uwięzionych. Przyzwyczajony na Żmudzi słyszeć po kościołach śpiewanie różańca w dni świąteczne, postanowił to nabożeństwo zaprowadzić i w Tomsku. Umówił się tedy z kilku kapłanami, iż po odprawieniu mszy św. zbierać się będą w kościele, aby choralnie różaniec aż do sumy odśpiewywać. Zrazu śpiewali sami jedni, z czasem zaczęli się i wierni schodzić na to nabożeństwo sercu polskiemu tak miłe, i tak żmudzki obyczaj przyjął się w dalekim Tomsku, do czego wielce dopomógł ks. Józefowi prosty kmieć z Grodzieńskiego, za kradzież koni w Sybir zesłany. Znajomość z nim w ten sposób się zawiązała. Pewnego dnia, przechadzając się za miastem z kolegami, ks. Józef wstąpił do budki strażnika przy rogatce, żeby się napić wody. Pokazało się, iż strażnikiem był litewski chłopek, który zagadniony, wnet swe losy opowiedział. Na pytanie, czy dawno był u spowiedzi, odrzekł, iż nie czuje się godnym przebaczenia wielkich swoich grzechów, i dlatego do spowiedzi nie chodzi. „Postanowiłem za pokutę nie pić gorących trunków, opowiadał dalej, i cierpliwie znosić wszelkie przykrości wygnania, w nadziei, że może dobry Pan Bóg nade mną

w końcu się ulituje i winy moje przebaczy, lecz do św. spowiedzi nie mam jeszcze odwagi przystąpić". Po takim akcie skruchy i głośnem wyznaniu, ośmielony przez ks. Józefa, Litwin przybył nazajutrz do kościoła i wyspowiadawszy się z całego życia, odtąd stał się przykładem pobożności dla wszystkich, owszem, najgorliwiej się zajął zachęcaniem znajomych do nabożeństwa i czci Maryi. On też najwięcej dbał o śpiew różańcowy, i jemu to ks. Józef opuszczając Tomsk, głównie polecił utrzymanie tego rzewnego obyczaju.

Pewnego dnia dowiedział się, że obywatel z mohilewskiej gubernii, Kossowski, dzięki staraniom swej żony z liczną dziatwą w kraju pozostałej, otrzymał pozwolenie powrotu do domu, ale z tego pozwolenia korzystać zaraz nie może dla braku funduszów na tak daleką podróż, i przynajmniej jeszcze półrocze albo dłużej musiałby na wygnaniu pozostać, jeśliby ks. Józef nie pospieszył mu z pomocą. Ks. Józef dowiedziawszy się o tak przykrem jego położeniu, bynajmniej nie proszony, przyniósł mu 200 rs., mówiąc: bierz i jedź co rychlej do stęsknionej rodziny, a jeśli będziesz kiedy miał, to mnie te pieniądze odeślesz z czasem. P. Kossowski przejeżdżając przez Wilno sam ze łzami wdzięczności o tem rozpowiadał, wielbiąc dobroczynność ks. Józefa; bo sam Józef takich rzeczy nigdy nikomu nie mawiał.

Obok tylu różnorodnych zajęć, zachęcał jeszcze ks. Dawidowicz konfratrów do odbywania ćwiczeń duchownych według metody św. Ignacego, zwłaszcza skołatanych i blizkich śmierci do tego namawiał i sam im w tych rekolekcyach przewodniczył. Z jakim skutkiem, wystarczy przypomnieć przykład ks. Wołowskiego, girtakolskiego ze Żmudzi proboszcza, który tak się owemi ćwiczeniami do śmierci przysposobił, iż na dwa miesiące przed skonaniem, trawiony suchotami, pobożny ten kapłan zrobił sobie trumnę i na noc w niej się kładł, we dnie przy niej przesiadując i gotując się tym sposobem na przejście do wieczności.

Nie spodziewając się rychłego powrotu, owszem, lękając wywiezienia z Tomska na wieś, ks. Dawidowicz jął się uczyć garncarstwa, aby w danym razie módz się z tego rzemiosła utrzymać. W tym celu sprowadził sobie od znajomych w Gro-

dzieńskiem garncarzy nieznany Sybirakom sekret polewania garnków glinianych. Lepiąc później garnki w godzinach od innych zajęć wolnych, pisał, iż na samym sobie sprawdził przysłowie, „że nie święci garnki lepią“, co przeczytawszy będący też na wygnaniu arcybiskup Feliński, zawołał: „Nieprawda, bo z tego się właśnie pokazuje, iż święci garnki lepią“.

Gdy tak szczęśliwie dla chwały bożej pracował i bliźnim pomagał, zdarzyło się, że córka jednego z wygnańców zamierzyła pójść za prawosławnego. Na tę wieść cała wygnańcza drużyna się poruszyła do głębi i chcąc zgorszeniu zapobiedz, zwróciła się do ks. Józefa, prosząc go aby użył swego wpływu na upamiętanie nieszczęśliwej. Nie wiadomo, o ile jego interwencya była skuteczną, tyle tylko pewnego, iż narzeczony dowiedziawszy się o tem, zrobił formalny donos na księdza, że bez upoważnienia władzy założył szkołę i uczy w niej dzieci wygnańców. Wskutek takiego donosu gubernator wezwał do siebie ks. Dawidowicza, i napadając nań srogo, jął mu wyrzucać, jak śmiał dzieci uczyć bez pozwolenia, przyczem mu zagroził zesłaniem do Kaińska, miasteczka o 500 wiorst od Tomska oddalonego, jeżeli nie da słowa, iż nic podobnego więcej nie uczyni. Na to najspokojniej odparł ks. Józef, iż dawać takiego słowa nie śmie, bo wie z góry, że go nie dotrzyma, tem bardziej, że nietylko dzieci jako kapłan nauczał religii, lecz nadto ich karmił i odziewał. „A więc pojedziesz do Kaińska“! zawyrokował gubernator, tak dalece przekonany o prawości ks. Józefa, że mu nawet nie przydał żandarma dla odstawienia go na miejsce, czemu nasz wygnaniec bardzo był nierad, raz, że musiał o własnym koszcie tak daleko jechać, a potem, że bał się w drodze od opryszków, których tam nigdy nie brak, być napadniętym. Uzbroił się tedy w starą fuzyę sznurkami powiązaną i nająwszy furmankę, ruszył w drogę. A chociaż nie umiał nawet strzelać, furmanowi powiadał, że niech kto spróbuje tylko napadać, to „какъ собаку убью на мѣстѣ“, tym sposobem zabezpieczając się od samego woźnicy. Po jego wyjeździe z Tomska samiż Rosyanie rumienili się za postępowanie gubernatora, powtarzając, iż należało raczej uwielbiać działalność i miłosierdzie zacnego kapłana.

Po kilku dniach podróży stanąwszy na miejscu przeznaczenia, najął sobie mieszkanie u jakiejś staruszki, przed 40-ma laty niewiadomo za co do Syberyi wysłanej. Nie mając co robić w tak głuchym zakątku, wieczorami na piecu przesiadywał z babiną, i słuchał bajek przez nią opowiadanych, sam jej nawzajem wywdzięczając się historyą Starego i Nowego Testamentu, aż nareszcie i katechizmu ją nauczył, do spowiedzi św. usposobił, i po czterdziestoletniej przerwie odrodził starowinę w łasce bożej.

Za jej pomocą i tam odnalazł zrazu kilkoro tylko katolickich dzieci, które ściągnąwszy do własnej chaty, jął nauczać. Alić niebawem zjawił się w progu policyant, zakazujący w imieniu władzy, aby się dziećmi zajmować nie ważył. Na to niespodziane zajście nie zmieszany zgoła kapłan pyta policyanta, jak ongi Chrystus Faryzeuszów — azali się godzi bliźniemu dobrze czynić? Policyant oczywiście odpowiada że tak, a ks. Dawidowicz odzywa się dalej: „Otóż ja właśnie tak czynię, dzieci nie umiejące Pana Boga chwalić nauczam“. Tak dosadny argument, poparty pięcioma rublami, tak dobrze usposobił gościa nieproszonego, iż odtąd już więcej nie przeszkadzał ks. Dawidowiczowi w jego apostolskich pracach. W tym okresie swego wygnania może najwięcej zdziałał, uganiając po stepach sybirskich za duszami. „Biedacy od wielu lat nie widując kapłana — pisze blizki owych znojów świadek — i żyjąc wśród innowierców, w wielu miejscach z imienia już tylko byli katolikami, wielu pozawierało mieszane małżeństwa, inni żyli w otwartym konkubinacie; stąd na wieść, że kapłan wśród nich się zjawił, na razie z pewną obawą i nieśmiało do niego się zbliżali. Staruszkowie prędzej się tego strachu pozbywali — młodzież zaś potrzebowała dłuższego czasu dla wzbudzenia zaufania. Mimo to wszakże przy boskiej pomocy wszyscy dobremu ulegali wpływowi i po kilkodniowem nauczaniu zasad wiary św. z należytem przygotowaniem spowiadali się i przystępowali do Stołu Pańskiego“. Wycieczki takie po bezkresnych sybirskich puszczach niejednokrotnie ks. Józef powtarzał, na wzór dobrego Pasterza zbłąkanych szukając owieczek, aby je na własnych barkach do owczarni zanieść, do życia łaski wrócić.

Z czasem z daleka nawet do Kaińska przywożono chorych,

powierzano mu dzieci, aby je przygotowywał do pierwszej spowiedzi i t. p. W ciągłym był ruchu, w ciągłej pracy, której z niedostatecznych źródeł ocenić nam niepodobna, zwłaszcza iż nawet mówiąc o swoich misyach i apostolskiem działaniu, zwykł w trzeciej osobie się wyrażać, jak gdyby to kto inny, nie on sam pracował w winnicy pańskiej. W jednym liście pisanym z Kaińska, spotykamy się z wzmianką o proboszczu tomskim, któremu przed dwoma laty poświęciliśmy obszerniejsze wspomnienie, na jego własnej korespondencyi osnute: „Monotonię naszego życia—pisze w listopadzie 1871 r. ks. Dawidowicz — przerwał na dni kilka ks. Gromadzki, przybyły z Tomska dla załatwienia potrzeb duchownych w okręgu kaińskim. Bardzo zacny ksiądz, szkoda że po żmudzku nie umie, a większość tu Żmudzinów. Zawsze to dobrze że przyjechał, bo wielu od przybycia swego nie spotykali się z kapłanem". Wiemy jak szybko ks. Gromadzki zadośćuczynił wymaganiom swych żmudzkich owieczek, przyswajając sobie trudną nad wyraz mowę, byle służyć ich dusznym potrzebom i zastąpić ks. Dawidowicza, który już niedługo miał w tych stronach pozostać. Tymczasem widząc ogrom parafii ks. Gromadzkiego i niepodobieństwo sprostania posłudze duchowej na takich przestrzeniach jednemu tylko kapłanowi, ks. Dawidowicz postanowił w miarę sił swoich spółpracować z zacnym tomskim proboszczem. Kupił sobie tedy wózek i konia, zaczem pielgrzym apostolski puścił się na wędrówkę po nieprzejrzanych sybirskich obszarach, szukając po drodze katolików, gdziekolwiek takich odnaleść było podobna, łowiąc dusze i pracując niezmordowanie około ich zbawienia. Gdziekolwiek zastał osadę katolicką, nieraz od lat kilkudziesięciu pozbawioną pomocy duchownej, zatrzymywał się, spowiadał, chrzcił, uczył katechizmu, zarządzał istną misyę w chacie najbardziej się nadającej do sprawowania najświętszych obrządków. Co rzewnych wypadków, co tajemnic łaski, ile cudów poświęcenia z jednej strony a pokajania z drugiej, zaginęło dla ziemi, aby tylko ku niebu się wznosić kadzidłem najwonniejszej ofiary! Niestety! prawie żadnego szczegółu nie posiadamy z misyonarskich lat sybirskiego zesłańca. Pewnego dnia, opowiadano nam, wyspowiadawszy całą osadę, już się zabierał

do odprawienia mszy św. w chacie kędy chwilowo przebywał, a spieszył się bardzo, bo już się południe zbliżało, gdy wtem stanął we drzwiach wspaniale przybrany cygan, zdumiony widokiem ubierającego się w ornat księdza. „Wszakci i ja katolik, zawołał, ale od lat trzydziestu nie widziałem kapłana, nie spowiadałem się wcale". Ks. Dawidowicz namawia go do skruchy doraźnej, słucha jego wyznań, rozgrzesza, udziela mu Komunii św. Dopiero po dokończeniu Mszy i świętych obrzędów ogarnia go niepokój. Zapomniał spytać się penitenta tak niespodzianie przybyłego, azali był naczczo? Bada go więc po czasie; cygan przypomina ze skruchą, że uraczył się był tegoż ranka kiełbasą! Atoli w niespełna tydzień nadchodzi wiadomość, iż ów kozioł do owieczek sybirskiego misyonarza w ostatniej godzinie przyłączony, nagłą śmiercią zaskoczony został! Tak tedy opatrznościowe zrządzenie, może nagroda za jaki dobry uczynek w ciągu awanturniczego życia spełniony, dało mu posilić się wiatykiem na drogę wieczności!

Wkrótce po powrocie do Kaińska, ks. Józef ujrzał nagle przed swoją chałupką kibitkę, z której dwóch tęgich chłopów wysadzało na rękach osiwiałego starca. Był to ojciec nagle zmarłego cygana, który dowiedziawszy się od syna o jego spotkaniu z księdzem i widząc go tak uszczęśliwionego z odbytej spowiedzi, zaraz po jego pogrzebie rozkazał wnukom, aby go zawieźli do Kaińska dla doznania podobnej łaski i pociechy. Ks. Józef przyjął starego cygana z otwartemi rękoma, zatrzymał u siebie, oświecił o rzeczach wiary, zasilił Sakramentami i jakby odrodzonego oddał wnukom. Ten to starzec był opatrznościowem narzędziem rozszerzenia jeszcze i ustalenia wpływu ks. Józefa. Siedząc bowiem na swem łóżku i sławiąc dobroć Bożą, stary cygan zachęcał wszystkich aby spieszyli w każdej potrzebie do Kaińska, tak, iż ks. Dawidowicz nie potrzebował odtąd jeździć za duszami, garnącemi się zewsząd do niego, owszem, miał poddostatkiem zajęcia na miejscu niby proboszcz osiadły w rozległej parafii.

Bałamutne wieści o spodziewanym do kraju powrocie nie ujmowały spokoju mężowi apostolskiemu. Powoli składał sobie fundusik na spodziewaną a zawodzącą wciąż powrotną podróż:

„Zbieram na drogę i już mam półtorasta, za dom spodziewam się wziąć przynajmniej 50 rubli, wystarczy więc wybornie.

„Radzą mi, abym nie czekając rezolucyi szefa żandarmów, do Kazania wyjechał. Może i tak zrobię na wiosnę, obecnie tomska władza trzyma się dawnego trybu niepuszczania nikogo. Świeżo umarł gubernator co nas dusił; czekamy następcy, który może będzie lepszy. Tymczasem czekać będę odpowiedzi od szefa żandarmów; prośba moja dotąd w Tomsku leżała... W tym miesiącu najpewniej będzie odesłaną... Zdrowie mi służy stale, przez co mniej dotkliwem jest wygnanie. Lada głupstwo dostateczne do rozrywki. Licha gospodarka tak mnie interesuje, jak niegdyś ważny obowiązek. Sam dysponuję obiad, doglądam każdego głupstwa, nawet garnka w piecu, co dawniej za nic miałem. Zmieniłem się do niepoznania. Chybaby ważniejsze obowiązki wyleczyły mnie z drobiazgowości... Zanim list dojdzie, nastąpią święta i Nowy Rok, mogę więc wam obojga winszować, modlitwom waszym podczas tych uroczystości się poruczając. Przypominam sobie, że przeszłego roku o tej porze smętny list pisałem. Obecnie nie czuję smutku, jakoś oswoiłem się z położeniem, jak pies z obrożą. Wiele na to wpływa nadzieja zbliżenia się do was, choć nie wiadomo kiedy to nastąpi, wszelako lżej żyć z nadzieją. Niemałą rozrywką własna gospodarka, choć tylko z krowy, psa i cudzego kota złożona. Latem sam jeden mieszkałem i wydoskonaliłem się w sztuce kucharskiej. Obecnie mam ślepą staruszkę, tchnącą żywą wiarą, co mnie niemałą pociechę przynosi. Nucimy sobie koronkę jak dziady, pospolicie na piecu siedząc, i to mi przypomina domowe ognisko.

„Ks. Gromadzki mi mówił, że ks. Kossarzewski do Kijowa na zjazd uczonych posłał swe badania *de Principiis universi* w stu arkuszach. Wiem, że miał wreszcie wystąpić z rezultatem swych badań, ale zawsze przyrzekał w niewielkiej rozprawie ich kwintesencyę zamknąć. Widać nie miał czasu krótko napisać. Niemało posłużyło mu wygnanie do wzbogacenia się naukowo. Zostając w Bijsku, odbywał podróż do gór Ałtajskich, łaził po okropnych lochach i rozumie się, wszędzie znajdował potwierdzenie swoich odkryć poczynionych na Żmudzi. Szczęśliwy czło-

wiek, choć z boku patrzący, wśród nieskończonych notat nazywa taką pracę *pessimum negotium*... Do widzenia! z niecierpliwością wyglądam wiosny, która mię *vita comite* ma do was zbliżyć".

W następnym liście z grudnia przeważnie materyalne sprawy szerzej są omówione; ks. Dawidowicz kwituje z przesyłek pieniężnych, dodając, iż obecnie ma dość funduszów, chybaby takowych na podróż zapotrzebował: „Nie mam co wyrzekać na niewdzięczność moich przyjaciół. Owszem, dzieląc się kiedyś groszem zbywającym, w najlepsze ręce złożyłem, co dla mnie wielką jest ulgą... Nie mam wiadomości z Tomska, kiedy moją prośbę wysłano do Petersburga. Nowogrodzka gubernia znajduje się w liczbie jedenastu, do których manifestem z r. 1868 pozwolono wyjechać, ale na nieszczęście zeszły gubernator wytłumaczył, że pomieniony manifest do księży się nie odnosi. Podobno zapytano ministra o wyjaśnienie. Takim sposobem jedynym fundamentem nadziei wyjazdu z Syberyi zostaje prośba do szefa żandarmów podana... Jeżeli ją odrzuci, nadzieja na długo zniknie. *Heu mihi! quia incolatus*... Chwała Bogu, że spokojnie nabożeństwo odprawiamy, dzieci śpiewać się nauczyły. Roraty mamy nawet, i śpiewane, i Pasterkę mieliśmy. Modlitwom waszym i waszych dzieci siebie z mojemi dziećmi polecam. Winszuję sobie urodzin jutrzejszych, wszakto tej nocy kończę czterdzieści sześć lat życia".

Ciężką chorobą rozpoczął ks. Dawidowicz rok 1872 w Kaińsku. Gorączką zdjęty, znalazł się przez jakiś czas w niebezpieczeństwie śmierci. „Dotąd jestem pod silnem wrażeniem wstrząśnienia, jakiego doznałem. Jak słodko byłoby mi zamknąć się w celi iłłuksztańskiej i na seryo gotować się na śmierć. O jaka marność wszystkiego wobec wieczności! Nie daj Boże, abym na tę przestrogę otrzymaną miał kiedyś zapomnieć, a jak powinienem być wdzięczny Panu Bogu! Pomóżcie mi dziękować najmilsi... Witam was jak z mogiły wróciwszy, pomagajcie mojej radości i w podziękowaniu za miłosierdzie okazane nade mną".

Tu urywa się luźna korespondencya, której tak szczupłe doszły nas urywki, zamiast pożądanego jej ciągu. Ostatecznie nadzieja powrotu, a przynajmniej przybliżenia się do kraju, nie zawiodła. Ks. Dawidowicz otrzymał pozwolenie na przesiedlenie

się do Jekaterynosławia. Miał w ręku parę set rubli zwróconych mu niegdyś przez wygnańca, któremu na zwrotną drogę zaawansował był pieniędzy. Był to fundusz zupełnie wystarczający na podróż do południowych gubernij rosyjskich. Ale jednocześnie kilku włościan otrzymało pozwolenie powrotu do kraju, a nie mieli środków aby natychmiast ruszyć. Ks. Józef, którego dobroczynność była nieprzebraną w pomysłach i zastosowaniu, postanowił tak się urządzić, aby jego dwieście rubli starczyło dla wszystkich. Kupił tedy drugiego konia, napiekł kilka worów sucharów, kilka cegiełek herbaty, zapas cukru, samowar, wreszcie kosę dla nakoszenia po drodze siana dla koni. I tak się do podróży przygotowawszy, opuścił wiosną Kaińsk w towarzystwie tych biedaków, aby przez całe dwa miesiące postępując za swym ekwipażem pieszo, ujść dwa tysiące wiorst drogi aż do miasta Birska w ufimskiej gubernii, gdzie się na dłuższy wypoczynek zatrzymali! W ciągu tej długiej wędrówki nigdy nie zatrzymywali się w wioskach na popas, ażeby uniknąć wydatków. Karmili się sucharami i herbatą, nocowali pod gołem niebem, idąc zaś święte pieśni wyśpiewywali po żmudzku.

W Birsku udało im się za pomocą p. Szukiewicza, wygnańca z Kowieńskiego, korzystnie sprzedać wózek i konie, z czego urosła nieco kasa podróżna, tak, iż ks. Józef był w stanie kupić bilety na kolej żelazną aż do domu dla każdego ze swoich towarzyszów, i dla siebie aż do Odessy. Poczem rozstali się z sobą, oni podążyli do kraju, on ku południowi i Odessie. Tam proboszcz miejscowy, ks. prałat Barutowicz, mile ziomka przyjął, zatrzymał u siebie, nareszcie do Jekaterynosławia wyprawił, dając mu potrzebną na drogę zapomogę.

Nowe to zesłanie groziło może większem jeszcze osieroceniem i samotnością. Szybko atoli ks. Dawidowicz rozpatrzył się w nowych stosunkach i zmienionem otoczeniu. Spostrzegł, iż jeżeli mniej tu zastał ziomków, natomiast mnóstwo znalazł kolonistów niemieckich, a wśród nich i katolików niemało, pozbawionych od dawna wszelakiej potrzeby duchownej. Żarliwość apostolska zwykła ponawiać cuda mówienia językami, jak Apostołowie w dniu

pięćdziesiątnicy. Słynny Mezzofanti odkrył w sobie uśpioną zdolność językową wobec rozpaczy umierającego polskiego legionisty, któremu nie był w stanie udzielić pociech ostatnich. Skutek stąd doznany dał mu pochop do nauczenia się po polsku, aby wiarę naszą przez Dąbrowskiego do „ziemi włoskiej“ zawiedzioną spowiadać. Ks. Gromadzki w Syberyi wyćwiczył się w żmudzkiem narzeczu; teraz ks. Dawidowicz, znający już dobrze francuski język, jął się kształcić w niemieckim, aby się zaopiekować drużyną kolonistów. Z przyrodzoną gorliwością, niebawem mógł do nich przemawiać i z nimi rozmawiać, zarządzał misye, zakładał szkółki, udzielał lekcyj katechizmu dziatwie niemieckiej.

Z pobytu ks. Dawidowicza w Jekaterynosławiu udzielił nam łaskawie towarzysz jego z tego czasu, obecnie kapłan Towarzystwa Jezusowego, następujących rzewnych swych wspomnień. „Ś. p. ksiądz Józef Dawidowicz w r. 1873 mieszkał jakiś czas w suterenach świeżo zbudowanego kościoła katolickiego; sam sobie jeść gotował, miał ledwie 5 rub. miesięcznie na utrzymanie, chodził w wytartej, odwiecznej rewerendzie; jego postać i obejście tchnęły ewangeliczną prostotą i łagodnością, chociaż temperamentu był żywego; wielce nad sobą panował. Przyjął mię na mieszkanie i przygarnął jak ojciec do swej ubogiej, nietynkowanej, wilgotnej izdebki, gdy przybyłem do Jekaterynosławia; nie pozwolił mi sobie usługiwać, lecz z kolei chciał kuchenne posługi odprawiać. Wówczas kościół nie był jeszcze otwarty dla publiczności, nie było jeszcze urzędowego pozwolenia; prowizoryczny ołtarz urządzono w zakrystyi. O świcie więc i przed świtem przekradaliśmy się do płotu, okalającego kościelny budynek, posługując się obok rosnącem drzewem, przełaziliśmy przez płot i jakoby starodawni chrześcijanie w półcieniu nocy, on jako kapłan, ja jako służący, nieśliśmy ofiarę błagalną Bogu — często komunikowałem z hostyi kapłańskiej. Naznaczono wkrótce proboszcza, o ile się zdaje, wielce przychylnego rządowi, a nie bardzo przychylnego Polakom. Była pewna rywalizacya z czcigodnym O. Dawidowiczem, pewne przeszkody w odprawianiu mszy św. O. Józef cierpliwie wszystko znosił, bronił owego proboszcza wobec innych,

odwiedzał go, starał się jakoś ‚udobruchać', być pośredniczącem ogniwem pomiędzy nim i parafianami, wprowadzał go do towarzystwa wybrańszych i gorliwszych, sam jakoby w cieniu się chował, wysuwając naprzód proboszcza, a błędy jego tłumaczył, złe następstwa takowych zażegnywał roztropnością i miłością swoją. Człowiek to był prawdziwie ewangeliczny, cichy i pokornego serca, żyjący ofiarą.

„Pomału, gdy się na nim poznano, stał się ogniskiem katolickich rodzin; nie na uczty chodził, ale aby godzić zwaśnionych, zarządzać składki na kościół, aby jednolitą katolicką działalność wobec prześladowczego rządu popierać, mianowicie, aby jednem sercem wszyscy na drodze legalnej domagali się urzędowego uznania katolickiej parafii i praw katolickiej ludności, aby była swoboda katolickiego kultu; wszystko łagodnie, wytrwale. I stało się wkońcu tak, jako wytrawny wódz chciał, dobra sprawa odniosła zwycięstwo. Wszędzie, w każdej dobrej sprawie pełno było O. Józefa, lecz on wszędzie się zacierał, nigdzie swego ‚ja' nie uwydatniał, tajna sprężyna zbawiennego ruchu nigdy hałasu ani zgrzytu nie wydała, olejkiem miłości namaszczona! On, a nie kto inny, dotrzeć musiał do jenerała, dowodzącego wojskiem więziennem, katolika, i ducha w nim obudził; był to niepośledni nabytek dla sprawy katolickiej, jakoby uwieńczenie dzieła; jenerał, choć Polak, dobrze był u rządu widziany.

„Nie pozwolono staruszkowi dłużej w suterenach kościelnych zostawać! Przeniósł się do porządnej, ciepłej izdebki, u pewnego pułkownika, Polaka. Zaczęło się apostolstwo na dobre. Cały boży dzień chodził, nawet nie stołując się u siebie, po domach katolickich, nic brać nie chciał za trudy, oprócz grosza niezbędnego na suknie i obuwie; do ubogich często zaglądał i oszczędności swoje maluczkie im oddawał, nie licząc już wielkiej jałmużny duchowej. W szczególności trudno było coś się dowiedzieć o jego apostolskich wycieczkach, bo co czyniła prawa ręka, nie wiedziała lewa! Raz pamiętam w wigilię Nowego Roku byliśmy na wieczorze. Zgromadzenie było liczne i świetne; dochodziła 12-ta w nocy. Zabawa była, jak to mówią, w rozkwicie; z puharem

w ręku Nowy Rok spotykano. Staruszek spozierał często na zegarek — skinął na mnie; powiedział pani domu głośno, aby inni księża i świeccy słyszeli: ‚jutro mszę św. odprawiam, wypada zbliżyć się bardziej do Boga na wstępie Nowego Roku'. Zimna woda spadła na ogień. Za nim wielu innych porzuciło huczną zabawę. Był wielkim przyjacielem naszego zakonu, i naturalnie moim spowiednikiem i przyjacielem od serca. Co zaczęło we mnie czytanie *Cretineau-Jolly,* to dokończyło kierownictwo duchowne świątobliwego mistrza; on był narzędziem Opatrzności, polecającem i wykończającem dzieło powołania mego.

„Pragnął bardzo powrócić na ukochaną swoją Żmudź, a czując chorobę, pragnął też bardzo na ojczystej ziemi życia dokonać, i choć kilka lat spędzić w towarzystwie kochających go bardzo i miłowanych przez się sióstr.

„Gdyby jedno słówko był powiedział, albo przynajmniej nie opierał się, zostałby proboszczem w Jekaterynosławiu, miałby niezależne stanowczo i obszerniejsze może pole działania; lecz wzbraniał się, żeby nie obudzić zazdrości — a najbardziej duchem pokory powodowany.

„Zdarzył mu się szczególny wypadek w szpitalu jekaterynosławskim. Gdy odwiedzał chorych katolików, nagle słyszy wołanie: ‚Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną!' Był to biedak nawpół obłąkany. Przygarnął go, pocieszył i wyprowadził z domu niewoli na boży świat".

A oto notatki drugiego towarzysza ks. Dawidowicza w Jekaterynosławiu, obecnie również kapłana T. J.:

„Co do szczegółów z życia śp. Ojca Józefa Dawidowicza, to cóż ja mogę nowego powiedzieć o tym apostolskim mężu, gdy już tak dużo o nim pisano?

„W Jekaterynosławiu był duszą życia religijnego, a nietylko w mieście, lecz i w okolicach rozniecał je, narażając się na areszty, sztrafy policyi gubernialnej, która śledziła wszystkie jego kroki. Mimo to potrafił znikać jej z oczu na kilka dni, na dzień, najczęściej na jakim punkcie kolejowym, i zebranym tak katolikom niósł pomoc religijną (msza św., spowiedzi). Dla mnie był

bardzo wyrozumiały i życzliwy, podtrzymując we mnie nadzieję, że miłosierdzie boże i mnie może uratować!

„A kiedy przyszło do wyjazdu, to i tu okazał mi się ojcem, bo mimo że miałem miesięcznie 30 rub. na utrzymanie, na wydatki podróży zostało tylko 30 do 40 rubli. On, uważając to za niedostateczne, z własnych funduszów dołożył 10 rs. czy więcej nieco, a co z pewnością nie było łatwem, jeżeli zważymy, jak ciężkie było życie wygnańcze naszych księży. Ale gdzie chodziło o szczęście człowieka, nie znało granic ofiarności jego złote serce.

„Niekiedy towarzyszyłem mu — gdy odwiedzał chorych, którymi się opiekował — do sitarzy z Biłgoraja, przez których wiele dobrego działał.

„W nowo zbudowanym kościele urządzał trzydniowe rekolekcye, na które niestety bardzo mało chodziło, ale przyznać należy, że i okoliczności nie sprzyjały, prawie ukradkiem trzeba było się zbierać.

„Opiekował się jakimś sierotą, o którym dowiedziałem się teraz, że jest bardzo zacnym człowiekiem i żyje obecnie w Jekaterynosławiu. Opowiadał mi ks. Dawidowicz o pewnym księdzu wygnańcu (mnie się zdaje że to on sam był), że kiedy nasze partye wygnańców przechodziły przez jakąś wioskę na Barabińskich stepach (tobolska gub.), widziano dziewczynę, która pilnie dopytywała się naszych, czy niema między nimi *pòlskawo popá?* Nie otrzymując pożądanej odpowiedzi, ze smutkiem odchodziła. Rzeczywiście w pierwszych partyach podobno nie było księży. Trafiwszy wreszcie na onego księdza, wiedzie go radosna do swego zgrzybiałego dziadka, cygana, przed kilkudziesięciu laty zesłanego za jakąś drobną kradzież, a obecnie z niemocy starości dogorywającego. Pragnienie widzenia księdza podtrzymywało w nim gasnące życie. Po wysłuchaniu spowiedzi i udzieleniu możliwej pomocy, zapytany starzec przez księdza, czemuby przypisać można otrzymanie tak wielkiej łaski, odpowiedział w prostocie serca, że czuje się bardzo wielkim grzesznikiem, takim, że nawet pacierza zapomniał, tylko pamiętał zawsze na ‚Anioł Pański' i zawsze odmawiał. Nadmieniam, że ks. Dawidowicz

mimo strapień moralnych i cierpień fizycznych zawsze był wesół, a w ciągłych pracach pod grozą aresztu za swe wycieczki misyjne musiał jeszcze koreptycyami zarabiać na życie".

Po dłuższym a bogatym w owoce pobycie na nowem wygnaniu doczekał nareszcie boży sługa godziny powrotu do kraju. Sam gubernator jekaterynosławski, którym był wówczas dzisiejszy minister Durnowo, wysoko ceniąc ks. Dawidowicza, wyjednał dla niego powrót do kraju. Wprawdzie nie dozwolono mu wrócić w rodzinne strony, do ukochanej Żmudzi; naznaczono wygnańcowi Kurlandyę na miejsce stałego pobytu. Osiadł tedy w granicznem miasteczku Iłłukszcie, skąd pieszo, przechadzką można się dostać do kowieńskiej gubernii. Apostoł sybirski z zdwojonym zapałem wziął się do pracy wśród swoich, spowiadał od rana do zmierzchu; lud cisnął się do jego konfesyonału, nie bacząc na znużenie sługi bożego, który niestety jak tylu innych wrócił na to tylko, aby kości swe w rodzinnej złożyć ziemi. Wygnanie, tęsknota, nadmierna praca wyczerpały jego siły, złamały silny, kmiecy organizm; krew zaczęła mu się coraz częściej rzucać ustami, nie zważał na to, choć i w konfesyonale raz po raz zaczęły się objawiać te oznaki szybko rozwijających się suchot. Zgasł jak święty, dnia 26 grudnia 1882 r., na ręku ukochanego synowca, nie dożywszy lat sześćdziesięciu, w warunkach na sybirskich kresach wymarzonych, bo „w cichej celce iłłukształńskiej", skąd po dziś dzień promienieje pamięć jego cnoty, dostarczając dziwnego ukrzepienia garstce wyznawców, sprawujących tam przednie czaty wysuniętego ku północy i wschodowi katolicyzmu. Dawni jego uczniowie z seminaryum w Worniach wznieśli mu piękny pomnik na miejscowym cmentarzu z napisem: K o c h a ł B o g a n a d e w s z y s t k o, a b l i ź n i e g o j a k s i e b i e s a m e g o.

Niedarmo gorętsze dusze przez świat przechodzą; ciepło, które z siebie za życia wydawały, po ich zgonie idących za niemi ogrzewa. Wszakże dworzanie św. Wacława usiłowali po śniegu w ślady jego stopami zostawione własne stawiać nogi, gdy marzli idąc za swym panem na ranne nabożeństwo, i stąd niechybnego

doznawali rozgrzania. Śniegi sybirskie dostarczają nam tego duchownego ciepła, gdy nas stamtąd dojdzie odgłos nieznanego apostolstwa, cichego męczeństwa którego z tych bezimiennych wyznawców, *quorum nomina Deus scit.* Bóg zna zasługę, którą niebieską uwieńczył nagrodą; niechże i kraj pozna choć w cząstce tych co są solą ziemi naszej i rękojmią zachowania w niej wiary ojców i ojców też nadziei...

M.

GOSZCZYŃSKIEGO „KRÓL ZAMCZYSKA".

Ustęp z dziejów bajronizmu polskiego.

Ten bujny a żądzą sprawiedliwości i dobra powszechnego uszlachetniony indywidualizm, który stanowił istotę natchnień Byrona, znalazł dopiero w poezyi polskiej swój najwznioślejszy wyraz, oraz najszersze dla żądz swoich ujście. W marzeniach Słowackiego zaszumiał on nam wielkim i tajemniczym, z za chmur i błękitów płynącym szumem wichroskrzydłej mistycznej ekstazy, skąpanej w dumnych rozkoszach wiary w bezgraniczną moc ducha, zdolnego świętością snów i modlitw swoich zmazać w oczach Boga błędy i grzechy milionów; u Mickiewicza znowu zaprowadził on nas w przezroczyste głębiny chrześcijaństwa: korząc zbuntowanego olbrzyma przed cichym zakonnikiem, wielki wieszcz nauczał, że pokorna wiara, wraz z płynącem z niej miłosnem zaparciem się siebie dla dobra bliźnich, była tym celem najwyższym, który indywidualizm mógł postawić sobie. Tę myśl, rzuconą tylko przez Mickiewicza, rozwijał Krasiński; kreśląc w „Nieboskiej komedyi" koleje przyszłej walki społecznej, rozbierał on zarazem, głęboko i rozumnie, w osobach hr. Henryka i Pankracego, dwa przeciwległe okazy byronowskiego indywidualizmu, to nieliczącego się z chrześcijaństwem, to otwarcie z niem pokłóconego; w „Irydionie" znowu tworzył on na szerokiem, w nieskończonościach zaświata ginącem tle odwiecznych zapasów pogaństwa z chrześcijaństwem, materyi z duchem, postać chrze-

ścijańskiego bohatera[1] i swoją myśl chrześcijańską usiłował zastosować do warunków, w jakich postawioną była jego ojczyzna.

Ale trzej wielcy wieszczowie, rozwiązując postawione przez Byrona zagadnienia, zwężali je poniekąd: przejęci wielkiemi cierpieniami narodu, ku niemu głównie myśl swą zwracali, pragnąc duszą całą, aby właśnie w nim zajaśniał ów ideał chrześcijański, o którym marzyli. Tą drogą byronizm przekształcał się w ich natchnieniu w mesyanizm, nakładający chrześcijańskie posłannictwo na naród polski.

Wobec tego do zapełnienia i zakończenia tej jednej z najwspanialszych kart w rocznikach literatury, jaką jest byronizm polski, brakowało tylko dzieła, w którem zostałaby poddaną krytyce jego mesyaniczna jednostronność. Dzieła tego podjął się Seweryn Goszczyński w „Królu Zamczyska“.

Poważne, niemal ascetyczne skupienie myśli, owładniętej entuzyazmem dla jednej, określonej idei, stanowi rys zasadniczy duchowej istoty Goszczyńskiego. Tą ideą — ojczyzna, ale odrodzona moralnie, orężem moralnym, potęgą miłości zdobywająca prawo do bytu. Inaczej poeta nie umiał i nie chciał jej pojąć. — Temi samemi słowami możnaby określić i Mickiewicza, który także w myślach i czynach swoich kierował się prawie wyłącznie głosem serca. Uczucie doprowadzało go do ekstazy, ekstazę poczytywał on za idealny stan duszy, od wczesnej młodości aż do śmierci był on wieszczem uczucia, które „łamie to nawet, czego rozum nie złamie“, — głosicielem zapału, a zbawienie ojczyzny czynił on zawisłem od umiejętności zestrzelenia wszystkich władz duszy w jednem ognisku miłości Boga i kraju. To usposobienie, tak zbliżające wzajemnie Mickiewicza i Goszczyńskiego, ogarnęło obydwóch ostatecznie i z całą siłą dopiero po r. 1831, który rozdziela twórczość ich i wszystkich zresztą poetów naszych owej epoki na dwa okresy: przed i po upadku powstania. — Rzecz oczywista, że zestawiając największego wieszcza narodu z poetą

[1] Że Irydion jest w pewnem znaczeniu chrześcijańskim bohaterem, to się wykazuje w analizie „Irydiona“, która się ukaże w II. tomie dzieła autora niniejszego studyum, „Byron i jego wiek“.

tylko drugorzędnym, odkładam na stronę porównanie skali ich talentów.

Jedno więc u Mickiewicza i Goszczyńskiego tło duchowe i jedna idea ożywiająca twórczość, różnica natomiast w nastroju wyobraźni. Przy całej potędze uczucia, jego uniesieniach i zachwytach, Mickiewicz pogodny był, panujący nad sobą; kochał się w blasku słonecznym, przy świetle jego badał życie i żywo do serca brał rozmaite jego objawy; wszędzie umiał garść uczuć swoich rzucić i opromienić niemi i do wyżyn piękna podnieść to nawet, co z pozoru mogło się zdawać małoznaczącem i nikłem. Temu kierunkowi wyobraźni i myśli zawdzięcza naród wielką epopeję społeczności polskiej. Goszczyński przeciwnie, zamiast kochać i badać życie, raczej stronił od niego; posępna wyobraźnia unosiła go w krainy nocy, pełne widm krwawych i szelestów złowrogich, dziwne miał upodobanie we wszystkiem, co wywołać w nim mogło dreszcz zgrozy. Bardzo znamiennym w tym względzie był wiersz p. t. „Wieczór", opisujący rozkosze wieczornych obcowań z naturą. „O jakże ciemny,—wołał poeta—jak nieszczęśliwy, kto pełnem sercem rozkoszy tych pojąć nie umie!" Dlaczego? Czy pogodny majestat natury był dla niego, jak dla tylu innych, balsamem kojącym rany? Nie. Może więc tęsknił do burz i do wichrów, aby w ryku ich i łoskocie zagłuszyć jęk serca? I to nie. Upajał się urokiem wieczoru, bo mrok budził w nim właśnie ów dreszcz tajemniczych jakichś, z przestrachem graniczących przeczuć: „ponury szum kniei" ostrzegał, że „tajemnice zbronne ludzi oku, mają się począć w północnym drzew mroku", wschodził księżyc „ze śmierci cerą, z wejrzeniem upiora", a gwiazdy migały „niby promyki przeznaczenia stworzeń"...

Z natury rzeczy ten kierunek wyobraźni uwidocznił się najsilniej tam, gdzie miała ona najrozleglejsze pole przed sobą, więc w utworach większych rozmiarów, w poematach. One też mniej natarczywie nasuwają myśl o duchowem pokrewieństwie Goszczyńskiego z Mickiewiczem. Natomiast wiersze liryczne są często żywym odgłosem „Ody do młodości" i „Improwizacyi", czuć jednak, że wypłynęły one nie z niewolniczego tylko na-

śladowania, lecz z głębokiego przejęcia się, z duszy, której drzemiące uczucia i siły obudził i rozskrzydlił potężny wicher mickiewiczowskich natchnień. „Prostemu czuciu zawierzyć trzeba" — wołał poeta w jednym z wcześniejszych utworów swoich: „Błędy geniusza". — Więc „leć za duchem, który cię porywa"... poddaj się twemu natchnieniu, uwierz w moc jego...

Sam obłęd twego zapędu
Rozpromieni wieków krocie!

Jak to, tak wszystko, co pisał Goszczyński o powołaniu poety, dźwięczało nastrojem „Ody do młodości". Ale ze wszystkich uczuć najmocniej pochłaniała go od zarania twórczości miłość ojczyzny; trafnie wyrażono się o nim, że „poezyę i czyn tak kombinował w życiu, że w czynach był poetą, w utworach człowiekiem czynu"[1], — otóż, pałając żądzą niesienia wszystkich sił ojczyźnie w ofierze, nie umiał on przeprowadzić granicy między uczuciem a czynem i nie wzdrygał się w młodości przed użyciem środków gwałtownych, niemoralnych, skoro tylko zdawało się mu, że prowadziły prosto do celu; pod wpływem rozgałęzionych stowarzyszeń tajnych, pisywał rzeczy bluźniercze, wstrętne, pełne żądzy niszczenia i krwi, grożące wskrzeszeniem czasów Marata i Robespierre'a. Taką np. była „Uczta zemsty", albo „Moje nabożeństwo".

Uszlachetnił go rok 1831 i na drogę prawdy nawrócił. Pod strasznem wrażeniem klęski narodowej utwierdziło się w nim przeświadczenie, że tylko praca wewnętrzna, w duchu chrześcijańskim podjęta, jedyną mogła być dźwignią zbawienia. Wszystko też, co odtąd pisał, tchnęło głębokiem przejęciem się III. częścią „Dziadów". — „Ludzie, każdy z was mógłby samotny, więziony, myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony", — te słowa Mickiewicza były mu wiecznie obecne w sercu i myśli. „Zechciej,— wołał on w „Więzieniu" (1833) — a góry z miejsca swojego wstaną i gdzie chcesz pobiegą!"

[1] „Stosunki Słowackiego z Goszczyńskim", przez Zygm. Wasilewskiego. *Bibl. Warsz.* 1895, nr. 3.

A więc uderz całą duszą,
A te zamki pęknąć muszą,
A te ściany wnet się skruszą.

Widoczniejszym jeszcze był wpływ „Improwizacyi" w „Czarnem natchnieniu" (1834). „Samotność!...—zaczynał Mickiewicz — cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?" — Podobnie też Goszczyński: „Spłynęła przecie zgraja natrętna. Jej gwar — muł wody, co zleciała z tam"... Pieśń Mickiewicza była rozpaczliwem wołaniem o pomoc z nieba; to skupienie, które czuł w sobie, wszystkich potęg duszy w jednej miłości bezgranicznej jak wszechświat, chciał on przedłużyć, rozniecić w pożar, któryby ogniem świętym zapalił serca rodaków i natchnął je mocą wskrzeszenia tej, którą już w grobie historyi złożono. Z podobnem uczuciem, ale oczywiście z znacznie mniejszą siłą, modlił się Goszczyński o to, by zaświeciło „słońce duchowe" i barwy życia na zwłoki martwej rzucało; wszak tyle razy potęga myśli natchnionej zmieniała postać ziemi...

Zaświeć, a wieków spełnimy dzieło,
Zaświeć, a pierzchnie ludu mego noc.

I w dalszym ciągu szedł Goszczyński, pod względem ewolucyi myśli i uczuć, śladem wytkniętym przez Mickiewicza. Ufność w Bogu przedewszystkiem, a potem wiara w potęgę natchnionej myśli, przed którą „pierzcha noc" i która zapala wolę żądzą utrwalenia rządów miłości na świecie, wyrabiały w nim kojące przeświadczenie, że czemś przejściowem tylko był potop tych klęsk, co za dni naszych spadły na świat, a ojczyznę poety pogrążyły, jak się zdawało, w przepaści ostatecznego zatracenia, — że miała wkrótce zajaśnieć tęcza nadziei, a wiatry przychylne miały pędzić w krainę zbawienia — jak się wyrażał poeta w prześlicznym wierszu „Świat nowy" (1832) — ten skołatany korab, w którym schronili się ci, co uczestnikami panowania mroku nie chcieli zostać:

Blizka ta chwila, wszystko nam wróży,
Kiedy świat nowy wypłynie z burzy,
Kiedy zakwitną wieki pogody —

A czas, co dzisiaj tylko się nam wdzięczy
Miłem życzeniem, roztoczy się w tęczy
Wiecznego życia i wiecznej swobody.

Miłość zaś ojczyzny szeptała, że oni, którzy najwięcej ucierpieli, wygnańcy z ziemi rodzinnej i osieroceni tułacze, są właśnie zwiastunami tego świata nowego, co z burzy klęsk wypłynie:

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy — same głogi,
Gdzieśmy przeszli — róże wzrosły;
Więc nie schodźmy z naszej drogi!
Idźmy, szczepmy — gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia
Da nam milszy kwiat od róży,
Łzy wdzięczności i wspomnienia [1].

I znowu, jak Mickiewicz, wyprowadzał Goszczyński z wiary w wysokie posłannictwo, mające być udziałem Polski, konieczność pracy nad sobą, w celu uchrześcijanienia swej duszy, stania się godnym tej myśli bożej, która spoczęła na narodzie. „Daj mi dar wiary — wołał on w „Westchnieniu do Boga" (1836) — oto do Twych stóp się chyli chęć bezdenna, chęć bezbrzeżna, pada przed Tobą pokutnem obliczem"... On czuł Boga w każdem uczuciu lepszem, w każdym polocie natchnienia, wielbił Go za każdą „rozkosz sumienia"...

Alebym pragnął jaśniej, wznioślej, szczerzej
Czuć, kochać, wierzyć — pragnąłbym bez miary;
Dopełnij mojej miłości i wiary!

Tak wzniośle i święcie nastrojony, wolnym był poeta od skazy płochych uniesień, zmysłowa nuta prawie nie dźwięczała w jego nielicznych wierszach miłosnych, bo miłość poety nie wyrastała tam, gdzie „rosło tyle innych powszednich", nie żyła z tych „biednych pieszczot", któremi mogła obdarzyć lada niewiasta nie, w duszy kochanki znajdował on „połowę własnej, zgubioną w niebie" („Rękojmia wierności", 1834) i porwany uczuciem „rozpraszał się on w sny, co krążą w niebie, myślał przez mary niebieskie" („Do grającej", 1834).

[1] „Przy zasadzaniu róż", 1831.

Ale o ileż wyższemi od tych czystych skądinąd uniesień były te, co z modlitwy płynęły. W „Duchu wiosny" poeta malował rozkosze tej pory roku, które „błogosławionym oddechem" powiewów nowych przenika świat i wszystko, co na nim jest: dusze ludzkie zapala ogniem wesela i „pędzi krew w potokach uczuć płomiennych"; z łona ziemi wydobywa roślinność rozmaitą, kwiaty wieńczy koronami, „rumieni się w świeżym róży zawoju", we „łzach poranku wdzięczy się barwami srebra, i w pieniu słowika przemawia". „Z czemże więc zrównam — wołał — twoje rozkosze, o wiosno! Może z tem obłąkaniem, co w szałach miłości zachwyca duszę? O, nie!..." Kochał nieraz poeta i poznał, że niepełne są rozkosze miłości, bo zatrute „niepokojem i żądz cierpkością", bo ze szczęśliwością aniołów niosły bole potępieńców: wśród uniesień czuł on „bojaźń straty", „trwożny o przyszłość, żałował przeszłości", „używając, cierpiał; unosząc się, błądził"...

Wolę ciebie, wiosno, wolę,
Skoro twoje tchnienia wioną,
I twoją duszę uczuje łono:
Wyższem życiem duch ulata
Do sfer nadziemskiego świata,
I upojony czuciami czystemi
Nie należy już do ziemi.

Miłość ojczyzny uduchowniła Goszczyńskiego i podniosła, skierowując siły jego ducha ku pracy nad sobą w celu godnego uczestniczenia w wielkiem dziele, do którego Polska była, jak sądził, powołaną. Tą myślą przejęty, nietylko odczuł on wszystkie rozkosze mesyanizmu, ale doznał również wszystkich jego rozczarowań, zamiast bowiem zatapiać się, jak Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, w nadziejach złotej przyszłości, usiłował on także patrzeć na rzeczywistość niezmąconem okiem. Niedostępny tym marzeniom, które unosiły Słowackiego w świat równie rozkoszny, jak daleki od ziemi, niedość, że je omijał, ale upatrywał w nich nawet szkodliwy nałóg: „Marzeniem — wyraził się w ‚Dzienniku

artysty'[1] — jest myśl każda, w której niema zarodu życia, siły do działania", że „marzenie więc to pasożytna roślina myśli, wyniszcza ją, a nie wynagradza jej korzyści". Skłonny natomiast, jak Mickiewicz, do kierowania się w rozumowaniach głosem serca, niedowierzał jednak zbytecznie uczuciu, dążył do godzenia go z rozumem, lub mówiąc ściślej, z ideą religijną, którą uważał za szczyt najwyższy, na jaki mogła się wspiąć myśl ludzka; w tym też „Dzienniku" przeprowadzał on porównanie pomiędzy znaczeniem serca w duszy ludzkiej, a księżyca w naturze: „serce — mówił — podnosi się wtedy, kiedy słońce idei zachodzi i gaśnie; serce, jak księżyc, jest gwiazdą ciemnej strony człowieka, a często bywa przyczyną zaćmienia słońca-idei... bezsilne, gdy panuje idea religijna, bo jej tylko blaskiem świecące, w jej nieobecności porusza serce ogrom ludzkiego życia i wiele spustoszeń prowadzi za sobą". Dzięki tej nieufności względem uniesień serca, Goszczyński spokojniej i trzeźwiej niż Mickiewicz badał społeczeństwo polskie, i widząc, jak dalekiem ono było od ideału, nie wpadał w idealizowanie „pielgrzymów" polskich i nie przeznaczał im szczególnej jakiejś misyi. Równie trzeźwo, nawet trzeźwiej, patrzał Krasiński na ziomków swoich, gdy pisał, że „dobry byt pieniężny i gospodarski ukołysał zranione serca polskie", że „płyn, który w żyłach narodu płynie, już krwią nie jest", bo spokój grobowy zapanował wszędzie, bo „burakami i pszenicą grób Polski zasypali, a w grobie tym fermentacya zgnilizny i robaki zwane: zawiść, wściekłość, podłość"[2]. Ale te przesadnie gorzkie spostrzeżenia wieszcz chował dla siebie, zwierzał się z nich tylko w listach do najbliższych, w poezyi zaś Polska była mu zawsze „Chrystusem narodów". Dopiero Goszczyński, trzeźwiejszy od Słowackiego i Mickiewicza, bo wolny od skrajności mesyanicznych, a śmielszy od Krasińskiego, nie przeraził się nagiej prawdy, wystąpił zaś z nią otwarcie w „Królu Zamczyska" (1837), w którym skojarzył dwie na pozór wykluczające się wzajemnie rzeczy: trzeźwość z mesyanicznym nastrojem ducha.

[1] Rok Poznański; 1843, tom VI.

[2] Por. „Mesyaniści i Słowianofile", str. 252—3.

Dzieło to nawskróś oryginalne, a przez mesyaniczną egzaltacyę, uosobioną w postaci bohatera, pokłóconego ze społeczeństwem, łączące Goszczyńskiego z tym prądem wszechświatowym, któremu początek dał Byron. Nieoceniony dostatecznie za życia poety, dziś „Król Zamczyska" został zapomniany, i w pamięć narodu wraził się Goszczyński nie jako byronista, ale jako romantyk, lubujący się w tajemniczości i w barwach posępnych, jako śpiewak „Zamku kaniowskiego", w którym na ulubionem posępno-romantycznem tle umiał rozsnuć opowieść, uderzającą głębokiem psychologicznem wniknięciem w polsko-kozackie stosunki. „Wiersz jego — pięknie o nim powiedział Chmielowski — grzmiał jak surma bojowa, jak świst wichru wśród hukania puszczyków, jak potężny krzyk roznamiętnionego serca"... ale słowa te możnaby również zastosować i do prozy „Króla Zamczyska". Po „Zamku kaniowskim" utwór ten jest drugim i, jak się zdaje, ostatnim drogocennym okazem epicznej twórczości Goszczyńskiego. Inne bowiem poematy i opowiadania są, z małym wyjątkiem „Sobótki", pozbawione wartości.

Oryginalność i śmiałość pomysłu „Króla Zamczyska" polega na tem, że Machnickiego, bohatera opowieści, myślącego i czującego tak, jak wieszczowie-mesyaniści, jak Mickiewicz, gdy tworzył III. część „Dziadów", przedstawia Goszczyński jako obłąkańca, ale czy taki obłąkaniec — zapytuje on przytem — nie jest wart więcej od tłumu „owych bardzo rozumnych, czy nie powinien być wzorem dla nich?" Opowiadanie prowadzi poeta w pierwszej osobie. Spotyka on Machnickiego na wsi, na imieninach, w licznem bardzo towarzystwie. Jedni patrzą nań z uśmiechem smutnego politowania, inni znowu napastują go drwiąco, chcąc jego kosztem zabawić zgromadzenie. Ale napaści te Machnicki odpiera zwycięsko, głębokim a ciętym dowcipem onieśmiela wrogów, zapędza ich w kozi róg. Scenę tę przedstawił poeta z wielkiem uczuciem i życiem. Przychodzi w czasie uczty kolej toastów. Machnicki wnosi zdrowie gospodarza i gości w wierszowanej mowie, ale pije z próżnego kielicha:

Jeśli próżny, mojaż wina?
Mój kraj pustka i ruina,

Bo mój kraj to serca wasze:
Zkądże wam napełnię czaszę.

Już słowa te otwierają nam duszę Machnickiego; puste były serca tych ludzi, wśród których żył biedak; nieskończenie od nich wyższy uczuciem i myślą a rozpaczliwie osamotniony, postradał on równowagę ducha. Malując w chwili bolesnego wynurzenia rozmaite rodzaje cierpień, przechodzi on w końcu, siebie mając na myśli, do tych „których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia; nadto zaś kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bole śmierci przynosi". Cierpieć tak dla wszystkich i konać wśród śmiechu wszystkich, a często własnego, to jedna z najstraszniejszych tortur. Tą „myślą kochającą", która pchnęła go w tak bolesne starcie się ze społeczeństwem, że wszyscy z niego, a ostatecznie on sam z siebie, z zapału swego szydzić począł, jest miłość ojczyzny. Z tych, których widział, nie kochał jej nikt, jak należy, duszą całą; uczucia i myśli wszystkich rozstrzelone były w marnościach powszedniego życia: „we wszystkiem zmysły, nigdzie duszy — mówił on o otoczeniu, jak gdyby pod świeżem wrażeniem Improwizacyi — nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w jednej myśli, jednem uczuciu. Daj człowiekowi za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy jak w raju"... „i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku, silnych zmysłów? A ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołężnej myśli, skrępowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych; nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego".

Ta wzniosłość w obłąkaniu odbiła się na całej jego osobie, w opisie której poeta użył byronowskiego pióra: znać było pod zwierzchnią powłoką twarzy „rysy połamane przez uniesienia namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha", a jednak

w chwilach uspokojenia „wszystko w tej twarzy oddychało jakiemś uczuciem wyższości nad przytomnymi, zanadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś myślą panowania; na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tem wszystkiem leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepy, której wydatniejszemi fałdami były gęste przez pół siwe i ciemne włosy, na czoło nasunione z pewnem zaniedbaniem i ciemniejsze jeszcze wielkie brwi nad okiem zwisłe". Jednem słowem na osobie Machnickiego „jasno widziałeś — dobitnie kończy Goszczyński — ruinę myśli i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który, o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad niemi wyższości — uczucia".

Porywający w rozmowie wysokim polotem uczuć i głębokością spostrzeżeń, Machnicki w tem tylko dawał dowody pomieszania umysłu, że miał siebie za króla starych, walących się murów odrzykońskiego zamczyska, w którem zamieszkał i że stosownie do tego, zwykł był wkładać tam na siebie dziwaczne jakieś niby królewskie szaty i występować przed ludźmi jako król, swoim monarszym majestatem przejęty. Przedtem był on urzędnikiem cesarskim, niepospolicie pilnym i nadmiernej pracy; w tym kierunku przypisywano powszechnie jego obłąkanie. „Kiedyś miałem rozum — mówi on — tj. byłem waryatem jak wszyscy ludzie, nie mniej, nie więcej, nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego". Ale już wtedy czuł on w sobie jak się wyrażał, „zaród przyszłej wielkości", górował bowiem nad otoczeniem gorącą poetyczną miłością kraju. Kochał teraźniejszość i bolał jej cierpieniami, lecz wyobraźnia unosiła go ze szczególną siłą w kraje przeszłości, którą poznawał zarówno w starych kronikach, jak w smętnej poezyi rozwalonych zamków, osobliwy zaś jakiś pociąg przywiązywał go od wczesnych lat właśnie do murów odrzykońskich. Było to jakby przeczucie przyszłej miłości, która go w bezdeń obłędu pogrążyć miała. Przy takiem usposobieniu nudził go świat rzeczywisty. Zrazu jednak wstydził się Machnicki uczuć swoich i chcąc je poskromić, oddał się z całem zaparciem się siebie pracy urzę-

dowej. Dnie i noce całe ślęczał nad liczbami. Wkońcu myśli wszystkie poczęły mu zamieniać się w liczby: liczby układały go do snu i budziły, latały przed oczyma, „wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów". Wreszcie jednej nocy, opowiada Machnicki, „całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczół rozdrażnionych, obsypało mię całego, wgryzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało na mózgu; chciałem się porwać, upadłem nazad na krzesło bez siły, w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka". Nastąpiło omdlenie: „Czułem do koła siebie i przeraźliwą ciemność i martwą ciszę uśpionego domu; deszcz ze śniegiem bił w okna, wiatr przeraźliwie zawodził; mimo to rozpływałem się duszą w niewymownie lubym stanie jakiejś spokojności, swobody, uciechy, o których dotąd nie miałem wyobrażenia". Ten stan był przesileniem w życiu Machnickiego: gasł w nim i umierał dawny człowiek, a rodził się nowy — król zamczyska. Następował — słowa jego — „tryumf mojej królewskiej przyrody".

Innemi słowy, przy wykolejeniu władz umysłowych, tem silniej zapanowywał w nim pierwiastek poetycki i stawał się dla niego — mówi poeta — „szkłem optycznem, pokazującem świat cały w postaciach powiększonych i upięknionych".

Przedewszystkiem w walącem się zamczysku, w którem zamieszkał, upatrzył on „coś jakby majestat narodu", przeistoczyło ono mu się w obłąkanej wyobraźni w Polskę całą, w jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. „Gruzy te — wołał on — większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu... Kiedy tu (na szczyt tej wieży) wejdę, kiedy położę oko na tych górach i trącę je myślą, wnet lecę chmurą po grzbietach całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty". Zamek ten był w mniemaniu obłąkańca, praojcem zamków polskich, „rozpuścił on swoje korzenie podziemne, Bóg

wie jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody", z odrośli jego powstały wszystkie inne zamki: gnieźnieński, krakowski, warszawski i tyle innych, ale tu, w Odrzykoniu, kołyska ich dziejów: „Powiadam ci: nie ma tu ptaka, któryby o tej przeszłości nie śpiewał; niema wiatru, któryby nie wzdychał jej smutkiem; niema kropli rosy, któraby jej łzą nie była; zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych gruzach przesuwa; każdego tententu, ilekroć nogę postawisz; zapytaj tej wody, co tam wiecznie szepce, a usłyszysz taką powieść, jakiej żaden pisarz dotąd nie wymyślił i wymyśleć nie zdoła; trzeba tylko umieć zapytać i słuchać".

Tę umiejętność posiadł Machnicki, i on, król gruzów, w nich wysłuchał i z nich nauczył się rozumieć i kochać wielką przeszłość ojczyzny, potęgą ducha objął życie polskie we wszystkich jego objawach, a chąc je ratować, zeszedł do źródeł jego, do zamku, aby tam właśnie zamieszkać i działać. Podobnie Mickiewicz ukochał wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia narodu i tulił je do łona, jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec; podobnie pragnął zbudzić ojczyznę ze snu i od cierpień ją wyzwolić i też w tym celu schodził do źródeł jej życia, aby poznać ukrytą myśl jej dziejów, i myślą tą przejąć się i porwać nią serca rodaków; tylko Mickiewicz wierzył w ostateczne zwycięstwo prawdy, które sam słowem i czynem przyspieszyć miał, niemniej też wierzyli Słowacki i Krasiński w czary natchnień swoich, które mogły kiedyś ludzi przerobić w aniołów — ale Machnicki-Goszczyński już nie znał, jak zobaczymy, wzniosłych uciech z wiary tej płynących i tylko bolał nad wielkiem osamotnieniem swojem.

W Zamku osadził Machnickiego Stańczyk. Poeta usymbolizował w nim trzeźwą myśl polską, która w najjaśniejszych dniach życia narodu umiała przeczuć groźne chmury wiszące nad przyszłością. Wielka miłość była myśli tej źródłem, więc nie dziw, że zapałał Stańczyk szczególnem współczuciem dla tego, który w dniach klęski przerósł innych miłością i bolem. Wprowadziwszy Machnickiego do zamku, przewodniczył obrzędowi koronacyjnemu. W największej z sal zebrali się wszyscy królowie polscy, nawet ci najdawniejsi, których nie znają dzieje, zebrali

się z żonami i dziećmi, w koronach, w purpurach monarszych, „w całym przepychu mocarzy namaszczonych najwyższą władzą". Ale srogi niepokój malował się na ich twarzach, kobiety łkały, inne modliły się w przerażeniu. Jeden tylko mąż „zdawał się panować całemu temu nieładowi, uzbrojony był od stóp do głowy, białe miał włosy, jak puch białego gołębia", twarz zaś podobną do tej, którą na obrazach nadają zwykle Bolesławowi Chrobremu. On to, ów król patryarcha, zarzucił na ramiona Machnickiego, który klęczał w pokorze wielkiej i skupieniu, serdak miasto płaszcza królewskiego, a na głowę włożył mu czapkę miasto korony. „Oto jest królewski twój ubiór — przemówił — z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia hańby, zamień ją w purpurę chwały. W twoje serce zamykam całą boleść tej chwili, czoło namaszczam łzami, które dokoła widzisz... twojem państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości, zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie wśród uciechy".

Odtąd panował Machnicki w państwie gruzów swoich. Król nigdzie nie uznany, przez tych, z którymi obcował, wyszydzany, jako waryat, królował jednak, acz bez poddanych, mocą królewskiej przyrody swojej, mocą tej potęgi w kochaniu i cierpieniu, którą się wzniósł ponad społeczeństwo, pogrążone w marnościach dnia. Ale to królowanie było mu nieskończonem cierpieniem; wprawdzie powiedział: „sam, własną tylko myślą podpieram te gruzy, jak mogę", a wiemy, że były mu one symbolem Polski, jednak zbyt żywy udział brał on widocznie w życiu rzeczywistem, aby mógł o niem zapomnieć i pocieszać się, jak później Słowacki, myślą, że on król-duch, cierpiący za naród i cierpieniem swojem przynoszący mu ukojenie. „Coraz mocniej cierpię — skarżył się on — a coraz mniej jestem w stanie zaradzić złemu... Mniejsza o to, że dla świata jestem waryatem, wprawdzie bywają chwile, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: gdybyście wy mieli więcej czucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was waryatem, oddalibyście swój rozum za jego obłąkanie"... gorzkie to chwile, „ale wolę to, niż być niepotrzebnym, być kamieniem"... „a ludzie bywają zimniejsi, nieczulsi, niepożyteczniejsi, niż kamienie; pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości

nie dadzą jednego tchnienia"... „Nikczemnicy! nie byłoby gruzów, gdyby wcześniej byli pomyśleli o naprawie!"

I oburzenie obłąkanego króla przebierało miarę, przepowiadał, że padnie kiedyś naród pod gruzami zamku i wtedy dopiero przyzna rozum waryatowi: „słowa waryata będą krążyły, jak pieśń prorocza!"

Myśl swą streszczał poeta w słowach pożegnania, z któremi Machnicki zwracał się do niego: „Ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych; słońce mojego królestwa zajdzie dla twojej duszy, owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu; usłyszysz znowu zewsząd: co to za waryat ten Machnicki, mieć się za króla jakiejś tam kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim waryatem, tylko, że nie mają królewskiej duszy, królewskich moich uczuć. — Ale gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnickim na swojem miejscu, toby powstał wkrótce jeden ogromny, nieśmiertelny król — miliony!"

Nazywam się milion, bo za miliony kocham i cierpię katusze — wołał mickiewiczowski Konrad — i zdawał się łudzić nadzieją, wygłaszając te słowa, że ogniem swego milionowego uczucia rozogni serca polskie. Wprawdzie padał on niedługo potem z przekleństwem na ustach, przytłoczony brzemieniem rozpaczy, ale ks. Piotr, godząc go z Bogiem, wracał mu siły i nawrócony Konrad wstawał pełen otuchy i gotów dalej nieść duszę swą w ofierze narodowi, w nadziei współdziałania z obiecanym Mężem-Pocieszycielem. Tą drogą nadziei stąpali inni wieszczowie mesyanizmu, wpatrzeni w przedświt przyszłych dni szczęśliwych, — ale Machnicki nadziei nie żywił już żadnej, zanadto jasno widział przepaść pomiędzy rzeczywistym stanem narodu a tym duchem miłości i ofiary, który jeden mógł Polskę wydobyć z upadku, „morowe powietrze zimnego rozumu" struło w jego mniemaniu kiełkujące błyski wysokich uczuć, więc tylko śnił on smętnie, jak się o nieistniejącej Atlantydzie śni, o narodzie-milionie, którego członek każdy mógłby nazwać siebie „milionem, za miliony kochającym i cierpiącym katusze".

A jednak lepiej mu było wśród gruzów, w mistycznym

związku z przeszłością polską, niż wśród ludzi, którzy ogłosili go waryatem, bo „on jeden pojął myśl, której oni pojąć nie mogą".

„O, ludzie! — wołał poeta w zakończeniu — gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj!"

Ze słów tych i wogóle z całego toku opowiadania wiała ogromna sympatya poety do tego idealnego skupienia uczuć wszystkich w jednem ognisku miłości ojczyzny, któremu Mickiewicz dawał wyraz w „Improwizacyi", którem żył Machnicki. Ale ideał ten doprowadził Machnickiego do obłąkania umysłu, — prawda, że w tym stanie obłąkania składał on jeszcze dowody niezmiernej wyższości uczucia, lecz nad myślą panować już nie mógł. Właśnie takie przedstawienie bohatera świadczy o trzeźwości poety; zrozumiał on, że ideał Machnickiego zostawał w żywej sprzeczności ze światem rzeczywistym, że ludzkość skąpana w „morowem powietrzu zimnego rozumu", nie była zdolną rządzić się samą miłością, i że przeto wobec tej smutnej prawdy traciła racyę bytu owa namiętna miłość ojczyzny, nie licząca się z teraźniejszością, zapatrzona w przeszłość, krzesząca z niej myśl dziejów narodowych, usiłująca świat cały do myśli tej nawrócić i panowanie jej w przyszłości utrwalić, pełna wreszcie wiary w ową przyszłość doskonałą, — jednem słowem miłość, która znajdowała swój wyraz w mesyanicznym ideale wieszczów naszych.

Innemi więc drogami należało kroczyć.

W ten to sposób Goszczyński poddając krytyce mesyanizm, lub, mówiąc ściślej, do mesyanizmu prowadzącą egzaltacyę poezyi naszej, godnie zakończył cykl rozwoju bajronizmu polskiego, który w twórczości trzech wielkich wieszczów naszych dawał głębokie, acz jednostronne, bo zbyt wyłącznie do polskich spraw zastosowane rozwiązanie postawionych przez Byrona odwiecznych, gdyż celu życia i istoty szczęścia tyczących się zagadnień.

M. Zdziechowski.

DOROBEK NAUKOWY ROSSI'EGO.

Sapiens in verbis, seipsum amabilem facit.
Eccli. xx, 13.

II.

Skąd Rossi ma tytuł twórcy archeologii chrześcijańskiej, kiedy już przed nim, od XVI. wieku począwszy, różni uczeni zajmowali się badaniami cmentarnemi i obszerne o katakumbach zostawili dzieła? Aby na to odpowiedzieć, muszę się cofnąć wstecz i dać przynajmniej krótki pogląd na koleje, jakie przechodziły te podziemia, począwszy od IV. wieku.

Niedługo po zwycięstwie Konstantyna straciły katakumby swój dawny charakter, specyficznie cmentarny, a zamieniły się raczej w sanktuarya i kościoły, odwiedzane przez pobożnych całego chrześcijańskiego świata. Z tablic statystycznych, sporządzonych przez Rossi'ego, wynika, że między r. 361 a 369 już tylko połowa wiernych grzebała się w galeryach podziemnych, podczas gdy reszta budowała sobie groby przy bazylikach nad katakumbami; od r. 373 do 400 liczba grobów podziemnych redukuje się już do $^1/_3$ wszystkich zmarłych; między latami 400—409 inskrypcye katakumbowe znikają prawie całkowicie, a po r. 410 już niema i śladu, żeby ktoś był pochowany w podziemiach. Do rozsławienia i podniesienia uroku i kultu katakumb przyczynił się w epoce tryumfu Kościoła najwięcej papież Damazy (od r. 366—

384), ten pierwszy chrześcijański archeolog i najgorętszy pieśniarz grobów męczeńskich. On to dla ułatwienia wiernym dostępu do relikwij świętych, rozszerzył pierwotne schody i zbudował nowe, powiększył kaplice męczeńskie i sąsiadujące z niemi galerye i otworzył też liczne lucernarya, doprowadzające do podziemi światło i powietrze. Równocześnie ozdobił groby znakomitszych męczenników poematami własnej kompozycyi, które słynny kaligraf i przyjaciel papieski, Furiusz Dyonizy Filokal, rytował w marmurze osobnem hieratycznem pismem, aby w ten sposób przekazać potomności najchwalebniejsze karty z martyrologium kościelnego i ułatwić pielgrzymim drużynom oryentowanie się po tem morzu cmentarnych ulic i kaplic. Nikt też odeń chyba nie miał większego prawa spocząć pod ziemią w pobliżu krwi męczenników, a jednak wolał on obrać grób nad ziemią, aby spokoju świętych kości nie naruszyć [1].

Jak wielką w IV. i V. wieku katakumby były przynętą nietylko dla starszych ale i dla dzieci, dowiadujemy się od św. Hieronima. „Kiedy jako chłopiec bawiłem w Rzymie — pisze on w komentarzu do Ezechiela — i oddawałem się tamże naukom, obchodzić zwykłem co niedzielę z rówieśnikami i kolegami groby apostolskie i spuszczałem się często do krypt, wykopanych głęboko pod ziemią, a mieszczących po obu stronach galeryi zwłoki zmarłych. Są one tak ciemne, że sprawdza się tu niemal ono wyrzeczenie proroka: *Niechaj żywo zstapią do piekła.* Gdzieniegdzie tylko wdziera się z góry odrobina światła, aby na chwilę umniejszyć ciemności, tak, iż zdaje ci się widzieć nie tyle okno, jak raczej szparę komunikującą z jasnością dzienną, jeśli zaś pójdziesz dalej, to znajdziesz się znowu w głębokich ciemnościach, i mimowoli stają ci w myśli słowa poety:

Horror ubique animo, simul ipsa silentia terrent [2].

---

[1] Wyznaje on to w epigramie umieszczonym w krypcie papieskiej u św. Kaliksta, a który kończy następującym dwuwierszem:

Hic fateor Damasus volui mea condere membra
Sed cineres timui sanctos vexare piorum.

[2] Virgilius, Aen. II, 755: „Wszędzie tu mieszka strach i samo nawet milczenie grozą przejmuje duszę“.

Hieronim maluje tu ogólne wrażenie, jakie na przychodniu czyniły katakumby, a nie uwzględnia w swem opowiadaniu zmian architektonicznych i prac dekoracyjnych, poczynionych przez Damazego. Za to zwrócił na nie uwagę i opisał je poeta Prudencyusz w swych pieśniach o grobach męczenników, a zwłaszcza w hymnie ku czci św. Hipolita, spoczywającego w własnem hipogeum przy drodze tyburtyńskiej [1].

Utrzymały się też aż do naszych czasów w samych katakumbach ślady i dowody, kędy przechodzili i u których grobów modlili się i dłużej zatrzymywali pątnicy; wypisywali oni bowiem na tynku ścian imiona swoje i drogich sobie osób [2]. Co więcej, prócz gołych imion, znajdujemy tu też nieraz aklamacye, życzenia dla przyjacioł, wskazówki skąd pielgrzym przyszedł i dokąd dąży, a nawet modlitwy do pochowanych tu Świętych. Na samych drzwiach krypty papieskiej, a więc tuż przy grobie św. Sykstusa, czytamy: *Sancte Suste*, a nieco dalej: *Suste San(cte)* — święty Sykstusie! W innem miejscu zachowała się w całości inwokacya: *Sancte Suste in mente habeas in horationes Aurelium Repertinu(m)* — „Święty Sykstusie pamietaj w swych modlitwach o Aureliuszu Repertynie". Gdzieindziej czytamy: „módlcie się za mną Eustachym!" — albo: „Proście dusze święte o pomyślną żeglugę dla Werekunda i jego przyjacioł!" W hipogeum św. Hipolita, w galeryi, która wiodła do grobu tego świętego, znajduje się dwa razy modlitwa: *Hippolyte in mente habe Petrum peccatorem* — Hipolicie, miej w pamięci Piotra grzesznika! Z późniejszych czasów

[1] Peristeph. XI, 153—218.

[2] Szli w tem chrześcijanie za zwyczajem ogólno-ludzkim — boć podobne grafity odnajdujemy także na świątyniach greckich, pagodach indyjskich, skałach synajskich, egipskich sanktuaryach, piramidach, syryngach i kolosie Memnona. Serapion, syn Arystomaka, przybywszy do wielkiej Izydy, bogini wyspy File, kreśli tam — jak wyznaje — napis ku pamięci i uproszeniu błogosławieństwa dla rodziców. Pewna Rzymianka, zwiedziwszy piramidy, przypomina sobie u ich stóp zmarłego brata i pisze na nich te serdeczne słowa: „Widziałam piramidy bez ciebie i ten widok napełnił mię smutkiem. Mogłam tylko łzy wylewać nad twym losem, a na uwiecznienie mojej boleści wyryłam tutaj tę moją skargę". W VI. wieku pielgrzym Antoni z Piacencyi wypisał imiona swoich rodziców w Kanie Galilejskiej na łożu kamiennem, gdzie spoczywać miał Chrystus obecny na godach.

obok imion rzymskich, jak *Maximus, Elpidephorus, Tychis*, znajdujemy longobardzkie i średniowieczne: *Prando, Lupo, Ethelbridus* i t. d. Wspominam dlatego o tych grafitach, ponieważ, jak później zobaczymy, ułatwiły one Rossi'emu odnalezienie kilku najważniejszych krypt męczeńskich, a tem samem umożliwiły sporządzenie mapy topograficznej i geograficznej pojedyńczych hipogeów.

W pielgrzymowaniu do katakumb zaszła nagle przerwa w wieku VI. Wdarli się bowiem do nich oblegający Rzym aryańscy Gotowie Witigesa, potłukli sarkofagi i napisy i zniszczyli wiele grobów, spodziewając się w nich znaleść ukryte kosztowności. „Kościoły i ciała świętych męczenników stały się pastwą Gotów", zapisuje w historyi papieża Sylweryusza *Liber Pontificalis*. Wprawdzie papieże Wigiliusz i Jan III. odrestaurowali ograbione z ozdób kaplice i sporządzili kopie potłuczonych kamieni damazyjskich; Sergiusz I. chodził nawet sam często ze mszą św. do podziemi, a w VIII. wieku zawiązało się osobne Stowarzyszenie kapłanów z obowiązkiem odprawiania co tydzień liturgii w kaplicach cmentarnych; jednakże katakumby już nigdy nie odzyskały dawnego splendoru. W r. 756 spadła na nie nowa klęska, przewyższająca rozmiarami wszystkie poprzednie. Longobardowie pod wodzą Aistulfa uwieźli na północ kości świętych, aby je tam za drogie pieniądze sprzedawać. Paschalis I. dla ocalenia reszty ciał męczeńskich jął otwierać nietknięte groby i przenosić relikwie do świątyń miejskich. Translacya ta równała się wyrokowi śmierci dla katakumb, bo pozbawione kości świętych, straciły one urok i główną przynętę dla pobożnych, tak, że niezadługo pokryły się gruzami, porosły trawą i poszły całkowicie w zapomnienie. Już w wieku XI. wszystkie hipogea drogi apijskiej mają tylko jedną ogólną nazwę katakumb św. Kaliksta. Słynnej krypty papieskiej, grobów św. Sykstusa, Cecylii, Korneliusza, Melchiadesa szukano mylnie w podziemiu św. Sebastyana, które jedno jedyne zawsze stało otworem dla pątników.

Tak miała się rzecz aż do wieku XV., kiedyto kilku Franciszkanów przez jakąś szczelinę spuściło się do właściwego cmentarza św. Kaliksta i wypisało węglem na ścianie swoje imiona

obok daty: „roku pańskiego 1433 a dnia VIII. miesiąca czerwca". Te same galerye zwiedziło także nieco później kilku Szkotów, jak dowodzi inskrypcya: „r. 1467 kilku szkotów tu było". Jeszcze inny napis głosi: „W r. 1451 d. 17 stycznia odwiedził to miejsce święte brat Wawrzyniec, Sycylijczyk, wraz z 20 braćmi zakonu św. Franciszka". Obok tych zakonników, wiedzionych duchem pobożności, poczęli w katakumbach zbierać się także na tajne posiedzenia członkowie osławionej rzymskiej akademii klasycznej wraz z swym rektorem Pomponiuszem Letusem. Imiona ich znajdujemy u św. Kaliksta i w kilku innych cmentarzach, wypisane również węglem na tynku ścian. Znaną jest rzeczą, że współcześni podejrzywali ich o konspiracye przeciw papiestwu, knowania antychrześcijańskie i dążności do wskrzeszenia starego pogaństwa z jego religią i kapłanami, i że Paweł II. wytoczył im nawet proces. Otóż badania katakumbowe wykazały, że podejrzenia te nie były pozbawione podstawy, bo Pomponiusz figuruje w inskrypcyach pod imieniem *Pontifex Maximus*[1], i *Pontifex Maximus* panujący, więc niby papież nowego kościoła. Czyż to nie dziwne i ciekawe, że katakumby, które w początkach ciemnościami swemi osłaniały zgromadzenia chrześcijan, po wiekach kilkunastu służą za kryjówki dla odradzającego się poganizmu!

W roku 1490 spotykamy u św. Kaliksta jakiegoś Ranuzza Farnese z towarzyszami *(cum sodalibus)*, a nieco wcześniej opata św. Hermesa z siedmioma przyjaciółmi. Wszyscy ci pątnicy katakumbowi z XV. wieku są jakby poprzednikami owego długiego łańcucha badaczy, którzy w wiekach następnych starali się wskrzesić historyę tych podziemnych cmentarzy i z nagromadzonych w nich pamiątkach po pierwszych chrześcijanach prawdziwą zbudować umiejętność. Pierwsza iskra, co rozniecila ten nowy płomień naukowy, ukazała się w Rzymie ostatniego maja r. 1578.

W dniu tym robotnicy, szukający *pozzolany* w winnicy nie-

[1] Rozprawa Rossi'ego pod tytułem: *L'accademia di Pomponio Leto. e le sue memorie scritte sulle pareti delle catacombe romane,* należy do najciekawszych jego Bulletyna. Zob. *Bulletino di archeologia cristiana, serie quinta,* r. 1890, str. 81—94.

jakiego Bartłomieja Sancheza przy drodze salaryjskiej nowej, natrafili przypadkowo na wejście do obszernego podziemia, zapełnionego malowidłami, napisami i sarkofagami. Wieść o dokonanem odkryciu poruszyła całe miasto i zewsząd zbiegali się ciekawi, aby zobaczyć nieznaną nekropolę; niestety nikt nie pomyślał o tem, żeby ją ocalić i wnet robotnicy skopali galerye do szczętu. Widział je także Baroniusz, ale widocznie praca nad Rocznikami Kościoła absorbowała wszystkie jego siły, kiedy nie zwrócił na katakumby bliższej uwagi i nie zużytkował ich dokumentów do swojej historyi. Nie poszły one jednak odtąd w zapomnienie. Różnemi otworami schodził w nie hiszpański Dominikanin Alfons Ciacconio i kopiował freski, a niezadługo przyłączyli się doń dwaj młodzi Flamandczycy: Filip de Winghe i Jan Heureux, których rysunki odnalazł ks. Wilpert w kodeksie biblioteki walliceliańskiej w Rzymie.

Cały jednak katakumbowy spadek literacki tych trzech uczonych maleje prawie do zera wobec dzieła i studyów, jakie nad cmentarzami dokonał Antoni Bozyusz, adwokat i prokurator zakonu maltańskiego. Rossi mówi o nim zawsze z entuzyazmem i czcią najgłębszą, witając w nim prawdziwego Kolumba Rzymu podziemnego. „Odeń dopiero — pisze on — poczyna się prawdziwe znawstwo i umiejętne badanie starych cmentarzy, w czem go żaden z jego następców nie prześcignął, a może mu i nie dorównał".

Rozpoczął on swoje badania 10 grudnia 1593 r., jak dowodzi napis w hipogeum św. Domitylli, dokąd zeszedł tam z kilkoma przyjaciółmi, nie zaopatrzywszy się wprzód dostatecznie w świece, czego ledwo że życiem nie przypłacił. „Już śmierć poczęła nam zaglądać w oczy — pisze — i zachodziła obawa, że memi nieczystemi zwłokami splugawię groby męczenników". Przez 36 lat odbywał Bozyusz swoje wyprawy do katakumb, odkrył ich koło 30, i wygotował już prawie w całości materyał do druku, kiedy śmierć przecięła to pracowite życie w roku 1629. Dopiero w trzy lata później, przyjaciel jego, O. Severani, Oratoryanin, wydał jego dzieło w języku włoskim, na koszt zakonu maltańskiego, pod

tytułem: „Rzym podziemny“ [1]. Drugą edycyę łacińską [2], nieco skróconą i zmienioną ogłosił w r. 1651 Paweł Aringhi, przywłaszczywszy sobie przytem nieprawnie autorstwo całej pracy.

Metoda, którą Bozyusz posługiwał się w swych badaniach była dobra i ściśle naukowa, bo topograficzna, tj. dążąca do odtworzenia mapy Rzymu podziemnego, i opisująca pomniki w związku z ich miejscem znalezienia; mimo to nie zdołał on odszukać pierwotnych imion cmentarzy, ani też krypt historycznych, w których mieściły się niegdyś znakomitsze groby męczenników. Nie można mu jednak z tego czynić zarzutu, bo zrobił na swoje czasy wszystko, co tylko było możliwe, a braki, błędy i niedostatki tekstu i rysunków odnieść należy już to do niedokładności dokumentów, które mu służyły za źródła informacyjne i drogowskazy, już do niesumienności i lekkomyślności kopistów i rysowników. Mimo to dzieło jego pozostanie kopalnią niewyczerpaną dla wszystkich, co kiedykolwiek będą się zajmowali starożytnością chrześcijańską, a to tem więcej, że niektóre freski i inskrypcye publikowane w jego „Rzymie podziemnym“ zniszczały z czasem i przepadły na zawsze.

Po śmierci Bozyusza nastały znowu dla katakumb czasy smutne, dorównywające rozmiarami spustoszeń grabieżom Gotów i Longobardów. Hipogea uważano przedewszystkiem za kopalnie relikwij, i aby ich znaleść jak najwięcej, nie wahano się otwierać i niszczyć całe setki grobów, malowideł i napisów. W archiwum biblioteki watykańskiej znajduje się w manuskrypcie wyciąg procesu, jaki władza duchowna wytoczyła Janowi Santino, kopiście katakumbowemu, znanemu także pod imieniem Toccafondo, a schwytanemu na gorącym uczynku, kiedy z cmentarza św. Felicyty wykradał relikwie. Prócz kości Świętych rozkradziono w XVII. i XVIII. wieku, z powodu braku dostatecznego nadzoru,

---

[1] Dokładny tytuł dzieła opiewa: *Roma sotterranea, opera postuma di Antonio Bosio, Romano antiquario ecclesiastico singolare de' suoi tempi compita, disposta et accresciuta dal M. R. P. Giovanni Severani da S. Severino...* Roma 1632, fol.

[2] *Roma subterranea post Ant. Bosium et Joann. Severanum.* — Romae 1651, fol.

niemało innych pamiątek cmentarnych, jak lampy, kamee, gemmy, monety i inskrypcye. Nie można wprawdzie zaprzeczyć pewnych zasług w archeologii chrześcijańskiej takim mężom, jak Fabretti, Buonarotti, Marangoni, Lupi, Bottari, Mamachi, Olivieri, Zaccaria, Marini i Seroux d'Agincourt, jednak ich dzieła nie zrównoważą szkód, jakie w tym czasie poniosły katakumby; nie posunęły one nauki naprzód i są, z małemi tylko wyjątkami, rekapitulacyą prac Bozyusza. Dopiero w naszym wieku wzbudziła się na nowo cześć do samych katakumb i ich zabytków historycznych, a to przedewszystkiem dzięki wspomnianemu już mistrzowi i przyjacielowi Rossi'ego, O. Marchi'emu T. J. Nie doprowadził on jednak do końca projektowanej pracy o pierwotnej sztuce chrześcijańskiej [1], częścią z powodu klęsk politycznych i nieszczęść, które w tym czasie spadły na jego zakon, częścią zaś dlatego, iż znalazł genialnego ucznia, który dawał wszelkie rękojmie, że dzieło poprowadzi lepiej i oprze je na podstawie szerszej i ściśle naukowej. I nie omylił się: Rossi zdobył sobie z czasem imię ojca archeologii chrześcijańskiej, króla Rzymu podziemnego i drugiego Kolumba świata umarłych.

W ciągu lat 50 zdziałał on więcej na niwie cmentarnej niż razem wzięci wszyscy archeologowie chrześcijańscy wieku XVII. i XVIII. Podczas gdy w dwóch ostatnich stuleciach odkryto w katakumbach zaledwie trzy ważniejsze krypty historyczne i to tylko przez czysty przypadek, on wsparty pomocą i pieniądzmi powołanej w tym czasie do życia papieskiej Komisyi archeologicznej, odnalazł ich dwa razy tyle, a za każdym razem przepowiadał z góry, gdzie ich szukać należy, i jakie w niej mieścić się powinny pamiątki. Wiedział naprzód, co odkryje: ale mimo to nikt odeń nie był ostrożniejszym w stawianiu hipotez i acz miał szczególny dar jasnowidza, nie dawał się porywać fantazyi, ale krokiem powolnym, analizą najsumienniejszą zrobionych już odkryć, uzasadniał to, co przeczuł, i wtedy dopiero to przyjaciołom, jako fakt oznajmiał.

[1] W r. 1844 ukazała się pierwsza część dzieła pod tytułem: *Monumenti delle arti cristiane primitive,* traktująca o starochrześcijańskiej architekturze i cmentarzu św. Agnieszki.

Jakąże drogą doszedł Rossi do tej intuicyi w archeologii chrześcijańskiej i w jaki sposób udało się mu raz na zawsze rozwiać i rozproszyć ciemności, nagromadzone w ciągu wieków nad katakumbami, grubsze prawie od tych, co zalegają same wnętrza hipogeów? Przedewszystkiem zawdzięcza on najświetniejsze rezultaty swej pracy metodzie topograficznej, przyjętej po Bozyuszu, przez co jest jakby pierwszym i bezpośrednim następcą wielkiego archeologa XVII. wieku. Po nim, jakby syn po ojcu, odziedziczył głęboką i namiętną cześć i miłość ku starym cmentarzyskom, i razem z nim postawił sobie za cel życia przybliżyć nam najdawniejszą, tak łzawą, a równocześnie tak radosną epokę dziejów chrześcijaństwa.

Otóż zanim rozpoczął poszukiwania w samych katakumbach, poszedł po radę i wskazówki do tekstów liturgicznych i hagiograficznych, jakimi są stare kalendarze kościelne i akta męczeńskie, dalej dokumenta historyczne jak *Liber pontificalis*, i teksty topograficzne, jak itinerarya i zbiory napisów, ułożone w wieku VII. i VIII. Wstępne te studya, dokonane w bibliotekach całej Europy, dały mu dokładną ideę o położeniu cmentarzy i ich najcenniejszych zawartościach. Wspomniane bowiem bedekery VII. i VIII. wieku, sporządzone przez naocznych świadków i znawców Rzymu chrześcijańskiego dla pątników, co z wszystkich stron świata przychodzili modlić się na grobach męczenników, wymieniają najdokładniej stacye godne widzenia, drogi przy których leżały hipogea, wyliczają najznakomitsze kaplice z ich relikwiami, rozróżniają sanktuarya położone nad ziemią od podziemnych, a czasem podają nawet liczbę schodów, po których zejść się musi do hipogeów, jakoteż odległość jednej krypty od drugiej. Kładę tu dla przykładu fragment bedekera salcburskiego:

Droga Flaminińska.

Potem wejdziesz do miasta od strony północnej, aż dojdziesz do bramy flaminijskiej, gdzie spoczywa św. Walentyn przy drodze flaminijskiej w bazylice wielkiej, którą zrestaurował Honoryusz, i inni męczennicy, w stronie północnej, pod ziemią.

Droga Salaryjska stara.

Potem idziesz na wschód, aż przyjdziesz do kościoła męczennika Jana przy *via Salinaria*, gdzie spoczywa Dyogenes męczennik, a w drugiem kubikulum Bonifacyanus i Fistus męczennik, pod ziemią, i Blastus męczennik, pod ziemią i t. d.

Droga Salaryjska nowa.

Potem przyjdziesz do św. Felicyty przy drodze także salaryjską zwanej, gdzie ona spoczywa w kościele nad ziemią, a Bonifacy męczennik w drugiem miejscu, i jej synowie (czytaj: syn) pod ziemią i t. d.

Równocześnie dawał Rossi'emu pewne wskazówki chrześcijański kalendarz z IV. wieku, zawierający prócz pocztu najważniejszych świąt kościelnych i anniwersarzy męczenników, katalog papieży, począwszy od Piotra aż do Liberyusza, i, co dla archeologa jeszcze ważniejsze, spis dni śmierci i pogrzebu biskupów rzymskich od Lucyusza aż do Juliusza (255—352). I tak np.:

Dzień pogrzebu biskupów.

VI. kalendów stycznia. Dyonizyusza w cmentarzu Kaliksta (r. 269).
III. kal. stycznia. Feliksa u Kaliksta (r. 274).
W przeddzień kal. stycz. Sylwestra u Pryscylli (r. 335).
IV. Idów stycznia. Milcyadesa u Kaliksta (r. 314) i t. d.

Na podstawie tych informacyj dokonał Rossi w r. 1852 najważniejszego odkrycia, które od razu zwróciło nań oczy całego uczonego świata. W miejscu, między drogą apijską a ardeatyńską, gdzie itinerarya wskazywały mu cmentarz św. Kaliksta, odsunął on rumowisko i natrafił na fragment znanego napisu damazyjskiego, którego pierwszy wiersz opiewa:

Hic congesta iacet quaeris si turba piorum.

Badając dalej ściany galeryj, odcyfrował grafit: „Jerozolimo, miasto niebieskie i ozdobo męczenników pańskich", a nawet imię Sykstusa znalazło się na tynku. Napis damazyjski widzieli pątnicy VII. wieku w kaplicy papieskiej i odkopiowali go w kilku ówczesnych bedekerach: a więc nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Rossi odnalazł grobowiec papieży III. wieku. Aby zaś

dowód był pełny, zjawiły się jeszcze oryginalne epitafy Anterosa, Fabiana, Lukisa i Eutychiana. Doskonałość metody potwierdziły dalsze odkrycia. W tym samym cmentarzu św. Kaliksta odnalazł on niedługo kryptę św. Cecylii, papieża Korneliusza, Euzebiusza i Milcyadesa; w katakumbach św. Domitylli odkrył bazylikę i grób św. Petronili, Nereusza i Achilleusza; u św. Pretekstata, po drugiej stronie drogi apijskiej, kryptę św. Januarego; przy drodze salaryjskiej nowej kościół św. Sylwestra i groby Glabryonów. W ten sposób centra katakumb, główne ich sanktuarya i krypty historyczne, zostały zdobyte dla nauki! Dowiedzieliśmy się, że prawie każda katakumba obejmowała pierwotnie kilka osobnych hipogeów, i że dopiero później — nieraz po upływie całych wieków — połączono wszystkie oddzielne grupy, mieszczące się pod tym samym pagórkiem, za pomocą podziemnych arteryj, w jeden cmentarz. Grób męczennika rozwiązywał najczęściej z matematyczną ścisłością zagadkę, dotyczącą czasu powstania krypty, a równocześnie dawał przynajmniej w wielkiem przybliżeniu datę galeryj sąsiednich i datę znajdujących się w nich napisów i malowideł. Z krypty męczeńskiej biorąc punkt wyjścia, odbudował cały rozwój i mapę katakumby, na wzór zdolnego przyrodnika, któremu wystarcza nieraz jeden piszczel do zrekonstruowania całego zaginionego gatunku zwierzęcego. Konfrontując teksty historyczne pogańskie z tekstami chrześcijańskimi, epigrafikę klasyczną z epigrafiką kościelną, sztukę rzymską z sztuką chrześcijańską, doszedł on i udowodnił, że z I-go jeszcze wieku pochodzą u św. Kaliksta hipogeum Luciny, w cmentarzu Pretekstata grobowiec Januarego, u św. Domitylli duże *ambulacrum* Flawiuszów, a w katakumbie św. Pryscylli, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, obszerny korytarz z sarkofagami potomków Maniusza Acyliusza Glabryona, konsula z r. 91 po Chr. Stwierdziwszy potem, że krypta św. Cecylii pochodzi z II. wieku, mauzoleum papieskie z III., dział papieża Liberyusza z IV., zyskał tem samem wzory architektoniczne, ikonograficzne i epigraficzne z wszystkich epok dziejów cmentarnych, jakoteż podwaliny chronologiczne pod całą naukę katakumbową. Od tej chwili wzbudzona do życia została nowa umiejętność, oparta na ścisłych datach,

i ściśle związana z historyą i teologią, szukająca u nich objaśnień, a w zamian za to nowem opromieniająca je światłem.

Chronologicznie pierwszem wielkiem dziełem Rossi'ego są jego: „Inskrypcye chrześcijańskie miasta Rzymu z pierwszych sześciu wieków“ [1], których tom pierwszy pojawił się w r. 1861, a drugiego część pierwsza w r. 1888. Zajmowali się już w XVII. i XVIII. wieku chrześcijańską epigrafiką i zebrali pokaźną liczbę kamieni: Bozyusz, Gruter, Jabretti, Doni, Lupi, Muratori, Zaccaria, Marini; jednak i archeologię chrześcijańską wogóle i jej dział epigraficzny w szczególności dopiero Rossi przemienił w prawdziwą umiejętność. Nie dosyć bowiem zebrać napisy, trzeba jeszcze naukowo je rozklasyfikować na peryody, i określić, czy epitaf jest z czasów prześladowań, czy z chwili tryumfu Kościoła, czy odnieść go należy do początków chrześcijaństwa, czy w epokę Konstantyna lub czasy pośrednie. A tego dokonał dopiero nasz wielki zmarły. Notował on najpierw dokładnie miejsce odnalezienia napisu: data galeryi odsłaniała często datę kamienia. Trzymając się przytem zasady, że jak w każdej innej umiejętności tak i w epigrafice chrześcijańskiej należy iść od rzeczy znanych, do tego co nieznane, ogłosił w I. tomie 1364-ry napisy chronologicznie pewne, bo opatrzone datą konsularną, i podał w nich szereg symbolicznych, kaligraficznych i ortograficznych wzorów, do których dość przybliżyć inne niedatowane, aby odgadnąć jeśli już nie rok, to przynajmniej stulecie ich powstania. Pierwszy datowany kamień jest z r. 71, drugi z r. 107, trzeci z r. 111, czwarty dopiero z r. 204 Na epitafie z r. 234 znajdujemy zestawione razem symbole ryby i kotwicy, co znaczy, że zmarła 10-letnia chrześcijanka Kornelia pokładała swą nadzieję w Chrystusie. Napis z r. 268 kończy się aklamacyą: Marcyanie, żyj pomiędzy świętymi! Na epitafie z r. 291 woła pozostały mąż za zmarłą żoną Cerwonią Sylwaną: *Refrigera cum spirita sancta* — odpoczywaj wśród Świętych!

Wogóle wszystkie kamienie rozdzielić dają się na dwie wielkie familie, z których jedna powstała w epoce krwawych

[1] *Inscriptiones christianae urbis Romae septimo saeculo antiquiores.*

prześladowań, a druga w epoce pokoju. Pierwszą znamionuje prostota, lakonizm, milczenie; bo nieraz za cały napis starczy imię zmarłego, symbol kotwicy, ryby, gołębia z gałązką oliwną; czasem do imienia dopisane życzenia, aby żył w Chrystusie, w Bogu, w Panu, w Duchu Św., wśród Świętych, aby się cieszył ochłodą wieczną i pamiętał w swych modlitwach o pozostałych na ziemi rodzicach i przyjaciołach. W czasie zaś pokonstantyńskim język nagrobkowy staje się napuszysty, retoryczny i przepełniony takiemi pochwałami, jak: dusza dziwnej dobroci, świętości, nadzwyczajnej niewinności i mądrości. W roku znów 410 poczyna się nowa epoka w epigrafice chrześcijańskiej: od tego czasu napisy datowane stają się rzadkie, a w niektórych latach brak ich zupełnie. Jaka mogła tego być przyczyna? Leży ona w historyi owych czasów: Alaryk zdobył i zrabował stolicę. Nieszczęśliwi mieszkańcy rozbiegli się po całych Włoszech i Afryce; pozostali zaś nie mieli czasu myśleć o strojeniu grobów. Z tego nagłego braku kamieni wyciąga też Rossi wniosek, że to zajęcie Rzymu przypada na rok 410 a nie 409. Od r. 589 do 600 wreszcie niemasz ani jednego datowanego epitafu; i to się łatwo tłumaczy, bo miasto nawiedziły równocześnie: morowe powietrze, wylew Tybru i dzicz longobardzka. „Ustało wówczas całe życie — pisze Rossi — nawet groby straciły swą mowę" — *reliqua omnia silent, neque iam vocem edunt sepulcra!*

Drugi tom inskrypcyj miał, wedle pierwotnego założenia autora, zawierać niedatowane napisy treści i doniosłości historycznej wraz z objaśnieniami ich tekstu. Z czasem porzucił jednak Rossi plan pierwotny i miasto już rozpoczynać budowę gmachu epigraficznego na podstawie napisów datowanych w I. tomie, jął jeszcze dalej wzmacniać fundamenta nowej umiejętności. Odnalazł on we fragmentach starych zbiorów epigraficznych kopie 160 napisów rzymskich, które prawie wszystkie były metryczne, obszerne i umieszczone w cmentarzach i bazylikach na miejscach znakomitych, a tem samem mniej dostępne zniszczeniu, niż małe epitafy uboższych warstw ludności. Z owych jednak 160 napisów doszło nas ledwie 26, już to w całości, już w drobnych kawałkach. Dalej pewną jest rzeczą, że od św. Piotra aż do Grze-

gorza W. przynajmniej 62-ch papieży znalazło po śmierci spoczynek w Rzymie, i że ich groby odwiedzane były przez starych pątników, którzy nawet kilka ich nagrobków metrycznych odpisali. Z tych wszystkich epitafów posiadamy tylko dziewięć fragmentów. Weźmy trzecią datę. Jeszcze w VII. wieku wymieniają topografowie przeszło 140 grobów męczeńskich w sanktuaryach, położonych za murami miasta. Każde prawie sanktuaryum miało aż kilka napisów. Z tych doszło nas znowu zaledwie 20 epitafów, skąd rzecz widoczna, że koło 80 procent oryginalnych kamieni chrześcijańskich z pierwszych sześciu wieków kryje się jeszcze pod ziemią, albo przepadło na zawsze.

Aby te luki i szkody choć w części wynagrodzić i zdobyć równocześnie klucz i podstawę do odtworzenia tekstu napisów, po których nieraz na pierwotnym marmurze zaledwie kilka liter ocalało, należało odszukać jak najwięcej kopij napisów, sporządzonych przez wspomnianych już pielgrzymów rzymskich w początkach wieków średnich, a rozproszonych dziś po różnych bibliotekach publicznych i klasztornych. Otóż przedruki owych rękopiśmiennych zbiorów znajdujemy właśnie w tomie II. Inskrypcyj. Jaka suma pracy została włożona w to dzieło świadczy ta okoliczność, że autor zużytkował do niego koło 300 manuskryptów włoskich, niemieckich, szwajcarskich i francuskich, a wypełnił tymi tekstami 455 stronic *in folio*, do czego jeszcze dodał na stu blisko stronicach rozmaite indeksy, ułatwiające badaczowi oryentowanie się po tem prawdziwem morzu kodeksów. Inwentarz ten nie miałby jednak wartości naukowego źródła informacyjnego dla epigrafików, gdybyśmy nie znali historyi pojedyńczych syllog: stąd też Rossi opatrzył każdą komentarzem, ilustrującym jej genezę i stosunek pokrewieństwa do innych zbiorów.

Aż do jego czasów istniało mniemanie, że dopiero Alkuin ze swymi uczniami pierwszy sporządził kolekcyę starych napisów w prozie i wierszach. Tymczasem Rossi udowodnił, że najstarsze kompilacye inskrypcyj przypadają już na wiek VI. i że zawierały one zarówno napisy chrześcijańskie jak i pogańskie. Autorami zaś ich byli nie tyle uczeni, w rodzaju Boecyusza lub

Kassyodora, w których dziełach nie ma i śladu zainteresowania się literaturą epigraficzną, ile raczej przewodnicy pielgrzymów po miejscach pamiątkowych stolicy, i gramatycy, którzy na tych kopiach uczyli czytać i pisać swoich uczniów. Odpisy tych albumów rozpowszechniły się szeroko i daleko jeszcze przed VII. w., czego dowodem epigramy kościołów Afryki, zbudowanych lub zrestaurowanych w wieku VI., które powtarzają napisy rzymskie. Autografy owych autologij zaginęły z czasem, ale wyzyskali je i wzięli za podstawę do podobnych zbiorów uczeni z otoczenia Karola W.; skąd nawet z czasem wyrośli mylnie na poprzedników i jakby ojców dzisiejszych współpracowników znanego *Corpus inscriptionum latinarum*. I tak, album z VI. wieku powstał za czasów Alkuina, na podstawie zbiorów chrześcijańskich i pogańskich napisów Rzymu, Treviru, Rawenny i innych miast włoskich, z którego kartkę znajdującą się w bibliotece watykańskiej ogłosił Rossi pod imieniem starej kopii Skaligerowskiej: *Vetus membrana Scaligeri*. Z końcem IX. wieku, z trzech syllog, z których dwie pochodziły z VI. a jedna z końca VII. albo początków VIII. wieku, wypracowano zbiór Einsiedelski, przechowywany dawniej w klasztorze w Reichenau. Prócz rzymskich znajdują się tu także napisy z Padwy, gdzie pielgrzymujący do wiecznego miasta chętnie się czas jakiś zatrzymywali; a dalej opis sanktuaryów rzymskich, i dodatek o ceremoniach papieskich Wielkiego Tygodnia, skreślony przez naocznego świadka z końca wieku VII. W pierwszych dziesiątkach IX. wieku powstała sylloga palatyńska, znana także pod nazwą: *Corpus inscriptionum Laureshamense* dlatego, że autorem jej, jak się zdaje, był mnich z klasztoru Lorsch w Wirtembergii, który część napisów sam zebrał w czasie swego pobytu w Rzymie, a inne przejął z kilku zbiorów starszych. W manuskrypcie z XI. wieku, przechowywanym dziś w Klosterneuburgu, mamy kolekcyę inskrypcyj, sporządzoną z trzech zbiorów z wieku VII. Jeszcze cenniejsza jest sylloga centulejska, która powstała w VIII. wieku w klasztorze św. Richara w Centula (dziś Saint-Riquier) we Francyi. Autorem jej jest słynny Augilbert, przyjaciel Karola W. Zużytkował on jakiś zbiór starszy, a nadto dodał wiązankę napisów, które sam odkopiował i nagro-

madził w czasie swego kilkurazowego pobytu w stolicy Piotrowej. W XII. wieku był ten manuskrypt własnością opactwa Corvei, dziś znajduje się w cesarskiej bibliotece w Petersburgu. Z VIII. wieku pochodzi sylloga, przechowywana dziś w mieście Verdun, zawierająca napisy rzymskie i sanktuaryów przedmiejskich. Oprócz tych głównych syllog, odnalazł i opracował Rossi fragmenta wielu innych zbiorów mniejszych, dokonanych również przed wiekiem X.

Wszystkie inskrypcye, w tych autologiach zawarte, można podzielić na sześć klas t. j.: napisy dedykacyjne, opisujące poświęcenie kościołów Bogu i Świętym jego; dalej napisy umieszczone na konfesyach i ołtarzach, w których spoczywały relikwie męczenników; wotywne, zawierające teksty ślubów uczynionych Bogu, albo prośby lub dziękczynienia z okazyi ważnego jakiegoś zdarzenia; historyczne, z wiadomościami o fundatorach, restauracyach i czasie powstania bazylik lub kaplic; kanonistyczne, podające protokuły i dekrety synodów, odbytych w bazylikach rzymskich, jakoteż inwentarze majątku kościelnego; wreszcie epigramy o charakterze dogmatycznym i liturgicznym.

Aby dotrzymać obietnicy streszczenia przynajmniej większych dzieł Rossi'ego i dać sposobność łatwiejszego ocenienia całej doniosłości materyału epigraficznego, który Rossi wydobył na światło dzienne i oddał na usługi nauki, kładę tu choć kilka epigramów. Tak np. przepiękny jest i głęboko dogmatyczny napis, który niegdyś papież Xystus III. umieścił na chrzcielnicy w Lateranie:

1. Gens sacranda polis hic semine nascitur almo
   Quam fecundatis Spiritus edit aquis.
2. Mergere peccator sacro purgande fluento
   Quem veterem accipiet, proferet unda novum.
3. Nulla renascentum est distantia, quos facit unum
   Unus fons, unus Spiritus, una fides.
4. Virgineo foetu genetrix ecclesia natos,
   Quos spirante Deo concipit, amne parit.
5. Insons esse volens isto mundare lavacro,
   Seu patrio premeris crimine seu proprio.

6. Fons hic est vitae, qui totum diluit orbem,
Sumens de Christi vulnere principium.
7. Coelorum regnum sperate hoc fonte renati,
Non recipit felix vita semel genitos.
8. Nec numerus quemquam scelerum nec forma suorum
Terreat, hoc natus flumine sanctus erit.

Opowiadają tedy te wiersze, że Kościół, Dziewicza-Matka (dystych 4), rodzi grzeszników w wodzie chrztu na dziedziców nieba, równych w obliczu Boga (dyst. 3). Moc swą cudowną wzięło źródło chrzcielne z przebitego boku Chrystusowego (d. 6), a jest ona tak wielką, że i grzech po pierwszych rodzicach odziedziczony i grzechy osobiste zmywa (d. 5), chociażby były najcięższe (d. 8), i starczy na obmycie całego świata (d. 6).

Jeśli ten epigram nazwać można wspaniałym panegirykiem na cześć chrztu, to następny, odkryty w syllodze miasta Verdun, jest takimże hymnem ku uczczeniu sakramentu bierzmowania. Ułożył go najprawdopodobniej papież Damazy, i umieścił nad katedrą biskupią w pobliżu grobu św. Piotra, w miejscu zwanem *consignatorium* dlatego, że tam papież ochrzczonych zaraz po wyjściu z chrzcielnicy namaszczał chryzmem św.

Istic insontes caelesti flumine lotas
Pastoris summi dextera signat oves.
Huc undis generate veni quo sanctus ad unum
Spiritus ut capias te sua dona vocat
Tu cruce suscepta mundi vitare procellas
Disce magis monitus hac ratione loci:

„Na tem miejscu ręka Najwyższego Pasterza namaszcza niewinne owieczki, oczyszczone w niebieskiem źródle. Tu przyjdź, zrodzony w wodach, dokąd cię woła Duch św., abyś wszystkie jego otrzymał dary. Otrzymawszy krzyż, ucz się unikać burz życia, pomny zawsze na świętość tego miejsca".

W syllodze palatyńskiej znalazł Rossi epitaf kapłana Mareasa, zastępcy papieża Wigiliusza w czasie jego wygnania do Sycylii, a zmarłego w r. 555. W napisie tym między innemi nieboszczyka zasługami silnie jest podniesiona okoliczność, że bronił starej nauki Kościoła, wedle której nikt nie może być dwukrotnie bierzmowanym:

Tuque sacerdotes docuisti crismate sancto
Tangere bis nullum judice posse Deo.

Śliczny jest wiersz, który papież Damazy umieścił nad drzwiami bazyliki św. Wawrzyńca za murami, a opiewający powszechność i równą ku wszystkim dzieciom miłość Kościoła rzymskiego:

Cunctis porta patet, quis (zam. quibus) porrigit ubera mater.

Dla wszystkich drzwi stoją otworem, których Kościół żywi mlekiem swych piersi.

Piękne świadectwo dla prymatu biskupów rzymskich zawiera napis, przeznaczony przez tego samego papieża dla chrzcielnicy watykańskiej:

Una Petri sedes, unum verumque lavacrum.

Jedna jest tylko stolica Piotrowa, podobnie jak jedna tylko prawdziwa kąpiel zbawienia.

Ostatnie słowa wypowiadają tę samą naukę, co malowidła katakumby św. Kaliksta, gdzie w kaplicach sakramentów nie kto inny jeno sam św. Piotr wyprowadza z Chrystusa-Skały źródło chrzcielne, i co św. Cypryan, w liście 73 do Jubajana powiada, „że źródła wody żywej nie masz u heretyków, jeno w Kościele, który jest jeden i słowem Chrystusa zbudowany został na Jednym, który też otrzymał jego klucze".

W kodeksie palatyńskim zachowany jest też epigram metryczny, potwierdzający tradycyę o pobycie i męczeństwie św. Piotra w Rzymie, i sławiący jego zwierzchniczą władzę nad całym Kościołem. Umieścił go w początkach V. wieku biskup Achilles w bazylice, wybudowanej ku czci księcia Apostołów w pobliżu miasta Spoleto. Zaczyna on się od słów:

Magna quidem servat venerabile Roma sepulcrum
In quo XPI nomine passus obit.

Czcigodny grób ma u siebie Rzym wielki, gdzie dla imienia Chrystusowego umarł śmiercią męczeńską Piotr.

Prawdopodobnie pod obrazem Grzegorza W. stał znany dystych, który później przeszedł w liturgię kościelną:

Hic vir despiciens mundum et terrena triumphans
Divitias coelo condidit ore manu.

Mąż ten wzgardziwszy światem i odniósłszy tryumf nad wszystkiem, co ziemskie, zebrał bogactwa dla nieba słowem i czynem.

Zaś pod obrazem św. Piotra prawdopodobnie w bazylice watykańskiej mieścił się epigram:

Solve iubente Deo terrarum, Petre, catenas,
Qui facis, ut pateant coelestia regna beatis.

Rozwiąż Piotrze, na rozkaz Boży więzy świata, który otwierasz zbawionym wrota niebieskie.

Napis umieszczony przez papieża Honoryusza na drzwiach bazyliki św. Piotra w Rzymie, oznajmia naukę katolicką o prawdziwem Bóstwie i człowieczeństwie Chrystusa i o jego poczęciu i narodzeniu z Dziewicy:

Plenus homo in nostris et verus nascitur isdem
Virginis ex utero totus ubique Deus...

Do eucharystyi, chrztu i bierzmowania odnoszą się wiersze, pochodzące z Hiszpanii, umieszczone prawdopodobnie na chrzcielnicy w Sewilli:

Carne, cruore pio, lymphaque et chrismate sacro
Hic Deus est homines vivificare potens.

Ten Bóg mocen jest ożywić ludzi ciałem, krwią świętą, wodą i chryzmem świętem.

Ze starej pateny podaje Rossi napis, poczynający się od słów:

Clypeus hic vividam dat postulantibus escam —

Tarcza ta dostarcza spragnionym życiodajnego pokarmu.

A z kielicha pochodzi dystych następujący:

Agitur haec summus per pocla triumphus,
Pectora quis Dominus roborat per data fidei.

W kielichach tych spełnia się największy tryumf, boć nimi Bóg umacnia nasze serca darami wiary.

Takie klejnoty mieszczą się w tomie drugim Inskrypcyj·

Mógłbym ich przedłożyć jeszcze wiele więcej, zwłaszcza napisów odnoszących się do chrystologii i kultu Matki Najświętszej, ale ani czas ani miejsce na to mi nie pozwalają. To jeszcze dodać muszę, że wielkiej wagi jest także *prooemium* do tego tomu, gdzie Rossi poraz pierwszy zestawia historyę metrycznej i tylko rytmicznej epigrafiki pierwszych wieków Kościoła, a między innemi omawia także słynne dwa napisy eucharystyczne Abercyusza, biskupa z Hieropolis we Frygii, z drugiej połowy II. w. i Pektoryusza, obywatela miasta Autun w południowej Gallii.

Trzecią pracą Rossi'ego z zakresu epigrafiki chrześcijańskiej jest rozprawa pod tytułem: „Piusowe chrześcijańskie muzeum epigraficzne w Lateranie", umieszczona w „Potrójnym Hołdzie złożonym Piusowi IX. na jego jubileusz biskupi przez członków trzech akademij rzymskich" [1]. Prócz ogólnych poglądów o metodzie studyów epigraficznych, rozwija tu autor idee, jakie mu przewodniczyły w urządzeniu chrześcijańskiego muzeum epigraficznego w Lateranie.

Następnem pomnikowem dziełem Rossi'ego jest jego *Roma Sotterranea* [2], w którem autor chciał podać dokładny opis wszystkich cmentarzy rzymskich. Dotychczas ukazało się tomów trzy, zajmujących się wyłącznie katakumbami św. Kaliksta; do IV. tomu, który miał zawierać dzieje i zabytki hipogeum św. Domitylli, zdążył jeszcze wykończyć tablice, podczas gdy na wygotowanie tekstu już czasu nie stało. Tom pierwszy poprzedza głęboka przedmowa, gdzie w 13 rozdziałach mówi o pracach swoich poprzedników, począwszy od czasów Leona X., a skończywszy na O. Marchi'm, daje ogólne wiadomości o cmentarzach podziemnych i położonych nad ziemią, wykazuje ich legalność wobec prawodawstwa rzymskiego, kreśli historyę starych dokumentów

[1] *Triplice Omaggio alla Santità di Papa Pio IX. nel suo Giubileo episcopale offerto dalle tre romane accademie: Pontificia di archeologia, Insigne della belle arti denominata di s. Luca, Pontificia de nuovi lincei.* Roma gr. 4, 1877. Do rozprawy tej jest dołączonych 24 tablic heliotypicznych.

[2] *La Roma sotterranea cristiana.* — Tomo primo. Roma 1864. — Tomo secondo. Roma 1867. — Tomo terzo. Roma 1877. — Tom drugi zupełnie jest wyczerpany.

topograficznych, odnoszących się do katakumb, a wreszcie rozwija przed czytelnikiem główne epoki Rzymu podziemnego, z których pierwsza sięga od czasów apostolskich aż do końca wieku II.; druga od początków wieku III. aż do r. 312, kiedy to wszystkie cmentarze przeszły w administracyę Kościoła; trzecia od r. 312 aż do r. 410, tj. od Konstantyna aż do zajęcia Rzymu przez Alaryka; wreszcie czwarta od r. 410 aż do ostatecznego ich opuszczenia w wieku dziewiątym. Dalej następuje opis najstarszej części cmentarza, tj. tak zwanej arei Luciny, która pierwotnie była własnością słynnej rodziny Cecyliuszów i podobnie jak groby Scypionów liczy z frontu stóp sto, a w głąb 230. Zdobi ten tom 40 tablic chromolitograficznych. W tomie drugim autor zajmuje się właściwym cmentarzem św. Kaliksta, który podobnie jak dział Luciny był zrazu własnością prywatną Cecyliuszów i dopiero za czasów papieża Zefiryna przeszedł w posiadanie Kościoła. Tu znajduje się też kaplica papieska i krypta św. Cecylii. Ponieważ i ta area zapełniła się niezadługo grobami, więc przybrano do niej jeszcze w wieku III. dział nowy po stronie północnej drogi apijsko-ardeatyńskiej, szeroki stóp 150, długi 125, i umieszczono w nim sarkofag papieża Melchiadesa. Kiedy i to nie wystarczało, przyłączono część ziemi leżącą na zachód od poprzedniej i umieszczono w niej z czasem szczątki papieża Euzebiusza. Prócz historycznych wiadomości o początkach i rozwoju cmentarza znajdujemy w tym tomie ciekawe wiadomości o najstarszej sztuce katakumbowej, a zwłaszcza dokładny opis i wytłumaczenie fresków, zdobiących ściany i sufit kaplic sakramentów.

W tomie trzecim, księga pierwsza opisuje cmentarz świętej Soteris, przyłączony do katakumb św. Kaliksta z końcem III. wieku, składający się z czterech działów, otworzonych kolejno po sobie w odstępach czasu niewielkich. Ze znakomitszych osób spoczął tu, prócz męczennicy Soteris, dyakon papieża Marcellina Sewerus, o którym epitaf głosi, że zbudował grób dla siebie i swej rodziny za zgodą i pozwoleniem swego biskupa, z czego wynika, że i ta część podziemia przeszła była już w początkach IV. wieku na własność Kościoła. Księga druga zajmuje

się tak zwanem arenaryum Hipolita, w którem wedle starych bedekerów spoczywali niegdyś Hipolit, Adryan, Euzebiusz, Marya, Marta, Paulina i Walerya, męczennicy przybyli z Grecyi; tudzież areą Liberyusza, wykopaną dopiero w drugiej połowie wieku IV., jak świadczą znalezione tu napisy, pochodzące z pomiędzy r. 362 a 367. W trzeciej księdze znajdujemy ciekawe wiadomości o sposobie budowania grobów nad ziemią, o historyi bazylik, których resztki zachowały się do dziś dnia nad kryptą papieską i świętej Soterydy, objaśnienia starych ceremonij pogrzebowych, jakoteż dowody, że cmentarze były rozdzielone między parafie miejskie i przez kler tychże administrowane. — Tom drugi zawiera nadto atlas z 266 tablicami, a trzeci z 52. Pierwszy i drugi kończy się dyssertacyą Michała Stefana Rossi'ego, brata naszego archeologa, w których tenże windykuje katakumbom początek czysto chrześcijański, wykazuje warunki prawne, w których rozwijała się ich budowa, i poddaje pojedyńcze krypty analizie geologicznej i architektonicznej.

Ponieważ odkrycia w katakumbach rzymskich i w innych cmentarzyskach starochrześcijańskiego świata mnożyły się z dniem każdym, a wielkie tomy „Rzymu podziemnego“ z natury rzeczy nie mogły się pojawiać jak tylko w dłuższych odstępach czasu, dlatego Rossi, czyniąc zadość życzeniom przyjaciół, spragnionym nowości i szybkich informacyj o zdobyczach archeologii, powołał do życia *Bulletino di archeologia cristiana*, które od początku aż do końca sam jeden redagował do tego stopnia, że nie przypuszczał doń artykułów nawet najzaufańszych przyjaciół. Cała publikacya obejmuje pięć seryj, z których pierwsza od r. 1863—1869 ukazywała się w poszytach miesięcznych w 4-ce, i należy dziś do rzadkości bibliograficznych; druga od r. 1870—1875; trzecia od 1876—1881; czwarta od 1882—1889; piąta od roku 1890—1894 wychodziła w fascykułach kwartalnych z 12 tablicami w każdym roczniku. Czwarty poszyt z r. 1894 wydał już przyjaciel zmarłego profesor Gatti i pomieścił w nim dwa artykuły, dyktowane przez Rossi'ego niedługo przed śmiercią, i trzeci napisany jeszcze w r. 1848, a zawierający krytyczny pogląd na wszystkie dawniejsze prace epigrafików chrześcijańskich wraz

z śmiałym programem, co po nich zostaje do naprawienia i do zrobienia na przyszłość. Jest tedy w tym fascykule *alpha* i *omega* — pierwsza i ostatnia praca Rossi'ego. Wogóle zaś tworzą te 30 roczników Bulletynu prawdziwą encyklopedyę archeologii chrześcijańskiej i inwentarz całego materyału cmentarnego, zebranego w drugiej połowie naszego wieku, w którym każdy przedmiot jest zawsze opatrzony bodaj krótkim komentarzem, dotyczącym miejsca i czasu jego znalezienia wraz z określeniem jego wartości historycznej lub dogmatycznej. Wszystkich rozpraw [1] mieści się w nich 303, a traktują one o najżywotniejszych kwestyach z zakresu historyi kościelnej, sztuki, prawa kanonicznego i teologii dogmatycznej. Między innemi są tu szeroko opracowane odkrycia dokonane w katakumbach św. Domitylli, Pretekstata, Hipolita, Cyryaki, Piotra i Marcelina, a przedewszystkiem w cmentarzu św. Pryscylli tak, że artykuły te stanowić będą fundament pod przyszłe tomy „Rzymu podziemnego".

Obok tych największych dzieł mistrza musimy postawić także jego „Mozaiki kościołów rzymskich, dawniejsze od XV. wieku" [2]. Opowiada Libaniusz, że w IV. wieku opustoszały nagle w Antyochii szkoły retorów i filozofów, bo młodzież rzuciła się do uprawy sztuk pięknych, zachęcona przykładem i hojnością Konstantyna i jego następców, którzy chcąc podnieść upadające malarstwo, otaczali malarzy różnego rodzaju egzempcyami i przywilejami. Mimo wszystkich starań jednak tylko mozaika rozwinęła się stosunkowo świetnie i stworzyła, podług wzorów klasycznych, kilka kompozycyj, przypominających najlepsze dzieła renesansu. Otóż te mozaiki, zdobiące bazyliki rzymskie, a obejmujące peryod czasu od wieku IV. aż do XV., pierwszy Rossi ogłosił w przepysznych reprodukcyach chromolitograficznych, z tekstem objaśniającym w języku włoskim i francuskim. Z IV. wieku mamy tu najpierw dwa medaliony z biustami Flawiusza Juliusza Juliana i jego małżonki Maryi Simplicyi,

[1] Dokładny spis tytułów wspomnianych rozpraw znajdzie czytelnik w *Album G. B. De Rossi*, wydanem w Rzymie w r. 1892, str. 32—51.

[2] *Musaici delle chiese di Roma anteriori al secolo XV.* Roma, Spithöver 1872—1894, con testo bilingue, italiano e francese (fascicoli I—XXVI).

znajdujące się dziś w bibliotece Chigi, a pochodzące pierwotnie z katakumb św. Cyryaki. Dalej jest tu klasyczna mozaika z absydy bazyliki św. Pudencyany u stóp Eskwilinu, przedstawiająca Chrystusa w otoczeniu Apostołów i dwóch matron, symbolizujących Kościół z nawróconych Żydów i pogan. Wreszcie kompozycye z bazyliki Konstancyi, córki Konstantyna W., gdzie w sceny winobrania i między figury Psychy i amorków wplecione są obrazy czysto chrześcijańskie jak baranek i krzyż. Z V. wieku mamy tu mozaiki z chrzcielnicy lateraneńskiej, z kościoła św. Sabiny na Awentynie i z bazyliki św. Pawła za murami; z wieku VI. dwa utwory, jeden w kościele św. Kozmy i Damiana, drugi w bazylice św. Wawrzyńca na Agro Verano; z wieku VII. doszło nas pięć mozaik rzymskich, z VIII. tylko jedna, z IX. ośm, z X. żadna, z XII., XIII. i XIV. razem kompozycyj 17. Niestety, dzieło to dla niezmiernych kosztów, jedynie w niewielu rękach uprzywilejowanych znajdować się może.

Ostatniem większem dziełem Rossi'ego, ukończonem zaledwie kilka dni przed śmiercią, jest jego *Martyrologium Hieronima* [1], wydane wspólnie z ks. Duchesne, dzisiejszym dyrektorem szkoły francuskiej w Rzymie. Tworzy ono introdukcyę do drugiego tomu z miesiąca listopada „Aktów Swiętych", wydawanych przez Bollandystów. W rozdziale pierwszym Rossi daje krytykę Kodeksów martyrologium Hieronima, będącego podstawą dzisiejszego martyrologium rzymskiego, w drugim Duchesne traktuje o jego recenzyi gallikańskiej, trzeci rozdział omawia jego początki, źródła i pierwotne części składowe; poczem następuje edycya tekstów różnych recenzyj. Nie chcę twierdzić, że Rossi doszedł tu wszędzie do ostatecznych rezultatów, i że wszystkie jego konkluzye zdołają się utrzymać wobec krytyki przyszłości, jednak w każdym razie zrobił znaczny krok na drodze do odnalezienia czystego tekstu aktów męczeńskich i do rekonstrukcyi tak ważnego dla historyi i hagiografii martyrologium, noszącego niesłusznie firmę św. Hieronima.

[1] *Martyrologium Hieronymianum ad fidem codicum, adiectis prolegomenis*, ediderunt Joh. Bapt. de Rossi et Ludov. Duchesne. Bruxellis 1894.

Klasyczną rozprawę o Symbolu Ryby [1] na starych pomnikach chrześcijańskich, na którą zmarły mistrz lubiał się powoływać często z predylekcyą, umieścił on w r. 1855 w *Spicilegium Solesmense*, wydawanem przez uczonego Benedyktyna a późniejszego kardynała Pitrę. Dalej założył on wzorowe rejestra manuskryptów łacińskich, które stanowić będą część publikacyi katalogów kodeksów biblioteki watykańskiej, zarządzonej przez Leona XIII. Czynem i radą przyczynił się także do wydania kompletnego dzieł i korespondencyi słynnego Borghesi, na co koszta łożył Napoleon III. Pomijam już jego prace z zakresu epigrafiki klasycznej łacińskiej i greckiej; dalej liczne rozprawy o topografii Wiecznego miasta, o sztuce klasycznej i kościelnej, umieszczone w różnych pismach peryodycznych; dość powiedzieć, że w jubileuszowym albumie Rossi'ego z r. 1892, wydanym staraniem Stevensona, najznakomitszego ucznia jego, sam spis tytułów prac większych i mniejszych zajmuje 40 stronic w 4-ce. Prawdziwe *monumentum aere perennius!*

Nowe odkrycia pogłębią i rozszerzą z pewnością dzisiejszą naszą znajomość archeologii chrześcijańskiej; niejedno zapatrywanie Rossi'ego zapewnie lepiej także uzasadnią, a może i obalą; tablice jego Rzymu podziemnego przy udoskonalonych środkach reprodukcyi wyjdą z czasem wierniejsze i lepsze: niemniej jednak datować się będzie od Rossi'ego nowa epoka w dziejach cmentarzy; zawsze jego dzieła tworzyć będą podwalinę umiejętności archeologicznej i na zawsze zachowa on imię wielkiego geografa cmentarzy i księcia archeologów chrześcijańskich. Nie wiedzieć, co więcej podziwiać w jego pracach, czy precyzyę analizy — czy potęgę syntezy — czy znów ta niezmierna prawość i uczciwość naukowa, która go we wszystkiem charakteryzowała. Przyznawali to sami protestanci. „Jakie wrażenie robią twoje słowa na katolikach, ile razy oprowadzasz ich po katakumbach?“ — zapytał go raz jeden z takich turystów cmentarnych. — „Nie wiem, — odpowiedział Rossi; — mówię im to, co wiem, a o resztę

[1] *De christianis monumentis ἰχθὺν exhibentibus.* — Pitra, *Spicilegium Solesmense.* T. III. Parisiis 1855, str. 544—562.

się nie troszczę" — „Otóż ja jestem protestantem — odrzekł nieznajomy — widzę powagę, sumienność i szczerość twych badań i to mię skłania do głębokich refleksyj". Wedle wyrzeczenia Kardynała Pie wydobył on w monumentach epigraficznych i kosmograficznych z pod ziemi nowe źródło informacyi teologicznej *(locus theologicus)*, choć on polemikę wszelką zawsze omijał, obrawszy sobie za dewizę słowa: *archaeologum facio, non theologum!*

Kiedy przed kilku laty objawiłem mu myśl, że chciałbym zużytkować pomniki cmentarne w celach apologetycznych, i zbudować z nich pewien rodzaj teologii monumentów, ucieszył się bardzo, ale dodał zaraz ojcowskie ostrzeżenie, aby — jeśli nie chcę osłabić powagi pomników — nie obiecywać nigdy z góry za wiele, lecz pozwolić przedewszystkiem faktom samym mówić.

Trafnie scharakteryzował tę piękną postać jeszcze przed 30 laty Ludwik Veuillot. „De Rossi — pisał on w swych *Parfum de Rome* — jest jednym z najprawdziwszych, największych i najmilszych uczonych, jacy kiedykolwiek istnieli. Przyszedł on w swą godzinę, wskutek zrządzenia Bożego, aby wydobyć z ziemi i roztworzyć tę wielką księgę historyi pierwotnego chrześcijaństwa, która już prawie była zaginęła. Zbliżam się zawsze do niego z wielkim respektem, jako do jednego z owych ludzi rzadkich, którzy chcą być tem, czem Bóg ich chciał mieć i którzy kultywowali wedle intencyj Bożych te dary, jakich im Opatrzność udzieliła... Odsłonił on korzenie i fundamenta katolicyzmu i wykazał, iż wyrastają i spoczywają bezpośrednio na Ewangelii. Rossi'emu przypadła chwała, że jest w pewnym stopniu najstarszym, a równocześnie najświeższym apologetą".

Ale nietylko wiedzę i naukę należy podziwiać w Rossim! *L'homme* — napisał o nim wielki jego przyjaciel akademik Duchesne, *l'homme était assurément plus grand encore que le savant; C'était un saint* — „człowiek był jeszcze większy niż uczony, był to święty". Le Blant scharakteryzował go jako człowieka „dobrotliwego i prostego" — prawdziwa *columba sine felle*, jak mawiali starzy chrześcijanie. I gdyby p. Villefranche był pisał dzisiaj swe piękne dzieło: „O dziesięciu wielkich chrześcijanach naszego

wieku", byłby z pewnością w tym szeregu bojowników w wojnie Pańskiej pomieścił także wizerunek naszego archeologa. Jeśli Ozanam figuruje tam jako ideał profesora chrześcijańskiego, Montalembert jako szermierz spraw pokrzywdzonych, Armand de Nelun jako wielki jałmużnik, jenerał de Sonis jako żołnierz Chrystusowy, Ludwik Veuillot jako dzierżyciel siły prasowej, Donoso Cortes jako myśliciel i mąż stanu, O'Connel jako wyswobodziciel narodu zgnębionego, Garcia Moreno umierający z okrzykiem na ustach: *Pero Dio non se muere,* jako wzór panujących, świątobliwy Dupont jako typ bogomyślności, a Ludwik Windhorst jako ideał katolickiego parlamentarzysty — to Rossi'emu przynajmniej równem prawem należy się miejsce w tym katolickim panteonie; Leon XIII. publicznie wystawił mu świadectwo „syna mądrego, który uweselił serce ojca" — *exemplum praebens filii sapientis, qui ut sacris docemur litteris, laetificat patrem.* Pielgrzymowano też do jego domu pod kapitolem jak do świętego, czczono jakby ojca Kościoła, a fotografie lub inne po nim pamiątki chowano jak relikwie. Liczył on się — jak dobrze powiedział jeden z jego biografów — do *Mirabilia urbis Romae,* które wchodziło w program każdego pątnika do miasta Piotrowego. Jak cała jego karyera naukowa była bez skazy, tak był czysty i niepokalany także jego patryotyzm. Kiedy w r. 1870 przyszło wybierać między starym panem Rzymu a domem sabaudzkim, Rossi nie zawahał się ani na chwilę, i stanął po stronie króla zdetronizowanego. Jak po zdobyciu grodu Romulusowego przez Brennusa i Totilasa znaleziono jeszcze w Rzymie kilku senatorów niezłomnych w swym majestacie, tak i po wyłomie wrześniowym w Porta Pia była poza murami stolicy jeszcze pewna liczba dusz rzymskich; śmierć i różnego rodzaju pokusy zmniejszyły z czasem ich liczbę, nasz mistrz wytrwał w swych przekonaniach aż do końca. Nie zawróciły mu głowy marsz królewski, rozlegający się po ulicach Rzymu, ani hymn Garibaldi'ego ku czci odrodzonej Italii; jak dawniej tak i w chwilach świeckiego pogromu papiestwa wędrował ku Watykanowi, by tam na konfesyi św. Piotra umacniać duszę prawdziwie narodowym hymnem rzymskim: *O felix Roma!* Rzymianin pochodzeniem, sympatyami,

wiarą w Kościół katolicki i oddaniem dla papiestwa, a przedewszystkiem przez prace i dzieła swoje, poświęcone w całości Rzymowi — z chlubą nosił ten tytuł i z szlachetną dumą z pominięciem wszystkich innych godności podpisywał swe wielkie tomy: *Johannes Baptista de Rossi Romanus.* W tej sygnaturze zebrał i streścił ideały i pragnienia całego życia.

In pace! Po niezliczone razy odcyfrował on tę aklamacyę na grobach starych chrześcijan — brzmiała ona też w modlitwach Kościoła nad zwłokami najlepszego syna.

Semper in Deo vivas — refrigera cum spirita sancta! Żyj wiecznie w Bogu i odpoczywaj ze Świętymi! μνήμης χάριν.

Ks. Dr. J. Bilczewski.

ETNOGRAFICZNA WYSTAWA W PRADZE.

Trudno nie wiedzieć, zwłaszcza w Austryi mieszkając, a cóż dopiero należąc do jednego ze słowiańskich szczepów: Otwartą jest w tym roku w Pradze czesko-słowiańska, etnograficzna wystawa. Przejdziesz się po ulicach któregobądź z miast, czy miasteczek, musi ci wpaść w oko wielki plakat z charakterystycznemi postaciami, zapraszającemi ręką, wzrokiem na pragską wystawę. Pójdziesz na kolejowy dworzec, ten sam plakat. Rozłożysz przed sobą gazetę, założyć się można, że na trzeciej, na drugiej, ba! czasem na pierwszej stronicy znajdzie się o wystawie kronikarska notatka, artykulik, artykuł. Trudno przeciw prądowi płynąć. Próbowały podobno tej sztuki niektóre niemieckie dzienniki, nawet w samej Pradze wychodzące; usiłowały zbywać „czeską manifestacyę“ paru wierszami, wsuniętemi między notatkę o koncercie, odbytym w piwiarni *X*, a mającym się odbyć w winiarni *Y;* ale roztropniejsze same wnet spostrzegły, że ta taktyka do niczego nie prowadzi, że niczemu nie przeszkadza i rozpoczęły honorowy odwrót na całej linii. Więc darmo sił nie zużywajmy na próżnej walce z prądem, z wybornie przez Czechów zorganizowaną reklamą; nie dąsajmy się z góry na to, na tamto, co nam może w Pradze, co na wystawie mniej do gustu przypadnie; powiedzmy sobie: ich wina, ale i nasza wina! — i dalej, dokąd plakatowy, dziennikarski Czech z taką natarczywością wskazuje, z taką usilnością zaprasza...

Grzecznie zaprasza plakatowy Czech, grzecznie i żywy na

ulicach pragskich wyjaśnienia daje; gdy go zagadniesz w polsko-czeskim języku, to bardzo grzecznie; gdy w niemieckim, to już nie „bardzo“, ale jednak zupełnie grzecznie; najgrzeczniej uśmiecha się dorożkarz i w nagrodę ściąga potem olbrzymi haracz z naiwnego cudzoziemca, który tak sobie w głowie ułożył, że za jazdę na wystawę i z wystawy muszą być ustanowione pewne wyraźne, na światło dzienne wystawione taksy, i że nie ma po co z góry układać się, targować, notaryalne kontrakty zawierać. Dopiero późniejsze, niewesołe doświadczenie każe ci przyzwać w pomoc wszystkie fortele, w które na krakowskim Kazimierzu miałeś sposobność się wtajemniczyć. Nauczy cię, że jeśli z góry o cenę się nie zapytasz, łatwo i cztery korony za półgodzinną przejażdżkę zapłacisz; jeśli się zapytasz, zapłacisz trzy korony; a jeśli zapytawszy się potargujesz, i udasz kazimierskim systemem, że od targu odstępujesz i pospiesznym krokiem (nie oglądając się w tył) naprzód posuniesz, wysunie się za tobą niechybnie jeden z nudzących się przez całe godziny woźniców i z całą serdecznością za dwie korony swe usługi ofiaruje. Rozumowanie dorożkarzy proste: do najlichszej nawet jednokonki zbliża się albo człowiek bogaty, albo cudzoziemiec, niewiedzący, którym tramwajem do domu trafić i jak w nim miejsce sobie zdobyć; skubnąć bogatego — obowiązek socyalny; skubnąć cudzoziemca — obowiązek patryotyczny. Dorożkarskiemu rozumowaniu dziwić się trudno; nie tak łatwo pojąć, że pragski magistrat, czy pragska policya, że zwłaszcza komitet wystawowy z zapatrywaniami temi się solidaryzują.

Po kwestyi fijakierskiej, kwestya katalogowa. Błąkać się po wystawowem mieście, bez katalogu, szkoda czasu i atłasu, a mówiąc bez przysłowiowych przenośni, szkoda czasu, nóg, czterech koron za fijakry i 80 halerów za bilet wstępu — o innych wydatkach i napiwkach nie wspominając. Błąkać się z katalogiem, ale którego się nie rozumie, albo mało co rozumie, także nie należy do największych przyjemności. Stąd oczywisty, zdawałoby się wniosek, że katalog takiej wystawy jak pragska, powinienby być wydany w kilku językach, naprzód naturalnie w czeskim, ale zarazem w francuskim przynajmniej i niemieckim. Tymczasem

w dwa blizko miesiące po otworzeniu wystawy istniał wyłącznie katalog czeski. Prawda! wspaniały katalog o 528 stronicach drobniuteńkiego druku, z planami, rycinami i w dodatku bajecznie tani, bo za 60 ct.; ale cóż ta grubość, taniość, dokładność pomoże Niemcowi np. lub Francuzowi, o Anglikach już nie mówiąc? A przecież wystawa nie na samych wyłącznie Czechów, lub choćby Słowian obrachowana; przecież na wystawie słychać raz po raz język niemiecki, a dość często i francuski. Skarżą się też na to nietylko Niemcy, ale często gęsto i Słowianie, którzy w potocznej rozmowie mogą się doskonale z Czechem porozumieć, ale z technicznemi jego wyrażeniami mniej są obznajomieni.

— Niebawem, niebawem pokaże się niemieckie wydanie — pociesza lamentującą damę wystawowy dozorca.

Ba! niebawem! — elastyczne to słowo [1]. Pierwsze wydanie czeskiego katalogu zostało w przeciągu dwóch dni rozkupione. Pierwsze wydanie niemieckiego możeby do czterech, do ośmiu, dajmy na to do szesnastu dni pociągnęło, i tak druk, papier, drukarskie czernidło opłaciłoby się chyba!

— A zresztą — proponuje ktoś z boku — niech niemiecki katalog kosztuje całego guldena. W ten sposób każdy, co po czesku nie rozumie, zapłaci 40 ct. osobistego podatku, ale pozna za to i dalej rozgłosi, czem są dziś Czechy, czem pod sztandarem ich i protekcyą kupiące się kraje słowiańskie.

Czem Czechy, czem Szląsk austryacki, Morawia, Słowaczyzna? bo i te kraje, niby w lennem stosunku do Czech zostające, na wystawie tej przedstawione. Jakie ich życie, zwyczaje, dążenia, jaka dawna, jaka dzisiejsza kultura? Chcąc sobie przed kilku jeszcze miesiącami na te pytania choć w najogólniejszych rysach odpowiedzieć, trzebaby było objechać kolejno czeskie, słowackie, szląskie wsie i miasteczka; wstępować do kamieniczek, dworków, chałup, szkół, karczem; interwiewować mozolnie księży, nauczycieli, gospodarzy, karczmarzy... Dziś — naturalnie do pewnego stopnia i w pewnym zakresie — wystarczy dla utworzenia

[1] Po napisaniu już tych słów, dowiaduję się z gazet, że istotnie niemieckie wydanie ostatecznie się ukazało.

sobie takiego ogólnego obrazu, pojechać na wystawę pragską. Tu przedstawia ci się, co lud czesko-morawsko-słowacki czyta, pisze, czem się zajmuje, jak pracuje, a jak się bawi; tam czego i jak się uczy; dalej co i jak wyrabia i przerabia w warsztatach i fabrykach; jeszcze dalej co je, co pije, jak mieszka, jak się ubiera na słowaczyźnie węgierskiej, a na morawskiej, jak koło Opawy, a jak koło Berna, Pragi, Pilzna; jak w północnych, jak we wschodnich, jak w zachodnich Czechach; jak w czeskich koloniach gęsto rozsianych po amerykańskich stanach. Zapuść się dalej jeszcze, to się dowiesz i przyjrzysz, jak wyglądała stara Praga mniej więcej pod koniec XVI., z początkiem XVII. wieku; przesunąwszy się przez bramy „starej“ Pragi, porównasz ją potem z nową, osądzisz, która bardziej do wyobraźni, która i w czem lepiej do serca i rozumu ci przypada.

Nie przeszedłeś jeszcze wystawowych progów, które — choć to dopiero pierwsze dni lipca — więcej już niż pół miliona ciekawych przekroczyło, a pod oczy podsuwa się i uwagę ku sobie kieruje olbrzym ze szkła i żelaza: *Národopisný paláč.* Pierwsze miejsce należy mu się bezwarunkowo nietylko z rozmiarów, z urzędu, ale i z wieku; tu i ówdzie rzucone napisy, przypominają, że brał on udział w tryumfach wystawy z 1891 r. Jak wtedy, tak dziś, jest on właściwem centrum wystawy; dziesiątki pawilonów, pawiloników wyrastających z zielonego tła aksamitnych trawników otoczyły go wieńcem, jak po szlachecko-pańskich naszych rezydencyach, przeróżne: oficyny, czworaki, lamusy otaczają „pałac“. Nie trudno w czeskim pałacu tym się zgubić; kto nie może kilku przynajmniej dni wyłącznie mu poświęcić, ten bardzo musi uważać, aby w pociągających oko na wszystkie strony szczegółach się nie zgubił i zamiast wyryć w pamięci ogólny obraz czesko-słowiańskiego życia, nie zakarbował sobie w niej tylko, jakie czapki noszą w Pilznieńskiem, jakie głównie wódki: śliwowicę czy borowiczkę piją w Nitrzańskiem. Ogólne to niebezpieczeństwo na wszystkich, wszelkiego rodzaju wystawach; tu wobec tysięcy oryginalnością uderzających przedmiotów, zaciekawiających niezwykłą, niespotkaną dotąd nigdzie barwą, kształtem, ułożeniem, większe niż gdzie indziej.

Malarz, co się skarży na jednostajność, szarość dzisiejszych naszych strojów, niech tu przyjedzie, niech się rozpatrzy w tych setkach i tysiącach fotografij, przedstawiających zwyczajne i świąteczne ubiory każdego z osobna z czeskich, a o wiele więcej morawskich, słowackich powiatów; niech samym tym strojom się przypatrzy, rozwieszonym na szeregach i szeregach manekinów. Orgie barw najróżnorodniejszych, we wszystkich kombinacyach ze sobą pomieszanych; orgie krojów, kształtów, balonowatych, księżycowatych, zmieniających postać ludzką to niby w długą marchew, to w poważnego buraka, to w okrągłego kartofla. Same przenajdziwniejsze czapki, kapelusze, a cóż dopiero kobiece nakrycia głowy; same buty, buciki, sandały, pantofle, mogłyby zatrzymać przy sobie długie chwile i filozofa i estetyka i historyka i szewca i najzwyklejszego śmiertelnika. A obok manekinów, tu, tam, żywa, żywiuteńka kobieta, dziewczyna, w oryginalnym swym stroju skalickim, czy bzińskim, topolńskim czy ruzyńskim, siedzi przy krosnach, rękę w miniaturowe nożyczki uzbroiła i pokazuje naocznie, ile to pracy i cierpliwości kosztowały te modre żupany, czerwone lajbiki, zielone kabaty, pstre „fěrtuchy", malutkie czepeczki, poważne czepki, piramidowe czepce.

Mniej oryginalnie od strojów, przedstawiają się mieszkania. Można się już im przyjrzeć w *Národopisnym pałacu;* przyjrzeć się można w najdrobniejszych szczegółach, jak wyglądała mieszczańska świetlica w początkach bieżącego wieku; jak wygląda wnętrze dzisiejszej czeskiej chałupy z świętemi obrazami na ścianach, z sąsiadującemi z obrazami nieodzownemi skrzypcami, nawet z dzieckiem w kolebce, z narodowemi kołaczami na misie. Ale tu otoczenie, gwar zwiedzających, złudzenie psują. Wszedłszy do odległej o kilkadziesiąt kroków osobno zbudowanej wioski wołoskiej, potem do zbiorowej wioski słowiańskiej, mamy wrażenie, że gdzieś cała Praga, pragska wystawa, za górami, za lasami; że nagle cudowna czarodziejka dotknięciem swej różczki przeniosła nas do cichej hanackiej chałupy, to do ubogiej słowackiej gospody, to znów do skromnego morawskiego kościołka. Spokojnie tu w tych sielskich zagrodach, zwiedzających nie wielu; za to gospodarują swobodnie, jak w prawdziwej opawskiej, oraw-

skiej, wołoskiej zagrodzie, kury, kaczki, króliki. W jednej chacie kawał chleba na łóżku leży; może gospodarz, może parobek, może dziewka służąca, przed wyjściem na pracę, do kościoła, tu go rzucili w pośpiechu. Pod ławką trzewiki zakurzone, na drągu bielizna się suszy. W innej chacie na stole księga stara, gockiemi czcionkami drukowana; przed chwilą widać dopiero cała rodzina słuchała w pobożnem skupieniu roztwartego jeszcze rozdziału: *O pokussenich swěta a těla.* Za gospodarskiem obejściem, nad rowem wodą napełnionym, suszy się płótno. Gdzieindziej kobieta nad stołem pochylona mozolnie maluje pisanki; dwie kury, syte do zbytku, odpoczywają i ciekawie przypatrują się robocie. Trochę dalej hanacka chałupa, gumno, stodoła; realizm posunięty do tego stopnia, że i końskich pozostałości nie brakuje. I błoto w środku wioski, i stawek bardzo realny, bardzo realnie pachnący.

Równie realny wiejski kościółek, tak realny, z taką wiernością — miałoby się ochotę powiedzieć: małpią — w najdrobniejszych szczegółach skopiowany, że w pierwszej chwili aż niemiło. Nie zapomniano nawet o zawieszonych z boku ołtarza dwóch biretach, całą płatą prochu obsiadłych; o spoczywającym wygodnie za ołtarzem organiścinym kapeluszu; nie zapomniano zmienić kościelnych schodów w jeden szereg dziur, szczerb i spaczeń. W starej szkole osobne ławki dla dzieci, które dopiero z tajemnicami alfabetu się zaznajamiają; osobne dla tych, co posiadają sztukę sylabizowania; ostatnie przeznaczone dla najwykształceńszych, umiejących czytać z każdej książki, nakreślić piórem na papierze każdy posłyszany wyraz. Obok straszna „ośla ława“. Na profesorskiej katedrze teoretyczne i arcypraktyczne znaki nauczycielskiego zawodu i władzy: pióra, kałamarz, szkolny katalog, skrzypce, rózga. Naturalnie, jak w porządnej wsi być powinno, tak i w tej wystawowej niedaleko od kościoła, szkoły, huczy młyn, w kuźni walą młoty, stary dziad jałmużny się doprasza i porusza litościwe serca grą na oryginalnym instrumencie, którego niestety! nazwać nie potrafię, o którym — co gorsza — nie potrafię nawet zdobyć się na sąd, czy jakkolwiek znośne, czy zupełnie nieznośne dźwięki wydaje. Zagłuszają je skrzypce, trąby, bębny, odzywające się na wyścigi z tej, z tamtej, z trzeciej restauracyi; zagłuszają nie-

miłosierne krzyki kilku wyrostków, pędzących co tchu do budy, w której niby to przejezdny teatr marjonetek się roztasował i wiejskimi konceptami „Doktora Fausta“ pobudza do homerycznego śmiechu licznie zgromadzoną publiczność. Słuchacze nie wybredzają; na szczęście dla przedsiębiorców, na pociechę dla siebie nie mają większych wymagań od zwyczajnej wiejskiej publiczności.

Już ze strojów, z mieszkań można do pewnego stopnia odcyfrować, na pół dowiedzieć się, na pół domyśleć: jakie zwyczaje i obyczaje ludzi, co tak się ubierają, tak mieszkają, uczęszczają do takich szkół, w takich gospodach szukają rozrywki, w takich kościołach się modlą. Bliżej, naoczniej niejako, jeżeli nie głębiej zapoznają nas z tymi zwyczajami i obyczajami rozrzucone tu, tam, oryginalne grupy oryginalnie ustawionych figur naturalnej wielkości, przedstawiające ile można najwierniej to morawskie zapusty, to ciekawą, o wiele ciekawszą, barwniejszą od naszego „Zwierzynieckiego konika“ do ostatnich czasów na Słowaczyźnie morawskiej praktykowaną zabawę ludową, znaną pod nazwą: „Królewskiej jazdy“; to do zaślubin, do oświadczyn, do świąt Wielkanocnych, do Bożego Narodzenia przywiązane tradycyjne obrzędy.

Kilkunastu ciekawych zebrało się koło „wołoskich pastuszków z Brumovska“, koło wylegającego się Kuby, koło Fedora i Stacha, wyśpiewujących — jak zaręcza czarno na białem wielkiemi literami wypisane wyjaśnienie — znaną widać pieśń:

Pásli ovce Valaši
Při betlemském salaši,
Andel se jim ukázal
Do Betlema jit kázal!

— Dość tych szopek! — krzywi się i robi przeciągłą, znudzoną minę, młody jakiś dżentelman nieokreślonej narodowości, o bardzo nieokreślonym zaroście na twarzy... — Chodźmy lepiej do Starej Pragi!... Mówią, że to ciekawe!...

Jeżeli wogóle wszelkich szopek dość, to i do Starej Pragi nie idź zblazowany młodzieńcze, bo to także swego rodzaju wielka, zajmująca — ale ostatecznie szopka! Ale o Starej Pradze, gazety — nietylko czeskie — tyle pochwał wypisały, tak gorąco

zaleciły i wciąż zalecają dokładne jej zwiedzenie, że chyba ultra-dekadent, chyba ultra-ultra niemiecki szowinista odważy się rzucić na nią szyderczem, lekceważącem słowem. Oczywiście nie cała Stara Praga z końca XVI. w. na praskiej wystawie z końca XIX. wieku cudem się zjawiła, ale jakby dla nabrania smaku, niewielki jej kawałek: dawny „Owocowy targ“, gdzie niegdyś, przed wiekami, wrzało życie, gdzie dopełniło się niejedno ważne i ciekawe zdarzenie w dziejach Czech i ich stolicy. Wszystkie rozmiary i placu i odrębnych domów, napisy, ozdoby odtworzone najskrupulatniej, wedle dawnych planów, obrazów, zapisków. Na tym domu, jak dziś tak niegdyś, królował obraz Matki Boskiej; na tamtym stała figura św. Franciszka; na tym znów Adam i Ewa spoglądali tym samym, zaciekawionym wzrokiem na prześliczne jabłko. W domu „pod rajem“ uwagę zwraca apteka z XVI. wieku z nieużywanemi dziś przyrządami i ingredyencyami. Ciekawy dom „pod czarnym konikiem“, ciekawy „pod białym lwem“, „pod czarnym barankiem“, „pod czarną różą“, „pod bażantem“; ciekawe wszystkie z kolei, a jest ich aż 27, nie wliczając w to rozebranego w rzeczywistości z początkiem bieżącego wieku, bardzo starożytnego kościołka św. Linharta.

Co dawniej nie w tych — ale w podobnych jak kropla do kropli — domach działo się; jak, jacy ludzie w nich modlili się, pracowali, bawili się? Dziś w tych, bądź co bądź, teatralnych domach, modlić się, nie wiem, czy się modlą; pracować — na seryo nie pracują, choć udają czasem, że bardzo energicznie do piły, do młota się biorą; za to zabawa płynie w „starej Pradze“ szerokiem, głęboko wyrytem korytem. Tak szerokiem, głębokiem, że to poniekąd aż samej „starej Pradze“ szkodzi. Być może, że kto przyjdzie tu o siódmej, o ósmej rano, może spokojnie dom po domu obejrzeć i mieć iluzyę, że przez zaczarowane szkła dojrzał, jak Praga przed paru wiekami — spała w głębokim, nocnym spoczynku zanurzona. Kto zjawi się później, tem bardziej komu zajęcia pozwolą dopiero wieczorne godziny „starej Pradze“ poświęcić, zapytać się musi: Co to — jak to? — więc dawna Praga była jedną wielką piwiarnią, jedną — bardzo ładną, bardzo gustowną — ale jedną szynkownią? Kapela kapeli prze-

szkadza; u „zielonej żaby“ taki muzyczny hałas, że nie słychać co grają w „słowackiej karczmie“. W „słowackiej karczmie“, „pod zieloną żabą“ — w tej, w tamtej, w owej, w dziesiątej, w dwudziestej restauracyi, winiarni, piwiarni, wszędzie leje się piwo. Na pierwsze, na drugie piętro zaimprowizowanego starego miasta wstęp i wzbroniony i niemożliwy; za to po parterze można wszędzie swobodnie się przechadzać, i wszędzie też, z nielicznemi wyjątkami, można, a wielu widocznie sądzi, że trzeba pić piwo. Zresztą, kto wie — historyko-archeologiem nie jestem — może i w XVI. wieku tak samo ogólnem tłem domów i placów były kufle, wysokie a pękate, napełnione brunatnawym, brunatnym, czarno-brunatnym, czarno-smolnym płynem?! Do Drezna nie tak daleko; czemużby przechowywane w drezdeńskich muzeach antałkowe kufle i puhary, nie miały mieć jednocześnie prawa obywatelstwa w sąsiedniej Pradze?

Kolejno maluje nam się w żywym tym obrazie, jak Czech, jak tylu węzłami z nim złączony Słowak, Morawianin, Łużyczanin, ubiera się, jak mieszka, jak pracuje, jak wczasu i zabawy używa; a czego i jak się uczy, co czyta, do jakich narodowościowych, społecznych ideałów dążył i dąży? Odpowiada na to pytanie: „Muzeum miasta Pragi“, odpowiadają sale i szafy staremi pargaminami i najnowszemi księgami, broszurami, dziennikami zapełnione; odpowiadają wiernie odtworzone ruiny kokorzińskiego zamku; kościelne, szkolne, sokolskie pawilony.

Praga — jak na stuwieżową Pragę — wystąpiła stosunkowo skromnie. Prawda! czyż miała przenieść na wystawę wszystkie swe muzea, starożytne budowy, kościoły, galerye; czy ogłosić: „Placem wystawy jest miasto Praga z przedmieściami i przyległościami?“ Kto ciekawy, nie ma tak daleko do nowego, wspaniałego muzeum; do ratusza, hradczyńskiego zamku, katedry...; na wystawie zebrane tylko pewne najciekawsze okazy; tylko próbki z rozmaitego rodzaju starożytności i piękności, co i swojaka i cudzoziemca zachęcić mają: „Poświęć Pradze tyle czasu ile możesz; czyś historykiem, archeologiem, estetykiem, uczonym, literatem, czy po prostu odświeżyć pragniesz wyschłą co-

dzienną, zmudną pracą, myśl i fantazyę, — pobyt ten, jak najdłuższy, opłaci ci się sowicie!“

Co Czech — Słowianin pisze, co czyta? Tu stosy starych ksiąg, modlitewników, kancyonałów, dawnych poezyj i naiwnych naiwnemi rysunkami ilustrowanych powieści pokazują, co w dawnych wiekach, co przed laty kilkudziesięciu głównie pisał i czytał. Obok wspaniałe, długim szeregiem ciągnące się szafy, wystawione przez dzisiejszych głównych czeskich księgarzy i nakładców, uczą znowu, co dziś na tem polu się robi. Zazdrość rzecz niepiękna, bronić przeciw niej się trzeba; ale jak obronić się od uczucia zazdrości wobec tych szaf, przepełnionych setkami i setkami wydawnictw tak gustownych, oprawnych tak wytwornie, illustrowanych tak bogato, że nam nawet o czemś podobnem nie marzyć! Ruchliwy i bogaty J. Otto, którego nakładem niejeden z polskich naszych poetów ukazał się w powabnej, czeskiej szacie, nakrywał ściany obrazami, przeznaczonemi na premia dla prenumeratorów „Złotej Pragi“, a dla większej jeszcze reklamy drukuje na wystawie, w oczach tłumnie przyglądających się widzów, swe reklamy, katalogi, wystawowe sprawozdania. Ważniejsze od tych reklamowych obrazów, maszyn i kompaturek, poważne rozmiarami i treścią, wokoło ścian biegnące tablice, na których wystawiono naocznie i farbą dla oka i fantazyi, i atramentem dla oka i rozumu, jak stopniowo, a nieustannie rozwijało się czeskie piśmiennictwo. Osobne tablice zaznajamiają z rozwojem katolickiej ascezy i teologii; osobne z rozwojem teologicznej literatury protestanckiej; osobne — z rozwijającem się także niestety! — począwszy od r. 1885, tj. od chwili, w której znaczna część Czechów, osiadłych na Wołyniu, wiary swej odstąpiła — piśmiennictwem czesko-prawosławnem. Dalsze tablice wykazują, w jakiej proporcyi z roku na rok wzmagał się i wzmaga ruch piśmienniczy, jakie przechodził i przechodzi fazy na polu filologicznem, medycznem, prawniczem, filozoficznem, historycznem, poetycznem, beletrystycznem, dramatycznem, przyrodniczem, dziennikarskiem, nawet na polu kalendarzowem. Nie sposób przejść przed temi tablicami, i nie złożyć zasłużonego hołdu mrówczej, a tak pożytecznej pracy ich twórców.

Ale niejedne to tablice, co zmuszają do hołdu i wydania mimowolnego okrzyku podziwu. Oto znów np. w szkolnym oddziele, mapa szkół czeskich z początku XVII. wieku, mapa szkół z 1791 r., z 1849, wreszcie z 1894. Kilka kroków dalej, do oka się ciśnie mapa wykazująca rozwój szkółek macierzyńskich; dalej jeszcze mapa szkół przemysłowych; szkół dopełniających;... tam bardzo starannie wykonana tablica uwidacznia wszystkie stowarzyszenia nauczycielskie w Czechach, Morawii, na Szląsku, tu obraz miast, w których odbywały się nauczycielskie zjazdy... A wieleż jeszcze innych tych map, tablic!.. Lecz oko służby odmawia, w ręce ołówek się trzęsie... Dajmy pokój, uznajmy się lepiej za zwyciężonych: pokrzepmy się u amerykańskiego Czecha kielichem przezroczystego, kalifornijskiego wina — i dalej, dalej, bo czas krótki, a tyle, tyle jeszcze do zobaczenia.

Tyle do zobaczenia, ale bądź co bądź najciekawsze — wcale to nie paradoks — te z niesłychaną pracą wygotowane, zdobiące ściany wszystkich główniejszych pawilonów, statystyczne mapy, tablice. Jaki, dajmy na to, ciekawy obraz odsłaniają, spisy i mapy czeskiego sokolstwa, które w samych Czechach dolicza się 25.000 członków, na Morawii i Szląsku 6000, w Wiedniu 800, w Ameryce 4600 członków! A mapy, spisy, księgi zajmujące osobny, równie pod względem treści jak urządzenia imponujący dział: „chrześcijańsko-społecznych stowarzyszeń"?! Co tu robotniczych, rzemieślniczych pisemek, co broszur i książek, jak poważne cyfry członków rzeczywistych, honorowych, wspierających; jakie silne, energiczne przeświadczenie o ostatecznym, pomyślnym skutku podjętych usiłowań bije z twarzy założycieli, z twarzy dawniejszych i nowych, najbardziej znanych i zasłużonych przywódców, których fotografie każde niemal stowarzyszenie przesłało. Blizko pięćdziesiąt lat, kiedy powstała w Pradze w r. 1852 pierwsza *Jednota katolických tovaryšů*. Dziś niema trochę większego miasteczka, w którem nie istniałyby pod tem lub innem nazwiskiem chrześcijańsko-społeczne *spolky;* nie istniałyby, nie powstawały: *Jednoty katolických jinochů a mužů*. W przeciągu ostatnich czterech lat założono przeszło sto nowych takich stowarzyszeń. Kilka katolicko-robotniczych tygodników, dwutygodników, wychodzą-

ych w Bernie, Pradze, Morawskiej Ostrawie podtrzymuje i rozszerza ten ruch; kilkunastu katolicko-społecznych agitatorów jeździ od miasteczka do miasteczka, aby zawiązywać nowe *jednoty*, a istniejące do silniejszej działalności pobudzać. Jaka to działalność? Każde z kolei stowarzyszenie wypisało kilka cyfr, które dają w tym kierunku pewną odpowiedź: cyfrę urządzonych w ostatnim np. roku odczytów, wspólnych zebrań, zabaw, prenumerowanych pism i t. d. A piękne to, wymowne cyfry. Żal mi teraz, żem choć kilku dla przykładu sobie nie wynotował.

— A jakże u was? — pyta jeden z najgorliwszych przywódców katolicko-społecznego ruchu w koronie św. Wacława, redaktor bardzo poważnego katolickiego miesięcznika. — Jakiż wasz system w walce z socyalizmem? Czy stowarzyszenia wasze zapuściły już silne korzenie? Jakiż wpływ wywierają wasze katolickie robotnicze pisma?

Co tu odpowiedzieć? Najlepiej po prostu nic nie odpowiedzieć na tak mocno niedyskretną indagacyę; najpraktyczniej dla odwrócenia uwagi od drażliwego tematu zaintonować nową zwrotkę w niekończącym się hymnie pochwalnym na cześć czesko-słowiańskiej etnograficznej wystawy!

Bawiące się z miłym wśród spieki zefirkiem amerykańskie chorągwie ostrzegają, że zbliżamy się do czesko-amerykańskiej osady. Na lwowskiej wystawie był jeden, nikt nie zaprzeczy, że bardzo ciekawy, wybornie urządzony polsko-amerykański pawilon; na pragskiej, już nie jeden pawilon, ale cała osada, która ma nam odzwierciedlić życie, pracę, dążenia czeskiego emigranta w Stanach Zjednoczonych. Prosty, ale wygodny domek, opatrzony niezliczoną liczbą olbrzymich okien, przedstawia rezydencyę zamożnego amerykańskiego Czecha. Obok kościołek, mający nam wyobrazić pierwszy czeski kościół w Saint-Louis; dalej cała farma z willą, w której bogatszy farmer przepędza gorące dni; naprzeciw *saloon*, czyli, zrozumialej się wyrażając, amerykańska karczma, z amerykańskiemi *Cock-tails*'ami, a bez Srula i Mośka, których charakterystyczne postacie tak ściśle u nas z pojęciem karczmy są związane. Ściany kościołka, rezydencyi, willi wyłożone znów mapami i tablicami, zaznajamiającemi

z liczbą czeskich kolonij w Ameryce; z liczbą czeskich domów w kilkunastu znaczniejszych miastach; z liczbą, znaczeniem, rozwojem czeskich stowarzyszeń, czeskich parafij, szkół, seminaryów. Na stołach rozłożone stosy gazet, planów, albumów z fotografiami, albumów z wytwornemi robótkami *českých žen severoamerických*. Kościelno-wojskowe, patryotyczno-wojskowe stowarzyszenia przysłały swe odznaki, swe hełmy, szable, szarfy, mundury, w których w uroczyste dnie paradują po placach i ulicach. Oryginalny to widok te galony, pałasze, szpady, mundury, hełmy, czaka, inne, innobarwne w oddziele rycerzy św. Jerzego, inne w hufcu św. Wacława, zupełnie różne w pułku św. Henryka. A z jaką butą — przynajmniej na fotografiach — kroczą przed temi oddziałami ugalonowani ich kapitanowie, pułkownicy, co przed półgodziny siedzieli jeszcze za kupiecką ladą, zamiast lśniącego pałasza mieli w ręku łokieć, igłę lub szydło; z jaką pewnością siebie wyciągają rękę naprzód i rozkazy wydają!... Dla nas tem ciekawsze te zbiory, te księgi, mundury, fotografie, że do pewnego stopnia wtajemniczają one nas również w dzieje i życie podobnych polskich stowarzyszeń w Stanach Zjednoczonych.

Kolonie czeskie w Dolnej Austryi w Wiedniu mniej oczywiście przedstawiają charakterystycznych cech. I rosyjsko-czescy koloniści nie zawahali się wystąpić z fotografiami swych domów i osób. Właściwiejby może było i dla honoru samychże Czech odpowiedniej, gdyby te wołyńsko-czesko-rosyjskie fotografie nie paradowały na wystawie... Choć prawda! — na takiej ogólnej wystawie nie należy żadnego typu pomijać; nie pomija się ani zbójów, ani złodziejów, ani apostatów...

Bije siódma!... Znużeni dozorcy, z uczuciem nietajonego zadowolenia wypraszają gości; energiczni Czecho-Amerykanie wykrzykują jasno a bez zbytecznych, europejskich ceremonij: „Zabierać się!“ Opustoszały sale, pawilony; tem pełniej, coraz pełniej na wystawowych drogach, ścieżkach, ulicach; tem większy tłok przy restauracyjnych stolikach. Od Starej Pragi płyną skoczne tony; przed *Národopisným* pałacem grzmi doborowa orkie-

stra; z otwartych okien dziesiątków restauracyj jeden przedziera się okrzyk: *Bier! Piwo!* I już dołem zajaśniało tysiące różnokolorowych lampek; już górą wychodzi z za obłoków gwiazda po gwieździe. Teraz wyszukać sobie ustronną jaką, spokojną dróżkę, i z dala od płynących, coraz nowych ludzkich fal, przy przygłuszonych dźwiękach muzyki, układać sobie zwolna i przyprowadzać do harmonii odebrane w czasie dnia wrażenia!...

Ks. Jan Badeni.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Nieśmiertelność duszy ludzkiej w świetle rozumu i nowoczesnej nauki. Przez *ks. d-ra Franciszka Gabryla.* Kraków. Nakładem autora 1895. (Str. 357).

Pragnąc przyjść z pomocą ludziom nieszczęśliwym, nie wierzącym w życie pozagrobowe, szanowny autor podjął się tej pracy, nielatwej ze względu na rozpowszechnione dziś przesądy niby naukowe, mozolnej ze względu na olbrzymią literaturę, odnoszącą się do badanego przedmiotu, z którą z obowiązku autorskiego wypadało się zapoznać.

Znajomość literatury odpowiedniej przebija też na każdej kartce książki, co stanowi jednę z jej wielkich zalet; szczególniej zaś podnieść należy szczęśliwe wyzyskanie źródeł klasycznych w omawianych kwestyach. Uwzględnianie najnowszych prac polskich, bezpośrednio lub pośrednio odnoszących się do nieśmiertelności duszy, zwłaszcza polemika z niektóremi z nich, dodaje książce ks. Gabryla wiele interesu i żywotności.

Z innych zalet tej pracy wymienimy jeszcze choć dwie, mianowicie: jedność w opracowaniu szczegółów, w przeprowadzeniu głównego planu książki i jasność w wypowiadaniu myśli, zwłaszcza w dowodzeniu stawianych twierdzeń.

Dowodzenie nieśmiertelności duszy ludzkiej, przeprowadzone w pracy ks. Gabryla, da się sprowadzić do dwu następujących przesłanek:

1) istota niemateryalna, duchowa umrzeć nie może;

2) dusza ludzka jest nie materyalną ale duchową.

Oczywiście w kwestyi o nieśmiertelności duszy główna trudność tkwi w drugiej przesłance. Pierwsza przesłanka zbyt jest łatwą do dowiedzenia, aby się długo nad nią rozwodzić. To też szanowny autor bardzo dobrze uczynił, że uporał się z nią pokrótce; za to tem obszerniej mógł się zająć kardynalną kwestyą duchowości duszy ludzkiej, która też stanowi główną treść całej książki. W pierwszej części swej pracy autor zbija zarzuty materyalistów, podnoszone przeciw duchowości duszy; w drugiej części sam stawia pozytywne dowody za duchowością jej i nieśmiertelnością, choć i tutaj bynajmniej nie stroni od polemiki, nieraz może nawet zbyt natarczywej.

Co do przeprowadzenia dowodów i sposobu pisania, to zdaje nam się, że autor zanadto się przejął scholastyczną formą w argumentowaniu, tak cenną w dysputach i w szkolnem traktowaniu przedmiotu, tak zaś nie nadającą się do prac filozoficzno-literackich. Dziś, ktoby np. zechciał najcenniejsze nawet myśli i rozumowania na polu filozoficznem przyodziewać w suche sylogizmy, naraziłby swą pracę, choćby skądinąd najgenialniejszą, na taki los, jakiego słusznie doznają dzieła Trentowskiego, t. j. mógłby być pewnym, że nikt jej nie przeczyta do końca.

Bynajmniej przez to nie chcemy powiedzieć, że książka ks. Gabryla w podobny jest napisana sposób. I owszem, czyta się ją z zajęciem i z przyjemnością. Jednak od czasu do czasu natrafia się w niej na takie miejsca, w których zanadto czuć więzy szkolne.

Po tych ogólnych uwagach należałoby zejść do szczegółów. Nie mogąc oczywiście dać o nich wyczerpującej oceny, poprzestaniemy na szczegółowej krytyce niektórych z oddzielnych kwestyj w książce poruszonych.

Autor, pragnąc obalić twierdzenie materyalistów, jakoby życie wogóle było wynikiem tylko sił fizyczno-chemicznych, stawia kwestyę zbyt ogólnie, rozciągając ją bez potrzeby do zwierząt i roślin, tak, jak gdyby nie wystarczało ściśle dowieść konieczności pierwiastka od materyi i sił materyalnych odrębnego w żywym organizmie ludzkim. To za ogólne postawienie kwestyi naraziło autora na popełnienie niejednej nieścisłości w rozumowaniu, tem samem na osłabienie siły dowodu na niematerya lność duszy l u d z k i e j.

W taki sposób przystępuje autor do rozwiązania postawionego zagadnienia: „czy życie jest wynikiem tylko fizyczno-chemicznych sił?“.

„Na pozór zupełnie to niepotrzebne pytanie: każdy bowiem, co ma zdrowe zmysły, wie o tem, że organizm jakikolwiek żywy, czy ludzki, czy zwierzęcy, czy roślinny, nie może się utrzymać w całości,

nie może żyć bez jakiegoś pierwiastku życie mu dającego. Innego atoli zdania są materyaliści: dla nich takie naturalne pojmowanie rzeczy jest niedorzecznością: to, co my pierwiastkiem życia, czyli duszą nazywamy, jest dla nich wynikiem zręcznego układu cząstek w skład ciała wchodzących, a więc i życie samo tylko skutkiem tego układu być może" (str. 17). Zbyt śmiało i zbyt apryorycznie autor zabrał się do rzeczy. Można mieć zdrowe zmysły, a jednak przeciwnego być zdania co do pierwiastku życia w roślinach. Nie każdy, tego zdania broniący, jest już materyalistą. Nawet ostatecznie może i naturalniej byłoby pojmować roślinę czysto mechanicznie, niż przypuszczać w niej duszę, o której nader trudno wyrobić sobie należyte pojęcie. Za wiele zaś żąda autor od obrońców przeciwnego zdania, powiadając, że „dopóki czysto mechanicznym ruchem cząstek nie zdołają wytworzyć jakiejś żywej komórki, tak długo nie mają pod sobą pewnego gruntu" (str. 18, por. 5, 32). Dajmy na to, że nigdy się nie uda sztucznie wytworzyć żywej komórki roślinnej; czyż stąd koniecznie wynika niemożliwość takiego wytworzenia sama w sobie?

Powiada autor w dalszym ciągu, że „materya, jako taka, sama życia dać nie może, w przeciwnym bowiem razie wszystkie ciała materyalne musiałyby być żywe" (str. 18). Ta ewentualność wcale nie jest konieczną: mogłoby być możliwem samorodztwo pewnej komórki roślinnej w pewnych tylko wyjątkowych bardzo warunkach, nie w innych, a w takim razie nie wszystkie ciała materyalne byłyby żywe, lecz tylko pewne z pośród nich, niektóre.

„Siły chemiczno-fizyczne, jakie mogą powstać i działać w wytworzonej przez chemię komórce, potrzebują innego pierwiastku, innej siły, któraby nimi kierowała do jednego celu, któraby utrzymywała organizm przy życiu. Pierwiastek życiowy nie jest więc i nie może być sumą sił chemiczno-fizycznych, gdyż w takim razie, jak to każdy widzi, skutek byłby daleko większy niż przyczyna. Czemużto z chwilą ustąpienia tego odrębnego pierwiastku życiowego, zaczyna się rozkład? Siły chemiczne i fizyczne niekierowane więcej tą siłą ożywczą, podlegają zwykłym swym prawom i według nich się łączą, sprowadzając miasto życia, zgniliznę".

Rozumowanie autora jeszczeby jakoś mogło się ostać, gdyby ktoś utrzymywał, że do wytłumaczenia zjawisk życia roślinnego wcale nie potrzeba brać pod uwagę samego organizmu. Takich jednak naiwnych chyba jeszcze nie było. Organizm roślinny jest bez wątpienia bardzo sztucznym mechanizmem — także według zdania wszystkich animistów

roślinnych. Podobnie jak maszyna staje, gdy się w niej coś popsuje, tak samo mogłaby roślina ulegać rozkładowi nie wskutek ustąpienia duszy, lecz wskutek popsucia się poprostu mechanizmu, stanowiącego organizm. Siły fizyczno-chemiczne podlegałyby zwykłym swym prawom, lecz działałyby po śmierci rośliny w innych już warunkach niż przedtem, nic dziwnego, że nie mogłyby już wytwarzać objawów życia.

Wogóle powiedzieć możemy, że dowody, jakie autor przytacza na potwierdzenie swej tezy o pierwiastku życia w organizmie żywym, są słabe właśnie dlatego, że za jednym zamachem chciał udowodnić istnienie tego odrębnego pierwiastka we wszystkich tworach żywych, zarówno w roślinie jak w człowieku.

Przyjrzyjmy się jednemu jeszcze dowodowi, wymierzonemu przeciw materyalistycznemu pojmowaniu życia. Twierdzi autor, że: „zarodki są mniej więcej takie same u ludzi, a nawet od zarodków zwierząt, mimo mikroskopu, bardzo trudno je odróżnić“ (str. 45). Z twierdzenia tego, tak nieściśle wypowiedzianego, wyprowadza autor następujący wniosek: „Jeżeli tedy cały rozwój odbywa się tylko zapomocą sił mechanicznych, to ponieważ siły te zawsze przy tych samych warunkach działają jednakowo, to winno nie być najmniejszej różnicy indywidualnej i płciowej, tak między ludźmi, jak i między zwierzętami. Oto do czego prowadzi teorya atomistyczna“ (str. 45—46).

Z nieprawdziwego założenia prowadzi droga do fałszywej konkluzyi. Według wszelkiej możliwej psychologii i fizyologii zarodki nie są takie same, lecz różne od siebie mniej albo więcej. Rozwój odbywa się w ścisłej, istotnej zależności od ustroju danego indywidualnego organizmu zarodkowego, jakoteż od wszelkich różniczkowań, właściwych temu danemu organizmowi. Siły mechaniczne w każdym osobniku działają w danych indywidualnych warunkach, nie zawsze w tych samych u rozmaitych osobników, znów ściśle zależnie od różniczkowań, właściwych danemu osobnikowi zarodkowemu. Tę różnicę pewną w samych zarodkach uznają wszyscy materyaliści, ale tem więcej muszą ją uznać wszyscy animiści, tem więcej wszyscy nie-darwiniści, broniący istotnej różnicy między organizmem samym ludzkim i zwierzęcym. Zatem i autor bezwarunkowo musi także uznać tę różnicę w samych zarodkach, przedewszystkiem między zarodkiem ludzkim a zwierzęcym, choćby jej nawet nie zdołał wykryć najsilniejszy mikroskop, na który autor niefortunnie się powołuje. Następnie nie może szanowny autor zaprzeczyć różnicy między zarodkami tego samego gatunku, np. ludzkiemi, nawet sam tem elastycznem „mniej więcej“ do pewnej różnicy zdaje się skłaniać. Otóż

to mniej więcej stanowczo obala konsekwencyę w rozumowaniu, skierowanem przeciw „teoryi atomistycznej“.

W jednym i drugim z następnych rozdziałów autor polemizuje z Aleksandrem Herzenem. Szkoda wielka, że polemika ta nie została lepiej opracowaną. Wykrzykników i pytajników w niej bardzo wiele, a może za mało siły dowodowej. Jako przykład przytoczymy z niej parę ustępów: „W cóż się jednak obróci wasze prawo zachowania energii, wasza pozytywna wiedza, która nie może uwierzyć w ducha, jeżeli ten, co został uderzony kamieniem, dla jakichś powodów wyższych, szlachetniejszych, nie zechce reagować, chwytać za kamień, ciskać na przeciwnika... więc cóż się stało z energią przez kamień nabytą?... Jak w końcu wytłumaczyć celowe rzucenie kamienia na napastnika w danym przykładzie? Czemu ten kamień nie biegnie dalej lub bliżej, stosownie do otrzymanej energii, tylko do napastnika?“ (str. 73—74). — Nie będziem rozbierali tego rozumowania. Jest w niem dużo prawdy, ale w taki sposób podanej, że niełatwo trafiłaby do przekonania przeciwnika. Na każde z zadanych pytań mógłby bardzo wygodnie znaleść odpowiedź interpelowany Herzen, a nawet obrócić je złośliwie przeciw interpelantowi.

Bez potrzeby autor, broniąc nieśmiertelności duszy ludzkiej, wykazuje, że „ze wszystkich tworów widzialnych i na ziemi żyjących, tylko ludzkiej duszy należy przypisać nieśmiertelność“ (str. 230). Główny, jeśli nie jedyny dowód powyższego twierdzenia polegać ma na tem, że „zwierzę nie ma w sobie czynności czysto duchowych“, że „przeznaczeniem duszy zwierzęcej jest wykonywanie czynności czysto organicznych“; stąd ma wypływać wniosek, „że gdy organizm się rozpada na swe cząstki składowe, czyli gdy zwierzę umiera, to dusza jego dłużej żyć nie może“. „Póki ciało było żywe — powiada autor — póty istnienie jej dla ciała konieczne; gdy ciało się rozkłada, racya jej bytu ustaje, skoro tylko zapomocą ciała swe czynności wykonywać może“ (str. 242—243).

Przeznaczeniem duszy zwierzęcej jest w rzeczy samej wykonywanie czynności czysto organicznych; ale może to tylko za życia zwierzęcia; po śmierci mogłaby ta dusza mieć inne jeszcze przeznaczenie, np. ożywić inny organizm zwierzęcy; z tego, że organizm bez duszy żyć nie może, wcale jeszcze nie wynika, że dusza nie może żyć bez organizmu. W pewnym prawdziwym sensie i dusza ludzka, póki się kołacze w biednem ciele, tylko zapomocą ciała swe czynności wykonywać może (choćby ta pomoc była jedynie ograniczoną do wa-

runku zewnętrznego); a przecież wcale stąd nie wynika, że bez pomocy ciała nie może wykonywać swych czynności nawet po swej z niem rozłące. Mniejsza o to, czy dusza zwierzęca jest lub nie jest śmiertelną; jeżeli się jednak chce koniecznie bronić jednego lub drugiego, to trzeba w taki sposób dawać dowody, aby nie było w nich luk i miejsc nieobronnych.

W XIII. rozdziale swej pracy autor wdaje się w obszerną polemikę z książką ks. Władysława Dębickiego p. t. „Nieśmiertelność człowieka jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa“, mianowicie występuje przeciw t. zw. psychopannychi, bronionej przez ks. Dębickiego wówczas, gdy tę książkę pisał, t. j. w roku 1882, gdy jeszcze był świeckim profesorem gimnazyum w Warszawie. Owa psychopannychya polega na pojmowaniu śmierci jako snu, a samowiedzy pośmiertnej jako przebudzenia z tego snu. Kwestya tej psychopannychyi wcale niepotrzebnie wlazła w książkę ks. Dębickiego, skądinąd znakomitą. Psychopannychya nie jest w zgodzie z prawdą ani z nauką Kościoła, choć inaczej sądził ks. Dębicki wtedy, gdy o niej pisał. Z pewnością teraz jest równie, jak my, mocno przekonany o niedopuszczalności tej hipotezy. Cały rozdział jego książki, poświęcony dziwnej tej psychopannychyi, obecnie nie aktualne, lecz tylko historyczne ma już znaczenie. Jednak autor „Nieśmiertelności duszy ludzkiej“ rozprawia się z ówczesnym p. Dębickim jak gdyby z obecnym jeszcze przeciwnikiem — zbyt zapalczywie, a nie zawsze szczęśliwemi argumentami. Ks. Dębicki na poparcie swego zdania odwołuje się na dekret soboru lugduńskiego II. („Wyznanie wiary“ Michała Paleologa), powtórzony w znacznej części, a dosłownie w miejscu, o które chodzi, na soborze florenckim w dekrecie jedności Greków (Bulla Eugeniusza IV. *Laetentur coeli*). To odwołanie się ks. Dębickiego wcale nie było słuszne, tłumaczy się tylko złem zrozumieniem odpowiedniego tekstu, spowodowanem prawdopodobnie przez przeoczenie całego wiersza i stąd wynikłe opuszczenie go w tekscie [1]. Był to zapewnie błąd do wytknięcia, wszakże wraz z zasłużonemi, i niezasłużone gromy posypały się na niego.

„„Dziwi nas, mówi między innemi nasz autor: jak mógł p. Dę-

[1] Owo miejsce dekretu lugduńskiego opiewa: „Credimus... illorum autem animas, qui post sacrum baptisma susceptum, nullam omnino peccati maculam incurrerunt, illas etiam, quae post contractam peccati maculam, vel in suis manentes corporibus, vel eisdem exutae, prout superius dictum est, sunt purgatae, mox in coelum recipi“.

Tak zaś się przedstawia ten cytat w książce ks Dębickiego: „Jeżeli teologom-scholastykom chodzi o c z y ś c i e c i wszystko, co się z dogmatem

bicki powoływać się na poparcie swej psychopannychyi na dekret soboru florenckiego, kiedy ten sobór wręcz zbija jego twierdzenie. Nie wiemy też, z jakiego powodu nazwał on sobór florencki lyońskim... Każdy widzi, jaka jest nauka soboru florenckiego... Natomiast autor psychopannychyi każe uchwalać jakiemuś soborowi lyońskiemu, że dusze po rozłączeniu z ciałem śpią" (str. 255—256). — Jużeśmy powiedzieli, że oba sobory mają ten dekret.

Również niemiłosiernie chłoszcze autor ks. Dębickiego za to, że ośmielił się oświadczyć za nieśmiertelnością duszy zwierzęcej [1]. Przytoczywszy mały ustęp, do tej kwestyi się odnoszący, takie robi nad nim uwagi: „Oczywiście, kto duszę zwierzęcia zrównał całkowicie z duszą człowieka, dlatego konsekwentnie dusza zwierzęcia musi być równie nieśmiertelną, jak ludzka. Dziwi nas tylko ten dodatek: *sui generis* — swego rodzaju nieśmiertelność. Cóż to znaczy? czy nie moglibyśmy się dowiedzieć, jak ona wygląda? jak mamy ją sobie wyobrażać? Gdzież konsekwencya logiczna? Dlaczegoż taką krzywdę wyrządzać bytowi, który się weseli i cierpi, pamięta, nienawidzi, kocha i myśli? Przecież

---

tym łączy, to następujące orzeczenie soboru lyońskiego winno im znieść wszelką wątpliwość, iż zadosyćuczynienie czyścowe odbywa człowiek nie jako duch bezcielesny, lecz jako istota cielesno-duchowa. ‚Credimus — są słowa tego orzeczenia — animas, quae, post contractam peccati maculam, vel in suis corporibus, vel iisdem (takich samych) corporibus sunt purgatae, in coelum mox recipi'". („Nieśmiertelność człowieka", str. 182). — Wypadł widocznie cały wiersz: „exutae, prout superius dictum est": stąd sens zupełnie inny.

[1] Ks. Dębicki wspomina o tej kwestyi tylko nawiasem w odsyłaczu. Przytoczymy tu początkowy ustęp tego odsyłacza:

„Nim się z czytelnikiem rozstanę, uważam za stosowne odpowiedzieć na bardzo możliwą i naturalną z jego strony uwagę, mianowicie, że wyłożona w mej pracy teorya nieśmiertelności człowieka, stosuje się również i do duszy zwierzęcej. Wyznaję tedy, że wierząc w powszechne prawo zachowania bytu i pojmując jak wielką niedorzecznością jest przypuszczenie, że z realnego czegoś może powstać nic abstrakcyjne, wierzę zarazem w nieśmiertelność powszechną, nieśmiertelność wszystkiego co jest, co bytuje realnie. Że zaś duszę zwierzęcia, duszę myślącą i czującą, byt, który weseli się i cierpi, pamięta, nienawidzi i kocha, uważam za byt realny, przeto i dla tego bytu postuluję nieśmiertelność — naturalnie *sui generis*. Zgadzam się w tej mierze najzupełniej ze zdaniem materyalisty Burmeistra: ‚Jeżeli ludzka dusza jest nieśmiertelną, to jest nią także dusza zwierzęca: obie mają do tego jednakie prawo'. Biblia i pisarze chrześcijańscy również przyjmują nieśmiertelność powszechną". (Następuje szereg cytatów z Pisma i Ojców św.; str. 203—204).

jeżeli dusza zwierząt jest identyczną z ludzką, a jest taką, skoro myśli, to dlaczegóż jej nie przyznać takiej samej nieśmiertelności, jak ludzkiej? dlaczegoż ma być upodloną? Nie wiem doprawdy, czy można było w krótkim ustępie nagromadzić więcej sprzeczności i niedorzeczności, niż to uczynił autor „Nieśmiertelności człowieka“ (str. 258).

To wszystko jest nietylko bardzo ostro powiedziane, ale wyciąga ze słów przeciwnika więcej, niż się w nich naprawdę zawiera. Że ks. Dębicki nie rozumiał fałszywie owej nieśmiertelności duszy zwierzęcej, nie identyfikował jej z zupełnie innego rodzaju nieśmiertelnością duszy ludzkiej, na to mamy oczywisty dowód w owym dodatku *sui generis*, niesłusznie zaczepianym przez ks. Gabryla. Zarzucanej niekonsekwencyi logicznej również wcale nie możemy się dopatrzeć w zacytowanym ustępie z książki ks. Dębickiego. Niesłusznie autor argumentuje niby w myśl ks. Dębickiego w taki sposób: „skoro dusza zwierzęca myśli, zatem jest identyczna, z duszą ludzką“; między myśleniem bowiem zwierzęcem, a myśleniem ludzkiem zachodzi także i według ks. Dębickiego taka zasadnicza istotna różnica, jaka zachodzi między poznaniem czysto zmysłowem, a poznaniem czysto rozumowem. Sam wyraz „myśli“ zastosowany do zwierząt, można uważać za niewłaściwy, ale niema się co nim gorszyć.

Uporawszy się w trzynastu pierwszych rozdziałach z dowodem nieśmiertelności duszy, opartym na jej duchowości, pięć ostatnich rozdziałów swej pracy autor poświęca dowodom etyczno-etnologicznym. Jest to część książki napisana znakomicie i nierównie lepiej od reszty. Gdyby nawet tej reszty wcale nie było, to już za owe pięć rozdziałów końcowych należałaby się autororowi wielka wdzięczność i uznanie.

Nie możemy też lepiej zakończyć tej recenzyi, jak bardzo gorącem poleceniem książki wszystkim pragnącym się oświecić w kwestyi nieśmiertelności duszy, wszystkim zwłaszcza wątpiącym o życiu pozagrobowem. Samego autora ośmielamy się zaś prosić o dalsze zasilanie naszej literatury filozoficznej pracami w tym rodzaju, co obecna.

S. Kobyłecki.

Podręcznik wakacyjny dla użytku seminarzystów i młodych kapłanów. Z 9-tego wydania francuskiego opracował i przetłumaczył *ks. Roman Rembieliński*, prof. sem. metr. św. Jana. Warszawa 1894. (Cena dla kleryków rs. 1 — dla kapłanów rs. 1,40) Tegoż wyd. 2 popr. 1895.

O tym podręczniku dużo już pisano w *Przeglądzie katolickim* warszawskim, a nawet, nie bez pewnego braku taktu, w felietonie *Słowa*.

W *Przeglądzie katolickim* krytykowano głównie tłumaczenie; w *Słowie* chwalono treść, a oburzano się na krytyka z *Przeglądu katolickiego*. — Nie poruszając więc już kwestyj tam omówionych powiemy tylko o tem, co tam pominięto.

Przedewszystkiem nęci oko ta książeczka swą prawdziwie ujmującą powierzchownością. W tę zewnętrzną szatę ubrała ją „estetyczna“ (tak się tytułuje), warszawska drukarnia Sierpińskiego.

Dalej zdumiewa doprawdy bogactwo tekstów Ojców świętych, nie mówiąc już o Piśmie św. i Koncyliach. Wziąwszy np. na chybił trafił rozmyślanie o wstrzemięźliwości w jedzeniu, znajdujemy w niem 13 różnych tekstów bardzo trafnych. I wogóle pod względem opracowania szczegółów w tym systemie, jaki sobie autor nakreślił, praca ta dochodzi do doskonałości. Ale czy sam system dobry dla młodzieży duchownej, a zwłaszcza polskiej? Odpowiadamy bez wahania: Nie dobry, bo za systematyczny.

Dziewięć wydań francuskich nic tu nie dowodzi. Cóż bowiem dziwnego, że duchowieństwo w tymże systemie sulpicyańskim wychowane i rozmiłowane, rozchwytało tegoż kwintesencyę?

Bo prawdziwa to kwintesencya nie powiem pedanteryi, ale pewnego rodzaju niewoli młodego serca i umysłu; i to na czas właśnie wakacyjnej swobody.

Książka zaczyna się regulaminem dziennym z 14-stu, wyłącznie poważnych przedmiotów się składającym; kończy się zaś komentarzem na *Officium parvum* i nauką (skądinąd bardzo dobrą), co i jak należy w czasie wakacyj studyować. Na 9-ciu stronicach tego studyum nad studyami, o lżejszem czytaniu powiedziano tylko w jednem miejscu: „Czy trzeba odmówić sobie wszelkiej książki świeckiej o literaturze, historyi, naukach? Nie, ale wogóle korzystniejsze są dzieła duchowne i z małymi wyjątkami lepiej się ich trzymać“.

Między temi ramami jest sześćdziesiąt i jedno rozmyślanie o przedmiotach takich jak: „o obowiązku spędzania wakacyi w świątobliwości“, „o tem, że od pierwszego dnia o życie gorliwe starać się trzeba“, „o wierności do regulaminu podczas wakacyj“ i t. d.

Każde rozmyślanie składa się regularnie z trzech punktów tj.: 1-o „Adoracya“, 2-o „Połączenie“, 3-o „Współdziałanie“. Poczem „Rachunek sumienia szczegółowy“. Ta ostatnia klasyczna nazwa wzięta jest widocznie z ćwiczeń duchownych św. Ignacego, ale idea jej podsunięta całkiem inna. A jakże bardzo szkodzi zwłaszcza młodzieży takie podstawianie.

Wczytawszy się w to wszystko, nie można się oprzeć pewnemu wrażeniu znękania. Człowiek się pyta mimowoli: i toż to ma być podręcznik wakacyjny?! Czyż nie daje on przynajmniej pozoru do zarzutu, że takie wychowanie jest cieplarnią, gdzie sztucznie hodują dusze przyszłych nauczycieli praktycznego chrześcijańskiego życia? Materye do kazań z tej książki byłyby doskonałe, ale rozmyślania to przecież modlitwa, rozmowa z Bogiem, a nie kazanie.

Drugie wydanie poprawiło tylko usterki tłumaczenia; systemu modlitwy zmienić nie mogło.

Nie, przynajmniej dla polskiej młodzieży nie wakacyjny to podręcznik.

Ks. H. P.

Wpływ moralności na śmiertelność, według odczytu *d-ra med. Höffela.* *Wiktor Doleżan.* Kraków 1895.

Pełne wybornych i praktycznych rzeczy pismo *Przewodnik higieniczny* umieściło niedawno artykuł pod powyższym tytułem, który czytając, mówiłem sobie: Jakżeby dobrze było, gdyby z tego zrobiono osobne odbicie! — i otóż tę odbitkę mam przed sobą.

W szerokich kołach panuje mniemanie, że powściągliwość jest szkodliwą. Nie potrzebuję dodawać, jak szerzenie takiej teoryi wpływać musi na praktykę. Otóż autor, a właściwie dr Höffel, przez autora wybornie streszczony, dowodzi, że nietylko nigdy tak nie jest, ale przeciwnie rozwiązłość jest jedną z największych przyczyn śmiertelności w dzisiejszem społeczeństwie i nierównie więcej powoduje chorób najrozmaitszych i przedwczesnych śmierci, niż się to wogóle przypuszcza. Opiera zaś to wszystko na dowodach naukowo-lekarskich, na statystyce, na zdaniach największych powag medycyny, które przytacza.

Co najstraszniejsza, to że, jak z tych dowodów niezaprzeczalnie wynika, liczba tych smutnych ofiar z roku na rok się wzmaga. Progresyę tę przypisuje autor szczególnym warunkom dzisiejszego ustroju społecznego, bezmiernemu rozszerzaniu się literatury parnograficznej, wyuzdaniu teatru, reklam i t. d. Prawda, że te same czynniki i w przeszłych wiekach istniały, ale były one tylko dostępne dla nielicznej górnej warstwy, — która też faktycznie w wielkiej części wyginęła. Dziś przystępnemi się stają coraz szerszemu ogółowi i dlatego dziś dopiero społeczeństwu na dobre dają się we znaki.

Kończy autor żądaniem pewnych obostrzeń ustaw (mybyśmy dodali życzenie obostrzeń w wykonaniu ustaw) i co najważniejsza, nawoływaniem do czynników wychowawczych, które kształcą młodzież. Pewna

rzecz, że wychowanie wiele może; mylilibyśmy się jednak, gdybyśmy całą sprawę moralności publicznej chcieli złożyć na wychowawców, a nie starali się o oczyszczenie atmosfery społecznej, którą sami oddychamy i w którą młodzież z rąk wychowawców przechodzi.

Przypomniał gdzieś trafnie autor, jak ciężki zarzut uczyniono przed dwoma laty ojcom miasta Hamburga, że nie ostrzegli społeczeństwa o grożącem niebezpieczeństwie cholery. Otóż, pomijając nawet stronę moralną i biorąc rzecz jedynie ze strony zdrowia i śmiertelności, rozwiązłość bezporównania więcej czyni ofiar, niż cholera. Jest więc obywatelskim obowiązkiem, *officium boni viri*, przestrzegać o niebezpieczeństwie — i przyznajemy autorowi, że to *officium* zacnie wypełnił.

Ks. Morawski.

Niektóre powody bezżeństwa w duchowieństwie rzymsko-katolickiem. *Ks. Antoni Wilczkiewicz.* Nowy Sącz 1895.

Skromny tytuł tej broszury wskazuje, że ona nie ma pretensyi do naukowości. W istocie z punktu naukowego możnaby jej niejedno zarzucić, nawet co do sposobu wnioskowania z tych źródeł i faktów, które przytacza. Ale może ona przynieść pożytek ascetyczny, bo wiele dobrych rzeczy zawiera o czystości kapłańskiej; a przytem o modlitwie, o brewiarzu i t. d.

Gorliwość jednak autora zapędza go miejscami za daleko: przedstawia on bezżeństwo jako tak bezwarunkowo potrzebne stanowi kapłańskiemu, że to uchybia nietylko Kościołowi wschodniemu, ale i rzymskiemu, który nie zawsze jednakowo bezżeństwa wymagał i dziś żyje w unii z tymi, którzy go nie wymagają. — Trzeba wykazywać bezwzględną wyższość bezżeństwa kapłańskiego — i owszem! — wyświecać jego korzyści, wolność, jaką daje, zbliżenie do Boga — i owszem! — ale unikać trzeba dowodzeń, *quae nimis probant.*

Ks. M.

Święty Stanisław w historyi Polskiej i Święty Stanisław naszym wzorem. Dwa kazania wypowiedziane na Wawelu, w uroczystość Świętego. Przez *ks. Stanisława Spisa*, prof. Uniw. Jag., kan. i t. d.— Cały dochód przeznaczony na restauracyę katedry na Wawelu. Kraków 1895.

Piękną myśl miał autor, żeby na korzyść restauracyi katedry krakowskiej wydać swe kazanie o św. Stanisławie.

Ale i kazania te są piękne. W pierwszem roztacza się przed nami dziwnie opatrznościowy wpływ wielkiego Męczennika na cały

bieg historyi naszej: on zwycięzką śmiercią swoją robi pierwszy wyłom w barbarzyństwie i początkuje duchową cywilizacyę; on później daje Polsce, rozerwanej między Piastowiczami, świadomość swej jedności; jego postać służy za łącznik Litwy z Koroną, za rękojmię siły i zwycięstwa w bojach z pohańcem — i dziś grób jego jednoczy dzielnice Polski, które do niego pielgrzymują. W drugiem kazaniu cnoty Świętego przedstawiają się nam jako rodzimy wzór, pouczający i pociągający.

Te dwie zalety tej broszury są podwójnym motywem, żeby ją chętnie i licznie rozkupywano.

Ks. M. M.

Opowieści i wspominki historyczne. Przez *L. Glatmana* (Ludomira). Serya I. W Krakowie. Główny skład w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

Czytelnicy — nie zawodowi uczeni, ale zwykli śmiertelnicy, których bądź co bądź najwięcej na ziemi — lubią, kiedy im nauka, mniejsza o to: historya, geografia, czy literatura, łatwo, bez wytężenia do głowy wchodzi. Stąd opowieści, powieści, opowiadania historyczne, literackie i t. d., zawsze mają i mieć będą racyę bytu; może czasem historyk lub literat z profesyi na nie się skrzywi, może je w poufnem kółku kolegów ustnie, czasem i piśmiennie skrytykuje; ale on sam wie najlepiej, że owe ustne lub piśmienne skrzywienie poza ścisłe kółko wtajemniczonych nie wyjdzie. Na opowieści p. Glatmana i fachowy uczony pewnie się nie skrzywi. Autor nietylko starannie wystudyował ogólne tło malowanych przez siebie czasów i zdarzeń z XVII. i XVIII. wieku, ale pochwycił najdrobniejsze nieraz szczegóły, odnoszące się do zwyczajów mieszkania, ubioru naszych prababek i pradziadków i z fotograficzną wiernością je oddaje. Być może, że czasem wierność ta aż za ścisła, aż za drobiazgowa dla czytelnika nie dość wtajemniczonego w *arcana* ówczesnych pałaców, dworów i dworków; nie umiejącego dość ocenić przeszłowiecznych zwrotów i wyrazów, któremi autor z zamiłowaniem opowiadanie swe przeplata. Ale właśnie kto nie dość wtajemniczony, niech „opowieści“ czyta; niech szczegółowo obejrzy szlachecki dom Ramszów, magnacki pałacyk Sieniawskich; wspaniały, ale smętny w ostatnich latach panowania Jana III. wilanowski pałac... z pewnością wędrówki nie pożałuje; niejednego się w czasie niej nauczy, a w dodatku po innej, obowiązkowej pracy mile się rozerwie!

Nieznany wiersz Wojciecha Stanisława Chrościńskiego. *Dr. Bolesław Erzepki.* Poznań 1895.

Próbki gwary mazowieckiej z końca XVII. i początku XVIII. wieku. *Tenże.* Poznań 1895.

Obie te prace to odbitki z „Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego“ (Tom XXI).

Powiedziano już dawno temu, że *habent sua fata libelli,* z równą słusznością możnaby powiedzieć, że mają swe losy i całe okresy piśmiennictwa. Tak się u nas przyjęło zdanie, że poezya XVII. wieku i pierwszej połowy XVIII. wieku niewiele warta, że do dziś najmniej ta epoka nęci historyków naszego piśmiennictwa, a czytającej publiczności wprost wydaje się niegodną uwagi. Kłam temu mylnemu zapatrywaniu mogą zadać znane utwory poetów tej epoki, nieznane zaś i z pyłu zapomnienia na jaw dopiero wydobywane dowodzą wymownie, że poezya narodowa bujnie rozwijała się i kwitła w oczernionej niesłusznie owej epoce.

„Lament strapionej ojczyzny po zerwanej Konwokacyej *sub tempus interregni* i związanych wojskach koronnych i W. Ks. Lit.“, jest ze wszech miar charakterystycznym utworem. Autor „Lamentu“, Wojciech Stanisław Chrościński, był sekretarzem króla Jana III., a po tegoż śmierci pełnił ten sam urząd u królewicza Jakuba. Podobnie jak Kochowski lub Gawiński żywił i Chrościński szczere uwielbienie dla Sobieskiego, któremu zawdzięczał i urząd i wyniesienie do stanu szlacheckiego (1685). Nic więc dziwnego, że po śmierci uwielbianego króla Chrościński przedstawił w 43 zwrotkach smutny stan Rzeczypospolitej, scharakteryzował kandydatów do Korony polskiej i w końcu jako wierny sługa domu Sobieskich, taką wyraził nadzieję:

Wżdyć i z ojcowskich popiołów wyleci
Zrodzony feniks: polskie majestaty;
Odrodzonemi nadziejmi oświeci,
Smutną żałobę zamieni w szkarłaty;
Powiędle ojca odwagi ten wznieci,
Stary rozumem chociaż młody laty...

W „Lamencie“ i dla badaczów naszych dziejów przybywa cenny przyczynek, przechodzi w nim bowiem poeta wszystkich kandydatów, nie pomija nawet kandydatki Maryi Kazimiery, której taką poświęca zwrotkę:

Królowa ze wszech miar bliższa do korony,
Gdyby jej wdowa Polska dobrać chciała;

By też i hetman [1] z nią był zaślubiony.
Już Sakramentkom posty nakazała
Na intencyę by osiadła trony,
Lecz choćby i chleb z popiołem jadała
I łzy swe gorzkie piła miasto wina,
Nie będzie taki Prus jako Janina.

Zestawienie waryantów i wstęp krytyczny do wydanego wiersza przynoszą prawdziwy zaszczyt wydawcy; w krótkich słowach potrafił bowiem dr. B. Erzepki zamknąć to wszystko, co dla zrozumienia tego wiersza jest potrzebnem. Ta treściwość d-ra B. Erzepkiego objawiła się po raz pierwszy przy wydaniu „Krytyka krytyki J. Słowackiego“, teraz zaś widzimy, iż cecha ta jest zaletą czcigodnego kustosza Zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.

Zajmującem studyum dla filologa są „Próbki gwary mazowieckiej z końca XVII. i początku XVIII. wieku“. Rozprawę tak zatytułowaną składają dwa fantastyczno-komiczne uniwersały mazowieckie z czasów najbliższych bezkrólewia po śmierci króla Jana III. Pierwszy z tych utworów nosi tytuł: „Uniwersał województwa mazowieckiego“ i zaczyna się od słów: „Moi Mili Łaskawowie Łaskawcy, Rodzona Szlachta, Przezacni Wielmożni Panowie“; drugi uniwersał ma tytuł: „Wić dembowa na ruchawkę Mazowiecką“.

Do tekstu objaśnień i krytyki tych dwóch uniwersałów dodał dr. B. Erzepki jeszcze „Słowniczek“ wyrazów gwarowych, zawartych w tych dwu utworach.

L. M. Dziama.

Przegląd ostatnich roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego (1890—1894).

Bez rozgłosu, spokojnie a przecież wytrwale raz obraną drogą, kroczy z wysiłkiem uznania godnym, jak na trudne tamtejsze stosunki i położenie, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Instytucye publiczne o takim zakroju i celu, jeżeli gdzie, to na podobnych stanowiskach, zagrożonych w najżywotniejszych naszych interesach, są i znaczeniem i użytecznością niezmiernie ważne. Kiedy przed rokiem 1860 zawiązywały się początki późniejszego Towarzystwa, stworzenie takiego wspólnego ogniska oświaty i pracy było potrzebą czasu. „W. Księstwo Poznańskie (są słowa sprawozdania z r. 1860) przedstawiało podówczas pod względem pielęgnowania nauk, umiejętności i oświaty rodzimej widok nader przykry

[1] Stanisław Prus Jabłonowski.

i smutny. W powszechności senność lub bezwładne zobojętnienie na dolę bieżącą i niepamięć na przyszłość; w pojedyńczych brak myśli przewodniej w trosce o zachowanie swojskiego żywiołu, przedewszystkiem zaś brak spójni duchowej — oto wierny obraz położenia naszego ówczesnego. Stosunki zewnętrzne, miejscowe, które stan ten wywołały, groziły zupełnem przytłumieniem rodzimej myśli i oświaty".

W takiem to położeniu rzeczy, celem obrony i zachowania najdroższych skarbów narodowej przeszłości, powstało, za inicyatywą szczególniej młodszego pokolenia, Towarzystwo Poznańskie w r. 1857. Pierwszym jego prezesem był hr. August Cieszkowski, w skład zarządu wchodzili: ks. Fr. Malinowski, Wł. Niegolewski, Skórzewski i Wegner. Jeżeli zaraz u wyjścia napotkano trudności i przeszkody, to tych z biegiem czasu nietylko iż nie ubyło, ale z każdym lat dziesiątkiem rosły i wzmagały się. Wówczas kilku nauczycieli gimnazyum św. M. Magdaleny, mających zamiar publikować swe prace w organie Towarzystwa i z niem wspólnie działać, spotkało się z odmowną decyzyą władzy. Dziś jeszcze gorzej. Cześć przeto należy się tym wszystkim, którzy mimo trudności nie ustąpili dotąd z pola walki, ale gdy padali jedni wiekiem i pracą złamani, podejmowali z ich rąk sztandar, i wysoko a godnie i zaszczytnie podtrzymują go dalej. Cios niewątpliwie najdotkliwszy spotkał Towarzystwo w minionym roku przez śmierć nietylko długoletniego prezesa, ale śmiało rzec można, twórcy tego dzieła, który w niem złożył swą myśl, swe siły i talenta, swoje życie. August hr. Cieszkowski długo żyć będzie w pamięci Wielkopolski, pominąwszy inne jego zasługi, chociażby z tego tytułu, iż założył, rozwinął i do godnej imienia polskiego wysokości doprowadził Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Po tej stracie niepowetowanej na razie stosunki wewnętrzne Towarzystwa ułożyły się dość dobrze i obecnie pod nowym sterem zdąża ono naprzód raz wytkniętą drogą. Mamy właśnie przed sobą kilka roczników z lat ostatnich, wydanych pracą i nakładem członków, które najlepiej świadczą o żywotności i pożytecznej działalności Towarzystwa. Być może, iż porównywając je z rocznikami z lat pierwszych, wydadzą się one treścią uboższe, zakresem rozpraw skromniejsze, może i formą zewnętrzną niepokaźniejsze, ale z góry zaznaczyć to musimy, iż uwzględniając twarde warunki obecnej chwili, przyznać im należy i wartość i uznać różnostronną a niestrudzoną pracę członków. Oprócz urzędowych sprawozdań ze zwykłych posiedzeń i czynności wydziałów, każdy taki rocznik zawiera wiele cennych i gruntownych rozpraw naukowych z najrozmaitszych działów wiedzy. Pragnąc dać czytelnikowi choć niedokła-

dny przegląd tych prac, przejdziemy pokrótce treść roczników z ostatnich lat czterech, sprowadzając materyał nagromadzony w nich do kilku ogólniejszych rubryk. Samo to suche zestawienie da każdemu nieuprzedzonemu pogląd na działalność Towarzystwa, które w ostatnich 30 latach stało się dla Wielkopolski prawdziwym przybytkiem umiejętności.

Nader bogato i wielostronnie opracowanym przedstawia się tu najprzód dział historyczny, obejmujący szczegółowo rzeczy odnoszące się do dziejów ojczystych. Z pośmiertnych już rękopisów wydaną tu znajdujemy rozprawę ks. Jarochowskiego o panowaniu Augusta II. „od elekcyi Stanisława Leszczyńskiego aż do bitwy Pułtawskiej“ (rocznik z 1890). Jedynie gruntowny u nas znawca czasów saskich, od roku prawie 1860 pracujący nad tą epoką i jej źródłami, wiadomo, ile Jarochowski do zrozumienia ówczesnych komplikacyj i wyjaśnienia różnych spornych kwestyj się przyczynił. W przytoczonej tu pracy omawia elekcyę St. Leszczyńskiego i agitacyę dyplomatyczną Augusta w sprawie odzyskania wydartego sobie tronu. Świetnie, z werwą opowiada autor te dzieje. O Leszczyńskim wyraża się trafnie, iż był to „dobroduszny i wygodny magnat wielkopolski, światły i wymowny statysta, mąż przez całe życie raczej pokoju, aniżeli wojny... okazywał bladą i znużoną twarzą, jak bardzo mu cięży nowa korona...“ (str. 4). August z całą siecią swych intryg, jaką otoczył oddane sobie dwory zagraniczne i partyę w Polsce mu sprzyjającą, ba nawet i wrogich sobie stronników szwedzkiej polityki, przedstawiony jest w wielu punktach w nowem zupełnie świetle.

Do zrozumienia organizacyi wojsk polskich i krzyżackich w wieku XV-tym na tle bitwy pod Grunwaldem służy wyborna rozprawa I. Zakrzewskiego (rocznik 1890). Autor mówi nietylko o znaczeniu bitwy tej dla Polski, ale też wyjaśnia na podstawie historycznych dokumentów wojskowo-strategiczne stosunki owych czasów.

Z monografij historycznych na większe rozmiary wymienić trzeba: „Historyę miast i mieszczan w krajach dawnego państwa Polskiego od czasów najdawniejszych aż do połowy XIX. wieku“, wydana z materyałów pozostałych po W. A. Maciejowskim. Praca ta, jakkolwiek może być uważaną jeszcze jako surowy i nieobrobiony materyał, który kiedyś posłuży do historyi rozwoju miast i mieszczaństwa u nas, ma jednak wielką wartość tem zebraniem olbrzymiego zapasu wiadomości o naszych miastach i wskazaniem po świecie i przeróżnych działach rozrzuconych źródeł. Monografia Ostroroga (rocznik 1891), miasteczka w dawnem województwie poznańskiem, jest niemniej interesującą, ponieważ autor jej, znany geograf p. E. Callier († 1893), zebrał wiele szczegółów, które przy

ogólnych dziejach osady dają nam poznać ówczesne stosunki włościan do dziedziców, wewnętrzny ustrój wsi polskich i t. p. — St. Karwowski skreślił w dłuższej pracy „Dzieje miasta Gniezna“ (w roczniku z r. 1892) od jego początków, aż po nasze czasy. O ile poprzednie wieki więcej lub mniej zostawiły historycznych wiadomości, w miarę tego pod piórem autora rozszerza się zakres opowiadania o dziejach tej najdawniejszej stolicy Lecha. Po opowiedzeniu historyi miasta przechodzi p. Karwowski jego wewnętrzne urządzenie, opisuje kościoły i klasztory, grobowce i kosztowne zabytki w skarbcach ukryte, szkoły dawniejsze i dzisiejsze, dzieje arcybiskupstwa, słowem wszystko, co nam o Gnieźnie i jego znaczeniu w przeszłości dać może dokładniejszy obraz. Jest to praca sumienna, docierająca w opowiadaniu do chwil ostatnich.

Z ogłoszonych źródeł dziejowych wspomnieć warto o wydanych z archiwów weneckich przez A. hr. Cieszkowskiego: „Materyałach do historyi Jagiellonów“ (r. 1892). Jest to część trzecia dokumentów i listów z czasów Kazimierza Jagiellończyka, odszukanych w weneckich archiwach. Mieszczą się wyciągi obszernych korespondencyj króla ze Stolicą Apostolską i inne prywatnych osób listy, rzucające nowe światło na niejedną sprawę ówczesnej doby.

Za tym obfitym zbiorem prac z zakresu ojczystych dziejów zebrano w powyższych rocznikach wiele jeszcze innych cennych rozpraw fachowych specyalistów z dziedziny studyów filologicznych, przyrodniczych i ekonomiczno-politycznych. Wspomnieć tylko możemy pobieżnie o rozprawie d-ra W. Zaremby o „Stanowisku Arystotelesa w dziedzinie nauk przyrodniczych i dziejach sztuki lekarskiej“ (r. 1892), o „Szczątkach dawnej polszczyzny“ d-ra B. Erzepki, o bibliograficznym spisie i streszczeniu prac dotyczących fizyografii W. Ks. Poznańskiego przez d-ra Fr. Chłapowskiego. Nadto ks. kanonik Kubowicz w pięknej rozprawie biblijnej, która świadczy o wielkiej erudycyi i oczytaniu, rozwiązuje pytanie, gdzie leżała biblijna ziemia Gessen i w którem miejscu przeszli Żydzi morze Czerwone (r. 1890).

Roczniki te dla dziejów oświaty i życia umysłowego w Wielkopolsce mają jeszcze z tego względu doniosłe znaczenie, iż prawie każdy tom zawiera w kronice pośmiertnej dłuższe życiorysy zmarłych członków Towarzystwa. Nie są to suche daty biograficzne, ale piękne portrety literackie, kreślone nietylko ciepłą ręką przyjaciela, lecz i wytrawnem piórem krytyka. W tym dziale nekrologii mieści się historya dokładna naszych usiłowań i prac na polu zachowania narodowego ducha i bytu

Takie portrety, jak ks. J. Korytkowskiego, d-ra Teofila Mateckiego, d-ra A. Jagielskiego i innych — znać powinien każdy, komu zależy na poznaniu i ocenianiu tej mozolnej pracy i walki.

Tom ostatni, XX-ty Roczników z r. 1894, poświęcony został długoletniemu prezesowi Towarzystwa, A. hr. Cieszkowskiemu, który właśnie niedawno przedtem ukończył był pięćdziesiąt lat naukowego i pisarskiego swego zawodu. Pamiętamy jeszcze żywo, jakich to serdecznych owacyj przedmiotem był nieboszczyk we wrześniu 1893 r., kiedy to w Poznaniu cały świat polski składał mu dowody uznania i hołdu. Iżby chwila ta uroczysta nie przebrzmiała z ucztą i echem toastów, wydano w tomie XX-tym Roczników nietylko dokładny opis jubileuszu, ale nadto St. Tarnowski dołączył piękne i bogate w poglądy głębsze studyum pod tytułem: „Przegląd prac naukowych hr. A. Cieszkowskiego“. Tym sposobem dzieło pamięci jubilata poświęcone, i treścią swą jego osobę czytelnikowi przypomina i uprzytomnia. Nadto doborem artykułów historycznych, społecznych i filozoficznych staje tom ten o wiele wyżej od niejednego ze swoich poprzedników. Ks. biskup E. Likowski daje „Rzut oka na wewnętrzny stan Cerkwi ruskiej przed unią brzeską“, ks. Kujot na podstawie badań Jarochowskiego przedstawia „Sprawę toruńską z r. 1724“ we właściwem świetle, osądzając trzeźwo wypadki i ludzi. Do znanych już źródeł przybyło mu nowe z biblioteki Sczanieckich w Nawrze, nieopodal Torunia. Fr. Habura podał wiele zdrowych myśli w rozprawie: „Prawa, warunki i środki postępu ludzkości“.

Są tu nadto prace d-ra J. Milewskiego, Małeckiego, Kraushara, Bogusławskiego i innych — a wszystko to świadczy o żywotności wielkiej i działalności Towarzystwa.

Oto pokrótce przedstawiony duchowy dorobek skromnego i niegłośnego żywota Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Jak widzimy, pracuje ono wytrwale w raz obranym kierunku zdrowym i rozumnym, gromadzi około siebie i skupia wybitniejsze imiona naukowej sławy i przechowuje troskliwie przekazane przez ojców tradycye wielkie i piękne. Słowa słusznego uznania tej wytrwałej pracy pragnęliśmy złożyć w krótkiem sprawozdaniu niniejszem, a kończymy życzeniem coraz większego rozwoju Towarzystwa pod nowym zarządem dla dobra i chwały całej ojczyzny, dla dobra i chwały Wielkopolski.

Ks. A. Boc.

II. Rocznik Kółka Naukowego tarnopolskiego za rok 1893. Nakładem Kółka Naukowego tarnopolskiego. W Tarnopolu 1894.

Parę lat temu zawiązało się w Tarnopolu Kółko naukowe, które przeszłości naszej pamiątki zbiera, przed zapomnieniem je chroni, jakby pełniąc słowo poety:

Synu ziemian i rycerzy!
Wielki skarb w twych dziejach leży:
Dobądź go z pod ojców strzechy.

I oto skarb taki dobyty złożył się na II. Rocznik Kółka.

Dwojakiego rodzaju prace tu spotykamy: z działu przyrody i historycznego.

Między pierwszemi daje p. Roman Gutwiński obraz, a raczej „Ogólny pogląd na glony okolic Tarnopola i Trębowli". Są to cenne badania profesora, który, odbywając wycieczki przyrodnicze, ich wynik ogłasza. Nie jest to monografia wyczerpująca — taką obiecuje p. G. w sprawozdaniu Komisyi fizyograficznej Akademii Umiejętności — ale praca dla szerszej publiczności przeznaczona. Inną zupełnie jest praca p. Władysława Satkego „O zawisłości ciepłoty w następujących po sobie miesiącach i porach roku w Tarnopolu", której dane statystyczne na źródłach oparte i uczona metoda Plantamoura zastosowana do nich, czynią rzecz zajmującą dla specyalnych studyów. „Las kutkowiecki", skreślony przez p. Schneidera, zajmuje trzecie miejsce z kolei — a jak się wyraża *Muzeum*, ma podwójną niepoślednią wartość, raz jako obraz flory małego, dobrze ograniczonego obszaru ziemi podolskiej, drugi raz jako tak pożądany przewodnik dla uczniów w wycieczkach naukowych do miejsca opisanego. Najbardziej jednak z tego działu przystępnym i szerszą publiczność zainteresować mogącym jest artykuł p. J. Kobaka „O pszczelnictwie na Podolu galicyjskiem". Było ono ważną zawsze gałęzią gospodarstwa na Podolu, a sławne te miody wyrabiane w kraju, rozchodziły się daleko, szeroko — dziś to upadło. Owo zaś jest i było, daje panu K. pole do zajmującego skreślenia dwu epok pszczelnictwa. W pierwszej, łagodniejsze niż dzisiaj stosunki klimatyczne i gospodarcze wpływały dobrze na rozwój gospodarstwa pszczelnego. Prowadzono je sposobem starym bez szkoły, z tradycyi, pszczoły hodowano w „zatnorowych stojakach podolskich", ale dochody były wielkie i pewne. Od pół wieku rzeczy się zmieniły. Ks. Dzierżon a potem Julian Lubieniecki ulepszyli znacznie gospodarkę pszczelną — powstała szkoła jej w Przemyślanach, a wystawa tarnopolska 1894 r.

wykazała znaczny wzrost dochodu z racyonalnego zajmowania się pasieką. Zdawało się, że nowa era nastanie. Tymczasem rok 1893 wykazuje upadek. Wycięcie lasów i zaostrzenie się zatem klimatu, to jedna z tych przyczyn, wszelako najważniejsza, to nieuctwo samych pszczelarzy i... nowe wynalazki w rękach nieumiejętnych. „Przedewszystkiem nie o ule, nie o miodniarkę, ale o wiedzę starać się trzeba". Ludzie naukowi niech prowadzą z zyskiem gospodarstwo ulepszone — lud prosty lepiej przy ulepszonych ulach Lubienieckiego zostawić, nie namawiać do miodniarek. Słowa słuszne i tem bardziej na czasie, im więcej ginie drobnych majątków wskutek owych melioracyj, które opłacą się przy nauce fachowej i przy wielkich dobrach, lecz nie na małym folwarczku, zwłaszcza jeśli właściciel sprowadziwszy maszynę jest wielkim gospodarzem — na ottomanie.

Lecz dość już o tem; przejdźmy do części historycznej.

Dwie pierwsze monografie są pióra p. Józefa Nogaja: „Mikulińce" i „Kościół parafialny w Tarnopolu". Pierwsza daje nam poznać wznowienie lokacyi miasteczka, leżącego nad Seretem, na prawie magdeburskiem, oraz organizacyę cechów w niem, kreśli krótko początek jego i dzieje. Druga jest znakomitym przyczynkiem do dawnych dziejów naszych świątyń, o których dziś się prawie nic nie wie. Opowiada więc autor starania o wybudowanie kościoła rz.-katolickiego tarnopolskich panów, zmiany ich i powody, że zamiar ich długo do skutku nie przychodził, wreszcie okoliczności, w których go Tomasz i Katarzyna Zamojscy wznieśli 1623 r. Nie stanął on od razu, ani zbytnią odznaczał się okazałością — często ulegał zniszczeniu w najazdach, lecz wreszcie wykończony (wedle szczegółowego opisu p. N.), miał czasy, gdzie kupił w sobie wiele ludności — a uposażenie miał też nie skąpe w aparaty kościelne. Dwa bractwa: Niepokalanego Poczęcia, założone przez OO. Jezuitów od r. 1687, i potem od r. 1740 bractwo Różańcowe, istniały przy kościele. Parafia była rozległa (18 wsi prócz Kłodna do niej należało), ale stosunkowo nieliczna, bo w r. 1700 wynosiła ledwie 4000 dusz. Niedługo wszelako utrzymać się mogła przy tym kościele, który rząd austryacki roku 1784 rozebrał dla względów bezpieczeństwa.

Pozostaje nam jedna jeszcze praca, Тернопôль и его околиця, napisana przez ks. Piotra Bilińskiego. Odbitka jej wyszła już przedtem, to co jest w Roczniku jest tylko połową, traci więc wiele na wartości to umieszczenie jej tutaj.

Brak tu metody naukowej, dygresyj wiele; czasem i uczucie

autora zbyt silnie na jaw wychodzi, jak w owym żałobnym trenie (że ustęp ten tak nazwę) o ks. K. Ostrogskim na str. 87, który raczej w pamiętniku niż w historyi znaleśćby mógł miejsce. Zresztą rozprawkę czyta się z zajęciem. Znajdziesz tutaj szczegóły o powstaniu Tarnopola, założonego przez Jana Tarnowskiego 1540 r., o jego ludności pierwotnej składającej się z Rusinów, Polaków i Żydów, o ich zajęciu i cechach, o obronie i najazdach. W te ostatnie zaś szczególnie dzieje miasta są obfite. Tatarzy i bunty Chmielnickiego w kronikach jego zapisują się często; atoli one nie niszczą silnej twierdzy. Ludność rośnie, rosną i świątynie; autor mówi obszernie o ruskich, ale też i o łacińskich, o ile ma materyały, a nawet spotkasz tu podanie o owej pięknej bóżnicy żydowskiej, która stać miała jeszcze dawno przed założeniem Tarnopola, tylko zasypana, bo właśnie tam Żydzi śmieci i gałgany wysypywali, i dopiero kiedyś żydziaki takowe zbierając, na mur natrafili i odkopali skarb swój tak ukryty.

Po czasach świetnych, spotyka się smutne dla miasta. Dżuma r. 1770 zabiera mu około 10.000 ludności. W dwa lata potem rozpoczyna się ta zmiana rządów, kiedy to w przeciągu lat niewielu Tarnopol przechodził z rąk Austryi do Rosyi i znowu z powrotem. Wśród opowiadania znajdziemy tam jeszcze raz wspomniany napływ Żydów, spowodowany wypędzeniem ich ze wsi, i tak dochodzimy z autorem do naszego wieku. Wprowadzenie Jezuitów i ich szkoły, — ustęp widno, że przyjacielskiem piórem kreślony — zanotowany fakt, że O. Jan Markianowicz w tarnopolskiem gimnazyum pierwszy rozpoczął wykłady języka i literatury polskiej r. 1834, kiedy nikomu o tem w całej Galicyi się jeszcze nie śniło — oto karty lat ostatnich i ostatnie też artykuły w Roczniku. Autor pisze bezstronnie, bez jadu, żółci, ani uprzedzeń — notuje fakta skrzętnie; szkoda tylko, że czasem nie udowadnia tego co powiedział, np. kiedy przypuszcza, że Tarnopol nie jest jednego miasta osadą — lub że nie cytuje na czem się opiera mówiąc, że syna Chmielnickiego Jana powiesili, kiedy poważni dziejów badacze, jak Morawski („Dzieje“, t. III., str. 264), wspominają wyraźnie o utopieniu wraz z Maryną w Jaiku.

Zamiar Towarzystwa szczęśliwy — Rocznik zdradza usilność o zebranie wiadomości tyczących się kraju; nic więc nie pozostaje, jak życzyć szczęśliwego rozwoju dziełu poczętemu i oczekiwać dalszych prac — szczególnie tak nam milych, jak praca ks. Piotra Bilińskiego.

Wł. Rejowicz.

Wspomnienia artysty. *Leonard Lepszy.* Ilustrowane urywki z pamiętnika. W Krakowie. W księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1895.

Ozdobnie wydana, małego formatu, z bardzo udatnemi i czysto wykonanemi ilustracyami Edwarda Lepszego, książeczka zawiera wspomnienia ucznia krakowskiej Szkoły sztuk pięknych z przed laty kilkunastu.

W pierwszym obrazku p. t. „Wycieczka“, opowiada nam autor o majówce uczniów do Tenczynka, opisuje zamek, podaje plan jego budowy, wspomina o dyrektorze Szkoły, Matejce, odsłaniając nam te rysy jego charakteru, które go czyniły ulubieńcem uczniów. Pod przybranem nazwiskiem wprowadza na widownię kolegów, przytacza udatny żart Żelskiego, znanego i teraz wśród artystów dowcipnisia, który podczas wypoczynku w zamku charakteryzuje kolegów swych i profesorów jako zwierzęta z menażeryi, dając każdemu, odpowiednią jego charakterowi, nazwę i cechy. O dyrektorze odzywa się w ten sposób: „Lew, małego wzrostu a weliką grzywą i takowego głośnego ryku, że jak w swej klatce zariczi, tak go slichać sem aże pak w pariskiem mieście — jego to pak królem tich tu wszystkich nagromadzonych zwierząt mianują“.

Drugi rozdział poświęcony jest charakterystyce profesorów szkoły. Należało tu wypuścić wzmiankę dość długą o „Słodkowskim“. Choćby ta wzmianka we wszystkich szczegółach była prawdziwa, nie zgadza się jednak ze swobodnym tonem pamiętnika, a szczególnie z kryptonimem, pod jakim ów pan występuje: tego rodzaju rewelacye albo się wypowiada wprost, podając prawdziwe nazwisko, albo się o nich milczy. Dużo miejsca poświęca tutaj p. Lepszy Matejce, wyrażając się z najwyższem uznaniem i czcią o jego charakterze, wpływie na uczniów i t. d.

Następne rozdziały: „Życie koleżeńskie“, „Źródła utrzymania“, „Modelki i modele“, są miłym i sympatycznym wizerunkiem wesołych i smutnych chwil z życia artystów, z których niejeden zajmuje obecnie wysokie w świecie artystycznym stanowisko. Książeczka ta jest skromną, a o ile wiemy, pierwszą próbką, przyczynkiem do historyi Szkoły, która rozniosła sławę sztuki polskiej daleko poza granice ojczyste; wielceby było pożądanem, ażeby ktoś z artystów, a wiemy, że jeden z głośnych i znanych tem się zajmuje, opisał, dopóki pamięć szczegółów nie zatarła się, obszerniej dzieje tej instytucyi.

A. M. Kurpiel.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Hieronymus als Litterarhistoriker. Eine quellenkritische Untersuchung der Schrift des hl. Hieron. „De viris illustribus". Von *Stanislaus von Sychowski.* Münster. H. Schöningh. 1894. (Cena 4.60 m.).

Aby młodych teologów, poświęcających się specyalnie studyom historyi kościelnej, zachęcić i wprawić do pracy literackiej, założyli trzej profesorowie historyi kościelnej przy uniwersytetach w Bonn (prof. Schroers), w Monachium (Knoepfler) i akademii w Monasterze (prof. Schalek) osobne czasopismo (*Kirchengeschichtliche Studien.* Münster. H. Schöningh), które, prace w historycznych seminaryach tychże wszechnic wykończone, bezpłatnie publikuje. Już czwartą z rzędu publikacyą akademii monasterskiej jest powyższa monografia naszego rodaka, która mu zarazem służyła za dyssertacyę doktorską.

Takie samo uznanie, jakiem cieszy się św. Augustyn jako najgłębszy i najoryginalniejszy myśliciel z pomiędzy łacińskich Ojców Kościoła na polu idealnem, należy się bezsprzecznie pod względem formalnym św. Hieronimowi, mianowicie jako tłumaczowi Pisma św. i egzegecie. Bez porównania mniejsze, w każdym razie jednak zasługi nie do zapoznania, położył św. Hieronim i w historyografii; prace jego historyczne są jednak po największej części tylko okolicznościowemi owocami wolnych chwil tego do bezczynności niezdolnego umysłu, i z tego też jedynie punktu widzenia winny być sądzone. O tem jednak zapomniano prawie zupełnie w dotychczasowej ocenie pisma *De viris illustribus,* które św. Hieronim za namową naczelnika Pretoryanów Dextera napisał (r. 392 w Betleem), „aby poganom imponującą liczbą 135 sławnych mężów chrześcijańskich udowodnić, że chrystyanizm nie jest tylko religią nieokrzesanych wieśniaków". Z wyjątkiem św. Augustyna w starożytności, a w nowszych czasach Tillemonta, wszyscy mniej lub więcej sławią *De viris illustribus,* jako „jedną z najcenniejszych prac św. Hieronima, charakteryzującą krótko a trafnie wspominanych mężów" (Nirschl, *Patrol.*). Do tego i podobnych sądów w najostrzejszem stoją przeciwieństwie słowa Ad. Harnacka, który dzieło *De viris ill.* porównywa z „podartym łachmanem żebraczym, przez którego dziury przeziera tylko próżność autora". Po której stronie prawda? Aby to pytanie rozstrzygnąć, dr. S. podjął się krytycznych badań nietylko kilku rozdziałów — jak zwykle dotąd się działo — lecz całego pisma św. Hieronima: nietylko podanych przez św. Hieronima, lecz także i niewymie-

nionych przez niego źródeł. Praca d-ra S. dzieli się na trzy części: w pierwszej podaje powstanie, cel i dotychczasową ocenę *De viris ill.* i dowodzi (przeciw zarzutom Ebrarda) całości przechowanego nam tekstu: w drugiej przedstawia w zarysie rezultat swych źródłowo-krytycznych badań, by go potem w trzeciej, najważniejszej części, odpowiedniemi do każdego prawie zdania w całości przedrukowanego tekstu (według wydania Vallarsi'ego) dodanemi uwagami uzasadnić i objaśnić. Skutkiem takiego podziału widział się autor w drugiej i trzeciej części niestety nieraz zmuszonym do niepotrzebnych powtarzań.

Rezultat pracy d-ra S. jest w krótkości następujący: wartość książki *De viris illustribus* jest nie tak realną, jak formalną, i leży głównie w tem, że stała się jakoby kamieniem węgielnym nowej dyscypliny teologicznej, patrologii. Aby poznać jej realną wartość, trzeba w niej dwie części rozróżnić (r. 1—81 i r. 81—135). Druga część, samodzielna praca św. Hieronima, jest i dla nas jeszcze źródłem pierwszorzędnej wartości; jej zawdzięczamy niejednę wiadomość, którąby inaczej w zapomnieniu była zaginęła. Pierwsza atoli (r. 1—81), obejmująca pisarzy greckich pierwszych trzech wieków i kilku autorów łacińskich, jest z wyjątkiem kilku tym ostatnim poświęconych rozdziałów tylko ekscerptem z historyi kościelnej Euzebiusza w języku łacińskim. Skutkiem tego jako źródło ma naturalnie już tylko podrzędną wartość. Ale i ta zmniejsza się jeszcze, ponieważ skutkiem pobieżności i nieuwagi św. Hieronima z jednej, a braku krytyki i łatwowierności z drugiej strony, do tłumaczenia wkradł się niejeden fałsz historyczny, którego w oryginale, tj. w historyi Euzebiusza, nie znajdujemy. Otwarte wyznanie tej prawdy, którą zresztą nowsze, ale nie tak gruntowne opracowanie tego samego przedmiotu w *Wiener Studien* potwierdza, kosztowało naszego autora niemało przezwyciężenia; że jednak ostatecznie miłość historycznej prawdy i otwartości zwyciężyła, za to tak samo jak za całą pracę, dowodzącą wielkiej pilności i sumiennej akuratności, słuszne należy się autorowi uznanie. Ani poszanowanie dla wielkiego Doktora Kościoła, który przecież dopiero po ciężkich walkach stał się świętym, ani powaga i świętość naszego Kościoła samego przez to nie ucierpi. Wybaczy nam jednak szanowny autor, jeżeli umotywowanie zarzutu, że w całem tem piśmie św. Hieronima zdaje się tendencya autoglorifikacyi przebijać, nie możemy uważać za dostateczne. Św. Hieronim już wtedy cieszył się wielkiem literackiem uznaniem, nie potrzebował zatem sztucznie starać się o powiększenie swojej aureoli. Posiadając sam wielki księgozbiór, a mając nadto jeszcze i łatwy

przystęp do poblizkiej biblioteki w Cezarei (spalonej dopiero w VII. w.), mógł był wszystkie omawiane książki sam czytać, potem jednak, innemi pracami naglony, musiał ograniczyć się na powtórzeniu sądu Euzebiusza. Nie cytując zaś swego źródła, nie mógł się nawet spodziewać, że przez to sam zyska opinię większej uczoności, gdyż historya kościelna Euzebiusza zanadto była znaną, aby zależność od niej nie miała się wkrótce wykazać... przynajmniej w tych kołach, na których opinii mogło św. Hieronimowi ewentualnie jedynie zależeć. Właśnie z dosłownego często tłumaczenia, bez własnych dodatków, możnaby wnosić, że św. Hieronim nie starał się wcale ukryć swej zależności. Błędy i nieuzasadnione dodatki tłumaczy spieszność w pracy i tendencya apologetyczna książki.

Lecz gdyby nawet podobny zarzut miał więcej prawdopodobieństwa za sobą, niekoniecznie trzeba było go wymieniać; rozsądny czytelnik byłby go pomiędzy wierszami wyczytał. Do dostatecznego uzasadnienia tak ciężkiego zarzutu nie wystarczają krytyczne badania jednego dziełka św. Hieronima.

M. W.

L'arrière boutique de Saint Antoine. Par *M. Etienne Joure.* Paris. Retaux.

Czytamy w Skardze, iż w dniu, kiedy Rzym obchodził podniesienie na ołtarze Pańskie św. Antoniego, dzwony Lizbony, miejsca urodzenia padewskiego Cudotwórcy, same się rozbujały i uderzyły w hymn radości i uwielbienia. Podobnież i dziś, jubileusz Antoniowy, w Padwie przy jego grobie uroczyście święcony, porusza w Lizbonie, nie już dzwonów, lecz ludzi serca, zgromadzone w katolickiem zebraniu i wiecu, aby uczcić wielkiego ziomka stwierdzeniem wierności Kościołowi i pobożnego dla niego samego uczucia.

Nabożeństwo do Świętych Pańskich ulega, wskutek niestałości rzeczy ludzkich, pewnemu falowaniu, które to gorętszem uderza tętnem, to znów obojętniej występuje, o dawnych zapominając dobrodziejstwach. Aż oto znów z woli bożej, nowe powody wdzięczności odświeżają w sercach zaniedbaną i ostudzoną pobożność, a święty patron, w tej lub owej wzywany potrzebie, występuje z pełniejszą darów ręką i częściej, skuteczniej wzywanem orędownictwem. Patrzymy na takie ożywienie czci jednego z nich w tej chwili. Jakby dla rzewniejszego obchodzenia siódmego stulecia narodzin św. Antoniego, jałmużnictwo chleba, ubogim pod jego wezwaniem i w jego imieniu rozdawanego, rozgrzało dawne do wiel-

kiego Świętego nabożeństwo. Ulubiony to patron krajów południowych: Włochy, Portugalia, Brazylia, wyprzedzają się w jego czci i hołdach. Ale i Polska, może skutkiem dawnych stosunków z wszechnicą padewską, osobnem zawsze pałała uczuciem do św. Antoniego, mnożąc ołtarze pod jego wezwaniem i chętnie dzieci na chrzcie św. oddając pod jego opiekę. I katolicka Francya nie dała się wyprzedzić w hołdach, owszem, przyczyniła się niemało w ostatnich latach do powiększenia sławy i czci padewskiego Cudotwórcy. Komuż dziś nieznana instytucya „Chleba św. Antoniego", oraz onej początek i zawiązki, w skromnym sklepiku miasta Tulonu? Wiadoma jest ogólnie przygoda owej poczciwej kupcowej, która nie mogąc w żaden sposób otworzyć sklepowej kasy nawet przy pomocy ślusarza, wezwała przyczyny św. Antoniego, ślubując, iż zasili chlebem umiłowanych przezeń ubogich, byle ją wysłuchać raczył. I oto zepsuty, zatrzaśnięty zamek od razu dał się zwykłym otworzyć kluczem, pobożna zaś praktyka jęła się coraz bardziej upowszechniać. Garnęli się najprzód znajomi, później obcy pielgrzymi do ubogiej sklepowej izdebki, aby u stóp posągu św. Antoniego składać jałmużny na chleb dla ubóstwa, i wypraszać sobie łaski osobne. Niebawem, nie sama tylko Francya jęła dostarczać pątników, przybywało ich do Tulonu z zagranicy, grosz św. Antoniego urastał w krocie, chleb ubogich rozmnażał się cudownie, spłacając długi wdzięczności za otrzymane łaski. Dostojnicy Kościoła przyklękali tu obok portowych marynarzy lub wiejskich prostaczków. A tymczasem uboga tulońska sklepikarka wyrastała bezwiednie na apostołkę nabożeństwa do św. Antoniego. Ofiara chleba ubogich nie zacieśniła się w granicach Francyi, ogarnęła niebawem cały świat katolicki, nie omijając i kraju naszego. Wystarczy wspomnieć, iż przy kościele św. Marcina, w biednym lecz skorym do jałmużn Poznaniu, puszka chleba św. Antoniego w pierwszym zaraz miesiącu dała tysiąc marek na wyżywienie głodnych. Rzecby można, iż padewski Cudotwórca zapragnął usprawiedliwić położoną w jego orędownictwie ufność, stwierdzić wiarę i ogrzać pobożność swych czcicieli, w tym jubileuszowym roku mnożąc wyproszone łaski i otrzymane dowody pomocy. Starodawne mniemanie i tradycya przypisuje św. Antoniemu szczególniejszą moc w dopomaganiu do odnalezienia zagubionych przedmiotów. A jeśli istotnie doświadczać wciąż przychodzi skutecznego jego pośrednictwa w odzyskiwaniu zarzuconych lub straconych rzeczy, czemużby nie uciekać się do jego przyczyny i w sprawach donioślejszych, błagać go o odzyskanie tylu zagubionych, zatraconych rzeczy, jak wolność, jedność, mir społeczny, cnoty przodków? Gdybyż to dobry święty

Antoni zaopiekować się raczył i robotami naszemi chrześcijańskiemi, czynami miłosierdzia i miłości, upadającemi nieraz z braku ludzi, z braku wytrwałości; gdyby nam dał odszukać, niby perły zagubione w sianie, owe pojedyńcze zapały i poświęcenia, któreby wzmocniły działanie zbyt szczupłej garstki pracowników, przeciążonych obowiązkami, zadaniami, robotami, bo ich niema na kogo rozłożyć: zaczem gdy przyjdzie co wykonać, zawsze ci sami tylko rękę uznojoną do pługa przykładają, na wzór owego żołnierskiego gminu, który wiecznie zabijać się daje! Do wielkich rzeczy powołujemy orędownika zgubionych przedmiotów, znając moc zwycięską jego przyczyną. Książka zaś, której tytuł wypisujemy powyżej, napisana jest z gorącem uczuciem, gotowem i czytelnika ogarnąć. Autor jej, p. Jouve, przez czas dłuższy stał na czele wybitniejszego w Marsylii czasopisma. Obrzydziwszy sobie politykę, od kilkunastu lat ukochał dzieła miłosierdzia, tak bujnie rozwijające się na francuskim gruncie, i osobnem uczuciem zapalił się do praktyki „chleba św. Antoniego". Zaczem w niniejszej książce, barwnej jak powieść, ścisłej jak dzieło historyczne, potrafił złożyć coś z własnej duszy, tchnącej najżywszą wiarą i nabożeństwem do św. Antoniego, oraz miłością ubogich.

M.

Le régime sauveur, ou la Communion dans les maisons d'éducation. Par *le Père J. M. Lambert.* Paris. Oudin.

Pod koniec skróconego pracą i umartwieniem zawodu, gdy już stał na czele zakładu wychowawczego w Sorèze, O. Lacordaire przybywszy raz na krótko do Paryża, głuchym się okazywał na zaklęcia przyjaciół usiłujących go zatrzymać wśród siebie, choćby jeszcze przez dni parę. — „Zostać nie mogę i nie chcę, powtarzał, bo właśnie teraz wypadnie spowiedź moich chłopców, a niepodobna obliczyć różnicy, jaką jedna komunia mniej lub jedna więcej sprawić może w życiu młodzieńca!" Słowo to wymownego Dominikanina w pamięci naszej odżyło wobec książki, której tytuł wypisujemy powyżej. Znany z prac eucharystycznych ks. Lambert upatruje rozwiązanie zagadnień chwili obecnej w częstej, bodaj codziennej komunii, ocalającej ginące społeczeństwo ukształtowaniem młodego pokolenia silnego, czystego, wierzącego, jakiem bywało za najświetniejszych wieków chrześcijaństwa. A z góry postanowioną tezę popiera, nie osobistem tylko zdaniem lub doświadczeniem, lecz obfitością dokumentów stwierdzających błogie skutki tego, co nazywa *Le régime sauveur*, zbawieniem ludzkości i świata.

Fakta, listy, wymowne świadectwa piętrzą się, mnożą, urastają w księgę, do jednego zmierzającą celu, jeden nasuwającą wciąż postulat: Jeżeli częsta, codzienna komunia podobne odnosi skutki w zakładach wychowawczych, gdzie się przyjęła: czyż nie należy wszelkich dokładać starań, aby upowszechnić oną cudowną w następstwach i owocach praktykę?

Rodzice, wychowawcy, kierownicy wyższych zakładów, wszyscy, którym sprawa odrodzenia młodzieży leży na sercu, pozbędą się ostatku uprzedzeń i skrupułów jansenizmem zasianych, czytając owe listy pełne uroku i przeczystej woni, pozwalające wejrzeć w dusze młodzieńców, codziennie zasilanych chlebem żywota; zdumieją się świadectwem tych rektorów i nauczycieli, którzy sami podziwiają doniosłość otrzymanej przemiany i jednozgodnie wołają: Rezultat przeszedł najśmielsze nasze oczekiwania; w tem tedy tkwi sedno prawdy, tu schodzimy z pola jałowych spekulacyj, a stajemy na gruncie ocalonej religii, odrodzonej duszy chrześcijańskiej.

Nie ograniczając się na zebraniu mnóstwa dokumentów, O. Lambert sam stawia i odpiera zwycięsko rzekome trudności, sprzeciwiające się uogólnieniu częstej komunii w zakładach naukowych. Nie pomija żadnego szczegółu ni szkopułu, najdelikatniejsze potrąca kwestye, na każde zagadnienie odpowiada z wytrawnością nabytego osobiście w stosunku do szkolnej młodzi doświadczenia. Życzyć tylko można, aby niniejsza książka rozpowszechniła się w świecie całym, zyskując wpływ pożądany, oraz wskazując niezawodne lekarstwo na rozkład społeczny, przez zaprowadzanie w zakładach naukowych praktyki, która skuteczność swą ujawnia za dni naszych, potrzebujących, podobnie jak w pierwszych wiekach chrześcijańskich, ukrzepienia dusz manną niebieską, często, bodaj codziennie przyjmowaną, ażeby wytrzymać i przetrzymać cięższe próby i uciski.

M.

La vraie Jeanne d'Arc. I. La Pucelle d'Orléans devant l'Église de son temps. (I. vol. in 4⁰). 15 fr. Paris. Gaume et Comp. 1890.

La vraie Jeanne d'Arc. II. La paysanne et l'Inspirée, d'après ses aveux, les témoins oculaires et la libre pensée. (I. vol. in 4⁰). 15 fr. — Par *Jean Bapt. Joseph Ayroles* de la Comp. de Jésus. 1894.

Już w listopadowym zeszycie zeszłego roku wspomnieliśmy o rozległej literaturze wszystkich niemal cywilizowanych narodów o Dzie-

wicy Orleańskiej. Od tego czasu bibliografia zanotowała kilkanaście nowych dzieł w tym samym przedmiocie, my zaś dziś chcemy wzmiankę zrobić choć o jednej z najważniejszych prac na tem polu, mianowicie o dwóch dziełach O. Ayroles, które i rozmiarami imponują i treścią swą zwracają na siebie uwagę. Zjawiają się one w tej właśnie chwili, kiedy świat katolicki, a zwłaszcza Francya, gotuje się do powitania na ołtarzach dziewiczej wyswobodzicielki uciśnionej ojczyzny św. Ludwika.

Sam przez się sympatyczny przedmiot, nierównie jeszcze większe budzi zajęcie dla każdego historyka, zwłaszcza kiedy się tyle za i przeciw naczytało. Dla nas Polaków, w stuletniej epoce najazdu, ucisku i niewoli, natchniona postać Dziewicy Orleańskiej ma w sobie coś tak ujmującego i tak przemawiającego do serc naszych, że mimowoli zapominamy, iż to dla Francyi wybrała ją Opatrzność i koniecznie chce się nam wierzyć, że takie zjawisko i taka cudowna pomoc prędzej czy później i do naszej zstąpić musi niedoli. Nieodżałowanej pamięci mistrz Matejko, co tak umiał czuć wespół z całym narodem i myśli jego czarem swego pendzla na płótnie odtwarzać, to samo w duszy czuć musiał, kiedy w rzędzie obrazów z dziejów naszych pomieścił — Dziewicę Orleańską.

Uczony a niespracowany Jezuita, a przytem nieodrodny syn Francyi, O. Ayroles, zrozumiał ważność przedmiotu i doniosłość obecnej chwili, gdzie rozpanoszony na wszystkich polach racyonalizm radby zetrzeć z powierzchni ziemi nietylko wiarę, ale i to wszystko, co nosi na sobie jej namaszczenie i jej aureolę: i dlatego z podziwienia godną pracowitością i nauką życie swe całe poświęca wyjaśnieniu dziejów dotyczących dziewicy z Dom Rémy. Skutkiem tego powstały te dwa iście pomnikowe dzieła w obronie osoby i opatrznościowego posłannictwa Joanny d'Arc, a ma ich być aż pięć, by dopełnić takiego cyklu badań nad tą kwestyą, któremuby nic ująć i nic dodać nie można [1].

Rzeczywiście o tych dwóch dziełach, jakie mamy przed sabą, to samo chyba wyznać trzeba. Z dowodami w ręku, którym nikt autentyczności zaprzeczyć nie zdoła, autor rozdziera tkaninę kłamstw i oszczerstw Micheleta, Quicherata, Henryka Martin, Luce'a i innych — i dowodzi, że naród francuski i Kościół katolicki słusznie uwierzył w nadprzy-

[1] Oprócz dwóch obecnie omawianych dzieł, zapowiedział autor jeszcze: *La Libératrice d'après cent et quelques chroniques at autres documents de l'époque; La Vierge guerrière* etc. etc. i *La Martyre d'après son procès, les témoins oculaires et la libre pensée.*

rodzone posłannictwo Joanny. Nie dziwimy się przeto, że i episkopat Francyi i uczeni i pisma katolickie i sam Ojciec św. Leon XIII. są pełni podziwu i pochwał dla niestrudzonego szermierza prawdy, co z takiem poświęceniem a z taką sumiennością i siłą nietylko umiał zwycięsko prawdę obronić, ale i jednę z najciekawszych kart dziejowych z takiem zajęciem odmalować w najdrobniejszych niemal szczegółach.

Ks. Wład. Czencz.

Góry i doliny. Wiersze i pieśni *Włodzimierza Šťastnego.* W Bernie 1894. (Hory a doly. Verše a písně *Vladimíra Šťastného.* V Brně 1894).

Drobne kwiaty. Wiersze *Włodzimierza Šťastnego.* W Bernie. (Drobné květy. Verše *Vladimíra Šťastného.* V Brně).

W smutnej naszej epoce *fin du siècle,* gdy rozmaite ujemne prądy, nurtujące w dziedzinie myśli ludzkiej, zatruwają niezdrowem swem tchnieniem nawet czystą sferę poezyi, wiodąc jednych jej adeptów do dekadentyzmu, drugich do mglistego, nieokreślnego symbolizmu, innych zaś wreszcie do pesymizmu, graniczącego z zupełną negacyą najwznioślejszych duchowych pierwiastków: nader miłe wrażenie sprawia każdy utwór, który do serca czytelnika przemawia głosem prawdziwego, z góry zaczerpniętego natchnienia, poruszając w niem najbardziej dźwięczne struny, jakie sam Bóg tam nawiązał. Każda taka książka jest tem dla ducha, czem dla fizycznego organizmu bywa wydarcie się choćby na chwilę z duszącej atmosfery jakiegoś ludzkiego mrowiska i odetchnięcie wolną piersią na łonie przyrody. To właśnie wrażenie pozostawiają po sobie dwa powyższe tomiki ulotnych poezyj p. Włodzimierza Šťastnego, jednego z wybitniejszych przedstawicieli religijnego kierunku piśmiennictwa w Czechach, który w obecnej dobie zdobywa tam coraz więcej utalentowanych pracowników, jak naprzykład Bouszka, Skalika, Bulanta i t. d. Z tego też względu oba te zbiorki poezyj zasługują na to, ażeby bliżej nieco zapoznać się z ich treścią.

Utwory, zawarte w książce pod tytułem *Hory a doly,* podzielił autor na cztery cykle: „Z lasu“ *(Z lesa),* „Z wędrówek nad Dyją“ *(Z potulek Podyjim),* „Studenci na wakacyach“ *(Studenti na hradě)* i „Obrazki z podróży“ *(Obrazky z pouti).* Trudno zaiste określić, który z czterech tych działów większą posiada wartość, pomimo bowiem odrębnej nieco treści, wszystkie tętnią tak szlachetnem i szczerem uczuciem, pod względem zaś formy tak starannie są wykończone, że niepodobna żadnemu z nich przyznać przed innemi pierwszeństwa. W pierwszym z tych cy-

klów, a mianowicie w utworach pod tytułem: „Bazylika“ *(Velechrám)*, „Nowe powitanie“ *(Nové uvítání)*, „Las — morzem“ *(Les — mořem)*, *(Te Deum)*, „Jak się las modli“ *(Jak se les modlívá)*, poeta wiedzie czytelnika do wspaniałej świątyni, w której zamiast filarów, wysmukłe, ciemne sosny piętrzą się ku niebu. Tam każdy szmer listka, podług wyrażenia pieśniarza, jest struną harfy, dźwięczącej na chwałę Bożą, poważny zaś szum drzew wstrząsanych burzą i wichrem, to jakby organy, które głoszą światu: „Święty! Święty! Święty Pan!“ Dlatego też las tak wszystkich zaprasza do siebie:

Kto wiarę w Boga stracił już,
W rozumie swym prawd szuka,
Niech przyjdzie do mnie, w szkole mej
Dlań znajdzie się nauka.

I ten niech przyjdzie, komu świat
Nadziei wydarł skarby,
Bo powie mu mój każdy kwiat,
Kto śliczne dał mu farby.

A komu serce w martwy głaz
Zastygło może w łonie,
Niech przyjdzie też, pod tchnieniem
Miłością znów zapłonie.

Kdo viru v Boha pozbyl tam
A rozum samou vědou:
Ať ke mné přijde do školy
A počne abecedou.

A komu v světa matohách
Svit důvěry se trati,
Ať přijde: každé kvitko mé
Mu povi, kdo je šati.

A komu srdce vyhaslé
Už ztuhlo v chladný kámen,
Ať přijde, ja svym dechem zas
Je znitim v lasky plamen.

Nietylko wszakże skarbnica przyrody, otwarta *en gros*, że się tak wyrazimy, budzi w poecie zachwyt i uwielbienie, ale każdy kwiat, ptak lub motyl ściąga na siebie jego uwagę i do poważnych, smętnych niekiedy skłania refleksyj. Posłuchajmy naprzykład jego rozmowy z jednym z najpospolitszych kwiatów, zdobiących łąki i lasy:

Komu to dzwonisz
Na wątłym trzonku
We dnie i w nocy,
Modry mój dzwonku?

Tysiąc żywotów
Co dzień rozkwita,
Więc je mój dzwonek
Na świecie wita.

Tysiąc żywotów
Chłoną też groby,
Więc im wydzwaniam
Piosnkę żałoby.

Komu to vyzvániš
Na útlém stonku
Za dne i za noci,
Modry ty zvonku?

Tisice kolkolem
Životů zkvitá
Ty všecky zvonek můj
V Boži svět vitá.

Tisice kolkolem
Ve hrob se kloni,
Těm hrany smutečné
Zvonek můj zvoni.

W innym kierunku zwraca się myśl poety w cyklu „Wędrówek nad Dyją“, tam bowiem stąpa on ciągle po zwaliskach z odległej, ja-

śniejszej doby, po zgliszczach i gruzach dawnej potęgi i sławy swej ojczyzny. To też na ruinach starej baszty, która niegdyś była świadkiem krwawych walk i świetnych zwycięstw, duch przeszłości wzywa poetę do spełnienia pięknego, chociaż trudnego narodowego posłannictwa:

Na baszcie tej raz herold stał,
Róg jego w dal posępnie brzmiał;
„Oblega gród najeźdźców rój,
Załogo dzielna, idź na bój!
I miecz ująwszy w mężną dłoń,
Ty królewskiego grodu broń!“
Tak brzmiał donośny rogu śpiew,
Aż czeski nasz zwyciężył lew!
Dziś ty, poeto, stoisz tu,
Gdzie wszystko objął letarg snu
Zniszczono wał, co zamku strzegł,
I nieprzyjaciel wokół legł.
Więc jeśli masz cudowny róg,
To zatrąb weń, aż zadrży wróg,
Niech ci co zmarli, życiem drgną,
By obmyć klęskę sławą swą!

Na baště té kdys hlásny stál,
Roh jeho rykem duněl v dál:
„Hrne se k hradu vrahů voj,
Bojovná chaso, vzhůru v boj!
Kde kdo jsi dobrý, k boji vstaň,
A svému králi hradu braň!“
Tak duněl roh, — pak boje řev,
Až vitězem byl česky lev!
Nyni tu stojiš, pěvče ty,
A vůkol spánek staletý.
Zasypán val a stržen most,
A kolkol vrahů dosť a dosť.
Maš-li roh zpěvu čarovný,
Zaduj zpěv dávný, bojovný.
Kdož mrtvi jsou, ať ožiji
A trosky slavou pokryji!

Niedługo jednak zczerniałe gruzy przykuwają do siebie lotną wyobraźnię pieśniarza, bo szmer strumyka, woń kwiatów, a zwłaszcza widok ubogiej wiejskiej kapliczki Najświętszej Maryi Panny, opisany malowniczo w wierszach „U źródła“ i „Kwiat na ruinach“, spędzają niebawem troskę z jego czoła, z piersi zaś wydobywają gorący hymn dziękczynny:

Dzięki Tobie, dobry Boże,
Za to niebo jasne,
Pod niem bowiem chwalą Ciebie
Moje myśli własne!

Dzięki za szmer, którym ciągle
Dźwięczy bór wspaniały,
Bo się dusza uczy z niego
Śpiewać hymn Twej chwały!

Dzięki Ci za kwiatek wonny,
Co na drodze wita,
I za miłość Twą, co szczęściem
W duszy mej rozkwita!

Za prąd łaski, co do lasów
I do dusz się zlewa,
Dzięki wreszcie za tę rosę,
Co z ócz, z kwiatów spływa!

Diky Tobě, Bože dobry,
Za to jasné nebe,
Pod kterým ma mysl volná
S plesem chváli Tebe!

Diky za ten šum a hlahol,
Kterým bory zvuči,
S nimž ma duše chválu Tobé
Zpivati se uči!

Dik za každe kvitko milé,
Jež mne cestou vitá,
A jež Tvoji laskou v srdci
Květem blaha zkvita!

Za dech lásky, jež tak sladce
Lesem, duši vane,
Diky za tu rosu, která
Z kvitek, z oči kane!

W cyklu „Studenci na wakacyach“, opatrzonym, niby godłem, słowami znanej pieśni *Gaudeamus igitur!* poeta wierny temu hasłu, kreśli wesołe, barwne obrazki, nacechowane młodzieńczą werwą i animuszem. I tu jednak nie zapominając ani na chwilę, że lutnia jego ważne przed sobą ma zadanie, budzi on w młodzieży tętno patryotycznego zapału, miłość rodzinnej mowy i słowiańską solidarność, wolną jednak od panslawistycznych tendencyj, a wreszcie w pieśni zbiorowej każe jej stanąć na straży wszechludzkich ideałów prawdy i dobra, oraz dążyć wspólną pracą do ich osiągnięcia.

Ostatni nakoniec cykl, oznaczony nazwą „Obrazków z podróży“, rozpada się jeszcze na dwa mniejsze działy: „Z Hostynia“ oraz „Ze świata i życia“. Silna i głęboka pobożność cechuje wszystkie utwory poświęcone hostyńskiej świątyni, tej czeskiej Jasnej Górze, którą podobnie, jak i naszą Częstochowę, oblegali groźni nieprzyjaciele i która miała również swoich Kordeckich i Pułaskich. Echo tego religijnego nastroju dźwięczy także w następnych utworach, świadczących nader korzystnie o poglądach i zasadach, jakie poeta potrafił wysnuć z własnego życia i świata.

Jeżeli ulotne piosnki, wyśpiewane wśród gór i dolin, czarują wdziękiem formy i umiejętnością czytania w księdze przyrody, która tam na każdej przebija się karcie, to natomiast drugi zbiorek poetyckich utworów, noszący nazwę *Drobné květy*, bardziej poważny i refleksyjny nosi na sobie charakter. Autor, sam głęboko wierzący, zwraca się do tych jedynie, co podzielają religijne i moralne jego zapatrywania, mówiąc w swej dedykacyi:

Poświęcam was temu oku,	Věnuji vás tomu oku,
Które sercem czytać umie,	Které srdcem čisti umi,
Poświęcam was temu sercu,	Věnuji vás tomu srdci,
Co najlepiej was zrozumie.	Jež vam nejlip porozumi.

Następnie wziąwszy za motto słowa Zbawiciela: „Jam jest droga, prawda i żywot“, p. Šťastny przyobleka w poetycką szatę ośm ewangelicznych błogosławieństw. Krótkie te wiersze, kreślone na temat z góry oznaczony, nie posiadają naturalnie swobodnego i lekkiego polotu, przez co tracą wiele z artystycznej swej wartości. Toż samo da się zarzucić i kilku innym utworom, jak naprzykład „Ofiara“ *(Obět)*, „Wartość czasu“ *(Cena času)*, „Prawdziwa mądrość“ *(Prava moudrost)*, „Jednego tylko trzeba“ *(Jednoho jest potřebí)* i t. p., które też należą do słabszych kreacyj poety. Stanowią one jednak nieliczne tylko wyjątki, o których z ła-

twością się zapomina, gdy obok nich znajdzie się naprzykład następujący ustęp:

Ojcze nasz! — Słuchajcie, o narody,
Wyrzeczone słowo odkupienia!
Stary świat się burzy, a świat młody
Z bożych dzieci tworzy się plemienia.

Spada jarzmo z niewolnika ramion,
Każdy żyje prawdą i wolnością,
Najpiękniejsze wznosi się ze znamion,
A to znamię zowie się miłością.

Rycerz miecz, a król koronę składa,
Wszyscy, Boże, zgodnie wielbią Ciebie,
Wśród twych dzieci milknie wszelka zwada,
„Ojcze nasz! któryś jest na niebie“ [1].

Ponieważ zaś poeta postawił sobie za jedyny cel, jak się wyraża, „wcielać stare, wzniosłe prawdy w swoich rymów proste słowa“, dlatego też niema żadnego bodaj objawu duchowego życia człowieka, żadnego uczucia, pragnienia, lub marzenia szlachetniejszym właściwego jednostkom, któremuby nie poświęcił choć kilku tonów swej lutni. Ze wszystkich tych utworów odnosi się wrażenie, iż wysnuły się one z natchnionej piersi poety, w której wszystko, co zbliża do bożego tronu, silny znajduje oddźwięk. Tak naprzykład na zapytanie, co to jest piękno, następującą znajdujemy tam odpowiedź:

Co to jest piękno? — Boskiej, świętej twarzy
Odblask w zwierciedle przyrody,
Który się gwiazdą na niebiosach żarzy
I w falach odbija wody.

---

[1] Otče náš! — O! slyšte, národové,
Slovo výkupné jest vyrčeno,
Stary svět se boří — z trosek nové
Vstává Božich ditek plemeno.

Pada jařmo s otrokovy šije,
Pravdou každý bude svoboden —
Jedno pouto kolem všech se vije
A to snuje svatá láska jen.

Vitéz meč, kral korunu svou skláda
S kmetem ditě Boha velebi;
Ditky jsou, — již tichne svar a váda:
„Otče náš, Ty jenž jsi na nebi!“

Co to jest piękno? — Zdrój, skąd dobro płynie,
Jak z nieba promyk słoneczny,
I cierń w kwiat zmienia, a głazy w świątynie,
Mowę zaś ludzką w hymn wieczny [1].

I teraz jednak nie zapomina poeta, że chociaż myślą i duszą powinniśmy być w niebie, dłonią wszakże musimy grzebać w ziemi, oraz że Bóg dał każdemu z nas ojczyznę, „będącą tem w życiu ziemskiem, czem raj jest w pozagrobowem". Nader piękny wyraz znalazło to uczucie patryotyzmu w wierszu, którym jako jednym z najbardziej udatnych zamykamy niniejszą charakterystykę utworów p. Šťastnego:

Gdym stanął raz na szczycie gór,
Gdzie orły gniazda mają,
Tom czuł, że skrzydła z orlich piór
Mej duszy wyrastają.

Gdzie lecieć mam? Nad smugą pól,
Czy wzbić się do obłoków,
Gdzie krąży orzeł jako król
Śnieżystych górskich stoków?

I duszę mą nad skalny grzbiet
Prąd uniósł dobroczynny,
Lecz się jej lot tam zwrócił wnet,
Gdzie wzywał kraj rodzinny.

Stál jsem na hoře vysoké,
Kde orli maji sídla,
A cítil jsem, jak duši me
Též rostou orlí křídla.

Kam dá se letem? — V temnou dál —
Či do závratné výše,
Kde krouží orel jako král
Té ledné horstva říše?

A větru proud kol zavířil,
A duše v pouť se dala,
Však let její, hle, zamířil
Kam drahá vlasť ji zvala.

T. Sopodžko.

[1] Co jest krása? — Boži svaté tvaři
Odlesk na zrcadle přírody,
Kterým hvezda na nebesich září,
I ta pomněnka tam u vody.

Co jest krása? — Všeho blaha pramen.
Jako s nebe ten svit slunečný;
Trny v růže měni, v chramy kámen,
A řeč lidskou v hymnus pověčný.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Międzynarodowy kongres lizboński. — Wiec katolickich robotników w Paryżu. — Kwestya pojedynków w parlamentach. — List papieski do Koptów. — Dwudziestopięcioletnia rocznica zajęcia Rzymu.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES LIZBOŃSKI.

Katolickich kongresów krajowych, prowincyonalnych, odbywa się wciąż tak dużo, że niepodobna zwrócić na wszystkie uwagi; dwa kongresy, które w ostatnich tygodniach się zebrały: robotniczy w Paryżu i międzynarodowy w Lizbonie, nosiły, z samego swego założenia, odrębną od innych cechę i choćby z tej tylko przyczyny obudziły wszędzie żywszą ciekawość. Kongres lizboński wchodził w skład uroczystości jubileuszowych, któremi cała Portugalia: Kościół, dwór królewski, rząd, wojsko, marynarka czciły siedmiosetletnią rocznicę urodzin Ferdynanda z Bulpoes, znanego w całym katolickim świecie pod nazwą św. Antoniego z Padwy. Obrady kongresu rozpoczęły się 25 czerwca w wielkim kościele św. Wincentego i trwały do 30 czerwca. Zamiarem inicyatorów: patryarchy i nuncyusza lizbońskiego, było zebrać na te dni w stolicy Portugalii najznakomitszych katolickich mężów stanu i uczonych z całego świata. Rozliczne przeszkody, między któremi jedną z ważniejszych było samoż geograficzne położenie Lizbony, nie dozwoliły temu planowi w całej

pełni się rozwinąć. Prócz Portugalii odpowiedziały wezwaniu głównie Hiszpania i Włochy; katolicy z innych krajów zadowolnić się musieli przesłaniem pism i telegramów z ubolewaniem, że nie mogą osobiście wziąć udziału w wielkiem katolickiem święcie.

Pomimo tego, jak wogóle uroczystości jubileuszowe, tak w szczególności katolicki wiec świetny miał przebieg i spodziewać się można, że znacznie się przyczyni do ożywienia katolickiego ducha, katolickiego ruchu w Portugalii. Przedstawiciel katolickich związków we Włoszech, ks. Tolli, przedstawił w głównych zarysach historyę dzisiejszego katolickiego ruchu w różnych krajach i podniósł konieczność walki na wszystkich punktach, ale wedle jednego, wspólnego planu. Arcybiskup z Algarve wystąpił w obronie zakonów i w pięknym obrazie odmalował usługi oddane przez nie Kościołowi, a w szczególności i Portugalii w zamorskich misyach. Wszystkie kraje, wszystkie narody umieją ocenić działalność zakonów w zamorskich swych koloniach; tylko Portugalczycy zamknęli zakonom bramy, a natomiast przepuszczają protestantów, propagujących idee i towary — oczywiście nie portugalskie, ale niemieckie, angielskie... Profesor katolickiego uniwersytetu w Lille, de Pascal; Jan Taniolo, profesor wszechnicy pizańskiej; Dominikanin Hickej, przełożony irlandzkiego kolegium w Rzymie i paru jeszcze innych mówców poświęcili swe uwagi nowoczesnemu socyalizmowi. Emanuel Anaquin starał się wyłuszczyć, czem jest hypnotyzm w stosunku swym do boskich i ludzkich praw. Jak widzimy, lizbońscy mówcy nie cofnęli się przed żadnem zagadnięciem, które żywiej w tej chwili umysły porusza; dowiedli praktycznie, co jeden z nich teoretycznie na początku obrad zaznaczył: Kościół niesie zawsze naprzód przed narodami pochodnię wiedzy i wszystko co prawdziwą wiedzę rozszerza i prawdziwej wierze służy.

Na kongresie padły niejednokrotnie gorzkie słowa, wymierzone przeciw ospałości Portugalii w wierze, przeciw rządowej nietolerancyi dla Kościoła i jego instytucyj. Istotnie, wiemy skądinąd, że ta nietolerancya nieraz bardzo dotkliwie daje się odczuwać. Tymczasem, gdyby tylko sądzić z ostatnich uroczystości,

nie byłoby na świecie państwa i rządu szczerzej i wyraźniej katolickiego. Patronat nad uroczystościami jubileuszowemi objął sam król z królową; teatra prześcigały się w wystawianiu pobożnych misteryów, osnutych na tle życia św. Antoniego; w ostatnim dniu kongresu przeciągnęła po ulicach stolicy uroczysta procesya, w której wzięły udział wszystkie warstwy społeczne; minister spraw zagranicznych zaprosił do siebie zagranicznych członków kongresu, a następnie król Karol gościł w swym pałacu wszystkich bez wyjątku członków. Niech pozorne te czy istotne sprzeczności godzi, kto może. Prawda, że w bliższych i o wiele lepiej znanych nam Austro-Węgrzech, możnaby *mutatis mutandis* z podobnemi sprzecznościami się spotkać. Cudzoziemiec, coby dajmy na to znał Austryę tylko z wiedeńskiej procesyi Bożego Ciała, nie mógłby z pewnością zrozumieć toczącej się obecnie w Węgrzech walki kulturnej, wierzyćby nie chciał, aby mogła mieć taki przebieg, jaki niestety ma. Czemuż rząd i dwór lizboński nie mógłby mieć jakiegoś podobieństwa do wiedeńskiego?

WIEC KATOLICKICH ROBOTNIKÓW W PARYŻU.

Doroczny wiec francuskich „katolickich kółek robotniczych“ przyniósł w tym roku niemniej ciekawe i pocieszające szczegóły, jak w latach poprzednich. Pomimo licznych trudności, z jakiemi „kółka“ muszą walczyć, rozwijają się one ciągle i wzmacniają. Obecnie z inicyatywy i pod protekcyą zarządu „kółek“ powstały liczne „Związki dla studyów społecznych“. Niektóre z nich obznajamiają swych członków z obecnym stanem kwestyi socyalnej, zaprawiają ich do publicznych dysput i wykładów; inne łączą z teoretycznemi i bardziej praktyczne usiłowania, starają się o polepszenie materyalnego bytu robotników w swych okręgach i wysyłają swych delegatów na wszelkiego rodzaju socyalistyczne, półsocyalistyczne i zupełnie niesocyalistyczne zgromadzenia robotnicze. Zwłaszcza katolicka młodzież garnie się do tych związków i z zapałem poświęca każdą wolną chwilę sprawie społecznej. W wielu seminaryach zaprowadzono socyalne kursa. W Val des Bois, gdzie kwitną fabryki Harmela, prawdziwego, w najlepszem słowa tego znaczeniu, chrześcijańskiego socyalisty, zjeżdża się regularnie w pierwszy

piątek każdego miesiąca około 30 księży i obradują nad praktycznem wprowadzeniem w życie zasad wyłożonych w encyklice papieskiej: *De conditione opificum*... Katoliccy posłowie do parlamentu dokładają ze swej strony wszelkich starań do zreformowania w części błędnego, w części niedostatecznego prawodawstwa społecznego. Na wnioskach w tym kierunku, na dobrych chęciach w żadnem stronnictwie nie zbywa; wszyscy, do jakiejbądź partyi należą, rozumieją, że tak jak jest, zostać dłużej nie może, że coś zrobić trzeba; ale co zmienić, co zrobić? Prawie wszyscy mówcy oświadczyli się przeciw zbytniemu mieszaniu się państwa w sprawy robotnicze, specyalnie przeciw zaprowadzeniu państwowej asekuracyi; natomiast zalecają gorąco zakładanie prywatnych stowarzyszeń wzajemnych ubezpieczeń. Ale co najbardziej w tej chwili potrzebne, to oświecenie robotnika; oświecony, rozumny robotnik nie wpadnie w sidła podstępnych agitatorów, czyhających na jego pieniądze i na jego duszę. Dlatego tak wielkiej wagi są rozwijające się na wielką skalę naukowe związki robotnicze i robotnicze katolickie kongresy. W ostatnim tylko roku zwołano we Francyi ośm takich kongresów.

„Nasze związki i wiece — stwierdzał Harmel w końcowem przemówieniu — są żywym protestem przeciw największemu nieszczęściu obecnych czasów, przeciw wygórowanemu indywidualizmowi. Najskuteczniejszym środkiem do celu, to apostołowanie robotników przez robotników. Najprzód powstały związki robotnicze, i wszędzie gdzie w należyty sposób istotę ich pojęto, przyniosły nadzwyczajne owoce. Za niemi poszły ludowe sekretaryaty, w których robotnicy świadczyli sobie nawzajem usługi. Związki kobiece rozszerzyły się jakby cudownie, dzięki gorliwości pań, którym w ofiarności sprostać trudno. Nasze związki robotnicze istniały, wspaniale rozwijały się już od 24 lat; od czasu wielkich pielgrzymek robotniczych do Rzymu, nowa epoka dla nich nastała, nowy duch w nie wstąpił. Idee przemieniły się w czyny. Niedość jeszcze dotąd rozumiemy, jaki wpływ osiągnąć można, zapalając przed robotnikami światło prawdy... Największem nieszczęściem brak światła, brak wiedzy; temu nieszczęściu zapobiedz mają socyalne stowarzyszenia naukowe... Stowarzyszeniom

tym mamy do zawdzięczenia, że teraz już socyaliści nie mogą bezkarnie głosić bluźnierstw, szerzyć błędów; wiedzą, że spotkają się oko w oko z rozumnym przeciwnikiem, który każdy błąd sprostuje, na każdy zarzut da odpowiedź... I kongresy nasze częstsze być muszą, bo dziś u nas jedynie za pośrednictwem i za pomocą kwestyi socyalnej dojdziemy do zwycięstwa w kwestyi religijnej. Przecież tak postępował i boski nasz Mistrz, chcąc sobie zjednać serca ludu!... Robotnicy nasi szli razem z socyalistami i anarchistami do szturmu przeciw społeczeństwu, aby wypędzić zeń Boga, usunąć na bok rodzinę, własność, ojczyznę; teraz złączyli się z rosnącemi z dnia na dzień szeregami nawróconych i idą do szturmu przeciw społeczeństwu, ale nie na to aby je zniszczyć, lecz aby je utrzymać, aby zatknąć na niem krzyż i wskrzesić panowanie Chrystusowe. Oni, a nie kto inny, rozpędzą żydowskie i wolnomularskie hordy, które ssą, rujnują, bezczeszczą ojczyznę naszą...“

KWESTYA POJEDYNKÓW W PARLAMENTACH.

Dawniej pojedynkowa manja grasowała głównie między złotą młodzieżą uniwersytecką, oficerską; dziś poważni przedstawiciele narodu w sejmach i parlamentach pozazdrościli jej laurów. Gazety peszteńskie, paryskie, rzymskie, tak często donoszą o pojedynku między tym a tamtym posłem, że przestało to już uwagę na siebie zwracać. Tem większą zasługę mają posłowie, którzy nie zrażając się lekceważącem przyjęciem, jakiego doznają ich wnioski i słowa, wskazują raz po raz na tę ranę dzisiejszego społeczeństwa i domagają się, aby istniejące na papierze prawa przeciw pojedynkom weszły nakoniec w życie.

W Izbie włoskiej zapytał poseł Morandi ministra sprawiedliwości, jak długo jeszcze antypojedynkowe prawo służyć będzie za przedmiot ironicznego śmiechu wszystkich, którzy wiedzą doskonale, że jest ono martwą literą, nigdy w praktyce nie zastosowywaną. „Jak długo? — odparł minister. — Tak długo, jak się to będzie parlamentowi podobać, który z zasady nie pozwala na sądowe ściganie swych członków, oskarżonych o pojedynek; prokuratorzy rządowi spełniają swój obowiązek, przeprowadzają śledztwo, ale wobec takiego postępowania parlamentu są wprost

bezsilni"... „Gdyby ministrowi wojny — wyrażał pobożne życzenie w delegacyi austryackiej poseł Salvadori — udało się wykorzenić z armii żelazną ręką manję pojedynków, uwolniłby nas od bardzo wielkiego złego"... Zapewne, gdyby... Gdyby węgierscy zwłaszcza posłowie sami tak często, dla lada błahostki, nie chwytali za szpady i pistolety, łatwiejby było i ministra wojny nakłonić do energiczniejszej obrony istniejących bądź co bądź praw!

LIST PAPIESKI DO KOPTÓW.

Usiłowania papieskie, podjęte w celu zjednoczenia ze Stolicą Apostolską schyzmatyckich kościołów, zaczynają przynosić owoce. Apostolski prowikaryusz katolickich Koptów, Antoni Kabis, przesłał Ojcu św. zbiorowe pismo wielu schyzmatyckich koptyckich naczelników, w którem wyrażają gorące pragnienie porzucenia jakobickich błędów i złączenia się z Kościołem katolickim. W odpowiedzi na to pismo, wysłane pod datą 11 czerwca, Ojciec św. wyraża głęboką swą radość z powodu powziętego postanowienia przez koptyckich naczelników i dziękuje Bogu, że mu radość tę zgotował. „W dawnych wiekach kościół aleksandryjski złączony był najściślejszemi węzłami miłości i synowskiego posłuszeństwa z Kościołem rzymskim. Sam Piotr, książę Apostołów, założył przez swych uczniów kościół aleksandryjski i nim rządził... Najsłynniejsi aleksandryjscy biskupi: Dyonizyusz, Piotr Męczennik, Anastazy, Cyryl, byli — wedle pochwały oddanej im przez św. Celestyna I. — obrońcami katolickiego dogmatu i odznaczali się najgłębszą czcią dla powagi rzymskiego papieża... Eugeniusz IV. przyjął — pod koniec wielkiego soboru florenckiego — świetne poselstwo Koptów i Egipcyan i pojednał, ku wielkiej radości Kościoła, aleksandryjską stolicę z rzymskim papieżem. Niestety! niebawem nastąpił znów opłakania godny rozdział. Pomimo tego papieże nie ostygli w swej miłości dla narodu Koptów; Pius IV., Grzegorz XIII., Innocenty XI. i XII., Klemens XI. i XII., Benedykt XIV., Pius VII., wzywali ich niejednokrotnie do jedności, jak to zresztą sami w ostatniem swem piśmie zaznaczyliście".

„Co się nas tyczy — ciągnie dalej Ojciec św. — to od samego początku panowania naszego troszczyliśmy się o religijne

wasze dobro; i szczęśliwi jesteśmy, że umieliście ocenić te nasze chęci i starania. Przedewszystkiem staraliśmy się zapewnić wam duchowną pomoc Ojców z Towarzystwa Jezusowego, którzy wspomagają was misyami, wychowują waszą młodzież, starają się o przygotowanie jej do stanu kapłańskiego. Następnie wysłaliśmy do was w podobnymże celu afrykańskich misyonarzów z Lugdunu... Zadośćuczyniliśmy również waszym życzeniom i zamianowaliśmy dla was biskupa, pochodzącego z narodu waszego, a odznaczającego się nauką, roztropnością i życiem wzorowem... Ufamy, że za pomocą bożą uda nam się zrobić dla was wiele jeszcze więcej. Ale i wy ze swej strony zachowujcie nieskalaną, nienaruszoną wiarę; starajcie się o pomnożenie dobrych szkół, z których dzieci wasze wychodziłyby prawdziwymi chrześcijanami; wzmacniajcie się we wspólnej miłości, obejmującej zarówno wszystkie stany, zarówno księży, jak ludzi świeckich. W ten sposób, tak wzajemnie się kochając, zachęcicie najprędzej i najłatwiej braci od Kościoła jeszcze odłączonych, aby weszli do jednej bożej owczarni. Wtedy i aleksandryjski kościół dawną świetnością rozkwitnie, jak sobie tego tak gorąco życzycie... Módlmy się, aby święta Rodzina, która z rozkazu bożego w kraju waszym przez czas pewien mieszkała i złożyła w sercach waszych przodków nasienie boskiej nauki i łaski, zwróciła na was z nieba miłosierne swe oczy i uposażyła was bogato darem dawnej pobożności!"...

25-LETNIA ROCZNICA ZAJĘCIA RZYMU.

Dwudziestego września przypada 25-letnia rocznica zajęcia Rzymu przez wojska włoskie. Data i rocznica niechwalebna, i dla wojska i dla państwa i dla sabaudzkiej dynastyi; pomimo tego, czy raczej właśnie może dlatego, parlament rzymski ogłosił pod naciskiem Crispiego dzień ten narodowem świętem. „Niezmierna większość deputowanych— uważa słusznie *Osservatore Romano*, pisząc o smutnem tem wotum — z pewnością w głębi duszy albo płakała nad tym oryginalnym i arcyniepotrzebnym wnioskiem, albo się z niego ironicznie śmiała. Ale ciężka ręka prezesa ministrów zawisła nad swą dzierżawą ibiedacy nie śmieli wynurzyć się z ukrytemi swemi myślami. Przeciw nagłemu traktowaniu wniosku oświadczyło się

tylko 26 głosów; przy tajnem głosowaniu liczba przeciwników wzrosła do 62... A zatem naród ma teraz nowe święto, święto zrodzone nie z patryotycznego uczucia, ale — jak to poseł Prinetti z godną uznania odwagą w Izbie oświadczył — z nienawiści papiestwa. Teraz główne pytanie, czy naród chce tego święta; czy lud rzymski świeczki zapali: *Sanctissimo Venti Settembre?* Na 508 posłów, z których składa się Izba, rzuciło za niem swe gałki 204; mniej więcej ten sam to stosunek, co przy słynnym plebiscycie z 2 października 1870".

„Był czas, — kończy katolicki organ swe uwagi — w którym cezaryzm postawił pomnik z dumnym napisem: *Deleto nomini christiano* — na pamiątkę zniszczenia chrześcijaństwa. Przyszedł później czas, w którym mówiono, że świat cały pokłonił się Aryuszowi. Kiedyindziej znowu cesarze niemieccy nazywali papieża swym wasalem. Kiedyindziej papieże przebyli 70 lat poza Rzymem... Nie tak dawno temu ogłoszono światu: ‚Pogrzebaliśmy ostatniego papieża'. Nie tak dawno temu żołnierz-despota ogłosił się cesarzem rzymskim, a synowi swemu nadał tytuł rzymskiego króla. Był nakoniec czas, w którym założono w Rzymie drugą rzeczpospolitą i ogłoszono ją jako wieczną, niewzruszoną; tak jak teraz zdobycie Rzymu zowie sie niewzruszonem. A to wszystko stało się nie w przeciągu 25 lat, ale w przeciągu blizko 19-tu wieków... I cóż wobec tego znaczy ‚narodowe święto'"?

Ks. Jan Badeni.

Rzut oka na współczesną niemiecką katolicką prasę.

Mamy przed sobą niewielką, lecz wielce ciekawą książeczkę pod tytułem: *Handbüchlein der katholischen Presse.* Widać z niej jak na dłoni cały współczesny ruch dziennikarski wśród katolików niemieckich, świadczący korzystnie o ich gorliwości, wytrwałości i energii w służeniu dobrej sprawie. Całą prawie treść powyższej książki stanowią tytuły, nazwiska dziennikarzy i cyfry, lecz są one bardziej wymowne, niż wiele wodnistych artykułów, rzucają bowiem jaskrawe światło z jednej strony na działalność licznego grona ludzi, powołanych do

obrony piórem najdroższego sobie skarbu, to jest wiary katolickiej i jej interesów, z drugiej zaś na uznanie, jakie usiłowania ich i trudy znajdują wśród czytającej publiczności.

Dziś, gdy katolicy czują coraz bardziej, że są Kościołem wojującym, gdy z jednej strony muszą odpierać napaści, z drugiej walczyć o swe prawa, z innej znowu zapobiegać szerzeniu się szkodliwych, a nawet zabójczych dla organizmu społecznego prądów, lub szukać antydotu przeciw tej truciznie: zestawienie takie ich publicystycznej akcyi tem bardziej jest na czasie i tem więcej każdego katolika zainteresować potrafi.

Największy i najszerszy stosunkowo wpływ posiadają dzienniki, bądź poświęcone wyłącznie polityce kościelnej, bądźteż traktujące politykę świecką, międzynarodową i państwową, lecz redagowane w duchu katolickim. W Niemczech cyfra ich jest dość pokaźna, bo wynosi ogółem 306 dzienników, z których 143 wychodzi w Prusach Zachodnich i prowincyach nadreńskich, 5 w Prusach Wschodnich, 14 na Szląsku, tyleż w Hanowerze, 3 w Saksonii, 4 w Brandeburgii, 16 w Księstwie Nassauskiem, 64 w Bawaryi, 10 w Królestwie Wirtemberskiem, 5 w Wielkiem Księstwie Oldenburskiem, 9 w Hessyi i 19 w Wielkiem Księstwie Badeńskiem. Nadto Szwajcarya posiada 33 katolickie dzienniki, Wielkie Księstwo Luksemburskie 3, jedna zaś nawet taka gazeta wydawana jest w Księstwie Lichtenstein Dla nas naturalnie najbardziej ciekawe są dane, dotyczące monarchii Habsburskiej, a z których widzimy, że w chwili obecnej Austro-Węgry liczą 58 dzienników politycznych o wybitnie katolickim nastroju, wydawanych w języku niemieckim. W samej stolicy wychodzi ich 14, po kilka zaś na Węgrzech, Morawie, Czechach, Tyrolu, Styryi, oraz Górnej i Dolnej Austryi. Trochę to za mało wobec tak obfitej powodzi rozmaitych *Anzeigerów*, *Press* i *Blattów*, których kierunek pod względem religijnym wiele, lub nawet wszystko pozostawia do życzenia.

Większa część powyższych dzienników ujrzała światło dzienne w ostatnich paru dziesiątkach lat, niektóre z nich jednak mają już kilkudziesięcioletnią przeszłość za sobą, pomiędzy niemi zaś znajdujemy nawet paru zasłużonych weteranów, jak naprzykład: *Oberschwäbischer Anzeiger*, wychodzący w Rawensburgu (Wirtembergia) od roku 1803, i młodszy od niego o rok jeden *Freisinger Tagblatt*, wydawany w miasteczku Freising w Bawaryi.

Wreszcie umysłowego pokarmu dla Niemców-katolików, osiadłych w Stanach Zjednoczonych, dostarcza 40 przeszło organów katolickiej

prasy, rozrzuconych na całej przestrzeni tej niezmierzonej rzeczypospolitej; są to jednak przeważnie już nie gazety codzienne, ale tygodniki polityczne, największą zaś poczytność zdobył sobie *Herold des Glaubens*, wydawany od r. 1850 w Saint Louis, Mo, przez towarzystwo znane pod nazwą *German Printing and Publishing Association*.

Przechodząc do dzienników politycznych, do czasopism tygodniowych, oraz miesięczników lub kwartalników, zaznaczyć najprzód musimy ruch ściśle religijny w prasie niemieckiej, którego owocem jest 34 czasopism teologicznych i 39 ascetycznych lub popularno religijnych. Ze względu na poważną treść, w najbliższym szeregu zasługuje na uwagę parę kwartalników filozoficznych, wydawanych w Fuldzie i Wrocławiu, tyleż historycznych, których nakładcą jest czynna i ruchliwa firma katolicka Herdera we Fryburgu, a wreszcie dwa wydawnictwa, poświęcone naukom ścisłym, w których wiedza ludzka nietylko nie bierze rozbratu z religią, ale owszem uchyla przed nią czoła, jako przed wyższą od siebie potęgą. Takim właśnie duchem odznacza się przedewszystkiem nader cenny i ciekawy miesięcznik naukowy pod tytułem *Natur und Offenbarung*, wychodzący w Monasterze. W dalszej perspektywie widzimy 8 czasopism misyjnych i 3 pokrewne im do pewnego stopnia czasopisma geograficzno-etnograficzne, do których, niezupełnie zresztą słusznie, zaliczono niemieckie wydawnictwo *Missyj katolickich*, biorąc widocznie za samą treść to, co służy jedynie za tło dla obrazu ewangelizacyjnej działalności. Kwestyą wychowawczą trudnią się 34 specyalne czasopisma, ekonomiczne zaś, prawne i społeczne rozbierane są w 15 miesięcznikach lub tygodnikach. W dość korzystnem świetle występuje uprawa muzyki kościelnej, mająca obecnie w języku niemieckim aż 13 czasopism na swoje usługi, a między niemi słynną wśród znawców muzyki *Harmonia Sacra*. Dodajmy nadto 8 czasopism estetycznych, 27 popularnych przeglądów literackich, 41 tygodników dla dorosłych, młodzieży i dziatwy, które w ponętnej, beletrystycznej formie podają swym czytelnikom wzniosłe chrześcijańskie prawdy, a wreszcie 15 specyalnych organów rozmaitych bractw i stowarzyszeń. W obecnej przeto chwili katolicy niemieccy posiadają 243 czasopism; jeżeli zaś dodamy do tego 444 dzienniki polityczne, wychodzące w języku niemieckim w rozmaitych zakątkach Europy i Ameryki, to otrzymamy ogólną, dość imponującą cyfrę 687 organów katolickiej prasy. Nawiasem dodać należy, że w *Handbüchlein der katholischen Presse* pominięto jeszcze kilka dzienników, wydawanych

na drugiej półkuli, a między innemi parę gazet, redagowanych przez Polaków, jak np. Schmidta w San-Paolo i Wróblewskiego w Sydneju.

Zasługuje również na uwagę, że wszystkie niemal powyższe dzienniki i czasopisma mają, dzięki gorliwemu poparciu ogółu katolików niemieckich, zapewnioną egzystencyę, niektóre zaś z nich, jak np.: *Die christliche Familie, Monika, Der Schutzengel, Katholisches Sonntagsblatt* i kilka innych, liczą przeciętnie po 50.000 prenumeratorów.

Nie poprzestając atoli na prywatnych pojedyńczych usiłowaniach w celu krzewienia katolickich zasad i obrony Kościoła, katoliccy Niemcy wiążą się jeszcze ze sobą w rozmaite stowarzyszenia, stawiające sobie za zadanie popieranie prasy. W cesarstwie niemieckiem głównem takiem stowarzyszeniem jest *Augustinus-Verein zur Pflege der katholischen Presse*, założone w r. 1877 w Crefeldzie nad Renem i rozkrzewiające się powoli lecz stale w prowincyach nadreńskich, Westfalii oraz południowo-zachodnich Niemczech. Zadaniem jego jest załatwianie materyalnych interesów prasy, wspieranie zubożałych literatów, obsadzanie posad redaktorów lub współpracowników katolickich pism, a zwłaszcza ułatwianie jednomyślnej działalności katolickich dziennikarzy w kwestyach najbardziej będących na czasie. W monarchii austro-węgierskiej na czele takich stowarzyszeń stoi tak zwana *Christliche Presse für Oesterreich*, utworzona niedawno temu w Wiedniu. Statuta tego Stowarzyszenia brzmią w główniejszych punktach jak następuje:

§ 1. Cel. — Stowarzyszenie *Christliche Presse* ma na celu gorliwe popieranie niezależnej prasy chrześcijańskiej w Austryi. Działalność jego rozciąga się na wszystkie królestwa i kraje, reprezentowane w austryackiej Radzie Państwa.

§ 2. Środki. — Powyższy cel ma się osiągać: *a)* za pomocą publicznych zebrań; *b)* za pośrednictwem odpowiednich broszur; *c)* przez popieranie dzienników, harmonizujących z celem tego Stowarzyszenia, a zwłaszcza przez założenie i utrzymywanie organu samego Stowarzyszenia w Wiedniu.

§ 3. Siedziba. — Stałą siedzibą Stowarzyszenia katolickiej austryackiej prasy jest Wiedeń, pojedyńcze jednak zebrania jego członków mogą się odbywać i w innych miejscach, byleby tylko w obrębie terytoryum oznaczonego w § 1.

§ 5. Obowiązki. — Na pokrycie wydatków Stowarzyszenia, osoby pragnące do niego należeć, płacą przynajmniej 40 centów rocznie jako uczestnicy, 1 złr. jako członkowie, lub 2 złr. jako dobroczyńcy.

§ 6. Prawa. — Każdy członek stowarzyszenia ma prawo brać

udział w jego zebraniach i posiada głos doradczy lub decydujący, oraz może stawiać wnioski. O samodzielnych jednak wnioskach muszą zawiadomić wydział Stowarzyszenia na parę tygodni przed zebraniem, na którem mają być postawione. Członkowie dobroczyńcy mogą być wybierani na wszelkie urzęda w Stowarzyszeniu i wiedzieć o wszystkiem, co się w niem dzieje, pod warunkami oznaczonemi przez wydział.

§ 13. Wydział. — Wydział składa się z dziesięciu członków, wybierających z pomiędzy siebie prezesa, sekretarza, rachmistrza i jego zastępcę.

§ 15. Materyalnemi środkami Stowarzyszenia rozporządza wydział na podstawie uchwał powziętych na walnem zgromadzeniu.

Oprócz tego Stowarzyszenia, założonego niedawno temu w celu zogniskowania działalności wszystkich katolików Niemców w Austryi, którym rozwój katolickiej prasy i tamowanie bezwyznaniowych prądów istotnie leży na sercu, istnieją jeszcze pomniejsze katolickie stowarzyszenia prasowe, których zakres działalności nie obejmuje całej monarchii, lecz się ogranicza w pewnem mieście lub dyecezyi. Takie *Pressvereiny* posiada obecnie Dolna Austrya, Linc, Grac, Steyr, Vorarlberg i Brixen. Najlepszem stosunkowo powodzeniem cieszy się stowarzyszenie dolnoaustryackie, liczące 12.000 członków, i *Pressverein* w Gracu, założony w r. 1870, którego cyfra członków wynosi przeszło 8000 osób.

Oto jak się przedstawia obecny stan niemieckiej katolickiej prasy. Należy przyznać, że jest to obraz dość imponujący, w którym nawet innowiercy muszą dostrzedz jeden z licznych dowodów wewnętrznej siły i żywotności tego Kościoła, którego „bramy piekielne zwyciężyć nie zdołają“.

Sopodźko.

Yoga — sen fakirów indyjskich.

Wiele o tem już pisano, choć mało kto chciał temu dawać wiarę, że pomiędzy fakirami Indyj Wschodnich są tacy (Yoginowie), co dobrowolnie przechodzą w umówionej chwili w śmierć pozorną i w tym stanie tygodnie całe pozostają i dają się nawet grzebać, a po oznaczonym czasie powracają do życia i przytomności za pomocą różnych zaklęć, rękoczynów i innych środków. Obecnie faktowi samemu już nikt nie może zaprzeczyć: chodzi tylko o jego wytłumaczenie. Panujący w pewnych kołach Paryża i Londynu ruch teozoficzny, którego

inicyatorką jest znana stara panna Bławaskaja z Kalkutty, szukający w praktykach mistycznych buddaizmu i bramanizmu nowego bodźca do silniejszych wrażeń, wprowadził już i do Europy te cuda, które dokładnie zanalizowane, w części na długiem przygotowaniu (inicyacyi) i kuglarstwie, w części na autohypnotycznej suggestyi polegają. Tak przynajmniej wynikałoby z rozprawy Schrenck-Notzinga w ostatnim zeszycie *Zeitschrift für Hypnotismus und Suggestionstherapie.*

Nie pierwszy raz uczony ten zajmuje się tą kwestyą. W dziele jego *Suggestion und suggestive Zustände* (Monachium 1893) i w dziele Stolla *Suggestion und Hypnotismus in der Völkerpsychologie* (Lipsk 1893), znajdzie czytelnik zestawienie ciekawe obszernego materyału, odnoszącego się do znaczenia antropologicznego różnych hypnotycznych metod, używanych dawnemi czasy i dziś po szerokim świecie. Pochop do obecnej rozprawy daje Schrenckowi dyssertacya Hermana Waltera z Monachium, która właściwie jest tylko przekładem z sanskrytu książki *Swamaraâmy*, zatytułowanej: *Hathayoga Pradîpika* czyli „Pochodnia Hatayogi". — Praca Waltera opiera się zresztą na dwóch innych świeżo w Kalkucie wyszłych książkach, których autorem jest niejaki Bhudawana Wasaka, a tytuł jednej: *Gorakszasataka*, drugiej zaś: *Cheranda Samhita.* W tych wszystkich trzech książkach jest mowa tylko o metodach zaprawiania się specyalnie temu się poświęcających fakirów-Yoginów, ażeby się doprowadzić do długotrwałego i dobrowolnego zamartwiania się. Uśpienie to, zwane *Yoga*, jest nietylko dziwem imponującym gawiedzi, ale też szczytem szczęścia i chwały świętobliwego fakira, bo unicestwieniem wszelkich jego zmysłowych, umysłowych i życiowych funkcyj, a więc choć przejściowem za życia zbawieniem.

Głównym postulatem przechodzenia w ten stan błogosławiony jest ześrodkowanie myśli, a więc to, co w słownictwie nowożytnego hypnotyzmu nazwalibyśmy „ścieśnieniem samowiedzy". Tak jak wmawiający hypnozę lekarz stara się na pacyenta swego wpłynąć przez spokój otoczenia, przez pewną ciepłotę i zaciemnienie izby, wygodne położenie i t. p., tak i ćwiczeniom Yogina sprzyjają różne właściwe indyjskiemu klimatowi warunki. Musi on mieć swoją celkę cichą w zacisznem miejscu, zupełnie bezpieczną, aby mógł bezkarnie zatapiać się w swych rozmyślaniach. Wszystko, co tylko w celce mogłoby zwracać jego uwagę, musi być z niej usunięte. Jest i cała dyeta od dawna dla adeptów Yogizmu przepisana, której ściśle się trzymać muszą długie lata, jedząc jak najmniej jeść można, z wykluczeniem wszelkich ostrych, słonych, kwaśnych i upajających potraw lub napojów. Jak głód, tak

i wszystkie inne zmysłowe popędy powinien Yogin umieć poskramiać, a ćwiczyć się w czystości ciała i ducha, umiarkowaniu, szczodrości, zamiłowaniu prawdy i badaniu jej, wreszcie w wierności i ascezie *(Yama* i *Niyama)*. Po długim nowicyacie tego rodzaju przechodzi adept Hatayogi do ćwiczeń *asana*, czyli w pozostawaniu nieruchomo na jednem miejscu. Z 84 najważniejszych, odnoszących się do tego przepisów, podaje *Swâmaratma* tylko 15. Celem tych ćwiczeń jest także wprawianie się w przytrzymaniu oddychania, z którego ustaniem ustaje i czynność ducha; stan ten błogi *Râja yoga* ma być przedstopniem największej szczęśliwości czyli *Kaivalya*. Służąca do tego celu metoda hypnotyczna nazywa się *Trâkata*. Nauka o powstrzymaniu oddychania, najważniejsza w ascezie yogijskiej, zrozumiałą jest właściwie tylko temu, komu nieobce staroindyjskie pojęcia o funkcyonowaniu pojedyńczych organów (patrz Zaremba: „Stan sztuki lekarskiej w starożytnych Indyach". *Nowiny lekarskie*, 1890, 91). Pojęcia te anatomiczne i fizyologiczne nie mają właściwie dla nas żadnego sensu; mimo to na nich opiera się cała metodyka Hatayogi, cały ten humbug teozoficzny.

Do przygotowawczych ćwiczeń adepta należą i oczyszczania ciała: tak np. *nati;* jest to sznurek, który się przewleka przez nos, gardło i usta i który ma moc oczyszczania głowy i chronienia od wielu chorób. Inne ćwiczenie, *shanti*, polega na połykaniu mokrego płatu długiego i wyciąganiu go następnie z żołądka; jeżeli pierwsze z nich uważać można za prototyp drenowania nosogardzielowej jamy, a drugie za pierwszy początek płukania żołądka, to inne znów ćwiczenie, *basti*, przypomina nieco irrygator. Wszystkie te jednak oczyszczania i inne więcej gimnastyczne ćwiczenia, mają być tylko przygotowaniem do głównej próby, która się nazywa *Khakarî*. Yogin, który ją złożył, może bezpiecznie oddawać się dobrowolnemu zamartwianiu. Przez długie lata musi on wpierw pracować nad przedłużeniem swego języka za pomocą ruchów ssących i uprzedniego poderznięcia. Dopiero gdy językiem może dosięgnąć aż do brwi, złożyć może *khakarî*, tj. przegiąć go tak w tył, by nim szczelnie zatkać jamę nosogardzielową zupełnie. Jeżeli przytem oczy na koniec nosa stale zwraca, to popadnie w pożądane uśpienie. Po języku wetkniętym w jamę nosogardzielową spływa do żołądka wydzielina jej błon śluzowych, uważana za sok życia *(soma)*. „Kto może wytrwać z językiem w górę zagiętym i spijać kapiącą *somę*, ten może pół miesiąca przezwyciężyć śmierć".—Innym szeregiem ćwiczeń wprawia się Yogin autohypnotycznie w omamy słuchowe. Zatkawszy sobie nos, uszy i usta, czeka aż zabrzmi w sercu, w karku

i w głowie dźwięk, uważany za najwyższy już stopień zbawienia *(nada)*. „Kto z półotwartemi oczyma, zwróconemi na koniec nosa, zupełnie zobojętniały w duchu i z unieruchomionem ciałem unicestwi w sobie *Kandra* i *Sûrya*, ten dochodzi do jaśniejącej jedynej wszech rzeczy przyczyny, do promieniejącej pełni prawdy najwyższej, do miejsca samego Brahmy, do najwyższej rzeczywistości". „W tym stanie *(Samâdhi)* uwolniony on jest od wrażeń i myśli, jest on równy umarłemu, ale zbawiony. Nie zniszczy go śmierć, nie dręczy go *Karma* i nikt go nie dosięgnie. Nie wie on już nic ani o woni, ani o barwie, ani o dźwięku, ani o dotykaniu, nic o sobie, nic o drugich. Duch jego nie śpi, ale także i nie czuwa; wolny on od pamięci i od zapomnienia, nie zna on ani ciepła ani zimna, ani honoru ani pogardy, ani szczęścia ani niedoli. Kto w pełni zdrowia i nie śpiąc pozostaje jednak jak śpiący i ani wdycha ani wydycha, ten jest na pewne zbawionym. Yogin, co wzniósł się do *samâdhi*, jest niezwyciężonym czy to bronią, czy czarami. — Póki jednak oddychanie nie odbywa się tylko we wnętrzu ciała *(so suszumna)*, póki przez uporczywe wstrzymanie oddychania nie rozebrzmi *nada*, póki wskutek rozmyślania nie powstanie równe własnej naturze jestestwo, póty można mówić o wiedzy, ale to wszystko tylko złudna, czcza gadanina".

Słowa te ostatnie, końcowe z książki *Hathayoga Pradipika*, dają nam dość dokładny obraz stanu, obejmującego zjawiska suggestywne i kataleptyczne w niektórych przypadkach histerycznego somnambulizmu. I w katalepsyi bywa otrętwienie podobne do śmierci, i bezdech *(apuoë)* i nawpół zamknięte powieki i zupełne ubezczulenie nerwów zmysłowych, a więc wzroku, dotyku i t. d.; i w niej wreszcie nierzadkie są hallucynacye.

Także i środki, jakiemi Yoginowie osiągają swoje uśpienie i otrętwienie, nie różnią się wszystkie od środków używanych przy hypnotyzowaniu; i przy niem potrzeba pewnej inicyacyi przygotowawczej, potrzeba usunięcia wszystkiego, co nas może wzruszyć lub zająć, potrzeba jednostronnej koncentracyi myśli, oderwania się od świata zewnętrznego, a nieraz i sztucznego zmęczenia jakiego zmysłu (fiksacyi Braid'a). Jedne i drugie ćwiczenia prowadzą do umożenia wrażliwości i do uśpienia zupełnego lub całkowitego; tylko, że środki indyjskich ekstatyków w porównaniu do środeczków, jakiemi dysponuje lekarz u nas hypnotyzujący, a więc mający tylko nieść pomoc a nigdy nie mający zaszkodzić, są daleko potężniejsze; a i rasowe i religijne osobliwości Hindusów i małe ich potrzeby przy skłonności do spokojnego i kon-

remplacyjnego życia, usposabiają ich daleko więcej do tego rodzaju ćwiczeń. To też kiedy nowocześni hypnotyzerzy w Europie nie mogą się poszczycić większym dziwem jak wywoływaniem bąbli nakształt stygmatów na skórze (Chenat, Krafft-Ebing), to starodawne i nienstanne praktyki Yoginów doprowadziły do takiego obniżenia wszelkich funkcyj życiowych, jakie przypomina zimosenność susłów i t. d.

Cokolwiekbądź, ćwiczenia te fakirów zasługują na to, by w przyszłości zwiedzający te kraje etnografowie obeznani byli do tego stopnia z działaniem suggestyi, aby z tego stanowiska zapatrywać się mogli na te ciekawe zjawiska w dziedzinie psycho-fizyologicznej.

Dr. Chłapowski.

KOLEGIUM POLSKIE W RZYMIE.

I.

Znakomity pisarz, kardynał Alfons Capecelatro, arcybiskup Kapuy, podał nam rzecz dla nas bardzo ważną a dotychczas nieznaną. W dziele swojem o św. Filipie Nereuszu mówi o istnieniu kolegium polskiego w Rzymie w XVI. wieku[1]. Z przedmowy do Przepisów, ułożonych dla tego Zakładu przez O. Talpę z polecenia św. Filipa, dowiadujemy się, że wielu Polaków, zasłyszawszy o różnych kolegiach przez Grzegorza XIII. założonych, przybyło do Rzymu, aby się w nich kształcić. Było już wtedy kolegium niemieckie, istniejące od 1552 r.; było kolegium greckie, powstałe w 25 lat potem (1577) i nieco później angielskie (1579). Ale te zakłady Polaków przyjąć nie mogły. „Św. Filip — słowa są kardynała Capecelatro — chciał przyjść w pomoc szlachetnemu i pobożnemu narodowi i założyć umyślił kolegium polskie“. Tembardziej do tej myśli się zapalił — dodaje — że Polska słusznie była uważaną za przedmurze wiary nietylko od Tatarów i Turków, ale i od schyzmatyków. W tym samym tedy czasie, w którym papież Grzegorz XIII. nowe kolegium fundował, kolegium dla Maronitów (1584) i oddał im kościół św. Jana, zwany *della Ficoccia* przy ulicy *Strada Nuova*, która z czasem wzięła nazwę *Dei Maroniti*, św. Filip zachęcony przez kardynała Savelli, protektora Polski, i otrzymawszy aprobatę papieską, otwierał podobneż

[1] *La vita di S. Filippo Neri.* Roma. 1884. Tom II., p. 446 seq.

kolegium dla Polaków (1583). W jakiej ono się mieściło części miasta, niewiadomo; ale dziwnym zbiegiem okoliczności, dziś miejsce dawnego kolegium maronickiego zajmuje kolegium polskie, i jak za czasów Maronitów w kościele *della Ficoccia* święciła się uroczyście pamięć św. Jana Marona, tak dziś obchodzi kolegium polskie święto patrona swego, Jana Kantego. Trzeci św. Jan odbiera cześć w tym kościele.

Św. Filip bardzo gorliwie i z całą miłością świętego zajął się swem nowem dziełem. Listy jego, w tym czasie pisane, wciąż o niem mówią, o trudnościach, jakie ono napotykało i o staraniach dlań o fundusze. Jak słuszna, przeprowadzono korespondencyę z Polską. Ks. Stanisław Karnkowski 1583 r. w liście do św. Filipa dziękuje mu za to, co już w tej rzeczy uczynił i obiecuje w swojem i biskupów polskich imieniu wszelką pomoc. Królowa Anna pisała do O. Talpy, pierwszego rektora kolegium polskiego, wielkie oddając pochwały i kolegium i rektorowi, a późniejszy kardynał, Andrzej Batory, podjął się zainteresować króla do tego dzieła i skłonić go, by rząd polski uznał to kolegium za swoje i utrzymywał je.

Zdaje się, że zakład ten polski, przez św. Filipa założony, był dosyć liczny, choć przyjmowano doń dorosłych tylko Polaków, bo 22 lat liczących. Mieli się oni oddawać różnym studyom, ale głównie pracować nad prawem kanonicznem. Naukę prawa uważano za najpotrzebniejszą dla Polaków, bo, jak powiadał Andrzej Batory: *Nullus est usus canonum in Polonia.*

Tak pięknie rozpoczęte dzieło, bo i przez świętego prowadzone, i tak znakomitych i gorliwych mając opiekunów, robiło nadzieję, że się utrwali i jak inne, podobne jemu, rozwijać się będzie. Na nieszczęście, kolegium to polskie tylko cztery lat życia liczyć miało. Roku 1587 już go nie było. O. Bozio, który po O. Talpie objął, jak się zdaje, rektorat, mówi w listach (1586) o „małym niepokoju, jaki zaszedł wśród młodych Polaków". Że też od tych niepokoi żadne dzieło polskie wolnem być nie może! Nie to jednak, zdaje się, było powodem upadku kolegium, bo „dalszym niepokojom się zapobiegło", jak pisze O. Talpa, a tuszono dobrze o Polakach, że się z nimi jakoś ułoży—„*nostri Polacchi*

penso si accomoderanno". Nie rozeszło się też kolegium wskutek niedotrzymania obietnicy ze strony kardynała Batorego, jak to zdaje się dawać do zrozumienia O. Bozio, pisząc, że obietnice tych panów Polaków na niczem się skończyły — *le promesse di questi signori Polacchi riuscirono a nulla* (1586); bo, owszem są dowody, że kardynał, powróciwszy do kraju, pamiętał o kolegium; pisał do O. Giovenale (1587): „Jak tylko zobaczę się z królem, nie zaniecham najgoręcej mówić mu o sprawie zakładającego się kolegium w Rzymie dla Polaków, tak przez Waszą Przewielebność nam polecanego. Postaram się także, aby i inni panowie i dostojnicy królestwa do tak zacnego dzieła przyłożyli ręki i w łasce swej go mieli". Kardynał Capecelatro sądzi, że zakład ten upadł wskutek śmierci króla Batorego. Zmiana tronu, elekcya nie pozwoliła rządowi polskiemu przyjść w pomoc kolegium, które też, nie mając żadnego poparcia ze strony swego kraju, upaść musiało. Św. Filip nie od razu jednak dał za wygranę. Zdaje się, że robił starania i u króla Zygmunta III., aby uzyskać pomoc i poparcie, ale „choć nowy król był bardzo pobożny i gorliwy obrońca Kościoła — powiada kardynał Capecelatro — nie wiadomo nam, czy co uczynił dla kolegium w Rzymie".

Król Zygmunt III. rzeczywiście nic nie uczynił, ale syn jego, Jan Kazimierz, powziął myśl założenia na nowo kolegium, tym razem p o l s k o - s z w e d z k i e g o, przy kościele św. Brygidy, i w tym celu poczynił zapisy. Oto, co pisze w tej rzeczy ks. Jełowicki do ks. Hubego (21 sierpnia 1850, Paryż): „Byłem wczoraj u nuncyusza (Fornari), który w pierwszych dniach września zostaje kardynałem, zaczeka tu następnie na mgra Garibaldi, z nim pobędzie z 15 dni i wraca do Rzymu, z najgorętszemi dla nas oświadczeniami, z których kochany Ojciec korzystać nie omieszka. Mianowicie w rzeczy dostania kościółka św. Brygidy z domem i dochodami, w moc zapisu Jana Kazimierza, którego oryginał jeden znajduje się tu w ręku księcia Czartoryskiego. Mówił, aby tymczasem Ojciec cichutko powypytywał się, gdzie poobracane fundusze, i jakim prawem Jan Kazimierz czyni tę fundacyę na rzecz alumnów polskich i szwedzkich, pod zwierzchnictwem Jezuitów, zostawując królom polskim następcom *jus patronatus*

a po wygaśnięciu dynastyi zlewając to *jus patronatus* na papieża. Nie widziałem sam jeszcze aktu tego, ale mi go opisywał Sienkiewicz. W każdym razie dobrzeby kolegium polsko-szwedzkie odnowić, zwłaszcza pod tak dobrym zarządem, jakimby był zarząd Jezuitów". Pod koniec tegoż roku pisze ks. Kaczanowski do Ludwika Orpiszewskiego: „Mówiłeś nam podczas twego pobytu w Paryżu, żeś odkrył dokumenta, ściągające się do kościółka św. Brygidy i fundacyi króla Jana Kazimierza na kolegium polsko-szwedzkie przy tym kościółku. Donoszę ci nawzajem, że między autentykami Biblioteki puławskiej, uratowanemi i tutaj się teraz znajdującemi, znalazł się akt oryginalny z podpisem i pieczęcią króla Jana Kazimierza, nadający konstytucye temuż kolegium. Odpis jego wierzytelny poszlemy do Rzymu do ks. Józefa. Zastaniesz go już tam, kiedy powrócisz do stolicy chrześcijaństwa. Pomoże ci wiadomość jego do poszukiwań archeologicznych dalszych na tej niwie, tak bogatej w pamiątki całego świata, a może i przyda się do odzyskania na dawne przeznaczenie kościółka z domem i funduszami, w czem zapewne wspólnie z naszymi braćmi, będącymi w Rzymie, pracować nie zaniedbasz: tyle na twą światłą gorliwość o rzeczy i sprawy polskie śmiało rachować można" (3 października 1850). Starania te o św. Brygidę spełzły na niczem.

W nowszych czasach pierwszy, o ile wiemy, o kolegium polskiem pomyślał Bogdan Jański. W programie swoim postawił on to desideratum: „A czyby czasem w Rzymie nie można założyć kolegium polskiego, jak jest angielskie, niemieckie?" Myśl ta nie opuszczała też jego uczniów, ale się z wykonaniem jej nie spieszyli. Rozumieli oni dobrze, że najprzód trzeba im się zawiązać w Zakon, bo wtedy tylko takie kolegium nie upadnie z ich śmiercią, owszem, będzie mogło z czasem się utrwalić, bo się go nie zamknie w mury i fundusze, ale się powierzy żywym ludziom, którym będzie leżeć na sumieniu i na sercu, aby kolegium i utrzymać i rozwijać. Pamiętali oni także na przestrogę Mickiewicza, który radził mądrze, aby się nie spieszyć. „Niech się wprzódy przekonają wszyscy o waszej szczerości — pisał im — niech uwierzą, że Boga i Kościół macie szczególniej i przed

wszystkiem na celu. Przyjdzie czas wołania, ale czekajcie aż głos wasz nabierze mocy".

Jeśli przed rokiem 1848 zdobyli już byli Zmartwychwstańcy pewne w Rzymie znaczenie i znachodzili już wiarę w czystość swoich intencyj, to po rewolucyi rzymskiej, wskutek udziału w niej Polaków, stanowisko ich było mocno zachwiane. Zanim zyskają znowu zaufanie u Stolicy apostolskiej, trzeba im będzie znaleść tymczasem jakiego rzecznika. Tym stał się dla nich hr. Montalembert.

„Pod koniec października 1850 r. przybył do Rzymu — pisze ks. Kajsiewicz w Pamiętniku swoim — p. Montalembert. Miał zapewne i zlecenie od rządu do Ojca św. a zarazem uczynił zadosyć pragnieniu swemu poznania Piusa IX. Zabezpieczony od przegrażającej się sekty demagogicznej, przyjęty został jako obrońca Papiestwa w Izbach francuskich z wielkiemi oznakami czci, a ówczesne municypium rzymskie ofiarowało mu dyplom obywatelstwa. Chciał też i dla nas co otrzymać. Podawał Ojcu św. myśl, aby pod naszą dyrekcyą otworzyć kolegium dla młodych duchownych z kraju, na teraz przynajmniej z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego. Ojciec św. głównie upatrywał trudność w braku funduszów. Mówił też o tem p. Montalembert z kardynałem Antonellim, zbliżył nas do niego na wieczorze u ks. Meroda, przybocznego prałata papieskiego i przed wyjazdem polecił być u kardynała. Byliśmy z przełożonym (ks. Hubem). Oprócz kwestyi funduszów, oglądał się jeszcze na trudności dyplomatyczne ze strony samejże Austryi, a co do Prus trafnie się wyraził: „niewiadomo jaka ich polityka będzie za tydzień". Jakkolwiek książę Czartoryski, zaraz za powrotem Montalemberta do Paryża, napisał do Ojca św., zapewniając na zaczęcie takiego kolegium 5000 fr. rocznego dochodu, a na później więcej obiecywał, rzecz przecie spełzła na niczem, jakeśmy z góry przewidzieli" i jak zapewne można było zaraz wnosić po posłuchaniu u kardynała Antonellego. Pisze też po niem ks. Hube do Braci w Paryżu: „Z tego, cośmy wam donieśli o audyencyi u kardynała, tak jak i my tutaj, tak i wy zapewne widzicie, iż o projektowanem kolegium polskiem niema co myśleć. Była to poczciwa myśl Mon-

talemberta, dowodząca jego dobrych chęci dla Polski, ale nic więcej. Takie instytuta nie tworzą się inaczej, jak wywołane potrzebą, która się mocno czuć daje. Otóż potrzeby kolegium w Rzymie nikt dotychczas w Polsce nie czuje. Biskupi polscy wiedzą, że tu jesteśmy, żadnemu na myśl nie przyszło rzecz podobną zrobić. Bez biskupów, chcących tu młodych kleryków przysyłać, cóżbyśmy mogli zrobić? Nie do nas należy myśl podobną biskupom podawać. Nie chcieliśmy tej rzeczy przesądzać, o której możności z tak poważnych źródeł dowiedzieliśmy się i dlatego poszliśmy do kardynała Antonellego; po audyencyi u niego nietylko wiemy, że rzecz sama w sobie niepraktyczna, ale i że jej tu nikt popierać nie myśli" (4 grudnia 1850).

Ks. Jełowicki, nie podzielał tych przewidzeń i nową myśl proponuje: kolegium polsko-ruskiego. Pisze d. 10 grudnia 1850 r.: „Dyplomacyą kardynała Antonellego myślę, że zrażać się nie trzeba, ani myśli kolegium puszczać zaraz na dno, opuszczając ręce. Wczoraj wieczorem p. Wł. Zamoyski, opowiadając nam posłuchanie Montalemberta w tej rzeczy u Ojca św., dodał nad to co wiemy od Ojca, że Ojciec św. powiedział: ‚a skąd fundusze?' Montalembert odpowiedział: ‚z Polski'. Ojciec zaś święty rzekł: ‚a to dobrze, powiedzże to wszystko księciu Czartoryskiemu i niech obmyśli fundusz'. Książę zaś, skoro się o tem dowiedział, zaraz napisał do Ojca św. z podziękowaniem i z ofiarą 5000 fr. rocznie na ten przedmiot, a nawet i więcej, gdyby się okazały owoc i potrzeba większych funduszów. To może zmienić stan rzeczy. A co do tego, aby biskupi alumnów przysyłali, zdaje mi się, że można mieć nadzieję, iż skoro się dowiedzą o takiem kolegium, przysyłać będą, gdy ich jakie gorliwe dusze ku temu pobudzą. Jak bowiem rzeczy wywołuje potrzeba, tak też i rzeczy gotowe obudzają uczucie potrzeby. Nie ma w tem, zdaje mi się, reguły ogólnej". Dnia 14 grudnia pisze znowu z Paryża: „Ta utrata nadziei niema dostatecznych powodów, bo co do kolegium, oświadczenie kardynała Antonellego jest przeszkodą, której Bóg dozwolił dla doświadczenia wiary i wytrwałości naszej... P. Bóg posłał Montalemberta do Rzymu z myślą dla Polski; Papież tę myśl przyjął i polecił Montalembertowi, aby książę starał się

o fundusz na jej wykonanie. Książę fundusz ten ofiaruje, więc przeszkoda kardynała jest rzeczą ziemską, ludzką, przeciw myśli Bożej; więc nie ustępować, ale przełamywać tę przeszkodę trzeba, naprzód modlitwą a potem wszelkiemi godziwemi środkami. Za jeden z takich środków uważamy podanie noty do Ojca św., którą dla ojca ks. Piotr na przyszłego kuryera wygotuje, notę względem kolegium dla katolików polskich łacińskich, w połączeniu z kolegium dla katolików polskich greckich. Ta myśl, którą mi p. Bóg dał wczoraj, zdaje się nietylko wszystkie przeszkody usuwać, ale nadto interes ten stawiać na najwłaściwszem i najpożyteczniejszem stanowisku, co w nocie owej rozwiniętem będzie".

W tej nocie ks. Semenenko, przedstawiając konieczność zakładu dla kleru polskiego w Rzymie, następnie mówiąc o kolegium greckiem, które w r. 1845 otwarte zostało głównie dla Rusinów, a dziś ledwie że wegetuje, z przyczyny zbyt wielkiego nagromadzenia różnych narodowości i z braku odpowiedniego kierunku, bo przełożeni ani znają języka swych kleryków, ani są ich obrządku; przedkłada, aby przeniósłszy kleryków nierusinów do Propagandy, wprowadzić na ich miejsce Polaków. Korzyści z tego przedstawia następujące: 1) Nie potrzeba będzie szukać dla kolegium polskiego osobnego pomieszczenia; 2) utrzymanie kolegium greckiego nie będzie tyle kosztowało, bo się oszczędzą wydatki na rektora i administracyę; 3) korzyść z tego będzie moralna nadzwyczajnej wagi, bo się zbliży młodzież obu obrządków, stąd zatrą się uprzedzenia i ci, co mają kiedyś wspólnie, na jednej ziemi pracować, wspólnie wychowywać się będą.

Ks. Jełowicki pospieszył się i notę tę dał Montalembertowi, który ją od siebie wręczył nuncyuszowi, za co ks. Jełowicki ściągnął na siebie naganę swego przełożonego, ks. Hubego. Dnia 1 stycznia 1851 pisze tedy do Rzymu: „Sprawa kolegium przy wielkich nadziejach; kardynał Fornari przyjął ją za swoją. Nota Montalemberta przypadła mu do serca. Odpowiedział mu: ‚Ależ mię hrabia zapraszasz na ucztę, robiąc mi tę propozycyę, *(Mais vous ni inviter á un banquet, en me faisant cette proposition)* — i to nam powtórzył, dodając, że papież boi się kolegium polskiego,

i byłoby się czego bać, gdyby komu innemu jak nam było powierzone. Z pół godziny o tem z nami rozmawiał, uważając tę rzecz za zrobioną i obiecując za przyjazdem do Rzymu (w połowie lutego) najprzód się tą sprawą zająć, co mu tem łatwiej i właściwiej będzie, że papież chce kardynałowi Fransoniemu już dać odpocznienie, a Fornariemu Propagandę, od której wszystkie kolegia zależą". Ks. Semenenko ze swej strony pisze obszerniej (15 stycznia 1851): „Najprzód muszę Ci powiedzieć, mój drogi Ojcze, żeś niesłusznie złajał ks. Aleksandra. Żeby Cię w tej rzeczy objaśnić, muszę opisać pokrótce dzieje tej sprawy, za którą został wyłajany. A najprzód część odpowiedzialności mnie się należy. Jakkolwiek myśl sama połączenia kolegium polskiego z greckiem od ks. Aleksandra wyszła, jednakże ja bardzo ją popierałem. Ale zarazem najmocniej za tem obstawałem, aby nic od nas nie wychodziło, nietylko ta myśl połączenia, nietylko tu od nas członków paryskich Zgromadzenia, ale wszelka myśl i staranie się o kolegium i to od całego Zgromadzenia jako Zgromadzenia. I dlatego uważałem, że kochany Ojciec jaknajlepiej postąpił, uczyniwszy to, co uczynił, i nie popychając tej rzeczy dalej, ale czekając, jak się sama ułoży z woli Bożej. W tym duchu stanęła tu nasza narada; ks. Karol był stanowczo tegoż zdania, co i ja; ks. Aleksander przychylił się zupełnie do niego. Kiedyśmy potem z nim we dwóch byli u Montalemberta, w tym samym duchu o tej kwestyi mówiliśmy. Podziękowawszy mu za jego pamięć o nas przed papieżem, postawiliśmy jako główną zasadę, że my z naszej strony nie możemy i nie powinniśmy nic robić w rzeczy kolegium, którą on w Rzymie rozpoczął. Opowiedzieliśmy wizytę kochanego Ojca u kardynała Antonellego, i że po tej wizycie rzecz ta w Rzymie wpadła w wodę. Jeżeli tedy ma być jaki z niej skutek, trzeba, aby on ją podniósł. Ks. Aleksander zachęcał Montalemberta, aby do Rzymu o to pisał. Montalembert wymówił się, że niema korespondencyi z Rzymem. Wtedy powiedział mu, aby rzecz polecił Fornariemu. Co on bardzo chętnie przyjął. Mówiąc o Antonellim, była mowa o rozmaitych kościołach i domach, jakich nam odmówiono. Wtedy wnieśliśmy byli ów projekt kolegium greckiego; a na końcu kiedy się mówiło o poleceniu

rzeczy Fornariemu, polecenie to miało szczególniej tyczyć się otrzymania dla nas domu i kościoła tego kolegium. Montalembert zażądał od nas wtedy noty, któraby mu służyła za materyał do jego podania, jakie miał uczynić Fornariemu. Taka jest historya owej noty, przesłanej kochanemu Ojcu przez ks. Aleksandra. Aleśmy najwyraźniej zastrzegli, żeby Montalembert nietylko swoje podanie, ale i myśl swego podania za swoją własną przedstawił; że my w tem żadnego udziału mieć nie możemy i nie powinniśmy. Montalembert też tak uczynił. W kilka dni potem byliśmy u kardynała Fornariego. Muszę powiedzieć, że ks. Aleksander nie dosyć pojął potrzebę zupełnego niewystępowania w tej rzeczy z naszej strony, i przez wrodzoną sobie gorliwość i prędkość, chciał o tem z kardynałem mówić i rzecz mu usilnie polecić. Ponieważ nie mieliśmy wspólnej poprzedniej narady od wizyty u Montalemberta, więc z takiem usposobieniem przyszedł z nami do przedpokoju kardynała; ale tam mieliśmy czas wyłożyć konieczną potrzebę powstrzymania się w tej rzeczy, i że nie wypada ani jednego słowa od siebie o tem mówić i trzeba zachować się jak gdybyśmy nic o tem nie wiedzieli. P. Bóg wynagradza dobrą chęć ks. Aleksandra zasięgania we wszystkiem rady braci; przychylił się tedy zupełnie do naszego zdania; a nawet zanadto. Bo kiedy kardynał zaczął sam mówić o kolegium greckiem, ks. Aleksander prawie udawał nic niewiedzącego o tem, kiedy mógł był jednak w ogólności powiedzieć, że nam Montalembert oświadczył swoją dobrą intencyę w tym względzie i że wiemy, o co rzecz idzie, i kardynał musiał sam tłómaczyć myśl i podanie Montalemberta. Potem mówiliśmy z nim o tej rzeczy w tym samym duchu, jak między sobą i z Montalembertem. Z tego wszystkiego widzisz dobrze drogi i najmilszy Ojcze, że nic nie zrobiliśmy w imieniu Zgromadzenia, nic coby je mogło w czem zobowiązywać, i choćby kardynał Fornari zajął się przeprowadzeniem do skutku tej myśli, Zgromadzenie tak będzie wolne przed nim, jak gdyby ta myśl jemu samemu przyszła i on ją sam od siebie nam przedstawiał. Ks. Aleksander powinien być tedy wolny od nagany i pewno go od niej uwolnisz mój Ojcze, nic mu nie mówiąc o tych małych szczegółach, których ci tu

udzieliłem, a udzieliłem, abyś miał o całej rzeczy jak najdokładniejsze wyobrażenie".

Kardynał Fornari miał tedy w Rzymie myśl kolegium polsko-ruskiego Ojcu św. przedstawić. Rzecz się niepowiodła. Pokazało się, że „o kolegium Ojciec św. był tylko wspomniał mimochodem — pisze ks. Kajsiewicz (14 marca 1851) — kardynał dodał, iż Ojciec św. lęka się imienia polskiego. Odpowiedziałem: ‚bo jest ambarasujące'. ‚Tak jest' rzekł".

II.

Bano się w Rzymie imienia polskiego. — Trzeba więc było tymczasem, jak radził Mickiewicz, „z Polską milczeć i zupełnie Polaka pod kaptur schować". Ale myśli założenia kolegium polskiego nie opuszczali Zmartwychwstańcy, tembardziej, że powoli odzyskiwali dawne zaufanie u dworu papieskiego. „Kardynał Fornari — pisze ks. Kajsiewicz — ofiarował się nam ze szczególną opieką. Dotychczas użyliśmy jej do wybadania usposobień kardynała wikarego, który wyznał, że istotnie byliśmy oskarżani o mieszanie się do polityki, ale że się przekonał i wierzy, że szukamy tylko własnego i innych zbawienia. Kardynał Fornari ręczył za nas i prosił, aby na przyszłość w każdym podobnym razie do niego się odnieść (wszakże w lat parę zabrał go Bóg z tego świata i tak zostaliśmy znowu na opiece samego Najwyższego). Nigdyśmy tyle, jak tego roku (1851) nie otrzymali z kraju ważnych i dokładnych wiadomości kościelnych do przedstawienia Stolicy Apostolskiej. Ojciec św. polecił mgrowi Ferrari, podsekretarzowi spraw kościelnych nadzwyczajnych, oświadczyć nam osobnym listem swoje zadowolenie — *ringraziar questi buoni sacerdoti pollacchi*". — Mogli być tedy pewni Zmartwychwstańcy, że co do rzeczy samego kolegium nie znajdą przeszkód, byleby do czasu z imieniem polskiem zbyt głośno nie występowali.

To usposobienie w Rzymie, ostrożne jeszcze 1855 r. (5 grudnia), tłumaczy ks. Kajsiewicz ks. Jełowickiemu, który nie lubiał się z niem liczyć. „Widzisz, że kardynał w Rzymie inaczej na rzeczy patrzy, jak biskupi we Francyi, i rzecz prosta, bo dziś

siłą rzeczy jest figura dyplomatyczna. Co do Papieża jesteś także w illuzyi. Pewno, że Cię uważa za kapłana przykładnego i gorliwego, ale z dodatkiem a l e — (m a). Słowa kardynała, literalnie z ust jego wzięte: ‚O. A l e k s a n d e r j e s t z a n a d t o g o r l i w y', są prostem przetłumaczeniem papieskiego a l e. Choć może będę kazał na pustyni, przytoczę jeszcze dwa świeże szczegóły o ile się g ł o ś n o ś c i e m i g r a c y j n e j boją, i o ile sam Papież nie chce się Rosyi przed czasem, bez korzyści niczyjej, a ze szkodą katolików pod Rosyą będących, narazić. Kiedym zaniósł mgrowi Fieramonti, jednemu z najprzychylniejszych nam i najodważniejszych prałatów, owo Album Szrettera do przedstawienia Ojcu św., zmieszał się i rzekł: ‚Jakże będzie, nie będę mógł do niego napisać listu z podziękowaniem od Ojca św., bo wy emigranci wszystko drukujecie'. Wtenczas powiedziałem: ‚Otrzymaj po prostu jako pamiątkę'. Dalej mówił: ‚Świeżo mi Ojciec św. powiedział: Nie chciałem wierzyć księżom od św. Klaudyusza, że niema się czego spodziewać od nowego cesarza, a oto i Viale-Prela to samo mi pisze'. Widzisz, jak głęboko wkorzeniona nieufność ku nam, nawet w sercu samego Papieża. Nie żeby nas uważał za rozmyślnych kłamców, ale ‚biedacy są wygnańcami, a więc skłonni do przesady, naturalnie, godni są współczucia' *(poveretti son esiliati, capaci di esagerazione, si sa, bisogna compatirli)*. Darmo, trzeba brać rzeczy, jak są i przetrzymać. Papież żadnej manifestacyi za Polską nie zrobi, chyba na żądanie jakiego mocarstwa katolickiego, któreby wydało Rosyi wojnę *à outrance*, a zapominając, żeśmy Polacy, musimy powiedzieć: i ma racyę. Jednemu dyplomacie katolickiemu, mojemu znajomemu, powiedział Pius IX.: ‚P. Bóg Kościołowi zostawił miarę roztropności, ustępstw i cierpliwości' *(Iddio ha lasciato alla sua Chiesa la misura della prudenza, della condiscendenza e della parienza)*".

Trzeba więc było pracować cicho, unikać rozgłosu, czekając lepszych czasów. „W roku 1857 — pisze ks. Kajsiewicz — korzystając z licznie zebranych rodaków w Ostendzie, zaczęliśmy już zbierać składki na kolegium polskie; ale te szły nam oporem, bo nam tylko z grzeczności dawano coś odczepnego, nie

rozumiejąc potrzeby podobnego zakładu, i powiadając głośno, że i my sami niezadługo do Polski wrócimy... Myśmy nie przestali jednak myśleć o seminaryum polskiem w Rzymie. Co nas głównie pobudzało do tego, był ów wzgląd, aby Polsce nie brakowało tego potężnego środka, jakie inne narody mają w swoich seminaryach w Rzymie, a który prowadzi do dwóch wielkich rezultatów: jednego, aby być w nieprzerwanym związku z Głową chrześcijaństwa i środkiem wiary katolickiej; drugiego, aby w naukach teologicznych i wykształceniu ducha kapłańskiego, utrzymać się na równi z innemi katolickiemi narodami".

Pomimo braku poparcia, Zmartwychwstańcy kołatali gdzie mogli. W odezwie litografowanej z dnia 8 września 1858 r., podpisanej przez ks. Semenenkę, jako zastępującego głównego przełożonego, wzywającej do składek, czytamy: „Księża polscy, mieszkający przy kościele św. Klaudyusza w Rzymie, stanowią zgromadzenie zakonne i obecnie oddają się szczególniej wychowaniu młodzieży duchownej, mając zamiar urządzić w Rzymie zupełne seminaryum polskie. W tej chwili mają uczniów 9, z których 5 należy do Zgromadzenia, a czterej inni są konwiktorami świeckimi, jako początek przyszłego seminaryum". Było więc już r. 1858 kolegium polskie w rzeczy, choć nie z nazwy. Ci czterej uczniowie byli: Krypiakiewicz, Mosiewicz, Koźmian i Feliński.

Krypiakiewicz i Mosiewicz, byli klerycy uniccy z Chełma, których kardynał prefekt Propagandy 1857, w imieniu Ojca św. przysłał do św. Klaudyusza, aby pod opieką Zmartwychwstańców przebywali aż do skończenia nauk, za opłatą ze strony Propagandy. (Krótką wiadomość o nich podaje ks. Kajsiewicz w drukowanym Pamiętniku o Zgromadzeniu).

Trzeci uczeń, Julian Feliński, odbył świetnie nauki filozoficzne i teologiczne w Rzymie, powołany potem do Warszawy przez brata swego ks. arcybiskupa 1862 r., wyświęcony tamże na kapłana, dla braku zdrowia wkrótce z kraju wyjechał i w Rzymie do Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego wstąpił.

Czwarty uczeń, Jan Koźmian, zdecydowawszy się w końcu wstąpić do stanu duchownego, pomimo, że arcybiskup Przyłuski był temu przeciwny, 25 stycznia 1857 przyjechał na studya do

Rzymu. Z korespondencyi Koźmiana dowiadujemy się, jakie miał trudności z arcybiskupem i jak się zdecydował przyjechać do Rzymu; a że był jednym z najwybitniejszych uczniów ówczesnego zawiązku kolegium polskiego, sądzę, że tu jest miejsce podać historyę jego powołania do kapłaństwa.

Powołanie Koźmiana do stanu kapłańskiego zaczyna powoli dojrzewać. „Ja ani na chwilę nie zachwiałem się w mojem postanowieniu — pisze 3 kwietnia 1854 r. do ks. Kajsiewicza — teraz tylko przychodzi mi na myśl, że może przed opuszczeniem świata, P. Bóg w gotujących się wypadkach chce czego po mnie. Zdaje mi się, że trzeba nieco odwlec mój zamiar aż się coś stanowczego przechyli. Proszę Cię w tej mierze i o radę i o modlitwę". A 3 czerwca donosi: „Nie jestem zupełnie wolny, mam obowiązki względem rodziny Zosi i młodzieży, której byłem radą i środkiem zetknięcia. Trudno opuścić tamtą w chwili, kiedy może synów powołają do landwery; trudno odejść od tych, którym się zawsze mówiło o czynnej służbie krajowi i że boże roboty robotom publicznym nie przeszkadzają. Z drugiej strony gdybym już był blizkim święceń, mógłbym mieć nadzieję, że w nowym charakterze czynność rozpocznę; ale rozpoczynać nauki, oddalać się na ustroń, właśnie kiedy taki gwar, tyle widoków, to jest ciężka rzecz. Nawet nie mogę mieć pewności, żeby mi do Rzymu arcybiskup pozwolił. Może mi każe tu uczyć się. Rozważ to spokojnie, a módl się. Ja się także modlę, żeby mnie oświecił D u c h r a d y a s i ł y".

Ks. Kajsiewicz na to mu odpowiada (16 czerwca): „Co do ciebie, o g ó l n i e m ó w i ą c, w takich położeniach trudno się powoli wyplątać; zwykle trzeba się gwałtownie szarpnąć, porwać trzymające nas węzły, albo i nicie tylko, z bólem własnym i obcym. Wszakże nie przesądzam czy od Ciebie *hic et nunc* już tego Bóg chce. Módlmy się, a ty słuchaj co Bóg do duszy mówi; ale jak wyraźnie posłyszysz, to już nie rozumuj, tylko słuchaj. Czy masz arcybiskupowi co mówić? mnieby się zdawało prędzej że nie. On człowiek do przyjęcia raczej *des faits accomplis*. Bo jak Ci odmówi, to już rzecz do nienaprawienia; a nie mówiąc, czy po roku, czy po dwóch teologii, zawsze się można zgłosić

o przyjęcie". — „Tobie radzę — pisze znowu (24 grudnia) — i życzę, byś sobie trochę więcej czasu na modlitwę zostawił a nieprzeładowywał się robotą. Wierzaj mi, że Bóg tobie potrzebniejszy, niż ty Bogu; a w tem i najpoczciwsi się oszukują".

Koźmian posłuchał rady i do Rzymu na studya teologiczne przyjechał.

Podczas swego pobytu w Rzymie był, zdaje się, prefektem innych alumnów w tworzącem się kolegium polskiem. Człowiek czynu, nie mógł samą li tylko nauką się zajmować. Jemu też Mentorella, starożytna świątynia w Apeninach koło Tivoli, przez Piusa IX. oddana Zmartwychwstańcom, niezmiernie wiele zawdzięcza. Upodobał sobie bowiem to urocze miejsce i nie żałował trudu i starań, aby i kościół i klasztor odnowić i upiększyć. Tam się też zaprawiał do życia bogomyślnego. A twarde w Mentorelli było życie. „Co do wydatków tutaj — pisze do Rzymu, do ks. Kajsiewicza (14 lipca 1857) — bardzo mało się wydaje. Mięso bywa ledwie dwa razy na tydzień, żyje się mlekiem i jajami. Wieczór najczęściej sałata i kawałek sera — żadnych a żadnych *extra*. Mięsa trudno dostać i trzeba posyłać chyba do Tivoli, co w gorąco za daleko. Wszystko tu zresztą dobrze idzie; powietrze doskonałe, chłód przyjemny, cichość anielska. Brat Franciszek mówi, że mu się zdaje, że jest w raju". — A ks. Semenenko dodaje: „Niech się Ojciec nie troszczy o nasze tu zbytki. Ojciec nam każe na śniadanie i na wieczerzę obywać się mlekiem, serem i jajami, a my często i na obiad nic innego nie mamy, a często nawet i tego niema, szczególniej jaj. Ja od mego przyjazdu raz tylko miałem wołowe mięso a dwa razy jagnięce. Tyle i było mięsa. Prawda była dwa razy kura jedna na dziewięciu. Mnie się zdaje, że owszem tu dopiero zekonomizujemy nawet za Rzym. To piszę dla pocieszenia Ojca. Mnie nawet nieraz markotno, że jak inni tak i ks. Jan (Koźmian) często od stołu odchodzi, to jest od obiadu, nie zjadłszy nic innego tylko zamiast zupy wodę ciepłą z ciasteczkiem, a za całą potrawę ryż opiekany w oliwie lub co podobnego, co wynajdzie gieniusz kucharski naszego Giuseppa, który zresztą jest dla nas prawdziwą Opatrznością". — Ks. Koźmian do Mentorelli nad-

zwyczaj się przywiązał. Często o niej potem w Poznaniu wspominał. W dwa lata potem (6 lipca 1859) pisze do ks. Kajsiewicza: „List mój pewnie ojca na Mentorelli dogoni. Bardzo tam miło być musi, w cichości na górze siedzieć, kiedy w świecie tyle wrzawy. O Mentorelli zawsze mi najmilej myśleć".

Kiedy się zbliżał czas święceń Koźmiana, ks. Semenenko będąc w Poznańskiem, starał się stosunek jego do ks. arcybiskupa naprawić. W listach swoich do ks. Kajsiewicza zdaje tak sprawę ze swoich starań. „Przylepki u Stasia Koźmiana 5 listopada (1858). Jestem tu od wczoraj wieczora. Z powodu świąt niedzieli i Wszystkich Świętych, nie mogłem po powrocie z Kościelca wyruszyć z Lubostronia prędzej niż w dzień Zaduszny i tegoż dnia przybyłem do Poznania. Nazajutrz po Mszy św. udałem się do arcybiskupa; nic nie wiedział o mojem przybyciu, i prawdziwie nie do opisania było jego zdziwienie. Długo szczegółów opisywać nie mogę, ale te główniejsze. Przyszedłszy nieco do siebie z zadziwienia, zaprosił mię na obiad na dzień następny; ktoby powiedział, że chciał się przygotować. Pierwszego dnia i ja o niczem nie mówiłem. Ale wychodząc, spotkałem, jakby umyślnie, kanonika Rychtera i poszedłem razem z nim do niego. Tam wszystko wyrozumiałem. Dziwne uroszczenia do ks. Jana. Zaczął od tego, że podanie jego ubliżało arcybiskupowi. ‚Takie gołe — powiada — takie jałowe. Widać tam pogardę z samego milczenia. Gdyby oni nie znali ks. Koźmiana skądinąd, za to jednoby go nie przyjęli'. Można się domyślić, com odpowiedział. Drugi żal, czyli raczej uwaga, że nie wiadomo, co umie z teologii. Że wiedzą o jego wiadomościach humanitarnych, ale to co innego, — i że tam gdzieś w Westfalii musiałby pójść na kurs cały. Odpowiedziałem co potrzeba, i to w sposób stanowczy co do świadectwa mego o ks. Janie, ale nie bardzo biorący na seryo mowy kanonika, zresztą z wszelką uprzejmością i przyzwoitością. Godzina dziesiąta wybiła, kanonik pospieszył na lekcyę, właśnie kiedy już było wszystko wyczerpane. Bóg łaskaw wszystko opatrznie zrządził. Nazajutrz obiad, samotrzeć z kapelanem. Rozmowa z niechcenia przychodzi na ks. Jana, sam arcybiskup ją zaczął, ale bardzo łagodnie, i wogóle spotkanie było

spokojne i uprzejme. Arcybiskup powiedział, że ks. Jan będzie musiał zawadzić o seminaryum poznańskie. Odrzekłem, że wszystko chętnie uczyni, że w nim ks. arcybiskup znajdzie wszelką gotowość i uległość. ‚Bo to zawsze — prawi — trzeba wypróbować jego pokory i dobrego ducha'. — ‚Ks. arcybiskup — mówię — ma wszelkie prawo. Ale mogę zawczasu oddać najzupełniejsze świadectwo'. I tu opowiedziałem, jak ks. Jan u nas postępował: służenie do stołu, czytanie, służenie do Mszy, udział we wszystkich ceremoniach i t. d. i t. d. To widocznie zrobiło na nim wrażenie. Potem powiedział, że niedługo będzie ks. Jan w seminaryum poznańskiem. A nareszcie, żeby ks. Jan nie przyjeżdżał teraz, bo już semestr zaczęty, ale na Wielkanoc. I żeby przez ten czas uczył się prawa kanonicznego, bo w świadectwie, jakie znowu przed arcybiskupem złożyłem o naukach, musiałem powiedzieć, że się tego nie uczył. I powtórzył, żeby na Wielkanoc przyjechał. Widocznie chciał wszystko łagodnie i uprzejmie przeprowadzić; i nic z owych rychterowskich żalów nie dał widzieć. Oto jest główny rezultat, chociaż może jeszcze niezupełnie ostateczny, bo za powrotem do Poznania będę się jeszcze z arcybiskupem widział, i jeśli można, starał to otrzymać, by o seminaryum poznańskie nie potrzebował zawadzać".

Z czasem ks. arcybiskup Przyłuski zmienił się dla ks. Koźmiana. Owszem, przed samą śmiercią, jego pragnął na swego następcę. W dzienniku ks. Semenenki czytamy pod dniem 5 lutego 1865: „Byłem u arcybiskupa i miałem półtorej godziny rozmowy. Rząd go przedstawia na kardynała, aby się go pozbyć z Poznania. On troska się o następcę. Już napisał do Ojca św. i przedstawił kandydatów na koadjutorów. Ale teraz dodaje innego, i stawi go na pierwszem miejscu: to ks. Jan Koźmian. Mam to ustnie opowiedzieć Ojcu św.".

Był jeszcze i piąty alumn w nowozakładającem się kolegium polskiem, Juliusz Moczulski; ale ten opuścił zakład r. 1858, kiedy odezwę ową, o której wspomnieliśmy, litografowano, i przeniósł się do uniwersytetu w Louvain, a to w następujących okolicznościach. Dnia 7 lipca 1858 r. przyjechał Józef Kraszewski do Rzymu. „Od kardynała Antonellego pojechałem do domu,

gdzie przyjechał Kraszewski — pisze ks. Semenenko 8 lipca w Dzienniku — z którym się poznałem i potem pojechaliśmy przez Watykan, gdzie Kraszewski oddał wizytę mgrowi Pacca, do Winnicy, gdzie był wielki obiad dla Kraszewskiego. Zaprosiliśmy wszystkich Polaków, będących w Rzymie. Generała Szymanowskiego, Stattlera ojca i syna, ks. Zabłockiego, ks. Bogatko, ks. prowincyała Dąbrowskiego, Romana Postępskiego i Nowotnego i Malińskiego malarzów, Władysława Kulczyckiego i t. d. i t. d.". — „Przyjechał nareszcie p. Kraszewski — donosi ks. Kajsiewicz ks. Jełowickiemu. — Daliśmy mu obiad na Winnicy we czwartek. Zaprosiliśmy kilkunastu Polaków tu jeszcze będących; z nami było 30 osób. Wyraźnie był wdzięczny za przyjęcie, jakie go spotkało. Dziś idzie do Ojca św.... Da Bóg, goręcej Rzym i Kościół pokocha". Tymczasem stało się przeciwnie: Kraszewski przykre wyniósł z Rzymu wrażenie. „Wyjechał Kraszewski do Neapolu — pisze ks. Semenenko w Dzienniku pod d. 27 lipca. — Byliśmy dla niego jak można najuprzejmiej. Oprowadzaliśmy po miejscach świętych, po Watykanie i t. d. i t. d. Mieszkanie dla niego Koźmian wynalazł w dawnem mieszkaniu poselstwa polskiego i Sobieskich. Było wszystko uprzejmie; ale jednak z jego strony nie tak po chrześcijańsku serdecznie i otwarcie, jakbyśmy sobie życzyli. On sam nie dał sposobności do pomówienia o swoich dziełach, jakby potrzeba było. Jedna tylko ważna rzecz miała miejsce. Wyrobiliśmy mu audyencyę u Ojca św. na drugi dzień po przybyciu, aleśmy uprzedzili Ojca św., co za człowiek, jak wzięty, jak ma ważne w kraju położenie, ile napisał, że w pismach swoich szanuje Kościół, że jest dobrym chrześcijaninem i t. d.; jedno tylko było a l e, jak można najwięcej zmniejszone: że się daje niekiedy zanadto pociągnąć przez to, co nazywają wymagalnością sztuki, i nie zachowuje niekiedy w opisach tej ścisłej wstrzemięźliwości, którejby wymagała surowa czystość. Mniej, zdaje się, nie można było powiedzieć. Tymczasem Ojciec św. głównie na to uderzył. Powiedziawszy kilka wyrazów pochwalnych, że wie ile napisał, że wie, iż jest dobrym chrześcijaninem, ale dodał: *bonum ex integra causa, malum ex quocumque defectu:* wy artyści zanadto idziecie za sztuką,

zanadto wdajecie się w anatomię. Anatomia należy do szpitalów, tam wszystkie nagości trzeba odesłać jak i wszystkie choroby; ale w życiu potrzeba zdrowia i t. d. I tak skończył, że biedny słuchacz został pod tem wrażeniem. Przykro było nam wszystkim, że to w taki sposób uczynił papież".

„W Rzymie — pisał wówczas ks. Kajsiewicz — więcej niż gdziekolwiekbądź indziej, pamiętają o maksymie św. Franciszka Salezego, że więcej się much łapie na kroplę miodu, niż na beczkę octu, i dlatego ludzi nieprzychylnych Kościołowi uprzejmie przyjmują. Tem bardziej papież dzisiejszy, który posiada słodycz i uprzejmość św. Salezego. Jak potem wytłumaczyć jego znalezienie się? Czy był pod wpływem ogólnego wyobrażenia o dzisiejszej literaturze, czy przedtem świeżo miał jakie przykre przejście, czy nie rozumiał lub nie zapamiętał słów listu ks. Piotra. Wiesz zapewne, że Ojciec św. chce wiedzieć, z kim ma mówić. I przeto żądając dla kogo posłuchania, daje się zarazem pewne o nim wyobrażenie. Ks. Piotr w liście swym natrącił, że Kraszewski w młodości, idąc za smakiem wieku, bawił się lżejszą literaturą. Chciałem smutne to *qui pro quo* naprawić. Tej zimy np. papież zmęczony czy preokupowany, krótko był zbył jednego z naszych rodaków, zażądałem drugiego posłuchania i był najspokojniej i najuprzejmiej wysłuchany. Byłem zatem u kardynała sekretarza stanu, który mi mówił, że nie mógłby żądać nowego posłuchania u Ojca św., bez poprzedniego przystania p. Kraszewskiego". — Tak pisał ks. Kajsiewicz do Moczulskiego, który był pupilem Kraszewskiego i obrażony był z powodu owej audyencyi. „Sam zaś Kraszewski — pisze ks. Semenenko i jak się wtedy zdawało — przyjął to bardzo przyzwoicie, nie użalał się; prosił tylko, żeby o tem nie mówić, czego my ściśle przestrzegamy". Do ks. Kajsiewicza napisał list następujący:

„Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Wiem, że ze współczuciem byliście łaskawi przyjąć wiadomość o mojej bytności u Ojca św., który mnie, może skutkiem wypadku czy raczej zrządzenia bożego, nie tak przyjął dobrotliwie, jakem ja biedny pielgrzym mógł pragnąć. Widzę w tem

tylko opatrzną rękę boską, która dla mojego dobra i pożytku dusznego, tem strapieniem wypróbować chciała: — nikomu tego nie przypisuję, co w mojem przekonaniu jeden Bóg mógł uczynić. Raczcie więc wierzyć, że do nikogo o to żalu ani najmniejszej nie mam urazy, i owszem z pokorą przyjmuję i rad jestem krzyżowi, który mnie tu spotkał. Wszelka o tem rozmowa byłaby dla mnie bolesną, bo drażniłaby cierpienie, o którem radbym zapomnieć. Z wdzięcznością przyjmuję łaskawe interesowanie się Wasze i serdeczne współczucie nad położeniem mojem, ale niech to tak zostanie, jak się Bogu zrządzić podobało. W duszy mojej czuję, żem mógł na wymówki Ojca św. zasłużyć, mogłem zbłądzić jako człowiek, tego tylko nie mam sobie do wyrzucenia, abym z dobrej woli i rozmyślnie przeciw powadze Kościoła przewinił. Serdeczne składając dzięki, proszę jeszcze raz, abyście mając wzgląd na położenie moje, chcieli je zostawić jakiem jest, gdyż nic tego odmienić co się stało nie potrafi, a jam to złożył na ofiarę Bogu z innemi cierpieniami życia. Racz przyjąć wyraz głębokiego szacunku, z którym mam honor zostawać

Wielmożnego IPana Dobrodzieja

uniżony sługa

J. I. Kraszewski.

D. 12 lipca 1858
Rzym.

Tak więc audyencyi potem Kraszewski nie miał.

„W towarzystwie Kraszewskiego — pisze ks. Semenenko — pojechał do Neapolu Juliusz Moczulski. Z Neapolu Moczulski pisał, że nas opuszcza, obrażony za Kraszewskiego, który był jego opiekunem. Feliński mu bardzo dobrze odpisał i u nas zostaje".

Zmartwychwstańcy, mając już zawiązek przyszłego kolegium polskiego, i tymczasowo mieszcząc go u św. Klaudyusza, starali się o życzliwą pomoc biskupów i rodaków. Do tego posłużyła podróż ks. Semenenki po Austryi i Poznańskiem. Pod dniem 8 października 1858 r., zapisuje ks. Semenenko: „Wczoraj o siódmej z rana wyruszyłem z Berlina. O trzeciej po północy stanąłem w Braunsbergu i opuściłem kolej żelazną, żeby się

udać do biskupa we Frauensburgu". Poznanie się z biskupem warmińskim, Geritzem, tak opisuje w liście: „Muszę wszakże opowiedzieć, co mi się stało przy tym przejeździe. Poczmejster dając mi konie, pyta o nazwisko. Żeby nie wchodzić w żadne eksplikacye daję mu paszport (paszport papieski, wydany przez kardynała Antonellego). A że podróżni mają inny pokój do czekania, więc nie wiem, co tymczasem z moim paszportem się dzieje; widzę tylko, że go długo trzymają i proszę Anioła Stróża, żeby tam strzegł mnie. Nareszcie przynosi mi paszport urzędniczek i grzecznie oddaje: ja mu płacę 2 talary za pocztę podług kartki i wyjeżdżam; tylko słyszę, że mój pocztylion strasznie trąbi. Spokojnie przyjeżdżam do Frauensburga i staję w pierwszym lepszym gościnnym domku, czekając, póki się dzień nie pokaże, dawszy pocztylionowi coś na piwo. Ale ciekawość mnie bierze zobaczyć, jak też ta kartka napisana, i ile właściwie zapłaciłem. Patrzę — co to? nie mogę wierzyć, patrzę raz jeszcze, i zacząłem się śmiać serdecznie i na głos, tak, że gdyby kto był widział, zdziwiłby się niemało. Na kartce było napisane: *Quittung. Herr Cardinal Antonelli hat bezahlt am 8 October 1858 Extrapostgeld von Braunsberg nach Frauenberg* i t. d., następuje rachunek. A co? Czy nie

Risum teneatis amici?

Bo jeszcze trzeba dodać, że to wszystko było na servo. Kiedym przyszedł do biskupa, już był uprzedzony, że do niego jedzie kardynał, bo ten, który po listy chodzi na pocztę, słyszał o tem na poczcie: powiedziano mu, że tam wasz biskup ma dziś wielką wizytę, kardynał do niego pojechał i t. d. Cóż na to wszystko powiesz, mój drogi Ojcze? Ja myślę, że może była potrzebna do czego ta omyłka; ale że zabawna, to zabawna. Cośmy się też z niej u biskupa nie naśmiali! Po pierwszych chwilach, jak zwykle obojętnych, stanęliśmy na stopie bardzo serdecznej. Następnie dał mi biskup wszystkie władze, kazał zaprowadzić do katedry na odprawienie mszy, zaprosił na śniadanie, potem zatrzymał na obiad... O nas mówiłem, ile potrzeba na pierwszy raz. Mówiłem nawet o naszej myśli i pracy około założenia seminaryum polskiego w Rzymie: on mi znowu przed-

tem był mówił o biedzie, jakiej doznaje w ukształcaniu księży dla polskich owieczek swoich. Wniosek był łatwy do uczynienia, ale na pierwszy raz nie uczyniłem go, bo jeszcze mam być u niego. Chociaż mało co sobie tu obiecuję; biskup jest człowiek stary; już nie ma dość siły do przeprowadzenia i wykonania nowej myśli, połączonej do tego z pewnemi trudnościami. Ma wprawdzie władze umysłu bardzo przytomne, ale jak powiadam, siła jego cała pochodzi z pędu dawniej wzdętego, do niczego nowego nie porwie się. Będę jednak mówił, da Pan Bóg". Dnia 22 października: „Wróciłem do Pelplina. Biskup wrócił ze swojej wycieczki po dyecezyi. Zaprosił mię do siebie", a 25 pisze znowu: „Trzy dni przepędziłem u biskupa. Bardzo zacny kapłan. Rozmówiliśmy się o wielu rzeczach. Wyłożyłem mu nasz zamiar seminarym polskiego w Rzymie. Zgadzał się i po części przyrzekł przysyłać uczniów".

Dnia 2 listopada ks. Semenenko zajechał do Poznania. Pisze do ks. Kajsiewicza: „Byłem zaraz u arcybiskupa... Mówiłem o naszem seminaryum rzymskiem, i żeby nam młodzież przysyłał. Znalazłem go łatwiejszym, niżelim się spodziewał, owszem, niemal że chętnym. Korzystając z tego, pożaliłem się bardzo grzecznie i skromnie, że Miklewskiego nie do nas przysłał. Odpowiedział, że przecie mu nie zabronił. Nie chciałem naturalnie mówić mu o jego liście do Hohenlohego, ale z tego, co mnie powiedział, wypada, że Miklewski może go poprosić o przeniesienie się do nas. Niechby do niego napisał prośbę, opierając się nawet na moich słowach, to jest, że arcybiskup mnie mówił, iż nieby nie miał przeciwko temu..." Innym razem: „Sam arcybiskup mówić zaczął o seminaryum polskiem w Rzymie; wypytywał się o pensyą — powiedziałem 20 talarów na miesiąc, powiadając że tyle papież płaci za Rusinów, których u nas umieścił, i że tyle trzeba. *NB.* powiedziałem i to, żeśmy mówili o tem papieżowi (ja sam mówiłem) i że papież tę myśl seminaryum polskiego w Rzymie bardzo pochwala i zachęca do wykonania. Tym razem arcybiskup zupełnie gotów się okazał do przysyłania nam studentów. Powiedział, że 10 talarów będzie sam płacił, a resztę dopłacać będą studenci, których takich dobierać będzie, coby płacić mogli".

Dnia 21 grudnia we Wrocławiu: „Byłem u biskupa nazajutrz po moim przyjeździe. Wytłumaczyłem mu nasze zamiary, myśl seminaryum i t. d. Nic stanowczego, ale pewne zbliżenie. Dziś byłem u niego na obiedzie".

Z Wiednia d. 31 grudnia pisze ks. Semenenko do ks. Kajsiewicza: „Mój Ojcze drogi, rzeczy tak stoją. Moją myślą było mówić o seminaryum w Rzymie, oprzeć wszystko na powadze Ojca św., żeby to mu było przyjemnem i w jego chęciach. Taka była moja myśl, z którą chciałem iść nawet do cesarza, co się i nuncyuszowi dosyć zdawało. Tymczasem O'donell tak mnie objaśnił. Polityczne zawady są najmniejsze, dziś nawet zapewneby na to wcale nie uważali, że to rzecz nieprzyjemna dla Rosyi. Mogą się nawet przekonać i przypuścić nasze zasady konserwatorskie. Ale tę rzecz z innego punktu będą uważali, z punktu jedności Monarchii. Taki zakład w Rzymie będzie złożony ze wszystkich Polaków, pruskich, rosyjskich równie jak austryackich. Na to rząd nie przystanie. On chce mieć zakład austryacki. Takim jest Anima. Powiesz mi, że tam są Niemcy z innych części. Ale to właśnie mu na rękę i to czyni ten zakład jeszcze bardziej austryackim, bo daje Austryi protektorat nad Niemcami. Mówisz mi, że Polacy potrzebują oprócz ogólnego jeszcze właściwego wykształcenia. Dobrze, więc niech będzie zakład polski galicyjski, to jest austryacki. Tak więc rząd nie może przyjąć tej myśli seminaryum polskiego w Rzymie. Lecz zresztą tego nie potrzeba dla Was. Wszakże studenci teraz mogą się uczyć za granicą gdzie chcą. Tembardziej w Rzymie. Byleby tylko biskupi mieli odwagę tam ich posyłać. Cała rzecz zależy od biskupów. Z tymi trzeba się porozumieć. Taki rezultat całej tej rzeczy. A ponieważ teraz oprócz ks. Wierzchlejskiego w Przemyślu (bo o tarnowskim nie ma co mówić), niema zgoła biskupów, więc nie ma się z kim porozumieć". W dzienniku zaś swoim zapisuje pod d. 8 stycznia 1859: „Miałem audyencyę u Bacha, ministra spraw wewnętrznych. Przedstawiłem mu zamiar fundowania seminaryum w Rzymie. Przyjął mnie grzecznie, nie odmówił. Wyrobiłem u niego, że został zdjęty z *Przeglądu Poznańskiego* zakaz wchodzenia do Austryi".

W roku 1860 jeździł ks. Kajsiewicz. Przybywszy do Wiednia: „Po Mszy św. — pisze — poszedłem do nuncyusza. Powiedział, że dawno już otrzymał polecenie od Ojca św. pomagania mi w kwestyi seminaryum polskiego. Nie taił, że kardynał Rauscher przeciwny jest wszelkim zakładom narodowym, najwięcej jeszcze kazał liczyć na Gołuchowskiego, niezbyt zresztą z niego kontent, szczególniej za Żydów... Gołuchowski powiedział, że Austrya musi być znowu grzeczną dla Rosyi... U nuncyusza byłem parę razy. Przyznawał sam, że na razie nie można nic zrobić, i radził zacząć rzecz kolegium *via facti*, szczególniej porozumiawszy się z biskupami, a nie mając nieprzychylnej ambasady w Rzymie".

Tymczasem zaskoczyły wypadki warszawskie i ten zawiązek kolegium polskiego przestał istnieć z wyjściem alumnów. Roku 1862 nie było już z nich żadnego.

(C. d. n.).

Ks. Paweł Smolikowski.

DALMACKIM BRZEGIEM.

(Od Zadaru do Kotaru).

Tęskniłem do morza, jak dziecko do matki. Na niewidziane, na wiarę Słowackiego, Byrona, Sienkiewicza opisywałem poetyczną prozą i prozaicznym wierszem jego „modre lazury", „szmaragdowe tonie", — a morze, niepoczciwe, niewdzięczne, przy pierwszej zaraz złożonej sobie wizycie, okazało się nie matką, lecz macochą. Jeszcze noc spędzona między Wenecyą a Tryestem, w dobranem a wesołem kółku polskich redaktorów, artystów, urzędników na wakacyach, nie bardzo dała się we znaki. Gorsza była druga, kiedy polskich muzyków i powieściopisarzów nie stało, a za to morskie fale puściły się w dziki taniec przy akompaniamencie całej orkiestry wichrów. Ale w tem życiu wszystko płynie, szybko przepływa; i ta noc przepłynęła, morskie chochliki, bałwany znużone całonocnym balem do snu się pokładły, a z poza rozstępującej się zwolna gęstej, białej mgły pokazały się w czerwone blaski wschodzącego słońca ustrojone dachy dalmackiej stolicy.

Ileż o tej stolicy — o włoskiej Zarze, słowiańskim Zadarze, rzymskiej Jaderze — nie nasłuchałem się od serdecznego druha, co przebiegłszy w niedługiem swem życiu Włochy, Hiszpanię, Francyę, Niemcy, Dalmacyę, przez całe lat cztery razem ze mną w Krakowie wertował teologiczne foliały, a gdy już głowa posłuszeństwa odmawiała i w żaden sposób z labiryntu, nagromadzonych przez Skotów, Lombardów, Bergaryuszów zagadnień,

wybrnąć nie mogła, opowiadać zaczynał o zadarskich swych przygodach, malował dosadnem słowem zadarskie pałace i kościoły, szkicował od niechcenia karykaturę zadarskich włosko-słowiańskich waśni, a każdy obraz, każdą karykaturę zaopatrywał stałym podpisem: Musisz kiedyś później do Zadaru pojechać! Przyjeżdżam, ale nie mam tam ciebie, wierny towarzyszu teologicznej broni. Włóczyłeś się po indyjskich górach i dolinach, zapomniałeś pewnie o polskich *cz* i *szcz*, które z takim mozołem wymawiałeś, o „Nieboskiej", z którą zaznajamiałeś ukochanych swych hiszpańskich rodaków. Straciłeś zdrowie i wracasz teraz do Europy... Czemuż febra nie zaglądnęła do twej celki o parę miesięcy wcześniej; możeby się spełniły dawne nasze nadzieje, marzenia — i jakem ci pokazywał krakowskie kościoły, galerye, pamiątki, takbyś mi teraz pokazywał zadarskie!...

Precz z marzeniami! — dzięki Bogu i rzeczywistość nie czarno się przedstawia. Niema Ojca Karola; odnajdę tu, jak odnajdę później w Dubrowniku, w Splicie, Ojca Józefa, Jana, czy Alojzego, z których każdy, mniejsza o to jak się nazywa, czy stąpał sam kiedyś po polskiej ziemi, czy tylko z mętnych opowiadań coś o niej posłyszał, z równą miłością przyjmie polskiego brata, z równą uczynnością zaprowadzi wszędzie, pokaże, objaśni wszystko, co tylko będzie mu się zdawało, że może go zaciekawić. Niedługo trzeba ich szukać. Ledwie przeszedłem wspaniałą Porta Marina, a otóż i kościół św. Chryzogona, który znam tak dobrze z tylu opowiadań; otóż i jeden z braci biegnie z wyciągniętemi ramionami powitać wędrowca...

Dokąd pójdziemy, co zobaczymy naprzód? Przyjętym nie bez racyi zwyczajem, przebiegnijmy przedewszystkiem główniejsze ulice, zajrzyjmy na nieodzowne: Piazza dei Signori, na Piazza delle Erbe, aby o całej stolicy dalmackiej, o mieszkańcach jej i zwyczajach wyrobić sobie jakieś wyobrażenie.

— Zadar — tłumaczą mi moi przewodnicy, a tłumaczenia te z wyjątkową zgodą powtarzają i Włosi i Niemcy i Serbowie i Horwaci — Zara nasza jest jedynem w Dalmacyi prawie czysto włoskiem miastem. I w innych nadbrzeżnych miastach, żywioł włoski silnie jest reprezentowany; ale tu popatrz, posłuchaj!...

Ta czerwona przekupka, z okrągłym serkiem w ręku, krzyczy po włosku, chłopak po włosku się z nią ujada; te dziewczyny, co z cysterny wodę do dzbanków czerpią, także po włosku ostatnie plotki sobie z ust do ust podają; a kupcy, kupcowe, fryzyerzy, panie, panowie, wszyscy co wedle paryskiej mody się ubierają — to już o nich i nie mówię, bo w wyższych, średnich klasach, włoski język należy do dobrego tonu. Trudna rada! — przyznają Słowianie — chyba ślepy i głuchy temu zaprzeczy. Z dumą stwierdzają Włosi: Zara włoskiem miastem; na każdym kroku to przebija.

I nie dziw, że włoskiem; niedalekie Włochy wybiły tu niejednokrotnie swe piętno na historyi, wiernie chowanych tradycyach, miejscowych zwyczajach. Różne, bardzo różne ludy rozbijały w Dalmacyi kolejno swe namioty; rozciągały swe zagony aż do ostatnich południowych granic, i znów, ustępując nowej zaborczej nawale, zwolna się cofały; próbując z nią walczyć, zwolna się w niej roztapiały. Starych Illiryjczyków, których niepewne dzieje giną w mgle wieków, wyparły zwycięskie rzymskie orły; Agryppa, Tyberyusz, Germanikus zdobywali w mozolnych walkach kolejno wawrzyny, urządzali kraj na rzymską modłę. Po Rzymianach przyszli Goci, po nich Awarowie, niszcząc ogniem i mieczem, co dało się zniszczyć, dokazując prawdziwych cudów w sztuce burzenia. W połowie siódmego wieku nadpłynęła od Karpat nowa fala horwacko-serbska i tej już żadna inna za dalmackie brzegi nie potrafiła wyrzucić. Niemała to rzecz, bo wojna szła po wojnie, burza ścigała burzę. Węgierscy królowie, weneccy dożowie, wezyrowie tureccy, bośniaccy banowie, korsarze, rycerze, śmiali awanturnicy ze wszystkich części świata, zawijali do dalmackich portów, głosili się „królami“, „dożami“, „samowładcami“ Dalmacyi, i znów jak przypłynęli, odpływali, zostawiając po sobie miejsce mężniejszym, szczęśliwszym. „Sto tomów — pisze słusznie jeden z dalmackich dziejopisarzów — nie wystarczyłoby do wyczerpującego opisu dziejów małej Dalmacyi“. Pokój w Campo-Formio poddał wenecką część Dalmacyi wespół z samąż Wenecyą pod panowanie Habsburgów; w ośm lat później, 1805 r., Dalmacya przypadła w udziale Włochom; nie minęły

trzy lata, a stała się prowincyą królestwa illiryjskiego, aż wreszcie po ostatecznem rozbiciu Napoleona, ponownie, tym razem na stałe, złączyła się z Austryą.

Historya wiekowych tych, wewnętrznych i zewnętrznych burz, wypisana ruinami świątyń, pałaców, miast, co gęsto rozsypane po całej Dalmacyi, najlepiej opowiadają, czem kraj ten kiedyś był, czem mógłby być, gdyby człowiek chciał być zawsze człowiekowi bratem. Każda epoka: przedhistoryczna, grecko-illiryjska, rzymska, węgiersko-słowiańska, wenecka, zapisała się swemi ruinami, nieraz ruinami ruin, w których tylko biegły badacz odgadnie ciekawy zabytek minionej przeszłości, przy których i najbieglejszy długo duma i głową kiwa, zanim w przybliżeniu poda wiek, z którego może pochodzą. Kto lubi się po ruinach błąkać, marzyć wśród ruin, ten na błąkaniu się, na marzeniu mógłby tu: w Zadarze, Kninie, Salonie, lata spędzić. Jest o czem marzyć, jest nad czem się zadumać. Płynęła fala po fali wieków, pokoleń:

Widocznych śladów mało
Po każdej pozostało.
I dumne jej zamysły
Odparte w swoim pędzie,
Przez ostre skał krawędzie
Jak piana nagle prysły.

A przecież siła żywa
Wiążąca ich ogniwa,
Przez długie lat koleje,
Z pokoleń w pokolenia,
Ludzkości postać zmienia
I rzeźbi świata dzieje [1].

Miasto, z bardzo może nielicznemi wyjątkami po pierwszych piętrach na Piazza dei Signori, już się obudziło; zegary na wyścigi ogłaszają siódmą i pobudzają do szybszego kroku w stronę kościoła św. Donata. Głośny archeolog, a jednocześnie inspektor szkolny na Dalmacyę, znany szeroko ze swych uczonych prac, Glavinić, sam wczoraj ofiarował się, że punkt o siódmej oprowadzać zacznie polskiego turystę po kościele św. Donata, za-

[1] El...y, „Fale".

znajamiać go z najciekawszemi zabytkami, przechowanemi z weneckiego, zwłaszcza z rzymskiego Zadaru. Próbowałem protestować, tłumaczyłem, że jestem profan nad profanami i nietylko żadnej archeologicznej książki, ani broszury pisać nie myślę, ale wogóle o samejże istocie archeologii mam bardzo mętne pojęcie; trochę istotnie zażenowany i nie bardzo wiedząc, jaką mam stroić minę przy wywodach uczonego profesora, próbowałem tłumaczyć i prosić, aby się którym z młodszych swych uczniów zastąpił. Pan Glavinić był nieubłagany.

— Prawda! — zadecydował ostatecznie — zabytki nasze znam na palcach i pewnie jutro nic nowego nie odkryję; ale dla mnie to prawdziwą przyjemnością odkrywać przed drugimi skarby naszej historyi, naszej dawnej kultury, w które sam pół duszy włożyłem. Mówisz, żeś profan. Oczywiście, wiedziałem o tem z góry i to mię nie straszy, a nie straszy, bo i ksiądz o tem wiesz. Kogo się boję, to półprofanów, co przerywają mi w pół słowa, przedkładają swoje teorye, wynajdują arcyoryginalne hipotezy, a wszystko razem wziąwszy, plotą takie koszałki-opałki, że uszy bolą. O! co to za plemię! Straszne plemię!

Gdzie ukrył się kościół św. Donata? Idę na prawo, w wskazanym kierunku i trafiam na katedrę; zwracam się na lewo — nigdzie śladu starożytnej świątyni. Niezdecydowany wokoło się rozglądam, gdy wtem na szczęście, ktoś z lekka kładzie mi rękę na ramieniu; to Glavinić, jak zegarek punktualny, z kilkoma książkami pod pachą, z pękiem olbrzymich kluczy w ręku. Jeszcze parę zaledwie kroków i oto stoimy przed wielką, ciężką, rzekłbyś, basztą; tak wokoło nowożytnemi budowlami otoczoną, że aby ją zobaczyć, trzeba jej niemal dotknąć. Klucz zgrzytnął, furtka wiodąca do wnętrza się otwarła i Glavinić uśmiechnięty, rozradowany, wyciąga rękę ku szczerniałym, bluszczem okrytym głazom i przedstawia najdroższą swą kochankę:

— Kościół św. Donata!

Wiek blizko upływa, jak do tej baszty przestali wierni się schodzić, jak usunięto z niej obrazy, ołtarze. Wieków dwadzieścia temu, za czasów Augusta, stać tu miała pogańska świątynia, poświęcona cesarskiej żonie Liwii Auguście; pozostały wyryty

w kamieniu napis: *Junoni Augustae* etc., poważnym zabytkiem i świadkiem starych tych dziejów. Pod koniec ósmego, z początkiem dziewiątego wieku, wystawił ówczesny biskup zadarski, osobisty przyjaciel i doradca Karola Wielkiego i greckiego cesarza Nicefora, Donat III., na gruzach pogańskiej świątyni, chrześcijański kościół. Do budowy użyto zamiast zwyczajnych kamieni: kolumn, łuków, kapitelów, architrawów z dawnej świątyni, a prawdopodobnie i z wielu innych świątyń czy pałaców rzymskiej Jadery; w ten sposób każdy kawałek muru ma dziś odrębną, muzealną wartość. Kościół składał się jakby z dwóch pięter, dwóch kościołów: dolnego i górnego; w pierwszym gromadzili się i modlili wierni, którzy otrzymali już chrzest św., w drugim katechumeni. Jak dolny, tak górny kościół ma trzy absydy; pewnego to rodzaju obraz i przypomnienie tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, której pierwotnie kościół był poświęcony. Później, gdy pod jednym z ołtarzy w dolnej świątyni złożono zwłoki świętego fundatora, dawna nazwa: kościół Przen. Trójcy, ustąpiła nazwie: kościół św. Donata. Roku 1798 rząd austryacki przekształcił kościół w wojskowy magazyn. Dziś — począwszy od r. 1877 — rzymska, pogańska świątynia, chrześcijański kościół, austryacki magazyn wojskowy, przemienił się, koleją losów, w archeologiczne muzeum. Ma racyę hiszpańskie przysłowie:

Lo que va de ayer a hoy!
Ayer maravilla fui,
Hoy sombra mia no soy! [1]

Mimowoli muszą tłoczyć się do głowy smętne myśli, patrząc na tę oderwaną od kadłuba, szukającą przytułku w ciemnym kąciku, głowę Bachusa; dotykając tej urny, co kryje w sobie popioły, nie wiedzieć czyje, nie wiedzieć z którego roku, z którego wieku; odczytując mozolnie wyżłobiony w granicie napis, wspominający domową wojnę między Konstantynem a Maksencyuszem. Obok inny napis, poświęcony młodej, starej — któż

[1] Jakże zmienne dziś a jutro!
Wczoraj świata cudem byłem
Dziś i cieniem swem nie jestem!

wie? — Gratilli. Dalej kilka liter wyrwanych, kilka wyrazów startych niemiłosierną ręką czasu, barbarzyńską ręką ludzką; archeolog staje przed okrytym całunem kurzu, potłuczonym kamieniem i kabalarską chyba sztuką odczytuje cały napis szybko, bez zająknienia. Najciekawsze kamienie, kawałki posągów, różnego rodzaju wykopaliska, złożone w oszklonych szafach; inne, mniej ciekawe, więcej zabierające miejsca, zadowolnić się muszą pierwszym lepszym kątem. Niech się cieszą, jeśli ciekawsze, świeżo odkopane w głębszy i ciemniejszy kąt dziś, jutro ich nie zapędzą.

— Prawda — pyta p. Glavinić, obejmując całe muzeum wejrzeniem pełnem ojcowskiej miłości — prawda, wiele tu ciekawych i pięknych rzeczy!? Nieprawda, ze wszystkiego najciekawsze i najpiękniejsze samo muzeum; nasz cudowny, w swym rodzaju jedyny kościół, muzeum — mniejsza o to — św. Donata. Każdemu ze zwiedzających to powtarzam, i jeden, może więcej, wydrukowało to już w swych opisach naszego kraju. Wydrukuj i ty! Takiego pomnika, jak kościół św. Donata, nie masz drugiego na świecie!

Ledwie parę kroków oddziela ruiny starożytnej świątyni od wspaniałej katedry, dedykowanej św. Anastazyi. Dalej, ku morzu się kierując, kościół św. Chryzogona, zbudowany podobnie jak katedra, w stylu romańskim, ale który, zdaniem znawców, przewyższa ją czystością linij, wykończeniem szczegółów. W kościele św. Symeona zwraca uwagę wspaniały, z wielkiego ołtarza nad całą świątynią górujący sarkofag, w którym znajduje się ręka świętego Starca, szczęśliwa ręka, co niegdyś, choć przez krótką chwilę, piastowała Boże Dzieciątko. Srebrny, bardzo bogaty sarkofag jest podobno (uczony mój przewodnik na słówko: „podobno“ lekki kładzie nacisk) *exvotum* królowej Elżbiety, małżonki Ludwika Węgierskiego; kosztować miał 28.000 dukatów. Posągi czterech aniołów, podtrzymujących drogocenną trumnę, były także niegdyś ze srebra odlane; w bardzo niedługim czasie, bo już 1390 r., zabrał je Zygmunt Luksemburczyk, zamiast nałożonego przez siebie wojennego haraczu, którego w żaden sposób z Zadarczyków nie mógł wydusić, a miejsce srebrnych za-

jęło dwóch aniołów bronzowych, dwóch kamiennych. Na bronz i kamień dotąd nikt się nie złakomił.

— Możeś to już gdzie czytał — streszcza z uśmiechem prof. Glavinić wyniki dotychczasowej naszej archeologiczno-kościelnej przechadzki — i pewnie, żeś czytał, bo każdy, kto pisze o Dalmacyi, uważa sobie za obowiązek to powtórzyć; niemniej oglądając Zadar, trudno raz jeszcze nie powtórzyć; w zwiedzonych przez nas dotąd kościołach odzwierciedlają się główne epoki historyczne naszego kraju: w kościele św. Donata rzymska, w św. Anastazyi bizantyńska, w św. Chryzogona autonomiczna, w św. Symeona wenecka. A co, czy to nie piękny, czy nie praktyczny, historyczny atlas?

Chcę dziękować, pożegnać nieocenionego profesora, tem bardziej, że słońce wysoko się już wzbiło i krakowskiego Sybiryjczyka — jak mię tu trochę na żarty, trochę na prawdę nazywają — niemiłosiernie pali.

— Oho! nic z tego, — a kolomańska wieża, a bernardyński kościół, a Carpaccia Matka Boska Miłosierna, a obrazy Palmy, a freski naszego Zadarczyka, Salghetti-Driolego?!...

Cóż robić? — chodźmy oglądać Carpaccia i Ricciego, Palmę i Driolego. Chodźmy, chociaż przed paru dniami w Wenecyi takem się przemęczył, przesycił artystycznemi pięknościami, że na samo wspomnienie Palmów, Bassanów, Carpacciów oko czerwono-fioletową mgłą zachodziło, mózg jakby się kąpał we wszystkich kolorach tęczy, a z tej kąpieli wydobyć go nie sposób. Ale chodźmy, chodźmy! wychylmy do dna czarę artystycznych piękności, estetycznego znużenia!... Tyle przynajmniej dobrego, że lepiej rozumieć zaczynam, jaką drogą dochodzi się do dekadentyzmu...

Lekarstwem, prezerwatywą przeciw brzydkiej tej chorobie, wieczorne spacery po nad morskim brzegiem, wieczorne spinania się na zadarskie skały z nieocenionym, rzeźkim, wesołym Ojcem Mocenigo, z podążającym za nami, poważniejszym w chodzie, równie wesołym w mowie dyrektorem zadarskiego gimnazyum, ks. Mikołajem Roglic'em. Rano przechadzka z inspektorem, po

południu z dyrektorem; — to nie żarty! — szkolna atmosfera dokoła mię otacza i zoryentować się sam nie mogę, jak przyszedłem do takiego szczęścia i honoru. Od morza idzie luby wietrzyk i wypędza niegodziwą spiekotę; orzeźwia winne latorośle, bawi się z gałązkami karłowatych oliwek, nachyla je lekko na nasze powitanie. Choć kto wie, czy na nasze? Może pękate, niezgrabne oliwki; może z lakierowanym liściem karlice — cytryny dostrzegły z daleka kroczącą zwolna rodzinę jednego z zadarskich milionerów, fabrykanta słynnego jak długi i szeroki świat, *maraschino di Zara* i jego milionom złożyły niskie hołdy. Od tych wypasłych na słońcu mieszczuchów wszystkiego można się spodziewać! — tylko cienia, tylko ochrony przed słońcem się nie spodziewaj!... O! ileż milsze, piękniejsze, poczciwsze nasze sędziwe buki, matrony topole, mchami brodate dęby!...

Ojciec Mocenigo uśmiecha się, kiedy usiłuję mu niecycerońską łaciną odmalować krasę naszych gajów i borów; nie bardzo wierzy, aby gdzieś tam, koło północnego bieguna, mogło coś róść, kwitnąć, rozwijać się i jeszcze w dodatku być pięknem, ale swoją drogą wypytuje ciekawie o naszą faunę i florę; wypytuje zwłaszcza o nasz śnieg i wiśnie. Śnieg — rozumię jeszcze, ale wiśnie? Prawda! — że też mogłem zapomnieć — przecież *maraschino*, główny produkt Zadaru i pierwszorzędna jego chluba, z wiśni się wyrabia. Rok rocznie wypływa z zadarskiego portu około 300.000 butelek przeźroczystego płynu, którego woń rozkoszna — jak opiewa jego zalety jeden z rozentuzyazmowanych podróżników — najcudniejszą poezyą, słodki zapach najwdzięczniejszą idyllą. Na amerykańskich, egipskich, chińskich, polskich i japońskich stołach figurować musi przy wielkich uroczystościach nieodzowna pleciona buteleczka, *maraschino di Zara*. Zadarczycy powiedzą ci na ucho, że owe *di Zara* nie zawsze trzeba brać dosłownie; sumienniejsi np. splityńscy fabrykanci wypisują wprawdzie na swych etykietach: *maraschino di Zara*, ale zarazem drobnemi literami ostrzegają, że fabrykowane jest w Splicie; inni nie ostrzegają, spuszczając się na wprawiony język wykwintnego dalmackiego smakosza, który odrazu fałsz od prawdy, Split od Zadaru, potrafi rozróżnić. Dla barbarzyńcy naturalnie i splicki

likwor dość dobry; ale niechże sobie sami barbarzyńcy zdrowi go spijają! Miałem raz to nieszczęście i poczęstowałem w drodze zadarskiego redaktora otrzymanem od jakiegoś zdrajcy splickim *maraschinem;* po wyrazie twarzy, po ironicznem podziękowaniu nie trudno było wyczytać, jak silnie utwierdził się w przekonaniu o polskiem barbarzyństwie.

Jedyna to bodaj kwestya, jak Dalmacya długa — (mówić o szerokości, zakrawaćby mogło na ironię) — kwestya „maraskińska“, co do której zgadzają się wszystkie dalmackie stronnictwa, wszystkie reprezentujące je redakcye. Za to w innych: religijnych, narodowościowych, gorzej niż wieża Babel; ile gazet, tyle stronnictw, a kto wie, czy nie więcej stronnictw, niż gazet, bo Dalmacya dotąd na swe nieszczęście, lub raczej szczęście, o ile bogata jest w wino i oliwę, o tyle w gazety uboga.

Przyczynę tego ubóstwa, którego niejedna inna austryacka prowincya gotowaby Dalmacyi pozazdrościć, wyjaśnia mi redaktor katolicko-słowiańskiego pisma: *Katolička Dalmacija.* Już to charakterystyczne i niejedno wyjaśniające, że do redakcyi pisma, które bądź co bądź obchodziło w roku zeszłym dwudziestopięcioletni jubileusz swego istnienia, długo nikt mi drogi wskazać nie umiał. Znalazł się wreszcie więcej od innych z publicystyką zaznajomiony miejski policyant, który szczęśliwie zrozumiał, o co chodzi, i z góry roztropnie oświadczył, że sam do redakcyi doprowadzi, bo wszystkie ustne, choć najobszerniejsze informacye, na nicby się nie zdały. A nie były to próżne przechwałki, obliczone na wyciągnięcie z kieszeni hojniejszego datku „na wino“. Któż mógł się domyśleć, stanąwszy przed jakąś niepozorną kamieniczką, że w niej ukrywa się redakcya *Katolickiej Dalmacyi,* kiedy żadna tablica, żaden napis, choćby bilet wizytowy tej tajemnicy nie zdradzał; kto bez przewodnika zoryentowałby się w labiryncie ciemnych korytarzyków i ciemniejszych jeszcze schodów; kto tajemniczem jasnowidzeniem nie oświecony zatrzymałby się nagle na jakimś zakręcie i póty oboma pięściami bił — nie widać w drzwi, czy w ścianę — aż z wewnątrz nie odezwałby się głos ludzki, nie zabłysł przez lekko uchylone drzwi wązki promyk światła, za owem światłem nie okazał się

niespodziewanym napadem zdziwiony, trochę przerażony redaktor, lub co na jedno wyjdzie, a ładniej brzmi: trochę zdziwiona, do zbyt licznych interwiewów, do obcesowo narzucających się interwiewierów snać nie przyzwyczajona redakcya. Krótko mówiąc, stoi przedemną we własnej osobie, ks. Ivo Prodan, *vlastnik, izdavetelij i odgovorni urednik Katolickiej Dalmacyi,* a zarazem drugiego pisma: *Hrvatska Kruna,* z beletrystycznym dodatkiem, jeden z głównych przywódców słowiańsko-narodowego ruchu. Rozmowa idzie dość tępo, bo ks. Prodan zupełnie nie mówi, a niewiele rozumie po niemiecku; po włosku do Słowianina odzywać się nie chce, więc posługujemy się słowiańskiemi językami: on chorwackim, dodając czasem ruskie i polskie końcówki; ja polskim wymawianym na chorwacką nutę; sztukujemy, cerujemy rozdzierający się co chwila rozhowor, wtrącanemi tu i owdzie łacińskiemi zdaniami, i ostatecznie jedziemy naprzód po grudzie, po grudniowej grudzie, ale jedziemy naprzód.

— Nasze dziennikarstwo dalmackie — informuje ks. Prodan — wciąż znajduje się w kolebce, a co najsmutniejsze, niema możliwego sposobu, aby go z kolebki wydobyć. Niech dziś pójdzie pierwszy pociąg kolei żelaznej, łączący Zadar z Kistanią, Kninem, Senią, Splitem, Dubrownikiem, Kotarem, a tem samem z Mostarem, Serajewem; niech z drugiej strony złączymy się z Europą drogą na Karlovac, Zagrzeb, a jutro ogłaszam, że *Katolička* zmienia się w pismo codzienne, każę bić na początek przynajmniej tysiąc egzemplarzy więcej, i pewny jestem, że z deficytem się nie spotkam. Tymczasem — zanim wejdzie słońce oczekiwanej kolei — wydawać mogę mą gazetę tylko dwa razy na tydzień, bo dwa razy tygodniowo parowce łączą nas z resztą świata, a dla samego Zadaru drukować pismo oczywiście się nie opłaci. To też dziennika, w ścisłem słowa znaczeniu, nie mamy w całej Dalmacyi. Z nominalnym napisem: w poniedzałek i czwartek wychodzi *Katolička,* w środę i sobotę *Narodni List* i radykalny *Il Dalmata,* także w środę i sobotę urzędowy, włosko-horwacki *Avvisatore Dalmato* i półurzędowy jego dodatek *Smotra Dalmatinska;* w gruncie rzeczy wszystkie zadarskie pisma wychodzą, po kraju rozchodzą się wtedy, kiedy z zadarskiego portu paro-

wiec wypłynąć raczy. Jakże wobec takich stosunków mamy się rozwinąć? To też, nie obwijając prawdy w bawełnę, nie rozwijamy się. *Katolička Dalmacija* dochodzi zaledwie do 700 prenumeratorów; *Narodni List* liczy więcej, może najwięcej ze wszystkich dalmackich pism, ale i owo „najwięcej“ inne ma znaczenie, niż w innych krajach i zaledwie wystarcza do mozolnego wegetowania. Dokładnej cyfry abonentów splickiego *Naroda,* dubrownickiej *Crvena Hrvatska,* podobnie jak naszego zapalczywego wroga *Il Dalmata,* jak *Srpskiego Glasa,* podać nie umiem; z góry, znając miejscowe stosunki, można się założyć, że wszystkie mozolnie, bardzo mozolnie wegetują. Tak! niewesołe nasze dziennikarskie stosunki! Bijemy się ze sobą zapamiętale, wszyscy z wszystkimi — zupełnie jak gdzieindziej; ale gdzieindziej zwalczany i walony na prawo, na lewo, redaktor wyżyć może z tej wojny, widzi jakieś moralne i materyalne rezultaty staczanych zapasów; u nas musi bić i dać się bić dla samego honoru i przyjemności.

Pan Biankini, zastępca i brat naczelnego redaktora *Narodni'ego List'a,* znanego dobrze ze swych horwackich i niemieckich przemów w wiedeńskim parlamencie, Jurja Biankinia, potwierdza w głównych zarysach szczegóły i daty, podane przez swego kolegę a jednocześnie rywala w dziennikarskiem rzemiośle. *Narodni List* stoi do *Katolička Dalmacija* mniej więcej w tym samym stosunku, w którym stoi *Dziennik Poznański* do *Kuryera Poznańskiego.* Powtarzam *Dziennik* do *Kuryera,* a nie np. *Nowa Reforma* do *Czasu,* bo kiedy krakowskie pisma nie mają do walczenia z żadnym wspólnym zagranicznym niejako nieprzyjacielem, a stąd cały czas mogą poświęcić na domowe waśnie, to *Dziennik* i *Kuryer,* podobnie jak dalmatyńscy ich koledzy, w pierwszej linii walczyć muszą przeciw wspólnemu wrogowi, przeciw Niemcom, Włochom, Serbom, a dopiero na drugim planie i w wolniejszej chwili popuścić mogą wodze dziennikarskiej animozyi, rzucić hasła: Huzia na czarnych klerykałów! Hejże na czerwonych liberałów! Swoją drogą *Dziennik* i *Kuryer* — chciałem powiedzieć *Narodni List* i *Katolička Dalmacija* — nie czują naturalnie do siebie zbyt żywej sympatyi. Sympatya ta, niezbyt żywa, objawia się

w delikatnem przypinaniu delikatnych łatek sprzymierzeńcowi-wrogowi; w delikatnem podkreśleniu to niewielkiego wpływu, wywieranego przez drugi organ, to ciężącego na sobie stucetnarowego, nad wszelki wyraz trudnego do spełnienia zadania. Ha! chyba tu — myślisz sobie kolejno, nie bez miłego połechtania miłości własnej; myślisz i dziwisz się, że pokoik tak ciasny, tak niczem nie imponujący — chyba tu rozstrzygają się losy Dalmacyi; przez Dalmacyę, może Austryi; przez Austryę, może Europy...

Dwa pułki, ale w politycznym, narodowym kierunku, jedna armia.

— Reprezentujemy — jasno i wyraźnie kreślą swój program obaj redaktorzy — politykę horwacką; dążymy wespół z horwackimi i słoweńskimi patryotami do założenia trójjednego królestwa — *trojedna kraljewina* — i nie wątpimy, że prędzej czy później uda nam się idealne nasze pragnienia w rzeczywistość przemienić. Obok Cislitawii i Translitawii, Węgier i Austryi, stanąć musi pod tem samem, habsburgskiem berłem zjednoczone, temi samemi obdarzone prawami, południowo-słowiańskie państwo. Dobrze zrozumiany interes austryackiego cesarstwa, interes dynastyi, najgwałtowniej tego się domaga. Czyż rząd zaufać może oryginalnemu sojuszowi prawosławnych Serbów z garstką Włochów, rozsianych po kilku większych miastach? Przecież siłą rzeczy, pierwsi muszą wzrok zwracać w stronę Cetynii, drudzy na drugi brzeg Adryatyku; my jedni naturalny mamy w tem interes, aby żyć — żyć, nie wegetować, jak dotychczas — pod berłem Habsburgów. Niestety! dotychczas rząd wiedeński nie rozumie, ale to zupełnie nie rozumie tutejszych stosunków. Nie kontent, że Włosi zajmują w paru największych miastach dominujące stanowisko, i raz po raz, gdzie i jak może, wyprawia im przeróżne psikusy; nie kontent, że Słowianie wypływają na wierzch i radby zapewnić hegemonię trzeciemu, niemieckiemu żywiołowi. Politycznie rzecz biorąc, roztropne to może zamiary; tylko, że dotąd trzeciego tego żywiołu u nas prawie nie ma, więc jakim cudem hegemonię zdobędzie? Trochę niemieckich urzędników, trochę oficerów, nie zmienią Dalmacyi w niemiecką prowincyę; jedna róża, to jeszcze nie ogród; trzy, sto, dajmy na to tysiąc ziarnek piasku, to jeszcze

nie pustynia. Wsie są czysto słowiańskie; parę miast a na pierwszem miejscu Zadar zwłoszczony; Lloyd — niemała u nas potęga — szerzy, licho wie jakiem prawem, ale szerzy włoski język, kulturę; dla Niemców miejsca poprostu brak.

Gorliwy czytelnik i propagator „autonomistycznego“ *Il Dalmata*, a jednocześnie właściciel jednej z porządniejszych kawiarni, przedstawia stosunki z zupełnie odmiennego kątu widzenia. Pytam go, czy nie ma ostatniego numeru której ze słowiańskich gazet: *Narodni*'ego *List*'u, *Katolickiej Dalmaciji*. Nie! nie ma, ani mu się śni w czysto włoskiej Zarze przyczyniać się do szerzenia panslawizmu; kto sobie panslawistyczne gazety chce czytać, niech idzie do panslawistycznych kawiarni.

— Ja — woła i z dumą po piersiach się klepie — jestem prawdziwym Dalmatyńcem, to znaczy, że jestem Austryakiem narodowości włoskiej; jestem Dalmatyńcem, ale nie Horwatem — broń Boże!

No semo ancora morti,
No e no e no!

Żyjemy i nie mamy wcale ochoty umrzeć, dlatego, że kilku horwackim agitatorom zachciało się puścić w kurs niedorzeczną myśl „trójjednego królestwa“. Naturalnie wtedy żywioł włoski, reprezentujący w Dalmacyi prawdziwą oświatę, łączący Dalmacyę z Europą, utonąćby musiał w słowiańskiem morzu — ale do tego nie przyjdzie! Ja osobiście nic nie mam przeciwko temu, aby gdzieś po wsiach, w głębi kraju, dokąd europejska cywilizacya jeszcze nie przeniknęła, były szkoły z wykładowym językiem słowiańskim, aby księża na ambonach przemawiali po horwacku; choć i w tej mierze, rozumię, że mogą być podzielone zdania i kto wie, czy w gruncie rzeczy nie mają racyi ci, co właśnie dla dobra samychże chłopów dalmackich, chcieliby ich zmusić do korzystania z dobrodziejstw włoskiej kultury. Ale zmuszać nas — Dalmatyńców — do uczenia się po horwacku, zakładać w naszych włoskich miastach słowiańskie szkoły — to już trochę zadużo! Egzaltowani, upici słowiańską ideą nauczyciele, nauczycielki, zmieniają samowolnie starożytną „autonomistyczną“ ortografię nazwisk swych uczniów i uczennic, każą im mazać *ch*,

wypisywać *c;* — niech mażą, niech piszą! Bianchini nie jest Włochem, choć ma włoskie nazwisko i całkiem niepotrzebnie przemienił się biedak, dla salwowania horwackiego honoru, z Bian*ch*iniego w Bian*k*iniego. Czyż np. ja, gdyby mi kto z figlów kazał wydrukować na biletach: *Josip Delić*, zamiast *Giuseppe Delich*, zrzucićbym musiał dlatego ze siebie dalmacką, autonomistyczną skórę, a wciągnąć horwacką, panslawistyczną?...

Z żadnym wybitnym przedstawicielem trzeciego serbsko-prawosławnego stronnictwa, które obok partyi horwacko-katolickiej i włosko-autonomistycznej Dalmacyę między siebie podzieliło, w samym Zadarze rozmówić mi się nie udało. Ha! cóż robić, myślę sobie i pocieszam się jak mogę, gramoląc się wczesnym rankiem do ciasnej, pamiętającej z pewnością dawne tureckie napady, pocztowej karetki, która odwieść mię miała do Kninu, do niegdyś, niegdyś potężnej, bogatej, wsławionej stolicy, wynurzającego się zwolna w ostatnich czasach z niepamięci wieków staro-horwackiego państwa. Co robić! — krzywię się niemiłosiernie, patrząc, licząc, o ile można w bok spychając tobołki, pledy, zarzutki zajmujące już lwią część karetki; krzywię się, zerkając z pod oka na właściciela owych tobołków, na dzikiego najezdcę, co spokojnie koło budynku pocztowego sobie krąży, to z pękatym urzędnikiem, to z chudym pocztyljonem, to z wyrastającym z pod ziemi przyjacielem, w długie rozhowory się wdaje, i zrozumieć nie chce, że najroztropniej, w każdym razie dla mnie najwygodniejby zrobił, gdyby zechciał te zwierzania się przedłużyć o pół godziny i podróż swą na następny dzień odłożyć. Nie! nie domyśla się rzeczy tak prostej, wsiada, przeprasza, że na nogi mi nastąpił, przeprasza, że jeden z tłumoczków na kolana mi spada. Wyborny to zresztą wstęp do dalszej pogawędki; jeszcze jedna torebka koło głowy przelatuje i znajomość zawarta, bilety wizytowe zamienione. Na bilecie graždanka — znak nieomylny, że nie z Włochem, nie z Horwatem, ale z Serbem mam do czynienia. Odcyfrowuje mozolnie literę po literze i dochodzę wreszcie do następnego wyniku: *Sawa Bjelanowić, urednik Srpskoi Glasa, zastupnik na dalmatinskom saboru.* Witaj redaktorze, witaj dalmatyński pośle! Ty i teraz pewnie chętniebyś się obszedł

bez towarzystwa nudzącego cię ciągłemi pytaniami łacińskiego „popa“, a w dodatku — Jezuity; mnie nic milszego nad to spotkanie, żegnając cię, za jakich siedm, ośm godzin, będę mógł bez cienia salonowej obłudy powiedzieć: „Nie uwierzy Pan, jak mi było przyjemnie“...

Prawda, mogłoby być jeszcze przyjemniej, gdyby rozmowa nasza mniej przypominała dyskusyę dwóch ambasadorów, wzajemnie nieufających sobie dworów; ależ nie trzeba od ludzi, od świata żądać za wiele.

Redaktor *Serbskiego Głosu*, dość jeszcze młody, elegancki mężczyzna, wyraża się wyjątkowo poprawnie i płynnie po niemiecku; w sejmie i w swem piśmie stoi na stanowisku ultrapostępowem, czy, jeśli kto woli, radykalnem, i wyznaje, jak przystało na serbskiego patryotę, „serbską“, t. j. prawosławną religię, raczej dlatego, że jest serbską, niż że jest prawosławną. Więcej w pierwszych paru godzinach dowiedzieć się niełatwo; zręczny to widać redaktor, zręczny dyplomata. Opowiada długo, szeroko o dalmatyńskich stosunkach; odpowiada obszernie na postawione pytania. Każdą kwestyę z wszystkich stron roztrząsa, tak misternie argumenta „za“ i „przeciw“ splata, że ostatecznie, gdy bierzesz za ołówek, aby kwintesencyę dwugodzinnej pogadanki sobie zanotować, wahasz się, nie wiesz, co masz właściwie zanotować i rad nie rad wracasz w innej formie do raz już zadanych, zdawało się załatwionych pytań. Pytaniom dopomaga splickie — niestety! — nie zadarskie *maraschino*, którem po koleżeńsku się częstujemy; dopomaga cierpliwość, dopomagają osłabiające zdolność szybkiego oryentowania się, słoneczne promienie; silny to, potrójny sojusz, ale i on nie przyprowadzi do kompletnej kapitulacyi serbskiego redaktora. A jednak tak mile umie gawędzić, tak zręcznie zagaduje bardziej drażliwe pytania, że czas istotnie przyjemnie, bo niepostrzeżenie płynie. Pocztowa karetka o kamienie zawadza; na prawo, na lewo kamienne bryły, mniejsze, większe, okrągłe, graniaste, niby kamiennym jakimś lasem obsiadły wzgórza i doliny; całemi godzinami żywej duszy nie widać; a jednak nie nudno w tej kamiennej pustyni, dzięki sprytnemu redaktorowi, umiejącemu prawdziwie po redaktorsku mówić

o wszystkiem i o niczem. Łowić mozolnie trzeba perełki faktów i osobistych poglądów z tego morza słów.

Dawniej Serbi i Horwaci szli w Dalmacyi razem, tworząc wspólne narodowo-słowiańskie stronnictwo; wspólnie opierali się, co prawda głównie siłą inercyi niewykształconych tłumów, obcej inwazyi, wprowadzeniu obcej mowy, obcych zwyczajów. Dziś stosunki zmienione. Prawosławny Serb połączył się wewnętrznem, ściśle politycznem, skądinąd bardzo nienaturalnem przymierzem z Włochem, irytującym się z powodu utraty dotychczasowego wpływu; a jednocześnie tęsknem okiem spogląda na samodzielnie rozwijające się bratnie serbskie królestwo, patrzy z narodową dumą na usłane na szczytach sąsiednich skał czarnogórskie gniazdo. Katolicki Horwat woła: *Živila Hrvatska!* śpiewa za narodowym poetą:

Još Hrwatska nij' propala,
Dok mi živimo
Visoko se bude stala,
Kad ju zbudimo!

Tak śpiewa, tak woła. Serb tych okrzyków nie powtórzy; jemu w duszy gra muzyka przyszłości o wskrzeszonem, wielkiem królestwie bohaterskich, przemądrych Duszanów. Tymczasem, zanim dźwięki zamkniętej w sercu pieśni będą mogły bezpiecznie na usta się przenieść, w czyny się zamienić, strzeże zazdrośnie narodowej i religijnej odrębności; stara się z wytrwałością i rzekłbyś niesłowiańską konsekwencyą szerzyć swe głoski i dogmaty, domowe zwyczaje i cerkiewne ceremonie. Nie próżne to przechwałki, aż do zbytku czasami, ostentacyjnie skromnego serbskiego redaktora; to szczere żale najzacniejszych horwackich patryotów, najpoważniejszych dalmackich kapłanów. Żywioł serbski, mówiąc inaczej, żywioł prawosławny w Dalmacyi rośnie i wzmaga się. Jak na drugich kresach monarchii, na Bukowinie, tak tutaj rząd przez długie lata otaczał prawosławie i prawosławnych szczególną opieką, wyjątkowemi pieszczotami; nie szczędził ni grosza, ni przywilejów, dlatego prawdopodobnie, aby grymaszących przekonać, że nigdzie im tak dobrze nie będzie, jak w Austryi. Polityka ta doprowadziła naturalnie do wzmocnienia serbsko-

prawosławnego żywiołu; czy doprowadziła jednocześnie do wzmocnienia austryackiej idei? Horwaci w Zadarze, jak Polacy, Niemcy, Rusini w Czerniowcach, z równem niedowierzaniem, z równą ironią nad pytaniem tem kiwają głowami.

Wyjechaliśmy rano, o szóstej czy siódmej; teraz niezadługo słońce ku zachodowi się nachyli, czas, aby stary Knin wychylił się wreszcie z po za gór, przepaści, wąwozów, z po za pustkowi bez końca, zasianych jak okiem zajrzysz kamiennemi bryłami. Stary, a raczej nowy Knin, bo tam, gdzie kiedyś przed dziewięciu, dziesięcioma wiekami wznosiły się kościoły, stały pałace horwackich królów, knińskich biskupów, obecnie trochę tylko, niedawno z pod ziemi odkopanych gruzów; dzisiejsze, skromne miasteczko datuje dopiero od mniej więcej pięciu wieków. Skromne miasteczko, ale gdy popatrzysz nań z góry, do której jak gniazdko się przylepiło, wygląda uroczo. Szumiące wody Kerki półpierścieniem górę i miasteczko objęły; odbijają dyamentowym błyskiem, od tem milszych, że rzadszych tutaj zielonych gaików. Na zielonej płaszczyźnie, wśród winnych krzewów, wśród rozrzuconych między niemi głazów i podmywających je strumyków, migają schylone do ziemi, ciężką pracą zajęte kobiece postacie. Prosty ich strój: długa po kostki koszula, dwa fartuszki na huculską modę. Dalej gromadka dorodnych junaków niby przy pracy, a jak na uroczystość przybranych w szafirowych spodniach, przepasanych czerwoną chustą, szafirowej kurtce z wielkiemi srebrnemi pętlicami; do szafiru kurtki dostrajają się białe rękawy koszuli i nieodstępna na polu, w domu, przy pracy, przy zabawie, nie wiem czy i przy modlitwie, czerwona czapeczka. Dalej, za rzeką, za gajem, za gromadką schylonych kobiet, dumnie wyprostowanych junaków, kryje się w wąwozie, lekką zasłoną z mgły przesłonięta, mgłą, słońcem umalowana wioska Biskupija, kryją się na pół z ziemi wydobyte ruiny świetnej niegdyś siedziby rycerskich Emeryków, Zwonimirów.

Zwolna stąpamy po ruinach, obchodzimy wokoło potężne kamienne sarkofagi, mieszczące w sobie kości dawnych rycerzy, książąt, biskupów. Tu stała bazylika św. Bartłomieja, tam wznosiła się świątynia, poświęcona N. Pannie, tam znowu ślady dwóch

innych świątyń. Na sarkofagach wyryte krzyże, gwiazdy, półksiężyce, lilie. Jeśli krzyże — jak tłumaczą archeolodzy — są chrześcijańskim symbolem, to półksiężyce z pewnością nie są mahometańskim. A czemże są, co znaczą lilie, co gwiazdy? Uczony, choć młody jeszcze Bernardyn, O. Ludwik Marun, który poświęcił życie badaniu ojczystych a w szczególności knińskich starożytności, przyznaje poprostu, że nie umie dać na to pytanie pewnej odpowiedzi. Znalezione w grobach oręże, ozdoby, monety, znajdują się w osobnem, założonem głównie staraniem O. Maruna muzeum, na które patryotyczni zakonnicy oddali kilka dolnych celek swego knińskiego klasztoru. Muzeum to równać się nie może ze spalatyńskiem, w którem niezmordowany, na świat cały sławny ks. Franciszek Bulić mądrze gospodaruje i wszechwładnie rządzi; równać się nie może, bo też knińskie ruiny ani z daleka nie dorównują salońskim, ale dla horwackiego patryoty skromny Knin, skromne jego muzeum droższe, jeśli nie piękniejsze od salońskich skarbów. W Salonie rzymska cywilizacya, rzymskie pamiątki, znane dobrze, w ogólnych zarysach, dzieje nowemi zaledwie szczegółami wzbogacają; w Kninie ojczysta historya zwolna się tworzy wespół z odkopowywanemi pamiątkami, z każdym, z mozołem odcyfrowanym napisem. Kocha ks. Bulić znalezione, uporządkowane przez siebie skarby; cóż dziwnego, że O. Marun, że paru żyjących z nim, dzielących jego troski i nadzieje zakonnych towarzyszów, przylgnęło sercem do knińskiego cmentarza, dawnej horwackiej potęgi, horwackiej wspaniałości; do cmentarza, co *mutatis mutandis* tem jest dla Horwata, czem Westminster dla Anglika, Wawel dla Polaka.

Pewnie już w życiu nie zdarzy mi się spotkać z tylu słynnymi, a co, jeśli nie dziwniejsze, to ogólnie rozszerzonym przesądom przeciwniejsze, z tak miłymi archeologami. Jeszcze sobie dość nie uprzytomniłem, jaką pozycyę w uczonym archeologicznym świecie zajmuje Glavinić, a już założyciel knińskiego muzeum usiłował profanowi wytłumaczyć — o ile w zdumioną, trochę przerażoną głowę profana wejść i zmieścić się mogło — jaka moneta do jakiego czasu, do jakiego księcia się odnosi, co oznacza nader ciekawy, wyryty w kamieniu napis gdyby go się czytało

z prawej strony, co ostatecznie oznaczaćby mógł, gdyby go kto chciał odczytywać z lewej; jeszcze wyjaśnienia te mieszały się, kotłowały w biednej pamięci, w oszołomionej fantazyi, a już ks. Bulić przedkłada plany dyoklecyanowego Splitu, do salońskich grobowców prowadzi, cały pęk archeologicznych publikacyj, biuletynów, planów i planików, do rąk, do kieszeni wpycha i zachęca: Przejrzyj to sobie dziś, jutro, przy swobodnej chwili!

Trzej archeologowie, trzy różne typy. Do przeciętnego typu archeologa, jak zwykliśmy go sobie w wyobraźni malować, najbardziej może zbliża się znany już nam inspektor Glavinić. Dość wysoki, dość chudy, w czarnym surducie, mówi powoli, tłumaczy, ile może, zrozumiale, jak przez długie lata przywykł setkom uczniów, nie zawsze pojętnym, tłumaczyć; święcie jest przekonany, że kto do Dalmacyi przybył, to przedewszystkiem dlatego, aby zapoznać się z jej archeologicznemi zabytkami. Ks. Marun, cichy, skromny, ciągle bardzo zajęty, krząta się cicho po salach, po kurytarzach; podróżny, nieznający ludzi i stosunków, co spotyka po raz pierwszy szczupłą tę, nizką postać, na której wisi ubogi, bernardyński habit, nie domyśliłby się nigdy, że ma przed sobą znanego uczonego. Dyrektora splickiego gimnazyum, członka nie wiedzieć wielu uczonych towarzystw, księdza Bulića, łatwiej rozpoznać. Doniosły jego głos daleko po szkolnych, po muzealnych korytarzach się rozchodzi; wysoka postać w czarnym, księżym surducie, musi w uczniach wzbudzać uszanowanie; niezwykła i przez nieprzyjaciół i przez zazdrosnych (nie brak ich i archeologom) uznana erudycya, każe najpoważniejszym badaczom dalmackich, chrześcijańskich, pogańskich starożytności przed Bulićem głowę skłonić.

Po wielkiem, archeologicznem muzeum, na które złożyły się w najznaczniejszej części wykopaliska z poblizkiej Salony, sam Bulić oprowadza; po Splicie, po Salonie oprowadzić każe jednemu z wybornie wykształconych przez siebie uczniów, dziś już w niejednej pracy zastępców, przyszłych kiedyś w pracy i w sławie następców. Co tu wszędzie wspomnień! — jakie na każdym kamieniu wyryte smętne, poważne nauki: czem ludzkie życie, ludzka wielkość, ludzka sława! Czyje uszy zdobiły te stosy

wspaniałych kulczyków; na czyich piersiach te drogie kunsztowne kamee się rozpościerały; czyje usta dotykały tych misternie wyrobionych puharów; czyje ręce bawiły się temi tysiącznemi złotemi, srebnemi, szklanemi cackami, których właściwego przeznaczenia nie zawsze łatwo odgadnąć. Muzeum założone w r. 1821, zawiera dziś około 12.000 przeróżnych przedmiotów; gdyby je odpowiednio rozłożyć, gdyby zbudować dla nich osobne sale, pałace, byłoby to jedno z najciekawszych muzeów na świecie. Dziś o systematycznem uporządkowaniu nie marzyć. Zbroje, rzeźby, monety, stroje, szklenice cisną się, wzajemnie się wypierają i rozpierają zbyt ciasne ściany.

— Bóg jeden wie — mówi Bulić i melancholijnie głową porusza — kiedy dojdziemy do porządnego, nieprowizorycznego muzeum. Dojść musimy! Tymczasem pocieszamy się myślą, że całe nasze miasto, całe stare Spalato, to jedno wielkie muzeum!

Prawda! nad bramami starego Splitu możnaby położyć napis: „Dyoklecyańskie muzeum!“ Połowa mieszkańców Splitu, około 10.000 ludzi, zamieszkuje mury, które rzymski cesarz dla siebie, dla dworu swego zbudował. Wspaniałe ściany olbrzymiego tego pałacu-miasta pokryte tysiącznemi, narosłemi w przeciągu wieków pasożytami z cegły i kamienia; domki, lepianki, izdebki powklejane w dawne mury, pokrywają je dokoła zewnątrz i wewnątrz gęstym, brudnym plastrem; czas, ludzie zrobili, co mogli, aby zatrzeć ślady olbrzymich, trochę dziwacznych pomysłów imperatora-artysty — i w walce tej ulegli. Dzięki, nie tyle drobnym restauracyom, dokonanym w bieżącym wieku, co usunięciu całych gór, stare, stare czasy pamiętających rumowisk i śmieci, można dziś obchodząc wkoło miasto zdać sobie w ogólnych zarysach sprawę, jak wyglądał dyoklecyański pałac. Naturalnie, fantazyę trzeba koniecznie na pomoc zawezwać; trzeba jej nakazać, aby wyrzucała z oburzeniem już nie tylko za „srebrną“, za „złotą“ — ale za dziesiątą bramę, podawane przez zmysły (nie wiem, jak powiedzieć — nowożytne, czy starożytne) wonie i obrazy, aby odsuwała na bok owe — dla ludzi i dla zwierząt przeznaczone — kurniki, gołębniki i przeróżne inne mniej jeszcze estetyczne, a przedewszystkiem mniej wonne ubikacye, których długie szeregi

w odrębnego rodzaju krużganki, arkady się łączą; trzeba pilnie spoglądać na mozolnie przez archeologów odtworzony plan dyoklecyańskiego pałacu i czego oczy nie podadzą, z planu się domyślić. Trzeba tego wszystkiego, ale trud się opłaci, fantazya pracy nie pożałuje; zmysły na chwilę przygnębione, rychło i łatwo o parę kroków w balsamicznem, nadmorskiem powietrzu się wykąpią i wrócą do równowagi. Byle tego lekarstwa raz po raz zażywać, byle w samym „pałacu", wśród jatek, sklepików, ścieków z brudami wszelkich barw zbyt długo nieprzerwanie się nie błąkać, nie ma obawy nawet o nabawienie się silniejszego kataru.

Pałac zbudowany w kształcie dość regularnego czworoboku, zajmuje przestrzeń 35 tysięcy metrów kwadratowych. Naokoło pałacu biegł, a w znacznej części i biegnie wysoki, na dwa metry szeroki mur. Cztery bramy: złota, srebna, żelazna i spiżowa wyglądały na cztery części świata, jakby gości z całego świata spraszając. Srebna, morska brama o dwa kroki od muzeum i przed nią najprzód stajemy. Tędy wychodził Dyoklecyan z szczupłym orszakiem najwierniejszych dworzan na brzeg morski, zażyć wieczornego chłodu, przyjrzeć się goniącym się łodziom; może pomyśleć o szybko mknącym czasie, co jak te łodzie płynie, znika: może czasem wstrząsnąć się na przesuwający się przed okiem duszy obraz morza krwi niewinnej, chrześcijańskiej, przelanej wrzekomo w imię interesu państwa. Dziś naprzeciw z pod gruzów odkopanej bramy, wznosi się dominikański klasztor; krzyż z kościelnej wieży błogosławi morzu i miastu. Północna, spiżowa brama prowadziła do dawnego Epitium, z którego ruin wyrosła wioska Stobrec. Bramą żelazną wyjeżdżał Dyoklecyan na łowy do założonego przez siebie zwierzyńca. Za złotą szła rozkosznemi ogrodami droga do Salony. Wchodząc tą bramą w pałacowe mury mamy po prawej ręce budynki, przeznaczone niegdyś dla cesarskiej matki i jej niewolnic; po lewej koszary pretoryanów, niewolników i urzędników; drugą, całą południową część pałacu zajmowały łaźnie, świątynie, prywatne apartamenta cesarskie. Olbrzymi, środkowy dziedziniec pałacowy jest dziś katedralnym placem. W dawnej świątyni Jowisza, czy jak chcą nowsi archeolodzy, w dawnem mauzoleum w katedrę dziś zmienionem, brzmią

właśnie poważne kościelne śpiewy: mieszają się z niemi odgłosy młotów, stuk kielni całego legionu robotników, zajętych restauracyą świątyni. Od stycznia 1890 do listopada 1893 r. wsiąknęło w tę restauracyę około 70.000 złr.; restauracya słynnej kościelnej wieży pochłonęła około 30.000 nie licząc w to przedwstępnych, o wiele kosztowniejszych robót; ile pochłonie ona jeszcze, oznaczyć trudno.

— A choćby miliony — woła z zapałem wydelegowany przez ks. Bulića młody mój przewodnik — to mało, to nic! Czyś widział gdzie na świecie tak misternie razem nagromadzone bogactwa? Patrz na te szeregi granitowych, porfirowych kolumn, z jednej sztuki wykutych! Patrz na te kamienne lwy, kwiaty... Nie ma tak ciekawego miasta, jak Split; nie ma katedry, jak splicka katedra św. Dojmy, ucznia św. Pawła.

Bram katedry strzeże sfinks, sprowadzony z Teb lub Heliopolis. Po za nią, wąską uliczką się przekradając, dochodzimy do oblepionej nowożytnemi domkami świątyni Eskulapa, przemienionej za czasów chrześcijańskich w baptisterium. Niewielki to budynek, ale czystością stylu, pięknością szczegółów rywalizujący z dawną jowiszową świątynią. Przed wejściem, na miniaturowym placu, stoi dość skromny, kamienny sarkofag. Dla kogo był przeznaczony, czyje ukrywał (nie wiem, czy ukrywa?) popioły? Czy Dyoklecyana, twórcę eskulapowej świątyni; czy Jana z Rawenny, pierwszego splickiego biskupa, który w VI. wieku wyrzucił z świątyni Eskulapa i Chrystusowi ją poświęcił? Sprzeczają się o to uczeni, piszą księgi i traktaty; jeśli ochoty im nie zabraknie, będą mieli prawdopodobnie w tej mierze materyę i pożądaną okazyę do uczonych sprzeczek na długie jeszcze, długie lata.

Być w Rzymie, papieża nie oglądać; być w Spalato, do Salony, czy, jak dobry Słowianin mówić winien, do Solina — do dalmackiej Pompei — nie zaglądnąć, na jednoby wyszło. Dyoklecyonowe rumaki musiały przestrzeń dzielącą cesarski pałac od właściwego miasta przebiegać w kwadransie; nasze koniki potrzebowały ze Splitu do ruin salońskich najmniej trzy kwadranse, ale dzień tak śliczny, droga tak urozmaicona, że lekki ich bardzo spokojny truchcik na nerwy nie działa. Niedziela, więc na szerokiej

drodze, przecinającej śnieżną linią spuszczające się lekko na dół, oliwne, pomarańczowe gaje, barwny tłum ludzi, spieszących do kościoła, za sprawunkami, na zabawę. Największa część pieszo; wielu mężczyzn i kobiet na osłach; wielu osłów dzieli smutny los lafontenowskiego osła i dźwigać musi na grzbiecie pulchną matkę z nielekką córeczką, poważnego Salończyka, Vranjiczyka z obruconym ku niemu plecami, z odsuwającym się wedle sił co najdalej od oślego ogona, synaczkiem.

— Patrz — objaśnia przewodnik — te białe domki, dokoła wodą oblane, to Vranjic, „mała Wenecya“, jak ją turyści nazywają, rodzinna wioska naszego wielkiego Bulića. Na prawo łuki dyoklecyańskiego wodociągu. Ta rzeka, wijąca się błękitną wstęgą przez zieloną murawę, to stary Jader. Stańmy przed mostem, konie popasą się przed oberżą „Dyoklecyana“, a my, póki słońce zanadto nie zacznie prażyć, przejdziemy się po mieście umarłych!

Tak! prawdziwe to miasto umarłych, prawdziwa nekropolis! Jasne, gorące słoneczne promienie rzucają złote blaski na zarzucone głazami obszary, na stosy wpółotwartych, przedziurawionych grobowców i jeszcze smutniejsze, siłą kontrastu życia i śmierci, jeszcze tęskniejsze budzą myśli. *Fuit Ilium*, był kiedyś, żył, kwitł Solin. Rzymski konsul Metellusz, zastał Solin, na 117 lat przed Chrystusem, obwarowany, otoczony wysokim murem. W kilkadziesiąt lat później stoczyła się na otaczających polach, wabiących dziś do siebie zielonością i kwieciem, krwawa walka o panowanie nad Solinem między zaborczemi hufcami rzymskiemi, a broniącymi domowych ognisk Dalmatami [1]. Dyoklecyan doprowadził ukochane rodzinne miasto do szczytu potęgi i dobrobytu. W piątym wieku uroczy Solin był tem dla starych, wysłużonych rzymskich dygnitarzów, czem dziś jest Grac dla starych austryackich generałów i hofratów. Ale już dnie, rozkwitającego, zdawało się w całej pełni miasta, były policzone. Hordy Odoakra, Totili, legiony Belizaryusza ubiegały się kolejno ze sobą o lepsze w niszczeniu i łupieniu miasta; czego nie zniszczyli, temu dali radę w połowie siódmego wieku, nowi najezdcy i nowi panowie Dalmacyi, Hor-

[1] Por. *Bulletino di archeologia e storia dalmata publicato per cura di* prof. Bulić. Anno XVII. *Biuletyn* wychodzi miesięcznemi zeszytami.

waci. Przerażeni Salonitanie zostawili ruiny na pastwę zwycięscom, a sami znaleźli przytułek w dyoklecyańskim pałacu. I znów Salona pod horwacką dynastyą zaczęła się podnosić, i znów uderzyły na biedne miasto nowe hordy barbarzyńców, ciągnących tym razem z południa, z rozwiniętym sztandarem Mahometa. Od czasu wojen turecko-weneckich w XVII. wieku Salona jest kupą gruzów. Długo kto chciał i jak chciał używał tych gruzów, budował sobie z nich domy, naprawiał zepsute drogi. Dopiero w pierwszych dziesiątkach bieżącego wieku rozpoczęły się do gruzów procesye uczonych, archeologów, historyków; stary Solin pogański, chrześcijański, rzymski, horwacki, zaczął zwolna z pod ziemi wyrastać.

Gromadki chłopczyków, za chłopczykami gromadki dziewczynek, ostrzeżone niewidzialnemi sygnałami o przybyciu pożądanej zwierzyny — obcych turystów, pokazują się na wszystkich punktach widnokręgu; skaczą jak kozy, kto szybciej, przez na pół otwarte groby. Dziewczynki ofiarują ładne bukieciki; za to same wcale nieładnie się krzywią, gdy pokazuje się, że nie jesteśmy bogatymi Anglikami. Chłopcy wyciągają na pół tajemniczo stare monety, pierścienie, rdzą pokryte. Kwiaty przynajmniej z pewnością niesfałszowane; z jakich czasów pochodzą „odnajdywane“ w nieprzebranej salońskiej kopalni: monety, bransolety, urny, przeróżne cacka i sprzęciki? Znawcy kiwają głowami i nie radzą nieznawcom przepłacać ofiarowywanych pamiątek. Komu mniej zależy na autentyczności, niech lepiej odrazu do fabryki „pamiątek“ się uda; zyska na wyborze i taniości.

Mali kupcy, nie kontenci z niskich kursów na targu „starożytności“, rozpierzchli się na wszystkie strony; z poza grobowców dochodzą jeszcze przez chwilę cieńkie ich, sprzeczające się głosy, potem wszystko milknie i uroczysta cisza zalega wielki cmentarz saloński. Przed dwustu laty inaczej on wyglądał; wznosiły się jeszcze potężne i dla oka profana do rozpoznania nietrudne ruiny bazylik, łaźni, teatrów. „Widzimy — opisywał ówczesną Salonę wenecki senator Giustiniani — sklepienia, arkady przecudnego teatru;... na wspaniałych łukach, podtrzymywanych marmurowemi

kolumnami, opiera się wodociąg, mający prowadzić wodę z Salony do Spalato; dalej dolne piętra wielkich pałaców; wszędzie starożytne napisy na kamiennych płytach"... Dziś pozostały ruiny dawnych ruin; tylko odrestaurowany wodociąg zasila po staremu dyoklecyańskie miasto zimną, kryształową wodą.

Tu dawni Salonitanie gromadzili się na teatralne przedstawienia; w tem miejscu zasiadał cesarz w osobnej loży, wysłanej wyrabianą w Salonie purpurą. Stąd, w półkolistem amfiteatrze wygodnie rozparci, spoglądali ciekawi widzowie na zapasy gladyatorów. Tu, gdzie dziś zajeżdżają na kolejową stacyę szeregi wagonów i tam znowu dalej, o dwa kroki od teatru, gdzie zielsko po kolana sięga, schodzili się do wspaniałych łaźni — jakby dziś do kawiarni się schodzili — dla odświeżenia spiekłych na słońcu członków, pogawędki, udzielenia sobie najświeższych wiadomości. Do amfiteatru, do łaźni przypierają szczątki olbrzymich murów, nad któremi wznosiło się 88 wieżyc. To szczątki pogańskiej Salony; obok nich, po obu stronach muru, szczątki Salony chrześcijańskiej: manastiriński cmentarz. Czyje zwłoki, czyje relikwie spoczywały w tych sarkofagach, przedziurawionych świętokradzką ręką, co ukrytych skarbów w nich szukała? Tu składano z początkiem drugiego, może z końcem pierwszego stulecia naszej ery, zwłoki pobożnej, szlachetnej rodziny Ulpiuszów; nieco wyżej „męczeńskie pole", na niem podłużnym wieńcem rozsiane grobowce męczenników z drugiego, trzeciego, czwartego wieku: Kajana, Septima, Hermogenesa, Wiktoryusza, Anastazego, Wenancyusza, Maura; jeszcze wyżej gruzy wielkiej bazyliki z szóstego wieku. W bazylice tej czczono niegdyś relikwie salonitańskich męczenników; później relikwie przeniesiono do Rzymu i dziś odbierają winną cześć w bazylice laterańskiej. Z drugiej strony muru gruzy starożytnego baptisterium, gruzy innej bazyliki; bazylikę, baptisterium otoczyły znów podziurawione, na pół w ziemi zakopane, kamienne sarkofagi.

Stąpasz po grobach, bo innej ścieżki nie ma. Słońce wznosi się ku południowi, milkną ostatnie odgłosy krzyczących niedawno dzieci. Cisza prawdziwie grobowa zaległa salonitański cmentarz, mimowolny jakiś lęk cię zbiera i boisz się głośniej przemówić;

czekasz rychłoli z tych grobów, z tych ruin wyjdą procesye pogańskich senatorów, dyoklecyanowych siepaczów, chrześcijańskich męczenników; czekasz rychło groźnym głosem zawołają: „Jakiem prawem spokój nasz przerywasz?“

— Jedźmy — nikt nie woła!

Jedźmy! — dość już tych ruin, dość smętnych wspomnień, dość nudnej archeologii! Jak miło, jak podwójnie miło wciągnąć w siebie teraz całą piersią ożywiające morskie powietrze; jak rozkosznie błąkać się już nie po grobach, ale po idealnym parku, zaczarowanym gaju, łączącym wielki port w małej wiosce Gruzie (Gravosa), z dalmacką Wenecyą, dalmackiemi Atenami, z Dubrownikiem — lub, jeśli kto sądzi, że do Wenecyi, do Aten, nawet słowiańskich, lepiej włoskie nazwisko odpowiada — z Raguzą.

Cudna to droga — chciałoby się nią iść, iść, i choć mówią, że każdemu wędrowcowi do celu wędrówki się spieszy, choć Dubrownik ma być bardzo pięknem, bardzo ciekawem, najrozkoszniejszem w świecie miastem, chciałoby się, aby droga do niego w nieskończoność się wydłużyła. Potwarcy nazywają Dalmacyę kamienną, pustą. Zapewne, jadąc np. z Zadaru do Kninu z Kninu do Szybeniku, wlecze się człowiek kamienną pustynią; jadąc wózkiem z Dubrowniku do Kotaru, nie napoisz oczu różnorodnemi, zbyt romantycznemi widokami; ale co znaczy to wszystko, co ów kurz, co ci całą głowę szarą maską pokrył; co owe kamienie, co ci kości na cztery części świata rozrzucają; co to wszystko znaczy, wobec dubrownickich gajów, ogrodów, cudów?

Zielone mirty, cyprysy, czerwone pęki kwiecia, wydobywające się z zieleni, wód szafiry, niebios lazury w jeden ton, w jedną toń się zlewają. Słońce w morzu się bawi; tak pięknie się bawi, tak czarodziejską sztuką w dyamentowe zwierciadło go zmienia, że chętnie mu wybaczasz zbyt gorące uściski, których czarnej twej sukni nie szczędzi. Jak dopiero prażyć musi biedaków żołnierzów, uczących się prawdziwie w pocie czoła tych samych fortelów, tych samych napadów i rejterad, których nasze Maćki i Bartki na krakowskich błoniach, na przemyskich łąkach wśród miłego „kapuśniaczku“ się uczą. Kilkudziesięciu leży w cieniu cyprysowym, aloesowym. Barbarzyńcy! twarz w trawę ukryli,

dyszą ciężko, pot obcierają i ani myślą patrzeć na roztaczający się wokoło obraz, na złoto, lazur, purpurę, co się tak w tym tańcu barw w niemożliwy sposób rozhasały, że aż oko boli. Na tem tle, na wielkim obrazie, trzy ruszające się plamy. Najdalsza, z góry fioletowa, w środku czarna, u dołu czerwona — to kilku kościelnych dygnitarzów, w fioletowych kapeluszach, długich czerwonych pończochach po morskim brzegu spaceruje. W środku moja czarna rewerenda, gęsto od góry do dołu tumanami pyłu zapisana. Pod bramami Raguzy, wśród wil, ogrodów, tonących w zieleni posągów pomyka — z daleka do kuli śnieżnej, do białego obłoku podobna — gromadka Dominikanów. Szczęśliwi! spieszą do rajskiej Lacromy; spieszą nie na godzinę, nie na dwie, ale coś na tydzień cały radzić na wielkiej kapitule o zakonnych sprawach, a — co ponętniejsze — w przerwach między naradami używać — Lacromy!

Jest czego używać! Można cesarzowi Maksymilianowi robić jakie kto chce zarzuty; tego mu nikt nie zrobi, choćby był najzaciętszym jego wrogiem, drugim Juarezem, drugim zdrajcą Lopezem, jakoby się nie znał na pięknościach natury; jakoby nie umiał najpiękniejszych obrazów, jakich dostarcza przyroda, oprawiać w najpiękniejsze ramy, o jakich sztuka może zamarzyć. Już spoglądające na morze z tryesteńskich skał *Miramare*, przenosi w zaczarowane krainy; w Lacromie zagospodarowały się jeszcze idealniejsze, potężniejsze czarodziejki. Przez długie wieki pracowici Benedyktyni uprawiali wysepkę. Spienione bałwany wyrzuciły na jej brzegi Ryszarda Lwie-serce; krzyżowy bohater, wywdzięczając się Bogu za cudowne ocalenie, zbudował katedrę w Dubrowniku. Później zaglądali tu po kilkakrotnie mniej mili goście: drapieżni piraci i straszniejszy od piratów, od Turków wróg, pamiętne trzęsienie ziemi w r. 1667. Maksymilian przemienił dawny klasztor w przecudny pałac; oliwkowe plantacye, piaszczyste wertepy, nagie skały w egzotyczny ogród; chciał uczynić i o ile na ziemi możliwe, uczynił z Lacromy raj. Spędzał później w tym raju miodowe miesiące arcyksiąże Rudolf z zaślubioną sobie niedawno Stefanią. Maksymilian—Rudolf... Błąkają się tu ich cienie wśród palmowych alei, różanych dywanów.

zaścielających mury; błąkają się wspomnienia tragicznych ich dziejów po bogatych klasztorno-zamkowych kurytarzach. Wśród tych bogactw, w tych królewskich, tak dziś pustych, cichych salach, w tych hesperyńskich ogrodach, dziwnie odbijają skromne białe habity Dominikanów, dzisiejszych gospodarzów Lacromy. Cesarz Franciszek Józef oddał przed trzema latami Dominikanom maksymilianową, rudolfową Lacromę, pod warunkiem, że modlić się będą za dawnych, nieszczęśliwych jej panów.

Nie wszystkim Dubrowniczanom równie przypada do smaku, że pałac, z klasztoru przerobiony, znów w klasztor się zmienił.

— Dawniej więcej zarabialiśmy — skarży się przewoźnik — były uczty, zabawy; tłum łodzi wyspę otaczał. Dziś cicho, aż niemiło, ledwie obcy jaki pan każe się powieść, popatrzy, pochodzi i wraca.

— Szkoda niemała — dowodzi poważny tuszą jegomość między dwoma butelkami czarnego jak smoła „krajowego“ wina — szkoda, że zamiast dominikańskich mnichów, niema tu klimatycznej, kąpielowej stacyi. Toby to Anglików się zjeżdżało, toby pieniędzy do Dubrownika płynęło!

Poważny protektor krajowej produkcyi zapomniał, że raz już zrobiono tę próbę, ogłoszono na wszystkie cztery strony świata: „Lacroma jest stacyą klimatyczną“, ale ogłoszenia zawiodły, próba się nie udała. Na austryackiej Maderze, na dalmatyńskim Korfu — jak Raguzanie z dumą rozkoszną wysepkę nazywają — nie ma widać brzmieć muzyka ani arcyksiążęcych, ani „kurhauzowych“ balów; rozlegały się tu przed wiekami poważne, benedyktyńskie hymny, dziś dominikańskie chóry z szumem fal się łączą i wznoszą pieśń chwały przed tron Twórcy i źródła wszelkiego piękna.

Skaczemy po skałach za białym przewodnikiem; zbiera ochota zanurzyć się w zielonej toni „martwego morza“ — miniaturowego jeziorka, połączonego ukrytym, podziemnym krużgankiem z pieniącemi się wodami Adryatyku; zbiera chęć szalona rzucić się zanurzyć się w to morze kwiatów i blasków, co dokoła cię otacza, wschodniemi woniami odurza i szepce głosem syrenim: „Tu zostać — tu żyć, życiem się nazywa!“... Precz syreny! Oto zbliża

się rzeczywistość — i rzeczywistość miła, choć prozaiczna, w postaci zapobiegliwego brata szafarza, który zaprasza nieco ochrypłym głosem:

— Ksiądz przeor prosi na kawę!

Piękna maksymiliańska wyspa, o ileż piękniejsza od opiewanego przez tylu poetów Lido; piękna dalmacka Wenecya—Raguza, zapewne od włoskiej nie piękniejsza, ale kto wie, czy mniej od niej interesująca, czy o wiele mniej kryjąca w sobie ciekawych pamiątek.

— I my mamy swą historyę... *Fuimus Troes* — mówi pół z żalem, pół z dumą czystej krwi Raguzanin, oprowadzając po mieście, w którem, jak w Wenecyi, znowu dziwna cisza, napróżno za koniem, za taradajką się oglądasz, ale za to nie potrzebujesz się też oglądać, czy podchmielony dorożkarz nie najeżdża na ciebie, czy ciężko naładowany wóz na życie twe nie czycha...

— Była, była może nie *ingens gloria*, ale bądź co bądź *gloria* Raguzy. Patrz, oto pałac książęcy, a właściwie nie książęcy, bo rzeczpospolita raguska księcia nie znała, ale pałac rektorski. Szczęście, że straszne trzęsienie ziemi w r. 1667, które tak bardzo dało się miastu we znaki, uszkodziło tylko, ale nie zniszczyło tej monumentalnej budowy. Tu mieszkał, stąd nominalnie rządził nasz rektor; nominalnie, bo co miesiąc inny z senatorów przywdziewał czerwony płaszcz rektorski i zamykał się na następny miesiąc w rektorskim pałacu, jak w więzieniu, ciesząc się płaszczem i kluczami od bram miejskich, które mu co wieczór odnoszono...

Właściwe rządy sprawowały trzy arystokratyczne rady. „Wielka rada“ — coś nakształt niższej Izby w dzisiejszych parlamentach, z tą różnicą, że do raguskiego parlamentu należał z prawa każdy szlachcic, który ukończył ośmnasty rok życia; do rady tej należało układanie praw i wybór urzędników, od samegoż rektora począwszy. Senat — Izba wyższa — składał się z 45 członków, decydował o wojnie i pokoju, o ważniejszych wewnętrznych i zewnętrznych sprawach. Wreszcie „Rada mniejsza“ — dziś nazwalibyśmy ją: „ministeryum“ — z siedmiu senatorów i prezesa-rektora, dzierżyła władzę wykonawczą. Czy dobre to były urządzenia; czy dobrem, odpowiedniem było zupełne wykluczenie ludu od udziału w arystokratycznych tych rządach; czy dobrem ogra-

niczenie rektorskiej władzy? W teoryi możnaby długo o tem dysputować, dysputują też do woli historycy, dyplomaci; w praktyce raguska konstytucya okazała się w danych okolicznościach bardzo odpowiednią; nowy dowód, jak oderwane teorye o najlepszym rodzaju rządu małe mają znaczenie. Z dwóch stron nękani, od Turków i Wenecyan, potrafili Raguzanie przez długie wieki, tak Turkom i Wenecyanom się kłaniać, tak kolejno Turków i Wenecyan w pole wyprowadzać, to znowu tak Turków straszyć Wenecyanami, Wenecyan Turkami, a jednych i drugich groźbą oddania się pod węgierski protektorat, że aż do początku bieżącego wieku ocalić zdołali swą niepodległość. Dopiero napoleońska burza, co zniszczyła i postawiła tyle przeróżnych państw i państewek, nie przebaczyła i starej rzeczypospolitej. Francuski generał oznajmił zebranym senatorom w kilku lakonicznych słowach, że mogą do domów się rozejść i zapomnieć powinni o piastowanych dotychczas godnościach i przywiązanych do nich przywilejach. Austryacki generał, który po wiedeńskim kongresie wkroczył do Raguzy i na rektorskim pałacu zatknął chorągiew Habsburgów, nie miał już kogo zwoływać, nie miał komu tłumaczyć: „Precz z marzeniami!“ Dziś w bogatych salach rektora rzeczypospolitej gospodaruje prezes Rady miejskiej; z po za gotyckich, wykutych w kamieniu okien, wygląda paru paniczów — urzędników, woźnych, lokajów, któż odgadnie? — i ze znudzoną miną śledzi płynące z papierosów obłoczki; po wewnętrznym dziedzińcu, wśród biegnącej wkoło na dole, na piętrze kolumnady, krząta się kilku miejskich pachołków; kilku innych przykład z góry dany naśladuje.

Obok prezesowskich apartamentów, miejskie muzeum z przeróżnemi dawnemi i nowemi ciekawościami. Ciekawy zbiór raguzańskich monet, pieczęci, oryginalnych strojów dostojników rzeczypospolitej przenosi myśl w ubiegłe wieki; pamiątki po Maksymilianie zwracają ją raz jeszcze do nieszczęśliwego cesarza; rzadkie morskie ptaki, olbrzymie ryby, węże, gady, to idealnie zasuszone, to kąpiące się w spirytusowych jeziorach, przypominają morsko-handlowe wyprawy, z których, jak dawniej, tak dziś, słynie Raguza, słyną Raguzanie. Skarby zwożone ze wszech stron świata przetapiano na raguskie monety, na polskie „babki“ i „talary“, na węgierskie

„krupi“ i „ongari“ w pobliskiej mennicy. Dziś mennica i złączony z nią dawny urząd celny, wyłącznie raguskim celnikom w posiadanie oddane. Wśród wspaniałych kolumn, pod cieniem misternie rzeźbionych łuków, rozpościerają się szeregi beczek z budapeszteńskim spirytusem, cyklopowych skrzyń z *Birra di Steinfeld;* na górnych korytarzach, w mennicznych salach stosy worów z mąką...

Było w Raguzie dużo pieniędzy; było widać i dużo pobożności. Ze szczytów rektorskiego pałacu błogosławi patron miasta, św. Błażej, którego figury, wizerunki na każdym kroku tu napotkasz. Nad mennicą wykute w murze olbrzymie imię Jezus (JHS), przez aniołów podtrzymywane. Niżej umieszczony w r. 1520 łaciński napis:

Numen adorandum, felix et amabile nomen,
Rhagusam titulo prosperiore juva.
Imple hostes terrore, fuga formidine, nostris
Da pateant, terrae, civibus et mare,
Da pateant coelum tuta omnia sisque saluti,
Namque salutiferum nomen Jesu habet [1].

Jeszcze niżej ascetyczno-finansowa, również wierszowana nauczka:

Fallere nostra vetant et falli pondera, meque
Pondero, cum merces ponderat ipse Deus [2].

Kościoły, klasztory piękne i bogate; klasztory prawie czasem za bogate, jeśli nie za piękne. Wewnętrzne dziedzińce klasztorów franciszkańskiego i dominikańskiego przypominają, że jesteśmy niedaleko Lacromy: te same barwy i wonie. W kościele złoto, marmury; na krużgankach obrazy najznakomitszych malarzów; w bibliotece starożytne księgi, starożytniejsze jeszcze manu-

---

[1] Boże, czci najgodniejszy, o Imię szczęsne i słodkie.
Racz w szczególnej opiece mieć naszą Raguzę.
Wrogów napełń przestrachem, zmuszaj do ucieczki.
Niech Raguzanom stoją lądy i morza otworem
Niech stoi otworem niebo, bezpieczeństwo kwitnie!
Bądź zbawieniem miastu, co zbawcze imię Jezus nosi.

[2] Kto wag naszych używa, nie myli i nikt go nie zmyli,
Gdy Bóg towary waży, ja sam siebie ważę.

skrypty, pracowitą ręką dawnych mnichów wysztychowane psałterze. Inaczej wygląda z prywatnej kamieniczki przerobiony klasztorek jezuicki, duszny, ciemny, ciasny. Dobrze tak Jezuitom! Przecież oni — jak każdy prawie historyk Raguzy, każdy kto dzień lub dwa dni w niej pobył, z matematyczną regularnością jeden za drugim powtarza — przecież Jezuici nadali Raguzie klerykalne piętno, wypędzili z jej gmachów dobry styl, z jej salonów dawną galanteryę. Niechże teraz pokutują i przypatrują się ze swych klitek austryackim mundurom wojskowych doktorów i felczerów, wychudłym twarzom dręczonych febrą żołnierzów, którzy wbrew całemu światu Jezuitów błogosławią, że zbudowali tak wygodny, jasny klasztor, w sam raz odpowiedni na wojskowy szpital.

W popołudniowych godzinach, gdy cały Dubrownik południowym, włoskim zwyczajem do snu się ułożył, toczyłem w tym szpitalu zajmującą, a bardzo miłą, choćby dlatego, że polską pogawędkę z Krakowianinem, którego losy rzucają po coraz innych wojskowych aptekach: niemieckich, istryjskich, dalmatyńskich. Skarży się biedak, że życie drogie; że do Krakowa mu tęskno. Nie on jeden się skarży, i nie jedyny to Polak na dalmatyńskich wybrzeżach napotkany. Skarży się również osiadły w Serajewie, chwilowo na urlopie bawiący urzędnik; raz po raz wraca myślą i słowem do galicyjskich wiosek i miasteczek, brudnych, niepachnących, ale swoich, ale tyloma wspomnieniami omajonych, i powtarza: „Tak chciałbym ojczystem powietrzem odetchnąć!“ Filozoficzniej zapatruje się na życie reformacki braciszek w Castelnovo. Lat kilkadziesiąt temu z Polski wyjechał, łatwiej mu dziś po włosku, niż po polsku mówić, nie ma za kim w rodzinnej swej wiosce tęsknić, a w dodatku — przyznaje poprostu: „Tu takie piękne morze, taki ogród piękny!... Jak w kuchni pracować skończę, na pacierze wołają, potem idę do ogrodu, a w ogrodzie zawsze huk roboty! Ciągle człowiek zajęty; bywa, że i na popołudniową siestę czasu nie starczy...“

Rozgadał się poczciwy braciszek. Z początku włoskie wyrazy gwałtowny z polskiemi spór wiodły; za chwilę zawstydzone musiały na bok odstąpić, za to polskie słowa lały się, lały nie-

przerwanym strumieniem, tem szybszym, gwałtowniejszym, im dłużej wstrzymanym.

— Nie myślałem — wołał z dziecinną radością, obnosząc po refektarzu nieodzowne pieczone jagnię, jeszcze nieodzowniejszą minestrę i najnieodzowniejszą sałatę — nie myślałem, że tyle po polsku pamiętam!

Paru oficerów — trudno odgadnąć: Niemców czy Horwatów — którzy kiedyś stali w Krakowie garnizonem, a obecnie borykają się z hercegowińsko-bośniackimi przemytnikami i złodziejami, opowiada różne anegdotki o Krakowie, Lwowie, Wadowicach; przypominają sobie dobrze znane i najgłębiej w pamięci zapisane nazwiska: Pollera, Wenzla, zwłaszcza i na pierwszem miejscu „powszechnie znanego“ Hawełki. Na męskie, ogorzałe oblicza występuje widoczne wzruszenie, wywołane rozrzewniającemi temi wspomnieniami, tem bardziej rozrzewniającemi, gdy się je porówna ze smutną dolą dni teraźniejszych, bośniackich. „Teraz całe tygodnie, miesiące, niczem innem nie żyjemy na inspekcyjnych naszych wycieczkach, jak pieczonemi, a na odmianę gotowanemi kurami. Dobra jest kura, ale proszę jeść kurę rano, w południe, wieczór, i znowu rano, w południe, wieczór i znowu *i* znowu..., a potem powiedzieć: dobra jest kura. Ileż razy przy nieszczęśliwej kurze stają na myśli kuszące wenzlowskie, hawełkowskie przysmaki! Kraków, brudne miasto, żydów dużo, ubóstwa bez końca, ale ma ładne plantacye i niedoścignięte handelki!“

W Kotarze (Cattaro) znów znajomość z Krakowa: serdeczny, wesoły kapelan wojskowy. Generał komenderujący równie dobrze Kraków pamięta i wypytuje ciekawie, jak teraz fortyfikacye wyglądają, co się dzieje z *Kościuszko-Hügel*, który on sam przed latami obwarowywał. Niestety! dać mu nie mogę wyczerpujących odpowiedzi; robię minę, którą mój generał prawdopodobnieby zrobił, gdybym go zapytał, czy kotarscy seminarzyści wiernie się trzymają systemu św. Tomasza — o stosunku wolnej woli do łaski.

Dobrze jeszcze z tymi, co dotknęli kiedyś polskiej ziemi. Zawadzą z pewnością o żydów, zapytają z uśmiechem, co na Kazimierzu (lub na Zarwanicy) się dzieje, bąkną coś o nędzy wiejskich lepianek; ale wspomnienie Hawełki, gościnności pol-

skiego jakiegoś domu, wspomnienie gorącej pobożności ludu, gromadzącego się po kościołach, twarz im rozjaśni i włoży na usta słowa serdecznej sympatyi dla „biednych“ Polaków. I z tymi ostatecznie nienajgorzej, co słuchają o Polsce, Polakach jak o żelaznym wilku; co poważnie zapewniają — jak jeden mię zapewniał — że przypomina sobie wprawdzie, że w geografii o *Polonii*, a zdaje mu się nawet, że i o *Cracovia* się uczył, ale jak na złość przypomnieć sobie nie może, w której stronie świata leży owa *Cracovia* i *Polonia*. Nie wiesz, więc nie wiesz; mam czas, to cię pouczę, nie mam, to zalecę ponowne zaglądnięcie do geografii i do miłego widzenia! Najfatalniej gdy takiego spotkasz, co niby coś wie i z tą mądrością płynącą z rosyjskich źródeł, a przefiltrowaną przez młodoczeskie i serbskie organy, nawet przed Polakiem i właśnie przed Polakiem nie myśli się taić. Śmiać się, gniewać, czy płakać; milczeć czy krzyczeć? I jedno złe i drugie niedobre, i trzecie na nic się nie zda. Najpraktyczniej ramionami ruszyć i dać dobrą radę: Przyjedź, zobacz, doświadcz!

Na szczęście w domu kotarskiego „podesty“, czy jak my byśmy powiedzieli: prezesa miasta, p. Pezzi, polityka stanowczo z rozmowy wykluczona. P. Pezzi, żywy jak iskra, wiecznie uśmiechnięty Włoch, był kiedyś uczniem w dubrownickim, jezuickim konwikcie i dla dawnych swych nauczycieli przechował serdeczną miłość; a miłość tę przelewa na wszystkich, co ten sam habit noszą. Ledwie też mię dostrzegł na pokładzie statku, zawijającego do swej rezydencyi, przyskoczył w tej chwili, ofiarował na usługi siebie, swój dom; i przez zbyt krótkie dnie pobytu mego w Kotarze, był na usługach, w najściślejszem, najmilszem tego słowa znaczeniu. Tem większa zasługa, że jednocześnie gościł paru dubrownickich kanoników, którzy imieniem kapituły przybyli z hołdem do świeżo mianowanego dubrownickiego biskupa, dotychczasowego administratora kotarskiej dyecezyi, ks. Marcelić'a.

Skwarny dzień, ściskający ręce, nogi, głowę obręczami z żaru i światła, nie pozwala ruszyć się z chłodnych, najstaranniej i najprzemyślniej przeciw najeźdzcowi — słońcu obwarowanych komnat „podesty“. Pijemy różnobarwne chłodniki u p. Pezzi; pijemy innobarwne na pierwszem piętrze u miejscowego Krezusa,

kupca Vuković'a; walczymy ze słońcem, aż wreszcie słońce, dzięki nieużytym przeciw sobie zagłobowskim fortelom, ale dzięki własnej dobrej woli, ustępuje z placu i w morzu zwolna się zanurza. Sygnał to do ruszenia całą bandą na brzeg morski; kto w Kotarze się szanuje, ten powinien o tej godzinie po brzegu morskim spacerować. P. Pezzi, ks. Marcelić robią ze siebie ofiarę, i zamiast wprost na kotarskie „corso" się udać, oprowadzają mię jeszcze wprzód po ciasnych placach i wąskich uliczkach starego grodu. Na chwilę przyłącza się komendant fortecy. Władza wojskowa, władza cywilna, władza duchowna podaje sobie ręce i żywo rozbiera szanse pogody na jutro, a deszczu na pojutrze. Rezolucye te, jak miałem następnie sposobność stwierdzić, w części tylko, mimo całej powagi uchwalających je dygnitarzów, przeszły w wykonanie; nazajutrz była wprawdzie pogoda, ale pojutrze nie było deszczu. Za to w tydzień, czy w dwa tygodnie potem, pędziły z czarnogórskich szczytów deszczowe katarakty i zalewały zawdzięczające im podobno swe nazwisko Cattaro.

Samo miasteczko dziś skromne i małe; trzęsienie ziemi w XVI. wieku zniszczyło dawne artystyczne i archeologiczne zabytki, a ciągłe wojny i wojenne obawy zmuszają nowożytne architektoniczne, snycerskie i malarskie muzy do milczenia. W katedrze bogata, marmurami i obrazami wykładana kaplica patrona miasta, św. Tryfona. W kościele Franciszkanów nic bardziej ciekawego; nic naturalnie ciekawego w świeżo budującem się, bardzo wygodnem, do wszelkich potrzeb i wymagań zastosowanem, ale dlatego może właśnie bardzo prozaicznem seminaryum. Za to widok z seminaryjskich okien, na morze, na Czarnogórę, na rozścielone wokoło najśliczniejsze dywany z barwnych kwiatów i aromatycznych ziół, bynajmniej nie prozaiczny. Stoję i stoję w oknie, napatrzeć się nie mogę i zaczynam wyrozumiewać rozentuzyazmowanych podróżników, co cudowne panorama, roztaczające się, zmieniające się na każdym kroku w słynnych *Bocche di Cattaro*, przenoszą nad neapolitańskie, nad bosforskie, nad rio-janejrskie piękności. Stoję, patrzę, a tymczasem oprowadzający — najgrzeczniejszy zresztą w świecie — rektor seminaryum, ze źle ukrytą nie-

cierpliwością laseczką w podłodze wierci, opatruje haczyki i zawiasy i wreszcie delikatnie za rękaw pociąga:

— Nie oglądaliśmy jeszcze pokojów na drugiem piętrze. Właśnie się malują. Potem oglądniemy kuchnię, refektarz. Ciekawym, jak ci się spodobają...

Ani słowa, kuchnia czysta, refektarz porządny — ale trudno prawdziwie żądać, nawet w naszym wieku, nawet najbardziej na pozytywizm i realizm pozując, aby wykrzykniki podziwu wydobywały się z gardła z równą szczerością i siłą wobec szeregu rądli, co wobec purpurowych promieni zachodzącego słońca, igrających w szafirowej, bezbrzeżnej toni...; wobec zgrzytu kuchennych nożów, mularskich kielni, co nadstawiając ucha na poważne koncerty morskich fal, którym zdaleka odpowiadają harmonijnie tęskne dźwięki ślepych gęślarzy...

Gromadki ciekawych cisną się koło śpiewaków, opiewających wielkie czyny chrześcijańskich bohaterów w walkach z niewiernymi: wiekopomne, bohaterskie czyny Marka królewicza; dziwne, bohaterskie przygody rączego jego rumaka, wiernego sokoła o złotych skrzydłach. Mężczyźni, kobiety z otwartemi ustami słuchają dobrze pewnie sobie znanej monotonnej pieśni. Za ściśniętem kołem słuchaczów stanęło w malowniczych swych strojach kilku czarnogórskich junaków, co dziś krótszemi, górskiemi dróżkami z Niegusza, z Cetynii przybyli, a jutro, temi samemi, w różowej mgle kąpiącemi się teraz szlakami, powrócą do domu. Przed wejściem do miasta złożyć musieli w ręce austryackiego policyanta swe jatagany i pistolety; trochę niemiła to ceremonia dla czarnogórskiego górala, któremu bez pistoletu, bez rewolweru, jak bez ręki; — za to prozaiczni mieszkańcy dolin bardzo zadowoleni, że huk wystrzałów — bywało że dla zabawy, bywało że na seryo — na nerwy im nie daje; błyszcząca z szaloną szybkością to na żarty, to wnet i na prawdę poruszana stal, oka nie drażni.

Gdyby orłem być!... Gdyby być choć Czarnogórcem, nogi mieć ze stali, pierś w bronzie ukutą! Zarzuciłoby się na plecy ledwie świt służącą przez noc całą stosownie do potrzeby za kołdrę, materac i poduszkę wełnianą gunię; rzuciłoby się do torby kawał sera, pół bochenka chleba; opatrzyło rewolwer i dalej

z orłami w zawody przez skały, przez góry! Rozpieszczonemu Europejczykowi krótszemi temi ścieżkami wspinać się nie chce. Ma wygodny w skale wykuty gościniec, którym najzwyklejszy fiaker do Cetynii go powiezie; mniej to romantycznie, mniej honorowo, ale bardziej zdrowo... A nawet, jeśli z pewnością mniej honorowo, kto wie, czy mniej romantycznie? Kotarscy przyjaciele dowodzili mi późnym wieczorem długo i szeroko, że powozowa droga, o wiele zarazem piękniejsza, niż strome ścieżki, ulubione przez czarnogórskich junaków i czarnogórskich wierzchowców. Czy naprawdę romantyczniejsza, czy tak mi opowiadają dla uspokojenia możliwych skrupułów i żalów? Zastanowimy się kiedyindziej nad rozwiązaniem tego problemu; teraz czasu brak. Zwinny chłopaczek, w obcisłym spencerku, czerwonej czapeczce, pędzi co tchu i woła z daleka, że obstalowany wczoraj fiaker czeka już przed bramami miasta; przed bramami, bo po wąskich, spadzistych uliczkach kotarskiej twierdzy, tylko konno, lub pieszo można się przedostać.

Fiaker czeka, niecierpliwi się! Już idę, idę, wsiadam, jadę na Czarnogórę!

Ks. Jan Badeni.

HENRYK VIII. I KLASZTORY W ANGLII.

HENRY VIII^TH AND THE ENGLISH MONASTERIES, by dom Francis Aidan Gasquet O. S. B.

Stawiane obecnie za wzór innym narodom wychowanie angielskie, przedewszystkiem chlubi się zaszczepianiem w młodych duszach zasad nieskazitelnej prawości i prawdy. Na tej podstawie dokonaną została w bieżącem stuleciu reforma edukacyjna, tak bujne i świetne wydająca za dni naszych owoce. Anglik brzydzi się kłamstwem; najwyższą dlań obelgą jest miano „kłamcy“ i od dzieciństwa umiejętni wychowawcy budzą w nim cześć dla prawdy i zobowiązania prawości w słowie, w myśli i w czynie. Ów kult prawdy w potocznem życiu z konieczności doprowadzić musiał i do szukania jej w dziejach, do sprawdzania faktów, szczegółów i świadectw, do prostowania mętnych poglądów i wyobrażeń, do wkroczenia w niedostępne uprzednio archiwa, do wertowania kurzawą wieków przysutych dokumentów: słowem — do sumiennego przejrzenia wszystkich aktów owego olbrzymiego procesu przeciw prawdzie, wytoczonego przed trzema przeszło wiekami przez Reformacyę.

I oto z podjętych prawem uczuciem badań, trysnął obfity zdrój prawdy, nietylko historycznej, lecz i dusznej; upadły dawne uprzedzenia, przesądy, nieufności, ucichły stare waśnie i nienawiści. Raz więcej sprawdziło się znowu: „prawda nas wyswo-

bodzi". Pękły okowy wiekowych uprzedzeń, ucichły okrzyki, nawołujące do walki z papizmem, a w miarę, jak się rozświecały dzieje, jaśniej się robiło i w sercach. Powolny zwrot ku odbieżanemu za dni Henrykowych katolicyzmowi, znaczy się nie szybkim może ani hurtownym, lecz stałym postępem, niema zaś roku, w którymby nie przybywało plonu historycznych studyów, czyniących prostemi ścieżki boże i przybliżających godzinę nawrócenia narodu. Nie sami katoliccy pisarze przykładają rękę do owego pługa. Wydawnictwa urzędowe w znacznej mierze przyspieszają niepodzielne odzyskanie prawdy dziejowej. Wystarczy wspomnieć olbrzymią publikacyę papierów Henrykowych, postępującą zwolna od lat kilku, a dostarczającą istnej kopalni dokumentów badaczom owego straszliwego przełomu, który na razie zbudził i zużytkował najgorsze pierwiastki w rozkiełznanej ludzkości, ujarzmionej samowolą ukoronowanego rozpustnika.

Sama obfitość wyłaniających się z archiwów państwowych dokumentów, dała pochop wielu bardziej uspecyalizowanym pracom, podjętym w przeróżnych kierunkach, a w jednym zawsze celu: odszukania prawdy i oczyszczenia takowej z naleciałości umyślnie i podstępnie nagromadzonych fałszów. Odżywiając pamięć przeszłych w przysłowie „prac benedyktyńskich", dom Franciszek Gasquet umyślił zbadać jednę stronę tryumfów, święconych przez Reformacyę, jeden dział zamachów, spełnionych przez Henryka VIII. na katolickim Kościele: wyplenienie życia zakonnego, tak bujnie dotąd kwitnącego na angielskiej ziemi; oto treść olbrzymiej pracy uczonego Benedyktyna, zawartej w dwóch wielkich tomach, gotowych może odstręczyć samą objętością swoją.

Nie bez pożytku tedy będzie zapoznać szersze koła czytelników z nader ciekawą treścią księgi pomnikowej, zwycięzko odpierającej oszczerstwa, któremi na razie Henryk VIII. chciał usprawiedliwić i upozorować swe gwałty. Wykonawcy woli królewskiej mnożyli potwarze, dowodząc, iż rozwiązłość obyczajów zakonnych i zepsucie mnichów zniewalało władzę do zamykania klasztorów. Ustaliły się owe oskarżenia, wzniecając w narodzie

ślepe nienawiści i uprzedzenia do katolickich zakonów i zakonników. Niedarmo atoli już wielki mowca polityczny, Burke, mawiał, iż chyba niepodobna zawierzyć świadectwom królewskich siepaczy: „Kto spodziewa się myta z ukarania złego, gotów takowe przesadzać lub nawet wymyślać, byle spodziewaną osiągnąć korzyść. Nieprzyjaciel podejrzanym bywa świadkiem, jeszcze mniej wiarogodnym jest złodziej".

Wśród nawały oskarżeń, cisnących się od trzech wieków przeciw życiu zakonnemu na angielskiej ziemi, chyba jedni miłośnicy zabytków sztuki raz po raz występowali w obronie mnichów, nieśmiało wskazując, iż ludzie, którzy tak wspaniałe budowali gmachy, nie mogli być pozbawieni szlachetniejszych popędów i cnót i zdolności; że piękność tylu pomników, znaczących początek XVI. wieku, dostatecznie świadczy o kulturze, pracy, polocie mężów, zdolnych wzbogacać kraj swój tak niespożytemi dziełami budownictwa. Lecz owe rzadkie wyjątki nie przygłuszały nienawistnej wrzawy, przypisującej zakonnikom katolickim wszystkie winy i wszystkie zbrodnie. Straszono niemal dzieci angielskie tem widmem papizmu; w starych, opuszczonych opactwach upatrywano siedliska złych duchów, upamiętniających dawne rozpusty, słowem — ustaliło się mniemanie, jakoby Henryk VIII. przyłożył był rękę do korzenia, by wyplenić w zarodzie wszelkiego złego początki i gniazda. Słuszne było tedy, aby korzystając z uprzystępnienia archiwów publicznych, znalazł się nareszcie osobny historyk zniesienia zakonów w Anglii.

Przystępując zaś do podjętego zadania, dom Gasquet po części własnej zakonnej rodziny spisywać miał dzieje. Jak w Polsce, tak i w Anglii, synowie św. Benedykta byli przesłańcami wiary i oświaty, pionierami chrześcijańskiej cywilizacyi. W nagrodę za poniesione trudy i zebrane z czasem zasługi, Benedyktyni rozsiedli się na ziemi angielskiej, posiadali liczne opactwa, szerokie włości, mnogie dostatki i przywileje. Wielorakie odnogi rodziny benedyktyńskiej z kolei tu bujne puszczały gałęzie. Zapewne, ludzkie ułomności nieraz przejawiały się i w tych przystaniach chwały bożej, pracy i miłosierdzia. Wszelako najściślejsze i najsumienniejsze poszukiwania, nie pozwoliły odnaleźć śla-

dów owej rozwiązłości obyczajów i rozluźnienia reguły, które niby stać się miały powodem zamachów Henrykowych. Przypatrzenie się główniejszym z onych zamachów, najlepiej zresztą odsłania ukryte sprężyny i powody dokonanych bezwzględnie gwałtów.

Przedewszystkiem, śledząc ówczesne dzieje Anglii, zdumiewać się przychodzi łatwością pogromu Kościoła katolickiego, oraz szybkim zanikiem katolicyzmu pod naciskiem samowładzy królewskiej. Dom Gasquet upatruje jednę z przyczyn nadwątlenia sił odpornych, w strasznym pomorze, który w XIV. wieku zmniejszył był o połowę liczbę mieszkańców Anglii. Na długie lata, skutkiem powietrza, miały zaciężyć różne klęski nad krajem. Przetrzebienie duchowieństwa, narażonego na najcięższe straty posługą przy chorych, osłabiło siły Kościoła, pozbawiło wiernych pasterzy. W samem hrabstwie Norfolk, na 799 księży, umarło ich 527 w czasie pomoru, a dwie trzecie całego kleru angielskiego, padło wówczas ofiarą strasznej zarazy. Duchowieństwo zakonne jeszcze donioślejsze poniosło straty, oczywiście najlepsi i najżarliwsi, skutkiem samegoż poświęcenia swego, padali na wyłomie. Po ustaniu śmiertelności, nastąpiło jakoby rozluźnienie wszystkich społecznych stosunków i spójni; ludzie nie mogli się odnaleźć wśród obcych i zmienionych warunków bytu. Brak robotnika sprowadził przełom rolniczy, wywołał powszechne zubożenie i ruinę. Nić tradycyi zrywała się nawet w Kościele, koniecznością powierzania duszpasterstwa młodym klerykom, pospiesznie wyświęcanym, bez należytego przygotowania i wychowania duchownego. Wojny „dwóch róż“, przez kilkadziesiąt lat przeciągnięte, dopełniły miary klęsk publicznych. Lud angielski, wyczerpany domową niezgodą, zarazą i powszechną nędzą, łaknął tylko dobrodziejstw pokoju, i stąd gotów był we wszystkiem ulegać samowoli królewskiej, byle oporem nie wznawiać rozruchów i waśni.

Nie pójdziemy w ślad autora, aby zmierzyć inne rany epoki: ów pościg za łaską monarszą i mytem spodlenia wśród nowego patrycyatu, urosłego za dni krwawych przełomów, pojawienie się chciwego czynownictwa, ostudzenie ducha kościelnego wśród

biskupów, przedzierzgniętych w urzędników państwowych i zaprzątnionych świeckiemi sprawami, skupianie beneficyów w ręku ulubieńców królewskich, przebywanie u dworu pasterzy dusz, baczniejszych na własne wyniesienie i karyerę, aniżeli na dobro swych owieczek; przełom rolniczy, zamieniający w pustkowia i pastwiska szerokie obszary rolne, z wielką szkodą dla wiejskiej ludności i wytworzeniem głodnego proletaryatu. Niejedna z ówczesnych plag żywcem przypomina dzisiejsze zagadnienia, wyprzedzając społeczne obecnej chwili trudności. Pojawiają się i wtedy deklamacye o nierównym dóbr ziemskich podziale, o konieczności urządzenia na nowo stosunków i warunków bytu. Jedno wszelako uderza stale: wbrew podżeganych zazdrości społecznych, mimo rekryminacyj przeciw dostatkom duchowieństwa — snać zakonnicy miłosierdziem i jałmużną jednali sobie wdzięczność maluczkich, gotowych zawsze stawać po ich stronie i w ich obronie. Dowodem to jawnym, iż wśród ogólnego rozstroju, klasztory po dawnemu pojmowały obowiązki gościnności i dobrze czynienia. Skądinąd akta wizytacyj biskupich dowodzą prawie wszędzie ścisłego przestrzegania reguł. Pod wielu względami stygnący biskupi, do ostatka sumiennie jednak pielęgnowali dobre imię powierzonych swemu nadzorowi klasztorów i z bardzo szczegółowych protokołów poznać można, jaki duch do końca ożywiał domy zakonne na angielskiej ziemi, zaczem jak sfałszowane musiały być świadectwa takiego Tomasza Cromwella, późniejszego hr. Essex, który z ramienia Henrykowego przystąpił do dzieła zagłady, uprzedziwszy takowe oczernieniem przysposobionych ofiar.

Znoszenie klasztorów nie było nową praktyką w Anglii; owszem, gotując zamachy na zakonne przystanie, można było się wykazać historycznemi precedensami. Już w wiekach poprzednich, niejeden z monarchów angielskich w czasach wojennych targnął się był na niektóre domy zakonne, pod pozorem, iż te zostawały w bezpośredniej jedności z przełożonymi zagranicznymi, że założone przez cudzoziemców, na obczyznę przenosiły część zebranych w Anglii funduszów; klasztory te oznaczano mianem *alien priories*, czyli obcych pryoratów. Zdarzało się też

niekiedy, iż zamykano klasztor ze względu na uszczuplenie zgromadzenia, które wedle litery prawa, liczyć miało co najmniej dwunastu członków. Ale bywały to fakta sporadyczne, rzadkie, wyjątkowe. Niestety! dostojnik rzymskiego Kościoła miał dać hasło do powszechnego zaboru i do zniszczenia zakonnego życia w Anglii.

Postać kardynała Wolsey występuje złowrogo na tle historyi zniesienia klasztorów. Godność kanclerza Anglii i księcia Kościoła nie wystarczała jego ambicyi. Marzył o wyższych jeszcze przeznaczeniach, po śmierci Leona X., później po zgonie Klemensa VII., śnił o ich następstwie, mniemał, że za stosownym naciskiem, zapewni sobie głosy kardynałów i na Piotrowej zasiądzie stolicy. Acz go owe najwyższe widoki zawiodły, wymógł wszelako od następujących po sobie papieży niebywałe przywileje, tytuł legata, zwykle odłączony od miejscowych dostojeństw, szerokie prawa inspekcyj klasztornych i t. d. Leon X. długo się opierał, bronił, targował; uległ nareszcie i niebacznie oddał w rękę Wolseya obosieczną broń, która miała zadać Kościołowi niezagojone rany. Nigdy przedtem żaden mąż nie dzierżył tak doniosłej władzy w dziedzinie państwa i Kościoła zarazem: jedna i ta sama dłoń, jeden umysł kierował świeckiemi i duchownemi sprawami kraju. Nawet gdyby kanclerz-legat był świętym — pisze dom Gasquet — podobne skupienie podwójnej władzy byłoby niebezpiecznem. Cóż zaś powiedzieć, czego było się spodziewać, gdy zadzierżył ją tak ambitny światowiec, jak Wolsey. Po raz pierwszy, naród miał ujrzeć w jednej osobie przedstawiciela władzy świeckiej i władzy duchownej. Przykład ten fatalny i precedens złowrogi, miał przygotować umysły do idącego przewrotu. Nie można zaprzeczyć Wolseyowi pewnej wielkości i wspaniałości poglądów. Ambicya jego niepowszednią była. Kochał się w świetnych i szumnych przedsiębiorstwach. Niebawem, wobec upadającej oxfordzkiej wszechnicy, postanowił wsławić swoje imię założeniem nowego, sowicie uposażonego kolegium. W tym celu targnął się na własność przeróżnych klasztorów, znajdujących się w pobliżu Oxfordu, pod różnemi pozorami usprawiedliwiając ich zniesienie, spowodowane wyłącznie żądzą zgromadze-

nia potrzebnych środów dla zamierzonej fundacyi. Raz zakosztowawszy w tak łatwym sposobie wypełnienia swej szkatuły, opróżnionej wspaniałością życia i przedsiębiorstw, Wolsey nie zatrzymał się na obranej drodze. Imię jego rzucało popłoch wśród zakonników. Czując, jak dalece zależą od złej lub dobrej woli kardynała-legata, klasztory okupywały mu się hojnemi na powstające w Oxfordzie kolegium ofiarami, a raczej haraczami, zabezpieczającemi byt ich i bezpieczeństwo. Nienasycony Wolsey coraz to nowe przeciw zakonnym domom gotował zamachy, nie przeczuwając, iż przez to samo własną gotuje zgubę. Henryk VIII. niemniej od swego ministra pożądał i potrzebował pieniędzy. Widząc, jak łatwym sposobem takowe napływały do kieszeni kanclerza, postanowił na własną rządzić rękę, pozazdrościł mu i władzy i dochodów. Wolsey najniespodziewaniej strąconym został ze szczytu potęgi. Wśród przeszło czterdziestu punktów oskarżenia, podpisanych przez mężów tej miary i wiary, co błogosławiony Tomasz Morus, osobny nacisk położony został na jego niesprawiedliwe obchodzenie się z zakonnymi osobami i ich własnością. A tymczasem usuwając wszechpotężnego kanclerza, Henryk VIII. umyślił naśladować jego arbitralne rządy, z samychże argumentów Wolseya biorąc pochop do samodzierztwa w rządach Kościoła i prześladowania zakonników. Gdy Rzym ostatecznie odmówił mu rozwodu z Katarzyną Aragońską i potępił powtórne śluby z Anną Boleyn, osobista uraza pchnęła Henryka VIII. do zerwania z jednością i otwartego buntu przeciw Głowie Kościoła. Ogłosiwszy w r. 1534 Annę królową, zagaił okres zupełnego wyłamywania się z pod uległości przynależnej Namiestnikowi Chrystusowemu. Lud zrazu z oburzeniem przyjął wieść o wyniesieniu byłej królewskiej nałożnicy na tron angielski; zdarzało się, iż wierni tłumnie opuszczali przybytki Boże przy wymienieniu jej nazwiska w modlitwie za monarchę. Chodziło tedy o szybkie złamanie oporu. Służalczy parlament kuł coraz to nowe prawa, skupiające w ręku Henryka VIII. najwyższą, niebawem jedyną władzę, nawet w porządku rzeczy duchownych. Związani z dworem biskupi, przeważnie przychylali się do zakusów monarszych. Przez nich łacniej przychodziło opanować kler świecki, zostający

pod grozą odjęcia beneficyów. Znalazł się wnet zastęp powolnych narzędzi królewskiego rokoszu przeciw Rzymowi, którzy z kazalnic występowali coraz gwałtowniej przeciw władzy papieża. Atoli z pośród braci zakonnej najwięcej się rekrutowało ulubionych kaznodziei ludowych, ci zaś, ślubem ubóstwa osobistego związani, mniej dostępni bywali pokusom i naciskowi świeckiej władzy. Henryk rychło się pomiarkował, iż stamtąd gotów przyjść najstalszy opór przeciw jego samowoli. Wszakże znalazł się był pewien Franciszkanin, który, powołany, by w obecności samegoż króla niedzielne wygłosić kazanie, nie wahał się jawnie wystąpić przeciw cudzołożnym z Anną Boleyn ślubom, otwarcie potępiając postępowanie monarchy i grożąc mu karami nieba, jeśli wytrwa w pogwałceniu praw bożych. Król na razie zniósł w milczeniu krwawe ostrzeżenia, które miały się co do joty spełnić. Mowca bowiem między innemi groził Henrykowi, iż jeśli się nie poprawi, i jego krew psy lizać będą, jak ongi lizały Achabową. Zdarzyło się, iż gdy dla ogromnej jego tuszy, rozkład pośmiertny szybko nastąpił, i trumna Henrykowa pękła, ujrzano nagle czarnego psa, który krwią królewską chciwie się napawał, spełniając groźną wyrocznię. To śmiałe wystąpienie syna św. Franciszka, pierwsze ciosy przeciw jego zakonnej rodzinie zwróciły. Henryk odgadnął siłę, tkwiącą w niezależności zakonnego duchowieństwa i postanowił usunąć z drogi swojej przeszkodę, tamującą dalsze gwałty. Anna Boleyn, „przyczyna i karmicielka herezyi“, wraz z zausznikami swymi, popierała i przyspieszała kroki, zmierzające do zniesienia klasztorów, do pomszczenia na Braciach Mniejszych wierności ich Kościołowi rzymskiemu i śmiałości potępienia nieprawych ślubów królewskich. Jeden jeszcze powód osobną niechęć monarchy zwracał przeciw Franciszkanom ścisłej obserwancyi. Katarzyna Aragońska z pośród nich dobrała sobie spowiednika, świątobliwego brata Foresta, który miał przypieczętować męczeństwem wiarę swą i wierność. Sam stosunek nieszczęśliwej pani ze Zgromadzeniem Braci Mniejszych, o ich losie rozstrzygnął, i oni też pierwsi doznali prześladowania, rozciągniętego niebawem do wszystkich zakonów na ziemi angielskiej. Henryk VIII. zbyt świeżo sam

wysławiał był niezwykłe cnoty synów św. Franciszka, ażeby teraz o zepsucie i rozwiozłość ich pomawiać. Innego tedy chwycił się środka, aby ich zgubić. Przedewszystkiem spróbował narzucić im przełożonych, powolniejszych, jak mniemał, na jego własne zachcianki. Dalej odwieczną prześladowców praktyką, świeżo ponowioną w Kielcach, gdy chodziło o zamknięcie seminaryum pod jakimbądź pozorem, w każdym klasztorze postarano się o szpiega, zużytkowując w tym celu nikczemniejsze żywioły i słabszą cnotę. Brat Lyst głównie został przydzielony do osoby błogosławionego Foresta, aby śledzić kroki jego i podsłuchiwać zdania. Niebawem zarządzono z ramienia królewskiego nadzwyczajną wszystkich klasztorów wizytacyę, naznaczając w tym celu dwóch ludzi, całkiem oddanych widokom monarchy. Owi wizytatorzy mieli poniekąd zbadać usposobienie zakonników, zmierzyć stopień ich wierności, żądaniem uznania supremacyi królewskiej w rzeczach duchownych i zobowiązania się do głoszenia wszędy, iż papież nie posiadał osobnej władzy, różnej i szerszej od władzy każdego biskupa. Domagano się i przysięgi, uznającej Annę Boleyn prawowitą królową Anglii. Nareszcie każda wizytacya zakończyć się miała sporządzeniem inwentarza wszelkich dóbr i kosztowności klasztornych.

Zaczął się dla domów zakonnych okres prawdziwego terroryzmu. Nieraz bynajmniej nieuprawnieni wizytatorowie udawali się za wysłańców królewskich, aby strachem wymódz obfite daniny; niekiedy świeccy z bronią w ręku próbowali rozstrzygać o wewnętrznych wyborach i urządzeniach zgromadzenia. Jęły się mnożyć fałszywe oskarżenia i donosy, pozbawione całkiem wiarogodności, ściągając coraz to nowe burze na nieszczęśliwych zakonników i zakonnice. Wypadało nieraz okupywać się dobrowolnym haraczem, aby zażegnać bezpośrednie niebezpieczeństwo zniesienia klasztoru. Przedewszystkiem wizytatorowie królewscy mieli oko na Braci Mniejszych, oskarżali ich o rozkrzewianie wśród ludu wierności dla rzymskiego papieża, a przez to samo o stawianie jawnego oporu woli królewskiej. Dokumenta współczesne opiewają niemal jednomyślnie, jak wielka część zakonników wytrwała i przetrwała huczącą nad nimi nawałność. Jeśli

tu i owdzie zdarzyły się przeniewierstwa, wyjątki te były rzadkie, od których naród się odwracał ze wstrętem, przyklaskując raczej męstwu opornych. Gdy jeden z braci uległ namowom rządowych wysłańców, matka w tych słowach wyrzucała mu słabość jego: „Obiecujesz mnie odwiedzić w ciągu wiosny, nie przybywaj, jeżeli wprzódy nie odmienisz myśli. Okrom przekleństwa niebios i mojego się doczekasz, a nigdy ci i grosza nie dam, wolałabym wszystko, co mam, rozdzielić pośród ubogich, aniżeli ciebie w herezyi utrzymywać".

Bracia Mniejsi stanęli murem w oporze przeciw samowoli królewskiej, przedewszystkiem powtarzając, iż umrą w obronie reguły św. swego założyciela, że duch serafickiego Franciszka sprzeciwia się stanowczo nieuznaniu przewagi Rzymu w rządzie Kościoła i dusz. „Wszystkie nasze argumenta — odzywają się wizytatorzy — odbiły się daremnie o mózgownice skamieniałe długą uległością dla papieża". Ostatecznie też spełzły na niczem usiłowania królewskich wysłańców, aby zniewolić Franciszkanów ścisłej obserwancyi do złożenia przysięgi na bunt przeciw Rzymowi. Wybiła godzina ofiary: dwustu blisko synów św. Franciszka niemal jednocześnie wtrącono do więzienia lub rozproszono po innych klasztorach, gdzie cięższy jeszcze może los ich czekał i większa niż w pospolitych kaźniach poniewierka. Pięćdziesięciu z nich przypłaciło życiem powolne więzienia katusze. Inni z czasem dostali się na gościnniejsze wybrzeża. Roczniki Braci Mniejszych dostarczają nam szczegółów męczeństwa owych wyznawców wiary. Jeden z nich, ojciec Antoni Brookby, uczony humanista, wydan był na tortury i w surowem trzymany odosobnieniu. Przez dwadzieścia pięć dni z rzędu nie dano mu się położyć, wierny przyjaciel ukradkiem podawaną żywnością utrzymywał go jedynie przy życiu. Zdaje się, iż siepacze, zniecierpliwieni przedłużeniem dni swej ofiary, pewnej nocy zadusili go własnym jego paskiem zakonnym. Inny znów umierał z głodu w więzieniu, wielu gasnęło zwolna w smrodliwem niezdrowych kaźni powietrzu. Narzucano im ciężkie kajdany, najczęściej skuwając po dwóch razem. Niektórzy po kilka lat wytrzymywali strasznego uwięzienia męki. Najgłośniejszy z nich, wspomniany już spowiednik królowej Kata-

rzyny, ojciec Jan Forest, całe cztery lata chwalebne nosił pęta, zanim mu było danem uszczknąć palmę męczeństwa. Liczył już sześćdziesiąt cztery lat życia a czterdzieści trzy zakonnego powołania, gdy go wtrącono do więzienia. Bądź ze względu na jego cnotę, bądź z innego powodu, przydłuższa niewola bywała raz po raz łagodzoną. Biskup odstępca, Latimer, upominał się o wiekszą surowość i obostrzenia, wraz oddając bezwiednie najwyższe świadectwo mocy, płynącej z Najświętszych Tajemnic. Pisząc bowiem do sekretarza królewskiego, Cromwella, głównego wykonawcy woli Henrykowej, donosi, że „brat Forest zamiast dzielić z Kartuzami i Karmelitami pospolite więzienie, osobną zajmuje izdebkę, gdzie nikt się do jego przekonań nie wtrąca; co więcej, pono otrzymał pozwolenie na odprawianie Mszy i przyjmowanie Sakramentów — co wystarczy aby go w jego oporze utwierdzić". Do końca brat Forest powtarzał, iż nic go nie potrafi oderwać ani od wierności papieżowi zaprzysiężonej, ani od uległości, w rzeczach świeckich przynależnej królowi. Skazano go na śmierć przez ogień. Już na rusztowaniu biskup odstępca Latimer próbował jeszcze dłuższą przemową stałość męczennika pokonać, nagląc go do zerwania z Rzymem i zdania się na łaskę królewską. Atoli John Forest mocnym głosem odparł na zaklęcia Latimera, iż chociażby i anioł z nieba zstąpił, by go uczyć innej wiary, aniżeli tej, którą od młodości wyznawał, nie uwierzyłby i aniołowi; a choćby miał być ćwiartowanym i palonym na wolnym ogniu, jeszczeby nie złamał ślubów swoich. Owszem, śmiało wyrzucił apostacie mowę, na którą przed siedmioma laty z pewnością nie byłby się zdobył.

Wobec tak niewzruszonej stałości nie zwlekano dłużej z wykonaniem wyroku. Zawieszono ofiarę na łańcuchach, ponad płomieniami rozpalonego ogniska. Straszliwym mękom błogosławionego brata Jana Foresta przyglądały się całe zastępy najpierwszych zauszników królewskich. Zdobył koronę męczeńską na d. 22 maja 1538 roku.

Zgnębiwszy i rozproszywszy zakonną rodzinę św. Franciszka, zwrócono się z kolei przeciw Kartuzom. Wprawdzie ci nie występowali głośno w obronie nieszczęsnej królowej Katarzyny,

nie potępiali publicznie nowych a nieprawnych związków królewskich. Wszelako cnoty ich i rzadkiej świątobliwości życie, samo przez się starczyło za potępienie rozwiozłych obyczajów i rokoszu Henryka przeciw Stolicy św. Mianowicie dom Kartuzów londyńskich słynął z nadzwyczajnej żarliwości ducha zakonnego. Samiż protestanccy pisarze uchylają czoła przed świętością synów św. Brunona. Najzjadliwszy przeciwnik katolicyzmu, świeżo zmarły historyk Fronde, mięknie wobec zapisków Maurycego Chauncy, jednego z braci zakonnych, który na razie straciwszy serce, przez resztę życia tęsknił za tak marnie utraconym wieńcem męczeństwa, okupując przelotną słabość hołdem oddanym stałości swych współtowarzyszów. Sam Fronde unosi się nad obrazem zakonnego życia Kartuzów londyńskich, przestrzegających pierwotną ścisłość surowej reguły: „Gdyby po upływie dziesięciu wieków Beda Venerabilis lub św. Cuthbert zapukali byli do owych podwoi, nie znaleźliby żadnej chyba różnicy z okresem pierwszego rozwoju zakonnych w Anglii instytucyj. Acz tymczasem do tysiąca lat upłynęło w dziejach świata, owe wyspy modlitwy stały jak dawniej na kotwicy, wśród żartkiego potoku wypadków". Sterował zgromadzeniem mąż rzadkiej doskonałości, przeor Jan Honghton. Nigdy on nie sprawował przenajświętszej ofiary bez łez obfitych i zachwytów pobożnych. Mimo łask nadzwyczajnych odznaczał się naiwną pokorą i skupieniem.

Nadprzyrodzone ostrzeżenia uprzedziły zgromadzenie o idącej burzy. Gdy wysłańcy królewscy przybyli zbadać usposobienie zakonników oraz ich zapatrywanie na nowe śluby monarchy, przeor bez ogródki wyraził swe przekonanie, iż trudno mu wyrozumieć, jakim sposobem małżeństwo, uświęcone błogosławieństwem Kościoła, o którego prawowitości nikt dotąd nie wątpił, mogło być unieważnione. Odpowiedź ta starczyła, aby odważnego przeora wtrącić do więzienia wraz z prokuratorem klasztornym. Po kilku tygodniach ciężkiej próby, w dusznej i smrodliwej kaźni, obostrzonej brakiem niemal zupełnym pożywienia, odprowadzono więźniów do ich klasztoru, na to tylko, aby groźbą i podstępem wymódz jakiebądź ustępstwo. Biskupi z York i Londynu jęli tłómaczyć, iż kwestya tak podrzędna, jak porządku dziedzictwa

korony, nie warta była, aby za nią dawać życie. A jednak uznanie nowych ślubów Henryka łączyło się z odtrąceniem księżniczki Maryi od następstwa, przysądzonego potomstwu z Anny Boleyn. Osaczeni i nękani bez przestanku, Kartuzi nareszcie złożyli żądaną przysięgę dynastyczną, lecz uczynili to warunkowo, z dodaniem słów: „o ile to legalnem być może". Zaledwie atoli zgodzili się na ten kompromis, zniknął spokój, zniknęła jedność pośród zgromadzenia. Odpadły słabsze żywioły, złamane ustawicznym naciskiem, aby ducha zakonnego nadwątlić. Gdy w r. 1535 Henryk VIII. przywłaszczył sobie otwarcie tytuł najwyższej głowy angielskiego kościoła i jął wymagać od poddanych przysięgi, uznającej ostatecznie jego supremacyę, Kartuzi zrozumieli, iż minęła pora układów a wybiła godzina męczeństwa. Wspaniałe są dzieje tych ostatnich dni, poświęconych przygotowaniu się na idącą próbę. Niechętny Fronde, oprzeć się nie umie wzruszeniu wobec tej garstki zakonników, dobrem sercem gotujących się na męczeństwo, byle nie zniżyć się do kapitulacyi z sumieniem. Owszem, porównywa ich do owych trzystu Greków, którzy w letni ranek złote czesali włosy, sposobiąc się do heroicznych pod Termopilami zapasów. „Nie żałować nam, że dla podobnej ginęli sprawy. Jakaż bowiem śmierć szlachetniejszą być może od tej, co kładzie życie za to, co prawdą być mniema".

Na wezwanie przeora, wyspowiadawszy się jedni przed drugimi, za przykładem jego, zakonnicy nawzajem przepraszali się i przebaczali sobie nawzajem. Aż oto dziwne zjawisko zdało się obecność Bożą wśród zgromadzenia uprzytomnić. W chwili podniesienia powiał jakoby wietrzyk dosłyszalny, niosąc na swej fali rzewną i słodką melodyę, na której dźwięk rozpłynęły się serca przysposobionych męczenników. Gdy niebawem odmówili stanowczo uznaniu w królu głowy Kościoła, ujęto nasamprzód starszyznę klasztorną i po uciążliwych dniach najsroższego więzienia, wyprowadzono pięć ofiar na miejsce stracenia. Nieprzeliczone tłumy zgromadziły się dokoła rusztowania, mnóstwo dostojników dworskich cisnęło się jakoby na widowisko jakie, bodaj czy i nie sam król w przebraniu przyglądał się traceniu, które okrucieństwem przeszło wszelkie inne spełnianie wyroków. Z umysłu

dobrano jak najgrubszych powrozów, aby półżywe ofiary, chwilowo tylko na szubienicy zawisłe, ćwiartować i palić, wyrwane im z łona bijące jeszcze serca wciskając do ust pomordowanych! Każdemu ofiarowano ułaskawienie, byle się poddał woli królewskiej i nie uchylił od żądanej przysięgi. Jeden po drugim odmową o losie swym rozstrzygał. Widok zakonnych sukni męczenników zrobił pewne wrażenie na zgromadzonych tłumach. Pierwszy uszczknął wieniec zwycięstwa błogosławiony Jan Honghton, w ostatniej jeszcze chwili zapewniając głośno, iż śmierci jego przyczyną nie jest żaden bunt przeciw królowi, lecz wierność tym ustawom kościelnym, które nowemi prawami zostały pogwałcone. Odciętą rękę chwalebnego męczennika przybito nade drzwiami klasztoru londyńskich Kartuzów, w przekonaniu, iż rzucony stąd na nich postrach zwalczy ich opór i do poddania przymusi.

Tymczasem środek ten zawiódł; zgromadzenie nowego owszem nabrało męstwa skutkiem orędownictwa swego byłego przeora. Wybrano tedy trzy nowe ofiary, aby je z równem barbarzyństwem w Tyburnie stracić, a gdy i to nie zmogło stałości Kartuzów, chwycono się powolniejszych środków złamania ich ducha, osadzając w klasztorze komisarzy świeckich, którzy się na dłużej, niby u siebie rozgospodarowali, zostawiając zakonników nieraz w najprzykrzejszym niedostatku. Jednocześnie używano wszelkich środków, ażeby stopniowo zatruwać ich dusze, bądź kacerskiemi konferencyami, bądź książkami, szerzącemi herezyę, bądź dowolnem naznaczaniem przełożonych. Po upływie całych dwóch lat zeszło żniwo podstępnie zasianego kąkolu i w maju 1835 r. większa część Kartuzów zgodziła się na złożenie żądanej przysięgi. Dziesięciu tylko wytrwało w niezłomnym oporze.

Tych wtrącono do okrutnej kaźni, przykuto ciężkiemi łańcuchami do słupów tak ciasno, aby żaden położyć się nie mógł, i postanowiono głodem się ich pozbyć, może dla uniknienia publicznej egzekucyi, z obawy szemrania ludu, który był do tego zgromadzenia nader przywiązany. Zacna pani, Małgorzata Clement, potrafiła dotrzeć do ich więzienia, karmić męczenników własną ręką i przedłużyć ich życie ponad życzenie siepaczy. Na wiado-

mość, iż jeszcze nie pomarli z głodu, król rozkazał podwoić surowości; jakoż po upływie dni kilku doszedł go raport, iż z dziesięciu zakonników już tylko jeden żyje, a i ten uległ niebawem powolnym katuszom głodu i smrodliwego w okropnej kaźni powietrza.

A tymczasem pozostali w klasztorze bracia, żadnej nie odnieśli korzyści z ustępstwa, które ich pozbawiło wieńca męczenników. Wkrótce groźby królewskich wysłańców zniewoliły ich do oddania domu i dóbr klasztornych w ręce monarchy i poddania się niby dobrowolnie rozproszeniu. Rząd zobowiązał się płacić im dożywotnie utrzymanie, ale jakkolwiek szczupłe, i te pensye niebawem zostały zawieszone; w murach zaś uświęconych cnotą i cierpieniem tylu pokoleń zakonnych, urządzono rodzaj składu na broń i namioty, a zbezczeszczenie świętego miejsca do tego posunęło się stopnia, iż żołnierze na ołtarzach grywali w kostki.

Z straceniem świątobliwego biskupa Fisher'a, uczonego kanclerza Morusa i londyńskich Kartuzów, Henryk VIII. mniemał, iż uprzątnął główne przeszkody dla nowoobranego kierunku, że zgładził za jednym zamachem najwybitniejszych przeciwników jego przewagi czyli supremacyi w rzeczach duchownych; oraz jego cudzołożnego z Anną Boleyn związku. Tymczasem nie danem mu było w spokoju kosztować owocu swej zemsty. Lata były to ciężkie i trudne, nieurodzaj powszechny skutkiem przedłużonej słoty, w której lud upatrywał bezpośrednią karę za śmierć mężów Bożych. Skarb państwa świecił pustkami, a lękano się rozruchów, zbyt gwałtownym ściąganiem podatków z ludu, przygnębionego wszechstronnem niepowodzeniem i mnóstwem klęsk elementarnych. Nie było już czem opłacać głodnej urzędników tłuszczy. W tych okolicznościach, król postanowił napełnić próżną szkatułę kosztem klasztorów, słusznie uważanych za warownie ducha rzymskiego i jedności z papieżem. Za jednym zamachem, udałoby się i ściągnąć skarby nagromadzone pobożnością wieków, i wygasić główne ogniska oporu, stawianego samozwańczej głowie angielskiego kościoła. Sekretarz królewski, Cromwell, wskazywał na

węzeł łączący poszczególne zakony z całem chrześcijaństwem i powszechnością Kościoła. Owe to węzły wypadało przeciąć i zerwać. Atoli nad ten wzgląd głośniej przemawiała chciwość i nadzieja zagarnięcia łupów bogatych, zwłaszcza pod względem obszernych włości, których w istocie znaczna część znajdowała się w ręku zakonników, acz wielce przesadzono odtąd dostatki klasztorów angielskich. Wynika z obrachunków historycznych, iż dochody całego narodu w owej epoce dochodziły do trzech milionów funtów, z których kwota około 140 do 170.000 liwrów przypada na rzecz klasztorów. Jeżeli do tego dodamy kosztowności, zagrabione przez Henryka, możemy obliczyć doniosłość rabunku, dokonanego przezeń na klasztorach, do sumy pięćdziesięciu milionów funtów sterlingów dzisiejszej waluty.

Pierwszym krokiem na tej drodze było ustanowienie komisarzy królewskich, jako wizytatorów, którzy mieli obiegać klasztory, badać usposobienie zakonników, mierzyć moralną wartość zgromadzenia, przedewszystkiem zaś spisywać inwentarz ich własności. Wszechnice w Oxford i Cambridge, uważane niemal jako klasztorne instytucye, zrównane zostały z niemi samowolą monarszą i wystawione na zamachy wizytatorów, którzy swą gospodarkę rozpoczęli od zabronienia nauki prawa kanonicznego wyparcia ze starych szkół filozofii scholastycznej, i zniszczenia bezmyślnego skarbów bibliotecznych, dlatego tylko, iż zawierały np. dzieła Duns Scota. Dom Gasquet wskazuje przedewszystkiem, jakie osobistości powołano do urzędu wizytatorów klasztornych i w jaki sposób owo lustrowanie się odbywało. Sporządzono nasamprzód kwestyonaryusz szczegółowy, istne narzędzie tortury dla sumień, które mogły przywieść do rozpaczy nieszczęśliwe ofiary wizytacyj, prowadzonych pospiesznie a bezwzględnie. Dopóki komisya królewska bawiła w klasztorze, tenże zamieniał się w więzienie, z którego nikt wyjść i do którego nikt wstąpić nie miał prawa. Wizytatorowie rozwiązywali śluby młodszych zakonników, osadzali u bram odźwiernych, którzy zamieniali się w istnych dozorców więziennych. Ustawała karność, upadała reguła w zgromadzeniach, odkąd podwładny mógł każdej chwili zanosić skargę do świeckiej władzy na przełożonych swoich. Roz-

strój wewnętrzny z konieczności musiał nastąpić w skutek samowolnej gospodarki komisyi królewskiej.

A jeśli była ona klęską dla męskich klasztorów, co powiedzieć o żeńskich, o losie nieszczęśliwych zakonnic, wydanych na pastwę niegodziwych wizytatorów! Missya ich w znacznej części ograniczała się na kalaniu uszu czystych oblubienic Chrystusowych najsromotniejszemi rozmowami, lub kuszeniu ich do złego. Z umysłu dobierano na wizytatorów żeńskich klasztorów młodzieńców, przybranych w kosztowne szaty, pełnych zręczności i dowcipu! Zaiste, można przypuszczać bolesne upadki, można zawierzyć pozorom złego, a jednak, jak pisze angielski tych czasów dziejopis, Blunt, „dość jest znać charakter niewiast angielskich, aby być przekonanym, iż wśród tych niewinnych istot, wystawionych na tak wstrętne niebezpieczeństwa, wielka część przeszła nieskazitelnie przez płomienie ohydnego kuszenia, pod osłoną swego boskiego Oblubieńca! Boć dziewice nasze z XIX. w. są rodzonemi siostrami owych zakonnic z XVI. stulecia, które zaledwie z zatartej znamy tradycyi“.

Protokoły owych wizytacyj uwydatniają zubożenie niektórych klasztorów, rujnowanych systematycznie od lat kilku coraz to nowemi wymaganiami bądź króla, bądź jego siepaczy. Nie zostawało dla wielu innej alternatywy, jak poddać się, lub umrzeć z głodu. Nie od dziś bowiem zagajonym był obyczaj okupywania się wysłańcom królewskim i opóźnienia haraczem godziny rozproszenia.

Tutaj dom Gasquet osobne kreśli portrety głównych narzędzi woli królewskiej, Tomasza Cromwella i jego narzędzi. Wszystko to łotry skończone, szukające własnego wyniesienia i wzbogacenia, tarzające się w błocie, z którego wyszli, słynni z udowodnionych zbrodni i zepsucia. Samże Cromwell, syn kowala, później czeladnik u folusznika, grępłownik wełny, awanturnik najgorszego gatunku, przez lat ośm dzierżył najwyższe w Anglii dostojeństwa, aby nareszcie sromotnie upaść i położyć głowę pod topór kata. Henryk VIII. także bowiem gotował koniec swym zausznikom, gdy mu się ich samowolne działanie uprzykrzyło. Towarzysze hr. Essex, bo do takiego Cromwell doszedł

tytułu i wielkości, nie ustępowali mu pod względem okrucieństwa, zepsucia, chciwości. Protestanccy pisarze jednozgodnie świadczą o niegodziwości wykonawców zamiarów królewskich w sprawie zniesienia klasztorów, wyłonione zaś z archiwów państwowych dokumenta ujawniają wartość moralną ludzi, użytych do dzieła podwójnej zagłady; spróbowano bowiem usprawiedliwić zamach na klasztory najhaniebniejszym ich moralnego stanu i upadku obrazem.

Wspomnieliśmy, iż katoliccy biskupi do ostatka, w przededniu własnej apostazyi, dziwnie jeszcze czuwali nad przestrzeganiem reguły i czystością obyczajów zakonnych. Protokoły z wizytacyj biskupich do ostatka brzmią pomyślnie. Skąd więc odrazu tak potworne wytworzyć się miały stosunki, tak hańbiące w klasztorach obyczaje, tak zupełne rozluźnienie życia zakonnego, jak to opiewają t. zw. komperty czyli sprawozdania wysłańców Henrykowych? Rzecz nam się wyjaśnia odrazu, gdy z papierów spółczesnych dowiadujemy się, iż np. król zgromił swych urzędników, że mu nie dostarczyli na razie dość gorszących i kompromitujących szczegółów o mnichach skazanego na zagładę klasztoru, lub gdy Cromwell wyrzuca jednemu z powolniejszych siepaczy, iż odważył się pochwalić opata, którego zguba była postanowioną. Z góry tedy szukano tylko złego, a narzędzia królewskiej samowładzy okazywały się gotowe wymyślić to, czego nie znalazły.

Autor opowiada nam sposób, w jaki odbywały się z ramienia królewskiego zarządzane wizytacye i śledztwa. Spadały one niby burza na nieszczęśliwe klasztory, odbywały się w szalonym pośpiechu, nie dającym czasu na poznanie ustroju domowego lub sprawdzanie świadectw; zużytkowywano czcze posłuchy i plotki, głosy niechęci, donosy niepoczciwe, zbierane skwapliwie wśród śmieci i wyrzutków społecznych. A i te oskarżenia tak pozostały ogólnikowe, tak jednostajne i szematowe, iż przez to samo budzą nieufność i podejrzenie co do ich wiarogodności. Cóż dopiero, gdy surowy autor bada ich genezę, wskazuje krzyżowanie się zdań, to przychylnych, to najzjadliwszych, może w miarę złożonego okupu; opowiada, na jak wątłej podstawie, na gruncie jakich to oszczerstw budowano gmach zatraty życia

zakonnego na ziemi angielskiej; nareszcie jak słabym jest wątek oskarżeń, które późniejsza historya na ślepo przyjęła i rozpowszechniła dowolnemi komentarzami i fantastyczną przędzą. Jeden dziejopis po drugim powtarzał, rozszerzał twierdzenia poprzednich, nie bacząc na mętność źródeł, nie docierając do archiwów państwowych, które jedne mogły wyjaśnić sprawę. Z przyzwyczajenia, mimo wrodzonej i wyrobionej czci dla prawdy, Anglicy uwierzyli, iż zniesienie klasztorów było koniecznem; że wewnętrzne zepsucie sprowadziło ich zamknięcie; że najohydniejsze, najsprośniejsze zbrodnie, odkryte za rządów Henrykowych, spowodowały zamach na wolność i własność osobistą tylu angielskich poddanych. Uczony Benedyktyn nie waha się nazywać historyczne prace p. Fronde i innych angielskich dziejopisów, raczej powieściami historycznemi, aniżeli historyą. I tak np. upowszechniło się mniemanie, iż udowodnione zbrodnie zakonników pomieszczonemi zostały w rzekomej „Czarnej księdze“, przedłożonej parlamentowi, aby uzyskać sankcyę na zniesienie klasztorów. Tymczasem dom Gasquet wykazuje, iż nie zachował się żaden ślad takowej księgi; że parlament uchwalił żądaną ustawę na skinienie króla, bynajmniej nie z przekonania, nabytego widokiem zepsucia klasztorów. Autor wspomina, iż ówcześni członkowie Rady państwa nie byli przedstawicielami narodu, skoro ich monarcha, nie zaś wolna wola spółobywateli powoływała do Izby sejmowej. Zresztą jeżeli i w takim parlamencie, przejawił się jakibądź opór woli królewskiej, Henryk szybko pokonał wszelakie zakusy niepodległego sumienia; słysząc bowiem, iż nie wszyscy posłowie się godzili na zniesienie klasztorów, powołał do siebie członków Izby niższej i pogroził im utratą życia, jeżeli przedłożonego sobie billu nie uchwalą j e d n o m y ś l n i e. Nie chodziło już tyle o wytłumaczenie, ile o ulegalizowanie zamachu. Zużytkowano wszelkie sprężyny, aby pozyskać przyzwolenie, a raczaj przychylność szerszych warstw ludowych dla zamierzonej grabieży. Na przemian z kazalnic i desek teatrów wyśmiewano mnichów, wytykano ich błędy szydzono z ich sukni i sposobu życia. Jednocześnie rozrzucano najzjadliwsze paszkwile i oskarżenia. Co więcej, próbowano uderzyć w najczulszą stronę ludzkiej chciwości: tłuma-

czono, iż ziemia marnieje i nie wydaje odpowiedniego plonu w ręku zakonnych właścicieli; dalej, że byle król zagrabił dobra klasztorne, nie będzie już potrzebował ściągać podatków, pod których ciężarem jęczał lud ubogi; zaczem zniknie upowszechniona w kraju bieda, ustaną daniny, a wiek złoty powróci. Tym sposobem usypiano zaniepokojenie ludu o los swych dotychczasowych dobroczyńców i owszem wskazywano spodziewane materyalne korzyści, gotowe uwieńczyć dzieło zniszczenia.

Henryk VIII. większą stokroć krzywdę zrobił klasztorom odjęciem im dobrej sławy, aniżeli samąż kasatą i rabunkiem. Słusznie powiedziano, iż gotów był on zawsze do przedsiębrania t. zw. reform, gdy mu stąd zaświtała nadzieja łupu. Zresztą łacińskiego pisarza słowo: *Odisse quem laeseris est proprium ingenii humani,* spełniało się w Henryku rosnącą nienawiścią do tych, których tak ciężko krzywdził materyalnie i moralnie. Wtórowała mu w tem Anna Boleyn, a służalczy parlament, na oświadczenie królewskie, iż klasztory są wygrzewalniami najgorszego zepsucia, uchwalił zniesienie nasamprzód wszystkich pomniejszych domów zakonnych, to jest tych, których dochód roczny nie przechodził pewnej z góry oznaczonej normy, mianowicie dwieście liwrów. Niebawem przystąpiono do działania, przeważnie na mocy sprawozdań urzędowych, przesyłanych Cromwellowi przez jego siepaczy. Owe to c o m p e r t a, zachowane w rękopiśmiennych urywkach, uwydatniają doraźność sądów, ferowanych przez komisarzy królewskich; łotrzyków, frymarczących sumieniem, aby po myśli królewskiej wydać pożądany sąd, a raczej zasądzenie zakonników. Przedewszystkiem komisarze królewscy zajęci są sporządzaniem inwentarza własności, w drugim rzędzie dopiero silą się na zgubne potwarze. Nieraz ograniczają się oni na oskarżeniu, iż ten lub ów klasztor jeszcze znaczne posiada dochody, lub po dawnemu czci relikwie świętych Pańskich, starym hołdując zabobonom. Nigdzie nie spotykamy się z wyznaniami osobistemi, nigdzie z poważnie przeprowadzonem śledztwem. Zbyt często wystarcza świadectwo jakiego sąsiada klasztornego, mszczącego się o graniczne spory. Zresztą, jak to powiedzieliśmy wyżej,

ogólnikowe a niczem nieudowodnione oskarżenie o rozwiązłość obyczajów, o rozpustę i inne grzechy, nawet z wiadomą złą wolą komisarzy, nie zdołało objąć wszystkich klasztorów Anglii. Wyraźnie, mimo najlepszych chęci, czyste życie zakonników i zakonnic nie pozwoliło im odnaleźć kamienia obrazy i zgorszenia. Miotając najstraszniejsze potwarze na zakonników i klasztory, potępiając wszystko i wszystkich, przypisując mnichom te właśnie nałogi i zbrodnie, które im samym były właściwe, komisarze królewscy ostatecznie bardzo mało zdołali imiennych przestępców znaleźć i wymienić. Oczywiście, słabość ludzka jest wielką, zaczem i w domach bożych trafiają się uchybienia. Atoli jeśli nawet w owej chwili wytężonego pościgu za zgorszeniem, znalazło go się względnie tak nie wiele, a zwłaszcza tak mało udowodnionego, najlepiej to świadczy za cnotą i nieskazitelnością klasztorów. Dość powiedzieć, iż comperty z wizytacyj północnych prowincyj, obejmujących większą część kraju, najeżonego klasztorami, mimo całego natężenia złej woli zaledwie wymieniają kilkunastu niegodnych zakonników, oskarżonych o złamanie ślubów czystości. Raport nie wspomina, ażali powód oskarżenia nie wyprzedził wstąpienie do klasztoru, a fakt, iż obwinieni otrzymywali później pensye rządowe, już je oczyszcza z zarzutu, ponieważ tego rodzaju wiarołomstwa okrutnie bywały przez ówczesne prawodawstwo karane. Równie uderza szczupły poczet osób zakonnych, gotowych korzystać z królewskiego upoważnienia do opuszczenia swych klasztorów [1]. Acz władza cywilna zachęcała całą młodzież zakonną do powrócenia do świata, zaledwie kilkudziesięciu podało ucho na namowy wizytatorów. A cnota chyba musiała być wielką, by wytrzymać nacisk wnoszonej przez komisarzy królewskich demoralizacyi. Podkopywali oni uległość powinną przełożonym, nie przestawali kusić do złego, psuć ducha, osłabiać wolę. Co zaś jeszcze przemawia w obronie klasztorów, oto samaż dowolność kapryśna Henryka VIII., który ogłosiwszy nie jeden dom za-

[1] Po zupełnem rozpędzeniu zakonnic, o dwóch tylko słyszymy, iż weszły w związki małżeńskie, mimo upowszechnionego naglenia ich, aby do świata wróciły i korzystały z narzuconej im swobody.

konny za wężowisko wszelaką sprosnością skalane, po niejakim czasie, z fantazyi niewytłumaczonej, zezwalał na ponowne otworzenie skasowanego co dopiero klasztoru. Jednem słowem, wszystkie oskarżenia i potwarze, ciskane przeciw zakonnemu w Anglii życiu, nie wytrzymują krytyki historyi, acz w ciągu trzech wieków na tem tle snuły się całe legendy natchnione nienawiścią do katolicyzmu i dziejopisowie protestanccy przyjmowali za pewniki i rozwijali dalej mętne i podejrzane oskarżenia, które się dziś rozwiewają wobec sumienniejszych dociekań i archiwalnych wydawnictw.

(C. d. n.).

M.

Z SARBIEWSKIEGO [1].

I.

GROBY KRÓLÓW SZKOŁĄ POETY.

(Lyricorum libri II. ode 27).

Mnie już Demokryt nie bawi wcale [2],
Ani ateńskie sławne krużganki i hale,
Ani katedry, w których podnóża
Biją subtelne kłótnie uczonych, jak burza.
Gdzie wśród namiętnych swarów i krzyków
Głosi swą mądrość niesforna rzesza Stoików,
I gdzie się krztuszą przy każdem słowie
Pytagorasa starego mistrza uczniowie.
Mnie uczą w Memfis piramid skały
I przywalonej grobowym głazem łza chwały.

[1] Por. *Przegląd Powszechny:* maj 1891, sierpień 1893.

[2] Non me Democriti sales,
Non me Cecropii porticus atrii,
Non percussa docentium
Delectant calidis pulpita iurgiis.
Vel quae pectoris impotens
Clamosi celebrat turba Panaetii,
Vel quae Pythagorae senis
Docta tusse crepant. — Me veterum frequens
Memphis pyramidum docet:
Me pressae tumulo lacrima gloriae,

Mogiły Rzymian, co śpią po trudach
Rozsiane wkoło po wszystkich ziemiach i ludach,
Proch ich po obcych gnany rozdrożach
Marna igraszka wichrów walczących w przestworzach,
One królewskie, żałobne stosy
I zgliszcza królestw czarno dymiące w niebiosy —
Wiele mi mówią do smutnej duszy
Ciszą swych ruin i niemą grozą swej głuszy.
Pompejuszowe rzucone zwłoki
Pod zimnem niebem, na pustym brzegu zatoki,
Łzą nieoblany grób pośród piasków
I martwe ciało próżne już chwały i blasków:
Krócej niż długie mędrców rozprawy
Uczą mnie gardzić żądzą potęgi i sławy.
Po cóż się w mądre księgi zakuwać?
Nad Sokratesem po co się pocić i czuwać?
Skoro tu królów napisy złote
Wraz z pychą grobów nogami trącam i gniotę;
Gdy wśród cmentarnych błądząc obszarów,
Depcę co chwila wielkie imiona cezarów.

Me proiecta iacentium
Passim per populos busta Quiritium,
Et vilis zephyro iocus
Iactati cineres et procerum rogi,
Fumantumque cadavera
Regnorum tacito, Rufe, silentio
Moestum multa monent. Mihi
Pompei gelido sub Iove segreges
Artus et lacrimae carens
Desertoque vagum littore funus et
Magni nominis indigum
Corpus — magniloqui verba Panaetii
Compensat brevius, neque
Regales patitur quaerere copias.
Nolim Pieriis macer
Insudare libris, aut tacito vigil
Impallescere Socrati:
Si regum titulos et tumulis super
Fulgentem premo gloriam et
Calco nobilium nomina Caesarum.

II.

CHODKIEWICZ W DRODZE POD CHOCIM.

(Epigramma LXXXI.) [1].

Na skrzydłach burzy wieść chyża leci i strach dokoła
Rzuca na zamki, miasta i sioła...
I głosi setkom, głosi tysiącom — ziemian, rycerzy,
Że ruszył Turek ze swych rubieży;
Że po wzburzonym grzbiecie Dunaju silny i zbrojny
Kroczy już Ałłah, krwawy bóg wojny;
Że w niezliczonych idą szeregach złączeni społem
Tracki Tatarzyn z dzikim Mongołem.
Groźnej nowiny słuchał Chodkiewicz z ogniem we wzroku
I tylko szablę ścisnął u boku.
Pójdźmy — zawołał — sprawdzić te wieści! najkrótsza droga!
Ta oto szabla zliczy mi wroga!

---

[1] Cytujemy wedle wydania starowiejskiego z r. 1892.

Velox fama, malum, tumultuosis
Dum praetervolat incitata pennis
Arces, oppida, rura, civitates,
Ducentis canit et canit trecentis
Bracatis canit et canit sagatis
Hostem millibus imminere Turcam:
Et iam terga remurmurantis Istri
Securum superambulare Martem.
Addit Bistonas, impiosque Thracas
Mixtos innumeris venire turmis.
Haec dum Carolus audit: Ut sciamus
Veri nuntia fama num sit, inquit,
Hic hostem mihi computabit ensis!

III.

DO POGODY WIOSENNEJ.

(Lyricorum IV. 26).

Już ciepło wiośniane i wiatry od wschodu[1]
Wesołym cię wiozą rydwanem przez pola;
Przybywaj coprędzej — do cienia i chłodu
Gościnna zaprasza topola.

Tu wietrzyk swawolny dla twojej zabawy
Po splotach gałęzi ochoczo niech pląsa,
Niewinną igraszką niech mierzwi ci trawy
I liśćmi gniewliwie potrząsa.

A kiedy rozlane po kwieciu i żwirze
Usypiać mię poczną ruczajów strużyny,
Ty ku mnie powionij i brzęcz mi po lirze
Co wisi na krzaku olszyny.

O niech ci niebieskie zaśmieją się stropy,
Wesołem obliczem niech słonko ci błyśnie,
A rosa mokremi dotknąwszy cię stopy
Niech cicho na ziołach zawiśnie.

---

[1] Aura, quam veris tepor et serena
Thraciae vectant animae quadriga,
Huc ades, qua te vocat hospitali
Populus umbra.

Hic tibi liber zephyrus comas per-
sultet et ramos: vagus hic supinas
Increpet frondes, teneroque vexet
Gramina lusu.

Dum per apricos revoluta flores
Vitreae somnum fuga suadet undae,
Meque, suspensamque comante perfla
Barbiton alno.

Sic tibi caelum, lepidoque soles
Rideant vultu, pede sic liquenti
Ros tibi manet, tacitaque se sus-
pendat in herba.

Pól żyzne obszary stuwonnym oddechem
Niech biją ku tobie w błękitne podniebia;
Gładź róży kędziory, co wdzięcznym uśmiechem
Fiołkom się polnym przychlebia.

A kiedy ja w struny uderzę lirenki
Przez moje się palce przeciskaj lekuchno
I wespół z poetą wygrywaj piosenki
Poetko ty moja i druchno!

Ks. Włodzimierz Piątkiewicz.

Sic tibi Seres, Cilicesque campi
Sospiti centum geminent odores;
Sic adulantes violis rosarum
Pecte capillos.

Sic meo chordas quatiente plectro,
Inter admisso digitos acutum
Sibilo ludas, lyrico comes po-
etria vati.

WIELKI POETA CHRZEŚCIJAŃSKI

z IV. wieku.

III.

Każdy głębszy myśliciel, biorąc do rąk pisma naszego wieszcza, musi sobie zadać pytanie: w jaki sposób poezya chrześcijańska doszła do tego rozwoju i jak wyglądała przed Prudencyuszem. Bez wątpienia, ciekawe i poważne to zagadnienie, na które wypada nam bodaj treściwie odpowiedzieć, zanim przed czytelnikiem otworzymy dzieła naszego poety.

Jak spaczone a zazwyczaj płytkie obiegają poglądy na poezyę chrześcijańską i na jej początki, to wystarczy zaglądnąć do pierwszego lepszego z nowoczesnych dzieł o „literaturze powszechnej“. Cała ta doniosła kwestya ubita bywa zazwyczaj jakimś ogólnikiem, jednym lub drugim pisarzem z IV., V. lub VI. wieku, a dla lepszej przyprawy potokiem frazesów, pełnych wzgardy dla „ciemnego“ średniowiecza. Za przykład niech posłuży Paweł Albert[1], który z najzimniejszą krwią utrzymuje, że poezya chrześcijańska z natury swej połowiczną jest i musi niedomagać, bo „wszystkie źródła klasyczne są przed nią zamknięte, a skoro gardzić musi tem wszystkiem, co ziemskie, przeto gardzić musi i zewnętrznem pięknem“. Owszem — zdaniem p. Al-

[1] *De poesi christiana quarto post Christum natum saeculo.* 1858.

berta — poezyi chrześcijańskiej brak nawet poetycznego przedmiotu, skoro — jak powiada — „niema ona ani ojczyzny, ani rodziny, ani rzetelnych uczuć. Jej ideałem to nie bohater grecki, ale święty lub też męczennik, tj. człowiek, który się wyrzekł tego wszystkiego, co stanowi człowieka, a chrześcijanina nie zachwyci sztuka ani nie uniesie serce; bo sztuka jest ziemską a sercu musi gwałt zadać i każe mu milczeć, by tylko zanurzyć się w Bogu". Na poparcie tych bałamutnych urojeń przytacza wspomniany pisarz wiersz wyrwany z pism św. Grzegorza z Nazyanzu:

Ἄνθρωπος θεόθεν εἰς θεὸν ἐρχόμενος [1].

(tj. człowiek z Boga idący do Boga), a wreszcie wiersz św. Paulina z Noli, który po nawróceniu swojem oddawszy się na czas pewien zupełnie ascezie, tak się tłumaczy przed Auzoniuszem z zaniedbania ukochanej przez się poezyi:

Negant Camoenis nec patent Apollini
Dicata Christo pectora [2].

Jak w tem wszystkiem jest zła chyba wiara i jakie naciąganie, tego ani tłumaczyć nie warto; a najprostsze badanie tak dziejów powszechnych jak i chrześcijaństwa, kłam temu najoczywiściej zadaje.

Pomijam tutaj znane zresztą dowody z historyi, jak wszystkie narody Wschodu i Zachodu i to nietylko mniej lub więcej cywilizowane, ale nawet i najbardziej nieokrzesane, miały od najdawniejszych wieków swoją poezyę i swoich śpiewaków, czy im dawały imię poetów i wieszczów, czy bardów albo gęślarzy. Nie będę się rozwodził nad tem, czego nas uczą dawne, wciąż się stwierdzające badania ludoznawcze, o tej rodzimej a przecież tak prawdziwej poezyi rozmaitych ludów, jak np. Indyan Stanów Zjednoczonych; ale jednak napomknąć się godzi, że poezya,

[1] *Poemata de seipso*, XLV, 10.

[2] Trudno hołdować Muzom i Apollinowi,
Gdy się serce oddało całe Chrystusowi.
Poema X, (v. 22—23). Edit. Migne t. 61, kol. 452.

jak wyprzedziła wszystkie nauki [1] i „od wieków była mistrzynią ludzi“ [2], tak samo od najpierwszych czasów czerpała zarówno z innemi sztukami natchnienie swoje w religii [3]. Religia bowiem „jest duszą wszelkiego praktycznego działania, podstawą życia narodów i wszelkiej prawdziwej cywilizacyi“ [4], a jak to stwierdza wielki mąż stanu i myśliciel angielski [5], „my sami nietylko wiemy, ale co więcej znaczy, w głębi naszego jestestwa czujemy, że religia jest źródłem wszelkiego piękna i dobra“ [6]. Ona to pierwsza uderzyła w dusz harfę i pierwsza wydobywała z serc ludzkich hymny uwielbienia dla przedziwnego w swoich dziełach Stwórcy, chociaż i kanwa myśli i obrazy dobierane bywały z widzialnego świata.

Jeżeli tak jest, to cóż powiedzieć o chrystyanizmie, który za zdaniem nawet niekatolików, jak Brandes i Karpeles, budząc w człowieku najczystsze i najżywsze a razem najwznioślejsze uczucia przez stosunek z Bogiem i zaświatem, sam jeden — tak jak żadna inna religia — nadaje się do poezyi i na wskróś jest poetyczny, a serca, co mu się oddały, prowadzi na szczyty poetycznych uniesień... Była tedy, bo być musiała, i u pierwszych chrześcijan poezya; ale jak wyglądała?

Oczywiście, nie była ona podobną do zmysłowej poezyi Tibulla lub Anakreonta, bo być taką nie mogła; ale mimo to

---

[1] „Poëtae priores multo fuerunt et ante natum philosophiae nomen pro sapientibus habebantur“. (Lactantius, *Institutionum divinarum*, v, 5).

[2] August Cieszkowski.

[3] Herder, *Geschichte der hebräischen Poësie*, II, 1. — Lasaulx, *Philosophie der schönen Künste: Architectur, Sculptur, Malerei, Musik, Poësie, Prosa.* München 1860. — M. Carriere, *Die Kunst in Zusammenhang der Culturentwicklung und die Ideale der Menschheit.*

[4] Ernest Lasaulx, *Philosophie der schönen Künste...* 1860. S. 28. — Jos. Fick, w *Historisch.-polit. Blätter*, t. 79, str. 579.

[5] Edmund Burke w cytacie Aug. Reichenspergera, *Die christlich-germanische Baukunst und ihre Verhältniss zur Gegenwart.* Trier, 1860, str. XIV.

[6] F. Schlegel, *Geschichte der alten und neuen Litteratur.* — Schlosser, *Die Kirche in ihren Liedern durch alle Jahrhunderte.* 1863. Freiburg. — Jakob, *Die Kunst im Dienste der Kirche.* — J. Jungmann, *Aesthetik.* (1886). 2. Bd., S. 18 u. f. — J. Bähr, *Die christlichen Dichter und Geschichtsschreiber Roms.* — A. F. Rio, *De l'art chrétien.*

ogarniała wszystkie szlachetne uczucia ludzkie i wszystkie stosunki życia, a pod czarodziejskiem zaklęciem wiary płynęła z serc czystych jużto szeptem modlitwy, jużto jękiem boleści, to znów okrzykiem wesela, albo hymnem chwały. Co do formy, to żadnej nie ulega wątpliwości, że taką przywdziewała, jaką znajdowała wkoło siebie, podobnie jak rzeźba i architektura; choć i temu zaprzeczyć nie można, że — jak i za dni naszych — nieraz zjawiając się na ustach prostaczków, nie oglądała się za szatą klasyczną, wdzięcznie ułożoną. Była to poezya serca, gorąca i natchniona, jak ono w tych dniach świętego zapału i walk heroicznych; a że nie przechowały się nam żadne jej pomniki z pierwszego przynajmniej stulecia ery chrześcijańskiej, to wcale dziwić się temu nie można, kiedy się przypomni, że w owych czasach cała uwaga skierowana była nie na sztukę, ale na obronę dogmatu; że to były czasy najcięższych ucisków i że wreszcie, w krwawych prześladowaniach, jak np. za Decyusza lub Dyoklecyana, z całą zawziętością wyszukiwano i palono wszystkie pisma chrześcijan [1].

Już św. Paweł Apostoł [2] wspomina w swych listach o pieśniach chrześcijańskich, o psalmach i śpiewaniach duchownych, jako o rzeczy znanej śród pierwszych swych uczniów.

Pliniusz młodszy w liście do Trajana, pisze o chrześcijanach Bithynii, że „zgromadzają się o świcie, by odśpiewywać pieśń *(dicere carmen)* na cześć Chrystusową“ [3]. I rzeczywiście tacy pisarze kościelni, jak św. Ignacy, Tertullian, Orygenes, św. Bazyli,

[1] A. Puech, *Prudence*, Introduction.

[2] Do Efezów, v, 18: „A nie upajajcie się winem, w którem jest nieczystość, ale bądźcie napełnieni Duchem świętym, rozmawiając sobie w psalmach i w pieśniach (ὑμνοι) i w śpiewaniach duchownych (ὠδαὶ πνευματικαὶ). Podobnie w liście do Koloss. III, 16.

Stąd Kajus (w Euzebiusza *Ecclesiasticae historiae*, l. v, c. 28) tak odpowiada Artemoniuszowi: „Psalmy też i pieśni braci już od najdawniejszych początków spisane przez wiernych, wielbią Chrystusa, Słowo Boże, oddając Mu cześć boską“.

[3] *Epistolarum*, lib. x, epist. 97. — G. Boissier, *Revue archéologique*, czerwiec 1876.

św. Dyonizy Aleksandryjski i Euzebiusz, mówią o hymnach, jakie układali wtedy chrześcijanie. Znamy nawet kilka nazwisk tych poetów, jak np.: św. Antenoges męczennik († 169), którego hymn, ułożony przed samą śmiercią — zdaniem św. Bazylego — wielkiem cieszył się wzięciem pomiędzy wiernymi. Podobnie Hieroteusz i Nepos, biskup egipski, za świadectwem św. Dyonizego, wiele ślicznych pieśni pobożnych zostawili [1]. O Pawle z Samozaty dowiadujemy się od Euzebiusza, że usunął wiele hymnów ze swego Kościoła i natomiast nowe zaprowadził [2]. Wogóle rzec można z Boissierem [3], że jeżeli pierwsze dwa wieki nie zostawiły nam mnogich imion poetów, to za to stworzyły takie bogactwo poetycznego przedmiotu w tytanicznych swych walkach i tyle idei, obrazów, typów i legend, że — o apokryfach i pieśniach sybillińskich nie wspominając — wszystkie późniejsze wieki czerpały i czerpią z tej skarbnicy. Z II-go też wieku pozostał nam ten hymn o Chrystusie Panu, jaki znajdujemy na końcu dzieła Klemensa Aleksandryjskiego p. t.: Παιδαγωγός [4], a który — jak to obecnie pewnikiem jest naukowym — jeżeli nie wyszedł z pod pióra samego Klemensa, to przynajmniej z jego czasu pochodzi. Autor ujął w popularny rytm anapestyczny całą jakby litanię, na którą się składają mnogie tytuły dawane Chrystusowi Panu i obrazy poetyczne zwyczajem utartym na Wschodzie. Oto tekst ciekawego tego zabytku:

Ὕμνος τοῦ Σωτῆρος Χριστοῦ.

Στόμιον πώλων ἀδαῶν,
Πτερὸν ὀρνίθων ἀπλανῶν
Οἴακὶ νηῶν ἀτρεκής,
Ποιμὴν ἀρνῶν βασιλικῶν,
Τοὺς σοὺς ἀφελεῖς
Παῖδας ἅγειρον
Αἰνεῖν ἁγίως
Ὑμνεῖν ἀδόλως
Ἀκάκοις στόμασι
Παίδων ἡγήτορα Χριστόν.
Βασιλεῦ ἁγίων
Λόγε πανδαμάτορ

[1] „Encyklopedya kościelna", t. 20, str. 91.

[2] Eusebius, *Ecclesiasticae historiae,* lib. 7, cap. 49, 30, et 24. Gawant (II, 104).

[3] *Les origines de la poésie chrétienne,* w *Revue des deux mondes,* 1875, t. IV, str. 76 i nast.

[4] *Patrologia graeca,* edit. Migne VIII (kol. 681—684. — *Christ. Anthologia,* p. 37. — Ibid. p. 18 i K. Bouvy, *Poètes et mélodes,* 1886 (p. 119—120).

Πατρὸς ὑψίστου,
Σοφίας πρύτανι
Στήριγμα πόνων
Αἰωνοχαρὲς
Βροτέας γενεᾶς
Σῶτερ Ἰησοῦ,
Ποιμήν, ἀροτήρ,
Οἶαξ, στόμιον
Πτερὸν οὐράνιον
Παναγοῦς πώλης.
Ἄλνευ μερόπων
Τῶν σωζομένων,
Πελάγους κακίας
Ἰχθῦς ἁγνοὺς
Κύματος ἐχθροῦ
Γλυκερῇ ζωῇ δελεάζων.
Ἡγοῦ, προβάτων
Λογικῶν ποιμήν.
Ἅγιε, ἡγοῦ,
Βασιλεῦ, παίδων ἀνεπάφων.
Ἴχνια Χριστοῦ,
Ὁδὸς οὐρανία
Λόγος ἀέναος
Αἰὼν ἄπλετος
Φῶς ἀΐδιον
Ἐλέους πηγή,
Ρεκτὴρ ἀρετῆς.
Σεμνὴ βιοτὴ
Θεὸν ὑμνοῦντων, Χριστὲ Ἰησοῦ,
Γάλα οὐράνιον
Μαστῶν γλυκερῶν
Νύμφης χαρίτων
Σοφίας τῆς σῆς ἐκθλιβόμενον,
Οἱ νηπίαχοι
Ἀταλοῖς στόμασιν
Ἀτιταλλόμενοι,
Θηλῆς λογικῆς,
Πνεύματι δροσερῷ
Ἐμπιπλάμενοι
Αἴνους ἀφελεῖς,
Ὕμνους ἀτρεκεῖς
Βασιλεῖ Χριστῷ,
Μισθοὺς ὁσίους
Ζωῆς διδαχῆς
Μέλπωμεν ὁμοῦ,
Μέλπωμεν ἁπλῶς
Παῖδα κρατερόν,
Χορὸς εἰρήνης
Οἱ Χριστόγονοι
Λαὸς σώφρων,
Ψάλωμεν ὁμοῦ Θεὸν εἰρήνης.

W tym samym II-gim wieku, Bardezanes, gnostyk syryjski, wraz z synem Harmoniusem, za pomocą pieśni rozszerzali w Syryi niedorzeczne swe teorye, które później św. Efrem równie bronią poezyi zwalczał [1].

Jeżeli nam się o genezę chrześcijańskiej poezyi rozchodzi, to żadną miarą nie można zapomnieć, jaki na nią, obok klasycznych form greckich i łacińskich, wywierać musiały pełne poezyi

[1] Assawaux nazywa Efrema „cytrą Ducha świętego, wymownemi usty i kolumną Kościoła", *(Spiritus Sancti cithara, ac facundum et columna Ecclesiae).* Z pierwszych także czasów chrześcijaństwa pochodzi dotąd używany w liturgii kościelnej hymn *Gloria in excelsis Deo,* gdyż spotykamy go już w „Konstytucyach apostolskich" (VII, 47). Nadto zaliczyć tu trzeba — przynajmniej w głównych swych częściach — przypisywany św. Ambrożemu i Augustynowi hymn *Te Deum laudamus.* Majestatyczna ta pieśń, będąca obecnie w ustach całego Kościoła, nosi na sobie znamię najgłębszej starożytności i prawdopodobnie przyszła ze Wschodu do nas a św. Ambroży zapewne dał jej obecną formę. („Encyklopedya kościelna", XX, 90).

księgi Starego Zakonu. Drogie i święte dla każdego chrześcijanina, były one pokarmem jego duszy, żywem a wymownem stwierdzeniem jego wiary. Na nich wzrósł pierwszy Kościół czasów apostolskich, ich głos i świadectwo słyszał w każdej nauce i w każdem zebraniu; a obok tego jakże one przemawiały do serca i do wyobraźni!... Taka np. księga Joba śród cierpień i prześladowania; taki pięcioksiąg Mojżesza albo księgi Sędziów i Królów z owem nieprzerwanem pasmem cudów i zmiłowań Opatrzności bożej, przygotowującej odkupienie w zmiennych kolejach ludzkości; takie księgi Proroków lub Machabeuszów, księgi Mądrości, Przypowieści lub Ekklezyastyka, zatrzymały całe swe znaczenie w nowem społeczeństwie chrześcijańskiem i roztaczały żywszy jeszcze urok niż w „zakonie figur i obietnic". Obok pobudek duchownych musiały te księgi pociągać ku sobie dusze chrześcijan i poetycznością swoją, której się estetycy, tak katoliccy [1] jak i protestanccy [2], dość nadziwić nie mogą. Dodajmy i to wreszcie, że gdy poezya grecka i rzymska była nawskróś ziemska [3], to księgi święte oddychały poezyą czystą, świętą i podnoszącą ku Bogu. „Blaskiem swym i podniosłością, która podziw budzi i ponad wszelkie wznosi się porównania, każdemu oszczerstwu usta zamyka. Jest to polot ognisty bożego natchnienia, z którego — jak mówi Schlegel — i najwięksi poeci, nawet nowszych czasów, pijąc, wznieśli się do najszczytniejszego natchnienia" [4]. Nadewszystko atoli cieszyły się wzięciem i czcią serdeczną Psalmy Dawidowe. Sama ta myśl, że taki ścisły związek proroczy miały z Boskim Zbawcą świata i że On sam tak je umiłował, iż od najrańszych dni życia aż do śmierci na krzyżu, uczynił je swoją modlitwą i w swych bożych naukach na nie się odwoływał; zrobiła z nich uprzywilejowaną księgę chrześcijanina i modlitwy i nauki i pieśni. „Co

[1] Fénélon, *Dialogues sur l'éloquence.* Edit. Delzons. Paris 1861, p. 103 i nast. — Carière, w powyżej przytoczonem dziele, t. I, str. 330 i 297. — La Harpe, *Le Isautier.* Dis. prélim. II. — F. Schlegel, *Geschichte der alten und neuen Litteratur.* 4. Vorlesung.

[2] Herder, *Geist der hebräischen Poësie.* Dessau 1782.

[3] Schömann, *Griechische Altherthümer* (II, 123).

[4] W powyżej przyt. dziele, t. I, str. 112.

dziwnego — mówi ks. Maur. Wolter w swem dziele o Psalmodyi[1] — że ta księga po zdjęciu z niej pieczęci, stała się świętszą i droższą, niż przedtem? Jeśli nowy Testament przytacza do 100 ustępów, wyjętych z Psałterza, to słusznie — za zdaniem Ojców świętych — Kościół apostolski zachował Psalmom Dawidowym pełne ich prawa w obrzędach i w życiu. Dzieci nawet uczyły się ich na pamięć" — tak jak my po dziś dzień uczymy się i ze czcią odmawiamy i śpiewamy Psalm 90, znane aż nadto „Kto się w opiekę poda Panu swemu". W kwitnących od IV. wieku klasztorach, nie milkły te pienia ni we dnie, ni w nocy; zakonnicy obowiązani byli uczyć się ich na pamięć, a wielu z nich miało chwalebny zwyczaj odczytywania ich wszystkich codziennie. O świętej Pauli Rzymiance wiemy z jej życia, że psalmy te śpiewała w rodzimym ich języku hebrajskim.

W początkach zachowano śród chrześcijan żydowski sposób odmawiania psalmów. Jeden lub kilku śpiewało pieśń świętą, której słuchali zgromadzeni siedząc; koniec jej tylko śpiewali wszyscy, często z podniesionemi rękoma lub padając na twarze. Zwyczaj rozpowszechniony dzisiaj śpiewu kolejnego powstał w Antyochii w IV. wieku i przetrwał do naszych czasów, a utorowali mu drogę na Zachód św. Hieronim i papież Damazy.

Dalekoby nas zawiodło gdybyśmy chcieli przytaczać te pochwały i uwielbienia, jakiemi otaczają psalmy święci Ojcowie Kościoła: Jan Chryzostom, Bazyli, Ambroży i Augustyn, a wreszcie św. Bernard i św. Tomasz z Akwinu. Wszystko atoli do tego schodzi ostatecznie, że święte te psalmy „stanowią dla wszystkich wspólny skarbiec, pożyteczny na wszystkie stany duszy, w każdym wieku i stanowisku" — że „jest to duchowna biblioteka, jasno jarzące się światło i księga promieniejąca światłem niebieskiem, źródło wszelkiej prawdy, naczynie niebiańskiego napoju, ogród zawierający najcenniejsze owoce"...[2] „Z wysokości niebios — jak powiada Stolberg — spływają te niezrów-

[1] *Psalite Sapienter*, Introductio. *Die Psalmodie im Neuen Testamente.*

[2] Tamże IV. *Allgemeiner Character der Psalmen.* — S. Hieronymus, *Epist.*, 108, 26.

nane pieśni, wylewając światło na ludzkie stosunki, okazując nam, cośmy winni Bogu, samym sobie i bliźnim; a tak uczą nas mądrości prawdziwej, głębokiej, wzniosłej i wszystko obejmującej. Zawierają cudowne zachęty do skruchy, miłości i ufności, najusilniejsze przestrogi, jak okazywać bliźnim sprawiedliwość, zgodność i miłosierdzie i najpoważniejszą namowę do świętej bojaźni, do modlitwy i do czujności nad sobą. Oczyszczają duszę, strzegą nabytej świątobliwości, nauczają, podnoszą, cieszą“ [1].

Od treści poezyi biblijnej, którą podzielić można na liryczną *(szir* i *kinah)* [2] i na dydaktyczno-epiczną *(maszal),* przejdźmy do formy. I poezya psalmów i poezya wszystkich innych św. ksiąg hebrajskich, zupełnie odrębną nosi na sobie cechę. Nic podobnego dostrzedz nie można w klasycznych utworach Greków albo Rzymian. Kiedy ich wiersz opiera się na zasadzie iloczasowej i metrze, to Hebrajczycy obmyślili zupełnie inną szatę dla swej poezyi. Prawda, że byli uczeni, którzy koniecznie dopatrzeć się w niej chcieli klasycznego metru. Św. Hieronim stanowczo mówi o heksametrach, tetrametrach i trimetrach w całem tego słowa znaczeniu prozodycznych i iloczasowych; wynajduje nawet w Biblii strofy pokrewne ze strofami Horacego; w psalmach spotyka strofy alkaiczne, w trenach Jeremiego widzi jednę strofę saficzną [3]. Podług św. Hieronima Księga Joba napisana jest metrem bohaterskim [4], a jeśliby kto wątpił, to tego odsyła on do takiego nawet Filona i Józefa Flawiusza [5], do Orygenesa i Euzebiusza, którzy równie o heksametrach i pentametrach biblijnych wspominają w Dawidzie i Mojżeszu [6]. To samo utrzymuje i św. Augustyn, oparty na zdaniu hebraistów; cóż zatem dziw-

[1] Tamże v. *Der Inhalt der Psalmen.*

[2] Liryka *szir* służyła na wyrażenie uczuć wesołych, *kinah* na oddanie smutku, jak żałosna elegia. — Obacz o tem A. Puech, *Prudence,* Introduction, p. 25 et sq.

[3] *Praef. in Chronicon Eusebii. Epist.* 30 (ad Paulum).

[4] *Praefatio in librum Job.*: „Hexametri versus sunt, dactylo spondaeoque currentes et propter linguae idioma crebro recipientes et alios pedes non earundem syllabarum, sed earundem temporum“. I *Epist.* 53 (ad Paulinum).

[5] *Antiquitatum judaicarum* II, 16, 4; IV, 8, 44, VII, 12, 3.

[6] *De vita Mosis.* 1, 5 i „Encyklopedya kościelna“, t. XX, str. 63 i nast.

nego, że późniejszy Arator idąc za takiem świadectwem, tak się odzywa do swego mecenasa, papieża Wigiliusza:

Metrica vis sacris non est incognita libris,
Psalterium lyrici composuere pedes.
Hexametris constare sonis in origine linguae
Cantica Hieremiae, Job quoque dicta ferunt [1].

A przecież, pomimo to wszystko, musiano na podstawie ściślejszych badań, zarzucić te złudne teorye i wyznać, że właściwego metru greckiego i łacińskiego niema w pismach Starego Zakonu, chyba tylko analogiczne doń przybliżenie [2], a rytmiczność poezyi hebrajskiej nie polega na rytmie zgłosek i wyrazów, ale na rytmie zdań i myśli [3], co nazwano „parallelizmem członowym“ albo „poetycznym“ *(parallelismus membrorum)*. Podobny rytm idei, a przynajmniej jego ślady, odnaleziono w nowszych czasach u Egipcyan [4], u Assyryjczyków i Chaldejczyków [5].

Prócz tego znajdujemy jeszcze w poezyi hebrajskiej a zwłaszcza lirycznej, p a r a l l e l i z m s y n o n i m o w y, polegający na sy-

[1] Metrycznej szaty nie brak świętym księgom,
Psalterz w lirycznych pisany jest stopach:
Jak mówią — z heksametrów składają się dawne
Jeremiasza pienia i księgi Jobowe.

[2] Bickell, *Innsbrucker theologiche Zeitschrift,* 1878 i tegoż *Metrices biblicae regulae,* 1879. — Wreszcie *Carmina Veteris Testamenti metrica,* 1882 i *Kritische Nachlese zu den Alttestamentlichen Dichtungen* w *Innsbrucker theol. Zeitschrift* (1885, 1886). — Na nim to opierają się nowsi egzegeci, jak: Vigouroux, Knabenbauer, Lesètre, Rohling i inni. Według Bickella tedy metr hebrajski n i e n a i l o c z a s i e z g ł o s e k, a l e n a i c h l i c z b i e się buduje Syllaby akcentowane kiedy się łączy z nieakcentowanemi i na odwrót, to powstają jamby lub trocheje toniczne. Akcent metryczny idzie z gramatycznym, a ten nie tyle podług zasad m a s o r e c k i c h się określa, ile raczej opiera się na analogii języka syryjskiego, w którym Bickell odnalazł pokrewieństwo z poezyą hebrajską. Najczęstszym jest wiersz siedmiosylabowy jamb; nim to pisana jest Księga Joba, Przypowieści, wiele psalmów i inne poemata. Rzadsze są cztero, sześcio, ośmio, dziesięcio i dwunastosylabowe. („Encykl. kościelna“, t. 20, str. 64 i 65).

[3] Lowth, *De poësi sacra Hebraeorum praelectiones.* Lipsiae 1815. (Prael. 3 et 19).

[4] H. Brugsch, *Grammaire hieroglyphique.* Leipzig 1872, p. 97.

[5] A. H. Sayce, *An Assyrian Grammar for comparative purposes.* London 1872, p. 172.

metrycznym układzie części okresu czyli zdań wyrażających tę samą ideę [1], albo jej wprost przeciwną [2], i parallelizm syntetyczny, najbliższy prozie, jak niemniej parallelizm rytmiczny [3].

Ozdobą hebrajskiej poezyi jest także alfabetyzm, kiedy porządkowa litera alfabetu hebrajskiego rozpoczyna jaki dwuwiersz, trzywiersz lub ośmiowiersz [4]. Dodajmy wreszcie assonancye, alliteracye, annominacye, paronomazye i akrostych [5], a stanie nam przed oczyma cała zasadnicza różnica, jaka istnieje między zewnętrzną formą poezyi hebrajskiej a greckiej albo łacińskiej. Zarazem przekonamy się i o tem, że wzór ten nie pozostał bez wpływu na poezyę chrześcijańską.

Pomijam w tej mierze późniejszych chrześcijańskich poetów,

[1] Podajemy próbkę takiego paralelizmu, a mianowicie początek psalmu 113:

Gdy wychodził Izrael z Egiptu
Dom Jakubów z narodu obcego,

Stał się Juda poświęceniem jego,
Izrael panowaniem jego.

Morze widziało i ucichło,
Jordan wrócił się nazad.

Góry skakały jako barany,
Pagórki jako jagnięta — i t. d.

W ten sposób nietylko są dwuwierszowe zwrotki, ale i trzy i czterowierszowe.

[2] Nowe wino, przyjaciel nowy,
Postarzeje się ono, a z rozkoszą pić je będziesz.

[3] Vigouroux, *Manuel biblique. Ancien Testament*, t. II, 1885, p. 189.

[4] Treny Jeremiasza np. mają zwrotki trzywierszowe, trzecia zaś pieśń ma zwrotki znaczone: a a a, b b b, g g g i t. d., podczas gdy Psalm 118, ma zwrotki ośmiowierszowe. Takich alfabetycznych poematów hebrajskich Bickell wymienia piętnaście. Alfabetyzm taki znany jest w poezyi syryjskiej, grecko-chrześcijańskiej a nawet łacińsko-chrześcijańskiej, jak np. hymny Seduliusza: *Aeterna coeli gloria* i *A solis ortus cardine*.

[5] Wzięty również z poezyi syryjskiej, polega na takim układzie wierszy, że skrajne litery wierszów tworzą z góry na dół lub odwrotnie jakiś wyraz. Tak np. Psalm 96, wskazuje słowo: *Jehowah jebo*, a Ps. 14: *ahel nakan*.

jak: Optatianus Porphyrius[1] i Flavius Felix[2], ale najbardziej zwraca i zwracać musi uwagę uczonych biskup Commodianus, nietylko jako najstarszy ze znanych (bo z połowy III. w.), ale też razem jako osobliwszy okaz na polu chrześcijańskiej poezyi.

Mamy po nim dwa dzieła: *Instructiones adversus Gentium deos*[3] i dopiero w nowszych czasach przez kardynała Pitrę odnaleziony *Carmen apologeticum*[4]. Pierwsze z nich, w 80 akrostychach, wyśmiewa bóstwa pogan i wszystkim stanom chrześcijan wykłada ich obowiązki; drugie przeprowadza uczony spór religijny z pogaństwem i Żydami. Jedno i drugie pisane z gorliwością godną chrześcijańskiego biskupa, w wielu miejscach z erudycyą, nieraz z ogniem, bardzo często z ciętą ironią. Ależ jakim metrem?

Mnodzy uczeni łamią sobie nad nim głowy od dawna i ostatecznie dochodzą do tego wniosku, że jest to poezya pisana dla ludu, a zatem w języku ludowym, który zachował pewien rytm czyli akcentacyę i pozory średniówki. Tu i owdzie znajdzie się i prawdziwy heksameter, niekiedy dwie pierwsze, ale częściej tylko dwie jego ostatnie stopy: daktyliczna i spondaiczna[5]. Oto jak wygląda to wszystko w akrostychu na Neptuna[6]:

[1] *Patrologia latina.* Edit. Migne, t. XIX, col. 395. — Prócz licznych akrostychów, znajdujemy i alliteracyę w następnym wierszu:

Alme tuas laurus aetas sustollet in astra
Aurea lux vatum silvae mihi praemia serva,
Aucta Deo virtus Musas magis ornat aperta,
Aurea victorem pietas sonat ubere lingua,
Aonios laticas pietas juvat armaque diva,
Augusti florem pietas juvat arma tropaea,
Aonii frutices pietas juvat ubere gleba.

[2] Ebert, *Geschichte der christlich-lateinischen Litteratur.* B. I, S. 429, 430.

[3] *Patrologia lat.* Edit. Migne, t. V, col. 201. — Dzieło to wydane zostało dopiero w r. 1650 przez Mikołaja Rigault.

[4] Commodianus, *Carmen apologeticum adv. judaeos et gentes.* Edidit J. F. Pitra w *Spicilegium Solesmense.* T. I, Parisiis 1852. Ogłoszony po raz pierwszy w r. 1852.

[5] G. Boissier, *Comptes rendus de l'Accademie des inscriptions.* (1. Octobre 1876). — A. Puech, *Prudence.* Introduction, p. 9 et suiv.

[6] *Instructiones adversus Gentium deos. Patrol. latina.* Editio Migne, X, col. 208.

Neptunum facitis deum ex Saturno pronatum:
Et tridentem gerit, ut pisces suffigere possit,
Patet esse deum cumatilem illo paratu.
Trojanis non ipse cum Apolline muros eduxit?
Unde deus factus inops comentarius ille?
Non cyclopem genuit monstrum? Non majus et ipse
Vivere non poterat de suo, quod structura gerebat?
Sic genuit generatus, qui fuit jam mortuus olim [1].

W ostatnim (80-tym) akrostychu, który się kończy słowy:

Omnia non possum comprehendere parvo libello,
Curiositas docti inveniet nomen in isto [2].

znajdujemy w skrajnych literach od dołu do góry podpis autora: COMMODIANUS MENDICUS CHRISTI (Commodyan ubogi Chrystusów); za tytuł akrostychu służy napis: *Nomen Gazaei* czyli imię Gazejczyka, tj. (autora) rodem z Gazy, sam zaś ustęp ten cały jest streszczeniem nauk moralnych i dogmatycznych, rozsianych powyżej. Przychodzą tu na myśl słowa florenckiego poety:

O voi, ch'avete gl'intelleti sani,
Mirate la dottrina, che s'asconde
Sotto'l velame degli versi strani [3].

Na szczęście ani *Carmen apologeticum* ani *Instructiones* nie są jedynemi pomnikami z III. wieku, w których metryka niedopisuje. Pozostał niejeden napis ciekawy z temi samemi charakterystycznemi cechami. Pomiędzy inskrypcyami chrześcijańskiemi, typową tego próbką jest napis w Rzymie o dyakonie Sewerze [4], odna-

[1] Neptuna czynicie bogiem zrodzonym z Saturna,
Dźwiga trójząb, by pewnie nabijać nań ryby:
Widać z tego przyboru, że to bóg jest morski,
Czyż nie on z Apollinem wymurował Troję?
Skądże biedny ten mularz nagle został bogiem?
Czyż nie on potwornego urodził Cyklopa?
A przecież tamten nie musiał być gorszym,
Gdyż nie z siebie samego miał straszną swą postać,
Z tegoż rodu był rodzic, zmarły przedtem wiele.

[2] Wszystkiego nie pomieszczę w tej skromnej książeczce,
Człek mądry a ciekawy wyszuka tu imię.

[3] Dante Alighieri, *La divina commedia*, *Inferno*, c. IX.

[4] Podług Rossi'ego (*Roma sotterranea*, III, 46), zabytek ten pochodzi z lat 296—302.

leziony przez Rossi'ego w cmentarzu św. Kaliksta: afrykański zaś tego przykład znajdujemy w inskrypcyi Ewelpiusa [1], którą ułożył niejaki Asterius, w znanej przez archeologów *arei* w Cezarei maurytańskiej. Inny przykład, ale już włoski, stanowi ciekawy, ze stanowiska liturgii, napis dla chrześcijańskiej panienki Agape [2], jaki był Rossi uzupełnił w swoim *Bulletin* [3].

Bez żadnego porównania wyżej stoi pod każdym poetyckim względem wiersz *de Phoenice*. Sprzeczano się długo i o jego autorstwo i o czas jego powstania; ostatecznie dowiedzioną jest niemal rzeczą, że poemat ten wypłynął z pod pióra Laktancyusza.

Ponieważ feniks, dla swego wiekuistego odmładzania się, uchodził za symbol nieśmiertelności i w tym charakterze jawi się w pismach i nagrobkach chrześcijańskich już od św. Klemensa rzymskiego, przeto nic dziwnego, że Laktancyusz użył tego symbolu za przedmiot swego dzieła, czy to dla przypomnienia dogmatu o nieśmiertelności duszy, czy też hołdując myśli (na on czas modnej) o wskrzeszeniu rzymskiego panowania nad całym światem.

W 85 dystychach opowiada poeta całą tę metamorfozę, jaką po każdem tysiącleciu przechodzi święty ptak feniks. Czuć w tem poetę a przynajmniej biegłego retora; jest w tem dużo głębszej myśli i chrześcijańskiego polotu, czego nie można powiedzieć o idylli, jaką Klaudyan [4] o tym samym przedmiocie napisał [5].

Po długim zastoju, w jakim literatura łacińska a w szczególności poezya leżała na schyłku drugiego wieku i w wieku trzecim, znać pewien prąd żywszy w czwartem stuleciu po Chrystusie.

„Wiek ten czwarty — jak mówi Puech — to jedna z najciekawszych epok. Niema prawie smutniejszej, jeśli się weźmie

---

[1] *Roma soterranea*, VIII, 9585.

[2] *Bulletin d'archéologie chrétienne*, 1884—1885, p. 59 et sq.

[3] Puech, *Prudence*, p. 13.

[4] Pomiędzy epigramatami C. Klaudyana *(Opera, quae exstant, omnia* — Julii Caes. Scaligeri, Adriani Turnebi et Martini Antonii del Rio observationibus illustrata) Augustae Munetianae MDCXX., p. 366.

[5] Ebert, *Geschichte der christl.-lat. Litteratur*, B. I, 100—101.

na uwagę widoczne wyczerpanie imperyum, kłopoty podatkowe i administracyjne, wyłomy poczynione napadami na rzymskie granice, zabobony pogańskie i herezye chrześcijańskie, coraz większy zanik sztuki, zły smak i deklamacya, królująca w literaturze więcej niż kiedyindziej. Tymczasem umierające państwo widzimy w ostatnich podrzutach wysilającego się życia". Rzeczywiście pod panowaniem Konstantyna Wielkiego i przez jego nawrócenie się do wiary Chrystusowej, dokonał się w państwie rzymskiem niesłychany przewrót, który aż do czasów — rzec można — Honoryusza porywał ze sobą jak lawina wypadki dziejowe i wnosił przemiany począwszy od cesarkiego dworu i stolicy, aż w najdrobniejsze objawy życia publicznego, obywatelskiego, rodzinnego, w stosunki religii i administracyi państwowej.

Ruch tego rodzaju — jak to jasno — musiał się udzielić i piśmiennictwu, choć niekoniecznie stąd wynika, by to być miało wskrzeszenie złotego wieku Augusta. Były to tylko chęci, ale i te usiłowania nie przeszły bez śladu. I nie mogło być inaczej. Chrystyanizm młody i świeży, promienny bóstwem Chrystusa i zwycięstwem chrystusowej nauki śród trzywiekowych walk męczeńskich, szedł w bój ostatni — jak zapaśnik pewien zwycięstwa — z zapałem i okrzykiem wesela. Tym większym musiał być rozmach pogaństwa, któremu po całem tysiącleciu sławy i tryumfów, kazano zejść ze zwycięskiej kwadrygi, i wraz z trzystu tysiącami bogów[1] ustąpić przed krzyżem na to, by albo iść w jego służbę albo w wieczne zapomnienie. Był to krzyk konającego i pasowanie się ze śmiercią. Ale w tem wszystkiem czuć było coś wielkiego, jakby walkę olbrzymów i samo pogaństwo, widząc cały materyalny swój ogrom, czuło, że mu się coraz bardziej ziemia z pod nóg usuwa. Kiedy jeszcze w arenę zstąpili tacy cesarze z talentem i energią jak: Julian, Gracyan, Walentynian I.,

[1] Principibus tamen e cunctis non defuit unus,
Me puero, ut memini, ductor fortissimus armis,
Conditor et legum, celeberrimus ore manuque,
Consultor patriae sed non consultor habendae
Relligionis, amans tercentum millia divum...
Prudencyusz, *Apotheosis* (449—453).

albo Teodozy, to nic dziwnego, że co żyło niemal, brało udział w tej walce.

Jak to bywa w każdej rywalizacyi, jedni drugich przewyższyć i zaćmić pragnęli na każdem, gdyby można, polu. Pogaństwo, tracąc powoli wszystko, jedno miało, czem się mogło poszczycić, to jest bogatą literaturę, całą falangę sławnych poetów, mowców, filozofów i uczonych. Dla chrześcijan, choć im dopiero słońce wschodziło, kiedy pogaństwo opłakiwało swego słońca zachód, przykrem było takie porównanie. I oni mieli swoich Ciceronów w Minucyuszu Feliksie, w Tertullianie albo Cypryanie; swoich filozofów i mędrców w Justynie, Klemensie aleksandryjskim i Oryginesie; ale poetów, którzyby się z klasyczną powagą Horacego, Lukrecyusza albo Wirgilego zmierzyć mogli bezpiecznie, nie mieli. Stąd ono usiłowanie, by stworzyć chrześcijańską poezyę łacińską, jak stworzyli grecką św. Grzegórz z Nazyanzu, Synezyusz i Nonnus. W IV. stuleciu „modnym“ poetą w całem tego słowa znaczeniu był Wirgiliusz; popisywano się nim w rzymskich salonach przy lada sposobności, uczono się go z zapałem na pamięć, deklamowały go kobiety. Jak wielkiem musiało być na on czas to wzięcie Wirgiliusza, to bodaj z tego można ocenić, że przetrwało tyle wieków i napełniło sobą nawet całe średniowiecze. Wszak w Mantui, rodzinnem miejscu poety, aż do schyłku XV. wieku śpiewano w uroczystość św. Pawła Apostoła, jak ten wielki Apostoł narodów ze łzami w oczach narzekał nad grobem Wirgiliusza w Neapolu, że się nie mógł spotkać z nim za życia, by zeń kolumnę uczynić Chrystusowego Kościoła:

Ad Maronis mausoleum
Veniens flevit super eum
Piae rorem lachrymae;

Quem te, inquit, reddidissem,
Si te vivum invenissem,
Poëtarum maxime![1]

[1] Comparetti, *Virgilio nel medio evo,* t. I, p. 131 i w przypiskach do słynnego dzieła De Champagny, *Les Césars.*

Nawet nieśmiertelny piewca w „Boskiej Komedyi“ nie kogo innego wybrał sobie za przewodnika na swą wędrówkę w duchowych zaświatach, jak Wirgiliusza.

To też i chrześcijanie czwartego stulecia zazdrościli poganom tego geniuszu i już to starali się wmówić weń prorocze o Chrystusie wyznania w jego znanej e k l o d z e, już to usiłowali wchodzić w jego ślady.

Owocem tego owe poematy *De Sodoma* i *De Jona*[1] nieznanego autora i pokaźna a udatnym, bohaterskim wierszem w czterech księgach napisana *Evangelica historia* przez Juwenka kapłana[2]. Victorinus pisze poemat *De fratribus septem Maccabeis*, a pewna dama rzymska, Proba Faltonia, chcąc swym dzieciom zostawić nietylko pamiątkę po matce, ale razem i budującą naukę, streszcza cały Stary i Nowy Testament wierszami, wyjętemi litylko z Wirgiliusza[3]. Ta chęć naśladowania Wirgiliusza, stworzyła Seduliuszów poemat *Carmen Paschale*[4] tak samo, jak późniejsze dzieła Avita, Fortunata albo Azatora.

Pogańskiego Lukrecyusza miał zastąpić Prudencyusz w swej *Psychomachii, Hamartigensi* i *Apoteozie*. W ślady Horacego próbował iść niejaki Severus, retor, w swym wierszu *De virtute crucis Domini*, choć i tu — bodaj we formie eklogi — czuć także wpływ Wirgiliusza. Trzeba było jeszcze liryki, hymnów.

Domagała się ich nietylko rywalizacya i sława literacka, ale i praktyczne religijne cele. Widzieliśmy już na Wschodzie tę szermierkę piórem i pieśnią między heretyctwem a chrześcijanami, Aryusz pisał pieśni dla młynarzy, żeglarzy i innych, siejąc w ten sposób kąkol swej nauki. Efrem naprawiał pieśnią zniszczenia, sprawiane pieśniami Harmoniusa; jak później Augustyn św. walczył pieśnią przeciw Donatystom[5]. Święty Hilary bawiąc na

[1] C. Vettii Aquilini Juvenci, *Evangelicae historiae libri* IV. *Patrol. lat.* Migne, t. XIX. — Ebert, l. cit. I, str. 114.

[2] Tamże, str. 122 i nast.

[3] *Val. Faltoniae Probae, feminae clarissimae, Cantores Virgiliani, Patrol. lat.* Migne (XIX, kol. 803 et sq.).

[4] *Coelii Sedulii Carmen Paschale,* tamże, kol. 549.

[5] *Psalmus contra partem Donati. Patrol. lat.* Migne, t. 43, c. 23.

wygnaniu na Wschodzie, patrzył na to własnemi oczyma. Skoro tedy powrócił do Galii, jął pisać religijne hymny, z których atoli niewiele nam zostało [1]. Nierównie więcej mamy ich po św. Ambrożym i po dziś dzień cały Kościół łaciński powtarza je w liturgicznych pieniach [2], nie z mniejszem nabożeństwem, jak je śpiewał lud medyolański i jak się unosił nad niemi sam Augustyn św. Śliczne te hymny, takie proste na pozór a takie wzniosłe i rzewne, stały się odtąd ideałem pieśni kościelnej.

Niepodobna przypuścić, by nie doszły do uszu Prudencyusza; owszem, kto zna hymny Ambrożego, ten w hiszpańskim poecie odnajdzie wielkie pokrewieństwo myśli a nawet toku mowy, tę samą wzniosłość ducha i delikatność uczucia; czuć tylko jedno, co w Ambrożym nie uderza wcale w jego niewymuszonych, jambicznych lub trochaicznych metrach, artyzm, szukający pięknej i rozmaitej formy. Ambroży poprzestał na hymnach, bo szukał litylko zbudowania swych wiernych; Prudencyusz prócz tego szukał bogactwa formy i wdzięku na wszystkich niemal polach poezyi.

Obaczmy to w samych jego utworach.

(C. d. n.).

Ks. Władysław Czencz.

[1] Ebert, *Geschichte der christl.-lat. Litteratur*, I, S. 134.

[2] Tamże, str. 143 i S. Ambrosii, *Opera omnia, Patrol. lat.* Edit. Migne, t. XVII. p. 1209,

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Rok Chrystusowy. Przez *M. Awancina,* tłumaczył z łacińskiego *Al. Jełowicki.* Wydanie nowe. Przejrzał *O. Prokop,* kapucyn. Warszawa 1895.

Rozmyślania na wszystkie dni roku do użytku kapłanów i osób świeckich. Przez *ks. Hamona.* Tłumaczenie z francuskiego. Cztery tomy. Kraków. Nakładem J. Gadowskiego. 1895.

Biblia domowa, czyli wypisy z tekstów Pisma świętego odnośnie do etyki chrześcijańskiej. Skrócił z francuskiego *Jan Kanty Trzebiński.* 1894.

Miesiąc czerwiec. Przez *ks. A. Lefebore,* opracował z francuskiego *ks. Roman Rembieliński.* Wydanie drugie. Warszawa 1895.

Złota książka polskiej dziewicy. Przez *ks. I. A. Łukaszkiewicza.* Kraków-Przemyśl 1895.

Święty Kazimierz, królewicz polski, patron młodzieży. Napisał *ks. Feliks Józefowicz.* We Lwowie 1895.

Żywot O. Prokopa, kapucyna. Przez *O. Honorata,* kapucyna. W Krakowie 1895.

Na brak religijnych wydawnictw skarżyć się u nas stosunkowo nie możemy; zwracać na wszystkie uwagę byłoby rzeczą i niemożliwą i nawet niepotrzebną, bo — powiedzmy poprostu — nie wiele z tych wydawnictw wychodzi poza sferę mierności. Kilka świeżo z pod prasy wyszłych dzieł i broszur w nagłówku wypisanych są czemś więcej niż księgarską spekulacyą; nie równe one mają znaczenie, nie równą wartość, ale cokolwiek krytyk zarzucić im musi, mają znaczenie i wartość już tem samem, że nie są, a w każdym razie nie są wyłącznie spekulacyą.

Nazwiska Awancina i Jełowickiego za dobrze są znane, abyśmy się mieli rozwodzić nad zaletami treści, układu i polskiego przekładu. O. Prokop zastosował nowe wydanie „do użytku osób wszelkiego stanu".

Przyznajemy się, że bardzo lękamy się wszelkiego tego rodzaju „przeróbek“ i „zastosowań“; jeżeli nie rodzą się z nich dziwolągi, jak np. w niejednej przeróbce Tomasza à Kempis, to przynajmniej ginie bez śladu właściwa woń i oryginalność wsławionego dzieła; zostają jak np. w przeróbkach i skróceniach rozmyślań Ludwika à Ponte, ogólne tylko ramy, suche wywody, z któremi każdy pedantyczny profesor niemiecki nie gorzej dałby sobie radę. Na szczęście, zdaje się, że O. Prokop nie bardzo Awancina przerabiał, czasem tylko jakieś uwagi opuścił, odnoszące się wprost do osób zakonnych.

Rozmyślania podane przez Awancina bardzo są treściwe; kto pragnie nieco obszerniejszych, znajdzie je w czterech tomach Hamona, którego nazwisko również ustaloną ma już sławę. Jest to jednocześnie systematyczny kurs chrześcijańskiej ascezy; a że w dodatku tłumaczenie polskie jest wogóle poprawne, szczera wdzięczność należy się i tłumaczom i wydawcom za wzbogacenie ascetycznej naszej literatury poważnem tem, czterotomowem dziełem.

„Biblia domowa“ podaje pewne, dla wszystkich przystępne i pożyteczne, wyjątki z ksiąg starego i nowego zakonu. Tem samem umożliwia wszystkim wiernym bez wyjątku poznania spisanego słowa bożego; daje w rękę — jak wydawca słusznie zauważa — najpewniejszego doradcę w tak częstych, powstających w życiu wątpliwościach. Obszerny indeks ułatwia kaznodziejom, pisarzom, czytelnikom korzystanie z tej pracy.

Opracowany wedle francuskiego dziełka ks. Lefebore „Miesiąc czerwiec o życiu wewnętrznem Chrystusa“ cennym jest nabytkiem dla braci naszych z za kordonu. Wprawdzie „Miesiąców czerwców“ wyszło po polsku dość wiele, wyszło nawet parę w Warszawie, ale rozszerzająca się dziś z nieprzepartą siłą w całym katolickim świecie cześć Bożego Serca, domaga się coraz nowych książek w tym kierunku. Na inne liczne uwagi, które cisną się nam pod pióro, gdy przerzucamy skromną ale miłą książeczkę ks. Lefebore, nie tu czas i miejsce; może je sobie sam domyślny czytelnik dośpiewa.

Bardzo surowy sąd o „Złotej księdze polskiej dziewicy“ wydała lwowska *Gazeta Kościelna* z 1-go sierpnia b. r. Zdaniem recenzenta — który sam jest ojcem rodziny — „Złotej księgi“ nie należałoby dawać do czytania panienkom, bo może ich tylko pobudzić do nierozumnej dumy, wpoi bardzo niedokładne zasady, bo wreszcie tak jest nudną, że panienka, która skądinąd nie stoi na wysokim stopniu doskonałości, nie potrafi jej do końca doczytać. Sąd to z pewnością za ostry, a w dodatku tak ostro, niemiłosiernie wypowiedziany, jakby recenzent walczył nie z księdzem,

któremu bądź co bądź najlepszych zamiarów odmówić nikt nie może, ale z jakimś niebezpiecznym wrogiem wiary i obyczajów. Osobiście nie czujemy wcale szczególnej predylekcyi do „Złotej księgi"; na parę (nie na wszystkie) przez krytyka uczynionych zarzutów zgodzilibyśmy się bez zastrzeżeń; wyznajemy, że i nam patetyczny sposób przemawiania nerwy czasem drażni; nie przeczymy, że autor czasem się powtarza, że trudno nieraz cały rozdział od *a* do *z* przeczytać!... Ale czy dlatego rzucać jowiszowe gromy? Czy pewnym być można, że „Złota księga" żadnej panience się nie spodoba, że niejednego dobrego ziarnka w serca wielu i wielu polskich dziewcząt nie wrzuci? Na to, aby mogło ujemny wpływ wywrzeć, zgodzić się nie możemy; prędzej takie krytyki *ab irato*, prędzej takie pioruny, które lepiejby może w innych autorów i inne książki wymierzyć, wywierają wpływ ujemny. Zresztą sama redakcya obiecuje umieścić w jednym z najbliższych numerów własną swą ocenę: będzie to prawdopodobnie plaster na zadaną ranę.

Króciutki żywot św. Kazimierza jest pewnego rodzaju wstępem do książeczki z modlitwami i pieśniami o świętym patronie polskiej młodzieży. O. Honoratowi, zakonnemu bratu, szeroko po całej Polsce znanego O. Prokopa, należy się szczególna wdzięczność, że wydając życiorys tego męża bożego, uchronił od niepamięci wiele prześlicznych rysów z życia, z działalności kapucyna-ascety. Nie jest to jeszcze taki życiorys, tak wyczerpujący, tak misternie nakreślony, jakby tego wymagała wspaniała postać O. Prokopa, wpływ jaki wywierał swemi książkami, swą pobożnością. Być może, że dziś jeszcze na to zawcześnie; nie tracimy też nadziei, że po tej pierwszej miniaturze, zdjętej na prędce przez kochającego towarzysza broni, okaże się wykończony we wszystkich szczegółach mistrzowski portret. Tak nam takich pouczających, podnoszących ducha portretów potrzeba, tak nam ich brak w naszej polskiej ascetycznej literaturze!

Ks. J. B.

Przygotowanie do Spowiedzi i Komunii św. wielkanocnej czyli Rekollekcye trzydniowe dla młodych osób. Napisane przez *J. Chudzyńską* w formie poufnej rozmowy; przejrzane i poprawione przez *ks. A. P.* Warszawa. W drukarni Franc. Czerwińskiego 1893.

Przyznam się, że obecna książeczka zrobiła mi bardzo miłą niespodziankę. Śliczna to praca na polu religijnem, ale też czuć w każdem niemal słowie, że wypłynęła z głęboko wierzącego i gorąco kochającego serca, a nie z celów księgarskich. I to jeszcze niedosyć. Samo uczucie

gorące i katolickie nie wystarcza do napisania dobrej książki duchownej; trzeba tutaj koniecznie gruntownej znajomości wiary: bo tylko dogmat i to dobrze pojęty i pojętnie oddany właściwą jest podwaliną pobożności chrześcijańskiej. Bez tego nabożeństwo całe będzie li tylko niemiłą czułostkowością, jeżeli jeszcze, co gorsza, nie utknie w nauce wiary: a jedno i drugie wielkie duszom przynosi zawsze szkody; bo tak piana jak i trucizna nie mogą być nigdy właściwym pokarmem. Otóż ta właśnie znajomość życia duchownego wogóle, a wszczególności znajomość dusz młodocianych obok gruntownej znajomości wiary, wyróżnia bardzo tę książeczkę od wszystkich prawie tego rodzaju pism kobiecych.

Już sam rozkład dziełka jest praktyczny. Po objaśnieniu krótkiem ale dosadnem o znaczeniu i ważności rekolekcyj wielkanocnych, następuje wyborny ich podział na trzy dni, poprzedzające dzień Komunii wielkanocnej, jak niemniej sposób przepędzenia w świętem skupieniu samego tego dnia, tak dla dusz uroczystego... Drugą część dziełka wypełnia najbliższe przygotowanie się do św. Sakramentów Spowiedzi i Eucharystyi, dziękczynienie i dwa sposoby odwiedzania Najśw. Sakramentu... W części trzeciej pomieściła autorka naukę o drodze krzyżowej i dwa sposoby odprawiania tejże... Część czwarta poświęcona Różańcowi Najśw. Panny z dołączeniem litanii do Najśw. Panny i modlitwy do św. Józefa, poleconej przez Ojca św. Leona XIII. (Całość zajmuje stronic 342, a zewnętrzna strona wydawnictwa wielce wygodna).

Jednę tylko rzecz wytknąć muszę. W przygotowaniu się do Spowiedzi św. akt żalu za grzechy (str. 229) i mocne postanowienie (str. 230) są za rozwlekłe, a nie dość dosadne: a jednak jeżeli gdzie, to tutaj trzeba jasności i uwydatnienia tych uczuć duszy, które są niezbędnym warunkiem prawdziwego żalu i postanowienia. Żal obok zwykłych „upadań“ a nawet obok wyrazów tej — zresztą koniecznej — nieufności w swe siły, a za to ufności w pomoc i łaskę bożą, musi opierać się całą siłą na obrzydzeniu grzechu, „jako największego złego“. W tym celu wypadałoby poddać duszom pobudki tak skruchy niedoskonałej jak i doskonałej (obraza Boga najwyższego dobra). Stąd dopiero płynie właściwe i prawdziwe postanowienie poprawy, które obok unikania grzechów, miłości Boga i pokuty za grzechy, powinno koniecznie mieć na oku i unikanie okazyj. W drugiem wydaniu, które niebawem pewnie nastąpi, powinnaby zacna autorka i tam jeszcze zadośćuczynić, a wtedy śmiało rzec będzie trzeba, że nietylko nic zarzucić

tej pięknej pracy nie można, ale owszem, że jest to dziełko, które bardzo wiele zdziała dobrego w tych wszystkich duszach, które zechcą jego rad zasięgnąć.

Ks. Wład. Czencz.

Zarys najnowszej literatury polskiej. Napisał *dr. P. Chmielowski.* Wydanie trzecie. Kraków-Petersburg. 1895.

Czem jest „Zarys najnowszej literatury polskiej?“ Czy umiejętnem zestawieniem prac literackich z ubiegłego trzydziestolecia, czy zebranym dość starannie i nieco tylko zużytkowanym materyałem? Szeroko rzucone tło polityczne, zanotowanie skrzętne wszystkich niemal prądów, jakie nasze społeczeństwo w ostatnich trzech dziesiątkach lat nurtowały, próba ułożenia dziejów w najogólniejszych zarysach naszej publicystyki z tego okresu czasu, każą nam to dzieło uważać za usiłowanie umiejętnego ujęcia w całość naszego dorobku piśmienniczego z lat 1864 do 1894.

Na str. XX. czytamy (w przedmowie do trzeciego wydania „Zarysu“) te słowa: „O wyczerpanie przedmiotu bynajmniej mi nie chodziło, przekonany, że nie spis dzieł, katalog autorów i daty biograficzne stanowią dzieje literatury, ale pochwycenie przeważnego i wpływowego w danym czasie prądu myśli i dążeń społeczeństwa; mniej zwracałem uwagi na to, że tę lub ową książkę pominę, że tego lub owego autora opuszczę, bylebym tylko potrafił wiernie odtworzyć duchowy nastrój wziętego pod rozbiór okresu, bylebym nie pominął takich objawów, które okresowi temu ton i znaczenie nadają. Pochwycić charakterystyczne rysy w fizognomii moralnej naszego najnowszego rozwoju ducha — oto zadanie, które spełnić zamierzyłem.

„Jeżeli czytelnik, krytycznem okiem przerzucający te karty, spostrzeże, iż nierównomiernie rozpisałem się o postępowym i zachowawczym kierunku, jeżeli zobaczy przewagę obszernego traktowania ruchu sił młodych, to usprawiedliwienie takiego sposobu postępowania znajdzie w powyższej właśnie uwadze. Nie to bowiem, co jest dalszym tylko ciągiem poprzedniego stanu rzeczy, ale dopiero nowe dążności i nowe myśli stanowią charakterystyczne cechy nowego okresu. Dawniejszy ów stan rzeczy uwzględnia się o tyle, o ile on wywołuje walkę z świeżemi prądami, o ile zaznacza swój stosunek do tworzącej się odmiennej sytuacyi. Nie lekceważenie zatem zasług lub zdolności starszego pokolenia spowodowało mniejsze, szczuplejsze rozmiarami opracowanie jego działal-

ności, ale ten fakt, że zdolności te i zasługi znane już są dobrze społeczeństwu, gdyż dały się poznać na długo przed obranym przezemnie chronologicznym punktem wyjścia".

W lata przed r. 1864 nie myślę się zapuszczać i z tem się liczyć będę, że „ani spis dzieł", ani „katalog autorów", lub „daty biograficzne nie stanowią dziejów literatury", dodam jednak to wszystko, co zdaniem mojem okresowi temu ton i znaczenie nadaje w tej dzielnicy Polski, którą zamieszkujemy. Nie jestem uniwersalnym znawcą wszystkich przejawów naszego piśmiennictwa; tem więc tylko się zajmę, o czem mam pewne prawo mówić. Chcąc dać jakieś pojęcie o pracy Chmielowskiego, zrobię parę uwag o dziełach historycznych i historyczno-literackich, które p. Chmielowski pominął, choć o mniej charakterystycznych lub cennych nieomieszkał się rozpisać. Tych kilka mych uwag poświęcę rozbiorowi III. rozdziału pracy d-ra P. Chmielowskiego (str. 354—399).

P. Chmielowski, zaznaczywszy „przemianę metody badań dziejowych i filozofii dziejów" (str. 354—357), pisze o „wydawnictwie źródeł" na str. 357—359. Dziwnie to wygląda, że o wydawnictwie źródeł dziejowych tak mało tylko w „Zarysie". Wytłumaczyć da się to tem, że p. Ch. wylicza jako wydawców źródeł dziejowych jedynie Augusta Bielowskiego, Antoniego Zygmunta Helcla i Romualda Hubego. O „Aktach grodzkich i ziemskich z archiwum bernardyńskiego" znachodzimy w „Zarysie" słów tyle, ile o „Pamiętnikach do XVIII. wieku", wydawanych przez Żupańskiego w Poznaniu. Tomów Aktów grodzkich i ziemskich ogłoszono drukiem dotychczas siedmnaście. Trudno też, pisząc o tych „Aktach", nazwać je tylko „główniejszym wynikiem kierunku wydawniczego". Wszak z samych sprawozdań o tych „Aktach" powstała spora i niepozbawiona głębszej wartości literatura, na nich też oparły się wszystkie niemal nowe prace z zakresu prawa polskiego. Ktokolwiek zaś kiedyś zechce napisać „Rozwój wydawnictw dyplomataryuszów w Polsce", ten śp. profesora ks. Liskiego niejednokrotnie będzie musiał wspomnieć, gdyż on to w przedmowach do pierwszych tomów „Aktów" rozwinął cały program wydawania dyplomów i aktów. Gdy o „Aktach grodzkich" tak niewiele, toż nic dziwnego, że o wydawnictwie tak ważnych źródeł do dziejów naszej cywilizacyi, jak *Acta Rechralia* lub „Metryki" uniwersyteckie żadnej nie znachodzimy dłuższej wzmianki. Z historyków wylicza p. Chmielowski następujących: W. Kalinka, An. Walewski, Sz. Szaraniewicz, J. Szujski, T. Wojciechowski, Ksa-

wery Liske, H. Kętrzyński, L. Kubala, Anatol Lewicki [1], August Sokołowski, M. Bobrzyński, St. Smolka, W. Zakrzewski, L. Tatomir, B. Kalicki, Kl. Kantecki, J. K. Plebański, E. Świeżawski, A. Pawiński, A. Jabłonowski, Stosław Łaguna, Tad. Korzon, M. Dubiecki, A. Kraushar, Wł. Smoleński, Parczewski, K. Waliszewski, K. Jarochowski, Leon Weyner, Wł. Łebiński, M. Kantecki i J. Rolle.

„Czytelnik“ przeglądający „krytycznem okiem“ te karty spostrzeże łatwo, że w spisie tym brak nazwisk głośniejszych, a mniej zaś znane w nim się znachodzą. Czy ci mniej znani „ton i znaczenie nadali okresowi 1864—1894? Bynajmniej! P. Ernest Świeżawski np. mniej jest cenionym i znanym historykiem [2] niż dr. Aleksander Semkowicz [3], dr. Ludwik Finkel i dr. Bronisław Dembiński. O pierwszych dwóch dowiadujemy się z „Zarysu“ (str. 363) jedynie, że wyszli z seminaryum historycznego śp. ks. Liskego; o ostatnim nie znachodzimy zupełnie wzmianki, tak samo, jak nie ma wzmianki w tym rozdziale o tak nader cennej pracy, jaką jest d-ra L. Finkla: „Bibliografia historyi polskiej“.

Dr. Finkel ogłosił nietylko cały szereg prac historycznych („Rozbiór krytyczny historyi Marcina Kromera“), ale zaznaczył również swą działalność literacką na polu historyi naszego piśmiennictwa, o czem poniżej wspomnę. D-ra A. Semkowicza: „Krytyczny rozbiór dziejów polskich Jana Długosza“, Kraków 1887, to bezsprzecznie najgruntowniejsza rzecz i wzór wszystkich prac tego rodzaju, jakie posiadamy. Skoro p. Ch. wspomniał (str. 327) o d-ra W. Zakrzewskiego Historyi powszechnej dla szkół (klas wyższych) starożytnej i średniowiecznej, należało wspomnieć i o d-ra Semkowicza „Historyi powszechnej dla klas niższych szkół średnich“. Lecz na str. 440 „Zarysu“ czytamy tylko, że w Galicyi książek szkolnych „jest sporo i to niekiedy niemałej wartości“. O tem,

[1] Prof. dr. Anatol Lewicki wykłada w Krakowie na Uniwersytecie od lat ośmiu dzieje austryackiej monarchii, rzecz dziwna więc, że p. Ch., podając wyjątkowo „datę biograficzną“, podaje: Anatol Lewicki, także profesor gimnazyalny.

[2] Miarą ścisłości badań p. E. Świeżawskiego może być jego praca: „Esterka i inne kobiety Kazimierza Wielkiego“. Warszawa 1894. Patrz *Kwartalnik historyczny,* rocznik IX., zeszyt II., str. 328—334, znakomita ocena tej pracy przez d-ra O. Balzera.

[3] Dr. A. Semkowicz jest uczniem dr. Henryka Zeissberga. Histor. Uniw. lwowskiego. Tom I., str. 319.

że teraz poraz pierwszy wprowadzono w użycie książki szkolne, pisane w oryginale po polsku (w miejsce tłumaczonych z niemieckiego), nie ma ani słowa, więc nic dziwnego, że i o tych książkach i o ich autorze brak zupełny wiadomości.

Nadzwyczajny wzrost naszej historyografii uderza każdego, komu ona obojętną nie jest, lecz i to niczyjej nie uchodzi uwagi, że piszemy niemal wyłącznie tylko o wypadkach z dziejów ojczystych, że dzieła tego rodzaju jak d-ra Dembińskiego: „Wybór Piusa IV" lub „Rzym i Europa przed rozpoczęciem trzeciego okresu soboru trydenckiego", są u nas nie codziennym zjawiskiem i należą do charakterystycznych objawów naszego piśmiennictwa, o których w „Zarysie" w każdym razie wspomnieć należało. Tło „Zarysu" szeroko rzucono, szerokie dość również i tło, na jakiem naszą historyografię przedstawił p. dr. Chmielowski, brak jednak jednego tonu, zestawienia tej nieistniejącej wprawdzie urzędowo różnicy, lecz pojawiającej się tak często, jaka zachodzi między historykami t. zw. „krakowskiej szkoły", a ich przeciwnikami. Wszak w r. 1890 na drugim zjeździe historyków polskich we Lwowie, odezwał się głos d-ra O. Balzera: „W obronie historyografii naszej". Był to bardzo charakterystyczny głos, z którym, pisząc zarys naszej historyografii z lat ostatnich, należało się policzyć.

Darmo wśród uczniów profesora Liskego szukaliśmy w „Zarysie" nazwiska jednego z najzdolniejszych młodszych uczniów nieodżałowanego mistrza, niema w tym spisie p. J. K. Górzyckiego, który po mniej udałej pierwszej pracy: „O połączeniu Rusi Czerwonej z Polską przez Kazimierza Wielkiego", ogłosił cenne prace: „Pierwszeństwo kasztelana przed wojewodą krakowskim" i „Wpływ Stolicy Apostolskiej na rokowania pokojowe Kazimierza Wielkiego z Czechami i z Zakonem Niemieckim". O d-rze Czermaku również brak w „Zarysie" obszerniejszej wzmianki, chociaż tego autora monografie i studya z XVII. wieku, cieszą się zasłużonem uznaniem. Z młodszych wychowańców krakowskiego seminaryum nie wymienił p. Chmielowski nikogo, a należało przecież wspomnieć chociażby tylko p. Aleksandra Czuczyńskiego, autora dzieła: „Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Powęskiego" i wydawcy: „Ks. J. Piotrowskiego dziennika wyprawy Stefana Batorego pod Psków".

Wogóle dział ten (opracowany jak inne na sposób szematyzmu), podaje więcej nazwisk i dzieł, których szczuplejszą granicą Królestwo Kongresowe, a po macoszemu traktuje Galicyę i Wielkie Księstwo Poznańskie.

Nie wiem, czy p. dr. P. Chmielowski pominął dlatego d-ra Iwana

Franka, że go zaliczył do Rusinów; jeżeli tak, to dlaczego wspomniał d-ra Izydora Szaraniewicza, str. 361 „Zarysu“. Dr. Iwan Franko ogłosił w polskim języku kilka prac historycznych w *Kwartalniku historycznym*, o tyle (nie mówię o ich wartości naukowej) charakterystycznych, że poruszają polsko-ruskie stosunki w XVI. wieku.

Z nowszemi pracami na polu dziejów naszego piśmiennictwa jest p. dr. Chmielowski, rzecz naturalna, dokładniej niż z innemi pracami obznajomiony, ale i tu luki widoczne. A. Tyszyński, Ant. Małecki, Wł. Nehring, St. hr. Tarnowski, R. Pilat, J. Tretiak, Wł. Spasowicz, to pierwszorzędni historycy naszej literatury, więc nic dziwnego, że ich nazwiska w „Zarysie“ spotykamy, ale dowiadujemy się o nich z „Zarysu“ tak mało, że prawdziwie musimy zadać sobie pytanie, dla kogo ten „Zarys“ pisany? Czy dla krytyków-literatów, czy dla szerszych kół czytelników? Mniemam, że głównie dla tych drugich. Krytycy, szukając informacyi, nie będą mogli w żadnym razie poprzestawać na zaglądnięciu tylko do „Zarysu“, a dla najszerszych kół publiczności „Zarys“ również wystarczającym nie jest. Mnóstwo (ale nie komplet) nazwisk wywoła u czytelnika, nieznającego dokładnie ruchu literackiego, tylko zamęt, a niewiele go nauczy.

Panu Chmielowskiemu mniej się podoba badacz sumienny, dochodzący do źródeł, z których ten lub ów poeta czerpał barwy do swych obrazów i zbierający szczegóły życia autorów, a więcej przypada do smaku krytyk odznaczający się pięknością stylu i bystrym polotem myśli. U nas inaczej! Wychowano nas w tem przekonaniu, iż swojskiej literatury nie można badać, nie znając jej łączności z literaturami cudzoziemskiemi; że sumienność w badaniu i dochodzenie do źródeł jest najświętszym obowiązkiem krytyka! O stylu pamiętamy, ale cały trud nasz poświęcamy sumienności w badaniu. To jest cechą i chlubą wychowańców seminaryów dla filologii polskiej, a przedewszystkiem wychowawców krakowskiego seminaryum dla filologii słowiańskiej, profesora d-ra Lucyana Malinowskiego, tudzież lwowskiego seminaryum dla historyi literatury polskiej, d-ra R. Pilata. Nad wszystkie krytyczno-literackie romanse, snute przez p. Ferdynanda Hösicka na tle życia Słowackiego lub Krasińskiego, stawiamy wyżej pracę d-ra Tadeusza Sternala: „O Przedświcie Z. Krasińskiego“, bo praca ta rozświetla stosunek „Przedświtu“ do Cieszkowskiego „Prolegomena“ [1].

[1] St. Tarnowski o Z. Krasińskim, str. 428; praca p. Sternala wyszła w Krakowie r. 1891.

O pracy zaś p. Sternala niema wzmianki w „Zarysie“. Prace prof. L. Finkla: „Poselstwa Jana Dantyszka“, „Mikołaj Sęp Szarzyński“, „O pieśni legionów“, „O Odzie do młodości“, to przecież również ważne przyczynki do dziejów naszego piśmiennictwa.

Nie jest bynajmniej moim zamiarem zebrać to wszystko, co p. dr. Chmielowski w pracy swej opuścił, a co mi się „charakterystycznem“ wydaje. Przestudyowanie *Przeglądu bibliograficznego*, „Historyi Uniwersytetu lwowskiego“ [1] i „Kronik Uniwersytetu krakowskiego“, dostarczyłoby do takiego spisu opuszczonych dzieł i autorów materyału tak wiele, że ta recenzya mogłaby objętością dorównać „Zarysowi“. Wtedy jednak możnaby mi było zrobić zarzut, że rozminąłem się z zastrzeżeniem p. d-ra Chmielowskiego, że „ani spis dzieł“, ani „katalog autorów nie stanowią dziejów literatury“. Wytknąłem to, co najbardziej podpadło uwadze. Krępowałem się tem, by mnie nie posądzono, iż tych lub owych autorów z osobistych jakichś przyczyn na pierwszy plan wysuwam, a innych znowu znaczenie staram się przedstawić mniejszem. Musiałem wreszcie o tem pamiętać, że p. dr. Chmielowski nietylko przez wielu uznany jest za największą powagę, ale, co rzecz ważniejsza, bywa surowym, używającym dosadnych określeń krytykiem, czem wypowiedzenie o sobie sądu prawie uniemożliwia. Przykre było wrażenie jednak, jakiego doznawali ci wszyscy, co myśleli, iż trzecie wydanie „Zarysu“ będzie przynajmniej tem, czem było wydanie pierwsze, że przyniesie wiadomości więcej z bieżącej literatury, niż ich podało ostatnie wydanie Kuliczkowskiego „Literatury polskiej“ z r. 1891. Niestety! prócz tego, co było dobrem w dwu pierwszych wydaniach „Zarysu“, w trzeciem nic prawie niema nowego, prócz niekompletnych spisów autorów i pobieżnego streszczenia sądów o tychże autorach i to sądów wypowiedzianych po większej części już poprzednio przez p. d-ra Chmielowskiego w jego sprawozdaniach literackich.

Jeżeli na str. 192 „Zarysu“ czytamy, że *Głos*, *Kuryer lwowski*, *Stany*, *Naród*, *Robotnik*, *Nowy Robotnik* i *Naprzód*, „szły w kierunku skrajnym“, to tłumaczymy sobie tem, że p. dr. Ch. nie mógł tych pism czytywać w Warszawie, skoro *Naród*, który się potem w *Stany* przemienił, pismo od początku swego istnienia antysemickie i chrześcijań-

[1] Rzecz dziwna, że w „Zarysie“ o „Historyi Uniwersytetu lwowskiego“, napisanej przez d-ra A. Finkla i d-ra St. Starzyńskiego, niema wzmianki, a wyszła ona jeszcze w r. 1894, więc w okresie omawianym w „Zarysie“.

skie (o ile antysemityzm granic chrześcijanizmu nie przekracza), postawił w jednej linii z żydowskim *Naprzodem*. Gdy jednak w „Zarysie“, i to w tej części, którą szanowny autor zna najlepiej, bo w rozdziale traktującym o dziejach naszej literatury, znachodzimy te braki, które wykazałem, pytamy się po co tak długie wzmianki o tylu dziełach, chwalonych i znanych tylko w Warszawie? Czyż nad wszystkie prądy partyjnej polityki polskiej nie jest to „charakterystyczniejsze“ w naszej literaturze, że Mickiewiczem zajęli się Rusini i że dr. E. Ogonowski, dr. J. Tretiak i dr. Kolesza ogłosili prace o wpływie Mickiewicza na poezyę Szewczenki, o Mickiewiczu w literaturze rusko-ukraińskiej, o wpływie poezyi małoruskiej na Mickiewicza.

L. M. Dziama.

Ideał wszechludzki, w poezyi spółczesnej, *Cezary Jellenta*. Tom I. Kraków, Gebethner i Spółka 1894.

Rozbrat między osobistem usposobieniem a realnemi życia warunkami, niezdolność sharmonizowania z niemi swego własnego wybujałego indywidualizmu i rodząca się stąd walka przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy i myśli: oto częste choć wcale niekonieczne i miary wielkości niedające zjawiska w duszy poetów. Tym z pomiędy synów muzy, którzy wojenną swą lutnię na ton gwałtownego protestu nastroiwszy, nietylko, że potępiają spółczesny ustrój ludzkości, ale zrywają się przeciwko wszystkim powagom, które wieki, cywilizacya i rozum nauczyły nas szanować, poświęca p. Jellenta swoją pracę, której pierwszy tom ukazał się niedawno na półkach księgarskich. Dzieli on ich na dwa rodzaje zupełnie od siebie odrębne: pessymistów istotnych, *à la* Musset, dochodzących w swej negacyi do ogólnej nicości, i prometeistów, którzy przecząc twierdzą, obok negacyi otaczających warunków bytu dobitną podnoszą affirmacyę wymarzonego ideału, słowem poetów czynu w przeciwieństwie do tamtych, których małodusznymi egoistami nazywa. W pierwszym rzędzie zajmuje się autor lordem Byronem i twierdzi, że byronizm, jako najpotężniejsze zjawisko duchowe stulecia, nie zniknął jeszcze z naszego wewnętrznego horyzontu, że w podwaliny naszej natury wsiąknął duch twórcy Manfreda, słowem, że istota tego kierunku żyje i trzeba się nad nią zastanawiać. Rozbierając dalej pierwiastki twórcze angielskiego wieszcza, przedstawia wielkość jego geniusza, unosi się nad energią, z którą ujawniają się dwa żywioły, wypełniające treść byronizmu: żądza szczęścia i żądza

siły jako pierwszego rękojmi. Dalej słyszymy, że wyuzdanie ambicyi Byrona wypływa z poczucia wyższości, zmysłowość jego z bezmiernej, nadludzkiej wrażliwości. Tak autor książki. My znajdujemy, że wrażliwość, choćby największa, inną może i powinna znajdować formę ujawniania się, jak rozpustę w całem tego słowa znaczeniu; że przeciwnie wrażliwość taka, jeżeli chce jej się osobne prawa przyznawać, do najdoskonalszego poczucia estetycznego, o ile nią rozum kieruje, doprowadzićby musiała, poczucia, któremuby życie i czyny nie zaprzeczały. Ale oczywiście, gdy mowa o ludziach negujących nietylko prawa ludzkie, znikome i ułomne, ale nawet prawa boskie, trudno wymagać innej normy zasad, jak te, które własna fantazya, lub namiętność dyktują. Cały ten panegiryk Byrona — nie jego talentu, bo nie on przedmiotem jest rozprawy — ale właśnie jego prometeizmu, opiera się na podstawach, każdemu człowiekowi, który jakąś władzę wyższą nad siebie uznaje, wprost przeciwnych. Autor, o epoce encyklopedyi i zrodzonej przez nią wielkiej rewolucyi, wyraża się jak o chwili wschodu złotego słońca wolności na ciemny od przesądów widnokrąg ludzki, bo „gdy raz przestano się łechtać rojeniami o nagrodach przyszłych, wtedy siła życiowa pragnęła się na jaw wydobyć“. Wtedy także nastąpiło wyzwolenie z pod jarzma „czarnej międzynarodówki“ (Kościoła), z pod jej „formułki prawowiernej“ hen ku górze, ku wyżynom wolnego ducha. Jak na tem wyzwoleniu ludzkość wyszła, wiemy. Czego dokazał prometeizm, gdzie jest pozytywne dzieło, które zbudował; gdzie port, do którego skołataną łódkę ludzkości doprowadzić zamierza — tego nie widzimy, bo go nie ma, a prometeizm prowadzi ludzkość (o ile ją prowadzi) tam, skąd sam wyszedł, do negacyi istotnego celu i przeznaczenia człowieka.

Po Byronie ukazuje nam książka sylwetkę duchową Shelley'a, dalej Leopardi'ego i pani Ackermann. W duchu Shelley'a upatruje p. Jellenta syntezę przyszłości, nad którą trapi się i męczy ponura wróżka z wesołej Nizzy, pytając: „jakiż to ideał, do którego dąży natura po przez niezliczone wieki i nieskończone formy?“ Ideał ten jasny i stanowczy; racyę bytu i cel jego pokazać tylko mogą wiara i rozum, jako i sposoby dostania się do niego, ujęcie w karby własnej natury, by ona nie przeszkadzała duszy zwracać się tam, gdzie jej prawdziwa ojczyzna. W chrześcijaństwie leży prawdziwy prometeizm, prawdziwa dążność do odrodzenia, a drogę do tego widzi ono w pracy i modlitwie, nie zaś w dzikim szale, lub czarnej melancholii. Jak drzewo szczepienia potrzebuje, by szlachetne rodzić owoce, tak i ludzkość

z poza siebie potrzebuje czynnika łaski, by rozwijać się zgodnie ze swem przeznaczeniem. O ile te nadprzyrodzone czynniki odrzuca i na przyrodzonych podstawach nieśmiertelne dzieło budować pragnie, tylekroć wydaje ta piękna, ale nieszczepiona roślina, marne głogi i ciernie.

F. M.

Prawo a bezprawie w zaborze rosyjskim. Przez *Dr. X.* We Lwowie. Nakładem B. F. Lewieckiego (w 8-ce str. 167).

Autor mówi w tej książeczce o tem, jak w Rosyi prawo, gdy tylko spotyka się z ideą polityczną, musi jej ustępować, a tem samem stawać się ulegalizowanem bezprawiem. Szkoda jednak, że i sam autor pod słowem „prawo“ coś nieprawdziwego rozumie, bo tylko „wyraz zbiorowej woli społeczeństwa“ (str. 1).

W pierwszym rozdziale wyświeca się bezprawie względem katolickiej religii. W drugim mówi się o gwałceniu praw naszych politycznych, począwszy od r. 1815. Dalej idzie bezprawie w stosunkach prawniczych i w sądownictwie. Czwarty rozdział mówi o takiemże bezprawiu w szkolnictwie. Piąty specyalnie o Unitach. Szósty o bezprawiach administracyi i policyi.

Rzecz napisana z werwą, ilustrowana jaskrawemi ale prawdziwemi przykładami, jednak nie bez pewnej dozy goryczy. Dla Loris-Melikowa i Sołowiewa np. autor nie znajduje ani jednego słowa uznania.

Zresztą rozprawkę tę czyta się z wielkiem zajęciem. Tylko nakładcy i drukarni zarzucić trzeba pewną niedbałość w korekcie nazwisk polskich miejscowości. Pułtusk np. wydrukowano Pudłusk a Ciechocinek Czechocnik, i to nie w jednem miejscu.

Ks. H. P.

Z dziejów rosyjskiej cenzury. *Dr. Józef Tretiak.* W Krakowie, w drukarni „Czasu“. 1894.

Broszura ta jest sprowozdaniem z książki pisarza rosyjskiego A. M. Skabiczewskiego p. t.: „Zarysy historyi rosyjskiej cenzury“ *(Oczerki istoryi ruskoj cienzury).* Na początku zaznacza dr. Tretiak, z powodu możliwości ukazania się tak liberalnie napisanej książki, różnicę w traktowaniu przez cenzurę rosyjską wydawnictw polskich i rosyjskich. Dla książek rosyjskich cenzura złagodniała, to jeden powód, dla którego dzieło p. Skabiczewskiego pozwolono drukować; dru-

gim jest ten, że dzieje cenzury doprowadzono w wspomnianem dziele tylko do r. 1863, że z rzadka tylko wspomniano w niem o narodowości polskiej i małoruskiej.

Po tem wyjaśnieniu następuje streszczenie książki. Za Piotra W. cenzury nie było, oprócz bowiem wydawnictw rządowych, nie pojawiały się żadne inne. Cenzura powstaje dopiero za Elżbiety, a pisarze denuncyują się przed nią nawzajem. Za Katarzyny II. otwarto szeroko wrota literaturze zagranicznej; prąd ten liberalny trwał jednak tylko do r. 1785. W tym roku powstaje reakcya, wzmaga się coraz bardziej i trwa aż do śmierci carowej. Prześladowano początkowo mertynistów, głoszących czystość serca i obyczajów; później zwrócono się także przeciw encyklopedystom: poczęto palić książki, karać autorów i wydawców, zamykać loże masońskie, a tworzyć kluby, w których odbywały się szalone orgie, wreszcie zniesiono wolne drukarnie. Za panowania Pawła „cenzura — powiada p. Skabiczewski — wystąpiła z brzegów; nie poprzestawała już na samej prasie, ale wtargnęła we wszystkie zakresy życia, zaczęła czuwać nad każdem słowem, nad każdym krokiem ludzi, starając się przeniknąć najskrytsze myśli, nakładając swoje *veto* nawet na takie drobiazgi, jak krój i kolor odzieży“. O samowoli i zmienności Pawła świadczy najlepiej sprawa Augusta Kotzebuego i Kapnista. W owych czasach wydano osobny wykaz wyrazów, których nie wolno było używać w literaturze: zamiast „sierżant“ trzeba było pisać „unteroficer“, zamiast „ojczyzna“ — „państwo“ i t. p.

Za Aleksandra I. zniesiono zakaz przywożenia książek z zagranicy, cenzura stała się liberalną, powierzono ją bowiem profesorom uniwersytetu, była jednak zmienną i stosowała się do wypadków politycznych. Liberalizm ten trwa do r. 1811, potem niknie powoli, aż w r. 1816 znikł zupełnie; cenzura stała się zależną od ministeryum policyi, poszła na usługi mistycyzmu. Krasowski np., członek petersburskiego komitetu cenzury, zakazał drukowania artykułu: „O szkodliwości grzybów“, bo „grzyby są postną potrawą prawosławnych; pisać o ich szkodliwości, to znaczy zachwiewać wiarę i szerzyć niedowiarstwo“. W Polsce współcześnie „cenzura była daleko liberalniejszą i rozumniejszą, a to dzięki temu, że cenzorami bywali tacy profesorowie, jak: Grodek, Lelewel, Borowski i inni“... Po upadku prądu mistycznego, cenzura zwróciła się przeciw mistykom, ale literatura świecka nic na tem nie zyskała. Podczas panowania Mikołaja cenzura „rozwinęła się, rozrosła w potężne drzewo, rozciągnęła konary swoje na całe imperyum“. Każdy minister miał prawo pociągać do odpowiedzialności

cenzorów, wydawców, autorów; despotyzm nie znosi swobodnej opinii, najmniejszej krytyki nawet najniższej władzy, cenzorowie w ustawicznym strachu o swe posady, nie dozwalają, aby w fizyce mówiono o „siłach przyrody“ i. t. d. i t. d.

Po wojnie krymskiej nastała znowu era liberalna, w r. 1859 zaczęła wychodzić *Iskra*. Swoboda ta prasy, niczem nie zagwarantowana, ustaw bowiem cenzuralnych dawniejszych nie zniesiono, nie trwała długo, poczęto ją też ograniczać szczególnie w sprawach politycznych, cenzorów przydzielono w r. 1862 do ministeryum oświaty, a na ministeryum spraw wewnętrznych nałożono obowiązek czuwania, aby w druku nie pojawiło się nic przeciwnego nowowydanym przepisom cenzury. Chaos, jaki już przedtem panował w cenzurze, nowem rozporządzeniem został jeszcze powiększony, usunięto go wreszcie w r. 1863, w którym cenzura przeszła pod władzę ministeryum spraw wewnętrznych. Na tem kończy się książka p. Skabiczewskiego i sprawozdanie d-ra Tretiaka.

A. M. Kurpiel.

Zapatrywania polityczne Kaspra Miaskowskiego. Napisał *Leszek Marya Dziama*. Poznań 1895. Stronic 20.

W pierwszej części swej krótkiej rozprawki stwierdza p. Dziama, że Miaskowski jest „żarliwym katolikiem, gorącym patryotą i niewzruszonym stronnikiem króla“ (Zygmunta III.); od początków panowania Zygmunta III. uznaje go Miaskowski swym prawowitym panem, broni go, oświadcza się ostro przeciw zjazdowi jędrzejowskiemu, powstaje na urządzających ten zjazd. Boi się Miaskowski oligarchii, również jak monarchii absolutnej, za najlepszą formę rządu uważa tę, jaka jest w Polsce, gdzie król rządzi z senatem i ze sejmem. Chociaż był stronnikiem króla, nie podobała mu się wyprawa Zygmunta do Szwecyi i wojna szwedzka. Dymitrowi Samozwańcowi sprzyja poeta. Pragnie, aby Władysław przyjął koronę moskiewską i aby tam zasadził „Rzymski szczep wiary“. Występuje przeciw wszystkim rokoszom za Zygmunta, bo sieją niezgodę, a „niezgodą ginie, zgodą państwo stoi“. Pomimo monarchicznych uczuć, pisze Miaskowski pieśni na cześć Zebrzydowskiego i Herburta. P. Dziama tłumaczy to „uniżonością szlachcica przed potężnym magnatem“. Oto jest treść rozprawki, która nie dorzuca nic nowego do znanych przedtem zapatrywań Miaskowskiego.

A. M. Kurpiel.

Ze spraw śląskich. Napisał *Warszawiak*. Odbitka z *Gazety Narodowej*. Lwów 1895.

Zbyt długo było u nas za cicho o sąsiadującym o miedzę z Galicyą Śląsku Austryackim. Kiedy o Śląsku pruskim, o walce toczonej w Bytomiu, Raciborzu a w najnowszym czasie i w Opolu między niemieckim a polskim żywiołem pokazała się już niejedna ciekawa broszura i broszurka, to o tem, co się dzieje w Cieszynie i cieszyńskiem księstwie wiedzieliśmy niesłychanie mało. Dopiero poruszona żywiej w ostatnim czasie kwestya założenia gimnazyum polskiego w Cieszynie, zwróciła żywszą uwagę na te zachodnio-austryackie kresy; dopiero teraz, wśród najsprzeczniejszych informacyj, które zaczęły ze stron tych nadpływać, postawiono sobie pytanie: „Jak właściwie mają się rzeczy w Cieszyńskiem; kto rej tam wodzi; kto i jakie przedstawia interesa: kto właściwym przyjacielem i obrońcą polskiego ludu?“ Najbardziej wyczerpującą odpowiedź na wszystkie te pytania daje nam bardzo ciekawa broszura „Warszawiaka“, drukowana najprzód w *Gazecie Narodowej*. Ktobądź jest „Warszawiakiem“, skądbądź pochodzi i gdzie mieszka, zaprzeczyć mu niepodobna doskonałej znajomości śląskich spraw; podziękować mu należy za rzadką odwagę, z jaką rozwiał szerzone i utrwalone od wielu lat w Galicyi upodobania i uprzedzenia.

Co trzeba zrobić — pyta autor — w księstwie cieszyńskiem, co zrobić można i to zrobić bez pieniędzy, dobrą wolę tylko na pomoc wezwawszy, a czego się przecież nie robi? Można żądać faktycznego uznania języka polskiego za „drugi język krajowy“ jak w teoryi, wedle litery prawa jest uznany; można domagać się zaprowadzenia polskich szkół ludowych w setkach gmin; można rozwinąć w Cieszynie i we wszystkich niemal śląskich miastach agitacyę za wprowadzeniem żywiołu polskiego do rad miejskich; można i znowu wedle obowiązujących praw należy zmienić w bardzo wielu czysto polskich gminach urzędowy język niemiecki na język polski; można upomnieć się o polskie napisy na kolejowych stacyach; można w wydziałach, zastępujących galicyjskie rady powiatowe, w komitetach kościelnych i t. p. domagać się uwzględnienia języka polskiego przynajmniej jako owego „drugiego języka krajowego“ i t. d. Na to wszystko nie potrzeba nowych ustaw; na to trzeba tylko istniejące w życie wprowadzić. Czemu w życie nie wprowadzone? Bo śląscy przewodnicy, mówiący wiele po za granicami Śląska, o polskiej sprawie, o „narodowej walce“, na samym Śląsku o to wszystko się nie starają, jak nie starają się o pozyskanie ludu

dla wrzekomo bronionej przez siebie sprawy; nie myślą o zakładaniu prawdziwie ludowych stowarzyszeń, o zakładaniu stowarzyszeń robotniczych, opartych na polskim i katolickim gruncie; krótko mówiąc, nie mają nic przeciw temu, aby o nich dużo w polskich dzielnicach mówiono i pisano, ale miłego spokoju dla pięknych tych słówek nie myślą bynajmniej na szwank narażać.

Coś jednak trzeba było robić i dlatego kierownicy polscy na Śląsku ogłosili dogmat: „Polskie gimnazyum w Cieszynie, to rzecz najważniejsza, najpilniejsza". „Warszawiak" dowodzi, że jakkolwiek Polakom na Śląsku gimnazyum bez żadnej wątpliwości się należy, to zaczynać odrodzenie Śląska od zakładaniu gimnazyum bez poprzedniego wprowadzenia w życie innych punktów narodowego programu, znaczy „już nietylko budować od dachu, ale jeszcze budować ten dom na piasku".

Zupełnie to inaczej brzmi od odezw i programów, któreśmy dotąd czytali w naszych pismach, do których ucho się już przyzwyczaiło. „Warszawiak" wie o tem, i dlatego usprawiedliwiając swe poglądy i zarzuty, przedstawia kolejno najbardziej głośnych kierowników narodowej pracy na Śląsku; przedstawia dzieła przez nich rozpoczęte — i nie dokończone. Najsmutniejszą kartą jest tu „narodowy bazar", w który bezużytecznie wsiąknęło tyle polskich. pieniędzy. Czemu bezużytecznie, czemu wogóle nic na Śląsku się nie wiedzie? Bo sprawę narodową wzięło w ręce kilku Lutrów-liberałów, którzy na Śląsku toczą zacięty bój z katolicyzmem, bardzo mało o polski język, polskie szkoły, polską sprawę się troszcząc, a po za Śląskiem ubierają się w maskę żarliwych polskich patryotów. Dzięki ich usiłowaniom, rozrzerzyło się mniemanie, że na Śląsku protestanci są najlepszymi patryotami. Autor zbija obszernie i dosadnie tę bajkę; wykazuje faktami i cyframi, jak odmienne stanowisko zajmuje względem Polaków osławiony superintendent Haaze, a najniesłuszniej w świecie spotwarzony przez niektóre polskie gazety kardynał Kopp. „Ksiądz kardynał — pisze autor dosłownie — trzyma się w niektórych sprawach co najwyżej w rezerwie, ale niczemu nie przeszkadza, nigdzie nie szkodzi, w sprawch religijnych hojnie pomaga: zaś Haaze nie tai swej nienawiści dla polskości, głośno się z tem odzywa, protestuje przeciw wszelkiemu wymiarowi sprawiedliwości na Śląsku, grosza na nic nie da, chyba na *Nowy Czas*, którego dążności dla nas zgubne, już napiętnowaliśmy".

Dobrze, że znalazł się wreszcie ktoś, co prawdę bez ogródek wypowiedział; może raz cała prasa nasza ją zrozumie!

W następnych rozdziałach zapoznaje nas autor z kolei z urzędnikami, mieszczaństwem śląskiem, Czechami, arcyksiążęcą kamerą, wielką, jak ją nazywa, „komisyą kolonizacyjną“; zapoznaje nas z niewiastami na Śląsku, macierzą szkolną, towarzystwami ludowemi, zakładem Polek-Tercyarek; rzuca ogólne, nader słuszne uwagi o ruchu ludowym i w całej Polsce i w szczególności na Śląsku.

„Chcemy ratować Śląsk? — pyta w ostatnich wierszach, streszczających myśl przewodnią całej, równie sumiennej jak odważnej broszury. Dobrze — ale ratujmy go roztropnie, a co ważniejsza, skutecznie. Jedno rzucone hasło niech nas nie mami, niech w nas nie wpaja wiary, że przez dokonanie jednej sprawy — choćby nią nawet było polskie gimnazyum w Cieszynie — Śląsk będzie uratowany. Nie od dachu zaczęta budowa, ale od fundamentów rokuje trwałość!“

Ks. B.

Kroniki (1875—1878). Przez *Bolesława Prusa* (Al. Głowackiego). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1895.

Wierni czytelnicy „prusowych kronik“ — a kto ich w Warszawie nie czytał, kto o nich nie mówił? — zachwycali się dowcipem autora, różnorodnością poruszanych kwestyj; z niecierpliwością czekali, kiedy następna kronika się pokaże i dostarczy obfitego tematu do rozmowy. Nie brakło naturalnie i niechętnych „kronikom“; lecz kiedyż i komu, powtarzali na wyścigi przyjaciele p. Głowackiego, występującemu na publicznej arenie, niechętnych zabrakło? I wszystko dobrzeby było, i długo i długo przetrwałaby tradycya iskrzących się dowcipem prusowych „kronik“, gdyby najgorsi zdrajcy — serdeczni przyjaciele, nie wymogli na kronikarzu zebrania w jednym tomie i puszczenia w kurs rozprószonych w codziennym piśmie notatek. P. Prus nie zwierzał się nam wprawdzie, czy i wielu przyjaciół na zdradzie mu tu stanęło; ale kto z innych pism autora poznał, kto wgłębiał się w jego „Lalki“, „Emancypantki“, „Placówki“, nie może mieć w tym względzie wątpliwości. P. Prus za rozumny i za dowcipny, aby się nie domyślił, że sprawy, a raczej drobne sprawki, drobniutkie sprawieczki, które bawiły i poruszały Warszawiaków między 1875 a 1878 r., dziś dla nich samych przedstawiają mniej więcej tę wartość, co dla smakosza torty i ciastka z owej epoki. Jakąż dopiero wartość przedstawiać mogą dla tych, co nie mieli szczęścia stale przemieszkiwać w syrenim grodzie? A dowcipy na tle ówczesnych stosunków; a pociski rzucane na ludzi, których

nazwiska już dziś zapomniane: a morały o śniegu i deszczu nie zeszłorocznym, ale z lat 1875, 1876, 1877 i 1878? Nie! źle się serdeczni przyjaciele zającowi — przepraszam! (czemuż i mnie nie miałoby być wolno w nietrudny dowcip się zabawić) — źle się p. Prusowi przysłużyli!

E. H.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Saint François de Sales. Derniére édition de ses oeuvres, publiées par les religieuses de la Visitation d'Annecy. Genève, chez Tremblay, libraire-éditeur.

Rodzajność wpływu Świętych Pańskich nie zna granic czasu, nie kończy się z ich życiem. Wystarczy przypomnieć mnóstwo dzieł, powstałych w ciągu naszego stulecia pod ożywczem natchnieniem i wspomnieniem św. Wincentego á Paulo, św. Franciszka Salezego. Acz już trzeci wiek od ich zgonu upływa, smętny i mętny wiek XIX. co ma najlepszego, im zawdzięcza, w ich sercu i nauce zaczerpnął. Na razie pomijając „Konferencye św. Wincentego“ i stawiany przez nie wał ochronny przeciw społecznym zarazom, zastanówmy się nad pogrobowem działaniem wielkiego genewskiego biskupa. Za naszych czasów w poczet Doktorów Kościoła wliczony, na nasze też dni nie przestaje wywierać wpływu ożywczego i oświecającego. Owszem, wiek XIX. upatruje w św. Franciszku Salezym typ skończony nowoczesnego świętego, nadającego się do naśladowania współczesnym, stokroć nieraz lepiej i łatwiej od dawniejszych uosobień świętości. Dość wspomnieć olbrzymi rozrost dzieł salezyańskich, zakładanych po szerokim świecie świątobliwą ręką dom Bosca. Dalej powstanie we Francyi Oblatów i Oblatek św. Franciszka, misyonarzy zgromadzonych pod jego wezwaniem, stowarzyszeń rzemieślniczych oddanych przez pobożnego msgra de Ségur pod jego opiekę.

To też gdy na dniu 16 listopada 1877 r. papież Leon XIII. ogłosił św. Franciszka Salezego Doktorem Kościoła, cały świat katolicki z wzruszeniem przyklasnął postanowieniu najwyższego Namiestnika Chrystusowego. Rodzinne strony wielkiego biskupa, ojczysta jego Sabaudya, zapragnęła dać osobny wyraz powszechnej radości. Dwa mianowicie powstały projekta ku upamiętnieniu tego zdarzenia. Przedewszystkiem

w Thonon zabrano się do budowy wielkiej bazyliki w stylu gotyckim, która za cztery lata ma być ukończoną i poświęconą, co nie przeszkadza, iż dziś już w rozpoczętej świątyni odprawiają się nabożeństwa, upamiętniające przeróżne daty z apostolskiego zawodu św. Franciszka. I tak we wrześniu ubiegłego roku, pielgrzymi z całej genewskiej dyecezyi zeszli się święcić pamiątkę przybycia w te strony męża Bożego, który odzyskał dla prawdziwej wiary prowincyę, jadem herezyi zarażoną. Do piętnastu tysięcy osób wysłuchało mszy św. pod gołem niebem i napełniło mury nowo powstającej świątyni, aby łączyć się w pobożnej czci dla patrona tej krainy.

W tymże czasie i tejże myśli zakonnice Nawiedzenia Najśw. Panny, Wizytki z Annecy, powzięły myśl wystawienia swemu świętemu założycielowi pomnika osobnej doniosłości, nowem, zupełnem i ostatecznem wydaniem pism tego nowego Doktora Kościoła. Oczywiście uprzywilejowany od św. Franciszka dom ich zawierał rzadkie skarby archiwalne. Zabrały się skrzętnie do roboty pobożne córki św. Franciszka, a w osobie uczonego angielskiego benedyktyna, dom Mackeya, znalazły najlepszego i najsumienniejszego wykonawcę swych zamiarów.

Całość wydania obejmować będzie około ośmnastu tomów, z których po kilka corocznie się ukazuje, zadawalniając wymagania najbardziej pedantycznych erudytów. Pisma św. Franciszka, te mianowicie, które dotyczyły religijnych sporów i kontrowersyi, nigdy należycie nie były dotąd zebrane i wydane. Autor ich rozrzucał ziarna prawdy w ulotnych kartkach, plakatach i zeszytach. Tymczasem ten właśnie dział salezyańskiej spuścizny najlepiej usprawiedliwia wyrok Kościoła, czystością doktryny, oraz stanowczością dogmatyczną, wyprzedzającą niekiedy orzeczenia Kościoła, żeby tylko wspomnieć naukę o „nieomylności papieskiej", głośną podczas Soboru watykańskiego. W osobnej rozprawie o władzy najwyższego pasterza, św. Franciszek dobitnie powtarza, iż „Kościół boży potrzebuje nieodzownie nieomylnej powagi, rozstrzygającej w razie niepewności i wahania".

Uczona przedmowa do nowego wydania „Drogi do życia pobożnego", rozjaśnia historycznie powstanie owego „skarbu mądrych rad i wskazówek", jak tę złotą książeczkę nazywał Bossuet. Filotea, jak się pokazało, nie jest bynajmniej urojoną postacią. Żyła ona, znajdowała się wśród dalszej świętego biskupa rodziny, nazywała się Ludwika de Charmoisy. Z listów do niej pisanych przeważnie, urosła przedziwna książeczka, za wpływem Jezuity, O. Fourier, po raz pierwszy niegdyś

ogłoszona, odtąd w najróżniejszych wydaniach, we wszystkich językach świata drukowana. Traktat o „Miłości Bożej“ jest najwyższym wyrazem geniuszu i świętości genewskiego biskupa. Dzieje to wewnętrzne jego własnej duszy, dające mu najrzetelniejsze prawa do tytułu Doktora Kościoła. Darmo janzeniści i kwietyści próbowali z kolei naciągać doktrynę św. Franciszka do miary własnych obłędów. Uwydatnili tylko czystość jego nauki a mętność własnych pojęć.

Mnóstwo z wydanych dziś po raz pierwszy urywków salezyańskiej spuścizny, pochodzi ze zbiorów rodziny Chigi, do której należał Aleksander VII., ten z papieży, co św. Franciszka wyniósł na ołtarze. W dalszych tomach pojawić się mają akta procesu kanonizacyjnego, z obfitością mało znanych lub nieznanych ogólnie faktów. Obecnie przygotowuje się druk rozmów duchownych, kazań i korespondencyj. Ten ostatni dział należy do najbogatszych i najciekawszych. Literatura francuska dziwnie jest bogatą pod względem listowań. Dość wspomnieć nazwiska pani de Sévigne, Fenelona, De Maistre'a. Obok nich, często ponad nimi postawić można św. Franciszka Salezego. Ten uczeń Jezuitów, który w ich szkole wyszedł na pierwszorzędnego humanistę, posiadał w rzadkim stopniu zmysł delikatnego dowcipu, wdzięk wytworny stylu, pióro łatwe i malownicze. W chwili, gdy francuski język kształcił się dopiero i urabiał w formę nowoczesną, pisma genewskiego biskupa niemało się przyczyniły do tej roboty, oraz do upowszechnienia mowy, nabierającej odtąd międzynarodowej powagi i znaczenia. Listy świętego biskupa są nieprzebraną kopalnią analizy psychologicznej i historycznych wiadomości zarazem. Nie wszystkie są ściśle zamknięte w dziedzinie duchownego kierownictwa. Nie brak tam spraw potocznych lub potocznej uprzejmości. Bo też umiał nasz słodki święty stosować się do pojęć i poziomu najróżniejszych warstw społecznych i każdemu w miarę potrzeb i zrozumienia podawać słowo prawdy i żywota.

Na zakończenie tego pomnikowego wydawnictwa, córki św. Franciszka Salezego pragną znaleść biografa, któryby wyczerpnął ogrom wiadomości, wyłaniających się z pism świętego biskupa, oraz z tradycyi jego zatraconej rodziny. Obraz to będzie epoki, nietylko wizerunek męża bożego; dlatego pożądanem jest, aby napisaniem żywota św. Franciszka zajął się wytrawny dziejopis, umiejący ogarnąć apostolskie trudy, które Sabaudyę i kraj genewski ocaliły od herezyi.

Jednocześnie na cześć św. Doktora Kościoła pojawiło się nowe a niezależne wydanie „Drogi do życia pobożnego“, dokonane przez

p. Duclos w Montiers. Arcydzieło to erudycyi i typografii zarazem, uzupełnione ikonografią salezyańską. Wiek tedy, który uczcił w św. Franciszku powagę Doktora Kościoła, mnoży hołdy zaczerpnięte z jego własnej, tak bogatej spuścizny.

M.

Logica. In usum scholarum. Auctore *Carolo Frick S. J.* Cum Approbatione Rev. Archiep. Friburg. Friburgi Brisgoviae. Sumptibus Herder. 1893. VIII., 296.

Książka ta stanowi podręcznik logiki, napisany dla szkół filozoficznych o trzyletnim kursie, takich, jaką jest naprzykład wydział ściśle filozoficzny uniwersytetu gregoryańskiego w Rzymie. Według planu takich szkół, na pierwszy rok wypada logika wraz z metafizyką ogólną, czyli t. zw. antologią. Niniejsza zatem książka, przeznaczona dla rozpoczynających systematyczną naukę filozofii, spełniać ma zadanie właściwej propedeutyki do filozofii scholastycznej.

Podobnych podręczników logiki mieliśmy już bardzo wiele, wymienię tu np.: Tongiorgi'ego, Palmieri'ego, Liberatore'go, Schiffini'ego, Zigliarę. Wszystkie one ułożone są w ten sam mniejwięcej sposób, według tego samego planu, tych samych trzymają się głównych punktów wytycznych; rozchodzą się w zdaniach jedynie mniej ważnych, we wszystkich zaś zasadniczych, podstawowych w systemie filozofii scholastycznej, zgodnie idą ręka w rękę. Kto tych podręczników nie zna, może należyte wyrobić sobie o nich pojęcie na podstawie jednego z nich, np. na podstawie najnowszego, ułożonego przez księdza Karola Fricka T. J., z którego właśnie chcemy zdać sprawę.

Książka składa się z dwóch części, odpowiadających podziałowi logiki na dyalektykę i krytykę. O każdej z tych części pomówimy osobno.

W pierwszej części autor wykłada starą, doświadczeniem dwudziestoparowiekowem wypróbowaną, dyalektykę Arystotelesa, zawartą w jego Ὄργανον [1]. Wykład ten obejmuje trzy działy: pierwszy zawiera naukę o pojęciu, drugi o sądzie logicznym, trzeci o rozumowaniu i metodzie.

Na wielką pochwałę autora powiedzieć należy, że w poglądach swoich na nauczanie dyalektyki umiał być umiarkowanym. Z 300 stronic

[1] Tu należy przedewszystkiem: 1) Ἀναλυτικὰ πρότερα, 2) Κατηγορίαι, 3) Περὶ ἑρμηνείας, 4) Περὶ σοφιστικῶν ἐλέγχων. — Ἀναλυτικὰ ὕστερα odnoszą się raczej do krytyki, niż do dyalektyki.

swej logiki przeznaczył autor tylko 90 na dyalektykę, zatem mniej niż trzecią część. Wiadomo, że w czasach przekwitu scholastyki uczono dyalektyki latami całemi, że aż potrzeba było zakazów Stolicy świętej, aby pohamowano zapęd dyalektyczny, nie przekraczając pewnej liczby lat, na naukę dyalektyki przeznaczonych. Wiadomo również, że obecnie jeszcze panuje system (poza szkołami filozofii scholastycznej) trzymania się w nauce propedeutyki filozoficznej tej zasady, że prócz ułomków z psychologii doświadczalnej, kurs tej propedeutyki, ma się ograniczać litylko do dyalektyki samej. Stąd szanowny autor na tem większą zasługuje wdzięczność z naszej strony, że potrafił zachować tak pożądaną miarę, nie przeceniając doniosłości i nieodzowności suszenia młodocianych głów zbyt nieraz jałową formalistyką dyalektyczną.

Schodząc do szczegółów, zwrócimy uwagę na parę rzeczy, które — zdaniem naszem — mniej się udały szanownemu autorowi.

Z pewnością w kwestyach spornych trzeba usilnie wystrzegać się wszelkich z góry powziętych zdań i zapatrywań, w nauczaniu zaś trzeba unikać narzucania z góry zdań, zanim się nie wskazało dostatecznych podstaw do przyjęcia takiego zdania, a nie innego, skoro dopiero kiedyś, później w toku nauczania ma się z pośród różnych zdań wybrać jedno jakieś i uzasadniać je, zbijając zdania przeciwne. Tak np. jest kwestyą sporną u filozofów scholastycznych różnica stanu substancyi pewnej, przypadłego od samejże substancyi: czy, dajmy na to, różnica między ciałem w ruchu a jego ruchem jest w rzeczy samej, czy tylko w naszem pojęciu. Jednak autor zaraz na początku dyalektyki wspomina o tej różnicy jako o rzeczy niewątpliwej i zupełnie pewnej, mianowicie nawiasem narzucając własne zdanie [1].

W nauce „o podziale“ autor daje określenie części fizycznych i metafizycznych. Przez części fizyczne rozumieją scholastycy te części całości, które różnią się między sobą i od całości w rzeczy samej: części metafizyczne tylko w naszem pojęciu są częścmi, w rzeczywistości są jedną i tą samą rzeczą. Wiadomo, jak wielką grają rolę w filozofii scholastycznej kwestye o różnicach rzeczy i pojęć; niektórzy z scholastyków natworzyli tych różnic, jakoby w rzeczy samej tkwiących, bez liku i bronią ich zawzięcie, poświęcając na to niezmierny zasób zdolności i dowcipu. W określaniu samych pojęć owych różnic

[1] „Dicitur concretum physicum, quod est ex re eiusque determinatione accidentali realiter superaddita et distincta (vestitus, sedens)“. Str. 13.

należałoby starać się o wielką precyzyę i ścisłość, ażeby w dalszym toku nauki uniknąć wszelkich niepotrzebnych sporów, zawikłań i łączącej się z niemi straty czasu. Otóż w postawionem przez autora określeniu jednych i drugich części daje się uczuć pewien brak jasności i ścisłości, który może się odbić wtedy, kiedy już nadejdzie pora rozstrząsania jednej z bardzo wielu kwestyj, czy w danym przypadku zachodzi różnica w rzeczy, czy tylko w pojęciu.

Mówiąc o logicznej naturze hypotez, autor nie wspomniał wcale o t. zw. teoryach, nie wytłumaczył różnicy między hypotezą a teoryą. Wzmianki tej, samej w sobie bardzo pouczającej, domagał się wzgląd na potrzebę wyrobienia należytego pojęcia o naturze teoryj fizycznych.

Bez porównania ważniejszą od pierwszej jest druga część logiki, t. zw. krytyka, za przedmiot mająca czynności rozumu, o ile przez nie dochodzimy do poznania prawdy, o ile są one zdolne nas doprowadzić do wiedzy o rzeczach. Stąd też dokładniej zdamy sprawę z drugiej części książki szanownego autora.

Z trzech działów składa się krytyka: 1) o naturze prawdy i pewności logicznej, 2) o źródłach prawdziwego i pewnego poznania, 3) o ostatecznem kryteryum prawdziwego poznania.

Wytłumaczywszy, co rozumieć należy przez prawdę logiczną i błąd logiczny, zastanawia się autor nad tem, jaki akt rozumu zdolny jest prawdy i w jakim stopniu, również w jakim akcie rozum może pobłądzić, w jakim zaś nie. Po tych rozważaniach następuje rzecz o różnych stanach, w jakich może się rozum znajdować w dążeniu swem do prawdy. Z wszystkich tych stanów na szczególną uwagę zasługuje, rozumie się, stan pewności, jako końcowy w dążeniu do poznania prawdy. Stąd autor obszernie bada istotę pewności, jej rodzaje i stopnie, broni tej pewności przeciw zawziętym jej wrogom, czyli t. zw. sceptykom, wreszcie zastanawia się nad podstawą wszelkiej naszej pewności. Podstawę tę stanowią następujące trzy prawdy pierwotne, będące zarazem założeniem i początkiem wszelkiego możliwego filozofowania: fakt pierwszy czyli własne istnienie; zasada pierwsza, czyli zasada sprzeczności; warunek pierwszy, czyli zdolność rozumu do poznania prawdy. Te trzy prawdy należy uznać za bezwarunkowo pewne, niepotrzebujące i niedopuszczające dowodu, jeżeli się chce o czemkolwiek rozumować, czegokolwiek dowodzić. Wszelka możliwa filozofia musi zacząć swój żywot od uznania tych trzech prawd, nie kusząc się o ich dowód, gdyż taki dowód z góry musiałby przypuszczać prawdziwość tego, coby dopiero miało wypaść jako jego wynik.

Drugi dział krytyki obejmuje badania, odnoszące się do źródeł, z których czerpiemy poznanie prawdy. Źródeł tych jest pięć, mianowicie: świadectwo doświadczenia wewnętrznego czyli świadomości własnej, świadectwo doświadczenia zewnętrznego, pojęcie, rozumowanie, świadectwo innych. O każdem z tych źródeł poznania osobny jest rozdział, podający zakres prawd, które przez odpowiednie źródło można poznać, stopień ich pewności, nadto przepisy i warunki, którym w czerpaniu ze źródła należy zadośćuczynić.

W rozdziale o zmysłach, jako źródle prawdy, czyli o doświadczeniu zewnętrznem, znajdujemy odparcie idealistów, akosmistów. W rozdziale o pojęciach, jako źródle poznania, autor broni najprzód przedmiotowej wartości naszych pojęć przeciw urojeniom idealistów transcendentalnych i absolutnych; następnie w szczególności obszernie zbija system Kanta, osobliwie jego „Krytykę czystego rozumu"; dalej wykłada nader ważną naukę o pojęciach ogólnych, w której zbija nominalistów, konceptualistów, separatystów (broniących idei platońskich) i uniwersalistów formalnych, stawia zaś jako jedynie prawdziwy system realizmu umiarkowanego; wreszcie broni nieomylności sądów analitycznych bezpośrednich. Jak stąd widać, rozdział ten jest bardzo bogaty w treść, to też zajmuje poważną część książki, prawie trzecią część całej krytyki.

W trzecim dziale autor zbija najprzód błędne zdania co do ostatecznego kryteryum logicznego, następnie udowadnia własne swe zdanie, stawiające to kryteryum w „przedmiotowej oczywistości przedmiotu poznanego". Obrona tego zdania od zarzutów mu robionych, kończy całą krytykę.

Taką jest treść krytyki w najgrubszych zarysach. Forma wykładu jest ściśle scholastyczna. Rzecz cała przedstawiona w tezach, dowody tez w sylogizmach. Po każdej tezie następuje szereg mniejszy lub większy wniosków, uwag i odpowiedzi na zarzuty. Tezy opracowane są starannie i gruntownie. Styl odznacza się jasnością i zwięzłością.

Autor uwzględnia na każdym kroku najnowszych filozofów, z nauką ich rachuje się, o ile oczywiście odnosi się ona do logiki; zbija zdania przeciwne, odpowiada na ich zarzuty; przez to umożliwia uczącym się i ułatwia poznanie związku, jaki ma filozofia scholastyczna z innemi systemami filozoficznemi; wskazuje, w czem się od nich wyróżnia, w czem je przewyższa, w czem się z nimi zgadza.

Jeżeli na książkę będziemy patrzeli jako na szkolny podręcznik logiki, to stanowczo musimy wydać o niej sąd jaknajpochlebniejszy.

Autor wywiązał się ze swego zadania wyśmienicie, napisał podręcznik bardzo dobry, celowi odpowiadający zupełnie.

Na tem kończymy nasze uwagi ogólne. Co do szczegółów, to przynajmniej o niektórych wspomnieć nam wypada.

Dużo dobrych rzeczy autor zamieścił w traktacie o pewności logicznej. Jednak nie zgodzilibyśmy się na wszystkie zapatrywania szan. autora na ten przedmiot, a na niektóre z nich bezwarunkowo nawet nie możemy się zgodzić.

Autor uznaje tylko taką pewność za pewność właściwą, która ma miejsce w przypadku prawdy oczywistej. Wszelka inna pewność na to miano nie zasługuje. „Pewność podmiotowa i oczywistość podmiotowa nie różnią się od siebie w niczem, chyba w tem tylko, że jeden wyraz (oczywistość) bardziej oddaje jasność poznania, drugi, czyli pewność, oddaje bardziej siłę przekonania. Oczywistość przez się i na pierwszem miejscu mówi się o przedmiocie i jest widocznością samej prawdy przedmiotowej“ (str. 137). Na innem miejscu: „Ponieważ oczywistość przedmiotu jest powszechnem kryteryum prawdy i ostatecznym powodem wszelkiej pewności, przeto nie można uznać żadnej pewności (przyrodzonej) bez oczywistości przedmiotowej i stać należy przy jedynie prawdziwem zdaniu scholastyków. Zupełnie słusznie powiada Ptolemaeus: ‚nie ma żadnych aktów przyrodzonych, któreby były pewnemi, a jako takie nie byłyby tem samem oczywistemi‘; i Suarez: ‚jeżeli pewne, to i oczywiste“ (str. 286).

Wspomniemy mimochodem, że niesłusznie autor przypisuje powyższe zdanie scholastykom wogóle, gdyż poważna, może i przeważna ich część zdania tego nie podziela. Stąd zaś, że oczywistość poznania stanowi ostateczne jego kryteryum, wcale nie wynika twierdzenie autora. Prawdą jest, że wszelka nasza wiedza, wszelka pewność naszych przekonań i sądów, ostatecznie opiera się na poznaniu pewnych oczywistych prawd, które własnem swem światłem przyświecają rozumowi i oświetlają inne prawdy; ale ta oczywistość pierwszych jakichś prawd, stanowiących punkty wyjścia dla poznania innych, w szeregu rozumowań nawet najściślejszych, nie udziela się całem swem światłem wszystkim sądom pośrednim; prócz tego czem sąd jakiś od prawd owych oczywistych więcej jest oddalony w szeregu rozumowań pośrednich, tem mniej jaśnieje swą oczywistością. Rozumowania mogą być najściślejsze, założenia najdokładniej określone albo i najpewniejsze, wniosek zaś ostateczny wcale może nie zasługi-

wać na miano oczywistego, choć pewnym jest z pewnością. Wtedy tylko wniosek taki można nazwać oczywistym, jeżeli z przestanek oczywistych wynika w sposób oczywisty; choć już oczywistość takiego wniosku nie jest bezpośrednią, lecz pośrednią.

Z pomieszania pewności z oczywistością wynika wiele trudności nierozwiązalnych. Jeżeli rozum poznaje prawdę jakąś jako oczywistą, to nie może jej nie uznać, a wola nie jest w stanie wstrzymać rozumu od tego uznania. Jestto prawo psychiczne, najzupełniej stwierdzone doświadczeniem. Otóż, gdyby pewność wszelka była oczywistością, jak chce autor, to rozum bezwarunkowo musiałby uznawać za prawdę wszystko to, cobykolwiek poznał jako pewne, wola w żaden sposób nie mogłaby wpłynąć na rozum tak, aby uznania tego odmówił, o poznanej prawdzie wątpił, lub jej nie dowierzał. Tak jednak nie jest. Doświadczenie nas o tem poucza, że można być o prawdzie czegoś zupełnie przekonanym, a jednak jej nie dowierzać. Nieraz np. wiemy doskonale, że to i to ma miejsce, że tak jest, a nie inaczej; jeżeli jednak prawda jest tego rodzaju, że do żywego nas obchodzi, a związek jej z nami boleśnie, przynajmniej nie bez przykrości, odbija lub może odbić się na nas, to niejednokrotnie sami siebie łudzimy; wątpiąc w prawdziwość prawdy poznanej, wmawiamy w siebie, że tak nie jest, że to a to nie ma czy nie miało miejsca, chwytamy się wszelkich pozorów, zdających się przeciw owej prawdzie przemawiać. Matka np. jest najzupełniej przekonana, że choroba jedynego dziecka jest śmiertelna, że nie masz żadnej nadziei, jednak prawdy tej uznać nie chce, łudzi się błahemi pozorami, pociesza się myślą, że może jednak tak źle nie jest, jak orzekli lekarze, pomimo tego że o bezzasadności podobnej myśli mocno jest przekonana. Podobnych przykładów mnóstwo moglibyśmy przytoczyć na potwierdzenie tej prawdy, że można być pewnym czegoś, być o czemś mocno przekonanym, a jednak tego nie uznać; jeśli zaś rzecz jest zupełnie oczywista w ścisłem tego słowa znaczeniu, to bezwarunkowo nie można jej nie uznać.

Trudność wspomniana wzmaga się niesłychanie, jeżeli naukę autora o naturze pewności zastosujemy do pewnej kwestyi teologicznej. Nikogo to nie powinno razić, że żądamy od zdania filozoficznego tego, aby nie było w sprzeczności z nauką teologiczną. Gdyby taka sprzeczność w czemkolwiek się okazała, to albo filozofia albo teologia byłaby co do tego punktu w błędzie. Jeżeli zaś skądinąd jest rzeczą

pewną, że ta i ta nauka teologiczna jest prawdziwa, to tem samem przeciwne jej zdanie filozoficzne prawdziwem już nie jest z pewnością. Nigdy zatem nie może być sprzeczności między filozofią prawdziwą a teologią prawdziwą. Owszem, filozofia ma być pochodnią rozumu przyrodzoną we wszystkich innych dociekaniach umysłu ludzkiego, we wszystkich innych naukach i umiejętnościach; zatem i teologia z światła tej pochodni ma prawo korzystać, filozofia ma obowiązek temu prawu zadosyćuczynić.

Owoż według teologii, co więcej, nawet według objawionej nauki Kościoła, akt wiary nadprzyrodzonej jest aktem intellektualnym, wzbudzonym pod wpływem i na głos wolnej woli, wzmocnionej — prawda—łaską nadprzyrodzoną, ale zawsze wolnej; stąd też akt wiary nadprzyrodzonej jest czynem, zasługującym na żywot wieczny. Z drugiej strony wiadomo jest, że każdy akt wiary nadprzyrodzonej jest wnioskiem, wynikającym z takiego rozumowania: jeżeli nieomylny i omylić nas nie mogący Bóg objawia nam prawdę jakąś, to tę prawdę można i należy uznać; — ponieważ zaś tę i tę prawdę rzeczywiście Bóg objawił, przeto należy ją uznać. Uznanie tej prawdy, objawionej dla powagi Boga objawiającego, stanowi właśnie istotę aktu wiary. Przestanki, z których akt wiary jako wniosek rozumowania wynika, obie są najzupełniej pewne (w przypuszczeniu, że sam fakt objawienia zupełnie został stwierdzony i udowodniony), ściśle udowodnione, rozumowanie zupełnie ścisłe, a więc i sam wniosek równą się cieszy pewnością. Gdyby zatem teorya autora była prawdziwą, to przestanki byłyby oczywiste, rozumowanie oczywiste, a więc i wniosek również byłby oczywisty. Wtedy jednak wniosek byłby konieczny, rozum musiałby prawdę ową objawioną uznać, wola uznaniu temu sprzeciwićby się stanowczo nie mogła, akt wiary nie byłby wolnym.

Autor wcale temu nie przeczy, że oczywiste są przestanki wspomnianego rozumowania, oczywiste samo rozumowanie i oczywisty tego rozumowania wniosek, na którym polega akt wiary; mimo to jednak twierdzi, rozumie się, że sam akt wiary, będąc oczywistym, nie przestaje być wolnym, owszem powiada, że ten akt jest najzupełniej wolny *(liberrimus)*. W taki sposób autor rozwiązuje poruszoną przez nas trudność: „Należy zauważyć, że nawet zupełnie przyjąwszy naszą tezę, w prawdziwem i właściwem znaczeniu, można wszelką taką pewność nazwać w o l n ą, która nie pochodzi z o c z y w i s t o ś c i b e z p o ś r e d n i e j. W takim bowiem razie potrzebną jest uwaga umysłu, w której wola może przeszkodzić, owszem której najczęściej umysł

mieć nie będzie bez wpływu woli. A więc i w takim przypadku sama pewność będzie wolną pośrednio *(reductive seu in causa)*" (str. 140).

Sądzimy, że rozwiązanie to jest niewystarczające i z prawdą niezgodne. Wolność aktu wiary nie polega na wpływie woli w dochodzeniu do poznania tych prawd, na których opiera się rozumowanie, doprowadzające do aktu wiary; ale wolność ta jest cechą nierozłączną aktu wiary, do istoty jego należącą: sam akt wiary jako taki jest wolny. Gdyby owo rozumowanie było oczywiste, akt wiary nie mógłby być wolnym. W tej kwestyi nie chodzi o tę wolność, jaką mamy w pozyskaniu odpowiedniej wiedzy, w zwróceniu i skupieniu uwagi należytem, w wyszukiwaniu zarzutów przeciwnych — jakby chciał autor [1]; — tutaj chodzi o wolność uznania za prawdę tego, o czem najzupełniej jesteśmy przeświadczeni. Przekonawszy się drogą ścisłego rozumowania o tem, że prawdziwość pewnego objawienia uznać należy, że wątpić o prawdzie objawionej byłoby nieroztropnością, możemy albo rzeczywiście skłonić nasz rozum do bezwarunkowego uznania danej prawdy objawionej, albo też możemy rozum od tego uznania powstrzymać, możemy zdecydować się na nierozsądne wątpienie o prawdziwości danego objawienia.

W taki sposób doskonale da się wytłumaczyć wolność aktu wiary. Według tego tłumaczenia akt wiary nadprzyrodzonej sam w sobie jako taki jest wolny; według tłumaczenia autora akt wiary jako taki nie byłby wolny, do wzbudzenia jego rozum byłby zniewolony oczywistością poznania.

Zupełnie też myli się autor, gdy twierdzi, że „rozum poznając w sposób oczywisty, iż wszelka wątpliwość o pewnej prawdzie a stąd i wszelkie zawieszenie sądu jest nierozsądne czyli przeciw rozumowi, nie może nie uznać tej prawdy" (str. 287). Twierdzenie to nie jest zgodne z doświadczeniem i nie uwzględnia dostatecznie tego wpływu, jaki wywiera wola na poznawanie rozumu i wydawanie sądów.

Nie możemy dalej się zapuszczać w tę kwestyę, dlatego pomi-

[1] „Certitudo autem (naturalis) de veritatibus mediatis, i. e. sive ratiocinio sive auctoritate cognitis, vero aliquo sensu potest dici libera non quidem directe et formaliter, sed reductive et in causa; scl. non quidem mens est libera in assensu praestando aut cohibendo, quamdiu actu evidenter perspicit sive ratiocinii sive auctoritatis vim legitimam; sed potest libera voluntas mentem aut ab attentione ad haec motiva revocare aut ad quaerendas et attendendas rationes contrarias impellere". (Str. 289).

jamy inne zarzuty przeciw wspomnianej teoryi, jakoteż szczegóły tej teoryi i obronę ich przez autora.

W tezie XI-ej autor udowadnia między innemi, że tych trzech prawd pierwotnych, stanowiących podstawę wszelkiej pewności (istnienie własne, zasada sprzeczności, zdolność rozumu do poznania prawdy), dowodzić nie można, gdyż wszelkie dowodzenie na tych prawdach się opiera. O każdym z tych pewników wykazuje to autor zosobna. Mówiąc o pewniku istnienia własnego, wypadało wspomnieć o owem słynnem kartezyuszowskiem *Cogito, ergo sum*. To też autor robi wzmiankę o tem adagium, ale w taki sposób, na który nie możemy się zgodzić, choćby z tego względu, że rzuca fałszywe światło na zrozumienie nauki samego Kartezyusza. To zdanie „myślę, więc istnieję", nazywa autor nasamprzód rozumowaniem, powtóre sofizmatem, zwanym *petitio principii* [1]. Sam Kartezyusz wcale nie uważał zdania powyższego za r o z u m o w a n i e, a więc wolnym jest od zarzutu nader ciężkiego, że, stawiając to zdanie, sprzeniewierzył się w krzyczący sposób zasadom zdrowej logiki.

Jak najwyraźniej Kartezyusz powiada, że istnienie własne jest jedyną prawdą, o której nie można wątpić, gdyż samo to wątpienie jest potwierdzeniem tej prawdy [2]; istnienie własne uważa jak najwyraźniej za pewnik, dowodu ani niepotrzebujący ani niedopuszczający. Żeby się o tem przekonać, wystarczy przeczytać pierwsze rozdziały *Meditationum i Principiorum philosophiae*. Tak np. powiada Kartezyusz: „Jestto niedorzecznością sądzić, że to, co myśli, w tym samym czasie, w którym myśli, nie istnieje. A zatem poznanie tej prawdy, m y ś l ę, w i ę c i s t n i e j ę, jest ze wszystkich najpierwsze i najpewniejsze". *(Princ. phil. parte 1)*. Stąd wynika, że Kartezyuszowi nawet się nie śniło uważać swego adagium za rozumowanie.

[1] „Factum primum seu existentia propria aliter demonstrari non posset nisi aliquam propriam affectionem in praemissis affirmando, v. g., cogito, ergo sum; a t q u i haec argumentatio est manifesta petitio principii; cogito enim non solum virtualiter, sed formaliter implicite dicit, sum cogitans". (Str. 163—164).

[2] „Sed mihi persuasi, nihil plane esse in mundo, nullum coelum, nullam terram, nullas mentes, nulla corpora; nonne igitur etiam me non esse? i m o c e r t e e g o e r a m s i q u i d m i h i p e r s u a s i... adeo ut statuendum sit hoc pronunciatum, E g o s u m, e g o e x i s t o, quoties a me profertur, vel mente concipitur, necessario esse verum". Poznanie tej prawdy nazywa n a j o c z y w i s t s z e m: „Quam (cognitionem) omnium certissimam evidentissimamque esse contendo". Medit. II.

Znakomicie nasze zdanie potwierdza zły filozof, ale bardzo dobry komentator „Zasad filozofii“ kartezyuszowskiej, Spinoza. Otóż Spinoza udowadnia, że tego zdania „myślę, więc istnieję“, bezwarunkowo nie można uważać za rozumowanie, za syllogizm; dowód zaś przeprowadza na podstawie własnych zasad Kartezyusza, całkiem w myśl jego [1].

Nie chcąc z recenzyi robić całej rozprawy, ograniczamy ją do powyższych uwag. Na zakończenie ośmielamy się polecić książkę ks. Fricka tym wszystkim, którzy w łatwy sposób chcieliby zapoznać się z metodą i zasadami filozofii scholastycznej, tak mało obecnie znanej a tak wielce fałszywie przedstawianej.

Ks. S. Kobyłecki.

[1] „Verum enim vero circa hoc fundamentum hic apprime notandum, hanc orationem, dubito, cogito, ergo sum, non esse syllogismum, in quo major propositio est omissa. Nam si syllogismus esset, praemissae clariores et notiores deberent esse, quam ipsa conclusio, ergo sum, adeoque ego sum non esset primum omnis cognitionis fundamentum; praeterquam quod non esset certa conclusio: nam ejus veritas dependeret ab universalibus praemissis, quas dudum in dubium Autor revocaverat: ideoque Cogito, ergo sum unica est propositio, quae huic, ego sum cogitans, aequivalet“. *(Principia philosophiae cartesianae.* Pars I. *Prolegomenon).*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kwestya wschodnia i kwestya socyalna. — List papieski do biskupów belgijskich. — Listy do generała Assumpcyonistów i generała Jezuitów. — Chińskie rzezie. — Węgierski kulturkampf.

KWESTYA WSCHODNIA I SOCYALNA.

Dwie kwestye na pierwszy plan dziś się wysunęły: kwestya wschodnia i kwestya socyalna; cóż dziwnego, że Leon XIII., „mąż najlepiej rozumiejący potrzeby swego czasu“ — aby użyć słów najzaciętszych skądinąd przeciwników katolicyzmu — w tych dwóch właśnie kierunkach pracuje ciągle a wytrwale? Główne linie wielkiego swego, prawdziwie „katolickiego“ programu, zaznaczył Ojciec św. w dwóch epokowych encyklikach: o sprawie socyalnej i o zjednoczeniu wszystkich chrześcijan w jedności wiary; obecnie każdego miesiąca, każdego rzec można tygodnia, wyłożony poprzednio program uzupełnia, teoryę sprowadza do praktycznego życia. Katolicką naukę socyalną, zawartą w encyklice *Rerum novarum*, tłumaczy i dalej rozwija, datowany 16 lipca b. r. list do biskupów belgijskich; naturalnem uzupełnieniem zeszłorocznej „Apostolskiej konstytucyi o zachowaniu i obronie obrządków wschodnich“ są instrukcye wydane pod adresem generała Jezuitów, O. Martina, i generała francuskich Assumpcyonistów, O. Picarda.

LIST DO BISKUPÓW BELGIJSKICH.

„Kwestya socyalna — odzywa się Ojciec św. bezpośrednio do biskupów belgijskich, pośrednio do całego katolickiego świata — trudną jest do rozwiązania sama z siebie, a z większemi jeszcze trudnościami w Belgii połączona, z powodu różnych zdań, których w tej mierze samiż nawet katolicy się trzymają. Różność ta jest główną przyczyną, dla której nauki i wskazówki poprzednio przez nas dawane, nie przyniosły w Belgii takich owoców, jak gdzieindziej. Temu podziałowi na partye, nad wszelki wyraz niebezpiecznemu, koniecznie trzeba zaradzić. Niech więc biskupi zbiorą się jak najprędzej na kongres, na którym wspólnie sprawę całą ze wszech stronby rozpatrzyli i zastanowili się nad środkami, najodpowiedniejszemi do należytego pokierowania nią".

Po odbyciu tego zebrania — pisze dalej dosłownie Leon XIII. — z mniejszą trudnością i większą pewnością pomyślnych rezultatów, będziecie mogli w dyecezyach waszych zastosować należycie obmyślane środki, odpowiednie do pojedyńczych osób i miejscowości. Środki te w życie muszą być wprowadzone z pomocą wszystkich współobywateli w taki sposób, ażeby wszyscy katolicy w całym narodzie przywiązywali do nich jak największą wartość. Dążyć też trzeba do tego, aby akcya katolików wychodziła z jednego i tego samego punktu, i o ile możności, prowadzoną była na jednej drodze, aby wszędzie występowała jednozgodnie, a tem samem odznaczała się godnością i siłą, rozwijała się i przynosiła trwały pożytek. Osiągnąć to można jednak wówczas tylko, jeżeli katolicy — a na to kładziemy nacisk — pomijając prywatne opinie i prywatne interesa, zwrócą swoje dążenia wyłącznie ku rzeczom, które przynoszą widoczną korzyść dobru ogólnemu. Należy zatem religii oddawać cześć, a wtedy tkwiąca w niej, tak cudownie zbawienna siła stanie się skuteczną także w obywatelskiem życiu, tak prywatnem, jak publicznem. Trzeba dalej pogodzić powagę państwa z wolnością w duchu chrześcijańskim, aby królestwo wasze zostało wolne od rozterki i rozruchów, odzyskało spokój i bezpieczeństwo; trzeba, aby użyteczne urządzenia państwowe, przedewszystkiem atoli szkoły dla młodzieży, czyniły dalsze postępy; aby podniósł się handel i przemysł, zwłaszcza przez działanie stowarzyszeń, których przecież u was jest tak wiele z różnemi celami, a których pomnożenie pod kierownictwem i błogosławieństwem religii jest nader pożądanem.

Bardzo ważnem jest jeszcze dążenie do tego, aby wszyscy z należytą uległością poddawali się mądrym zrządzeniom Boga, który tak ustanowił, aby w społeczeństwie ludzkiem istniała pewna różnica stanów, lecz zarazem chciał, aby przez przychylne wspólne postępowanie nierówność ta do pewnego stopnia się zacierała. I tak potrzeba, by wśród robotników nie brakło szacunku i zaufania do pracodawców; ci znowu nie mają nigdy zaniedbywać miłości, dobroci i troskliwości o robotników. Na tych punktach opiera się głównie wspólne dobro, o którego osiągnięcie należy się starać, stąd wypływają skuteczne pociechy dla życia ziemskiego, a zaskarbiają się zasługi na żywot niebieski. Jeżeliby katolicy zasady chrześcijańskiej mądrości przyjmowali z większą gorliwością i większą miłością i wzmacniali je swoim przykładem, natenczas łatwiej też osiągniętoby cel, którego pragniemy: aby ci, którzy, omamieni przez uprzedzenie lub pozory, zeszli z prawej drogi, znowu przyszli do upamiętania i na nowo zwrócili się pod opiekę i kierownictwo Kościoła.

Każdy katolik, który zarówno miłuje religię i ojczyznę, chętnie i radośnie podda się postanowieniom Waszej roztropności i przyjmie je ochoczo, w silnem przekonaniu, że najlepszem poparciem sprawy reformy będzie, jeżeli jej rozwój dokona się zwolna; to bowiem istotnie przyczyni się do utrwalenia stosunków i przyniesie większy pożytek. Ponieważ owe, przez nas tyle boleśnie odczuwane niedostatki są tak poważnej natury, że nie pozwalają na zwłokę w zastosowywaniu środków zaradczych, przeto jesteśmy tego zdania, iż bezzwłocznie należy rozpocząć dzieło uspokojenia umysłów. Dlatego życzymy sobie, czcigodni bracia, abyście w naszem imieniu katolików zachęcali i upominali, aby już teraz zupełnie powstrzymali się od wszelkich sporów i rozpraw nad tego rodzaju rzeczami, czy to na zebraniach, czy w dziennikach i tym podobnych pismach, przedewszystkiem zaś, aby zaprzestali wzajemnych zaczepek i aby nie krytykowali wyroków prawowitej władzy. Następnie mają wszyscy jednomyślnie i po bratersku starać się połączyć swoje działanie z waszem i dążyć do osiągnięcia pożądanego celu; duchowieństwo zaś, którego powinnością jest postępować ostrożnie wobec nowych opinij, ma przodować w uspokajaniu i pozyskiwaniu umysłów przez religię i ma przypominać i pouczać o obowiązkach chrześcijańskiego obywatela.

Pełen chwały lud belgijski od dawna otaczamy szczególną miłością i opieką; z drugiej strony lud ten sam, w którego duszy jeszcze żywo tkwi wiara przodków, złożył nam liczne dowody posłuszeństwa i miło-

ści. Z pewnością nasi katoliccy synowie przyjmą upomnienia i rozkazy, jakiemi staraliśmy się wzmocnić ich umysły, z tem samem usposobieniem i postąpią wedle nich jak najsumienniej. Nie dopuszczą oni bowiem niezawodnie do tego, aby wbrew długoletniej opinii o ich religijnej jedności, mogło powstać kiedykolwiek mniemanie, że sami lekkomyślnie, przez niezgodę zaszkodzili i obalili obecne publiczne stanowisko religii w kraju — stanowisko, któregoby pragnął niejeden naród. Mają raczej w jak najdoskonalszej jedności wytężyć całą siłę i roztropność w walce przeciw zgubnemu oddziaływaniu socyalizmu, z którego strony grozi notorycznie jak największe zło i szkoda. Nie przestaje on przecież gwałtownie podkopywać religii i ustroju państwowego; usiłuje codziennie zarówno naruszać prawa boskie, jak ludzkie, i niszczyć dobrodziejstwa mądrości ewangelicznej. Na tę plagę głos nasz często i poważnie zwracał uwagę; świadczą o tem dostatecznie przepisy i napomnienia, jakich udzieliliśmy w piśmie *Rerum Novarum*. Wszyscy przeto dobrze myślący, bez różnicy stronnictw, skierować winni baczność swoją na to, aby w prawowitej walce za prawdę chrześcijańską, za sprawiedliwość i miłość, bronili w istotnem znaczeniu świętych praw Boga i ojczyzny, z których wykwita publiczne dobro i szczęście.

List Ojca św. rozwiał ostatecznie illuzye niektórych wybitnych belgijskich konserwatystów, utrzymujących, że wszystko, co dla robotników można było zrobić, już zrobione; że w szczególności belgijskie stosunki społeczne i prawodawstwo żadnej poprawy, żadnego uzupełnienia nie potrzebują. Upomnienia, dane przez Papieża z taką powagą, z takim „naciskiem“, jak sam się wyraża, odnoszą się w równej mierze do katolickiego stronnictwa konserwatywnego, jak i demokratycznego; Leon XIII. nawołuje do jedności nietylko t. zw. „chrześcijańskich socyalistów“, ale wogóle i bez różnicy wszystkich chrześcijan, wszystkich katolików. Prawda, że niektórzy z belgijskich przywódców chrześcijańsko-społecznego ruchu, zapatrzeni w wiedeńskich i paryskich swych kolegów, przeszli wszelkie możliwe granice, zakreślone chrześcijańską sprawiedliwością, aby o miłości już nie wspomnieć; ale prawda też, że konserwatywni ich przeciwnicy również nie zawsze pozostają w granicach sprawiedliwości. Ojciec św. jak jednym, tak drugim popełnione błędy wytyka; jak jednych,

tak drugich wzywa do jedności między sobą, do posłuszeństwa dla Kościoła. Konferencya biskupów belgijskich, zebrana na wyraźne życzenie papieskie, już się odbyła; uchwały jej będą bezwątpienia cennym drogoskazem nietylko dla Belgii, ale dla wszystkich krajów, w których podobny stan rzeczy wywołuje podobne walki i dyskusye.

LISTY DO GENERAŁÓW ASSYUMPCYONISTÓW I JEZUITÓW.

W piśmie do O. Picarda, donosi Ojciec św. o powziętem postanowieniu rozszerzenia na swój koszt klasztorów Assumpcyonistów w Konstantynopolu i Kadikoi. Do tego kroku spowodowało Papieża pragnienie, aby znaczniejsza liczba młodzieńców, należących do obrządku tak łacińskiego jak i greckiego, mogła się wyćwiczyć w języku greckim i nabrać należytej znajomości historyi i obrządków greckich. Ta sama apostolska myśl przewodnia prześwieca w wspaniałym liście do generała Jezuitów. Ojciec św. wyraża głęboką radość z prac podjętych przez jezuickich misyonarzów w Egipcie; obsypuje pochwałami ich działalność zwłaszcza w Aleksandryi i Kairze i do nowych prac, do działalności na szerszą jeszcze skalę zachęca, słowem i błogosławieństwem; rozwinięcie pożądanej działalności umożliwia hojnym pieniężnym darem. „Praca Wasza w Egipcie, pisze Papież, znajduje poklask i uznanie, nietylko u katolików, ale i u schyzmatyków, a nawet u mahometanów“. Zdumiewająca, rzecby można młodzieńcza działalność Ojca św., który jednocześnie tyle spraw bożych, na tylu różnych polach rozpoczyna, przeprowadza i do pożądanego skutku doprowadza, musi obudzać podziw i cześć nawet u niechętnych, u wrogów; jakiż podziw i cześć budzi słusznie u wiernych synów Kościoła.

KRZEZIE CHIŃSKIE.

Życie Europejczyków, chrześcijan, a w szczególności misyonarzy, jest w Chinach od lat mniejwięcej pięciu narażone na ciągłe niebezpieczeństwo. Zaledwie w jednej prowincyi uda się wreszcie niedołężnemu rządowi rozproszyć rozbójnicze bandy, roznoszące po osadach chrześcijańskich śmierć i pożogę, a już z innej prowincyi nadchodzą bardziej jeszcze

przerażające wiadomości o nowych gwałtach. Dzikie pospólstwo, rozjuszone klęskami, poniesionemi w wojnie z Japonią, i nie wiedząc na kim zemstę wywrzeć, rzuca się na „cudzoziemców", których broń, taktyka, a może i czary dopomogły Japończykom do zwycięstwa; mandaryni czasem ledwie udawać raczą, że chcieliby cudzoziemców bronić, częściej patrzą na rzeź z zadowoleniem, a zdarzają się przypadki, jak zdarzyło się np. w roku zeszłym, w prowincyi Hupeh, że sam wicekról w publicznych proklamacyach do rzezi zachęcał. Obecnie gwałtowny ruch przeciw cudzoziemcom rozszerzył się od granic Tybetu, aż do południowej prowincyi Kuang-Tung. W Czeng-tu tłumy spaliły lub zniszczyły doszczętnie wszystkie misyjne domy i zakłady. Misyonarze, zawczasu ostrzeżeni, zdołali uciec; tylko biskup Durand został zbity i poraniony. Od niedopalonych zgliszczów misyjnych zabudowań powędrował tłum na cmentarz chrześcijański; wydobył z grobu szczątki umęczonego przez Chińczyków przed 70 latami, biskupa Dufresse, i obnosił je po całej okolicy. W Ku-czeng nienawiść obałamuconego pospólstwa zwróciła się najprzód przeciw misyi protestanckiej; żołnierze wysłani dla obrony misyi połączyli się z oprawcami i dopuszczali się pierwsi nieludzkich gwałtów. Mogli sobie na to pozwolić tem śmielej, że dotychczasowe śledztwa, wrzekomo przeprowadzane przez rząd chiński w celu ukarania winnych w poprzednich rzeziach, okazywały się zawsze ostatecznie śmieszną farsą. Może teraz wreszcie europejskie rządy zajmą się energiczniej tą sprawą. Zająćby się powinny tem bardziej, że jak utrzymują wytrawni znawcy chińskich stosunków, dotychczasowe morderstwa są dopiero zapowiedzią o wiele groźniejszych rozruchów, skierowanych przeciw wszystkim i katolickim i protestanckim misyom.

WĘGIERSKI KULTURKAMPF.

Dla ostatecznego przeprowadzenia kościelnych reform stara się podobno rząd Banffego o zamianowanie całego szeregu liberalnie usposobionych, bogatszych indywiduów dziedzicznymi członkami Izby panów. W ten sposób opór „zapleśniałych magnatów", tryumfują liberalne organa, będzie jednem cięciem pióra i od razu na wszystkich punktach przełamany.

Prawda! ryzykowny to krok, podkopujący w korzeniach samąż istotę zdrowego konstytucyonalizmu. Prawda! tego rodzaju system, jak ostrzega skrajny *Magyarorsag*, zmienia Izbę panów w wierną, nie mającą żadnego znaczenia służkę każdorazowego rządu; odejmuje poprostu Izbie wyższej racyę bytu. „Rozbój to na równej drodze — żali się organ stronnictwa Apponiego *Nemzeti Ujsag* — rozbój, któremu dorównują chyba jedynie rozbójnicze wybory w Neutrze". Wszystko to prawda, ale nad prawdami temi góruje jedna, doświadczeniem ostatnich lat do przesytu stwierdzona: Liberalny rząd węgierski nie cofa się w walce z Kościołem przed żadnym środkiem, który do smutnego, ufajmy, że chwilowego zwycięstwa może mu dopomódz!

Ks. Jan Badeni.

Z horodeńskiego powiatu[1].

III.

Stanowisko Żydów tu wybitniejsze, niż gdzieindziej; udało im się tu więcej zarobić i więcej wyzyskać. Mocno to w oczy uderza, jak prości chałatowcy rozsiadują się w powozach i jeżdżą niemi; cośkolwiek wykształceńsi, przebrani jeszcze w długie bekiesze, mieszkają w dworach; Żydzi-urzędnicy chętnie przypuszczani bywają do katolickich domów i dobrze w nich widziani, nasze panie walcują z nimi na zabój i wybijają hołubce z rozkoszą, chłopi chętnie idą do Żydów na roboty; przed wielkanocnemi żydowskiemi świętami całe tłumy wiejskich bab czekają od świtu, aby je najęto do mycia mieszkań żydowskich. Jak w wielu miejscach, tak i tu istnieje hirszowska szkoła; ponieważ ma sławę, iż dobrze w niej uczą, więc posyłają rodzice chrześcijańscy dziewczęta-podlotki na prywatną naukę do nauczycieli żydowskich, a katolickich nauczycieli pomijają.

Wobec tego, wyraźnie dominującego, stanowiska Żydów, rzecz aż nadto oczywista, iż szabas wygląda tu bardzo uroczyście i świątecznie, za to katolickie święta często bez skrupułu bywają naruszane;

[1] Por. *Przegląd Powszechny* z maja i czerwca b. r.

chłopi wożą w święta po południu z pola zboże, kukurydzę. Są wsie, w których tak gorliwie się uwijają, że ani znaku święta! Gdy nadejdzie zbiór kukurydzy, jazda po nią lepiej w święta odchodzi, jak w dzień roboczy.

Skarżył mi się na to jeden z ruskich księży, który swoją parafię wzorowo prowadzi.

— Już sześć lat walczę z tym zakorzenionym nałogiem i trudno go wykorzenić, w ciągu roku jakoś się uda dzień boży zostawić w spokoju, gdy nadejdzie zbiór kukurydzy, chłop nie wytrzyma — jedzie w pole.

Trafiają się też obywatele, którzy nie są od tego, aby ekonomii chłopskiej nie praktykować, władzom też krajowym także tak jakoś najwygodniej w święta rozmaite sprawy robocze załatwiać; jedna władza każe w parceli, tuż do kościoła przylegającej, na same Boże Ciało studnię kopać, to znowu na św. Piotra i Pawła mur stawiać, wreszcie w niedzielę, w czasie samej sumy, w sąsiedztwie kościoła urządza wystawę bydła rozpłodowego; pędzą tedy woły tuczne właśnie wtedy, gdy dzwony lud na nabożeństwo nawołują!

Nie żalby było, gdyby reprezentanci tych władz nie byli Polakami. To, co gazety nazywają, po modnemu, spoczynkiem niedzielnym, zdałoby się tu zaprowadzić.

Raz w rozmowie ze mną skarżył się urzędnik kolejowy, iż mu służba przeszkadza żonie towarzyszyć w niedzielę do kościoła, a kończąc dodał:

— My wolnomyślni ludzie bez kościoła obejść się możemy, bo mamy inne przyjemności i potrafimy sobie czas wolny osłodzić, ale ludzie prości, służbą zajęci, tym nadzwyczaj ciężko i gorzko przychodzi obejść się bez słuchania słowa bożego — wszak to jedyne ich wytchnienie.

Takiego to wytchnienia gospodarcza służba tu często gęsto nigdy nie ma. Jak po wielkich miastach biedakowi żałują tego wytchnienia i wyzyskują jego siły bez miłosierdzia, tak i tu parobek, dziewka, czy u pana służy, czy u chłopa, ledwie wie, iż jest stworzeniem bożem; służy duszą i ciałem, do kościoła nigdy ich nie puszczą, chyba jedynie do wielkanocnej spowiedzi. Skarży się nieraz nieborak ze łzami w oczach:

— Ha! szczoż robyty, ne puskajut!

Nad stanem moralnym takiego biedaka, zwłaszcza pozbawionego

od dzieciństwa opieki rodziców, wychowanego w stajni między czworonogami, nie biadać, ale zapłakać warto.

Często to bardzo można nasłuchać się skarg księży polskich na ruskich i odwrotnie, echo tych skarg nieraz odbija się aż w pismach publicznych(!); tu na szczęście niezgodę i narzekania do osobliwych zjawisk policzyć można.

Zapatrzeni na Bukowinę, widzą ruscy kapłani w polskich, kapłanów katolickich, jak są nimi sami; w prawa ich się nie wdzierają i z radością zaznaczyć to przychodzi, że prócz urzędowych, bardzo dbają o utrzymanie serdecznych stosunków sąsiedzkich, radzi w domu u siebie polskich księży widzą, serdecznie goszczą, i uprzejmie zapraszają, krótko mówiąc, są nam przychylni i życzliwi.

Kiedy mowa o ruskich kapłanach, nasuwa się na myśl mimowolnie i unicki obrządek — trzeba o nim coś wspomnieć.

Niedawno wypytywałem jednego z kapłanów unickich, z Królestwa pochodzącego, o różnice liturgiczne, zachodzące między cerkwią prawosławną a unicką; odpowiedź była następująca:

— Jestem bardzo dobrze obeznany ze wszystkiemi obrzędami cerkwi prawosławnej, pomimo tego, w żaden sposób nie mogę księdzu służyć z tej przyczyny, gdyż między pojedyńczemi cerkwiami prawosławnemi taka w rytuale panuje rozmaitość, samowola i różnica, że objąć jej w jakąś całość i stałą nadać jej formę prawie niepodobna. Niema się czego dziwić, że tam, pod naciskiem rządu, prawosławny rytuał przechodzi najrozmaitsze permutacye, wszakżesz i u nas brak stałej jedności.

Wcale mi nieznany rytuał cerkwi prawosławnej, mało mi znany unicki. niech mi tego nikt za złe nie weźmie, gdy o miejscowych zwyczajach unickiego obrządku wspomnę; nie czynię tego dla krytyki, tem mniej, broń Boże, dla zaczepki, lecz podaje to, co swoją oryginalnością w oczy bije. Najprzód w cerkwiach moc światła, po świętach Jordanu wielki ołtarz murem białych świec opasany, oblegają całe snopy świec, zawsze po trzy w jedną podstawę ujętych, tak zwane *trojce*, ołtarz. Świece te, to ofiary wiernych; widziałem też długie drewniane stołowe tafle, a w nich pełno powywiercanych otworów, dziura na dziurze; wszystko to służy do pomieszczenia światła: piękny to widok, gdy wszystkie świece na tej tafli zapalą, wygląda ona wtedy jak jasna metalowa, do białości rozpalona płyta! Zajmujące zwyczaje panują przy pogrzebach: stawiają domownicy w głowach nieboszczyków miskę ugotowanej pszenicy, z której, gdy ciało wynoszą, dają łyżką kosztować księdzu; pszenicę tę stawiają potem na trumnie podczas modłów po-

grzebowych. W mowie pogrzebowej żegna kapłan w imieniu nieboszczyka wszystkich bliższych krewnych, znajomych, za wszystkie usługi imieniem zmarłego im dziękuje; stąd też tę mowę nazywają po polsku „podziękowaniem", a po rusku *praszczą*, a to od ostatniej formułki, która mowę zwykła kończyć, a z którą zwraca się kapłan do wiernych i po trzykroć zapytuje:

— *Praszczajete pomerszomu jeho hrichi?*

— *Praszczajemo* — lud odpowiada.

Jest też zwyczaj, iż gdy kapłan nad trumną śpiewa: *Wicznaja pamiat'*, podają mu w rękę chleb, na wieku trumny zawsze umieszczany, którego on dotyka dłonią u podstawy, kilkanaście razy do góry podnosi i na dół spuszcza, wtedy wszyscy obecni to samo czynią ze świecami zapalonemi, kto zaś świecy w ręku nie ma, ten sąsiadowi, w nią zaopatrzonemu, wahać nią pomaga; co ma oznaczać, iż dusza zmarłego w myśl modlitwy idzie do nieba. Mimochodem o tych osobliwościach wspominam, gdyż gdzieindziej tego nie widziałem.

Może to nie obojętnem będzie, jaki wpływ w stosunku do naszej narodowości i obrządku wywiera szkoła; o ogólnym postępie oświaty inne do tego powołane organa niech sądzą, w naszym interesie na to patrzeć, co nas najbliżej obchodzi. Aby wpływ szkoły był korzystny i dodatny, to potrzeba w pierwszej linii, aby nauczycielem był Polak, wtedy o uszy polskiego dziecięcia często polskie słowa się odbiją i język rodzinny nie jest mu obcy; jeżeli nauczyciel jest Rusin, wtedy dla nas praca wcale nie lekka; po wsiach wykład początkowy i nauka odbywa się w języku ruskim; trzeba więc najprzód nauczyć po polsku, a potem dopiero katechizmu; dobrze trzeba pilnować, aby w dziecię wszczepić zamiłowanie do swego obrządku i języka. Niktby mi wierzyć nie chciał, gdybym napisał, że milę i półtorej mili drogi jedzie się na katechizacyę, pomimo tego, że w szkole ledwie pięcioro polskich dzieci, tak, jak niktby mi nie wierzył, że za zapłatą 1 złr. lub 50 ct. milami jedzie się na pogrzeb, jeżeli się chce, aby lud wiedział, kto jego pasterz i aby dziecko umiało pacierz w rodzinnym języku. Gdzie latami tak się pracuje, szkoła jest dobrą podporą, inaczej wpływ jej bardzo prędko niknie, bo i jakżeż niema zaginąć, gdy po ukończeniu szkoły dziecko książki nigdy nie używa; podarujesz mu książkę do modlenia, ta spoczywa w domu i służy za przykrywkę do mleka lub innego płynu; do kościoła jej nie weźmie, gdyż się wstydzi, bo drudzy z niego się śmieją. Tak samo rzecz się ma z różańcem; różaniec zostawia właściciel zawieszony na ścianie, a sam idzie do kościoła lub cerkwi, a już w osta-

teczności schowa go do kieszeni, gdzie bezużytecznie tak długo spoczywa, dopóki energiczne nawoływanie z tej kryjówki go nie wypłoszy i ręki nim nie uzbroi.

— Czegóżeś nie wziął książki do modlenia z sobą—woła proboszcz do wieśniaka, który zagiąwszy obie ręce stoi bezmyślnie w domu bożym, a wieśniak nie wie co na to odpowiedzieć; wszak gdy cały dom w ogniu, on stoi spokojnie i namyśla się: brać się do gaszenia, czy nie; czegożby nie miał być obojętnym na to, co ani pali, ani piecze. Aby praca szkolna nie poszła na marne, trzeba dalej pracować i uzbroić się w cierpliwość nielada jaką. Zniechęca to niemało, gdy widzisz, jak wieśniak przy pracy nie na ręce, ale Bóg wie gdzie, a raczej nigdzie, na wzór małego dziecka, nie patrzy; na pozór ani go dobrocią ugłaskasz, ani podarunkiem przywiążesz; zdaje się, że szkoda nad nim pracy i zachodu; zdaje się być pozbawiony poczucia na wszelkie szlachetniejsze popędy; twarda to rola, a jednak urodzajna; zwierzchnia jej skorupa zatwardniała jedynie dlatego, bo zbyt długo jej nie uprawiano, a jeżeli uprawiano, to za słabo.

Ks. Rokosz.

Robotnicze zebranie w Lignicy.

Rozglądałem się za uliczką, prowadzącą najprostszą drogą do przerobionego dziś do niepoznania starego lignickiego zamku, kiedy na zakręcie tonącej w zieleni *Piastenstrasse*, na drzwiach — jeźli pamięć mię nie zawodzi — wiodących do *Piastenkelleru*, wpadł mi w oko drukowany plakat, wzywający wszystkich lignickich cieśli i mularzy na publiczne zgromadzenie, mające się odbyć „dziś wieczór, o godzinie ósmej, w sali hotelu *zur Reichskrone*, na ulicy Wrocławskiej". Ciekawa rzecz, jak niemieccy robotnicy takie zgromadzenia sobie urządzają; czy podobna tu panuje atmosfera, jak na krakowskich lub lwowskich zgromadzeniach; kto i jak będzie tu rej wodził?

Ulica „wrocławska" ciągnie się bez końca; wreszcie przecież po długiem, mozolnem odczytywaniu szyldów na prawo i lewo, pokazują się półłokciowe litery, zwiastujące, że dotarliśmy do oberży *zur Reichskrone*. Na zewnątrz podobna do krakowskich socyalistycznych oberży Ebera lub Immerglücka; wewnątrz trochę porządniejsza, jak w ogóle ligniccy „towarzysze" o wiele porządniej wyglądają od krakowskich;

cicho tu jeszcze i głucho, choć dobrze już po ósmej; tylko przed bramą przechadza się komisarz policyi o bardzo poważnej tuszy, w pełnym mundurze i oczekuje, rychłoli wezwani schodzić się zaczną; oczekiwanie skraca sobie obserwacyą nieco zachmurzonego firmamentu i bębnieniem w szyby.

— Wejdź Pan, zachęca, widząc obcego turystę, rozglądającego się za właściwemi drzwiami, za opublikowaną salą. Ot tu za pokoikiem kurytarzyk, za kurytarzykiem pokoik, sala restauracyjna, a za nią wielka sala, przeznaczona na dzisiejsze zebranie. Nie będzie to bardzo ciekawe, ale zawsze, jeśli się kto takiemi rzeczami interesuje, warto zobaczyć i przysłuchać się".

„Wielka" sala, istotnie dość wielka, ale stołami i krzesłami tak zapełniona, że więcej nad 100, dajmy na to nad 150 osób z trudnością mogłaby pomieścić. Na estradzie mały stolik, białą serwetą nakryty, czeka na prelegenta; czekają na niego dwie niezapalone świece i paczka zapałek. Przy drugim stoliku zasiadło siedmiu panów w czarnych surdutach, prawdopodobnie ci sami, co zaproszenie na dzisiejsze zebranie podpisali i kazali rozlepić. Siedzą, patrzą, raz po raz na zegarki, raz po raz usta w kuflach piwa maczają i z nietajoną melancholią spoglądają w dal — w puściuteńką salę. Jest sztab, wojska nie ma. W jednym kącie spoczął poważny jegomość i fajkę pali; w drugim dwóch chłopaków wpatruje się ze skupieniem w dwie szklanice piwa; w trzecim obcy intruz notes rozłożył, ołówek wyciągnął, ale dotąd notować co niema!...

Coraz tragiczniej dla panów na estradzie, coraz komiczniej dla widzów pod estradą. Pół do dziewiątej, trzy kwadranse, dziewiąta... Komitetowi wydłużają się miny w nieskończoność. Restaurator, kelner, kelnerka chodzą od stołu do stołu z zafrasowanem obliczem; takie do dzisiejszego wieczora przywiązywali nadzieje, wierzyli święcie, że utargują parę antałków piwa, a tu pijących tak mało... Wreszcie koło dziewiątej, częściej drzwi zaczynają skrzypieć; sala nie wypełnia się, ale przynajmniej koło paru bocznych stołów zaczyna się robić ludniej. Komitetowi radzą z cicha, obliczają zebranych; wespół z komisarzem policyi jest 36... Ha! cóż robić, dłużej czekać niepodobna, bo i ta szczupła garstka stopniećby gotowa; bo pan komisarz, wysączywszy zafundowane sobie kufelki, znudzi się i pożegna zebranych.

Akuratnie w godzinę i siedm minut po oznaczonym terminie, referent staje przy stoliku, chrząka, wydobywa zwój papierów i niepewnym głosem zaczyna czytać. Rozumnie postąpili sobie Liebknechci

i Beblowie, że nakazali zaprowadzić kursa wymowy dla socyalistycznych mówców; rozumnie i praktycznie francuscy katoliccy socyolodzy zaprawiają wybranych młodzieńców do popularnych dysput, do szermierki z udanymi nieprzyjaciółmi, aby później prawdziwych mogli zwyciężać; — gdyby lignicki referent na takie kursa choć przez miesiąc uczęszczał, wiedziałby, że pierwszym warunkiem sukcesu nie czytać, lecz z pamięci przemawiać; drugim, jeśli już kto czytać koniecznie się uweźmie, czytać zrozumiale. Tymczasem młody prelegent i czytał i w dodatku niezrozumiale czytał; słuchacze za to ziewali. Okrzyki wcale nie ciche: „Jeszcze jednę bombę! jeszcze jednę szklankę!“ — powtarzały się z rosnącą nieproporcyonalnie siłą i szybkością. Na szczęście prelegent dobiegł do ostatniej kartki i do końca swej mowy; na estradę wyszedł rzecznik burżuazyi, tęgi i istotnie wymowny majster mularski i jeśli nie siłą argumentów, to siłą głosu wymógł sobie odrazu spokój i uwagę. Krytyczna była jego pozycya, bo właściwie podobno, majstrowie dzisiejsze zgromadzenie przygotowali, a tymczasem smutną ironią losu socyalistycznie usposobieni robotnicy znajdowali się na niem w większości.

— Co to jest? — wołał mówca i każde słowo energicznem machnięciem ręki podkreślał.—Co to jest, jak to nazwać!? Stare, nasze zawodowe stowarzyszenia cofają się, nikną. Robotnicy plecami ku nam majstrom się zwracają, słuchają agitatorów, co czyhają na ich zgubę. Nie dość wykształcenia i to największa bieda: nie dość wykształcenia i dla tego nas tu tak mało.

Wywodom majstra wtórowały ciche przytakiwania z dziesięciu kolegów, ciche szemrania ze czterdziestu robotników. Młody robotnik, ale wytrawny widać agitator, z którego kiedyś urość może socyalistyczny potentat, drugi Liebknecht, drugi Adler, uderzył w popularną strunę wyzyskiwania sił robotniczych, rzucił świadczące o zdzierstwie majstrów i fabrykantów szeregi cyfer i wzbudził bez trudności szalony entuzyazm. Na entuzyazmie tym najgorzej wyszło moje piwo, które silnem mularskiem ramieniem z równowagi wyprowadzone, długim strumieniem po stole się polało. Nie ma czasu piwa żałować, bo oto znów inny majster próbuje zdesperowanej majsterskiej sprawy bronić, oto znów inny robotnik za koniecznością ogólnego strejku głosuje. Majster chce odpowiadać; świsty, krzyki usta mu zamykają. Jeden krzyczy z całych sił „Oho!“ drugi wstał i pyta ironicznie: „Do czego mamy prawo — co dać nam raczycie?“ trzeci zrywa się i wyga-

luje na „klesze stowarzyszenia"; jeszcze inny uważa za swój obowiązek tupać z całych sił nogami. Najsmutniejsza pozycya przewodniczącego; dzwoni, rękami macha, płuca sobie zrywa — ale komuż w głowie uważać na rozpaczliwe te gesta i krzyki. Tylko komisarz słucha uważnie, flegmatycznie czarne piwo popija i skrzętnie na wielkim arkuszu papieru ołówkiem posuwa.

— Panowie, panowie! — zaklina przewodniczący — przecież nie rozejdziemy się bez uchwalenia jakichś rezolucyj.

— A jakże! — uchwalać rezolucye, choćby nawet dobre dla robotnika, praktyczne rezolucye, jeśli one wyszły z „burżuazyjno-majsterskiego" natchnienia.

— Nie chcemy! Pójdźmy stąd. Po co nas tu zwołali! — odzywa się kilka głosów z „robotniczo-socyalistycznego" obozu...

— Panowie! posłuchajcie przynajmniej... Próżne wysiłki, próżne prośby... Już jeden robotnik za drugim wstaje, za czapkę chwyta, za piwo płaci i ostentacyjną secessyę urządza. Prezesi, sekretarze jeszcze siedzą, ale ostatecznie przekonywują się, że zostali w najściślejszem swem kółku i nie mają kogo przekonywać; więc także wstają i zwolna, wśród cichych narad, cofają się ku drzwiom. Ostatni wstaje komisarz; spokojnie wypróżnia kufel do ostatniej kropli, i z pozostałymi na sali się żegna.

— Po licha te zebrania! — mruczy jeszcze na ulicy jakiś maroder.

— Głupie bydło! — pociesza się członek burżuazyjnej mniejszości.

Kilku młodych członków większości zagląda ciekawie przez okno, i ze śmiechem pokazuje sobie zakłopotane miny niedobitków.

Gospodarz ręce zaciera, nie tyle utargował, wiele się spodziewał, ale zawsze utargował dosyć.

Wszystko jak u nas, na naszych robotniczych zebraniach. Tu większa zewnętrzna ogłada, piwo, a raczej obawa, aby przy zbytniej gestykulacyi piwo się nie wylało, studzi zbyt silne zapały, mniejsza liczba uczestników nie dozwala namiętnościom wybuchnąć z całą, jakby jakąś antydyluwialną siłą. Ale namiętności te same, te same walki i zawiści. A każde zgromadzenie — przez majstrów, czy przez robotników zwołane — podsyca zazwyczaj niestety! ten smutny ogień. Zawsze się ktoś znajdzie, co ma interes w rzemiośle ranienia, kaleczenia; niech pokaże się jeden taki nowożytny *raubritter*, wnet otoczy go koło wiernych giermków...

Dobrze, że się wreszcie zebranie skończyło!... Księżyc rzuca promienie na nowe, niezgrabne budowle, co zajęły miejsce starego lignickiego zamku... Nie oblegną go dziś Tatarzy, nie będą w około niego obnosić głowy zabitego księcia; ale czy nowe hordy, których drobny oddziałek zaprawiał się przed chwilą u stóp zamkowych do przyszłego boju, nie grożą chrześcijańskiej cywilizacyi straszniejszą nawałą?

Ks. J. B.

Druk ukończony 29 sierpnia 1895 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica.
Manifest nauki ateistycznej. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.*	1
Przez Chiny i Mongolię. Listy z podróży. (Dok.). Przez *księcia Pawła Sapiehę*	21
Walka przeciw socyalizmowi w Niemczech. Przez *A. Lasockiego*	37
Z listów sybirskiego misyonarza. Przez *M.*	57 187
Dorobek naukowy Rossi'ego. I. II. Przez *ks. d-ra J. Bilczewskiego*	73 220
Na jubileusz kapłański Jego Em. Kard. Ledóchowskiego. Przez *ks. Władysława Czencza T. J.*	161
Reakcya dzisiejsza przeciw pozytywizmowi. Przez *d-ra Bronisława Łozińskiego*	169
Goszczyńskiego „Król Zamczyska". Ustęp z dziejów bajronizmu polskiego. Przez *M. Zdziechowskiego*	204
Etnograficzna wystawa w Pradze. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*	248
Kolegium polskie w Rzymie. Przez *ks. Pawła Smolikowskiego*	313
Dalmackim brzegiem. (Od Zadaru do Kotaru). Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*	336
Henryk VIII. i klasztory w Anglii. Przez *M.*	374
Z Sarbiewskiego. Przez *ks. Włodzimierza Piątkiewicza T. J.*	396
Wielki poeta chrześcijański z IV. wieku. III. Przez *ks. Władysława Czencza T. J.*	401

Stronica.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Narodowość. Studyum społeczne. Naszkicował ks. L. Fleischer, pleban komorowski. *(Ks. S. Kobyłecki T. J)* 86

Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału. Napisał J. Tretiak. *(A. M. Kurpiel)* 89

Podręcznik praktyczny ikonografii chrześcijańskiej. Napisał ks. A. Brykczyński, członek Komisyi arch. i Komisyi sztuki Akad. Umiej. 91

De Ecclesiis, Collegiata, Seminario clericorum scholisque academicis quondam Olycensibus — rozprawa drukowana w czterech z kolei programach petersburskiej Akademii duchownej, za lata szkolne: 1890, 1891, 1892, 1893. (Dok.). *(Ks. Chotkowski)* 92

Nieśmiertelność duszy ludzkiej w świetle rozumu i nowoczesnej nauki. Przez ks. d-ra Franciszka Gabryla. *(S. Kobyłecki)* 262

Podręcznik wakacyjny dla użytku seminarzystów i młodych kapłanów. Z 9-go wydania francuskiego opracował i przetłumaczył ks. Roman Rembieliński, prof. sem. metr. św. Jana 1894. Tegoż wyd. 2-gie popr. 1895. *(Ks. H. P.)*. . . . 269

Wpływ moralności na śmiertelność, według odczytu d-ra med. Höffela. Wiktor Doleżan. *(Ks. Morawski T. J.)*. . . . 271

Niektóre powody bezżeństwa w duchowieństwie rzymsko-katolickiem. Ks. Antoni Wilczkiewicz. *(Ks. M.)*. 272

Święty Stanisław w historyi Polskiej i Święty Stanisław naszym wzorem. Dwa kazania wypowiedziane na Wawelu, w uroczystość Świętego. Przez ks. Stanisława Spisa, prof. Uniw. Jagiel., kan. i t. d. *(Ks. M. M.)*. 272

Opowieści i wspominki historyczne. Przez L. Glatmana (Ludomira). Serya I. 273

Nieznany wiersz Wojciecha Stanisława Chrościńskiego. Dr. Bolesław Erzepki — Próbki gwary mazowieckiej z końca XVII. i początku XVIII. wieku. Tenże. *(L. M. Dziama)*. 274

Przegląd ostatnich roczników Tow. Przyj. Nauk Poznańsk. (1890—1894). *(Ks. A. Boc T. J.)*. 275

II. Rocznik Kółka Naukowego tarnopolskiego za rok 1893. *(Wł. Rejowicz T. J.)* 280

Wspomnienia artysty. Leonard Lepszy. Ilustrowane urywki z pamiętnika. *(A. M. Kurpiel)* 283

Rok Crystusowy. Przez M. Awancina, tłumaczył z łacińskiego Al. Jełowicki. Wydanie nowe. Przejrzał O. Prokop, Kapucyn. — Rozmyślania na wszystkie dni roku, do użytku kapłanów i osób świeckich. Przez ks. Hamona. Tłum. z franc. Cztery tomy. — Biblia domowa, czyli wypisy z tekstów Pisma św. odnośnie do etyki chrześcijańskiej. Skrócił z francuskiego Jan Kanty Trzebiński. — Miesiąc czerwiec. Przez ks. A. Lefebore, opracował z francusk. ks. Roman Rembieliński. — Złota książka polskiej dziewicy. Przez ks. I. A. Łukaszkiewicza. — Święty Kazi-

Stronica.

MIERZ, królewicz polski, patron młodzieży. Napisał ks. Feliks Józefowicz. — Żywot O. Prokopa, Kapucyna. Przez O. Honorata, Kapucyna. *(Ks. J. B.)* 419

PRZYGOTOWANIE DO SPOWIEDZI I KOMUNII ŚW. WIELKANOCNEJ czyli Rekollekcye trzydniowe dla młodych osób. Napisane przez J. Chudzyńską w formie poufnej rozmowy; przejrzane i popraw. przez ks. A. P. *(Ks. Wł. Czencz T. J.)*. 421

ZARYS NAJNOWSZEJ LITERATURY POLSKIEJ. Napisał dr. Piotr Chmielowski. *(L. M. Dziama)*. 423

IDEAŁ WSZECHLUDZKI, w poezyi spółczesnej. Cezary Jellenta. *(F. M.)*. 429

PRAWO A BEZPRAWIE W ZABORZE ROSYJSKIM. Przez dr. X. *(Ks. H. P.)*. 431

Z DZIEJÓW ROSYJSKIEJ CENZURY. Dr. Józef Tretiak. *(A. M. Kurpiel)*. 431

ZAPATRYWANIA POLITYCZNE KASPRA MIASKOWSKIEGO. Napisał Leszek Marya Dziama. *(A. M. Kurpiel.)* 433

ZE SPRAW ŚLĄSKICH. Napisał Warszawiak. *(Ks. B.)* 434

KRONIKI (1875—1878). Przez Bolesława Prusa (Al. Głowackiego) *(E. H.)* 436

Z piśmiennictwa zagranicznego:

L'ÉPISCOPAT DE TALLEYRAND. Par P. Montarlot. *(M.)*. 109

POEMATA JANA WAZOWA. (Поеми отъ Ивана Вазовъ). *(Tytus Sopodźko)* 113

DER BRIEF DES HEIL. JACOBUS. Erklärt von Franz Sales Trenkle, Privatdocent an der Univers. zu Freiburg im B. Mit Approbation des Hochw. Herrn Erzbischofs von Freiburg. *(Ks. dr. Stan. Spis)* 120

HIERONYMUS ALS LITTERARHISTORIKER. Eine quellenkritische Untersuchung der Schrift des hl. Hieron. „De viris illustribus". Von Stanislaus von Sychowski. *(M. W.)* 284

L'ARRIÈRE BOUTIQUE DE SAINT ANTOINE. Par M. Etienne Jouve. *(M.)* 286

LE RÉGIME SAUVEUR, ou la Communion dans les maisons d'éducation. Par le Père J. M. Lambert. *(M.)*. 288

LA VRAIE JEANNE D'ARC. I. La Pucelle d'Orléans devant l'Église de son temps. — LA VRAIE JEANNE D'ARC. II. La paysanne et l'Inspirée, d'après ses aveux, les témoins oculaires et la libre pensée. Par Jean Bapt. Joseph Ayroles de la Comp. de Jésus. *(Ks. Wład. Czencz T. J.)*. 289

GÓRY I DOLINY. Wiersze i pieśni Włodzimierza Šťastnego. (Hory a doly. Verše a písně Vladimira Šťastného). — DROBNE KWIATY. Wiersze Włodzimierza Šťastnego. (Drobné květy. Verše Vladimira Šťastného). *(T. Sopodźko)* . . . 291

SAINT FRANÇOIS DE SALES. Derniére édition de ses oeuvres, publiées par les religieuses de la Visitation d'Annecy. *(M.)*. 437

LOGICA. In usum scholarum. Auctore Carolo Frick S. J. *(Ks. S. Kobyłecki T. J.)* 440

Stronica.

Z pism czasowych:

Obzor. List pro poučení a zábavu. Redaktor Vladimir Šťastný. Ročnik XVI. a XVII. *(Tytus Sopodźko)* 129

Rozmaitości:

Sądy ludowe na Litwie. (Uzupełnienie). *(Jan Witort)* 135

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Katolicy a włoskie wybory. — Justhowski dyalog. — Odroczenie austryackiego wiecu katolickiego.— Proces Aleksyanów.—Program chrześcijańsko-socyalny.— Pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański kardynała Ledóchowskiego. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 142

Jedenaste Walne Zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Przez *d-ra A. M. Kurpiela* 151

List z Wiednia 159

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Międzynarodowy kongres lizboński. — Wiec katolickich robotników w Paryżu. — Kwestya pojedynków w parlamentach. — List papieski do Koptów. — Dwudziestopięcioletnia rocznica zajęcia Rzymu. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 297

Rzut oka na współczesną niemiecką katolicką prasę. Przez *Sopodźkę* 304

Yoga — sen fakirów indyjskich. Przez *d-ra Chłapowskiego* . . 308

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Kwestya wschodnia i kwestya socyalna.— List papieski do biskupów belgijskich. — Listy do generała Assumpcyonistów i generała Jezuitów. — Chińskie rzezie. — Węgierski kulturkampf. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 450

Z horodeńskiego powiatu. III. Przez *ks. Rokosza* 456

Robotnicze zebranie w Lignicy. Przez *ks. J. B.* 460

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.